

III TOM Z SERII: INSPEKTOR GAMACHE

# LOUISE PENNY

**NAJOKRUTNIEJSZY  
MIESIĄC**

 Poradnia K

III TOM Z SERII: INSPEKTOR GAMACHE

# LOUISE PENNY

NAJOKRUTNIEJSZY  
MIESIĄC

Przełożyła Kamila Sławinski

 Poradnia K



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Przypisy

Tytuł oryginału: THE CRUELLEST MONTH

Projekt okładki: KONRAD NOWICKI

Zdjęcie na okładce: Nicolas / stock.adobe.com.pl

Opracowanie typograficzne i skład: MONIKA ŚWITALSKA, na podstawie projektu  
MARZENNY DOBROWOLSKIEJ

Redaktor prowadzący: PAULINA POTRYKUS-WOŹNIAK

Redakcja: JOLANTA KUCHARSKA

Korekta: MAGDALENA GERAGA, AGNIESZKA TRZEBSKA-CWALINA

Copyright © 2007 Louise Penny

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Kamila Sławinski

Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-66005-31-0

Poradnia K Sp. z o.o.

ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa

e-mail: [poradniak@poradniak.pl](mailto:poradniak@poradniak.pl)

www: [www.poradniak.pl](http://www.poradniak.pl)

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: [sklep.poradniak.pl](http://sklep.poradniak.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

*Dla mojego brata Roba i jego cudownej rodziny:  
Audi, Kim, Adama i Sarah, z miłością*

# 1

Clara Morrow klęczała na wilgotnej trawie miejskiego skwerku i starała się dokładnie schować wielkanocną pisanekę. Rozmyślała jednocześnie o wskrzeszaniu umarłych, czym zamierzała zająć się tuż po kolacji. Odgarniając kosmyk z twarzy, wtarła w splątane włosy drobinki trawy, błota i jakiejś brunatnej mazi. Niedaleko niej mieszkańcy miasteczka wędrowali z koszykami wypełnionymi kolorowymi jajkami w poszukiwaniu najlepszych kryjówek na nie. Ruth Zardo siedziała na ławeczce pośrodku skwerku i rzucała jajka gdzie popadnie. Co jakiś czas trafiała kogoś w tył głowy albo w pośladki. Clara pomyślała, że Ruth miała zastanawiająco dobre oko jak na kogoś tak starego i zbzikowanego.

– Przyjdiesz dzisiaj wieczorem? – zapytała Clara, starając się odwrócić uwagę starej poetki od celowania w pana Béliveau.

– Żartujesz? Żywi są wystarczająco irytujący, dlaczego miałabym chcieć gadać do jakichś umarłych? – odparła Ruth i walnęła pana Béliveau w tył głowy.

Szczęśliwie sklepikarz włożył na głowę płócienną czapkę. Również szczęśliwie się składało, że Béliveau miał wielkie serce dla nieznośnej białowłosej staruchy siedzącej na ławce. Ruth starannie wybierała swoje ofiary. Zazwyczaj byli to ludzie, którzy ją kochali.

Zwykle cios czekoladowym jajkiem wielkanocnym nie wyrządzał wiele szkody, ale tym razem jajka nie były z czekolady. Tylko raz popełnili taki błąd. Kilka lat wcześniej, gdy miasteczko Three Pines po raz pierwszy postanowiło urządzać poszukiwania pisanek w niedzielę wielkanocną, wszyscy byli ogromnie podekscytowani. Mieszkańcy spotkali się w bistro Oliviera. Tam, nad drinkami i serem brie, porozkładali torebki z czekoladowymi jajkami, które następnego dnia zamierzali schować. Pełne zazdrości „ochy” i „achy” wypełniły pomieszczenie. Wszyscy mieli wrażenie,



jakby czas się cofnął, a oni znów byli dziećmi. Cieszyli się na myśl o tym, jakie miny będą mieć dzieciaki z miasteczka, gdy znajdą łakocie. Wiedzieli też, że nie uda się im znaleźć wszystkich słodkości, szczególnie schowanych u Oliviera za barem.

– Prześliczna – powiedział Gabri, ujmując w dłoń maleńką, starannie wyrzeźbioną gąskę z marcepanu i odgryzając jej łeppek.

– Gabri! – Olivier, jego partner, wyrwał z wielkiej dłoni Gabriego to, co zostało z gąski. – To ma być dla dzieci!

– Sam byś chciał – odparował Gabri, zwracając się do Myrny, i wymamrotał pod nosem tak, by wszyscy słyszeli: – Świetny pomysł. Gej rozdający dzieciakom czekoladki. Koniecznie musi się o tym dowiedzieć Liga Rodzin Chrześcijańskich.

Olivier, blondyn skłonny do rumieńców, cały się zaczerwienił.

Myrna się uśmiechnęła. Sama wyglądała jak gigantyczne jajko z niespodzianką, czarna, okrągłutka i owinięta w jaskrawy różowo-czerwony kaftan.

Większość mieszkańców maleńkiej miejscowości zebrała się tego dnia w bistro, tłocząc się przy długim barze z blatem z polerowanego drewna. Niektórzy zapadli w rozstawione w pomieszczeniu wygodne fotele. Wszystko tutaj było na sprzedaż, jako że bistro było także antykwariatem. Z każdego przedmiotu zwisała dyskretnie metka z ceną. Gdy Gabri czuł się niedoceniany i niedostatecznie oklaskiwany, przytwierdzał taką również do siebie.

Był początek kwietnia, ogień trzaskał wesoło w kominku, rzucając ciepłe światło na szerokie sosnowe deski podłogi, które w miarę upływu czasu, poddane promieniom słonecznym, zmieniły kolor na bursztynowy. Kelnerzy poruszali się po sali, oferując napoje i miękki, lejący ser brie z farmy pana Pagé'a. Bistro, ulokowane na brzegu skwerku, leżało w samym sercu tego starego miasteczka w prowincji Quebec. Po obu stronach, w jednym ciągu, połączone drzwiami, mieściły się tu różne lokale: sklep wielobranżowy pana Béliveau, piekarnia Sarah Boulangerie, dalej bistro, aż wreszcie, tuż za nim, księgarnia Myrny – Livres, Neufs et Usagés. Na przeciwległym końcu skweru

rosły trzy rosochate sosny, które były tak wiekowe, że pamiętali je najstarsi mieszkańcy. Drzewa wyglądały jak trzej mędrzy, którzy wreszcie znaleźli to, czego szukali. Z miasteczka rozchodziły się promienieście bite drogi, wijące się ku góróm i lasom.

Three Pines było miasteczkiem zapomnianym. Czas opływał je i krążył wokół, czasami wlewał się na chwilę do środka, ale nigdy nie gościł długo ani nie pozostawiał trwałych śladów. Przez setki lat chronione i ukryte, trwało w zagłębieniu dzikich kanadyjskich gór. Tylko przypadek mógł sprawić, że ktoś do niego zawitał. Czasami strudzony podróżny wspinał się na szczyt wzgórze i spoglądając w dół, dostrzegał przyjazny krąg starych domów, jak jakieś Shangri-La. Niektóre domostwa wzniesiono tu ze zwietrzałych polnych kamieni. Zbudowali je osadnicy, którzy oczyszczali ziemię z głęboko ukorzenionych drzew i olbrzymich głazów. Inne postawiono z czerwonej cegły. Te były dziełem lojalistów Imperium Brytyjskiego, desperacko poszukujących schronienia. Jeszcze inne miały spadziste blaszane dachy, typowe dla domów Quebecu. Wyposażono je w urokliwe lukarny i szerokie werandy. Na końcu skweru znajdowało się bistro Oliviera, w którym serwowano *café au lait* i świeże croissanty. Mieszkańcy zbierali się w nim, by w serdecznej atmosferze prowadzić długie rozmowy. Kto raz odkrył Three Pines, nigdy go nie zapomniał, lecz docierali do niego tylko zabłąkani wędrowcy.

Myrna popatrzyła na swoją przyjaciółkę, Clare Morrow, która pokazała jej język. Myrna zrobiła to samo, na co Clara wywróciła oczami. Przyjaciółka odpowiedziała jej identyczną miną, sadowiąc się obok Clary na miękkiej kanapie przed kominkiem.

– Mam nadzieję, że kiedy byłam w Montrealu, nie paliłaś znowu skrętów z torfu, co? – spytała.

– Tym razem nie. – Clara się roześmiała. – Masz coś na nosie.

Myrna pomacała twarz ręką, zdjęła okruszek i przyjrzała się mu.

– Mmm, to albo czekolada, albo skóra. Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Wrzuciła okruszek do ust.

– O Boże, nic dziwnego, że jesteś singielką! – wzdrygnęła się Clara.

– Mnie to nie dziwi. – Myrna się uśmiechnęła. – Niepotrzebny mi facet, bym czuła się kompletną osobą.

– O, doprawdy? A Raoul?

– Och, Raoul, był taki słodki – westchnęła Myrna rozmarzona.

– Był gumisiem – zgodziła się Clara.

– On mnie dopełniał – rzekła Myrna. – Nawet więcej. – Poklepała się po brzuchu, wielkim i obfitym jak ona cała.

– Spójrzcie na to! – Ostry głos przerwał ich rozmowę.

Ruth Zardo stała pośrodku bistro, trzymając w górze czekoladowego zajączka, jakby to był granat. Zwierzątko wykonane z ciemnej czekolady miało sterczące, uważne uszka i pyszczek tak realistyczny, że Clara spodziewała się zobaczyć, jak porusza delikatnymi, słodkimi wąsikami. W łapkach trzymał koszyk, upleciony z białej i mlecznej czekolady, w koszyku leżało tuzin ślicznie udekorowanych słodkich jajek. Zajączek był cudny. Clara modliła się, żeby Ruth nie rzuciła nim w kogoś.

– To zajączek – warknęła stara poetka.

– Jadam i takie – powiedział Gabri do Myrny. – To moja bolączka, chcica na zajączka.

Myrna roześmiała się i natychmiast pożałowała. Ruth rzuciła jej lodowate spojrzenie.

– Ruth, puść zajączka. – Clara wstała i ostrożnie podeszła do starszej pani, podsuwając jej na przynętę szklankę ze szkocką, należąca do męża Clary, Petera.

To zdanie nigdy wcześniej nie padło z jej ust.

– To zajączek – powtórzyła Ruth powoli, jakby tłumacząc to mało pojętnym dzieciom. – Więc co one tu robią? – Wskazała na jajka. – Od kiedy zajączki znoszą jajka? – upierała się, patrząc na osłupiałych mieszkańców miasteczka. – Nigdy wam to nie przyszło do głowy, co? Skąd one je biorą? Przypuszczalnie podbierają czekoladowym kurom. Zajączek musiał ukraść te jajka cukierkowym kurom, które teraz szukają swoich małych. I są przerażone.

Gdy stara poetka opowiadała o tym, Clara bez trudu wyobrażała sobie czekoladowe kurki, biegające nerwowo w poszukiwaniu swoich jajek. Jajek ukradzionych przez wielkanocnego zajączka. To było zabawne.

To rzekłszy, Ruth upuściła czekoladowego zajączka na ziemię, rozbijając go.

– O Boże – jęknął Gabri, rzucając się, by pozbierać kawałki. – To miało być dla Oliviera.

– Naprawdę? – zapytał Olivier, zapominając, że już kupił zajączka.

– Co za dziwaczne święta – powiedziała Ruth ponuro. – Nigdy ich nie lubiłam.

– A teraz one odwzajemniają te uczucia – odrzekł Gabri, tuląc potrząskanego zajączka, jakby to było zranione dziecko.

Jest taki czuły – pomyślała Clara, zresztą nie po raz pierwszy. Gabri był taki wielki, tak przytłaczający, że łatwo było zapomnieć, jaki jest wrażliwy. Aż do chwili takiej jak ta, gdy czule przytulał strząskanego czekoladowego zwierzaczka.

– Jak się powinno świętować Wielkanoc? – zapytała stara poetka głosem żądającym odpowiedzi, wrywając Clarze z ręki Peterową szkocką i wychylając ją. – Szuka się pisanek i je ciepłe bułeczki z krzyżykiem<sup>[1]</sup>.

– *Mais* chodzi się także do Świętego Tomasza na mszę – dorzucił pan Béliveau.

– Więcej ludzi przychodzi do Sarah's Boulangerie, niż kiedykolwiek zjawia się w kościele – odszczeknęła się Ruth. – Kupują ciastka ze znakiem narzędzia tortur. Wiem, że uważacie mnie za wariatkę, ale może to ja jestem tu jedyną normalną osobą. – Po tym pesymistycznym akcencie Ruth pokuśtykała w stronę drzwi, ale zawróciła. – Nie wykładajcie tych czekoladowych jajek dzieciom. Stanie się coś złego.

Jak prorok Jeremiasz, autor *Lamentacji*, miała rację. Stało się coś złego.

Następnego ranka jajka zniknęły. Pozostały po nich tylko opakowania. Na początku mieszkańcy podejrzewali, że to sprawka starszych dzieci, a może nawet, że zjadła je Ruth, która postanowiła dokonać aktu sabotażu.

– Spójrzcie na to – oznajmił Peter, podnosząc poszarpane resztki pudełka po czekoladowym zajączku. – To ślady zębów. I pazurów.

– Więc to Ruth – stwierdził Gabri, i przyglądając się pudełku.

– Spójrzcie tutaj. – Clara goniła za papierkiem po cukierku, porwanym przez wiatr i niesionym nad skwerkiem. – Popatrzcie, ten też jest poszarpany.

Spędziwszy cały poranek w pogoni za papierkami po wielkanocnych jajeczkach i sprzątaniu, większość z mieszkańców powlokła się z powrotem do Oliviera, by ogrzać się przy ogniu.

– Ale, serio, nie przewidzieliście, że tak będzie? – powiedziała Ruth do Clary i Petera przy obiedzie w bistro.

– Przyznam, że wydawało się to od początku nieuniknione. – Roześmiał się Peter, rozkrawając złocistego *croque-monsieur*, w którym stopiony camembert ledwo trzymał razem plastry szynki wędzonej w klonowym drewnie i chrupiącego croissanta.

Wokoło krążyli niespokojni rodzice, próbujący przekupić czymś płaczące dzieci.

– Chyba każdy dziki zwierz z okolicy był ostatniej nocy w miasteczku – zauważyła Ruth, wolno obracając szklaneczkę ze szkocką, w której podzwaniały kostki lodu. – Wszystkie bestie jadły wielkanocne jajka. Lisy, szopy pracze, wiewiórki...

– I niedźwiedzie – dodała Myrna, przysiadając się do ich stolika. – Jezu, to naprawdę strach. Wszystkie te wygłodniałe niedźwiedzie, umierające z głodu po miesiącach hibernacji i wylazące z legowisk.

– Jakże musiały się zdziwić, znalazłszy czekoladowe jajka i zajączki – odrzekła Clara, przelękając kolejne łyżki kremowego chowdera z owoców morza, w którym pływały kawałki łososia, przegrzebków i krewetek. Ujęła chrupiącą bagietkę i uknęła jej kawałek, po czym posmarowała specjalnym słodkim masłem Oliviera. – Niedźwiedzie musiały się zdziwić, co za cud się wydarzył, kiedy spały.

– Nie wszystko, co wstaje, koniecznie jest cudem – powiedziała Ruth,

unosząc wzrok znad bursztynowego płynu, który był jej obiadem, i spoglądając przez podzielone małymi szybkami okno. – Nie wszystko, co wraca do życia, powinno to robić. To dziwna pora roku. Jednego dnia deszcz, drugiego śnieg. Nic pewnego. Wszystko takie nieprzewidywalne.

– Każda pora roku jest nieprzewidywalna – wtrącił Peter. – Jesienią huragany, zimą burze śnieżne.

– Ależ to tylko dowód, że mam rację – odpowiedziała Ruth. – Możesz przewidzieć, co ci grozi. Wszyscy wiemy, czego się spodziewać po innych porach roku. Ale nie po wiosnie. Najgorsze powodzie zdarzają się wiosną. Pożary lasów, zabójcze mrozy, śnieżyce i osunięcia ziemi. Natura się burzy. Wszystko może się zdarzyć.

– Najbardziej nieprawdopodobnie piękne dni także zdarzają się wiosną – rzekła Clara.

– To prawda, cud ponownych narodzin. Podobno całe religie bazują na tej koncepcji. Ale niektóre rzeczy lepiej raz na zawsze pogrzebać. – Stara poetka wstała i dopiła szkocką. – To jeszcze nie koniec. Niedźwiedzie powrócą.

– Ja też bym wróciła, gdybym nagle odkryła miasteczko całe z czekolady – przyznała Myrna.

Clara uśmiechnęła się, ale jej oczy były utkwione w Ruth, która nie emanowała, jak zawsze, złością ani irytacją. Clara wyczuła w niej coś znacznie bardziej niepokojącego.

Strach.

## 2

Ruth miała rację. Niedźwiedzie wracały co roku na Wielkanoc w poszukiwaniu czekoladowych jajek. Oczywiście nie znajdowały ich i po kilku latach się poddały. Zamiast przychodzić do miasteczka, zostały w lasach otaczających Three Pines. Mieszkańcy szybko się przyzwyczaili do tego, że nie powinno się chodzić na długie spacerunki po lesie w okresie Wielkanocy i nigdy, przenigdy nie wolno wchodzić pomiędzy nowo narodzone niedźwiedziątko a jego matkę.

To wszystko część natury – powtarzała sobie Clara. Ale nie przestawała się martwić. W pewien sposób sami się o to prosili.

Clara znowu przykucnęła na czworakach, tym razem ze śliczną drewnianą pisanką, która zastępowała czekoladową. Hanna i Roar Parra wpadli na ten pomysł. Oboje pochodzili z Czech, więc potrafili malować pisanki jak się patrzy. Przez zimę Roar toczył z drewna jajka, a Hanna przekazywała je osobom, które wyraziły chęć pomalowania ich. Wkrótce mnóstwo ludzi z całych kantonów wschodnich brało je od nich. Dzieci w szkole malowały je jako projekty na plastyce, ich rodzice odkrywali w sobie uśpione talenty, dziadkowie malowali scenki ze swojej młodości. Malowali przez całą długą w Quebecu zimę, a w Wielki Piątek zaczynali je chować. Kiedy dzieciaki znalazły pisankę, wymieniały drewnianą wersję na prawdziwe jajko – czy raczej na czekoladowe.

– Hej, popatrzcie! – zawołała Clara znad stawu na skwerku.

Pan Béliveau i Madeleine Favreau podeszli do niej. Pan Béliveau schylił się, a jego długie, smukłe ciało prawie złożyło się w scyzoryk. W wysokiej trawie było gniazdo pełne jajek.

– Prawdziwe. – Roześmiał się, rozgarniając trawę, żeby pokazać jej Madeleine.

– Jakie piękne! – zachwyciła się Mad, sięgając po nie.

– *Mais, non* – ostrzegł ją. – Matka je porzuci, jeśli ich dotkniesz.

Mad szybko cofnęła rękę i spojrzała na Clare, uśmiechając się szeroko. Clara lubiła Madeleine, mimo że nie znały się dobrze. Mad mieszkała w okolicy dopiero od kilku lat. Była trochę młodsza od Clary i wyjątkowo energiczna. Była też naturalną piękną, z krótkimi ciemnymi włosami i inteligentnymi, brązowymi oczami. Sprawiała wrażenie, jakby się dobrze bawiła. I czemu nie – pomyślała Clara. – Po tym, co w życiu przeszła.

– Co to za jajka? – zapytała Clara.

Madeleine zrobiła minę w stylu „nie mam pojęcia” i rozłożyła ręce.

– Nie kurze. *Trop grand*. Może kacze albo gęsie. – Pan Béliveau ponownie z gracją złożył się w scyzoryk.

– To by było fajnie – powiedziała Madeleine. – Mała rodzinka na skwerku. – Zwróciła się do Clary. – O której jest seans spirytystyczny?

– Przyjdiesz? – Clara była zaskoczona, ale i zachwycona. – Hazel też?

– Nie, Hazel odmówiła. Sophie wraca do domu jutro rano, więc Hazel musi gotować i sprzątać, *mais, franchement?*

– Myślę, że Hazel boi się duchów. Ale pan Béliveau zgodził się przyjść. – Madeleine schyliła się z konspiracyjną miną.

– Powinniśmy być wdzięczni, że Hazel zdecydowała, że będzie gotować, zamiast przyjść – stwierdził pan Béliveau. – Zrobiła dla nas fantastyczną zapiekankę.

Clara pomyślała, że to bardzo w stylu Hazel, która zawsze zajmowała się innymi. Clara obawiała się nieco, że ludzie – a szczególnie jej córka – wykorzystują jej hojność, ale była też świadoma, że to nie jej sprawa.

– Mamy masę roboty przed kolacją, *mon ami*. – Madeleine uśmiechnęła się promiennie do pana Béliveau i lekko dotknęła jego ramienia.

Starszy pan odwzajemnił uśmiech. Od czasu śmierci swojej żony nie uśmiechał się często, ale teraz to zrobił, co dało Clarze kolejny powód, żeby lubić Madeleine. Obserwowała ich, jak trzymali swoje wielkanocne koszyczki i szli w kwietniowym słońcu, a najmłodsze, najczulsze światło padało na ten



młody i tkliwy związek. Pan Béliveau, wysoki, smukły i lekko przygarbiony, zdawał się stąpać wyjątkowo sprężysto.

Clara wstała i przeciągnęła swoje czterdziestoosmioletnie ciało, po czym rozejrzała się dokoła. Pole wyglądało jak zagon pełen zadków. Wszyscy mieszkańcy schylali się, chowając jajka. Clara żałowała, że nie ma przy sobie szkicownika.

Three Pines nie było z pewnością w żaden sposób hipsterskie, modne ani ekstrawaganckie, nie miało żadnej z cech ważnych dla Clary dwadzieścia pięć lat temu, kiedy ukończyła akademię sztuk pięknych. Nic tutaj nie zostało specjalnie zaprojektowane. Przeciwnie, miasteczko zdawało się podążać śladami trzech sosen na skwerze, po prostu wyrastając z ziemi w ciągu wielu lat.

Clara wciągnęła w płuca głęboki haust wonnego wiosennego powietrza i spojrzała w stronę domu, który dzieliła z Peterem. Był zbudowany z cegły, z drewnianym gankiem i ścianą z polnych kamieni, zwróconą w stronę alei Commons. Spod furtki do drzwi wejściowych wiała się ścieżka wiodąca między jabłoniemi, które właśnie zamierzały zakwitnąć. Stamtąd jej wzrok powędrował ku domom otaczającym Commons. Podobnie jak ich mieszkańcy, domy w Three Pines były solidne i ukształtowane przez ich otoczenie. Przetrwały burze i wojny, straty i smutki. Z tych przeżyć wyłoniła się społeczność pełna wielkiego współczucia i dobroci.

Clara kochała to wszystko: domy, sklepy, skwerek miejski, ogród z bylinami, nawet wyboiste drogi. Uwielbiała, że do Montrealu było stąd mniej niż dwie godziny samochodem, a granica amerykańska znajdowała się na końcu drogi. Bardziej jednak niż cokolwiek innego uwielbiała ludzi, którzy spędzali ten i każdy inny Wielki Piątek, chowając drewniane pisanki, by dzieci mogły je później znaleźć.

Wielkanoc wypadła późno, pod koniec kwietnia. Nie zawsze mieli takie szczęście z pogodą. Przynajmniej raz zdarzyło się, że miasteczko obudziło się w wielkanocną niedzielę, by odkryć, że przez noc spadła świeża, ciężka pokrywa śniegu, skrywając delikatne pąki i malowane jajka. Często bywało tak przeraźliwie zimno, że mieszkańcy musieli co jakiś czas chować się

w bistro Oliviera i rozgrzewać gorącym cydrem albo czekoladą, oplatając swoje drżące, zmarznięte palce wokół ciepłych, przyjaznych kubków. Ale nie dzisiaj. Ten kwietniowy dzień był z pewnością wspaniały. Idealny Wielki Piątek, słoneczny i ciepły. Śnieg stopniał nawet w cieniu, gdzie zwykle zalegał. Trawa rosła, drzewa otaczała mgiełka delikatnej zieleni. Było tak, jak gdyby aura Three Pines nagle stała się widzialna. Wszystko było złocistym światłem, leciutko zabarwionym na brzegach lśniąca zielenią. Z ziemi zaczynały się wychylać kielki tulipanów, wkrótce skwer miał się pokryć wiosennymi kwiatami, granatowymi hiacyntami, dzwonkami, wesoło sterczącymi żonkilami, przebiśniegami i pachnącymi konwaliami, które napełnią dolinę rozkosznym aromatem.

W ten Wielki Piątek Three Pines pachniało świeżą ziemią i obietnicą. A może także paroma dżdżownicami.

– Nie obchodzi mnie, co mówisz, nie pójdę.

Clara usłyszała nagłą i jadowity szept. Znowu przykucnęła w wysokiej trawie tuż nad stawem. Nie widziała, kto to był, ale uświadomiła sobie, że ta osoba musi znajdować się po drugiej stronie trawy. To był kobiecy głos, mówiący po francusku, ale ton był tak pełen napięcia i złości, że nie była w stanie zidentyfikować mówiącej.

– To tylko seans – mówił męski głos. – Będzie fajnie.

– To bluźnierstwo, na rany Chrystusa! Seans spirytystyczny w Wielki Piątek?

Nastąpiła cisza. Clara czuła się niekomfortowo. Nie z powodu tego, że podsłuchiwała, ale dlatego, że zaczął ją łapać kurcz w nogach.

– Oj, dajże spokój, Odile. Nawet nie jesteś religijna. Co się może stać?

Odile? – pomyślała Clara. Jedyłą znaną jej Odile była Odile Montmagny. A ona...

Kobiecy głos znów zasyczał:

Każdej zimy mroźny ząb

I czerwia znak, co wiosnę wita,

naznaczą smutkiem każdą z gąb  
Dziecięcia, starca i młodzika

Zapadła pełna osłupienia cisza.

...jest fatalną poetką – dokończyła w myśli Clara.

Odile mówiła z taką emfazą, jak gdyby jej słowa niosły w sobie coś więcej niż przekaz dotyczący talentu autorki.

– Zaopiekuję się tobą – mówił mężczyzna.

Clara wiedziała także, kim on jest. Gilles Sandon, chłopak Odile.

– Tak naprawdę dlaczego chcesz tam iść, Gilles?

– Dla zabawy.

– Czy dlatego, że ona tam będzie?

Znowu cisza, w której tylko nogi Clary wyły z bólu.

– On też tam będzie, wiesz? – drażniła Odile.

– Kto?

– Wiesz, kto. Pan Béliveau – odparła Odile. – Mam złe przeczucia.

Kolejna chwila ciszy, po której przemówił Sandon, a jego głos był pozbawiony wyrazu, jak gdyby bardzo starał się zdusić wszelkie emocje.

– Nie martw się. Nie zabiję go.

Clara całkiem zapomniała o nogach. Zabić pana Béliveau? Komu to w ogóle przyszłoby do głowy? Stary sklepikarz nigdy nikogo nie oszukał, wydając resztę. Co Gilles Sandon mógłby mieć przeciwko niemu? Usłyszawszy, że tamci ruszają z miejsca, Clara wyprostowała się z wielkim wysiłkiem i gapiała za nimi: Odile była w kształcie gruszki i kołysała się lekko, a Gilles – misiowaty olbrzym – miał charakterystyczną rudą brodę, widoczną nawet od tyłu.

Clara spojrzała na swoje spocone dłonie ściskające drewnianą pisanekę. Wesole kolory odcisnęły jej się na skórze. Nagle perspektywa seansu – który wydawał się zabawny jeszcze kilka dni temu, gdy Gabri zaanonsował go, wywieszając w bistro plakat, obwieszczający przybycie sławnego medium,

madame Isadore Blavatsky – jawiła się w całkiem innym świetle. Zamiast radosnego oczekiwania Clare przepęłił lęk.

### 3

Madame Isadore Blavatsky nie była tego wieczoru sobą. Tak się składa, że w ogóle nie była nawet madame Isadorą Blavatsky.

– Proszę nazywać mnie Jeanne. – Myszowata kobieta stała pośrodku sali, znajdującej się w tylnej części bistro, i wyciągała rękę. – Jeanne Chauvet.

– *Bonjour, Madame Chauvet.* – Clara uśmiechnęła się i uścisnęła sflaczałą dłoń. – *Excusez-moi.*

– Jeanne – przypomniała jej kobieta ledwo słyszalnym głosem.

Clara podeszła do Gabriego, który częstował gości wędzonym łososiem z półmiska. Pomieszczenie z wolna się zapełniało, przynajmniej w części.

– Łososia? – Gabri podetknął Clarze półmisek.

– Kto to jest? – zapytała malarka.

– Madame Blavatsky, słynne węgierskie medium. Nie czujesz jej energii?

Madeleine i pan Béliveau pomachali do Clary. Ona odpowiedziała takim samym pozdrowieniem, po czym rzuciła spojrzenie na Jeanne, która wyglądała tak, jakby miała zemdleć, gdyby ktoś głośniej kichnął.

– Z pewnością coś czuję, młody człowieku, i to coś jest rozszoszczone.

Gabri Dubeau nie mógł się zdecydować, czy fakt, iż nazwano go „młodym człowiekiem” powoduje u niego zachwyt, czy bezsilność.

– To nie jest madame Blavatsky. Nawet nie udaje, że nią jest. Nazywa się Jeanne Jakaśtam – odpowiedziała Clara, z roztargnieniem sięgając po kawałek łososia i układając go na kromce pumperniku. – Obiecywałeś nam madame Blavatsky.

– Nawet nie wiesz, kto to jest madame Blavatsky.

– Cóż, wiem, kim nie jest. – Clara skinęła głową i uśmiechnęła się do drobnej kobiety w średnim wieku, stojącej pośrodku pomieszczenia z miną

pełną lekkiego oszołomienia.

– A przyszlabyś, gdybyś wiedziała, że to medium? – Gabri wykonał gest talerzem w stronę Jeanne. Z brzegu półmiska zsunął się kapar i przepadł bez śladu na wzorzystym orientальnym dywanie.

Dlaczego nigdy się nie nauczymy? – pomyślała Clara z westchnieniem. Za każdym razem, gdy Gabri ma gościa, organizuje jakieś dziwaczne wydarzenie, jak wtedy, gdy zatrzymał się u niego mistrz pokera i wszystkich ogrzał z pieniędzy, albo ta śpiewaczka, w porównaniu z którą nawet Ruth brzmiała jak Maria Callas. Jakkolwiek te zorganizowane przez Gabriego imprezy okazały się okropne dla tubylców, musiały być jeszcze gorsze dla niczego niespodziewających się gości, których stawiano na scenie, by zabawiali mieszkańców Three Pines, podczas gdy jedyne, na co mieli ochotę, to spokojny pobyt na wsi.

Clara obserwowała, jak Jeanne Chauvet rozgląda się po pokoju, wyciera ręce w poliestrowe spodnie i uśmiecha się do portretu nad huczącym kominkiem. Wydawała się rozplýwać w powietrzu na jej oczach. To była nie lada sztuczka, chociaż nikt nie miał wysokiego mniemania o jej parapsychnicznych zdolnościach. Clarze zrobiło się jej żal. Naprawdę, co ten Gabri myślał?

– Co ci do głowy strzeliło?

– Jak to? To medium. Powiedziała mi, kiedy się meldowała w pensjonacie. To prawda, nie jest madame Blavatsky. Ani Węgierką. Ale urządza seanse.

– Chwila, moment – Clara zaczynała coś podejrzewać. – Czy ona chociaż wie, że zaplanowałaś seans na dziś wieczór?

– Och, jestem pewien, że to odgadła.

– Z pewnością zgadnie, jak się ludzie złączą schodzić. Gabri, jak mogłeś jej to zrobić? I nam?

– Nic jej nie będzie. Popatrz tylko na nią. Już się rozluźnia.

Myrna przyniosła Jeanne szklankę białego wina; medium piło z niej tak, jakby to była woda, która zaraz przejdzie cudowną transformację. Myrna spojrzała w stronę Clary i uniosła brwi. Jeszcze trochę, a to Myrna będzie

musiała poprowadzić ten seans.

– Seans? – zapytała chwilę później Jeanne, gdy Myrna wyraziła wątpliwość, czego się spodziewać. – Kto urządza seans?

Wszystkie oczy zwróciły się na Gabriego, który ostrożnie odstawił półmisek na stół i podszedł do Jeanne. Jego gigantyczna postać oraz naturalna wylewność zdawały się sprawiać, że niepozorna kobieta jeszcze bardziej skurczyła się w sobie, aż wyglądała jak ubranie wiszące na wieszaku. Clara zgadywała, że miała około czterdziestki. Włosy Jeanne były szarobure i sprawiały wrażenie, jakby sama je obcinała. Oczy miała wodnisto-błękitne, a ubrania musiały pochodzić z kubła z przeceną w tanim supermarkecie. Clara, która jako artystka przeżyła większość życia w nędzy, rozpoznawała te znaki. Przez moment zastanawiała się, dlaczego Jeanne przyjechała do Three Pines i zapłaciła za nocleg w pensjonacie Gabriego, który, jakkolwiek nie rujnująco kosztowny, nie był również tani.

Jeanne nie wyglądała już na przestraszoną, raczej na zdeorientowaną. Clara chciała podejść i objąć tę drobną kobietę, ochronić ją przed tym, co ją czekało. Chciała dać jej dobrą, gorącą kolację, ciepłą kąpiel i trochę serdeczności: może wtedy przestałaby być taka przezroczysta.

Clara także rozglądała się po pokoju. Peter kategorycznie odmówił przyjęcia, twierdząc, że ten seans to brednie. Ale gdy wychodziła, objął ją i trzymał w swoich ramionach chwilę dłużej niż zwykle i powiedział, by uważała na siebie. Idąc przez skwerek pod gwiazdami do pogodnego bistro, Clara się uśmiechała. Peter otrzymał restrykcyjne anglikańskie wychowanie. Takie rzeczy go odstręczały. I przerażały. Przy kolacji dyskutowali o tym przez chwilę. Peter zajął przewidywalną pozycję sceptyka, twierdząc, że to wariactwo.

– Co, mnie nazywasz wariatką? – zapytała Clara, wiedząc, że Peter tak nie myśli, ale chciała zobaczyć, jak się tłumaczy. Jej mąż uniósł pokrytą siwymi lokami głowę, i spojrzał na nią gniewnie. Wysoki i smukły, z orlim nosem i bystrymi oczami, wyglądał jak prezes banku, a nie artysta. A jednak był artystą. Takim jednak, który wydawał się odseparowany od własnego serca. Żył w głęboko racjonalnym świecie, gdzie wszystko, czego nie dawało się

wytłumaczyć, było wariactwem, głupotą albo szaleństwem. Emocje były szaleństwem. Z wyjątkiem jego bezmiernej i wszechogarniającej miłości do Clary.

– Nie, nazywam to medium wariatką. To oszustka. Że niby rozmawia ze zmarłymi, może przewidzieć przyszłość. Bzdury. Najstarszy chwyt z repertuaru szarlatanów.

– Jakich szarlatanów, takich jak z Biblii?

– Och, nie zaczynaj ze mną, Claro – ostrzegł ją Peter.

– Nie, serio pytam. Czy w Biblii nie ma mowy o transformacjach? Wodzie zmienionej w wino? Chlebie, co stał się ciałem? Albo o magii, takiej jak chodzenie po wodzie? O morzach, które się rozstępują, ślepcach, którzy odyskują wzrok, chromych, którzy znów chodzą?

– To były cuda, nie magia.

– Aaaaa. – Clara skinęła głową, uśmiechnęła się i wróciła do przerwane go posiłku.

Tak to Clara zawitała tu dzisiaj w towarzystwie Myrny. Madeleine i pan Béliveau także przyszli. Może nie trzymali się za ręce, ale zachowywali się tak, jakby to robili. Jego długie ramię, okryte dzianiną swetra, leciutko dotykało jej ramienia, a ona się nie odsuwała. Po raz kolejny Clara była pod wrażeniem urody Madeleine. To była jedna z tych kobiet, z którymi wszystkie panie chciały się zaprzyjaźnić, a wszyscy panowie – ożenić.

Clara uśmiechnęła się do pana Béliveau i oblała rumieńcem. Może dlatego, że przyłapała go w intymnym momencie, widziała, jak okazuje uczucia, które powinny należeć tylko do niego? Zastanawiała się nad tym przez moment, ale zdała sobie sprawę, że jej rumieniec miał więcej wspólnego z nią niż z nim. Miała do pana Béliveau inny stosunek po tym, jak usłyszała, co tego popołudnia mówił Gilles. Dobroduszny sklepikarz, który był w ich życiu przyjazną, poczciwą osobą, nagle stał się tajemniczy. Clarze nie podobała się ta transformacja. I nie podobała się sama sobie z powodu tego, jak łatwo ulegała plotkom.

Gilles Sandon stał przed kominkiem, energicznie wcierając jego ciepło



w tył swoich wielkich dzinsów. Był tak ogromny, że niemal blokował sobą całe palenisko. Odile Montmagny przyniosła mu kieliszek wina; ujął go z roztargnieniem, wołając skupić się na panu Béliveau, który wydawał się kompletnie tego nieświadomy.

Clara lubiła Odile. Były mniej więcej w tym samym wieku, obie parały się sztuką: Clara była malarką, a Odile poetką. Twierdziła, że pracuje nad poematem, który miał być odą do angielszczyzny Quebecu – co było dość podejrzane, bo sama była frankofonką. Clara nigdy nie zapomni wieczoru poetyckiego, na którym była w siedzibie Królewskiego Legionu Kanadyjskiego w St-Rémy. Zaproszono na niego przeróżnych lokalnych pisarzy, wśród nich Ruth i Odile. Ruth czytała jako pierwsza fragment ze swojego podniosłego wiersza *Do kongregacji*.

Zazdrozczę wam tego zapału, tak karmionego pieśniami z hymnału  
Zazdrozczę wam, uwierzcie mi, że razem tak umiecie być  
Lecz zauważycie raczcie że – ja, samotnie, sobą być chcę.

Potem przyszła kolej na Odile. Ta zerwała się i z miejsca zaczęła czytać.

Wiosna już idzie, odziana w pół stanu  
W powiew ciepłutki, co chyli się wianu  
Strojna w strzyżyki, linneusz i wiechcie biebrzanu,  
Już pryska precz zima zła, niechciana  
I śpiewem radosnym ziemia zalana.

– Fantastyczny wiersz – skłamała Clara, kiedy już wszyscy skończyli i tłoczyli się wokół baru, powodowani gwałtowną potrzebą napicia się. – Ciekawa jestem jednego. Nie słyszałam nigdy o biebrzanie.

– Wymyśliłam to słowo – odpowiedziała rozpromieniona Odile. – Potrzebowałam czegoś oryginalnego, co rymowałoby się ze „stanu” i „wianu”.

– Jak „burzanu”? – zasugerowała Ruth.

Clara rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie, a Odile zdawała się rozważać tę opcję. – Obawiam się, że burzan nie jest wystarczająco mocny.

– W odróżnieniu od tak ciężkiej armaty jak biebzan – odpowiedziała jej Ruth, po czym zwróciła się do Clary. – Cóż, z pewnością czuję, że podano mi strawę duchową, jeśli nie wręcz podsypano duchowym nawozem. Jediną poetką, do której mogę panią porównać, jest wielka Sarah Binks<sup>[2]</sup>.

Odile nigdy nie słyszała o Sarah Binks, ale wiedziała, że jej kulturalna edukacja była poważnie ograniczona faktem, że uczono ją wyłącznie o geniuszach języka francuskiego. Wiedziała także, że Sarah Binks musiała w samej rzeczy być wielką poetką angielską. Ten komplement z ust Ruth Zardo tak napędził siły twórcze Odile Montmagny, że gdy tylko miała spokojniejszy moment w swoim mieszczącym się w St-Rémy sklepiku La Maison Biologique, wyciągała swój wyświechtany, smutny, dziecinny notatnik i pisała następny wiersz, czasem nawet nie czekając na natchnienie.

Clara, która sama była nieuznaną jeszcze artystką, identyfikowała się z Odile i zachęcała ją. Peter, oczywiście, uważał, że Odile to wariatka. Ale Clara wiedziała, że to nieprawda. Wiedziała, że tym, co wyróżnia wielkich twórców, nie jest talent, ale upór. A Odile się nie poddawała.

Grupa ośmiu osób zgromadziła się w przytulnej sali na tyłach bistro, by w ten Wielki Piątek przyzywać zza grobu umarłych. Jediną otwartą kwestią pozostawało, kto ma to zrobić.

– Ja nie – zastrzegła Jeanne. – Myślałam, że to któreś z was jest medium.

– Gabri? – Gilles Sandon zwrócił się do gospodarza.

– Ale powiedziała mi pani, że urządza seanse – powiedział Gabri do Jeanne z błaganiem w głosie.

– Owszem. Karty tarota, takie rzeczy. Nie kontaktuję się z umarłymi. A przynajmniej nieczęsto.

Jakie to zabawne – pomyślała Clara – ludzie mówią najdziwniejsze rzeczy, jeśli się ich posłucha wystarczająco długo.

– Nieczęsto? – zwróciła się do Jeanne.

– Czasami – przyznała tamta, lekko odsuwając się od Clary, jakby obawiała się ataku.

Clara uśmiechnęła się i starała wyglądać na mniej asertywną, choć w oczach tej kobiety nawet czekoladowy zajaczek musiał wydawać się asertywny.

– A mogłaby pani dzisiaj to zrobić? Proszę! – przymiłał się Gabri. Miał przeczucie, że jego przyjęcie lada chwila się rozsypie.

Małeńka, myszowata, niemal niewidoczna Jeanne stanęła w środku utworzonego przez nich kręgu. Nagle Clara zauważyła, jak jakiś wyraz przebiega przez oblicze tej szarej kobiety. Uśmiech? Nie. Złośliwy grymas.

## 4

Hazel Smyth kręciła się po wygodnym, choć ciasnym domu, cały czas się przy czymś krzątając. Musiała zrobić milion rzeczy, zanim jej córka Sophie wróci do domu z Uniwersytetu Królowej<sup>[3]</sup>. Łóżka były już zasłane świeżą, nakrochmaloną pościelą. Pieczona fasola dochodziła powoli na ogniu, chleb rósł, lodówka była pełna najulubieńszych przysmaków Sophie. Hazel opadła teraz wyczerpana na wypchaną końskim włosiem niewygodną kanapę w salonie, czując w kościach każdy dzień przeżyty w swoim czterdziestodwuletnim żywocie, a nawet więcej. Stara kanapa wydawała się pokryta maleńkimi igielkami, wkluwającymi się w każdego, kto na niej usiadł, jak gdyby chciała odepchnąć opadający na nią ciężar. Mimo to Hazel uwielbiała ten mebel, może dlatego, że nikt poza nią go nie lubił. Wiedziała, że kanapa w połowie jest wypchana końskim włosiem, a w połowie wspomnieniami, z których część potrafiła boleśnie zakłuć.

– Ciągle ją trzymasz, Hazel? – Madeleine śmiała się kilka lat temu, gdy po raz pierwszy weszła do zagraconego salonu. Podbiegła do starej kanapy i natychmiast przełożyła się przez nią, opierając się tak głęboko, jak gdyby zapomniała, jak się siedzi. Jej smukłe pośladki lekko kołysały się przed Hazel, która patrzyła w osłupieniu.

– Ale czad. – Dobiegł jej zduszony głos gdzieś spomiędzy ściany a mebla. – Pamiętasz, jak podglądałyśmy twoich rodziców zza tej sofy?

Hazel nie pamiętała. Kolejne wspomnienie, które teraz przynależy do tej i tak już wypchanej kanapy. Nagle Madeleine wybuchła śmiechem, chichocząc jak pensjonarka, którą niegdyś była, odbiła się od sofy, usiadła na wprost, patrząc na Hazel, i wyciągnęła ku niej rękę.

Gdy Hazel podeszła bliżej, zauważyła coś w delikatnych palcach przyjaciółki. Coś niepokalnie białego. Wyglądało jak mała, zbielała kość. Hazel zamarła, przestraszona trochę tym znaleziskiem wydobytym z trzewi

kanapy.

– To dla ciebie. – Madeleine starannie włożyła coś w dłoń Hazel. Promieniała. Nie ma na to lepszego określenia. Jej łysą czaszkę okrywała chustka, brwi miała nieumiejętnie narysowane w taki sposób, że wyglądała na lekko skonsternowaną. Lekko błękitne zabarwienie jej skóry zdradzało zmęczenie głębsze niż tylko z nieprzespanych nocy. Mimo to Mad promieniała, a jej niesamowite ukontentowanie wypełniało ponure wnętrze.

Nie widziały się od dwudziestu lat. Hazel pamiętała każdą chwilę z czasów ich młodzieńczej przyjaźni, ale jakoś nie przypominała sobie dotychczas, jak bardzo pełna życia czuła się w towarzystwie Madeleine. Przedmiot, który przyjaciółka jej wręczyła, nie był kością, ale karteczką zwiniętą w rulonik.

– Cały czas przeleżało w kanapie – powiedziała Madeleine. – Wyobrażasz sobie? Przez te wszystkie lata. Chyba na nas czekało. Na tę właśnie chwilę.

Madeleine zawsze wydawała się pełna magii, przypomniawszy sobie Hazel. A gdzie była magia, tam były cuda.

– Gdzie ją znalazłaś?

– Tutaj. – Mad zamachała ręką za kanapą. – Kiedyś wcisnęłam ją do dziurki, kiedy ty byłaś w łazience.

– Do dziurki?

– Do dziurki, którą zrobiłam długopisem. – Oczy Madeleine błyszczały, gdy pokazywała, w jaki sposób wierciła długopisem w kanapie, aż Hazel się roześmiała. Mogła sobie dokładnie wyobrazić tę dziewczynę wydłubującą dziurę w najbardziej ukochanej własności jej rodziców.

Madeleine nie bała się niczego. Kiedy Hazel była dyżurną na przerwach, to właśnie Madeleine próbowała wślizgnąć się do klasy spóźniona, bo wyskakiwała do lasu na papierosa.

Hazel spojrzała na maleńki biały zwój w swojej dłoni, niesplamiony przez światło dzienne ani upływ czasu, ukryty we wnętrznościach kanapy i wypluty przez nie całe dziesięciolecie później. A potem rozwinęła kartkę. I wiedziała, że ma powody, by obawiać się tego karteluszka. Bo to, co zawierał, mogło natychmiast i na zawsze zmienić jej życie. Na kartce było jedno proste

zdanie, wypisane krągłym pismem i fioletowym atramentem.

*Kocham cię.*

Hazel nie była w stanie spojrzeć Madeleine w oczy. Zamiast tego podniosła wzrok znad karteczki i zauważyła, że jej salon, który jeszcze rankiem był taki ponury, teraz wydawał się ciepły i wygodny, a jego wyblakłe kolory się ożywiły. Do tej chwili, gdy jej oczy wróciły do Madeleine, wydarzył się cud. Jedno stało się dwojgiem.

Madeleine wróciła do Montrealu na dalsze leczenie, ale kiedy tylko mogła, przyjeżdżała z powrotem do wiejskiego domku, otoczonego malowniczymi wzgórzami, lasami i łąkami pełnymi wiosennych kwiatów. Madeleine odnalazła swój dom, i Hazel także.

Teraz Hazel podniosła z wypchanej końskim włosiem sofy robótkę do cerowania.

Martwiła się. Martwiło ją to, co się działo w bistro.

Tam zaś towarzystwo czytało runy, starożytne nordyckie symbole służące do przepowiedni. Według kamieni runicznych Clara była wołem, Myrna – sosnową pochodnią, Gabri – olszą, chociaż Clara powiedziała mu, że runy nazwały go żołą.

– Cóż, przynajmniej w tym się nie mylą – powiedział Gabri, wyraźnie pod wrażeniem.

– A Bóg wie, że z ciebie prawdziwy wół.

Pan Béliveau sięgnął do małego wiklinowego koszyka i wyciągnął z niego kamień z namalowanym symbolem w kształcie rombu.

– Małżeństwo – zasugerował pan Béliveau. Madeleine się uśmiechnęła, ale nic nie powiedziała.

– Nie – powiedziała Jeanne, biorąc od niego kamień i przyglądając się mu.  
– To bóg Ing.

– Dobra, ja też spróbuję. – Gilles Sandon włożył swoją potężną, pokrytą odciskami dłoń do delikatnego koszyka i wyciągnął ją, zwiniętą w pięść. Gdy ją otworzył, znajdował się w niej kamień z literą R. W oczach Clary przypominało to trochę drewniane pisanki, które chowali dla dzieci. Tamte

także były pomalowane w symbole. Ale jajka były symbolem życia, a kamienie symbolizowały śmierć. – Co to znaczy? – zapytał Gilles.

– Rydwan. Oznacza przygodę, podróż – wyjaśniła Jeanne, patrząc na Gilles'a. – Często towarzyszy jej wysiłek. Ciężka praca.

– To to ja już wiem.

Odile się roześmiała, Clara także. Gilles ciężko pracował, wygląd czterdziestopięcioletka zdradzał lata pracy przy wyrębie. Był silny, mocno zbudowany i niemal zawsze pokiereszowany.

– Ale – Jeanne wyciągnęła rękę i przykryła nią kamień, wciąż spoczywający w miękkim środku dłoni Gilles'a, otoczonym wzgórkami nagniotków – wyciągnął go pan do góry nogami. R było odwrócone.

Teraz zapadła cisza. Gabri, który po lekturze broszurki o runach dowiedział się, że jego kamień oznacza olszę, a nie zołzę, kłócił się z Clarą i groził jej, że obetnie jej przydział wina i pasztetu. Teraz oboje przyłączyli się do reszty i pochylili do środka kręgu, w którym nagle poczuło się rosnące napięcie.

– Co to oznacza? – zapytała Odile.

– Trudną drogę do przebycia. Ostrzega przed niebezpieczeństwem.

– A to, co to znaczy? – Gilles wskazał na kamień pana Béliveau.

– Bóg Ing? Oznacza płodność, męskość. – Jeanne uśmiechnęła się do milczącego, łagodnego sklepikarza. – To także ważne przypomnienie, by szanować wszystko, co naturalne.

Gilles roześmiał się małostkowym, pełnym samozadowolenia, paskudnym chichotem.

– Teraz Madeleine – zasugerowała Myrna, starając się rozładować napięcie.

– Świetnie. – Mad sięgnęła po kamień. – Jestem pewna, że mój powie, że jestem samolubna i bez serca. P. – Uśmiechnęła się i spojrzała na symbol. – Zdumiewające, tak się składa, że muszę iść na psi-psi.

– P oznacza radość – powiedziała Jeanne. – Ale wie pani co?

Madeleine się zawahała. Cała energia, która otaczała tę kobietę, zdawała

się ginąć. To było tak, jakby nagle zapadła się w sobie.

– Mój symbol także jest odwrócony – zauważyła Madeleine.

Ręce Hazel były zajęte cerowaniem starych skarpetek, ale myślami była gdzie indziej.

Spojrzała na zegar. Wpół do jedenastej.

– Jeszcze wcześnie – powiedziała.

Zastanawiała się, co też działo się w bistro w Three Pines. Madeleine sugerowała, żeby poszły razem, ale Hazel odmówiła.

– Nie mów mi, że masz pietra – prowokowała ją Madeleine.

– Jasne, że nie. Tyle, że to nonsens, strata czasu.

– Nie boisz się duchów? A skoro tak, czy zamieszkałabyś w domu koło cmentarza?

Hazel się zastanowiła.

– Pewnie nie, bo kto by go potem ode mnie kupił?

– Zawsze myślisz praktycznie. – Zaśmiała się Madeleine.

– Wierzysz, że ta kobieta może się kontaktować z umarłymi?

– Nie wiem – przyznała Mad. – Szczerze mówiąc, nie zastanawiałam się nad tym. Wydaje mi się tylko, że może być fajnie.

– Mnóstwo ludzi wierzy w duchy, w nawiedzone domy – powiedziała Hazel. – Dopiero co czytałam coś o tym. To było w Filadelfii. Co jakiś czas pojawia się tam mnich, a goście widzą ludzkie cienie na schodach, i jeszcze coś... co to było takiego? Podaj mi kalosze. A, tak. Zimne miejsce. Tuż przy wielkim fotelu. Kto na nim usiądzie, umiera, ale najpierw widzi ducha starej kobiety.

– Myślałam, że mówiłaś, że nie wierzysz w duchy.

– Ja nie wierzę, ale mnóstwo ludzi wierzy.

– Wiele kultur mówi o duchowych bytach – przyznała Madeleine. – Ale to nie o tym mówimy, prawda? Myślę, że to nie to samo. Duchy są w jakiś sposób złośliwe, nieprzyjazne. Jest w nich coś mściwego, gniewnego. Nie wydaje mi się, żeby zabawianie się z takimi istotami było dobrym pomysłem.



A budynek, w którym mieści się bistro, stoi tam od setek lat. Bóg raczy wiedzieć, ilu ludzi tam umarło. Nie. Zostanę w domu, pooglądam telewizję, zaniosę kolację naszej biednej sąsiadce, pani Bellows. Będę unikać duchów.

Teraz Hazel siedziała w kałuży bladego światła, sączącego się z pojedynczej lampy w salonie. Wspomnienie tamtej rozmowy wywołało u niej dreszcz, jakby duch nagle przysiadł na jej miejscu, tworząc zimną plamę. Wstała i włączyła wszystkie światła. Ale pokój pozostawał mroczny. Bez Madeleine uwiądnął.

Wadą włączenia wszystkich światel było to, że nie widziała nic przez okno. Dostrzegała tylko własne odbicie. Kobieta w średnim wieku, siedząca na kanapie, ubrana w zwykłą tweedową spódnicę i oliwkowy sweter-bliźniak. Na szyi miała skromny sznur pereł. Mógłby on należeć do jej matki. I może należał.

Peter Morrow stał na progu pracowni Clary, wpatrując się w ciemność. Pozmywał naczynia, poczytał przy kominku, a potem, znudzony, zdecydował się pójść do własnego studia i popracować z godzinkę nad najnowszym obrazem. Wędrował przez kuchnię na drugą stronę niewielkiego domu z zamiarem otwarcia pracowni i wejścia do niej. Dlaczego więc stał teraz w otwartych drzwiach pracowni Clary?

Tak tu było ciemno, tak bardzo cicho. Czuł własne serce bijące w piersi. Dłonie miał zimne i uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

Ten akt był tak prosty, że niemal banalny. Peter sięgnął do przełącznika i włączył górne światło. Po czym wszedł do środka.

Siedzieli w kręgu na drewnianych krzesłach. Jeanne policzyła wszystkich i wyglądała na niezadowoloną.

– Osiem to zła liczba. Nie powinniśmy tego robić.

– Co to znaczy „zła” liczba? – Madeleine czuła, jak serce zaczyna jej bić mocniej.

– Jest następna po siódemce – wyjaśniła Jeanne, jakby to było wszystko. – Ósemka tworzy znak nieskończoności. – Wyrysowała palcem w powietrzu niewidoczny symbol.

– Energia krąży w kółko. Nie znajduje ujścia. To daje jej poczucie frustracji, złości i ogromną siłę – westchnęła. – Nic dobrego.

Zgaszono światła, jedynym źródłem poświaty był kominek, który trzaskał i oświetlał ich niepewnym blaskiem. Niektórzy stali w ciemności, zwróceniem plecami do ognia, pozostali wyglądali jak rząd pozbawionych tułowi, zatroskanych twarzy.

– Niech wszyscy oczyszczą umysł. – Głos Jeanne był głęboki i dźwięczny. Nie widzieli jej twarzy. Siedziała tyłem do ognia. Clara miała wrażenie, że specjalnie tak usiadła, ale może nie. – Musicie oddychać głęboko, wypuścić z siebie wszelki niepokój i zmartwienia. Duch potrafi wyczuć energię. Negatywna energia przyciągnie duchy o złych intencjach. Chcemy wypełnić bistro pozytywną, pełną miłości i dobrą energią, by przyciągnąć dobre duchy.

– Kurwa – szepnął Gabri. – To był zły pomysł.

– Zamknij się – syknęła siedząca obok niego Myrna. – Myśl pozytywnie i pośpiesz się, dupku!

– Boję się – wyszeptał Gabri.

– Weź przestań. Myśl o bezpiecznym miejscu, Gabri, o czymś przyjemnym – zaskrzeczała Myrna.

– To jest moje bezpieczne miejsce – odszczeknął się Gabri. – Duchu, proszę, porwij ją pierwszą, jest duża i soczysta. Nie zabieraj mnie.

– Ależ olsza z ciebie – prychnęła Myrna.

– Proszę zachować ciszę – rzekła Jeanne tonem bardziej władczym, niż Clara kiedykolwiek by się po niej spodziewała. – Jeśli nagle rozlegnie się hałas, chcę, żebyście złapali się za ręce. Czy to jasne?

– Dlaczego? – spytał szeptem Gabri siedzącą z jego drugiej strony Odile. – Czy ona spodziewa się czegoś złego?

– Ćśśś! – syknęła cicho Jeanne i wszystkie szepty ucichły. Podobnie jak wszystkie oddechy. – Nadchodzą.

Wszystkie serca zamarły.

Peter wszedł do pracowni Clary. Był tu setki razy i wiedział, że miała

powód, dla którego drzwi były zawsze otwarte. Nie miała nic do ukrycia. A mimo to czuł się winny. Rozglądając się dokoła, podszedł wprost do dużej sztalugi pośrodku pomieszczenia. Studio pachniało olejami, werniksem i drewnem, z lekką nutą mocnej kawy. Całe lata pracy twórczej i kawy wypełniły to wnętrze poczuciem komfortu. Więc dlaczego Peter był przerażony?

Zatrzymał się przy sztaludze. Clara owinęła obraz w prześcieradło. Stał, przyglądając się mu, mówiąc sobie, że powinien wyjść, błagając sam siebie, żeby tego nie czynić. Nie dowierzając, że jednak to robi, dostrzegł wyciągniętą własną prawą rękę – jak człowiek, który opuścił własne ciało, wiedzący, że nie ma żadnej kontroli nad tym, co za chwilę nastąpi. Zdawało się, że to wszystko dzieje się samo. Jego dłoń chwyciła za poplamione prześcieradło i ściągnęła je.

W pokoju panowała cisza. Clara desperacko pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć dłoni Myrny, ale nie śmiała. Tak na wszelki wypadek. Jeśliby na przykład to coś, co przybywało, miało skupić uwagę na niej.

I wtedy usłyszała. Wszyscy usłyszeli.

Odgłos kroków.

Dźwięk przekręcanej klamki.

Ktoś jęknął, jak przestraszony szczeniak.

A potem ciszę rozdarło koszmarnie łomotanie.

Męski głos krzyknął. Clara poczuła, jak z obu stron dłonie szukają jej dłoni. Znalazła je i uchwyciła z całej siły, powtarzając w kółko: „Panie, pobłogosław ten posiłek i nas, byśmy czynili wolę Twoją. Niech nie zapominamy o potrzebach innych, Amen”.

– Wpuśćcie mnie – zawodził głos z zaświatów.

– O Boże, to rozgniewany duch – powiedziała Myrna. – To przez ciebie – rzuciła do Gabriego, który siedział przerażony, z szeroko otwartymi oczami.

– Kurwa – zawodził bezcielesny głos. – Kuuurwa.

Szyby zadrżały, w oknie pojawiła się przerażająca twarz. Wszyscy w kręgu jęknęli i się cofnęli.

– Na rany Chrystusa, Dorothy, wiem, że tam jesteś! – wrzasnął głos.

To nie tak Clara wyobrażała sobie ostatnie słowa, jakie usłyszy w ziemskim żywocie.

Zawsze przypuszczała, że będą one brzmiały: „A co ty myślałaś?”.

Dygocąc, Gabri poderwał się na równe nogi.

– Dobry Boże! – wykrzyknął, żegnając się palcami. – To nieumarła!

Za oknem z małych szybek oczy Ruth Zardo zwięzły się, a palce wykonały pół znaku krzyża.

Peter wpatrywał się w pracę na sztaludze. Szczękę miał zaciśniętą, spojrzenie stwardniało. To było gorsze, niż się spodziewał, gorsze od najgorszych obaw, a obawy Petera zawsze były wielkie. Przed nim stała najnowsza praca Clary, którą miał zaraz pokazać Denisowi Fortinowi, wpływowemu właścicielowi galerii z Montrealu. Do tej pory Clara wiodła ciężki żywot kompletnie nieznannej artystki, tworzącej całkiem niezrozumiałe dzieła. Przynajmniej dla Petera były one niezrozumiałe.

A potem ni z tego, ni z owego Denis Fortin zapukał do ich drzwi. Peter był przekonany, że ten sławny handlarz sztuką, posiadający międzynarodowe kontakty, przyjechał zobaczyć się z nim. W końcu z nich dwojga to on był sławny. Jego do bólu pełne detali obrazy sprzedawały się za tysiące dolarów i wisiały na najważniejszych ścianach w Kanadzie. Peter oczywiście pokazał Fortinowi swoją pracownię po to tylko, by usłyszeć uprzejmy komentarz, że jego prace są niezłe, ale tak właściwie handlarz chciał zobaczyć się z Clarą Morrow. Jeśli Fortin powiedziałby, że chce stać się zielony i polecieć na księżyc, Peter byłby mniej zaskoczony.

Zobaczyć prace Clary? Co? Jego mózg przestał działać. Peter gapił się na marszanda.

– Dlaczego? – wyjąkał. Teraz to Fortin gapił się na niego.

– Pańska żona to Clara Morrow, artystka? Przyjaciel pokazał mi jej portfolio. Czy to to?

Fortin sięgnął do aktówki po teczkę z pracami i faktycznie – to było płaczące drzewo Clary. Płaczące słowami. Jakie drzewa płaczą słowami? –

zastanawiał się Peter, kiedy Clara po raz pierwszy pokazała mu tę pracę. A teraz Denis Fortin, najbardziej wpływowy właściciel galerii w Quebecu, mówił, że to znakomite dzieło sztuki.

– To moje – powiedziała Clara, próbując stanąć pomiędzy dwoma mężczyznami.

Zdumiona, jakby we śnie, pokazywała Fortinowi pracownię. Opisała swoją ostatnią pracę przykrytą płótnem. Fortin wpatrywał się w płócienną płachtę, ale nie sięgnął, by ją zsunąć, nawet o to nie poprosił.

– Kiedy będzie gotowa?

– Za kilka dni – odpowiedziała Clara, zastanawiając się, co to ma znaczyć.

– Powiedzmy, w pierwszym tygodniu maja? – Fortin uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń wyjątkowo serdecznym gestem. – Przyjadę z moimi kuratorami, żebyśmy mogli podjąć decyzję.

Decyzję?

Wielki Denis Fortin przyjedzie za niewiele ponad tydzień, żeby zobaczyć najnowszą pracę Clary. A jeśli mu się ona spodoba, jej kariera nabierze gwałtownego rozpędu.

Teraz to Peter wpatrywał się w tę pracę.

Nagle poczuł, jak coś go chwyta. Od tyłu. To coś sięgnęło prosto do jego wnętrza, usadowiło się tam. Peter jęknął z bólu, przeszywającego, potwornego bólu, jaki to coś powodowało. Łzy napłynęły mu do oczu; zawładnął nim upiór, którego obawiał się przez całe życie. To przed nim chował się jako dziecko, to przed nim uciekał, krył się, zaprzeczał jego istnieniu. Upiór prześladował go, aż wreszcie znalazł. Tutaj, w studiu jego własnej żony. Potwór dopadł go tutaj, przed tą jej pracą.

I tutaj go pożarł.

## 5

– No więc czego chciała Ruth? – zapytał Olivier, stawiając szklaneczki ze słodową szkocką przed Myrną i Gabrim. Odile i Gilles poszli do domu, pozostali siedzieli w bistro. Clara pomachała do Petera, który zrzucił właśnie płaszcz i wieszając go na kołku przy drzwiach.

Zadzwoniła do niego, jak tylko seans dobiegł końca, i zaprosiła, by przybył na stypę po tym przykrym wydarzeniu.

– Cóż, z początku wszyscy myśleliśmy, że woła „kurwa” – powiedziała Myrna – a dopiero potem dotarło do nas, że krzyczała „kurka”.

– Kurka? Naprawdę? – zapytał Olivier, siadając na oparciu fotela Gabriego i popijając koniak. – Kurka? Myślicie, że cały czas to właśnie mówiła?

– A my tylko źle zrozumieliśmy? – dodała Myrna. – „Kurka mać?”. Czy to do mnie powiedziała niedawno?

– Albo „nie wkurkaj mnie?” – dorzuciła Clara. – To możliwe, często bywa wkurczona.

Pan Béliveau roześmiał się i spojrzał na Madeleine, która siedziała obok niego, blada i milcząca.

Piękny kwietniowy dzień ustąpił zimnej, wilgotnej nocy. Zbliżała się północ. Byli teraz w bistro jedynymi gośćmi.

– Czego chciała? – zapytał Peter.

– Żeby jej pomóc z jajkami. O dziwo, nie kurzymi. Kaczymi. Może pamiętasz to gniazdo, które znaleźliśmy dziś po południu nad stawem? – Clara zwróciła się do Madeleine. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie jest. – Madeleine się uśmiechnęła. – Czuję się tylko trochę nakręcona.

– Przykro mi to słyszeć – odrzekła Jeanne. Siedziała na drewnianym krześle lekko poza kręgiem pozostałych. Znów była tą samą myszowatą sobą.

Wszelkie dowody na istnienie jej silnej, opanowanej osoby jako medium ulotniły się, gdy zabłysło światło.

– Och, nie, na pewno nie ma to żadnego związku z seansem – zapewniła ją Madeleine.

– Wypiliśmy kawę po kolacji i pewnie to kofeina ma na mnie taki wpływ.

– *Mais, ce n'est pas possible* – powiedział pan Béliveau. – Jestem pewien, że była bezkofeinowa. – Ale i on czuł się nieco podenerwowany.

– Co za historia z tymi jajkami? – zapytał Olivier, wygładzając zmarszczkę na swoich niepokalanych sztruksach.

– Wygląda na to, że Ruth poszła nad staw po tym, jak odeszliśmy stamtąd, i zabrała jajka – tłumaczyła Clara.

– O nie! – westchnęła Mad.

– Potem wróciły kaczki i nie chciały usiąść na gnieździe – ciągnęła Clara. – Dokładnie tak, jak przewidywaliście. Ruth zabrała jajka do domu.

– Żeby zjeść? – zapytała Myrna.

– Nie, żeby pomóc im się wykluć – odpowiedział Gabri, który wraz z Clarą poszedł do maleńkiego domu Ruth, żeby zobaczyć, czy mogą w czymś pomóc.

– Nie wysiaduje ich chyba, co? – dopytywała Myrna, niepewna, czy obraz Ruth wysiadującej jajka wydaje jej się zabawny, czy obrzydliwy.

– Nie, tak naprawdę ładnie to urządziła. Kiedy przyszliśmy, jajka leżały w koszyku na mięciutkiej flanelowej wyściółce. Włożyła je wszystkie do leciutko ogrzanego piekarnika.

– Dobry pomysł – pochwalił Peter. Podobnie jak pozostali, spodziewał się, że Ruth raczej je pożre, niż uratuje.

– Przypuszczam, że od lat nie włączała tego piekarnika. Zawsze mówi, że żdera za dużo energii – odezwała się Myrna.

– Cóż, teraz go włączyła – odparła Clara. – Próbuje pomóc kaczętom się wykluć. Biedni kaczy rodzice... – Podniosła szklankę ze swoją szkocką, spojrzała za okno ku pogrążonemu w mroku skwerkowi i wyobraziła sobie kaczych rodziców siedzących nad stawem, w miejscu, gdzie znajdowała się

ich rodzina, gdzie dzieci skrywały się w skorupkach jajek pełne ufności, że mama i tata zapewnią im ciepło i bezpieczeństwo. Clara wiedziała, że kaczki wiążą się w pary na całe życie. To dlatego sezon polowań na kaczki był szczególnie okrutny. Jesienią co jakiś czas napotykało się samotną, kwaczącą kaczkę. Nawołującą. Czekającą na swego małżonka. I miała tak czekać przez resztę życia.

Czy kaczy rodzice czekali teraz na powrót swojej dziatwy? Czy kaczki wierzą w cuda?

– Tak czy inaczej, musiało was to wszystkich śmiertelnie wystraszyć. – Olivier się zaśmiał, wyobrażając sobie Ruth przy oknie.

– Na szczęście Clara była przygotowana na ten duchowy kryzys i miała w zanadrzu starożytne błogosławieństwo – dorzucił Gabri.

– Ktoś chce jeszcze jednego drinka? – zapytała Clara.

– „Panie, pobłogosław ten posiłek” – zaczął Gabri. – „I nas, byśmy czynili wolę Twoją”.

Peter zakrztusił się ze śmiechu, szkocka poląła mu się po podbródku.

– „Niech nie zapominamy o potrzebach innych”. – Peter spojrzał wprost w rozbawione błękitne oczy Clary.

– Amen – powiedzieli wszyscy razem, łącznie z Clarą, która też się roześmiała.

– Zmówiłaś błogosławieństwo przed posiłkiem? – Chciał wiedzieć Peter.

– Cóż, myślałam, że za moment przyjdzie mi jeszcze raz oglądać kolację, którą właśnie zjadłam.

Teraz już wszyscy się śmiali, nawet stateczny i zawsze akuratywny pan Béliveau zanosił się głębokim, radosnym rechotem i ocierał załzawione oczy.

– Pojawienie się Ruth z pewnością dostarczyło wrażeń, jakich oczekiwano od seansu – stwierdziła Clara, kiedy już się uspokoiła.

– I tak nie sądzę, że odnieśliśmy sukces – zauważyła Jeanne.

– Dlaczego nie? – dopytywał się Peter, chcąc usłyszeć jej usprawiedliwienie.



– Obawiam się, że to miejsce jest zbyt pełne szczęścia – powiedziała Jeanne do Oliviera.

– Podejrzewałam tak od momentu, gdy tu przybyłam.

– Cholera – zaklął Olivier. – Nie możemy tego tolerować.

– W takim razie, dlaczego urządziła pani seans? – dociekał Peter pewien, że ją na czymś przyłapie.

– Cóż, to nie do końca był mój pomysł. Zamierzałam spędzić wieczór, jedząc *linguine primavera* i wertując stare numery magazynu „Country Life”. Tu nie ma złych duchów.

Jeanne spojrzała wprost na Petera, jej uśmiech pobladł.

– Z wyjątkiem jednego – rzekł pan Béliveau.

Peter oderwał wzrok od Jeanne i spojrzał na uprzejmego sklepikarza, spodziewając się, że ten wyciągnie w jego stronę zakrzywiony palec jak Jakub Marley<sup>[4]</sup>. Ale orli profil pana Béliveau był zwrócony w stronę czegoś za oknem.

– Co ma pan na myśli? – spytała Jeanne, podążając za jego spojrzeniem. Za koronkowymi zasłonami i starym ołowianym szkłem ujrzała jednak tylko ciepłe światła domów miasteczka.

– Tam. – Wskazał ręką pan Béliveau. – Nad miasteczkiem. Teraz pani nie zobaczy, chyba że wie, czego szukać.

Clara nie spojrzała w tamtą stronę. Wiedziała doskonale, o czym była mowa, i bezgłośnie błagała pana Béliveau, by nie wdawał się w szczegóły.

– Ale jest tam – ciągnął sklepikarz. – Jeśli się spojrzy w górę, na wzgórze okalające miasteczko, jest tam plama ciemniejsza od innych.

– Co to takiego? – dociekała Jeanne.

– Zło – odparł stary sklepikarz, a w pokoju zapadła cisza. Nawet ogień wydawał się milczeć.

Jeanne podeszła do okna i zrobiła to, co jej polecono. Podniosła wzrok ponad przyjazne miasteczko. Chwilę jej to zajęło, ale w końcu nad światłami Three Pines zobaczyła plamę ciemniejszą niż okalająca ją noc.

– Dawny dom Hadleyów – szepnęła Madeleine.

Jeanne odwróciła się plecami do zebranych, którzy już nie siedzieli razem zrelaksowani: teraz byli uważni i pełni napięcia. Myrna podniosła szklaneczkę ze swoją szkocką i upiła haust.

– Dlaczego pan mówi, że to zło? – Jeanne zwróciła się do pana Béliveau. – To poważny zarzut zarówno wobec miejsca, jak i wobec osoby.

– Wiele złego się tam wydarzyło – stwierdził sklepikarz, zwracając się do innych, aby go poparli.

– To prawda – potwierdził Gabri, biorąc Oliviera za rękę, ale zwracając się do Clary i Petera. – Czy mam mówić dalej?

Clara spojrzała na Petera, który wzruszył ramionami. Dawny dom Hadleyów był teraz opuszczony. Od miesięcy stał pusty. Ale Peter wiedział, że tak naprawdę nie opustoszał. On sam zostawił tam część siebie. Bogu dzięki, nie była to ręka, nos ani stopa. To było coś niematerialnego, ale o ogromnej wadze. Peter utracił tam swoją ufność i nadzieję. Oraz wiarę.

Niewiele jej było, ale i tak przepadła. Właśnie tam. Peter Morrow wiedział, że dawny dom Hadleyów był straszny. Potrafił kraść rzeczy. Na przykład życie. I przyjaciół. Dusze, wiarę.

Ukradł mu najlepszego przyjaciela, Bena Hadleya. Potworne wzgórze emanowało wyłącznie smutkiem.

Jeanne Chauvet podeszła z powrotem do ognia i przysunęła krzesło bliżej do pozostałych, tak że w końcu dołączyła do ich kręgu. Oparła łokcie na chudych kolanach i wychyliła się w przód, a jej oczy były teraz jaśniejsze niż kiedykolwiek tego wieczoru, gdy Clara w nie patrzyła.

Z wolna wszyscy przyjaciele zwrócili się ku Clarze, która wzięła głęboki wdech. Ten dom prześladował ją, odkąd przybyła do Three Pines ponad dwadzieścia lat temu, jako młoda żona Petera. Ten dom prześladował ją i niemal zabił. Miało tam miejsce morderstwo i porwanie. Oraz usiłowanie zabójstwa. Mieszkali tam mordercy. Clara była zaskoczona, jak odległe wydawało się teraz to wszystko.

Jeanne skinęła głową, zwracając twarz w stronę węgli wolno dogasających

w kominku.

– Równowaga – powiedziała w końcu. – To ma sens. – Sprawiała wrażenie, jakby się rozbudziła, wchodząc w inny tryb. – Czułam to, gdy tylko przybyłam do Three Pines. I teraz, tutaj, także to czuję.

Pan Béliveau ujął dłoń Madeleine. Peter i Clara przysunęli się do siebie. Olivier, Gabri i Myrna także zbliżyli się nieco. Clara zamknęła oczy i próbowała poczuć to zło, które przeczuwała Jeanne. Ale czuła tylko...

– Spokój. – Jeanne uśmiechnęła się lekko. – Od chwili przybycia czułam tu wielką serdeczność. Poszłam do kościółka, do Świętego Tomasza, czy tak się nazywa? Jeszcze zanim zameldowałam się w pensjonacie i usiadłam w ciszy. To było uczucie spokoju i zadowolenia. To stare miasteczko, ze starą duszą. Poczytałam tabliczki na ścianach, popatrzyłam na witraże. To miasteczko zaznało straty, widziało ludzi umierających przedwcześnie, wypadki, wojny, choroby. Three Pines nie jest na to wszystko odporne. Ale wydaje się, że przyjmujecie to wszystko jako część życia, nie popadacie w rozgoryczenie. Ci mordercy, o których wspominaliście, znaliście ich?

Wszyscy pokiwali głowami.

– A mimo to nie wydajecie się rozgoryczeni ani nie okaleczyło was to okropne doświadczenie. Wręcz przeciwnie. Zdajecie się szczęśliwi, pełni spokoju. Wiecie, dlaczego?

Wszyscy wpatrywali się w ogień, w swoje kieliszki, w podłogę. Jak wytłumaczyć szczęście? Zadowolenie?

– Pozwoliliśmy temu przeminąć – odpowiedziała w końcu Myrna.

– Pozwoliliście temu przeminąć. – Jeanne skinęła głową. – Ale. – Siedziała teraz nieruchomo i wpatrywała się prosto w oczy Myrny. Bynajmniej nie wyzywająco. Raczej prosząco, jak gdyby błagała Myrnę, by zrozumiała to, co zamierzała teraz powiedzieć. – Dokąd to odchodzi?

– Dokąd co odchodzi? – zapytał Gabri po chwili milczenia.

– Nasz smutek. Dokądś musi pójść – wyszeptała Myrna.

– Zgadza się – odparła Jeanne, uśmiechając się do niej, jakby była wyjątkowo pilną uczennicą. – Jesteśmy energią. Naszym mózgiem i sercem

kierują impulsy. Nasze ciała karmią się jedzeniem, które zamienia się w energię. Tym właśnie są kalorie. To – Jeanne uniosła dłonie i poklepała się po swoim chudym ciele – jest najbardziej zdumiewająca fabryka produkująca energię. Jesteśmy jednak także emocjonalnymi i duchowymi istotami, a to także energia. Aura, wibracja, jakkolwiek to nazwać. Czy gdy ogarnia pana złość, czuje pan, jak się trzęsie? – spytała Petera.

– Nie wpadam w złość – odrzekł, odpowiadając lodowatym spojrzeniem na jej wzrok.

Miał już zdecydowanie dosyć tych bzdur.

– Teraz się pan złości, a ja to czuję. Wszyscy to czujemy – zwróciła się do pozostałych, którzy z lojalności wobec przyjaciela powstrzymali się od komentarzy. Ale wiedzieli, że Jeanne ma rację. Czuli wściekłość Petera. Promieniował nią.

Peter miał uczucie, że ta szamanka go wrobiła, a własne ciało zdradziło.

– To naturalne – ciągnęła Jeanne. – Pana ciało czuje silne emocje i wysyła sygnały.

– To prawda – rzekł Gabri, zwracając się do Petera przepaszająco. – Czuję twój gniew i wiem, że reszta z nas ma uczucie dyskomfortu. Przedtem miałem wrażenie, że byli szczęśliwi.

Wszyscy byli odprężeni. Nikt mi nie musiał tego mówić. Czy kiedy wchodzisz do pomieszczenia pełnego ludzi, nie zauważasz tego od razu? To się czuje, czy ludzie są zadowoleni, czy spięci.

– Gabri rozejrzał się dookoła, wszyscy przytaknęli, nawet pan Béliveau.

– W sklepie szybko się człowiek uczy obserwować ludzi. Widzieć, czy ktoś jest w złym humorze lub zdenerwowany, a może nawet stanowi zagrożenie – rzekł sklepikarz.

– Zagrożenie? W Three Pines? – zdziwiła się Madeleine.

– *Non, c'est vrai* – upierał się Béliveau. – Nigdy do niczego nie doszło, ale ja i tak się przyglądam, tak na wszelki wypadek. Potrafię to stwierdzić, jak tylko ktoś wejdzie.

– Ale to mowa ciała i ludzie, których znasz – stwierdził Peter. – Nie żadna

energia.

– Zamachał przy tym wzniesionymi dłońmi, a jego głos nabrał prześmiewczego tonu.

Pan Béliveau zamilkł.

– Nie musi pan w to wierzyć – powiedziała Jeanne.

– Większość ludzi nie wierzy.

– Uśmiechnęła się do Petera w sposób, który wydał mu się protekcjonalny.

– Kto sieje wiatr, zbiera burzę – dodała Jeanne nieoczekiwanie. – Jeśli człowiek emanuje pełną złości energią, to samo do niego wraca. To bardzo proste.

Peter rozejrzał się po zgromadzonych. Wszyscy uważnie słuchali tej całej Jeanne, jakby wierzyli w jej brednie.

– Wspomniała pani o równowadze. – Myrna wróciła do tematu.

– Zgadza się. Natura to stan równowagi. Akcja i reakcja. Życie i śmierć. Wszystko jest zrównoważone. To ma sens, że dawny dom Hadleyów stoi blisko Three Pines. Równoważą się wzajemnie.

– Co pani ma na myśli? – zapytała Madeleine.

– Że dawny dom Hadleyów jest ciemnością równoważącą naszą jasność – oznajmiła Myrna.

– Three Pines to szczęśliwe miejsce, ponieważ pozwalacie troskom przeminać. Ale one nie odchodzą daleko. Idą tylko na szczyt wzgórza – odrzekła Jeanne. – Do dawnego domu Hadleyów.

Teraz Peter to poczuł. Skóra na jego ramionach się ściągnęła, włosy stanęły dęba. Na wszystkim, czemu pozwolił przeminać, pozostały ślady pazurów. Poleciało wprost do dawnego domu Hadleyów. Ten dom był pełen ich trosk, ich lęków, ich złości.

– Może tam urządzimy seans? – zapytał pan Béliveau.

Wszyscy odwrócili się powoli i wlepili w niego wzrok, zaskoczeni, jak gdyby to kominek nagle wygłosił jakąś dziwaczną opinię.

– No nie wiem – wahał się Gabri, kręcąc się niespokojnie na fotelu.

Wszyscy instynktownie zwrócili spojrzenia na Clarę. Nie prosiła się o to, ale była sercem ich społeczności. Niewysoka, w średnim wieku i powoli zaokrąglająca się tu i ówdzie, Clara odznaczała się szczególną kombinacją cech: była rozsądna, ale wrażliwa. Wstała teraz z miejsca, zgarnęła garść nerkowców i szklankę z resztką szkockiej, po czym podeszła do okna. Większość światel dokoła skweru zgasła. Three Pines odpoczywało. Po chwili cieszenia się tym spokojem, wzrok Clary powrócił do czarnej dziury nad nimi. Stała tak przez kilka minut, popijając, chrupiąc, kontemplując.

Czy to możliwe, że dawny dom Hadleyów był repozytorium ich złości i trosk? Czy to dlatego przyciągał morderców? I duchy?

– Myślę, że powinniśmy to zrobić – powiedziała w końcu.

– Och, na miłość boską – zachnął się Peter.

Clara na moment znów wyjrzała przez okno.

Najwyższy czas, by pozwolić odejść temu, co złe.

## 6

Pan Béliveau otworzył przed Madeleine drzwi samochodu.

– Pewna jesteś, że nie chcesz, żebym cię odwiózł do domu?

– Och, nie, nic mi nie będzie. Już mi nerwy odpuszczają – skłamała. Serce ciągle biło jej jak szalone, była wyczerpana. – Bezpiecznie odtransportowałeś mnie do mojego auta.

Niedźwiedzi nie widać.

Ujął ją za rękę. Była jak ryżowy papier, sucha i delikatna, ale trzymał ją mocno.

– Nie zrobią ci krzywdy. Są niebezpieczne tylko wtedy, gdy się wejdzie między matkę a młode. Uważaj, żeby tego nie robić.

– Odnotuję to sobie.

– Nie wolno drażnić niedźwiedzi.

– Jesteś pewien?

Pan Béliveau się roześmiał. Madeleine podobał się dźwięk jego śmiechu. On jej się podobał. Zastanawiała się, czy może mu zdradzić swój sekret. To byłaby wielka ulga. Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Był w nim taki smutek. Taka dobroć. Nie mogła mu tego odebrać.

Jeszcze nie teraz.

– Może wejdiesz na kawę? Upewnię się, że bezkofeinowa.

Uwolniła rękę z jego uścisku.

– Muszę iść, ale to był cudowny dzień – powiedziała, pochylając się, by ucałować go w policzek.

– Ale bez duchów. – W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. Żałował, że ich nie było.

Béliveau przyglądał się czerwonym tylnym światłom jej samochodu,

jadącego w górę ulicy du Moulin, po czym odwrócił się i poszedł w stronę drzwi swojego domu. Jego krok miał w sobie coś sprężystego, choć ledwie było to widać. Coś maleńkiego w nim ożyło, coś, co myślał, że pogrzebał wraz ze swoją żoną.

Myrna dorzuciła kilka drewno do pieca i zamknęła jego żeliwne drzwiczki. Potem, zmęczona, przeszła przez swój loft, powłóczęc po starych drewnianych deskach podłogi odzianymi w kapcie stopami, instynktownie przesuwając się od jednego dywanika do następnego, jak pływak poruszający się pomiędzy wysepkami. Po drodze wyłączała światła.

Zwieńczony belkowaniem powały stary, ceglany loft powoli pogrążał się w mroku, została tylko lampka przy dużym zapraszającym łóżku. Myrna postawiła na starym sosnowym blacie kubek z gorącą czekoladą i talerzyk z ciasteczkami czekoladowymi i wzięła ze stolika książkę. Ngaio Marsh<sup>[5]</sup>. Myrna wracała do lektur klasyków. Na szczęście jej księgarnia-antykwarjat miała ich bez liku. Była własną najlepszą klientką. No, może jeszcze Clara, która kupowała większość starych kryminałów. Termofor ogrzewał jej stopy, Myrna naciągnęła kołdrę i zaczęła czytać.

Popijając czekoladę i pogryzając ciasteczka, uświadomiła sobie, że od dziesięciu minut czyta tę samą stronę. Myślami była gdzie indziej. Utknęły w ciemności pomiędzy światłami Three Pines a rozgwieżdżonym niebem. Odile włożyła dysk CD do odtwarzacza i założyła słuchawki.

Czekała na ten moment. Od sześciu dni tęskniła za nim, z coraz większą niecierpliwością w miarę, jak tydzień upływał. Nie żeby codzienne życie nie sprawiało jej przyjemności. Tak się składa, że nie mogła się nadziwić, jaka z niej szczęściara. Nie mogła się nadziwić, że Gilles przyszedł do niej, gdy w jego małżeństwie przestało się układać. Podkochiwała się w nim przez całe liceum. Raz tylko zdobyła się na odwagę, by zaprosić go na szkolną potańcówkę, ale odmówił. Nie był jednak okrutny. Niektórzy chłopcy bywali okrutni, szczególnie wobec dziewczyn takich jak Odile. Ale nie Gilles. On zawsze był miły. Zawsze się uśmiechał, zawsze mówił jej *bonjour* na korytarzu, nawet wtedy, gdy jego koledzy widzieli.

Odile uwielbiała go wtedy i uwielbiała go teraz. Mimo to co tydzień



czekała na ten moment. Co piątek wieczór Gilles kładł się spać wcześniej, a ona siadała w ich skromnym salonie w St-Rémy.

Usłyszała pierwsze nuty pierwszego utworu i poczuła, jak napięte ramiona jej miękną. Czowała, jak jej czujność usypia. Nie musiała już uważać na każde słowo, każdy czyn. Zamknęła oczy i upiła duży łyk czerwonego wina, jak tonący, chwytający wielki haust powietrza. Butelka była już w połowie opróżniona i Odile martwiła się, że wino jej się skończy, zanim magia zadziała. Zanim nastąpi przemiana.

Po kilku minutach podniosła się i z zamkniętymi oczami zaczęła kroczyć po udekorowanej kwiatami scenie. W Oslo. To było Oslo, prawda? Nieważne. Elegancka publiczność w krawatach, frakach i sukniach wieczorowych zerwała się z miejsc. Klaskali. Nie.

Płakali.

Odile zatrzymała się w pół drogi, by dostrzec ich łzy. Położyła dłoń na piersi i dygnęła lekko, w geście pełnym niezmiernej skromności i godności. Król wręczał jej teraz jedwabną saszetkę. On także miał łzy w oczach.

– Z ogromną przyjemnością mam zaszczyt wręczyć pani, madame Montmagny, poetycką Nagrodę Nobla.

Dziś wieczorem dzikie oklaski nie wzruszały jej jednak jak przedtem, nie zalewały jej, nie chroniły przed podejrzeniem, że wyda się, iż jest jedynie żalonym niczym, jak zawsze o sobie myślała. Nie chroniło jej to przed potrzebą dopasowania się do świata, w którym wszyscy znali jakiś sekretny szyfr – wszyscy oprócz niej. Jednak Odile wiedziała coś, o czym nie wiedział nikt inny. To była jej słodka tajemnica. Wszyscy ci ludzie na seansie obawiali się złych duchów, ale Odile wiedziała, że prawdziwy potwór nie pochodzi z zaświatów, tylko z tego świata. Odile Montmagny wiedziała, kto nim jest. Gdy Madeleine wróciła, Hazel sprawiała wrażenie rozkojarzonej.

– Nie mogłam spać – poskarżyła się, nalewając im herbaty do filiżanek. – Jak było do przewidzenia, jestem podekscytowana, że Sophie przyjeżdża do domu.

Madeleine zamieszała swoją herbatę i pokiwała głową. Hazel zawsze się

trochę denerwowała, gdy Sophie wracała do rodzinnego domu z uczelni. To zaburzało ciszę i spokój ich egzystencji. Nie żeby Sophie była imprezowa czy choćby hałaśliwa. Nie o to chodziło. Gdy się zjawiała, w ich wygodnym domu pojawiała nagle pewne napięcie.

– Zniosłam kolację biednej pani Bellows.

– Jak ona się miewa? – zapytała Mad.

– Lepiej, ale plecy wciąż ją boją.

– Wiesz oczywiście, że to jej mąż i dzieci powinni się nią opiekować.

– Ale tego nie robią – odparła Hazel. Czasami zaskakiwało ją, gdy Madeleine okazywała taką surowość. Brzmiało to niemal tak, jakby inni jej nie obchodzili.

– Poczciwa dusza z ciebie, Hazel. Mam nadzieję, że ona ci podziękowała.

– Czeka mnie nagroda w królestwie niebieskim – odrzekła Hazel, unosząc rękę do czoła dramatycznym gestem.

Madeleine się roześmiała, Hazel także. To była jedna z wielu rzeczy, które Mad uwielbiała w Hazel. Nie tylko jej dobroć, ale także determinację, by nie brać siebie samej zbyt serio.

– Urządzamy kolejny seans. – Mad zamoczyła biszkopta w herbacie, po czym zdołała w samą porę włożyć nawilgłe ciastko do ust. – W niedzielę wieczorem.

– Za dużo duchów, by się z nimi uporać za jednym posiedzeniem? Musiały pracować na zmiany?

– Zbyt mało. Medium powiedziało, że w bistro jest zbyt wesoło.

– Pewna jesteś, że to nie była aluzja? – zażartowała Hazel, myśląc o Gabrim i Olivierze.

– Niewykluczone. – Mad się uśmiechnęła. Wiedziała, że Hazel i Gabri są przyjaciółmi i od lat współpracują w przykościelnym Stowarzyszeniu Kobiet Anglikańskich. – Tak czy inaczej, duchów tam nie było. Idziemy teraz do dawnego domu Hadleyów.

Mad przyglądała się Hazel znad brzegu filiżanki. Oczy Hazel się rozszerzyły. Po chwili przemówiła.

– Pewna jesteś, że to dobry pomysł?

– Wchodziłeś tutaj? – zawołała Clara ze swojej pracowni.

Peter zamarł w pół gestu, dając Lucy jej wieczorne ciasteczko. Pies zamachał ogonem w tę i z powrotem ze zdwojoną energią, przechylił głowę na bok i utkwiał wzrok w magicznym ciasteczku, jak gdyby samo pożądanie mogło poruszać rzeczy. Gdyby tak było, drzwi lodówki pewnie byłyby permanentnie otwarte.

Clara wytknęła głowę na zewnątrz studia i spojrzała na Petera. Mimo że jej twarz zdradzała zwykłą ciekawość, czuł się, jakby go o coś oskarżono. W galopadzie myśli wiedział, że nie potrafiłby jej okłamać. Przynajmniej nie w tej kwestii.

– Wszedłem tam, kiedy byłaś na seansie. Masz coś przeciwko temu?

– Przeciwko? Jestem zachwycona. Szukałeś czegoś?

Czy powinien odpowiedzieć, że była mu potrzebna żółć kadmowa? Pędzel czwórka?

Linijka?

– Tak. – Podszedł do żony i objął ją swoim długim ramieniem. – Potrzebowałem obejrzeć twój obraz. Przepraszam. Powinienem być zaczekać, aż wrócisz, i zapytać.

Chciał zobaczyć, jak Clara zareaguje. Serce mu zamarło. Patrzyła na niego z uśmiechem.

– Naprawdę chciałeś go obejrzeć? Peter, to cudownie!

Wzdrygnął się.

– Chodź jeszcze. – Wzięła go za rękę i poprowadziła z powrotem do tego czegoś stojącego pośrodku pokoju. – Powiedz mi, co myślisz.

Ściągnęła płachtę ze sztalugi i oto znowu był. Najpiękniejszy obraz, jaki Peter widział w życiu. Był tak piękny, że to aż bolało. Tak. Dokładnie to. Ból, który odczuwał, pochodził z zewnątrz. Nie ze środka. Nie.

– Jest niesamowity, Claro. – Wziął ją za rękę i spojrzał w jej czyste błękitne oczy. – To twoja najlepsza praca. Jestem dumny z ciebie.

Clara otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Przez całe swoje artystyczne życie czekała, aż Peter zrozumie, „załapie” którąś z jej prac. Aż zobaczy coś więcej niż farbę na płótnie. Aż naprawdę to poczuje. Wiedziała, że nie powinno jej aż tak na tym zależeć. Wiedziała, że to słabość. Wiedziała, że jej przyjaciele artyści, włączając w to Petera, mawiali, iż powinno się tworzyć wyłącznie dla siebie i nie przejmować się tym, co inni myślą.

Nie obchodzili jej inni, z wyjątkiem tej jednej osoby. Chciała, by mężczyzna, z którym dzieliła się własną duszą, był w stanie także podzielać jej wizję. Chociaż raz. Oto spłynęło na nią największe z możliwych błogosławieństw: Peter docenił obraz, który znaczył dla niej więcej niż jakikolwiek inny. Ten, który za kilka dni pokaże w najważniejszej galerii sztuki w Quebecu. Ten, w który zainwestowała wszystko.

– Ale czy kolorystycznie jest okej?

Peter pochylił się nad sztalugą, po czym odsunął od niej, nie patrząc na Clarę.

– Och, myślę, że tak. Wiesz, co robisz. – Pocałował ją i wyszeptał jej do ucha:

– Gratuluję. – Po czym wyszedł.

Clara postąpiła krok naprzód i wpatrywała się w płótno. Peter był jednym z najbardziej poważanych i uznanych artystów w Kanadzie. Może miał rację. Na jej oko obraz wyglądał w porządku, ale może jednak...

– Co ty robisz? – zapytał Gabriego Olivier.

Był środek nocy, stali w salonie w pensjonacie. Olivier sięgnął ręką i poczuł, że łóżko po stronie Gabriego jest zimne. Teraz zaciągał mocniej pasek swojego jedwabnego szlafroka i zaspanym wzrokiem obserwował partnera. Gabri, w wymiętych spodniach od pizamy i w kapciach, trzymał w dłoni croissanta i sprawiał wrażenie, jakby wyprowadzał go na spacer po salonie.

– Wyganiam wszelkie złe duchy, które mogły przywlec się za mną z seansu.

– Wypiekami?

– Cóż, nie mieliśmy bułeczek z krzyżykiem, więc to było najlepsze, co mogłem znaleźć.

Czy półksiężyc nie jest symbolem islamu?

Olivier był nieustannie zaskoczony Gabrim. Jego nieoczekiwaną głębią oraz rozbijającą naiwnością. Potrząsnął głową i wrócił do łóżka przekonany, że rano nie będzie w domu ani złych duchów, ani croissantów.

## 7

Świt w Niedzielę Wielkanocną był szary, ale wszyscy mieli nadzieję, że nie rozpada się aż do czasu po poszukiwaniach jajek. Przez całe nabożeństwo rodzice ignorowali pastora, nasłuchując, czy krople nie zaczną walić w dach kościoła Świętego Tomasza. W kościele pachniało konwaliami. Bukieciki maleńkich białych dzwoneczków i żywo zielonych listków rozłożono przy wszystkich ławkach. Były śliczne. Dopóki mała Paulette Legault nie rzuciła bukietem w Timmy'ego Bensona. Wtedy rozpętało się pandemonium. Pastor, oczywiście, nie zwracał na nie uwagi.

Dzieciarnia biegła po przejściu prowadzącym ku ołtarzowi, a rodzice albo próbowali zatrzymać pociechy, albo ignorowali je. Oba te działania miały jednakowo zerowy skutek. Pastor przeczytał wyimek z ceremonii egzorcyzmu. Kongregacja powiedziała: „Amen”, po czym wszyscy na wyścigi wybiegli z kaplicy.

Obiad zorganizowało Stowarzyszenie Kobiet Anglikańskich pod kierunkiem Gabriego.

Przygotowano go w podziemiach i podano na rozstawionych na skwerku piknikowych stołach, przykrytych obrusami w biało-czerwoną kratkę.

– Pomyślnych łowów! – zawołał pastor i pomachał z okna samochodu, wspinającego się w górę ulicą du Moulin w kierunku następnej kaplicy, w kolejnej parafii. Był prawie pewien, że jego nabożeństwo nie przyczyniło się do niczyjego zbawienia. Ale też nikomu nie groziło wieczne potępienie, więc to powinno wystarczyć.

Ruth stała na szczycie schodów do kościoła, balansując talerzem, na którym piętrzyły się kanapki z grubo krojoną klonową szynką na kromkach chleba z piekarni Sarah – jeszcze dymiącego, prosto z pieca – jak też z domową sałatką ziemniaczano-jajeczną z majonezem oraz gigantycznym kawałkiem ciasta karmelowego. Podeszła do niej Myrna. Na głowie miała

deszczułkę, a na niej porozkładane książki, kwiaty i czekoladki. Mieszkańcy wędrowali po skwerku albo siedzieli przy stołach: kobiety w olbrzymich, bogato dekorowanych wielkanocnych kapeluszach. Mężczyźni próbowali udawać, że tego nie widzą.

Myrna stała obok Ruth. Na jej talerzu leżała kompromitująco wielka sterta jedzenia. Obie przyglądały się poszukiwaniom wielkanocnych jajek. Dzieciarnia biegała po całym miasteczku, wrzeszcząc z radości za każdym razem, gdy znalazła drewnianą pisankę. Mała Rose Tremblay wpadła do stawu, wepchnięta przez jednego ze swoich braci, Timmy Benson zatrzymał się, by pomóc jej stamtąd wyjść. Podczas gdy pani Tremblay krzyczała na syna, Paulette Legault okładała Timmy'ego pięściami. Niewątpliwy objaw uczuć – pomyślała Myrna, wdzięczna, że wiek lat dziesięciu ma już za sobą.

– To co, klapniem sobie? – zapytała Myrna.

– Nie, nie klapniem – odparła Ruth. – Muszę wracać do domu.

– Jak tam kurczęta? – Myrna nie obrażała się na wypowiedzi Ruth. Gdyby zaczęła to robić, musiałyby być obrażona permanentnie.

– To nie kurczęta, tylko kaczki. Kaczęta, jak sądzę.

– Gdzie można dostać prawdziwe jajka? – Rose Tremblay stanęła przed Ruth, wyglądając jak CindyLou Who<sup>[6]</sup> przed obliczem Grincha i tuląc w swoich pulchnych, różowych dłoniach trzy piękne pisanki. Z jakiegoś powodu dzieciaki z Three Pines zawsze szły prosto do Ruth, jak lemingi.

– Skąd mam wiedzieć?

– Jesteś tą panią od jajek – powiedziała Rose, owinięta wilgotnym kocem.

Myrna pomyślała, że mała wygląda trochę jak ukochane kacze jajka Ruth, każde zawinięte w oddzielny kawałek flaneli.

– Cóż, moje jajka są w domu, wygrzewają się, i ty też powinnaś. Ale jeśli upierasz się przy tych bzdurach, poproś tamtą panią o czekoladowe jajka. – Ruth zamachała laską jak zakrzywioną różdżką, wskazując na Clarę, która próbowała podejść do jednego z piknikowych stołów.

– Ale Clara nie ma nic wspólnego z rozdawaniem dzieciom czekoladowych jajek – zauważyła Myrna, gdy mała Rose poszła, zwołując inne dzieciaki, aż

w końcu ich chmara wyglądała jak tornado zmierzające w stronę Clary.

– Wiem – przyznała Ruth i pokuśtykała w dół schodami. Na dole odwróciła się i popatrzyła w górę, ku wielkiej czarnoskórej kobiecie wpychającej do ust kanapkę. – Przyjdiesz dziś wieczorem?

– Znaczy, na kolację do Petera i Clary? Wszyscy przychodzimy, nie?

– Nie o to mi chodzi, wiesz, o co pytam. – Stara poetka nie odwróciła się w stronę dawnego domu Hadleyów, ale Myrna wiedziała, co ma na myśli. – Nie rób tego.

– Czemu nie? Bez przerwy urządzam różne rytuały. Pamiętasz ten po śmierci Jane?

Wszystkie kobiety przyszły, nawet ty, i urządziłyśmy rytualne oczyszczenie.

Myrna nigdy nie zapomni, jak chodziła dookoła po skwerze z kobietami i wiązkami tłącej się szafwii, okadzając dymem całe Three Pines, by przepędzić strach i podejrzenia, które ich wtedy ogarniały.

– Myrno Landers, to zupełnie co innego.

Myrna aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, że Ruth zna jej nazwisko, a nawet imię. Przez większość czasu Ruth po prostu machała na nią i komenderowała.

– To nie jest rytuał. To świadome wzywanie złego. Tu nie chodzi o Boga, Boginię czy duchowość. Tu chodzi o zemstę.

Powieszono mnie, bo mieszkałam sama  
Bo oczy miałam niebieskie, opaloną skórę  
Obszarpane spódnice, niewiele guzików  
Zachwaszczoną farmę, której byłam właścicielką  
Oraz skuteczne lekarstwo na kurczaki.  
Och, i jeszcze za to, że mam piersi  
I słodki kształt gruszki, schowany w moim ciele.  
Kiedy jest mowa o demonach, to się wszystko przydaje<sup>[7]</sup>.



– Nie rób tego, Myrno Landers. Wiesz, jaka jest różnica między rytuałem a zemstą.

Cokolwiek jest w tym domu, także rozumie tę różnicę.

– Myślisz, że chodzi o zemstę? – zapytała Myrna, zaskoczona.

– Oczywiście, że tak. Zostaw to w spokoju. Cokolwiek jest w tym domu, niech tam sobie będzie.

Wskazała laską na dom Hadleyów. Gdyby to była czarodziejska różdżka, Myrna była pewna, że wystrzeliby z niej piorun i zmiotł ponury dom na wzgórze. Ruth nagle odwróciła się i pokuśtykała do domu. Do swoich jajek. Do swojego życia. Myrna została sama ze wspomnieniem Ruth, niebieskookiej, zawsze opalanej, w poszarpanych spódnicach i z pourywanymi guzikami. Przyglądała się, jak staruszka zmierzała do domu, zachwaszczonego i pełnego słów. Deszcz się nie rozpadał, wielkanocna niedziela przemknęła szybko jak kicający zajaczek.

Timmy Benson znalazł najwięcej pisanek i dostał w nagrodę olbrzymiego czekoladowego zajaczka, pełnego niespodzianek. Paulette Legault mu go ukradła, ale pan Béliveau przypilnował, żeby oddała i przeprosiła. Timmy, który potrafił przewidywać przyszłość, odłamał czekoladowe uszy, a resztę oddał Paulette, która dała mu kuksańca.

Tego wieczoru Peter i Clara urządzali swoją doroczną kolację wielkanocną. Przybyli Gilles i Odile z bagietkami i serem. Myrna przyniosła dekorowany bukiet, który ustawiono na środku sosnowego stołu w kuchni. Medium, Jeanne Chauvet, dorzuciła bukiet polnych kwiatów, zbieranych na łąkach okalających Three Pines. Sophie Smyth przyszła ze swoją matką Hazel oraz z Madeleine. Przyjechała do domu dzień wcześniej w niebieskim samochodziku zapchanym rzeczami do prania. Teraz gwarzyła z pozostałymi gośćmi, podczas gdy Hazel i Madeleine częstowały przybyłych krewetkami z półmisków.

– Więc jest pani medium. – Sophie wzięła kilka krewetek z półmiska swojej matki i zanurzyła je w sosie.

– Mam na imię Jeanne.

– Jak Jeanne d’Arc – zaśmiała się Sophie. – Joanna d’Arc. – To nie zabrzmiało do końca przyjemnie. – Niech pani lepiej uważa: wie pani, co się z tamtą stało.

Wysoka i szczupła Sophie ładnie się prezentowała, mimo że odrobinę się garbiła. Blond włosy z odcieniem szarego sięgały jej do ramion. Tak w zasadzie była całkiem atrakcyjna. Mimo to było w Sophie coś dziwnego. Coś, co sprawiło, że Jeanne lekko się cofnęła.

Przyszędł pan Béliveau, przynosząc tarty jagodowe z piekarni Sarah. Zapalono świece przy wiejskim stole, pootwierano butelki z winem. Dom pachniał jagnięciną piekącą się z czosnkiem i rozmarynem, młodymi ziemniakami, porami w śmietanie i czymś jeszcze.

– Na miłość boską, groszek konserwowy? – Clara zajrzała do garnka, który przynieśli Gabri i Olivier.

– Wyjęliśmy go z puszki – przyznał Olivier. – W czym problem?

– Spójrz tylko, jest obrzydliwy.

– Na twoim miejscu potraktowałbym to jako osobistą zniewagę – powiedział Gabri do pana Béliveau, który spacerował dokoła z kieliszkiem wina w jednej ręce i kawałkiem bagietki z serem brie w drugiej. – Kupiliśmy groszek u niego w sklepie.

– Madame, to najlepszy puszkowy groszek na rynku. Le Sieur – rzekł sklepikarz poważnym głosem. – Myślę nawet, że on tak rośnie, od razu w puszkach. Jedynie kompleks militarno-przemysłowy mógł powołać do życia taką żalostną hybrydę. Groszek w stalowych strączkach. Trudno uwierzyć. Obrzydlistwo. – Pan Béliveau mówił te słowa z takim przekonaniem, że Clara prawie mu uwierzyła, ale zauważyła figlarny błysk w jego oku.

Wkrótce na talerzach zgromadzonych u Clary i Petera piętrzyła się pieczona jagnięcina, sos miętowy, warzywa. W rozstawionych po stole koszykach czekały parujące bułeczki oraz masło i sery. Stół pojękiwał trochę pod tym słodkim ciężarem, podobnie jak goście. Olbrzymi bukiet Myrny stał na środku stołu, a jego pokryte świeżymi pąkami gałązki sięgały aż do sufitu.

Były to gałązki jabłoni, wierzbowe kotki, forsycja z ledwo rozkwitłymi,

najdelikatniejszymi żółtymi kwiatkami, a z doniczki wyglądały jaskraworóżowe tulipany peoniowe.

– *Et voilà.* – Myrna zamachała serwetką jak magik. Sięgnęła w głąb bukietu i wyciągnęła z niego czekoladowe jajko. – Dla wszystkich wystarczy.

– Powtórne narodziny – powiedziała Clara.

– Ale najpierw musi być śmierć – rzuciła Sophie, rozglądając się z miną niewiniątka. – Czyż nie?

Umościła się pomiędzy Madeleine a panem Béliveau, rozsiadając się na krześle, które właśnie zamierzał zająć sklepikarz. Sophie ujęła czekoladowe jajko i położyła przed sobą.

– Narodziny, śmierć, powtórne narodziny – powiedziała z przemądrzałą miną, jak gdyby przywiozła im tę całkiem nową myśl wprost z Uniwersytetu Królowej.

Clara pomyślała, że Sophie Smyth miała w sobie coś fascynującego. Zawsze tak było.

Sophie przyjeżdżała z uczelni raz jako blondynka, raz jako jaskraworuda, raz puszysta, innym razem smukła, czasami z kolczykami w różnych miejscach, czasem bez ozdób. Nigdy nie było wiadomo, co zaprezentuje. Jedno tylko się nie zmieniało – pomyślała Clara, przyglądając się dziewczynie z czekoladowym jajkiem. Zawsze dostawała to, czego chciała. Ale czego ona chce? – zastanawiała się Clara, wiedząc, że Sophie chce prawdopodobnie dostać więcej niż czekoladowe jajko.

Godzinę później Peter, Ruth i Olivier przyglądali się, jak ich przyjaciele i kochankowie wychodzą w noc, niewidoczni poza światłami latarek. Każda z osób była migającym światełkiem. Z początku szli w grupie, blisko siebie, ale wkrótce Peter patrzył, jak globy światła poddzielały się od siebie, rozciągnęły w szereg; każdy oddzielnie kroczył w stronę mrocznego domu na wzgórzu, który zdawał się na nich czekać.

Nie bądź cykor – skarcił się w myślach Peter. – To tylko durny dom. Co się może stać?

Ale Peter Morrow był z tych, którzy rozpoznają sławne ostatnie kwestie,

kiedy je usłyszą.

Clara nie czuła się tak od czasu, gdy była dzieckiem i sama rozmyślnie doprowadzała się do parkosyzmów lęku, oglądając *Egzorcystę* albo wsiadając na gigantyczną kolejkę w wesołym miasteczku, La Ronde, na której ślinała się i wrzeszczała, a raz nawet popuściła w majtki. To było podniecające, przerażające i tajemnicze zarazem. Im bliżej było do domu, tym bardziej Clarę ogarniało przedziwne uczucie, że to dom zbliża się do nich, nie oni do niego. Nie bardzo mogła sobie uzmysłować, dlaczego to robili.

Usłyszała za sobą szuranie i głosy. Na szczęście przypomniała sobie, że to Madeleine i Odile, maruderki. Clara z satysfakcją przywołała w pamięci fakt znany z horrorów, że to właśnie maruderów coś dopada w pierwszej kolejności. Ale jeśli ich dopadnie, to ona będzie ostatnia. Przyspieszyła kroku. Po chwili zwolniła, tocząc cichą walkę pomiędzy chęcią pozostania przy życiu a potrzebą usłyszenia, o czym rozmawiały ze sobą dwie kobiety. Po tym, co do jej uszu dotarło podczas chowania wielkanocnych jajek, zakładała, że Odile nie lubi Madeleine. O czym w takim razie mogły rozmawiać?

– Ale to nie fair – powiedziała Odile. Madeleine odpowiedziała coś, ale Clara nie dosłyszała co, a gdyby zwolniła jeszcze bardziej, miałyby latarkę Madeleine tam, gdzie zwykle światło nie dochodzi. – Kosztowało mnie wiele odwagi, by się do ciebie zwrócić – mówiła teraz głośniejszą Odile.

– Na miłość boską, Odile, nie bądź śmieszna – odparła Madeleine wyraźnie i niezbyt uprzejmie.

Clara nigdy wcześniej nie poznała tej cechy osobowości Madeleine. Była tak zajęta podsłuchiowaniem, że nie zauważyła, jak wpadła na wielką postać przed sobą. Gilles. Oboje spojrzeli w górę.

Byli na miejscu.

Kulili się blisko siebie w zimnej ciemności. Światła latarek odbijały się jak szalone od ścian popadłego w ruinę domu. Tabliczka z napisem „Na sprzedaż” przewróciła się i leżała jak nagrobek, zagłębiona w miękkiej ziemi. Clara przesunęła światło latarki, które ujawniło więcej zniszczeń. Dom był opuszczony, wiedziała o tym, ale nie przypuszczała, że takie budynki niszczejają tak prędko. Kilka okiennic zwisało luzem, obijając się o ceglane ściany. W niektórych oknach straszyły powybijane szyby, których ułamane fragmenty sterczały jak ostre zęby. Clara zauważyła coś białego, skulonego przy fundamentach domu i na chwilę serce jej zamarło. Coś martwego, pozbawionego skóry.

Z wahaniem przeszła dalej po prowadzącej do domu dróżce, wybrukowanej nierównymi kamieniami. Podeszedłszy bliżej, zatrzymała się i obejrzała za siebie. Reszta wciąż wędrowała grupkami w stronę domu.

– Chodźcie – syknęła.

– Do nas mówisz? – zapytała Myrna, zmarznięta na kość. Ona także wpatrywała się w plamę bieli przy zrębie domu.

– Nikogo tu nie ma z wyjątkiem nas, cykorów – powiedział Gabri.

– Co to jest? – Myrna posunęła się kawałek po ścieżce, aż dotarła do przyjaciółki.

Wskazała w kierunku białej plamy i zauważyła, że palec jej się trzęsie. Czy jej ciało wysyłało jakiś sygnał? Alfabetem Morse’a? Jeśli tak, Myrna wiedziała, co mówiło. Uciekać.

Clara odwróciła się z powrotem w stronę domu, wzięła głęboki wdech, zmówiła błogosławieństwo przed posiłkiem, po czym zeszła ze ścieżki. Pod jej stopami ziemia była grząska, zdawała się syczeć przy każdym kroku. Myrna nie mogła uwierzyć, co też Clara robi: chciała podbiec do niej,

chwycić przyjaciółkę z tyłu, objąć ją i trzymać w ramionach, powiedzieć jej, żeby nigdy więcej tego nie robiła. Ale tylko się przyglądała.

Clara zbliżyła się do domu i pochyliła, po czym szybko podniosła się do pionu i odeszła w potencjalnie bezpieczne miejsce na ścieżce obok Myrny.

– Nie uwierzycie, ale to śnieg.

– Niemożliwe, dawno już całkiem spłynął.

– Ale nie stąd. – Clara pogrzebała w kieszeni i wyjęła wielki staroświecki klucz, długi, gruby i ciężki.

– A ja cały czas myślałam, że tylko cieszysz się, że mnie widzisz – oznajmiła Myrna.

– Hue, hue, hue! – zaśmiała się sarkastycznie Clara. To rozluźniło atmosferę.

Błogosławiła Myrnę, że zabrała ze sobą w to mroczne miejsce swoje poczucie humoru.

– Agentka nieruchomości była zachwycona, że biorę klucz. Wątpię, żeby była tu przez ostatnie miesiące.

– Co jej powiedziałaś? – zapytała Madeleine. Ponieważ Clara i Myrna ciągle żyły, reszta zdecydowała się do nich dołączyć.

– Że wezwiemy wszystkie demony i odprawimy egzorcyzmy nad tym domem.

– A ona dała ci klucz?

– Praktycznie rzuciła nim we mnie.

Clara włożyła klucz do zamka, ale drzwi same się otworzyły. Puściła je i przyglądała się, jak klucz i klamka znikają w ciemności.

– Przypomnijcie mi, dlaczego to robimy? – szepnął pan Béliveau.

– Dla zabawy – odpowiedziała Sophie.

– Nie dla wszystkich to zabawa – dorzuciła Jeanne. Obchodząc ich grupkę, małe szara kobieta weszła do budynku.

Jedno po drugim wkraczali do dawnego domu Hadleyów. Wewnątrz było zimniej niż na zewnątrz. Wszędzie unosił się zapach pleśni. Dawno już

odłączono prąd, więc tylko kręgi światła latarek igrały po odklejających się, poplamionych wilgocią tapetach w kwiaty (wszyscy mieli nadzieję, że ta wilgoć to woda). Ośmieleni światłem, jak gdyby nieśli miecze, a nie latarki, zagłębili się we wnętrze domu. Podłogi skrzypiały pod ich ciężarem, z dala dobiegał odgłos trzepotania.

– Biedny ptaszek – powiedział Gabri. – Utknął gdzieś.

– Musimy go znaleźć – zdecydowała Madeleine.

– Oszalałaś? – wyszeptała Odile.

– Ona ma rację – wtrąciła Jeanne. – To może być zbłąkana dusza, jeśli nie co innego. Nie możemy jej zignorować.

Teraz stłoczyli się jak gigantyczny, wielonogi, pełzający owad złożony ze zjednoczonego strachu. Posuwali się przez zawilgłe wnętrza, zatrzymując się od czasu do czasu, by zebrać się w sobie.

– Jest na górze – szepnęła Jeanne.

– No pewnie – odrzekł Gilles. – Takie stworzenia nigdy nie są tuż przy wejściu. Nie mieszkają w różanym ogrodzie ani w ciężarówce obwoźnego sprzedawcy lodów.

– To jak gra, w którą grywałam z Peterem – powiedziała Clara do Myrny, której naprawdę to ani trochę nie obchodziło.

Myrna zastanawiała się, czy znowu będzie najpowolniejsza ze wszystkich i jako ostatnia stąd wyjdzie. Może Hazel będzie szła jeszcze wolniej i to ją porwą demony – pomyślała Myrna i rozpogodziła się trochę. Ale przecież Hazel mogła nabrać rozpędu, jeśli w grę wchodziło ratowanie córki. Jako psycholog Myrna wiedziała, że matki potrafią się wykazać zadziwiającą energią, gdy chodzi o ich dzieci.

Pieprzony instynkt macierzyński – pomyślała Myrna. – Znowu mi utrudnia życie.

Myrna weszła na schody, pokryte wytartym, przeżartym przez mole chodnikiem, i z mozołem zaczęła się wspinać po kolejnych stopniach, słysząc przy tym, jak trzepotanie skrzydeł przybiera na sile.

– Za każdym razem, gdy oglądamy z Peterem horror i ludzie wchodzi do

nawiedzonego domu... – ciągnęła Clara (podczas gdy Myrna pomyślała: Dobra. Demony z pewnością skupią się na niej.) – ...gramy w „Kiedy czas uciec?”. Dokoła bohaterów lewitują głowy bez ciała, ich przyjaciele zostają wybebeszeni, a oni nie wychodzą.

– Skończyłaś?

– Owszem, tak. – Clara jeszcze bardziej zdołała wystraszyć samą siebie i pomyślała, że jeśli to byłby film, Peter krzyczałby do ekranu, żeby uciekała.

– Tutaj.

– No pewnie – mruknął Gilles.

Jeanne stała przed zamkniętymi drzwiami. Jedynymi na całym piętrze, które były zamknięte. Zapadła cisza. Nagle skrzydła zatrzepotały jak szalone, tłukąc się o drzwi, jak gdyby stworzenie rzuciło się na nie.

Jeanne wyciągnęła rękę, ale pan Béliveau położył swą długą, szczupłą dłoń na jej nadgarstku, zdejmując jej rękę z uchwytu. Potem stanął przed nią i sam położył dłoń na klamce.

I otworzył drzwi.

Nic nie widzieli. Nieważne, jak długo by wpatrywali się w ciemność, ich oczy nie chciały się do niej przyzwyczaić. Jednak coś ich znalazło. Nie ptak, który na chwilę ucichł. Coś innego.

Z pokoju uniosła się fala zimnego powietrza, a z jej prądem przypląnął wonny zapach. Pokój pachniał kwiatami. Świeżymi wiosennymi kwiatami.

Stojącą w drzwiach Clarę ogarnęła melancholia, smutek sączący się w głąb jej duszy jak woda wsiąkająca w grunt. Czowała wielką ponurość tego pokoju. Jego tęsknotę. Wciągnęła haust powietrza, uświadamiając sobie, że wstrzymywała oddech.

– Chodźcie – szepnęła Jeanne, a Clarze wydało się, że ten głos rozbrzmiewa w jej własnej głowie. – Zróbmy to, po co tu przyszliśmy.

Cała grupa przyglądała się, jak najpierw Jeanne, a potem Clara wkroczyły w ciemność.

Pozostali podążyli za nimi i wkrótce pokój wypełnił się plamami światła latarek. Ciężkie aksamitne zasłony zwisały krzywo przy oknach. Pod ścianą



stało łóżko z czterema słupkami pod baldachim, wciąż zaścielone pościelą w beżach i koronkach. Poduszka była wgnieciona, jakby niedawno spoczywała na niej jakaś niespokojna głowa.

– Znam ten pokój – powiedziała Myrna. – I wy także – zwróciła się do Clary i Gabriego.

– Dawna sypialnia Timmer Hadley – stwierdziła Clara zdziwiona, że sama jej nie rozpoznała. Taka jednak była potęgą strachu. Clara była w tym pomieszczeniu mnóstwo razy, opiekując się umierającą staruszką.

Nienawidziła Timmer Hadley. Nienawidziła tego domu. Nienawidziła węży, których oślizgłe pełzanie słyszała z piwnicy. Kilka lat temu ten dom prawie ją zabił. Clara poczuła falę wstrętu. Pragnienie, by podpalić to przekłete gmaszysko. To miejsce, w którym gnieździły się smutek, złość i lęk, ale nie dlatego, że dom chciał im oddać bezinteresowną przysługę. Nie.

Dawny dom Hadleyów był wylęgarnią wszystkich tych rzeczy, wysyłał w świat smutek i grozę, a teraz to potomstwo wracało do domu, jak synowie i córki, przyjeżdżający na Wielkanoc.

– Idźmy stąd – zdecydowała Clara, odwracając się w stronę drzwi.

– Nie możemy – odpowiedziała Jeanne.

– Dlaczego nie? – zapytał pan Béliveau. – Zgadzam się z Clarą. Tu jest nieprzyjemnie.

– Poczekajcie – odezwał się Gilles.

Wielki mężczyzna stał pośrodku pokoju z zamkniętymi oczami, a gdy odchylił głowę do tyłu, jego kosmata ruda broda wskazywała w stronę ściany.

– To tylko dom – orzekł w końcu spokojnym i pełnym uporu głosem. – Potrzebuje naszej pomocy.

– Ale to bez sensu – zaprzeczyła Hazel, próbując ująć Sophie za rękę, mimo że dziewczyna raz za razem ją odpychała. – Albo to jest tylko dom, albo potrzebuje naszej pomocy.

Jedno albo drugie, ale nie oba naraz. Mój dom nigdy nie prosi o pomoc.

– Może się nie przysłuchiwałaś – zasugerował Gilles.

– Ja chcę zostać – powiedziała Sophie. – A ty, Madeleine?

– Możemy usiąść?

– Połóż się, jeśli chcesz – podpowiedział Gabri, świecąc na łóżko.

– Nie, dziękuję, *mon beau* Gabri. Jeszcze nie teraz. – Madeleine uśmiechnęła się i napięcie osłabło.

Bez dalszych dyskusji cała grupa wzięła się do pracy. Przyniesiono do sypialni krzesła i ustawiono je w kręgu. Jeanne położyła torbę, którą ze sobą przyniosła, na jednym z krzeseł i zaczęła się rozpakowywać, podczas gdy Clara i Myrna przyglądały się otoczeniu. Spojrzały na kominek z ciemnym mahoniowym frontem i na wiszące nad nim ponure wiktoriańskie portrety.

Biblioteczka była pełna oprawnych w skórę tomów, pochodzących z czasów, kiedy ludzie jeszcze je czytali, a nie tylko kupowali na metry od dekoratorów wnętrz.

– Zastanawiam się, gdzie się podział ptak – powiedziała Clara, sięgając po przedmioty stojące na komodzie.

– Ukrywa się przed nami, biedactwo. Prawdopodobnie jest przerażony – odrzekła Myrna, kierując latarkę do kąta. Ani śladu ptaka.

– Tu jest jak w muzeum. – Gabri przyłączył się do nich, podnosząc srebrne lustro.

– Raczej jak w mauzoleum – poprawiła go Hazel.

Kiedy znów odwrócili się do wnętrza pokoju, ze zdziwieniem zauważyli, że oświetlały je świece. Co najmniej dwadzieścia stało porozstawianych po całej sypialni. Światło było miękkie, ale jakimś sposobem ich blask, tak ciepły i przyjazny u Clary i Petera, w tym pomieszczeniu był własną karykaturą. Ciemność zdawała się jeszcze gęstsza, a migoczące płomienie rzucały groteskowe cienie na bogato zdobioną tapetę. Clara miała ochotę zgasić wszystkie świece, zduszając przy tym demony, którymi stały się ich własne cienie. Nawet jej cień, tak znajomy, był zniekształcony i wstrętny. Siedząc teraz w kręgu, plecami zwrócona do otwartych drzwi, Clara zauważyła, że cztery świece nie zostały zapalone. Kiedy już wszyscy zajęli miejsca na krzesłach, Jeanne sięgnęła do woreczka, a następnie przeszła wzdłuż kręgu, rozsypując coś.

– Teraz to jest święty krąg – zaintonowała. Jej twarz była raz w cieniu, raz oświetlona, oczy zapadły się w głąb i wyglądały jak puste oczodoły. – Ta sól pobłogosławi nasz krąg i ochroni wszystkich.

Clara poczuła, jak Myrna chwytła ją za rękę. Jedyńm dźwiękiem było cichutkie chrobotanie soli, którą Jeanne rozsypywała dokoła. Skóra na głowie Clary mrowiła, każdy dźwięk był mocno odczuwalny. Przerazała ją myśl o ptaku, szybującym z krzykiem w ciemności z wyciągniętymi szponami i otwartym dziobem. Skóra na karku jej cierpła.

Jeanne zapaliła zapałkę, Clara niemal wyskoczyła ze skóry.

– Zapraszamy do tego świętego kręgu mądrość czterech stron świata, by nas chroniła, prowadziła, strzegła nas w czasie pracy, jaką wykonamy w tę noc, oczyszczając ten dom z duchów, które się w nim gnieźdzą. Ze zła, które się tu zadomowiło. Z wszelkiej niegodziwości, strachu, grozy, nienawiści, co związała się z tym domostwem. Z tym pokojem.

– Czy już się dobrze bawimy? – wyszeptał Gabri.

Jeanne zapaliła świece jedną po drugiej i wróciła na miejsce, zbierając się w sobie. Ona jedna była opanowana. Clara czuła, jak serce jej wali, a oddech staje się urywany. Obok niej Myrna otrząsała się, jakby ją coś oblaźło. Wszyscy siedzący wokół byli bladzi i gapili się w przestrzeń. Może to nie jest święty krąg – pomyślała Clara – ale na pewno nie śnięty: wszyscy są przerażeni. Rozejrzała się i pomyślała: „Gdyby to był film, który oglądają z Peterem skuleni na kanapie, kto zostałby porwany jako pierwszy?”.

Czy pan Béliveau, wystraszony, chudy, w żałobie?

Gilles Sandon, ogromny i mocarny, bardziej u siebie w puszczy niż w wiktoriańskim pałacyku? Hazel, taka dobra i hojna. A może raczej słaba? A może jej córka, nienasycona Sophie? Nie. Spojrzenie Clary spoczęło na Odile. To ją straciliby jako pierwszą. Biedna, słodka Odile. Tak naprawdę już przepadła. Najbardziej głodna uwagi, ta, za którą tęskniło się najmniej. Genetycznie zaprogramowano ją na pierwszą ofiarę. Clara była przybita brutalnością tych myśli. Winiła za nie ten dom. To on dusił to, co dobre, zachęcał to, co złe.

– A teraz wzywamy umarłych – kontynuowała Jeanne, a Clara, która nie myślała, że strach może być jeszcze większy, przestraszyła się jeszcze bardziej. – Wiemy, że tu jesteście.

– Głos Jeanne rósł w siłę. – Nadchodzą. Z piwnicy, ze strychu. Są teraz wszędzie dokoła nas. Idą korytarzem.

Clara była pewna, że słyszy kroki. Szurające, kulawe odgłosy stóp na dywanie na zewnątrz. Widziała mumię z wyciągniętymi ramionami, w brudnych i nadgniłych bandażach, przesuającą się ku nim przez ciemny, przeklęty korytarz. Dlaczego zostawili otwarte drzwi?

– Pokażcie się – zacharczała Jeanne. – Teraz! – Klasnęła w ręce.

Wewnątrz ich świętego kręgu dał się słyszeć okrzyk. A potem następny.

I głuchy odgłos.

Umarli przybyli.

## 9

Nadinspektor Armand Gamache uniósł wzrok znad gazety i rzucił przelotne spojrzenie na swoją maleńką wnuczkę. Siedziała w błocie na brzegu Lac aux Castors<sup>[8]</sup>, wciskając do ust brudny palec od nogi. Jej twarzyczkę pokrywało błoto, czekolada albo coś, o czym nadinspektor nie śmiał nawet myśleć.

Był Poniedziałek Wielkanocny i wydawało się, że cały Montreal wpadł na ten sam pomysł: poranny spacer wokół Mont Royal do leżącego na szczycie wzgórza jeziora. Gamache i Reine-Marie usadowili się w słońcu na jednej z ławeczek i patrzyli, jak ich syn z rodziną korzystają z uroków ostatniego pięknego dnia w Montrealu przed powrotem do Paryża.

Z radosnym okrzykiem mała Florence przewróciła się do wody. Gamache upuścił gazetę i prawie zerwał się z miejsca, gdy poczuł, że powstrzymuje go ręka żony.

– Daniel tam jest, *mon cher*. To do niego należy.

Armand zatrzymał się, ale spoglądał, wciąż gotowy do akcji. Obok niego młodzieńki wilczur Henri poderwał się czujnie na nogi, reagując na nagłą zmianę nastroju. Ale Daniel roześmiał się i wziął maleńką, ociekającą wodą córeczkę w szerokie, bezpieczne ramiona i zakopał twarz w jej brzuszku, rozśmieszając małą, która objęła głowę tatusia. Gamache odetchnął i odwrócił się do Reine-Marie, po czym schylił się, by ją ucałować i szepnął: „Dziękuję ci” w jej siwiejące włosy. Później wyciągnął rękę i pogłaskał Henriego po grzbiecie oraz ucałował go w czubek głowy.

– Dobry piesek.

Henri nie mógł już dłużej się powstrzymać i podskoczył, unosząc przednie łapy prawie do ramion nadinspektora.

– Spokój! – zakomenderował Gamache. – Siad. – Henri natychmiast opadł na ziemię. – Leżeć.

Henri położył się, skruszony. Nie było wątpliwości, kto tutaj rządzi.

– Dobry piesek – powtórzył Gamache i dał psu ciasteczko.

– Dobry pańcio – powiedziała do Gamache’a Reine-Marie.

– A gdzie moja nagroda?

– W publicznym parku, *monsieur l’inspecteur*? – Popatrzyła na inne rodziny, spacerujące po Parc Mont Royal, pięknym wzgórzu wznoszącym się w samym środku Montrealu. – Chociaż to pewnie nie byłby pierwszy raz.

– Dla mnie by był. – Uśmiechnął się Gamache, rumieniąc się trochę, zadowolony, że Daniel i jego rodzina nie mogli tego słyszeć.

– Jesteś bardzo słodki, na swój brutalny sposób. – Reine-Marie pocałowała go.

Gamache usłyszał szelest i nagle zobaczył, że część o książkach z jego gazety ulatuje w powietrze, kartka po kartce. Podskoczył i łapał je na oślep, próbując przydepnąć kartki, zanim odlecą. Florence, owinięta teraz kocykiem, przyglądała się temu, pokazując palcem i się śmiejąc.

Daniel postawił ją na ziemi, dziecko także tupało, jakby próbowało coś przydepnąć. Gamache zaczął poruszać się w jeszcze bardziej przesadny sposób, aż wszyscy – Daniel, jego żona Roslyn i mała Florence – unosili stopy, przydeptyując nieistniejące uciekające kartki gazety, podczas gdy nadinspektor ścigał te prawdziwe.

– Jak to dobrze, że miłość jest ślepa. – Zaśmiała się Reine-Marie, gdy Gamache wrócił do niej na ławkę.

– I niespecjalnie bystra – zgodził się nadinspektor, ściskając jej dłonie. – Nie za zimno ci?

Miałabyś ochotę na *café au lait*?

– A owszem. – Podniosła wzrok znad „La Presse”.

– Czekaj, tato, pomogę ci. – Daniel oddał małą Florence Roslyn i dwaj mężczyźni pomaszrowali do pawilonu stojącego w lasku nieopodal jeziorka. Po przeznaczonych do jazdy konnej ścieżkach Mount Royal przemykali biegacze, tu i tam śmignął i zniknął jakiś rowerzysta. Był przepiękny wiosenny dzień i nawet ciepło w młodym słońcu.

Reine-Marie przyglądała się odchodzącym: byli jak dwie krople wody. Tacy podobni do siebie. Wysocy, mocno zbudowani, jak dęby. Brunatne włosy Daniela właśnie zaczynały rzednąć, Armand miał prawie łysy czubek głowy. Równo przycięte baczki zaczynała przyprószać siwizna. Dobrze już po pięćdziesiątce, Armand Gamache znakomicie się trzymał – w co trudno było uwierzyć – syn także dobrze się prezentował.

– Czy stęskniłaś się za nim okropnie? – Roslyn usiadła koło teściowej i popatrzyła na jej łagodną, poznaczoną zmarszczkami twarz.

Kochała Reine-Marie od czasu pierwszego domowego obiadu, na jaki starsza pani ją zaprosiła. Zaczęła dopiero spotykać się z Danielem, kiedy ten postanowił przedstawić ją swojej rodzinie. Była przerażona tą perspektywą. Nie dlatego nawet, że wiedziała, że go kocha, ale na myśl o spotkaniu ze sławnym nadinspektorem Armandem Gamache'em. Jego stanowcze i sprawiedliwe podejście do każdej, choćby najtrudniejszej sprawy o morderstwo uczyniło z niego w Quebecu prawdziwą legendę. Wychowywała się, wpatrując się w twarz nadinspektora, spoglądając na nią z gazety, czytanej przy śniadaniowym stole przez jej ojca, którego interesowały przygody sławnego policjanta. Przez lata twarz Gamache'a na tych fotografiach postarzała się, włosy przerzedły i posiwiały, zarys twarzy się nieco zaokrąglił. Pojawił się na niej przystrzyżony wąsik – narosły też zmarszczki, niewynikające z zagięć na powierzchni gazety.

A teraz, co wydawało się niewiarygodne, Roslyn miała poznać tego człowieka z bliska, w trzech wymiarach.

– *Bienvenue*. – Nadinspektor uśmiechnął się do niej i skłonił lekko, otwierając drzwi mieszkania w dzielnicy Outremont. – Jestem ojcem Daniela. Proszę wejść.

Miał na sobie szare flanelowe spodnie, wygodny kaszmirowy kardigan, koszulę i krawat, stosowne na niedzielny obiad. Pachniał drewnem sandałowym, a jego dłonie były ciepłe i mocne – uściśnięcie ich przypominało opadnięcie na znajomy fotel. Znała dotyk takich rąk. Ręce Daniela też takie były. Od tamtej pory minęło pięć lat i tyle się wydarzyło. Wzięli ślub, urodziła się Florence.

Pewnego dnia Daniel przybiegł do domu w podskokach, by jej powiedzieć, że firma menedżerska zaproponowała mu pracę w Paryżu. Kontrakt tylko na dwa lata, ale co ona na to? Nie musiała się nawet namyślać. Dwa lata w Paryżu? Już minął rok i byli tam szczęśliwi. Tęsknili jednak za rodziną i doskonale wiedzieli, jak straszliwym bólem dla obu dziadków było żegnanie się z małą Florence na lotnisku. Jak trudno było im nie oglądać jej pierwszych kroczków, nie słyszeć pierwszych słów, nie asystować przy jej pierwszym ząbkowaniu, nie być świadkiem, jak zmienia się jej twarz, jej nastrój. Roslyn spodziewała się, że to dla jej mamy będzie najtrudniejsze, ale najwyraźniej to dziadek Armand znosił rozłąkę najgorzej. Serce Roslyn pękało, gdy szła przeszklonym korytarzem do samolotu i widziała, jak Gamache przyciska dłonie do okien poczekalni. Nigdy jednak się nie poskarżył. Cieszył się, że są szczęśliwi i dawał im to odczuć.

I nie dąsał się, gdy wyjeżdżali.

– Będziemy za wami tęsknić – powiedziała Reine-Marie, z uśmiechem ujmując dłoń synowej.

Teraz kolejne dziecko było w drodze. Powiedzieli o tym obu rodzinom przy wielkopiątkowej kolacji, a te wieści powitano okrzykiem radości. Ojciec Roslyn przyniósł butelkę szampana, Armand zaś pognął do sklepu po jakiś bezalkoholowy cydr i wszyscy wzniesli toast za pomyślność rodziny.

Gdy ojciec i syn czekali na zamówienie, Armand położył rękę na ramieniu syna i poprowadził go w głąb pawilonu, z dala od wzroku gapiów. Sięgnął do kieszeni swojej marynarki od Barboura i wyciągnął z niej kopertę, którą wręczył Danielowi.

– Tato, nie trzeba – szepnął Daniel.

– Proszę, weź.

– Dzięki. – Daniel wsunął kopertę do kieszeni płaszcza.

Syn uściskał ojca. Wyglądało to, jakby obejmowały się kolosy z Wyspy Wielkanocnej.

Ktoś im się przyglądał.

Roslyn i Florence właśnie przyłączyły się do innej młodej rodziny, a Daniel



powędrował w stronę ławki, na której przysiadł Armand, wręczając żonie kubek z kawą i ponownie biorąc do ręki gazetę. Reine-Marie zagłębiła się w lekturze pierwszej strony „La Presse”. Nie zdarzało się, by go nie pozdrowiła, ale wiedział, że obojgu im zdarzało się kompletnie pogrążyć w lekturze.

Henri drzemał w słońcu przy nogach swoich państwa, a nadinspektor popijał kawę i przyglądał się przechodzącym obok spacerowiczom.

Dzień był przepiękny. Po kilku minutach Reine-Marie opuściła gazetę, Jej twarz była zatroskana. Niemal przestraszona.

– Co się stało? – Gamache wyciągnął swoją dużą dłoń i oparł na przedramieniu żony, zaglądając jej pytająco w oczy.

– Czytałeś wiadomości?

– Na razie tylko dział o książkach, dlaczego?

– Czy to możliwe, by umrzeć ze strachu?

– Co masz na myśli?

– Najwyraźniej ktoś umarł ze strachu.

– *Mais, c'est horrible.*

– W Three Pines. – Reine-Marie przyglądała się twarzy męża.

– W dawnym domu Hadleyów.

Armand Gamache pobladł.

## 10

– Wejdz, Armandzie. *Joyeuses Pâques*. – Naczelnik Brébeuf uściskał dłoń nadinspektora i zamknął drzwi.

– *Et vous, mon ami*. – Gamache się uśmiechnął. – Wesołych świąt.

Niespodzianka, jaką była wiadomość od Reine-Marie, nieco się już opatrzyła. Gamache przeczytał artykuł. Właśnie go kończył, gdy zadzwoniła komórka. Telefonował jego przyjaciel i zwierzchnik z Sûreté du Québec, Michel Brébeuf.

– Mamy nową sprawę – powiedział Brébeuf. – Wiem, że jest u ciebie Daniel z rodziną, przykro mi, że niepokoję. Znajdziesz czas?

Gamache wiedział, że Brébeuf pyta z grzeczności, mógł po prostu wydać mu rozkaz. Ale dwaj mężczyźni wychowali się razem, od dawna byli serdecznymi przyjaciółmi, razem zaciągnęli się do Sûreté. Obaj ubiegali się nawet o posadę naczelnika. Dostał ją Brébeuf, ale nie wpłynęło to na ich przyjaźń.

– Wracają dziś wieczorem do Paryża. Nie martw się. To była dobra wizyta, choć, jak zawsze, za krótka. Niedługo przyjadę.

Gamache pożegnał się z synem, synową i Florence.

– Zadzwonię później – obiecał Reine-Marie, całując ją na pożegnanie.

Pomachała mu i przyglądała się, jak odchodził pewnym krokiem w stronę parkingu, ukrytego w kępie sosen. Patrzyła za nim, aż zniknął. Stała jeszcze przez chwilę.

– Czytałeś gazetę? – zapytał Brébeuf, zasiadając na obrotowym krześle za biurkiem.

– Nie tyle czytałem, ile goniłem za nią. – Gamache przypomniał sobie, jak próbował czytać, i przywołał w pamięci odciski swoich ciężkich butów na drukowanym papierze. – Nie mówisz chyba o sprawie z Three Pines?

– Więc czytałeś gazetę.

– Reine-Marie mi to pokazała. Napisano, że zgon był naturalny. Dziwaczny, ale naturalny. Czy naprawdę umarła ze strachu?

– To samo powiedział lekarz ze szpitala w Cowansville. Atak serca. Ale...

– Słucham dalej.

– Musisz zobaczyć na własne oczy, ale słyszałem, że wyglądała, jakby... – Brébeuf przerwał na moment, zbyt zakłopotany, by powiedzieć to wprost – ..jakby właśnie coś zobaczyła.

– W gazecie napisano, że uczestniczyła w seansie spirytystycznym w dawnym domu Hadleyów.

– Seans – prychnął Brébeuf. – Co za bzdura. Rozumiem, kiedy dzieci się w to bawią, ale dorośli? Nie mam pojęcia, dlaczego ktokolwiek chce marnować czas na takie głupoty.

Gamache zastanawiał się, dlaczego naczelnik przyszedł do pracy w dzień wolny. Nie przypominał sobie, by Brébeuf kiedykolwiek dyskutował o sprawie, zanim się jeszcze zaczęła.

Więc dlaczego mówił o tej?

– Dopiero rano lekarz pomyślał o tym, by zbadać krew denatki. Oto, co wyszło w testach.

– Brébeuf wręczył nadinspektorowi kartkę. Gamache założył okulary w kształcie półksiężyców.

Czytał setki takich dokumentów, wiedział dokładnie, czego szukać. Raport toksykologiczny. Po minucie opuścił kartkę, patrząc na Brébeufa znad okularów.

– Efedryna.

– *C'est ç a.*

– Ale czy to musi być morderstwo? – zapytał Gamache niemal sam siebie. – Czy ludzie nie biorą efedryny z własnej nieprzymuszonej woli?

– Jest zakazana – odparł Brébeuf.

– Taaa, to prawda – odrzekł Gamache, zajęty czym innym. Jeszcze raz

przejrzał raport.

Po chwili powiedział: – To ciekawe. Posłuchaj. – Zaczął czytać. – Zmarła ma metr siedemdziesiąt wzrostu i waży sześćdziesiąt jeden kilo<sup>[9]</sup>. Nie wydaje się, żeby musiała odchudzać się pigułkami. – Nadinspektor zdjął okulary i złożył je.

– Większość ludzi nie musi. Tak im się tylko wydaje – odpowiedział Brébeuf. – To tylko ich wyobraźnia.

– Ciekawe, ile ważyła kilka miesięcy wcześniej? – zastanawiał się Gamache. – Może w ten sposób zeszła do sześćdziesięciu jeden kilo. – Popukał okularami w raport. – Z pomocą efedryny.

– Być może – zgodził się Brébeuf. – Twoim zadaniem jest się tego dowiedzieć.

– Czy to było morderstwo, czy nieszczęśliwy wypadek? – Gamache wrócił do lektury dokumentu, który trzymał w ręku, zastanawiając się, co jeszcze w nim wyczyta. Ale nadinspektor wiedział, że odpowiedź na takie pytanie rzadko znajduje się w papierach. Czy to morderstwo?

Kto zabił? Dlaczego morderca nienawidził lub bał się tej kobiety tak bardzo, że pozbawił ją życia? Dlaczego? Dlaczego? Zawsze najpierw „dlaczego”, dopiero potem „kto”.

Nie, odpowiedź musiała leżeć w materialnych, żywych rzeczach, nie w książkach, nie w raporcie. Często nawet nie w dowodach związanych z ciałem, ale w tym, czego nie dało się uchwycić, zakwalifikować, dotknąć. Odpowiedzi kryły się w mętnej przeszłości i emocjach, które się tam skrywały. Papier, który nadinspektor trzymał w ręku, mógł dostarczyć faktów, ale nie prawdy. Po nią musiał jechać do Three Pines. Po nią musiał znowu pójść do dawnego domu Hadleyów.

– Kogo weźmiesz do zespołu? – To pytanie ściągnęło Gamache’a z powrotem do gabinetu przyjaciela. Brébeuf starał się zabrzmieć nieformalnie, ale dziwaczność tego pytania była nie do ukrycia. Naczelnik nigdy wcześniej nie kwestionował decyzji Armanda Gamache’a, szefa wydziału zabójstw, ani w zakresie procedury, ani w czymś tak przyziemnym

jak dobór personelu.

– Dlaczego pytasz?

Brébeuf ujął długopis i popukał nim gwałtownie w stos papierów do załatwienia.

– Doskonale wiesz, czemu pytam. To ty zwróciłeś mi uwagę na jej zachowanie. Czy przydzielisz Yvette Nichol do pracy nad tą sprawą?

Wszystko jasne. To pytanie dręczyło Gamache'a, kiedy jechał tutaj z Mont Royal. Czy Nichol powinna być w jego zespole? Czy to już czas? Siedział nawet w swoim volvo na prawie pustym parkingu, należącym do Sûreté, i próbował podjąć decyzję. Mimo to i tak był zdziwiony, gdy naczelnik o to zapytał.

– Co mi radzisz?

– Czy podjąłeś już decyzję, czy też mam szansę mieć na nią wpływ?

– Szczerze powiem, Michel, w zasadzie zdecydowałem. Ale wiesz, jak cenię twoje zdanie.

– *Voyons*, co byś wolał teraz dostać? Moją opinię czy brioszkę?

– Brioszkę – przyznał Gamache z uśmiechem. – Ale ty też.

– *C'est la vérité*. No więc tak. – Brébeuf wstał i przeszedł na drugą stronę biurka, usiadł na nim i wpatrywał się w nadinspektora. – Przyjąć ją, *cóž, c'est fou*. Szaleństwo. Znam cię.

Chcesz ją zbawić, zrehabilitować. Zmienić ją w dobrą, lojalną funkcjonariuszkę. Mam rację, prawda?

Michel Brébeuf już się nie uśmiechał. Gamache otworzył usta z zamiarem powiedzenia czegoś, ale zmienił zdanie. Zamiast tego słuchał tyrady przyjaciela. A ten nie przestawał perorować.

– Pewnego dnia to twoje ego cię wykończy. To o to tu chodzi. Udajesz, że to tak bezinteresownie, że jesteś dla nich mentorem, tym mądrym, cierpliwym Armandem Gamache'em, ale obaj wiemy, że to ego. Duma. Ostrożnie, przyjacielu. Nichol jest niebezpieczna. Sam to powiedziałaś.

Gamache czuł, jak serce mu wali, musiał wziąć kilka głębokich oddechów, by się uspokoić. By nie odpowiadać na gniew gniewem. Wiedział, że Michel

Brébeuf mówi tak dlatego, że jest naczelnikiem, ale także dlatego, że się przyjaźnią.

– Czas doprowadzić do końca sprawę Arnot – powiedział Gamache stanowczo.

O to chodziło. Wreszcie powiedział to głośno. Cholerny Arnot: gnił za kratami, ale i tak ciągle go prześladował.

– Tak przypuszczałem – stwierdził Brébeuf, wracając na swoje miejsce za biurkiem.

– Dlaczego tu jesteś, Michel?

– W moim gabinecie?

Gamache umilkł i obserwował przyjaciela. Wreszcie Brébeuf pochylił się do przodu, oparł łokcie na szerokim biurku, jakby miał zamiar się przez nie przeczołgać i owinąć wokół głowy Gamache'a.

– Wiem, co ci się przydarzyło kiedyś w dawnym domu Hadleyów. Prawie tam zginąłeś...

– Nie było aż tak źle.

– Nie kłam mi, Armandzie – ostrzegł Brébeuf. – Chciałem ci osobiście powiedzieć o tej sprawie i zobaczyć, jakie masz odczucia.

Gamache milczał, szczerze poruszony.

– Jest w tym miejscu coś szczególnego – przyznał nadinspektor po chwili.  
– Nigdy tam nie byłeś, prawda?

Brébeuf pokręcił głową.

– Coś tam jest. Jakby głód, potrzeba, którą trzeba zaspokoić. Muszę brzmieć jak szaleniec.

– Myślę, że i w tobie jest potrzeba równie destrukcyjna – odrzekł Brébeuf.  
– Masz potrzebę pomagania ludziom. Na przykład takiej Nichol.

– Nie chcę jej pomóc. Zamierzam zdemaskować ją i jej przełożonych. Jestem przekonany, że ona pracuje dla frakcji popierającej Arnota, wspomniałem już o tym.

– Więc ją zwolnij – rzucił Brébeuf zniecierpliwiony. – Jedynym powodem,

dla którego ja tego nie zrobiłem, jest fakt, że poprosiłeś, abym jej nie zwalniał. Jako o osobistą przysługę.

Posłuchaj, sprawa Arnota nigdy się nie zakończy. Zbyt głęboko tkwi w całym systemie. Każdy funkcjonariusz Sûreté jest w nią tak czy inaczej uwikłany. Wiesz, że większość jest po twojej stronie. Ale ci, co nie są – tu Brébeuf wzniosł dłonie w górę w prostym, wymownym geście kapitulacji – mają dużą władzę, a Nichol służy za ich oczy i uszy. Jak długo ona jest w twoim otoczeniu, grozi ci niebezpieczeństwo. Oni cię zniszczą.

– To działa w dwie strony, Michel – powiedział Gamache zmęczonym głosem. Rozmowy o byłym naczelniku Arnocie zawsze go wyczerpywały. Myślał, że to stara sprawa. Dawno umarła, pogrzebana. Ale wracała. Wstawała z martwych. – Kiedy mam ją pod ręką, mogę kontrolować, co robi, co widzi.

– Głupiec z ciebie. – Brébeuf potrząsnął głową.

– Dumny, uparty arogant – zgodził się Gamache, ruszając w stronę drzwi.

– Możesz wziąć Nichol – powiedział Brébeuf, odwracając się plecami do gościa i patrząc w okno.

– *Merci.*

Gamache zamknął drzwi i ruszył do swojego gabinetu, by wykonać kilka telefonów.

Zostawszy sam w biurze, naczelnik Brébeuf także podniósł słuchawkę i zadzwonił.

– Mówi naczelnik Brébeuf. Wkrótce zadzwoni nadinspektor Gamache. Nie, nic nie podejrzewa. Myśli, że problemem jest Nichol.

Brébeuf odetchnął głęboko kilka razy. Osiągnął ten etap, że samo patrzenie na Armanda Gamache'a przyprawiało go o mdłości.

Inspektor Jean Guy Beauvoir prowadził volvo przez most Pont Champlain, przecinający Rzekę Świętego Wawrzyńca, a stamtąd na autostradę do kantonów wschodnich, na południe, w stronę granicy ze Stanami. Gdy poprzednie volvo Gamache'a wreszcie padło jakiś rok wcześniej, Beauvoir zasugerował nadinspektorowi, by kupił morissa, ale z jakiegoś powodu jego

szef uznał, że to żart.

– No więc co to za sprawa?

– Wczoraj wieczorem kobieta umarła ze strachu w Three Pines – odparł Gamache, wpatrując się w przemykający za oknem krajobraz.

– *Sacré*. To kogo szukamy, ducha?

– To bliższe prawdy niż może pan przypuszczać. To się stało na seansie spirytystycznym.

W dawnym domu Hadleyów. – Gamache odwrócił się, by popatrzeć na przystojną, szczupłą twarz inspektora. Jego oblicze stało się jeszcze bardziej napięte, usta zacisnęły się i pobladyły.

– To popieprzone miejsce – stwierdził wreszcie Beauvoir. – Ktoś powinien zrównać ten dom z ziemią.

– Myśli pan, że to dom jest winien?

– A pan nie?

Dziwne było słyszeć z ust Beauvoira takie stwierdzenie. Zwykle był racjonalistą, trzymał się faktów, nie wierzył w rzeczy, których się nie da zobaczyć, na przykład w uczucia.

Znakomicie uzupełniał swojego szefa, który – zdaniem Beauvoira – spędzał zbyt wiele czasu na zaglądaniu innym ludziom do głów i serc. Beauvoir twierdził, że w tych miejscach gnieździ się chaos i sam unikał ich, jak mógł.

Ale jeśli istniało wcielenie zła, według Beauvoira był nim dawny dom Hadleyów. Inspektor przekręcił się niespokojnie na siedzeniu kierowcy, czując nagły dyskomfort w atletycznym ciele, po czym spojrzał na szefa. Gamache wnikliwie mu się przyglądał. Ich spojrzenia się spotkały, wzrok Gamache'a pozostał nieugięty i spokojny, jego oczy w kolorze najgłębszego brązu wpatrywały się w szare źrenice Beauvoira.

– Kim była ofiara?



Droga prowadząca od autostrady do Three Pines należała do najbardziej malowniczych – i najbardziej zdrażliwych – ze znanych Gamache’owi szlaków. Samochód podskakiwał, tłukł się i odbijał na kolejnych dziurach, aż obaj z Beauvoirem czuli się jak w jajecznicy podrzucanej na patelni.

– Ostrożnie. – Gamache wskazał olbrzymią dziurę w bitej drodze.

Próbując ją ominąć, Beauvoir wjechał w jeszcze większą, a wtedy niemal nowiutkie volvo przemknęło przez serię fal, przejeżdżając po głębokim błocie.

– Jeszcze jakieś porady? – warknął Beauvoir, przykuwając wzrok do szosy.

– Zamierzam po prostu krzyknąć „uwaga” co kilka sekund – odparł Gamache. – Uwaga!

– I faktycznie, przed nimi otwierała się wyrwa szeroka jak krater po asteroidzie.

– Kurwa – Beauvoir ostro skręcił kierownicą, ledwo mijając dziurę. – To wygląda, jakby ten dom po prostu nie chciał, byśmy do niego dojechali.

– I nakazał drogom, by nas pochłonęły? – Nawet Gamache, zwykle zachwycony różnymi egzystencjonalnymi pomysłami, uznał ten za zaskakujący. – Nie sądzi pan, że to raczej wiosenna odwilż?

– Cóż, przypuszczam, że to może być przyczyna. Ostrożnie.

Wjechali w kolejną dziurę i podskoczyli na niej. Kołysząc się, wykręcając i przeklinając, powoli zagłębiali się w las. Bita droga wiła się przez sosnowe i klonowe zagajniki, wzdłuż dolin, wspinała po zboczach niewielkich gór. Przecinała, pulsujące od wiosennych roztopów strumienie i szare jeziora, z których dopiero co spłynął zimowy lód.

Wreszcie dotarli na miejsce. Gamache dostrzegł przed nimi znajomy, dziwnie kojący widok: samochody personelu badającego miejsce zbrodni

zaparkowane na poboczu drogi.

Dawnego domu Hadleyów jeszcze nie było widać. Beauvoir zatrzymał auto przy opuszczonym młynie, naprzeciwko domu. Wysiadając z samochodu, Gamache poczuł aromat tak słodki, że aż musiał zamknąć oczy i zatrzymać się na moment. Wciągając zapach głęboko w nozdrza, rozpoznał go. Świeża sosna. Młode pąki o silnym, świeżym zapachu. Nadinspektor zmienił buty na kalosze, włożył nieprzemakalną wojskową kurtkę Barboura na marynarkę z krawatem i wsunął na głowę tweedową czapkę. Wciąż nie patrząc na dawny dom Hadleyów, poszedł z boczem wzgórze. Beauvoir naciągnął skórzaną włoską kurtkę na golf z wełny merynosów i oglądając efekt w lusterku, zauważył, że stoi bliżej, niż wydawało się w odbiciu. Po tej przyjemnej konstatacji podszedł do Gamache'a i dwaj mężczyźni stali ramie w ramie, spoglądając na dolinę.

To był ulubiony widok Armanda Gamache'a. W oddali wdzięcznie wznosiły się góry, składając się jedna w drugą, a zbocza pokrywała pianka świeżych jasnozielonych pączków. Czuł teraz nie tylko woń sosny, ale także zapach ziemi oraz inne aromaty. Ciężką piźmową woń zeschniętych jesiennych liści, zapach unoszącego się dymu z nad kominów – i jeszcze coś. Uniósł głowę i ponownie wciągnął powietrze w nozdrza, tym razem powoli. Pod nutą mocniejszych zapachów kryła się subtelniejsza woń.

Woń pierwszych wiosennych kwiatów.

Najwcześniejszych, najbardziej odważnych kwiatów. Gamache przywołał w pamięci pełną prostoty i godności kaplicę z drewnianą wieżyczką. Wznosiła się tuż przed nim, lekko w prawo.

Był u Świętego Tomasza wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że w ten piękny poranek światło ze starych witraży rozlewa się po jasnych ławkach nawy i drewnianej podłodze. Przedstawienie na witrażu pokazuje nie Chrystusa ani pełne chwały żywoty czy męczeńską śmierć świętych, ale trzech młodych chłopaków na froncie pierwszej wojny światowej. Dwóch z nich ukazano w profilu maszerujących naprzód. Trzeci spoglądał wprost na kongregację. Nie był to oskarżycielski wzrok, ani smutny, ani pełen lęku. Młody żołnierz patrzył z wielką miłością, jakby mówił, że to jego dar dla

zgrupowanych i powinni dobrze z niego korzystać. Poniżej wypisano nazwiska poległych w wojnach, i jeszcze jedno zdanie.

*Byli naszymi dziećmi.*

Teraz, stojąc na krawędzi wzgórza i spoglądając na najpiękniejsze, najbardziej pełne spokoju miasteczko, jakie kiedykolwiek widział, i wdychając woń dzielnych młodych kwiatów, zastanawiał się, czy zawsze to młodzi byli najodważniejsi. A starzy pogrążali się w lęku i tchórzostwie. A on sam? Z pewnością obawiał się wkroczyć do potwornej budowli, której oddech już czuł na karku. A może to Beauvoir się tego bał. On sam jednak obawiał się czegoś jeszcze, wiedział o tym.

Arnot. Przeklęty Arnot. I to, do czego był zdolny, nawet z za więziennych krat. Szczególnie z więzienia, do którego trafił za sprawą Gamache'a. Jednak nawet te mroczne myśli wyparowały w obliczu widoku, na który spoglądał. Jak mógł lękać się czegoś, gdy patrzył na to wszystko?

Three Pines leżało w dolinie. Dym z opalanych drewnem pieców unosił się znad kominów. Na klonach, drzewkach wiśni i jabłoni były już pąki, choć jeszcze nie rozkwitły.

Ludzie wędrowali, niektórzy pracowali w ogrodach, inni rozwieszali pranie na sznurkach, byli też tacy, którzy zamiatali szerokie wdzięczne werandy. Wiosenne porządki. Mieszkańcy miasteczka spacerowali po skwerku z płóciennymi torbami, pełnymi bagietek i innych produktów, których Gamache nie widział, ale sobie wyobrażał. Lokalnie wyrabiane sery i pasztety, jajka prosto od kur, aromatyczne ziarna kawy – wszystko z miejscowych sklepików.

Spojrzał na zegarek. Prawie południe. Gamache był w Three Pines przy okazji poprzednich śledztw i za każdym razem miał wrażenie, że tutaj jest jego miejsce. To było bardzo silne uczucie. Czy ludzie pragnęli czegoś więcej, jak gdzieś przynależeć? Tęsknił za tym, by zejść po błotnistym zboczu, pójść przez miasteczko i otworzyć drzwi do bistro Oliviera. Tam zagrzałby się przy ogniu, zamówił lukrecjowe fajeczki i cinzano. I może gęstą zupę grochową.

Poczytałby stare numery dodatku literackiego „Timesa” i porozmawiał z Olivierem i Gabrim o pogodzie.

Jak to się stało, że jego ulubione miejsce na świecie leżało tak blisko jego najmniej ulubionego?

– Co to? – Jean Guy Beauvoir położył mu rękę na ramieniu. – Słyszysz pan?

Gamache słuchał. Słyszał ptaki. I lekki wietrzyk, szeleszczący starymi liśćmi u jego stóp.

A teraz usłyszał coś jeszcze. Dudnienie. Nie, nawet więcej. Przyciszony ryk. Czy dawny dom Hadleyów za nimi ożył? Czy to on tak ryczał? Odrywając wzrok od sielskiego miasteczka, nadinspektor rozejrzał się powoli, aż jego wzrok wreszcie padł na dom. Dom spojrzał na niego, zimny i wyzywający.

– To rzeka, sir – powiedział Beauvoir, uśmiechając się niepewnie. – Rivière Bella Bella.

Wiosenne roztopy. Nic więcej. – Przyglądał się nadinspektorowi, gdy ten wpatrywał się w dom.

Potem Gamache mrugnął i z lekkim uśmiechem zwrócił się do Beauvoira:

– Jest pan pewien, że to nie dom zawarczał?

– Całkiem pewny.

– Wierzę panu – odparł Gamache ze śmiechem. Położył wielką dłoń na ramieniu odzianego w miękką skórzaną kurtkę młodszego kolegi, po czym spojrzał w kierunku dawnego domu Hadleyów.

Zbliżył się i z zaskoczeniem zauważył obłazującą farbę i wyszczerzone, powybijane okna.

Tabliczka „Na sprzedaż” przewróciła się, na dachu brakowało dachówek, zniknęło nawet parę cegieł z komina. Wyglądało to niemal tak, jakby dom zrzucił z siebie te fragmenty.

– Przestań – powiedział do siebie.

– Co „przestań”? – zapytał Beauvoir, niemal podbiegając, by zrównać się z szefem, który coraz dłuższymi krokami i coraz szybciej zmierzał w stronę domu.

– Powiedziałem to na głos, co? – Gamache nagle się zatrzymał. – Jean Guy – zaczął mówić, ale nie mógł sobie przypomnieć, co chciał powiedzieć. Podczas gdy Beauvoir czekał, a wyraz jego przystojnej twarzy zmieniał się z

pełnej szacunku uwagi w żartobliwy uśmiech, Gamache myślał.

Co mu chciałem powiedzieć? By był ostrożny? By pamiętać, że pozory mylą? I że dotyczy to domu Hadleyów, tej sprawy, a nawet ich własnego zespołu? Chciał odciągnąć młodszego kolegę jak najdalej od domu. Jak najdalej od śledztwa. I od siebie. Nic nie było takie, jakim się wydawało. Znany świat przepoczwarzał się, formował na nowo. Wszystko, co uważał za pewnik, za fakt, za niekwestionowaną prawdę, obróciło się w gruzy. Ale niech go diabli, jeśli zamierzał pójść w ich ślady. Jeśli miałby pozwolić, by ktokolwiek z tych, których kocha, tego doświadczył.

– Dom się rozpada – rzekł Gamache. – Niech pan będzie ostrożny.

– Pan też. – Beauvoir skinął głową.

Kiedy weszli do środka, Gamache był zdumiony, jak zwyczajne wydawało się to miejsce.

Nie było pełne zła. Jeśli już, wyglądało raczej żałośnie.

– Tutaj, nadinspektorze! – zawołała funkcjonariuszka Isabelle Lacoste, a jej brunatne włosy zwisały, gdy spojrzała znad ciemnej drewnianej balustrady schodów. – Umarła w tym pokoju. – Lacoste machnęła ręką za siebie i zniknęła. – *Joyeuses Pâques* – powiedziała chwilę później, gdy Gamache wspiał się po schodach i wszedł do pokoju.

Lacoste była ubrana wygodnie i z gustem, jak większość mieszkanek Quebecu. Miała dwadzieścia kilka lat, ale urodziła już dwójkę dzieci i nie zadała sobie trudu zrzucenia nadmiaru wagi w siłowni. Zamiast tego ubierała się dobrze i była zadowolona z rezultatów.

Gamache się rozejrzał. Luksusowe łoże z baldachimem pod jedną ścianą. Naprzeciwko kominek z ciężką wiktoriańską obudową. Na drewnianej podłodze leżał wielki indyjski dywan w odcieniach błękitu i burgunda. Ściany wyklejono zdobioną tapetą od Williama Morrisa, a lampy, zarówno kinkiety, jak i stołowe, były ozdobione frędzlami. Stojącą na toalecie lampę artystycznie owinięto chustą. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby cofnęli się o sto lat, z wyjątkiem kręgu krzesel pośrodku pokoju. Gamache policzył je. Dziesięć. Trzy były przewrócone.

– Ostrożnie, jeszcze tu nie skończyliśmy – ostrzegła ich Lacoste, gdy Gamache zrobił krok w kierunku krzesła.

– A to co? – Beauvoir wskazał na dywan i leżące na nim jakby grudki lodu.

– Sól, tak przynajmniej myślimy. Z początku podejrzewaliśmy, że to krystaliczna amfetamina albo kokaina, ale to sól kamienna.

– Po co posypywać dywan solą? – zapytał Beauvoir, nie oczekując riposty.

– Aby oczyścić wnętrze, jak sądzę – odparła nieoczekiwanie Lacoste. Nie wydawało się, by zdawała sobie sprawę z dziwaczności swojej odpowiedzi.

– Że co, proszę? – zapytał Gamache.

– Tu się odbywał seans, prawda?

– Tak słyszeliśmy – przytaknął nadinspektor.

– Nie rozumiem – dodał Beauvoir. – Sól?

– Wszystkiego się dowiecie – uśmiechnęła się Lacoste. – Jest wiele sposobów zaaranżowania seansu, ale tylko jeden wymaga kręgu z soli i czterech świeczek.

Wskazała na świece, stojące na dywanie wewnątrz kręgu. Gamache nie zauważył ich.

Jedna była przewrócona. Gdy pochylił się niżej, nadinspektorowi wydało się, że widzi stopiony wosk na dywanie.

– Stoją w punktach wyznaczających kierunki geograficzne na kompasie – ciągnęła Lacoste. – Północ, południe, wschód i zachód.

– Wiem, co to są kierunki geograficzne na kompasie – odparł Beauvoir. Zupełnie mu się to nie podobało.

– Powiedziała pani, że jest tylko jedna metoda aranżacji seansu, która wymaga świec i soli – powiedział Gamache spokojnie, patrząc uważnie.

– Wikkańska – odparła Lacoste. – Czary.

## 12

Madeleine Favreau umarła ze strachu.

Zabił ją dawny dom Hadleyów, Clara była tego pewna. Teraz Clara Morrow stała na zewnątrz, oskarżając budowlę. Na smyczy trzymała Lucy, która kręciła się niespokojnie, chcąc jak najszybciej odejść z tego miejsca, podobnie jak Clara. Ale czuła, że jest winna Madeleine przynajmniej tyle. Stanąć oko w oko z tym domem i dać mu do zrozumienia, że wie.

Ostatniej nocy coś się obudziło. Coś znalazło ich skupionych w ciasnym kręgu przyjaciół, czyniących coś głupiego, śmiesznego i dziecinnego. Nic więcej nie robili. Nikt nie powinien był umrzeć. Jeśli urządziliby seans gdzie indziej, na pewno tak by się nie stało. W bistro nikt nie umarł. Coś w tym groteskowym domu ożyło, przeszło korytarzem do pełnej pajęczyn sypialni i odebrało Madeleine życie.

Clara zapamięta to do końca życia. Krzyki. Zdawały się dochodzić zewsząd. A potem odgłos upadku. Przewracające się świece. Krzesła padające na bok, gdy ludzie albo rzucali się na pomoc, albo do wyjścia. A potem kliknięcie zapalanych latarek, światła maniakalnie odbijające się od ścian, by wreszcie utkwic w jednym miejscu. Wszystkie latarki oświetlały to samo. Tę twarz. Nawet w biały dzień, w ciepłe słońca tego pięknego dnia Clara czuła, jak dusi ją lęk, jak płachta, spod której nie może się wydostać.

– Nie patrz! – Clara usłyszała, jak Hazel woła, prawdopodobnie do Sophie.

– *Non!* – zawołał pan Béliveau.

Oczy Madeleine były szeroko otwarte, jakby gałki próbowały wyskoczyć z oczodołów.

Usta miała rozchylone, zastygłe w krzyku, wargi napięte. Dłonie, które Clara chwyciła w nadziei pocieszenia, o którym wiedziała, że przychodzi za późno, miały palce zakrzywione jak szpony.

Clara spojrzała w górę i zauważyła poruszenie ponad kręgiem. Usłyszała coś. Odgłos skrzydeł.

– *Bonjour!* – zawołał Armand Gamache, wychodząc z domu Hadleyów. Clara zaczęła sięgać pamięcią w przeszłość, aż do tamtego dnia. Rozpoznała wielką, elegancką postać, zdążającą zdecydowanym krokiem w jej stronę. – Wszystko w porządku? – zapytał nadinspektor, dostrzegając jej zdenerwowanie.

– Raczej nie. – Posłała mu półuśmiech. – Ale już lepiej, gdy pana widzę.

Jednak nie wyglądała, jakby było jej lepiej. Wręcz przeciwnie, łzy zaczęły płynąć po jej twarzy. Gamache podejrzewał, że to nie pierwszy raz. Cicho stał obok, nie próbując jej uspokajać, pozwalając, by przeżywała swój smutek.

– Była tu pani zeszłej nocy – stwierdził raczej, niż zapytał.

Nadinspektor czytał raport, widział w nim jej nazwisko. Tak się składało, że to ją chciał przesłuchać jako pierwszą. Cenił jej zdanie i jej wycucie szczegółu, umiejętność dostrzegania rzeczy zarówno widzialnych, jak i niewidocznych. Wiedział, że powinien ją mieć na liście podejrzanych, tak jak wszystkich pozostałych obecnych na seansie, ale tak naprawdę już ją skreślił. Uważał ją za wyjątkowo cennego świadka.

Clara otarła twarz i nos rękawem swojego płóciennego płaszcza. Zobaczywszy efekt, Armand Gamache sięgnął do kieszeni po bawełnianą chusteczkę i wręczył ją Clarze. Miała nadzieję, że najgorszy płacz już minął, ale łzy zdawały się zalewać jej oczy jak nurt Belli Belli.

Prawdziwy potop smutku.

Peter był cudowny poprzedniej nocy. Pognał do szpitala, ani razu nie powiedział „a nie mówiłem”, chociaż ona sama często to sobie powtarzała, w nagłych wybuchach relacjonując mu całą historię. Później odwiózł do domu Myrnę, Gabriego i Clarę. Zaoferował pokój gościnny i pocieszenie zaszokowanej Hazel oraz dziwnie spokojnej Sophie. Czy skamieniała z rozpaczy?

Czy też myślenie w ten sposób tylko pozwalało dać Sophie szansę pozytywnie ich zaskoczyć, jak zawsze starali się robić?



Sophie nie przyjęła tej oferty. Nawet w tej chwili Clara nie mogła sobie choćby wyobrazić, jak okropny, jak smutny musiał być dla Hazel samotny powrót do domu. Jasne, była z nią Sophie, ale tak naprawdę była sama.

– Czy to była pani przyjaciółka? – Clara i Gamache odwrócili się i odeszli od domu w stronę miasteczka.

– Tak. Wszyscy się z nią przyjaźnili.

Clara zauważyła, że idący obok Gamache był milczący, splótł ręce za plecami i patrzył skupiony.

– O czym pan myśli? – zapytała, po czym po chwili milczenia sama odpowiedziała sobie na to pytanie. – Myśli pan, że ktoś ją zamordował, prawda?

Znów przystanęli. Clara nie była w stanie jednocześnie iść i przyswajać tej oszałamiającej myśli. Ledwo mogła stać i myśleć o tym. Odwróciła się i wpatrywała w Gamache'a. Czy zawsze była taka niekumata? – zastanawiała się. Oczywiście, że on tak myśli. Z jakiego innego powodu szef wydziału zabójstw Sûreté du Québec miałby być tutaj, jeśli Madeleine nie została zamordowana?

Gamache wskazał gestem ławkę na skwerku.

– Po co te wszystkie stoły piknikowe? – zapytał, gdy usiedli.

– Mieliśmy wielkanocne poszukiwanie pisanek. – Czy to było ledwie wczoraj?

Gamache skinął głową. Oni także ukryli jajka dla Florence, a potem musieli wszystkie sami znaleźć. Pomyślał, że w przyszłym roku jego wnuczka sobie z tym poradzi.

– Czy Madeleine została zamordowana? – zapytała Clara.

– Tak sądzimy – odparł nadinspektor. Pozwolił jej przez chwilę oswoić się z tą informacją, po czym zapytał: – Jest pani tym zaskoczona?

– Tak.

– Nie, chwileczkę. Proszę się zastanowić. Wiem, że w pierwszej chwili morderstwo zaskakuje każdego. Ale chcę, żeby pani naprawdę przemyślała odpowiedź. Jeśliby się okazało, że Madeleine Favreau została zamordowana,

czy zaskoczyłoby to panią?

Clara zwróciła się w jego stronę. Ciemnobrażowe oczy Gamache'a były uważne. Miał równo przycięte siwiejące wąsy, włosy skryte pod czapką były przystrzyżone i lekko kręcone.

Miał mocne rysy twarzy, poznaczonej kurzymi łapkami, promieniującymi z kącików oczu, w miejscach dawnych uśmiechów. Mówił do niej po angielsku – wiedziała, że to z grzeczności.

Jego angielski był nienaganny i, co dziwne, mówił z brytyjskim akcentem. Za każdym razem, gdy się spotykali, miała zamiar zapytać go, dlaczego.

– Dlaczego mówi pan po angielsku z brytyjskim akcentem?

– Czy to odpowiedź na moje pytanie? – Brwi nadinspektora uniosły się, gdy zwrócił się ku niej lekko zaskoczony, ale z uśmiechem.

– Nie, nadinspektorze, ale od dawna chciałam o to zapytać i wiecznie zapominam.

– Studiowałem w Cambridge. Historię, w Christ's College.

– I tam pan doszlifował angielski.

– Tam się go nauczyłem.

Teraz przysła kolej na Clarę, by okazać zaskoczenie.

– Nie mówił pan po angielsku, zanim przyjechał do Cambridge?

– Cóż, znałem dwa zdania.

– A mianowicie?...

– „Strzelajcie do Klingonów” oraz „Mój Boże, admirale, to straszne”.

Clara parsknęła śmiechem.

– Kiedy tylko mogłem, oglądałem amerykańską telewizję. Zwłaszcza dwa serie.

– *Star Trek* i *Wyprawa na dno morza* – dopowiedziała Clara.

– Zdziwiłaby się pani, jak mało przydatne były te zwroty w Cambridge. Chociaż „Mój Boże, admirale, to straszne” znajdowało niewielkie zastosowanie.

Clara roześmiała się i wyobraziła sobie Gamache'a w Cambridge. Kto

jedzie przez pół świata na uniwersytet, nie znając języka?

– No więc? – Twarz nadinspektora nagle spoważniała.

– Madeleine była piękna, pod każdym względem. Łatwo było ją polubić, a jak sądzę, także pokochać. Myślę, że ja bym ją pokochała, gdybym miała na to więcej czasu. Trudno mi uwierzyć, że ktoś ją zabił.

– Czy dlatego, że była, kim była? Czy dlatego, że ktoś inny kimś nie był?

Oto jest pytanie – pomyślała Clara. Przyjęcie do wiadomości morderstwa oznaczało przyznanie, że istniał morderca. I to między nimi. Blisko. Z całą pewnością ktoś, kto był w tym pokoju. Jedna z tych uśmiechniętych, radosnych, znajomych twarzy kryła myśli tak wstrętne, że musiała zabić.

– Jak długo Madeleine tu mieszkała?

– Tak właściwie mieszkała poza miasteczkiem, w tamtą stronę. – Clara wskazała na malownicze wzgórza. – Z Hazel Smyth.

– Która także była na miejscu zajścia zeszłej nocy z kimś o nazwisku Sophie Smyth.

– To jej córka. Madeleine wprowadziła się do nich jakieś pięć lat temu. Znały się od lat.

W tym momencie Lucy pociągnęła smycz. Clara spojrzała. W ich kierunku drogą od strony ich furtki szedł Peter i machał do nich. Clara rozejrzała się, czy nie ma w pobliżu samochodów, po czym spuściła Lucy ze smyczy. Pies pobiegł przez skwerek i skoczył na Petera, który zgiął się wpół. Gamache się wzdrygnął. Peter wyprostował się i pokuśtykał w stronę ławki, z błotnistymi śladami psich łap na rozporku.

– Nadinspektorze. – Peter wyciągnął dłoń z większą godnością niż ta, jakiej Gamache spodziewał się po nim w tym momencie. Nadinspektor wstał i ciepło uściśnął rękę Petera Morrowa.

– Smutne okoliczności – powiedział Peter.

– To prawda. Właśnie miałem powiedzieć Clarze, że myślimy, iż madame Favreau nie umarła śmiercią naturalną.

– Czemu pan tak sądzi?

– Nie był pan przy tym, prawda? – Gamache zignorował pytanie Petera.

– Nie, mieliśmy gości na kolacji zeszłego wieczoru. Zostałem w domu, żeby po nich posprzątać.

– A gdyby pan mógł, poszedłby pan na seans?

– Nie. Nie pochwalałem tego. – Peter nie wahał się długo, ale nawet we własnej opinii brzmiał jak wiktoriański wikary.

– Peter próbował mnie przekonać, bym nie szła – dodała Clara i ujęła Petera za rękę.

– Miał rację. Nie powinniśmy byli tego robić. Gdybyśmy trzymali się stamtąd z daleka – wskazała głową dom na wzgórzu – Madeleine by żyła.

To pewnie prawda – pomyślał Gamache. – Ale jak długo? Pewnych rzeczy nie da się uniknąć, a śmierć jest jedną z nich.

Inspektor Jean Guy Beauvoir przyglądał się, jak ekipa badająca miejsce zbrodni spakowała manatki, wycofała się z sypialni i zamknęła drzwi. Oderwał z rolki kawałek żółtej taśmy i przykleił ją w poprzek wejścia. Powtórzył tę czynność jeszcze kilka razy, więcej niż normalnie by mu to zajęło. Coś mu mówiło, że trzeba zapieczętować na głucho to, co kryło się w tym pokoju. Oczywiście nigdy nie przyznałby się do tego, ale Jean Guy Beauvoir czuł, jak coś narasta. Im dłużej tu był, tym wyraźniej narastało. Przeczucie czegoś złego. Nie, nie to. Coś innego. Uczucie pustki. Jean Guy Beauvoir miał wrażenie, jakby go wydrążono. Nagle uświadomił sobie, że jeśli tu zostanie, zamiast wnętrza będzie miał dudniącą echem pustą jamę. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie. Spojrzał na funkcjonariuszkę Lacoste, zastanawiając się, czy i ona tak się czuje. Jak na jego gust Lacoste za dużo wiedziała o tych czarodziejskich bzdetach. Mamrocząc zdrowaśki, zapieczętował pokój i zrobił krok w tył, by podziwiać swoje dzieło.

Gdyby Beauvoir wiedziałby, że artysta Christo zapakował Reichstag w plastik, pewnie dostrzegłby tu podobieństwo. Żółta taśma znacząca miejsce zbrodni szczelnie pokrywała drzwi.

Biegając w dół po schodach po dwa stopnie, szybko wydostał się na światło dzienne.

Świat był jaśniejszy, powietrze świeższe po wyjściu z tego grobowca.

Nawet łoskot rzeki Bella Bella był przyjemny. Naturalny.

– Och, cudownie, jeszcze pan tu jest.

Beauvoir odwrócił się i ujrzał Roberta Lemieux, zmierzającego w jego stronę. Lemieux wchodził w skład zespołu od niedawna, ale był ulubieńcem inspektora, który przepadał za młodymi funkcjonariuszami wpatrzonymi w niego jak w obraz.

Mimo to Beauvoir był zaskoczony.

– Czy to nadinspektor pana wezwał? – Beauvoir wiedział, że Gamache zamierzał przeprowadzić tylko podstawowe dochodzenie, aż upewni się, że było to morderstwo.

– Nie. Usłyszałem od jednego ze znajomych policjantów w okolicy. Byłem w odwiedzinach u rodziców w Ste-Catherine-de-Hovey i pomyślałem, że wpadnę.

Beauvoir spojrział na zegarek. Pierwsza po południu. Teraz, gdy wreszcie wyszedł z tego przeklętego domu, zastanawiał się, czy uczucie pustki nie było po prostu skutkiem ssania w żołądku, z głodu. Tak, na pewno.

– Proszę ze mną. Szef jest w bistro, prawdopodobnie zjada ostatniego croissanta.

– Beauvoir żartował, ale poczuł, jak ogarnia go niepokój. A może to prawda? Pognął do samochodu i wraz z Lemieux pojechali jakieś sto metrów dalej do Three Pines.

Armand Gamache siedział przed otwartym kominkiem, popijał cinzano i słuchał. Nawet pod koniec kwietnia ciepło ognia było przyjemne. Olivier powitał go uściskiem i lukrecjową fajeczką.

– *Merci, patron* – powiedział nadinspektor, odwzajemniając uścisk i przyjmując fajeczkę.

– To zbyt szokujące, by przyjąć do wiadomości – westchnął Olivier, pięknie ubrany w sztruksowe spodnie i wielki kaszmirowy sweter. Ani jeden z jego blond włosów nie był rozczochrany, ani jedna zmarszczka na ubraniu nie psuła nienagannego wrażenia. Dla kontrastu jego partner zapomniał się ogolić i założyć sztuczną szczękę. Kiedy Gabri go uścisnęła, jego gęsty czarny

zarost podrapał Gamache'a w policzek.

Peter, Clara i Gamache udali się za Gabrim na wyblakłą od słońca kanapę, podczas gdy Olivier poszedł po ich drinki. Gdy zdążyli się usadowić, dołączyła do nich Myrna.

– Cieszę się, że pana widzę. – Zasiadła obok w wielkim fotelu.

Gamache obrzucił wielką czarnoskórą kobietę ciepłym spojrzeniem. Prowadziła jego ulubioną księgarnię.

– Dlaczego pan przyjechał? – zapytała, a spojrzenie jej inteligentnych oczu starało się załagodzić bezpośredniość tego pytania.

Gamache poczuł współczucie dla kurierów telegraficznych, jeżdżących na koślawych rowerach podczas wojny, przynoszących tragiczne wieści. Zawsze witanych podejrzliwie.

– Oczywiście nadinspektor podejrzewa, że to morderstwo – odparł Gabri, chociaż z racji braku zębów zabrzmiało to jak „kołderstwo”.

– Zamordowana? – rzuciła Myrna, prychnając. – To było okropne, co się z nią stało, wręcz brutalne, ale to nie morderstwo.

– Dlaczego brutalne?

– Myślę, że wszyscy poczuliśmy się zaatakowani – powiedziała Clara, a pozostali przytaknęli.

W tym momencie pogrążeni w rozmowie Beauvoir i Lemieux otworzyli drzwi bistro. Gamache dogonił ich wzrokiem i podniósł rękę. Dwaj mężczyźni zamilkli i podeszli do zgromadzonych przy kominku. Przez ołowiane szybki okien sączyły się promienie słoneczne, w tle było słychać szum rozmów innych gości. Wszystko zdawało się przyciszone.

– Opowiedzcie mi, co zaszło – powiedział Gamache cicho.

– Medium rozsypało sól i zapaliło świece – zaczęła Myrna, a jej oczy rozszerzyły się, gdy przypomniła sobie tę scenę. – Siedzieliśmy w kręgu.

– Trzymając się za ręce – przypomniawszy sobie Gabri. Jego oddech stał się płytki i przyspieszony, jakby miał zemdleć na samo wspomnienie. Gamache'owi zdawało się, że niemal słyszy, jak wielkiemu mężczyźnie wali serce.

– W życiu nie byłam tak przerażona – ciągnęła Clara. – Nawet kiedy jechałam autostradą w zamieci śnieżnej.

Wszyscy przytaknęli. W tamtej chwili mieli przeraźliwą świadomość, że tak oto skończy się ich życie. W ognistym karambolu, w samochodzie, którego nie są w stanie kontrolować, niewidzialni w wirującym, pełnym chaosu śnieżnym tumanie.

– Ale dokładnie o to chodziło, prawda? – zapytał Peter, przysiadając na poręczy fotela Clary. – Żeby się przestraszyć?

Clara zastanawiała się, czy to po to to zrobili.

– Mielśmy oczyścić dom ze złych duchów – kontynuowała Myrna, choć w świetle dnia jej wywód brzmiał absurdalnie.

– I może też trochę się przestraszyć – przyznał Gabri. – A co, nie było tak? – dodał, widząc ich miny.

Clara musiała przyznać, że to prawda. Czy mogli być aż tak głupi? Czy ich życie było tak wygodne, tak nudne, że musieli wymyślać sobie niebezpieczeństwa? Nie, nie wymyślać. To zawsze tam tkwiło. Zapraszali je, a ono odpowiedziało.

– Jeanne, medium, powiedziała, że słyszy, jak coś nadchodzi – tłumaczyła Gamache'owi Myrna. – Przez moment siedzieliśmy cicho i faktycznie, chyba ja też coś usłyszałam.

– I ja też – wtrącił Gabri. – Przy łóżku. Ktoś się przewracał na pościeli.

– Nie, to dochodziło z korytarza – zaprotestowała Clara. Jej oczy zaszkliły się od gorąca płomieni i zwróciły na nich. Scena przypominała jej poprzednią noc, twarze wszystkich oświetlone ogniem, księżycowy blask w oczach, napięte ciała, jakby gotowe do skoku. Znowu była w tamtym strasznym pokoju. Czula zapach wiosennych kwiatów, jak w domu pogrzebowym, słyszała za sobą stąpanie. – Kroki. Słyszać było kroki. Pamiętacie, Jeanne powiedziała, że nadchodzą. Umarli nadchodzili.

Beauvoir poczuł, że serce mu się ściska, a dłonie drętwieją. Zastanawiał się, czy Lemieux miałby coś przeciwko, gdyby wziął go za rękę, ale postanowił, że raczej umrze, niż to zrobi.

- Powiedziała „nadchodzą” – zgodziła się Myrna. – A potem jeszcze coś.
- Z dachu i jeszcze skądś – dodał Gabri, próbując sobie przypomnieć słowa medium.
- Ze strychu – poprawiła go Myrna.
- I z piwnicy – dorzuciła Clara, patrząc wprost na Armanda Gamache’a. Nadinspektor poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Piwnica dawnego domu Hadleyów wciąż go prześladowała.
- I wtedy to się stało – powiedział Gabri.
- Niedokładnie – skorygowała Clara. – Jeanne powiedziała coś jeszcze.
- Są wszędzie wokół nas – rzekła Myrna cichutko. – Przybądźcie! Teraz! I klasnęła w dłonie, a Beauvoir o mało nie umarł.



## 13

– No i wtedy umarła – rzekł Gabri. Olivier podszedł do niego od tyłu i położył ręce na ramionach Gabriego. Ten wrzasnął. – *Tabernacle*. Czy ty chcesz mnie zabić?

Nastrój grozy prysł. Pokój znów poweselał, a Gamache zauważył, że na stoliku kawowym pojawiła się wielka taca z kanapkami.

– Co się potem stało? – dopytywał się Gamache, biorąc do ręki połówkę ciepłej bagietki z roztopionym kozim serem i rukolą.

– Pan Béliveau zniósł ją na dół, a Gilles pobiegł po samochód – kontynuowała Myrna, częstując się kanapką z grillowanym kurczakiem i mango na croissancie.

– Gilles? – zapytał Gamache.

– Sandon. Pracuje w lesie. Także był z partnerką Odile na seansie.

Gamache przypomniał sobie, że widział ich nazwiska na liście świadków, którą miał w kieszeni.

– Gilles prowadził. Hazel i Sophie zabrały się z nimi – opowiadała Clara. – Pozostali pojechali samochodem Hazel.

– Mój Boże, Hazel – westchnęła Myrna. – Czy ktoś z nią dzisiaj rozmawiał?

– Ja dzwoniłam – powiedziała Clara, przyglądając się kanapkom, choć nie była głodna.

– Rozmawiałam z Sophie. Hazel była w zbyt kiepskim stanie, żeby podejść do telefonu.

– Czy Hazel i Madeleine były blisko? – zapytał Gamache.

– Były najlepszymi przyjaciółkami – odparł Olivier. – Od czasu liceum. Mieszkały razem.

– Nie były kochankami – wyjaśnił Gabri. – Przynajmniej o ile wiem.

– Nie bądź śmieszny, oczywiście, że nie były kochankami – potwierdziła Myrna. – Och, faceci. Myślą, że jak dwie dorosłe kobiety mieszkają razem i okazują sobie uczucia, zaraz muszą być lesbijkami.

– To prawda – przyznał Gabri. – Wszyscy myślą, że tak jest z nami. – Poklepał kolano Oliviera. – Ale wybaczymy wam.

– Czy Madeleine Favreau kiedykolwiek dużo ważyła?

Pytanie Gamache’a było tak nieoczekiwane, że wszyscy spojrzeli na niego martwo, jak gdyby przemówił do nich po rosyjsku.

– Znaczy czy była gruba? – zapytał Gabri. – Nie sędzę.

Pozostali pokręcili głowami.

– Ale wie pan, nie mieszkała tu szczególnie długo – dodał Peter. – Jak sądzicie, z pięć lat?

– Coś takiego – przytaknęła Clara. – Ale od razu tu pasowała. Zapisła się do Stowarzyszenia Kobiet Anglikańskich razem z Hazel...

– *Merde*. W lecie miała przejąć prowadzenie stowarzyszenia. I co ja teraz zrobię? – jęknął Gabri. Wiedział, że ma przechłapanę, chociaż nie tak bardzo jak Madeleine.

– *Pauvre Gabri* – powiedział Olivier. – To dla ciebie prawdziwa tragedia.

– Cóż, spróbuj przewodniczyć SKA. To jest dopiero zbrodnia – powiedział do Gamache’a Gabri. – Może Hazel się zgodzi? Myślisz?

– Żadne „myślisz” – oznajmił Olivier. – I ani się waż ją teraz prosić.

– Czy to możliwe, że w domu był ktoś jeszcze? – dociekał Gamache. – Większość z was słyszała jakieś dźwięki. – Clara, Myrna i Gabri ucichli, wspominając nieziemskie odgłosy.

– A pani co myśli, Claro? – zapytał Gamache.

– Co myślę? – zapytała sama siebie Clara. Że diabeł zabił Madeleine? Że ten dom zamieszkuje zło, że może my je tam umieściliśmy? Może medium miało rację, może każda zła, podła myśl, jaką wygnali ze swojego sielskiego miasteczka, została pożarta przez tego potwora?

Był żarłoczny. Może da się uzależnić od gorzkich myśli. Może jeśli raz się

ich zasmakuje, chce się więcej.

Ale czy faktycznie wszyscy pozbywają się tych gorzkich myśli? A jeśli ktoś trzymał swoje, kolekcjonował je? Pożerał je, połykał, aż był tak przepełniony goryczą, że stał się ludzką wersją domu na wzgórzu? Czy między nimi żyła ludzka wersja tego przeklętego miejsca? Co myślę? – jeszcze raz spytała siebie. Nie знаła odpowiedzi.

– Gdzie mogę znaleźć to medium, madame Chauvet? – Gamache wstał z kanapy i sięgnął do kieszeni, by zapłacić za kanapki i drinki.

– Zatrzymała się w pensjonacie – odpowiedział Olivier. – Pójść po nią?

– Nie, przejdziemy się tam. *Merci, patron.*

– Nie poszedłem na seans – wyszeptał Olivier do Gamache'a, wydając mu resztę przy końcu drewnianego baru – bo za bardzo się bałem.

– Nie dziwię się panu. Coś dziwnego jest w tym domu.

– I w tej kobiecie.

– Chodzi panu o Madeleine Favreau? – Gamache zauważył, że zniżył głos do szeptu.

– Nie. O Jeanne Chauvet, to medium. Wie pan, co powiedziała do Gabriego, jak tylko przyjechała?

Gamache czekał na ciąg dalszy.

– Powiedziała „Tu nie miejsce na schadzki romantyczne”.

Gamache wsłuchiwał się w tę nietypową kwestię.

– Jest pan pewien? Dziwaczne, żeby medium zawracało sobie głowę takimi rzeczami. To nie... – ...nieprawda? Oczywiście, że nie. Tak się składa, że... och, nieważne.

Gamache wyszedł na zewnątrz w przepiękny dzień, słysząc na pożegnanie ostatnie, wypowiedziane szeptem ostrzeżenie Oliviera:

– To czarownica, wie pan?

Trzej funkcjonariusze Sûreté szli drogą okalającą miejski skwerek.

– Nie rozumiem – mówił Lemieux, podbiegając czasami, by nadążyć za Gamache'em.

– Czy to było morderstwo?

– Ja też nie rozumiem, młody człowieku – odrzekł Gamache, zatrzymując się, by popatrzeć na Lemieux. – Co pan tu robi? Nie wzywałem pana.

Lemieux był rozczarowany tym pytaniem. Spodziewał się, że nadinspektor będzie zachwycony, a nawet mu podziękuje. Zamiast tego Gamache patrzył na niego cierpliwie, ale jednak z niejakim zaskoczeniem.

– Przyjechał odwiedzić rodziców w Wielkanoc, mieszkają tu niedaleko – wyjaśnił Beauvoir. – Znajomy pracujący w lokalnym biurze Sûreté powiedział mu o sprawie.

– Przyjechałem z własnej inicjatywy. Przepraszam, zrobiłem coś nie tak?

– Nie, nic złego się nie stało. Chciałbym tylko, żeby śledztwo przebiegało tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, dopóki się nie przekonamy, czy to było morderstwo. – Gamache się uśmiechnął. Jego ludzie musieli przejawiać inicjatywę, choć może nie tak daleko posuniętą jak w wypadku Lemieux. Ale on wkrótce z tego wyrośnie, a Gamache nie był przekonany, czy kiedy to nastąpi, będzie się z czego cieszyć.

– To na razie nie wiemy na pewno? – zapytał Lemieux, znów doganiając Gamache’a, który zmierzał w kierunku dużego ceglanego domu na rogu.

– Nie chcę, by ktoś się dowiedział, ale miała efedrynę we krwi – wyznał Gamache.

– Słyszał pan o tej substancji?

Lemieux pokręcił przecząco głową.

– Zaskoczył mnie pan. Interesuje się pan sportem, *n'est-ce pas*?

Młody policjant przytaknął. To była jedna z tych rzeczy, które połączyły go z Beauvoirem: ich wspólna miłość do drużyny hokejowej Montreal Canadiens, Le Habs.

– Słyszał pan kiedyś o Terrym Harrisie?

– Tym futboliście, tylnym napastniku?

– Albo o Seamusie Reganie?

– Obrońcy w drużynie bejsbolowej? Grał w Lions? Obaj umarli. Pamiętam,

że czytałem o tym w „Allô Sport”.

– Obaj brali efedrynę. Stosuje się ją w pastylkach odchudzających.

– Zgadza się. Harris zemdlął na treningu, a Regan w trakcie meczu. Oglądałem to w telewizji, dzień był gorący, wszyscy myśleli, że to udar. Ale to nie to było przyczyną?

– Obu graczom trenerzy kazali szybko stracić na wadze, więc brali pigułki odchudzające.

– To było parę lat temu – dodał Beauvoir. – Teraz efedryna jest zakazana, nie?

– O ile wiem, tak, ale mogę się mylić – powiedział Gamache do Lemieux. – Mógłby pan to sprawdzić?

– Oczywiście.

Gamache uśmiechnął się, idąc w stronę malowniczego pensjonatu. Podobał mu się entuzjazm Lemieux. To był jeden z powodów, dla których zaprosił tego młodego człowieka do swojego zespołu. Gdy Gamache ostatnio był w tych stronach, prowadząc dochodzenie w sprawie morderstwa, Lemieux pracował w oddziale Sûreté w Cowansville i zrobił na nadinspektorze wrażenie. Ofiara w tamtej sprawie mieszkała w dawnym domu Hadleyów.

Podeszli do szerokiej werandy pensjonatu. Trzypiętrowy ceglany budynek był kiedyś zajezdnią dylizansów na trasie pomiędzy Williamsburgiem a St-Rémy. Leżał na szlaku, nazywanym wtedy Old Broad Way. Olivier powiedział kiedyś Gamache’owi, że Gabri namówił go, by kupił pensjonat, aby móc mówić swoim przyjaciółom, że „jest teraz na Broadwayu”.

Po wejściu do środka nadinspektor zauważył drewniane podłogi, puchate indyjskie dywany i szlachetne wyblakłe obicia. Pensjonat przypominał stary wiejski dom i zapraszał do odpoczynku. Ale nadinspektor nie przybył tu odpoczywać. Przyjechał dowiedzieć się, kto zabił Madeleine Favreau. Może to był atak serca spowodowany podnieceniem i strachem? Czy sama wzięła efedrynę? Czy też może zadziałało tu coś mroczniejszego, co skrywa się za przyjemną fasadą Three Pines?

Olivier mówił, że Jeanne Chauvet mieszka w małej sypialni na parterze.

– Niech pan tu poczeka – nakazał Gamache Lemieux, podczas gdy on i Beauvoir ruszyli krótkim korytarzem.

– Myśli pan, że mogłaby powalić nas obu? – szepnął Beauvoir z uśmiechem.

– Tak sędzę – odparł Gamache poważnie i zapukał do drzwi.

Cisza.

Gamache i Beauvoir czekali. Światło słońca i świeże powietrze padały przez uchylone okno na końcu korytarza. Proste, przejrzyste białe firanki lekko falowały na wietrze.

Nadal czekali. Beauvoir chciał znowu zapukać. Tym razem mocniej, jakby jego upór i niecierpliwość miały przekonać osobę po drugiej stronie drzwi. Gdybyż tak było. Zależało mu, by jak najszybciej poznać kobietę, która zadawała się z duchami. Czy je lubiła? Czy dlatego to robiła? A może nikt z żywych nie chciał z nią przebywać? Może jedynym towarzystwem, jakie miała, byli umarli, którzy są mniej wybredni od żywych? Beauvoir wiedział, że ta baba musiała być szalona. W końcu żadnych duchów nie ma. Może z wyjątkiem Ducha Świętego. Ale jeśli...

Nie. Nie będzie się w to zagłębiał. Popatrzył na cierpliwy profil Gamache'a, który wyglądał, jakby dokładnie w ten sposób zamierzał spędzić resztę dnia: stojąc w korytarzu przed zamkniętymi drzwiami.

– Madame Chauvet? Tu Armand Gamache z Sûreté. Chciałbym z panią porozmawiać.

Beauvoir uśmiechnął się lekko. Wyglądało to tak, jakby nadinspektor zwracał się do drzwi.

– Widzę, że się pan uśmiecha, monsieur. Zechce pan spróbować? Gamache odsunął się i Beauvoir postąpił naprzód, waląc w drzwi spodem dłoni.

– Otwierać, Sûreté!

– Genialnie, *mon ami*. Dokładnie tak się postępuje z samotnymi kobietami.  
– Gamache odwrócił się i poszedł korytarzem, oglądając się na Beauvoira. – Pozwalam panu to robić tylko dlatego, że wiem, że nie ma jej w środku.

– A ja robię to tylko dlatego, że wiem, że to pana ubawi.

– Klucz wisi na kołku. – Wskazał Lemieux, gdy wrócili. – Czy nie możemy sami tam wejść?

– Jeszcze nie – odrzekł Beauvoir. – Nie, dopóki nie mamy nakazu, nie, dopóki nie jesteśmy pewni, że to było morderstwo. – Mimo to podobało mu się rozumowanie Lemieux.

– Co teraz? – zapytał Gamache’a.

– Przeszukać teren.

Podczas gdy Beauvoir i Lemieux oglądali salon, kuchnię, łazienki i piwnicę, Gamache wszedł do salonu i usiadł w wielkim skórzanym fotelu. Zamknął oczy i oczyścił umysł. Martwił się. Gdzie była Jeanne Chauvet? Co robiła? Co czuła? Czy miała poczucie winy? Wyrzuty sumienia? Satysfakcję? Czy seans był wielką klapą, czy spektakularnym sukcesem?

Robert Lemieux stał na progu między salonem a jadalnią i przyglądał się nadinspektorowi. Od czasu do czasu funkcjonariuszem Lemieux targały wątpliwości. Przeżywał swego rodzaju bolesny kryzys wiary, o jakim jego rodzice mówili dziesięciolecia wcześniej. Ale jego Kościołem była Sûreté, gdzie znalazł dla siebie miejsce i sens życia. Jego rodzice w końcu odeszli z Kościoła, ale on nie opuści swojego. Nigdy go nie opuści i nigdy nie zdradzi. Rodzice wychowali go, wykarmili, nauczyli dyscypliny, kochali go. Ale to Sûreté dała mu dom. Kochał rodziców i siostrę, ale tylko inni funkcjonariusze rozumieli, jak to jest być w Sûreté. Wychodzić z domu z poczuciem pewności siebie i animuszu – ale na wszelki wypadek mówiąc swojemu kotu, że się go kocha.

Przyglądając się nadinspektorowi Gamache’owi – który siedział z zamkniętymi oczami, z głową przechyloną do tyłu i odsłoniętym gardłem, taki ufny – Lemieux zastanawiał się przez moment, czy to, co mu powiedziano o Gamache’u, było prawdą? Kiedyś, nie tak dawno temu, Lemieux ubóstwiał Gamache’a. Przy swojej pierwszej wizycie w kwaterze głównej, jeszcze jako rekrut, widział sławnego nadinspektora przechodzącego korytarzem ze świątą podwładnych, rozszyfrowującego najbardziej złożone i brutalne zbrodnie. A mimo to Gamache znalazł



moment, by się mu uklonić i przywitać. Wszyscy studiowali jego sprawy. Obserwowali Gamache'a i gratulowali mu, gdy pokonał skorumpowanego naczelnika Arnota. I uratował Sûreté. Ale często pozory mylą.

– Nic. – Beauvoir wślizgnął się do salonu, ocierając się o Lemieux. Gamache otworzył oczy i spojrzał na obu mężczyzn, po czym jego wzrok spoczął na Lemieux. Wpatrywali się w siebie. Nagle Gamache mrugnął i zakółysawszy się, wstał z fotela.

– Dostyc już odpoczęliście, czas do roboty. Lemieux, proszę tu zostać na wypadek, gdyby Jeanne Chauvet wróciła. Pan i ja – zwrócił się do Beauvoira, gdy ruszyli w stronę drzwi – pójdziemy zobaczyć się z Hazel Smyth.

Patrząc, jak Gamache i Beauvoir idą do samochodu, Lemieux przycisnął klawisz szybkiego wybierania w swoim telefonie.

– Naczelnik Brébeuf? Mówi Lemieux.

– Coś nowego? – rozległ się na linii pewien siebie głos.

– Parę rzeczy, które mogą być pomocne, jak sądzę.

– Dobrze. Nie pokazała się funkcjonariuszka Nichol?

– Jeszcze nie. Zapytać?

– Niech pan się nie wygłupia, oczywiście, że nie. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Po drugiej stornie zapadła cisza. Brébeuf zacisnął szczęki. Nie należał do cierpliwych, chociaż tak długo czekał, by dopaść Gamache'a. Wychowali się razem, razem wstąpili na służbę w Sûreté, razem awansowali. Obaj starali się o posadę naczelnika – przypomniał sobie Brébeuf z satysfakcją. To był mały prezent dla samego siebie, który chował w czeluściach umysłu i rozpakowywał w momentach silnego stresu. Teraz znowu to robił. Rozwijał jak bibułkę kolejne warstwy uśmiechów, potakiwania, zbliżając się krok po kroku do swojego najlepszego przyjaciela. Po czym sięgnął po ten wielki, nieoczekiwany prezent. To Brébeuf odniósł sukces.

To on dostał awans, nie wielki Armand Gamache. Na jakiś czas to mu wystarczało. Aż do sprawy Arnota. Pospiesznie zawinął bibułki z powrotem i wcisnął przyjemną myśl na powrót w zakamarki umysłu. Potrzebował się

skupić, musiał być teraz czujny.

– Chłopcze, wiesz, dlaczego to robimy.

– Tak jest.

– Nie daj się zwieść jego czarowi, nie daj się oszukać. Większość mu ulega. Tak jak naczelnik Arnot i wiadomo, co się z nim stało. Musi się pan skupić, Lemieux.

Lemieux zrelacjonował mu wydarzenia tego dnia; Brébeuf zamilkł i zaczął się zastanawiać.

– Chcę, by pan zrobił pewną rzecz. To ryzyko, ale jak sądzę, nie takie wielkie. – Udzielił Lemieux instrukcji. – Wkrótce będzie po wszystkim – powiedział łagodnie. – A kiedy to nastąpi, ci funkcjonariusze, którzy mieli odwagę bronić tego, w co wierzą, doczekają się nagrody.

Dzielny z pana młody człowiek. Niech mi pan wierzy, wiem, jakie to jest trudne.

– Tak jest.

Brébeuf się rozłączył. Jak tylko sprawa zostanie zamknięta, będzie się musiał zastanowić, co zrobić z Robertem Lemieux. Młody funkcjonariusz stanowczo zbyt łatwo ulegał wpływom.

Lemieux rozłączył się z dziwnym uczuciem w piersi. Nie było to ściśnięcie, które czuł, odkąd naczelnik Brébeuf poprosił go o pomoc, ale rozluźnienie, euforia. Czy naczelnik Brébeuf właśnie zaoferował mu awans? Czy to możliwe, by zrobić, co należy, i jeszcze na tym skorzystać? Jak daleko mógł dzięki temu zajść? Może jeszcze wszystko się ułoży.

Hazel Smyth czekała, aż Madeleine wróci do domu. Każde stąpienie, każde skrzypnięcie podłogi, każdy ruch klamki – to musiała być ona.

A potem już nie. W każdej chwili, każdego dnia Hazel na nowo traciła Madeleine. A teraz drzwi salonu się otworzyły i Hazel spojrzała w górę, spodziewając się ujrzeć pogodną twarz Madeleine, z herbatą na tacy – bo właśnie nadeszła pora na herbatę. Ale zamiast tego zobaczyła radosną twarz swojej córki. Sophie weszła, trzymając w ręku wielką lampkę czerwonego wina, którą przyniosła dla siebie, i przeszła przez zagracony pokój, aż

dotarła do kanapy.

– To co będzie na kolację? – zapytała, padając na fotel i sięgając po magazyn ilustrowany.

Hazel wpatrywała się w tę obcą osobę. To było tak, jakby zeszłej nocy utraciła je obie.

Madeleine umarła, a Sophie uległa opętaniu. To nie była ta sama dziewczyna. Co się stało z nadętą, samolubną Sophie? Osoba siedząca przed nią promieniała. Jak gdyby duch Madeleine wstąpił w Sophie. Ale bez jej serca. Bez duszy. Czymkolwiek promieniała Sophie, nie była to radość, miłość ani ciepło. Było to zadowolenie. Madeleine nie żyła, umarła w straszny, groteskowy sposób. A Sophie była szczęśliwa. To prawie wystraszyło Hazel na śmierć.

Beauvoir prowadził, a Gamache go pilotował, próbując śledzić mapę w podskakującym na wyboistej, dziurawej drodze samochodzie. Nie widział, dokąd jechali, tylko rozmazane kreski i kropki. Całe szczęście, że nie pochorował się od tej trzęsionki.

– To zaraz tam. – Gamache złożył mapę i spojrział za wycieraczki. – Ostrożnie.

Beauvoir ostro skręcił kierownicą, ale i tak wpadli w dziurę.

– Wie pan, radziłem sobie naprawdę świetnie, dopóki pan nie patrzył – powiedział.

– Wjeżdża pan w każdą dziurę od samego Three Pines. Ostrożnie.

Samochód wylądował w kolejnej dziurze, a Gamache zastanawiał się, jak długo jeszcze opony to wytrzymają.

– Przejedziemy przez miejscowość Notre-Dame-de-Roof-Trusses<sup>[10]</sup> i dalej prosto. Potem skręt w prawo, do Chemin Erablerie.

– Notre-Dame-de-Roof-Trusses? – Beauvoir nie wierzył własnym uszom.

– A spodziewał się pan Świętego Roof Trussa?

Przynajmniej nazwa „Three Pines” ma sens – pomyślał Beauvoir. Williamsburg i St-Rémy miały sens. Czy przypadkiem *roof trusses* to nie coś od budynków?

Cholerni Anglicy. Tylko oni mogli coś takiego wymyślić. To jak nazwać miejscowość Przybudówka albo Kolonia-Betony. Zawsze coś budują, zawsze się tym przechwalają. A co z kolei z tą sprawą? Czy nikt w Three Pines nie umierał z przyczyn naturalnych? Nawet tutejsze morderstwa nie były normalne. Czy nie mogli się mordować jak Bóg przykazał – nożem, pistoletem, pałą? Nie. Zawsze coś wymyślnego. Zawsze komplikacje.

Zupełnie nie jak na Quebec przystało. Mieszkańcy Quebecu byli prostolinijni, łatwo ich było zrozumieć. Kiedy kogoś lubili, ściskali go. Kiedy kogoś zabijali, po prostu rozwalali mu łeb.

Bum i po krzyku. Rozprawa, wyrok. Następny proszę. Żadnych tam cholernych dociekań, czy coś jest, czy nie jest.

Beauvoir zaczynał traktować to wszystko osobiście, chociaż był wdzięczny, że sprawa uratowała go przed poszukiwaniem wielkanocnych jajek z teściami. Żeby było śmieszniej, nie mieli dzieci, u teściów byli tylko on i jego żona Enid. Jej rodzice oczekiwali, że spędzą poranek, poszukując czekoladowych jajek, które ukryli w domu. Żartowali nawet, że skoro zięć jest wprawiony w śledztwach, powinno pójść mu łatwo. Beauvoir uważał, że najprostszą metodą znalezienia tych cholernych jajek byłoby przyłożyć teściowi pistolet do skroni i zażądać, żeby powiedział, gdzie są. Ale na szczęście w tym momencie zadzwonił zbawczy telefon. Wzywała go służba.

Zastanawiał się, jak tam biedna Enid daje sobie radę. Szkoda, kurczę. To jej popaprani rodzice.

Wkrótce przejechali przez miejscowość Notre-Dame-de-Roof- -Trusses. Oczywiście, na podwórzu fabryczki stała tablica reklamująca więźby dachowe. Beauvoir potrząsnął głową.

Wiekowy ceglany budynek wznosił się na skraju drogi. Na trawniku przed domem rosło kilka wielkich klonów. Przy domu i wzdłuż podjazdu znajdowało się także kilka grządek, jak przypuszczał Gamache, obsadzonych bylinami, które za kilka tygodni miały zamienić się w pełne kwiatów klomby. Dom był malutki i porządny, zdradzający przyszły potencjał. Na razie nie było jednak ani liści na drzewach, ani kwiatów na klombach, ani trawy na trawniku.

Gamache uwielbiał zaglądać do wnętrz domów ludzi związanych z daną sprawą. Lubił patrzeć na wybory, jakich dokonali w swoich najbardziej intymnych przestrzeniach. Obserwować kolory, dekoracje. Zapachy. Czy mieli książki? A jeśli tak, to jakie? Jaki nastrój tam panował?

Zdarzało mu się bywać w barakach na końcu świata, z powycieranymi dywanami, wyliniałą tapicerką, porwanymi tapetami. Ale gdy wchodził, zauważał też woń świeżej kawy i chleba. Ściany były zajęte przez olbrzymie zdjęcia roześmianych dzieciaków, zrobione na zakończenie szkoły. Na pordezewiałych i pogiętych składanych stoliczkach stały wyszczerbione wazoniki z wesołymi żonkilami, baziami albo z małym polnym kwiatkiem, zerwanym ciepłą dłonią dla czyichś oczu, które się nimi ucieszą. Bywał też w pałacach, co przywodziło na myśl grobowce rodzinne.

Gamache nie mógł się doczekać, by zobaczyć, jak jest w domu Madeleine Favreau. Z zewnątrz wyglądał smutno, ale nadinspektor wiedział, że większość miejsc jest trochę smutna wiosną, kiedy spłynie jasny, wesoły śnieg, a zanim rozkwitną kwiaty i zazielenią się drzewa.

Pierwsze, co rzuciło mu się w oczy przy wejściu, to to, że ledwie można było się tu ruszyć. Nawet w wąskiej sieni zdołano jakoś upchnąć szafę, biblioteczkę i długą drewnianą ławę, pod którą piętrzyły się stosy wrzuconych tam zabłoconych kaloszy i butów.

– Nazywam się Armand Gamache – skłonił się z lekka kobiecie w średnim wieku, która otworzyła drzwi.

Była starannie ubrana, w spodnie i sweter. Wygodny, konwencjonalny strój. Uśmiechnęła się lekko, gdy wyjął legitymację policyjną.

– Wszystko w porządku, nadinspektorze. Wiem, kim pan jest. – Kobieta odsunęła się i wpuściła ich do środka. Pierwsze wrażenie Gamache'a mówiło, że to poczciwa osoba, próbująca się odnaleźć w paskudnej sytuacji. Rozmawiała z nimi po francusku, ale z ciężkim angielskim akcentem. Była uprzejma i opanowana. Jedynym znakiem świadczącym, że coś jest nie tak, były ciemne kręgi pod jej oczami, jak gdyby smutek uderzył ją dosłownie.

Jednak Armand Gamache wiedział coś jeszcze. Że pierwsze dni po śmierci ofiary morderstwa są dla rodziny i bliskich przyjaciół w błogosławiony

sposób pozbawione uczuć.

Niemal zawsze dają sobie radę, nawigują jakoś przez codzienne sprawy, tak że postronny obserwator może nawet sobie nie uświadamiać, jak wielka spotkała ich katastrofa. Większość ludzi rozsypywała się stopniowo, jak dawny dom Hadleyów.

Przyglądając się tej kobiecie, Gamache już niemal widział na wzgórzu nad domem Hazel jeźdźców nieuniknionej apokalipsy, których konie parskają i waliły kopytami, czekając, aż pozwolą im ruszyć z miejsca. Przynosili ze sobą koniec wszystkiego, co Hazel знаła, wszystkiego, co było znajome i przewidywalne. Ta pełna opanowania kobieta odważnie odpierała wolno sunącą armię rozpacz, ale ta wkrótce miała zwalić się na nią, a kiedy owa armia zakończy przemarsz, po znajomym życiu nie zostanie kamień na kamieniu.

– Clara Morrow dzwoniła, żeby sprawdzić, jak się czuję, proponowała jedzenie.

Powiedziała mi, że może pan przyjść.

– Powinienem był przynieść coś do jedzenia, przepraszam. – Gamache próbował zdjąć płaszcz, nie potrącając przy tym Beauvoira, wciśniętego pod zamknięte teraz drzwi.

Z biblioteczki spadło kilka książek, a Gamache obił sobie kostki rąk o szafę; w końcu jednak udało mu się zdjąć okrycie.

– Nie ma za co przepraszać – odrzekła Hazel, odbierając od niego płaszcz i próbując otworzyć szafę. – Powiedziałam Clarze, że mamy jadła pod dostatkiem. Skoro o tym mowa, nie mogę długo rozmawiać, biedna stara pani Turcotte miała wylew i muszę niedługo zanieść jej kolację.

Weszli do domu. Przez jadalnię ledwo dawało się przecisnąć, a kiedy wreszcie dotarli do salonu, Gamache czuł się jak odkrywca na afrykańskich szlakach, podróżujący przez Czarny Ląd.

Miał nadzieję, że będą mogli na chwilę rozbić obóz. Jeśli tylko zdołają znaleźć dość miejsca.

W małym pomieszczeniu mieściły się dwie kanapy – jedna z nich była

największa, jaką w życiu widział – oraz mnóstwo krzeseł i stolików. Małeńki ceglany domek był wypchany po brzegi, ciasny, nabity i ciemny.

– Przytulnie tu u nas – powiedziała Hazel, gdy cała trójka usiadła, Gamache i Beauvoir na olbrzymiej kanapie, a Hazel na stojącym naprzeciw wytartym fotelu. U jej stóp stała torba z rzeczami do cerowania. Gamache wiedział, że to jej zwykłe miejsce. Ale to nie był najwygodniejszy fotel w pokoju. Ten był pusty i stał najbliżej kominka. Pod lampką na stoliku obok leżała rozłożona książka.

Po francusku, pochodzącego z Quebecu autora, za którym Gamache przepadał. To było miejsce Madeleine Favreau. Najlepsze w całym pokoju. Czy zajęła je po prostu?

Czy Hazel je zaproponowała? Czy Madeleine Favreau była dręczycielką, a Hazel profesjonalną ofiarą?

A może po prostu były bliskimi przyjaciółkami, które podejmowały decyzje naturalnie i po przyjacielsku, zamieniając się miejscami, by każda mogła posiedzieć w tym najlepszym?

– Nie mogę uwierzyć, że odeszła – powiedziała Hazel, siadając, jak gdyby nogi się pod nią ugięły.

Tak to bywa ze stratą – Gamache to wiedział. Nie traciło się jedynie bliskiej osoby.

Traciło się serce, wspomnienia, śmiech, mózg – smutek zabierał czasem nawet kości. Po pewnym czasie wszystko to wracało, ale inne. Odmienione.

– Jak długo znała pani madame Favreau?

– Całe życie, jak mi się wydaje. Poznałyśmy się w liceum. Przez pierwszy rok byłyśmy w tej samej klasie i zaprzyjaźniłyśmy się. Ja byłam trochę nieśmiała, ale z jakiegoś powodu Madeleine mnie polubiła. Ułatwiła mi życie.

– Dlaczego?

– Bo została moją przyjaciółką, nadinspektorze. Jedyne, co człowiekowi potrzebne, to przyjaciel. To wszystko zmienia.

– Z pewnością miała pani wcześniej przyjaciół, madame.

– Owszem, ale nie takich, jak Madeleine. Gdy się było jej przyjacielem, zdarzało się coś magicznego. Świat stawał się jaśniejszy. Czy to ma sens?

– Tak – przytaknął Gamache. – Jakby jakaś zasłona się uniosła.

Hazel uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Rozumiał. Teraz jednak z wolna czuła, że ta zasłona z powrotem się opuszcza. Madeleine umarła, zapadał zmierzch, a z nim nadchodziła pustka. Zaciągała cały jej horyzont.

Jedna odeszła, druga została sama. Znów sama, jedna.

– Ale nie zawsze mieszkaliście razem?

– Dobry Boże, nie. – Hazel nawet się roześmiała, zaskakując tym sama siebie. Może zmierzch był tylko groźbą. – Rozeszły nam się drogi po liceum, ale spotkaliśmy się znów parę lat temu. Mieszkała tu prawie pięć lat.

– Czy madame Favreau kiedykolwiek miała nadwagę?

Gamache przyzwyczajał się już do zdziwionych spojrzeń, jakie towarzyszyły temu pytaniu.

– Madeleine? O ile wiem, nigdy. Przybrała parę kilo od czasu liceum, ale to było trzydzieści pięć lat temu. To naturalne. Ale nigdy nie była gruba.

– Myślałem, że nie widziała jej pani kilka lat.

– To prawda – przyznała Hazel.

– Dlaczego madame Favreau wprowadziła się tutaj?

– Jej małżeństwo się rozpadło. Obie mieszkaliśmy samotnie, więc zdecydowałyśmy się dzielić gospodarstwo. W tym czasie mieszkała w Montrealu.

– Trudno było zrobić dla niej miejsce?

– Myślę, że próbuje pan tu być dyplomata, nadinspektorze. – Uśmiechnęła się Hazel.

Gamache uświadomił sobie, że ją lubi. – Jeśli Madeleine wprowadziłaby się tylko z wykałaczką, to i tak byłby kłopot. Na szczęście nie miała nawet tyle. Przywiozła siebie, i to wystarczało.

Prosta, niewymuszona, intymna miłość. Na tym to polegało.

Siedząca naprzeciw Hazel przymknęła oczy i znów się uśmiechnęła, po



czym ściągnęła brwi.

Nagle pokój jakby wypełnił się bólem. Gamache chciał ująć spokojne dłonie Hazel w swoje. Każdy wysoki rangą oficer Sûreté uznałby to nie tylko za słabość, ale także za szaleństwo. Gamache wiedział, że tylko w taki sposób może znaleźć mordercę. Słuchając ludzi, robiąc notatki, zbierając dowody, jak inni jego koledzy. Ale on robił coś jeszcze.

Zbierał uczucia. Kolekcjonował emocje. Bo morderstwo było głęboko ludzkie. Nie chodziło o ludzkie czyny. Chodziło o uczucia, bo od tego wszystko się zaczynało. Pewne uczucia, niegdyś ludzkie i naturalne, ulegały zniekształceniu. Stawały się groteskowe. Kwaśniały i psuły się, aż samo naczynie, w którym się mieściły, ulegało destrukcji. Aż człowiek ledwie istniał w tym wszystkim. Zajmowało lata, zanim uczucie osiągnęło taki etap. Całe lata starannego podsycania, projekcji, usprawiedliwień, troszczenia się o nie, a w końcu pogrzebania go.

Żywcem. Potem nagle pewnego dnia wybijało na powierzchnię jako coś potwornego. Coś obdarzonego tylko jednym celem. Odebrać życie.

Armand Gamache łapał morderców, tropiąc ślady zgniłych uczuć.

Siedzący obok Beauvoir się wzdrygnął. Nie dlatego, że się niecierpliwił – pomyślał Gamache – jeszcze nie. Dlatego, że kanapa wydawała się ożywać i kłuła maleńkimi szpilkami.

Hazel otworzyła oczy i spojrzała na niego, uśmiechając się z wdzięcznością – sądził, że dlatego, iż jej nie przeszkodził.

Usłyszeli łomot na górze.

– To moja córka, Sophie. Przyjechała z uczelni z wizytą.

– Była tamtej nocy na seansie – powiedział Gamache.

– To było bardzo głupie. – Hazel uderzyła pięścią w oparcie fotela. – Wiedziałam.

– Więc dlaczego pani poszła?

– Nie poszłam za pierwszym razem i chciałam powstrzymać Madeleine...

– Za pierwszym razem? – Beauvoir usiadł głębiej i poczuł, jak milion szpileczek wbija mu się w pośladki.

– Tak, były dwa seanse, nie wiedział pan?

Gamache niezmiennie był ubawiony, ale i trochę zażenowany, kiedy ludzie wydawali się myśleć, że policjanci wszystko od razu wiedzieli.

– Proszę nam opowiedzieć.

– Był jeszcze jeden seans, w piątek wieczorem. W Wielki Piątek. W bistro.

– I madame Favreau tam była?

– Wraz z innymi. Niewiele się wydarzyło, więc zdecydowali się spróbować jeszcze raz.

Tym razem tam.

Gamache zastanawiał się, czy Hazel celowo nie wymieniła z nazwy dawnego domu Hadleyów, jak aktor, który nazywa *Makbeta* „szkocką sztuką”.

– Czy często organizuje się w Three Pines seanse spirytystyczne?

– O ile wiem, nigdy wcześniej.

– Więc czemu dwa w jeden weekend?

– To wszystko wina tej kobiety. – W miarę, jak Hazel mówiła, jej fasada się kruszyła i widać było coś wewnątrz. Nie smutek, nie stratę. Wściekłość.

– Czyja, madame? – zapytał Gamache, mimo że znał odpowiedź.

Igiełki wbiły się głębiej w pośladki Beauvoira i drążyły dalej.

– Dlaczego panowie przyszli? – zapytała Hazel. – Czy Madeleine została zamordowana?

– O kim pani mówi? Jaka kobieta? – powtórzył uparcie Gamache.

– Ta wiedźma, Jeanne Chauvet.

Wszystkie drogi prowadzą do niej, pomyślał Gamache. Ale gdzie ona się podziała?

Armand Gamache otworzył drzwi do sypialni Madeleine Favreau. Wiedział, że to najkrótsza droga, by kiedykolwiek zbliżyć do poznania tej kobiety.

– Czy Madeleine została zamordowana?

Słowa napłynęły z korytarza na piętrze i spotkały ich na progu sypialni.

– Pani musi być Sophie – stwierdził Beauvoir, podchodząc w stronę młodej kobiety, która wypowiedziała te słowa. Jej włosy były mokre po niedawnym prysznicu. Nawet z odległości kilku kroków czuł owocowy, świeży zapach szamponu.

– Dobrze pan odgadł. – Uśmiechnęła się szeroko do inspektora i przechylając głowę na jedną stronę, wyciągnęła rękę. Sophie Smyth była szczupła i ubrana we frotowy szlafrok.

Beauvoir zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie robiła. Odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech i pomyślał, że pewnie tak.

– A skoro pyta pani o morderstwo. – Beauvoir starał się wyglądać na skupionego, jakby poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem. – Czy często miewa pani niebezpieczne myśli?

Zaśmiała się, jak gdyby powiedział coś zarazem oburzającego i błyskotliwego i odepchnęła go lekko.

Gamache wślizgnął się do pokoju Madeleine, zostawiając Jean Guy Beauvoirowi z jego wątpliwą magią pole do popisu. Sypialnia lekko pachniała perfumami czy raczej wodą toaletową.

Czymś lekkim i wyrafinowanym. Nie takim, jak pełny, mocny zapach młodej kobiety, na którą natknęli się w korytarzu. Rozejrzał się dokoła, przyglądając wszystkiemu. Pokój był mały i jasny, nawet w blednącym słońcu. Lekkie białe zasłony obramowywały okno – miały rozpraszać światło, ale nie blokować wstępu promieniom. Ściany pomalowano czystą

odświeżającą bielą, narzuta na łóżko z kordonką była pomarszczona w miejscach, gdzie ktoś musiał leżeć. Łóżko było podwójne – Gamache wątpił, czy większe by się tu zmieściło – i mosiężne. To był antyk.

Przechodząc, pozwolił sobie przesunąć dłonią po chłodnym metalu. Lampki stały na bocznych stolikach. Na jednym leżał stos książek i magazynów, na drugim stał budzik. Cyfrowy wyświetlacz wskazywał szesnastą dziewiętnaście. Nadinspektor wyjął z kieszeni chustkę i przycisnął guzik budzika. Zamigał, pokazując siódmą rano.

W szafie wisiały rzędy sukienek i bluzek. Większość w rozmiarze czterdziestym drugim, niektóre w czterdziestym. Szuflady w miodowej komodzie skrywały bieliznę, czystą, nieposkładaną. Obok staniki i skarpetki. W innych szufladach trochę swetrów i kilka T-shirtów, jeszcze nie wyjęła letnich ubrań. A teraz miała nigdy już tego nie zrobić.

– No więc – powiedział Beauvoir, opierając się o ścianę korytarza – proszę mi opowiedzieć o wczorajszym wieczorze.

– Co chce pan wiedzieć? – Sophie także się o nią oparła, mniej niż pół metra od niego.

Czuł się niezręcznie, naruszała jego prywatną przestrzeń. Wiedział jednak, że prosił się o to.

I mimo wszystko było to mniej niewygodne niż kłująca kanapa.

– Cóż, dlaczego chciała pani iść na seans?

– Żartuje pan? Trzy dni tutaj, na zadupiu, w towarzystwie dwóch staruch? Gdyby mi ktoś powiedział, że idzie pływać we wrzącym oleju, też bym poszła.

Beauvoir się roześmiał.

– Tak naprawdę to z radością czekałam na przyjazd do domu. Wie pan, pranie, takie tam.

A mama zawsze robi mi moje ulubione dania. Ale Boże, po kilku godzinach miałam dosyć.

– Jaka była Madeleine?

– Kiedy, w ten weekend czy zwykle?

– A to jakaś różnica?

– Kiedy się sprowadziła, była miła, tak sędzę. Byłam tu tylko rok, potem pojechałam na uczelnię. Widywałam je jedynie w święta, a potem w wakacje. Z początku ją lubiłam.

– Z początku?

– Zmieniła się. – Stojąca bokiem Sophie odwróciła się i oparła plecami o ścianę, wypinając pierś i biodra, wpatrując się w ścianę naprzeciwko. Beauvoir milczał. Czekał.

Wiedział, że to nie koniec i podejrzewał, że dziewczyna chce mu o czymś opowiedzieć. – Tym razem nie była już taka miła. Nie wiem. – Sophie spuściła wzrok, włosy opadły jej na twarz w taki sposób, że Beauvoir nie mógł już widzieć jej miny. Wymamrotała coś.

– Słucham?

– Nie jest mi przykro, że nie żyje – mruknęła Sophie w swoje dłonie. – Zabierała rzeczy.

– Co takiego? Bizuterię, pieniądze?

– Nie, to nie to. Inne rzeczy.

Beauvoir wpatrywał się we włosy Sophie, po czym opuścił wzrok ku jej dłoniom. Jedna była zaciśnięta na drugiej, jak gdyby potrzebowała, żeby ktoś ją objął, a nikt jej tego nie oferował.

Gamache podniósł książki z nocnego stolika Madeleine. Po angielsku i po francusku.

Biografie, europejska historia powojenna, powieść znanego kanadyjskiego autora. Eklektyczny gust. Potem wcisnął rękę pomiędzy ramę łóżka a materac, przesuając nią w dół i w górę. Z jego doświadczenia wynikało, że jeśli ktoś miał książki czy czasopisma, których posiadanie by go zakłopotowało, schowałby je tutaj.

Kolejna „kryjówka” była nie tyle tajnym schowkiem, ile prywatnym miejscem. Szufladka w nocnym stoliku. Otworzywszy ją, znalazł tam książkę. Dlaczego nie trzymała jej razem z pozostałymi? Czy to była tajemnica? Książka wyglądała dość niewinnie. Podniósłszy tomik, spojrzął na okładkę i znalazł na niej zdjęcie uśmiechniętej starszej pani w tweedach i

długich, dekoracyjnych naszyjnikach. W jednej ręce elokwentnym gestem trzymała kieliszek z koktajlem.

Na okładce napisano: Paul Heber, *Sarah Binks*. Nadinspektor przerzucił kartki i zaczął czytać na chybił trafił. Potem przysiadł na brzegu łóżka i czytał dalej. Pięć minut później wciąż czytał i się uśmiechał. Czasami śmiał się w głos. Rozejrzał się dokoła z poczuciem winy, po czym zamknął książkę i wsunął ją do kieszeni.

Po kilku minutach zakończył przeszukanie, na koniec zostawiając komodę przy drzwiach. Madeleine trzymała tam kilka oprawnych w ramki fotografii. Podniósł jedną z nich i zobaczył Hazel z jakąś kobietą. Była smukła, z bardzo krótkimi, ciemnymi włosami i błyszczącymi, brązowymi oczami. Oczy sarny, powiększone przez fryzurę. Jej uśmiech był szeroki, pozbawiony sztuczności czy ukrytych zamiarów. Hazel także wyglądała na odprężoną i uśmiechniętą. Wyglądały razem tak naturalnie. Hazel zadowolona i spokojna, ta druga kobieta promienna.

Armand Gamache w końcu poznał Madeleine Favreau.

– Smutny dom – powiedział Beauvoir, spoglądając w lusterko wsteczne.

– Myśli pan, że kiedyś był szczęśliwy?

– Myślę, że kiedyś mógł być bardzo szczęśliwy – odparł inspektor Gamache.

Beauvoir opowiedział szefowi o swojej rozmowie z Sophie. Gamache słuchał, po czym wyjrzał przez okno, ale zobaczył tylko pojedyncze światło w oddali. Zapadła noc, a oni jechali wyboistą drogą z powrotem do Montrealu.

– Jakie odniósł pan wrażenie? – zapytał Gamache.

– Myślę, że Madeleine Favreau wypchnęła Sophie z jej własnego domu. Może nie rozmyślnie, ale nie było w nim już dla niej miejsca. I tak ledwo można się tam było ruszyć, a odkąd zjawiała się Madeleine, zrobiło się za ciasno. Coś musiało się zmienić.

– Czegoś trzeba się było pozbyć – dodał Gamache.

– Sophie.

Gamache pokiwał głową w ciemności i pomyślał o miłości tak

wszechogarniającej, że pożarła i wypluła własną córkę Hazel. Jak musiała się czuć ta dziewczyna?

– Co pan znalazł? – zapytał Beauvoir.

Gamache opisał pokój.

– Ale efedryny nie było?

– Ani śladu. Ani w pokoju, ani w łazience.

– Co pan myśli?

– Myślę, że Madeleine nie wzięła sama efedryny. Ktoś jej ją podał. – Gamache wyjął komórkę i wybrał numer.

– Wystarczająco dużo, by ją zabić.

– Wystarczająco dużo, by ją zamordować.

## 16

– Cześć, tato – rozległ się w telefonie pospieszny głos Daniela. – Gdzie jest jej króliczek?

Nie możemy spędzić siedmiu godzin w samolocie bez króliczka. I bez pielosa.

– Kiedy wyruszacie na lotnisko? – zapytał Gamache, sprawdzając godzinę na konsoli swojego volvo. Piąta dwadzieścia.

– Powinniśmy byli wyjechać pół godziny temu. Zginął nam pielos Florence.

Dla Gamache'a to miało sens. Drugi dziadek Florence, Grégoire, podarował jej żółty smoczek, który uwielbiała. Dziadek Grégoire powiedział kiedyś, że Florence ssie go tak, jak on kiedyś papierosa. Mała usłyszała to i smoczek został „pielosem”. To była najcenniejsza rzecz, jaką posiadała. Bez pielosa nie było mowy o locie samolotem.

Gamache żałował, że nie pomyślał o tym, by go gdzieś schować.

– Co, kochanie? – zawołał Daniel, z dala od słuchawki. – Och, cudownie. Tato, znaleźliśmy. Muszę lecieć. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Danielu.

Rozłączyli się.

– Mam jechać na lotnisko? – zapytał Beauvoir.

Gamache ponownie spojrzął na zegar. Lot do Paryża był o siódmej trzydzieści. Za dwie godziny.

– Nie, dziękuję. Za późno. *Merci*.

Beauvoir cieszył się, że zapytał, i jeszcze bardziej z tego, że szef odmówił. Poczuł okrucieństwo satysfakcji. Daniel wyjeżdżał. Nadinspektor znowu należał tylko do niego.



Rozpaczy – nie, choć czasy złe  
I smutku w bród  
Choć wicher dmie...

Odile wpatrywała się w pudełko ekologicznych płatków śniadaniowych, poszukując natchnienia. „Choć wicher dmie” – powtarzała, nie znajdując dalszego ciągu. Musiała wymyślić coś, co rymuje się z „bród”.

Lód? Płód? Smród? *Choć wicher dmie jak trąba z nut?* – powiedziała Odile z nadzieją.

Ale nie, blisko, ale jednak nie to.

Przez cały dzień siedziała w sklepie, który wraz z Gilles'em prowadzili w St-Rémy, i czuła wenę twórczą. Słowa wypływały z niej potokiem, tak że teraz cała lada była pokryta jej twórczością, nabazgraną z tyłu na paragonach i pustych papierowych torebkach. Odile była pewna, że większość z tego była gotowa do publikacji. Przepisze je i wyśle do pisma „Trzoda Chlewna”. Zawsze tam przyjmowano jej poezje, często bez żadnych zmian. Muza nie zawsze bywała taka hojna, ale dziś Odile czuła się lżejsza na duchu, niż się to zdarzało od wielu miesięcy.

Przez cały dzień do sklepu przychodzili klienci, większość z nich po małe zakupy i po wiele informacji – Odile z przyjemnością ich udzielała, kiedy ją pytano. Nie chciała wyglądać na zbyt ochoczą ani zbyt zadowoloną.

– Czy byłeś tam, moja droga?

– To musiało być okropne.

– Biedny pan Béliveau. Był bardzo w niej zakochany. I ledwo dwa lata minęły, odkąd jego żona zmarła...

– Czy naprawdę umarła ze strachu?

To było wspomnienie, do którego Odile nie chciała wracać. Madeleine zamarła w okrzyku, jak gdyby zobaczyła coś tak potwornego, że zamieniło ją to w kamień, może jak to coś z mitologii, głowa z węzowymi włosami. Odile nigdy nie obawiała się takich stworzeń, jej potwory miały ludzką postać.

Tak, Madeleine umarła ze strachu i zasłużyła sobie na to za całą grozę, jaką przez ostatnich parę miesięcy przeżywała z jej powodu Odile. Ale teraz groza się skończyła, jak huragan, który ucichł.

Huragan. Odile uśmiechnęła się i podziękowała muzie za to.

Choć wicher dmie, huragalnie

Nie może zdmuchnąć ciebie i mnie.

Minęła piąta, czas zamknąć sklep. Owocny dzień.

Nadinspektor Gamache zadzwonił do Lemieux, który wciąż przebywał w pensjonacie.

– Nie wróciła, szefie. Ale Gabri owszem.

– Proszę go dać do telefonu.

Po chwili ciszy odezwał się znajomy głos.

– *Salut, patron. Salut, Gabri.* Czy madame Chauvet przyjechała samochodem?

– Nie, po prostu się zmaterializowała. Oczywiście, że przyjechała samochodem. Jak inaczej ludzie tutaj dojeżdżają?

– Czy auto wciąż tam jest?

– Dobre pytanie. – Gamache słyszał, jak Gabri niesie telefon na zewnątrz i prawdopodobnie dalej na werandę. – *Oui, c'est ici.* Mała zielona toyota echo.

– Więc nie mogła pójść daleko – stwierdził Gamache.

– Chce pan, żebyśmy otworzył drzwi jej pokoju? Mogę udawać, że sprzątam. Mam klucz przy sobie – Gamache usłyszał brzęk klucza podniesionego z kołka – i idę w tamtą stronę.

– Czy mógłby pan dać klucz Lemieux? To on powinien otworzyć drzwi.

– Jasne. – Gamache czuł irytację w głosie Gabriego. Moment później odezwał się Lemieux.

– Otworzyłem drzwi, szefie.

Nastąpiła nieznośna chwila ciszy, podczas której funkcjonariusz Lemieux

wszedł do pokoju i włączył światło.

– Nic. Pokój jest pusty. Łazienka też. Chce pan, żebym przeszukał szuflady?

– Nie, to by było za daleko posunięte. Chciałem tylko się upewnić, że nie ma jej w środku.

– Martwej? Też się zastanawiałem, ale nie ma jej tutaj.

Gamache poprosił, by dał do telefonu Gabriego.

– *Patron*, potrzebujemy pokoi na dzisiejszą noc.

– Na jak długo?

– Aż zamkniemy sprawę.

– A jeśli jej nie rozwiążecie, czy zostanieie na zawsze?

Gamache przypomniał sobie eleganckie, gościnne sypialnie z miękkimi poduszkami, świeżo wykrochmaloną pościelą i łózkami tak wysokimi, że potrzebny był stołeczek, by się na nie wdrapać. Nocne stoliki, na których stała woda, leżały magazyny i książki. Śliczne łazienki z antycznymi kafelkami i nowoczesną hydrauliką.

– Jeśli robiłby mi pan co rano jajka po florencku, mógłbym zostać – odparł Gamache.

– Nierozsądny z pana facet, ale lubię pana – rzekł Gabri. – Proszę się nie martwić o pokoje, mamy mnóstwo wolnych.

– Nawet w czasie przerwy wielkanocnej? Nie ma kompletu?

– Kompletu? Nikt o nas nie wie, i mam nadzieję, że tak zostanie – zachichotał Gabri.

Gamache rozłączył się, poprosiwszy wcześniej Gabriego, by zadzwonił, jeśli Jeanne Chauvet wróci, oraz poleciwszy Lemieux, by wrócił na noc do domu. Wyglądając przez okno na inne samochody śmigające autostradą do Montrealu, nadinspektor zastanawiał się, gdzie się podziało medium. W głębi ducha liczył, że jakiś głos podszeptnie mu odpowie – choć nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby nagle zaczął słyszeć głosy. Odczekał moment, a kiedy nie odezwał się żaden głos, znający odpowiedź, wykonał kolejny telefon.

- *Bonjour*, naczelniku. Ciągłe w pracy?
- Właśnie wychodzę. Co nowego, Armandzie?

– To było morderstwo.

- Czy to przeczucie, czy masz jakieś fakty w tej sprawie?

Gamache się uśmiechnął. Stary przyjaciel dobrze go znał i podobnie jak Beauvoir, nie miał pełnego zaufania do „przezuc” Gamache’a.

- Tak się składa, że mój duch-przewodnik mi powiedział.

Na drugim końcu linii zapadła cisza, aż Gamache się roześmiał.

- To żart, Michel. *Une blague*. Mamy najprawdziwszy fakt. Efedryna.

- O ile sobie przypominam, sam ci o tym powiedziałem.

– To prawda, ale nie znaleźliśmy efedryny ani w jej pokoju, ani w łazience, ani w żadnym innym prawdopodobnym miejscu, gdzie mogłaby ją postawić. Wszelkie dowody świadczą o tym, że to nie była kobieta, która uważała, że musi się odchudzać. Nie miała żadnych zaburzeń łaknienia, które skłoniłyby ją do używania leku, o którym wiadomo, że jest niebezpieczny. Ani śladu obsesji na temat wagi czy diety. Żadnych książek ani pism na ten temat. Nic.

- Uważasz, że ktoś jej podał efedrynę.

- Owszem. Traktuję to jako dochodzenie w sprawie morderstwa.

– Zgoda. Ale przykro mi, że muszę cię ściągać z urlopu. Czy wrócisz wystarczająco wcześnie, by zobaczyć się z Danielem, zanim wyjedzie?

- Nie, on w tej chwili jedzie na lotnisko.

- Przykro mi, Armandzie.

– To nie twoja wina – odparł Gamache, ale Brébeuf, który znał go dobrze, usłyszał nutę żalu w głosie nadinspektora. – Uściski dla Catherine.

- Nie omieszkam.

Rozłączywszy się, Gamache poczuł ulgę. Od kilku miesięcy, może nawet dłużej, przeczuwał, że w przyjacielu zaszła jakaś zmiana, jakby pojawiła się między nimi szyba. Coś zmąciło dotychczasowość bliskość między nimi. Nie było to nic oczywistego. Gamache często się zastanawiał, czy tylko to sobie wymyślił, więc raz zapytał o to Reine-Marie po kolacji z Brébeufami.

– Nie potrafię tego określić. – Z trudem próbował jej wytłumaczyć. – To tylko...

– Przeczucie? – Uśmiechnęła się. Ufała jego przeczuciom.

– Może odrobinę więcej. Jego ton się zmienił, wzrok stał się jakby twardszy. Czasami też mówi rzeczy, które wydają się w zamierzony sposób obraźliwe.

– Jak to o mieszkańcach Quebecu, co przeprowadzają się do Paryża, bo myślą, że są lepsi od innych.

– Ty też to słyszałaś. On wie, że Daniel tam się przeprowadził. Czy to był przytyk?

A jeśli tak, to tylko jeden z wielu ostatnio ze strony Michela. Czemu?

Szperał w pamięci, ale nie mógł znaleźć powodu, dla którego Michel mógłby chcieć go zranić. Nie mógł przypomnieć sobie żadnego wydarzenia, które mogłoby to wywołać.

– Michel cię uwielbia, Armandzie. Daj mu trochę luzu. Catherine mówi, że martwią się o małżeństwo swojego syna. On i jego żona są w separacji.

– Michel nic mi nie powiedział – odparł Gamache, zdziwiony, że go to zabolalo. Myślał, że mówili sobie wszystko. Zastanawiał się, czy nie powinien zacząć być bardziej powściągliwy, ale złapał się na tym. Jakie to łatwe odgryźć się tym samym – pomyślał. Da Michelowi tyle luzu i czasu, ile tamten będzie potrzebował; pozwoli, by przyjaciel wyładowywał na nim swoje frustracje. To naturalne, że zawsze najbardziej obrywają najbliżsi.

Michel martwił się o syna. Jasne, to musiało być coś w tym stylu. Nie mogło chodzić o Gamache'a, o ich przyjaźń. Ale teraz, odkładając telefon, Gamache się uśmiechnął. Michel brzmiał jak za dawnych czasów. Jego dawna pogoda ducha wróciła. Cokolwiek to było, co stało między nimi, zniknęło.

Michel Brébeuf odłożył słuchawkę i z uśmiechem wpatrywał się w ścianę. Znalazł odpowiedź na pytanie, które dręczyło go od miesięcy. W jaki sposób? Jak miał doprowadzić do upadku tego zadowolonego z życia człowieka?

Teraz Michel Brébeuf już wiedział.

Oficer Yvette Nichol obudziła się wcześniej, zbyt podekscytowana, by spać. To był dzień, na który od dawna czekała. Ten dzień, gdy Gamache wreszcie się przekona, na co ją stać.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Krótkie, rudawe włosy, piwne oczy, skóra naznaczona purpurowymi plamami w miejscach, które skubała. Mimo że była szczupła, jej twarz zdawała się nieco nalana, jak balon z włosami. Wciągnęła policzki, przegryzając je od środka zębami trzonowymi. Tak lepiej, chociaż nie mogła przejść przez życie, wyglądając w ten sposób.

Po ojcu odziedziczyła rysy twarzy, ale po matce osobowość. Zawsze jej to mówiono, chociaż Nichol, która nie przepadała za własną matką, zastanawiała się, czy wujowie i ciotki nie mówią tak, by ją zirytować. Jej matka zmarła nagle – jednego dnia była, drugiego jej nie było.

Matka zawsze była outsiderką. Dalsza rodzina ojca, złożona z gadatliwych ciotek i wujków, tolerowała ją, ale nigdy nie kochała. Ani nie szanowała. Ani nie akceptowała. Matka starała się, a Nichol wiedziała o tym. Próbowwała przyjąć za swoje małe uprzedzenia i opinie Nickolewów. Ale oni tylko ją wyśmiewali i zmieniali zdanie.

Była żalosna. Zawsze próbowała się dostosować, zaskarbić uczucia ludzi, którzy nigdy, przenigdy jej nimi nie obdarzyli i nienawidzili jej za to, że próbowała się do nich przystosować.

„Jesteś zupełnie jak twoja matka”. Te naznaczone ciężkim obcym akcentem słowa zapadły Yvette Nichol w pamięci. Niewykluczone, że to jedyne zdanie, jakie jej ciotki i wujowie znali po francusku. Wyuczyli się go jak uczy się przekleństwa. Kurwa. Gówno. Jesteś zupełnie jak twoja matka. Piekło.

Nie, to ojca kochała. A on kochał ją. I chronił ją przed nawałą akcentów,

zapachów i obraźliwych słów w jej własnym domu.

– Nie maluj się. – Głos ojca wniknął przez drzwi łazienki. Uśmiechnęła się. Jasne, ojciec uważał, że jest wystarczająco ładna bez makijażu. – Bez makijażu wyglądasz młodziej.

Delikatniej.

– Tato, jestem oficerem Sûreté. W wydziale zabójstw. Nie chcę wyglądać na delikatną.

Bez przerwy próbował namówić ją, by używała sztuczek, by ludzie ją polubili. Ale ona wiedziała, że to bezużyteczne. Ludzie jej nie lubili. Nigdy.

Wczoraj zadzwonił jej szef, przerywając wielkanocny obiad w gronie krewnych. Wszyscy oni opowiadali, jak to lepiej jest w Rumunii, Jugosławii czy w Czechach. Rozmawiali w swoich językach, a kiedy nie rozumiała, odhaczali nauczanie jej jako coś do załatwienia. Ona jednak rozumiała wystarczająco dużo, by wiedzieć, kiedy pytali ojca, dlaczego Yvette nigdy nie maluje pisanek ani nie robi tradycyjnych świątecznych wypieków. Zawsze dopatrywali się niedociągnięć. Nikt nie komentował jej fryzury ani stroju, nikt nie pytał jej o pracę. Na miłość boską, była funkcjonariuszką Sûreté du Québec. Ona jedna w całej tej żałosnej rodzinie odniosła sukces. Czy nie mogli o to zapytać? Nie. Gdyby była pieprzoną pisanką, bardziej by się nią interesowali.

Pobiegła korytarzem z telefonem w ręku i ukryła się w swojej sypialni, żeby szef nie słyszał, jak nabijają się jej kosztem, wydając rechot, który uważali za śmiech.

– Pamięta pani o tej sprawie, o której rozmawialiśmy parę miesięcy temu?

– O sprawie Arnota?

– Tak, ale nie wolno pani więcej wspominać tego nazwiska. Jasne?

– Tak jest.

Traktował ją jak dziecko.

– Mamy nową sprawę. Nie jest pewne, czy to morderstwo, ale jeśli tak, będzie pani w zespole. Załatwiłem to. Już czas. Jest pani pewna, że sobie poradzi, Nichol? Jeśli nie, musi mi pani teraz powiedzieć. Stawka jest zbyt

wysoka.

– Dam radę.

Wierzyła w to, kiedy to powiedziała. Wczoraj. Ale nagle nadeszło dzisiaj. To było morderstwo. Nadszedł czas. Była śmiertelnie przerażona. Za mniej niż dwie godziny miała być w Three Pines z resztą zespołu. Ale podczas, gdy oni będą łapać mordercę, ona będzie próbowała znaleźć zdrajcę w Sûreté. Nie, nie tylko znaleźć. Oddać w ręce sprawiedliwości.

Yvette Nichol lubiła tajemnice. Zarówno kolekcjonowanie sekretów innych, jak i posiadanie własnych. Składała je wszystkie w swoim ogrodzie tajemnic, otaczała go murem, żywiła, pielęgnowała, pozwalała im rosnąć. Dobrze sobie radziła z dochowywaniem tajemnicy.

Zastanawiała się, czy to dlatego właśnie szef ją wybrał. Podejrzewała jednak, że powód był bardziej przyziemny. Już jej wszyscy nie znosili.

– Dasz radę – powiedziała do dziwnej młodej kobiety w lustrze. Strach nagle uczynił ją brzydką. – Dasz radę – powtórzyła z większym przekonaniem. – Jesteś świetna, odważna i piękna. – Niepewnym gestem uniosła szminkę do ust. Opuszczając ją na chwilę, zmierzyła ostrym spojrzeniem dziewczynę w lustrze. – Nie spierdol tego.

Przytrzymując nadgarstek drugą ręką, Yvette Nichol poprowadziła kupioną w drogerii, jasnoczerwoną szminkę, po ustach, jakby to była pisanka, którą zamierzała pomalować. Krewni mimo wszystko byliby z niej dumni.

Funkcjonariuszka Isabelle Lacoste stała w jasnym świetle poranka na drodze przy dawnym domu Hadleyów, wpatrując się w wyboistą drogę do niego. Wyglądała, jakby coś właśnie próbowało się wyrwać spod ziemi.

Jej odwaga wreszcie się wyczerpała. Po ponad pięciu latach w wydziale zabójstw z nadinspektorem Gamache'em, podczas których ściagała szalonych i psychopatycznych morderców, ten dom sprawił, że przystanęła. Mimo to zmusiła się, by zatrzymać się tu chwilę dłużej, później odwróciła się i odeszła, zwrócona plecami do budynku, czując, że ją obserwuje.

Przyspieszyła kroku i niemal pobiegła do samochodu. Wzięła głęboki



oddech i odwróciła się, by znowu popatrzeć na dom. Musiała tam wejść. Ale jak? Sama nie da rady, wiedziała, że zmusi się do tego, żeby tylko przekroczyć próg. Potrzebowała jakiegoś towarzystwa. Spoglądając na miasteczko, na dym płynący z kominów, na światła domów, wyobrażając sobie ludzi właśnie zasiadających do pierwszej kawy z tostem z dżemem, zastanawiała się, kogo wybrać.

Uczucie było dziwne i potężne. Lacoste zastanawiała się, czy tak właśnie czuli się sędziowie, kiedy w Kanadzie obowiązywała kara śmierci. Potem jej spojrzenie padło na konkretny dom. Uświadomiła sobie, że nigdy nie miała żadnych wątpliwości, kto byłby odpowiedni.

– Otworzę! – zawołała Clara ze swojej pracowni. Wstała wcześniej z nadzieją, że w porannym świetle dostrzeże to samo, co Peter zobaczył kilka dni temu. Niedoskonałość w swojej pracy. Kolory, które były nie takie. Może zły odcień błękitu? Albo zieleni? Może to powinien być wirydian zamiast seledynu? Celowo unikała sinego błękitu, ale teraz myślała, że może to był błąd.

Miała tylko tydzień na skończenie obrazu, zanim przyjedzie Denis Fortin.

Czas uciekał. Z obrazem coś było nie tak, ale nie wiedziała, co. Siedziała na stolku, popijając poranną kawę i jedząc obwarzanka, mając nadzieję, że wiosenne słońce jej odpowie.

Ale ono milczało.

Dobry Boże, co ja zrobię?

W tej właśnie chwili ktoś zapukał do drzwi. Zastanawiała się, czy to Bóg, ale doszła do wniosku, że On prawdopodobnie nie musiałby pukać.

– Nie, ty pracujesz! – zawołał z kuchni Peter, patrząc na zegar. Ledwo po siódmej. – Ja otworzę.

Peter czuł się okropnie z powodu tego, co powiedział o pracy Clary. Próbował później wyznać jej, że przesadził. Nic z nią nie było nie tak. Wręcz przeciwnie. Ale wtedy ona by pomyślała, że traktuje ją z góry. Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że okłamał ją za pierwszym razem. Że obraz jest genialny. Był świetlisty, nadzwyczajny – był wszystkim, co chciałby, żeby

miało zastosowanie do jego prac.

To prawda, właściciele galerii i dekoratorzy przepadali za jego obrazami. Peter znajdował w naturze obiekt, dajmy na to patyczek, i zbliżał się do niego tak bardzo, że ten przedmiot stawał się nierozpoznawalny, abstrakcyjny. Z jakiegoś powodu podobał mu się koncept ukrywania prawdy. Krytycy opisywali jego prace takimi słowami, jak „złożone”, „głębokie” i „przykuwające uwagę”. To by mu wystarczało, ale wtedy zobaczył obraz Clary. Teraz marzył, by ktoś, choćby jedna osoba, spojrzała na jego malarstwo i nazwała je „światlistym”. Peter miał nadzieję, że Clara niczego nie zmieni w tym obrazie. Chciał też, żeby to zrobiła. Teraz podszedł do drzwi i otworzył je, odkrywając za nimi funkcjonariuszkę Isabelle Lacoste.

– *Bonjour*. – Peter uśmiechnął się do niej.

– Czy to Bóg? – zawołała Clara ze swojej pracowni.

Peter popatrzył na Lacoste, która przepaszająco pokręciła głową.

– Nie, kochanie, nie Bóg. Przykro mi.

Pojawiła się Clara. Wycierając ręce, uśmiechnęła się ciepło.

– Witam, pani oficer Lacoste. Długośmy się nie widziały. Może kawy?

Isabelle Lacoste bardzo chciała kawy. W ten zimny wiosenny poranek dom Morrowów pachniał świeżym kawowym naparem, opiekany obwarzankiem i ciepłym ognia. Lacoste chciała usiąść i porozmawiać z tymi gościnnymi ludźmi, ogrzewając ręce o kubek. I nie wracać do tamtego domu. Wiedziała, że mogłaby tu zostać. Nikt z jej zespołu nie wiedział, że tu była.

Przyszła tu z osobistych powodów, to był jej mały prywatny rytuał.

– Potrzebna mi pani pomoc – powiedziała do Clary, która w zaskoczeniu uniosła brwi. Po czym opuściła je, kiedy Isabelle Lacoste wyjaśniła, czego chciała.

Myrna Landers podśpiewywała pod nosem, mieląc kawę, którą zamierzała przygotować w swoim zaparzaczu tłokowym Bodum. Boczek się smażył, dwa jajka w brązowych skorupkach leżały na drewnianym kuchennym blacie, czekając, aż je wbije na patelnię. Rzadko jadała więcej niż tosta z

kawą, ale od czasu do czasu miała ochotę na duże śniadanie. Słyszała kiedyś, jak ktoś mówił, że wszystko, czego sekretnie pragną Anglicy, to śniadanie trzy razy dziennie.

W odniesieniu do niej to była prawda. Mogłaby żyć na diecie złożonej z boczku, jajek, croissantów, kiełbasek, racuchów, syropu klonowego, owsianki i wyrazistego brązowego cukru.

Do tego świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy i mocna kawa. Oczywiście umarłaby po miesiącu.

*Umarła.*

Łopatka w ręku Myrny zatrzymała się ponad boczkiem, który przewracała. Prysnał jej na rękę, ale nie zareagowała. Była myślami w tym okropnym pokoju w tamtą okropną noc.

Odwracając Madeleine.

– Boże, jak pięknie pachnie. – Z końca loftu napłynął znajomy głos. Myrna odwróciła się i zobaczyła stojącą tam Clare z jeszcze jedną kobietą, obie zdejmowały zabłocone buty. Ta druga kobieta rozglądała się z zachwyconą miną.

– *C'est magnifique* – powiedziała Lacoste, zafascynowana. Jedyne, czego teraz chciała, to usiąść przy długim stole, jeść jajka na boczku i nigdy stąd nie wyjść. Wchłaniała pokój całą sobą.

Odsłonięte belki sufitu, pociemniałe ze starości, przebiegały nad ich głowami. Wszystkie cztery ściany były ceglane, niemal różanego odcienia, wisiały na nich odważne, abstrakcyjne grafiki, pomiędzy którymi znajdowały się regały pełne książek i duże, podzielone szczebelkami okna. Po bokach stojącego pośrodku wnętrza opalanego drewnem pieca ustawiono wytarte fotele, a naprzeciw nich wielką kanapę. Podłogi były z szerokich sosnowych desek w miodowym kolorze. Dwoje drzwi prowadziło, jak zgadywała Lacoste, do sypialni i łazienki.

Była w domu. Nagle Lacoste miała ochotę wziąć Clare za rękę. Tu był jej dom. W tym lofcie. Ale też z tymi kobietami.

– *Bonjour.* – Wielka czarnoskóra kobieta w kaftanie podeszła do niej z

wyciągniętymi ramionami i uśmiechem na uroczej twarzy. – *C'est agent Lacoste, n'est-ce pas?*

– *Oui.* – Lacoste ucałowała ją w oba policzki i została ucałowana w rewanżu. Po czym Myrna odwróciła się i wymieniła uściski i pocałunki z Clary.

– Przyszłyście na śniadanie? Dla wszystkich wystarczy. Mogę zrobić więcej. O co chodzi?

Myrna dostrzegła napięcie na twarzy Clary.

– Oficer Lacoste potrzebuje naszej pomocy.

– Co mogę zrobić? – zapytała Myrna, patrząc na młodą kobietę, ubraną prosto i elegancko, jak większość młodych mieszkanek Quebecu. W porównaniu z nią Myrna czuła się wielka jak dom. Wygodny i szczęśliwy dom.

Lacoste odpowiedziała, czując się tak, jakby każde jej słowo brudziło to cudowne wnętrze. Kiedy skończyła, Myrna stała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzyła, przemówiła:

– Oczywiście, dziecinko, że pomożemy.

Dziesięć minut później, gdy po boczkach nie było już śladu, czajnik został wyłączony, a Myrna się ubrała, wszystkie trzy szły powoli przez budzące się miasteczko. Mgielka wisiała nad stawem i lepiła się do wzgórz.

– Pamiętam, że gdy zmarła wasza sąsiadka, urządziłyście rytuał – powiedziała Lacoste do Clary.

Myrna skinęła głową. Pamiętała, jak szła przez Three Pines z wiązką dymiącej szałwii i turówki. To miało na powrót przynieść radość w miejsce wypalone brutalnym morderstwem.

Jak się okazało zadziało.

– To stary pogański rytuał z czasów, kiedy „poganin” znaczyło „wieśniak”, „wieśniak” oznaczało „robotnik”, a bycie robotnikiem było czymś ważnym – wyjaśniła Myrna.

Isabelle Lacoste milczała. Zwiesiła głowę, patrząc w dół na swoje kalosze, które chlupotały na błotnistej drodze. Była zachwycona tym miasteczkiem.

Nigdzie indziej nie mogła iść środkiem drogi przekonana, że nikt jej nie przejedzie. Czuła dokoła zapach ziemi i słodycz sosnowego lasu.

– Czy Madeleine została zamordowana? – zapytała Clara. – Czy to dlatego chce pani to zrobić?

– Tak, została zabita.

Myrna i Clara się zatrzymały.

– Nie wierzę – wzdrygnęła się Myrna.

– Biedna Madeleine, biedna Hazel – westchnęła Clara. – Tyle robi dla innych, a oto, co ją spotkało.

Gdyby dobre uczynki chroniłyby przed tragediami, świat byłby lepszym miejscem – pomyślała Lacoste. Może były motywowane dobrze pojętym własnym interesem, ale przynajmniej tkwił w tym element logiki. Czy to właśnie próbuję zrobić? Zyskać sobie nagrodę?

Udowodnić przed instancją decydującą o życiu i śmierci, że jestem dobra, żeby mnie za to wynagrodziła?

Trzy kobiety po raz kolejny spojrzały na wznoszący się ponad miasteczkiem cel swojej podróży. Cholerny dom Hadleyów, myślała Clara, brnąc naprzód. Odebrał kolejne życie.

Miała nadzieję, że dom jest usatysfakcjonowany, iż się nasycił. Cieszyła się, że jeszcze nie jadła śniadania i miała nadzieję, że nie pachnie jajkami na boczku.

– Dlaczego pani to robi? – Myrna cicho zapytała Lacoste.

– Bo myślę, że to możliwe że... – Zatrzymała się i znowu zastanowiła. – Bo nigdy nie wiadomo...

Myrna odwróciła się i ujęła ją za rękę. Lacoste nie była przyzwyczajona do tego, żeby podejrzani i świadkowie brali ją za rękę, ale się nie cofnęła.

– Wszystko dobrze, dziecinko. Popatrz na nas. Stare z nas więdźmy, Clara i ja.

Zapaliłyśmy wielki pieprzony pęk szaławii i turówki i okadziłyśmy miasteczko przeciw złym duchom. Chyba rozumiemy.

Isabelle Lacoste się roześmiała. Przez całe dorosłe życie wstydziła się swoich wierzeń.

Otrzymała katolickie wychowanie, ale któregoś zimnego, paskudnego ranka, wpatrując się w purpurową plamę na asfalcie w miejscu, gdzie umarł młody człowiek, zabity przez kierowcę, który uciekł z miejsca wypadku, przymknęła oczy i rozmawiała z umarłym. Powiedziała mu, że nie został zapomniany. Że nigdy nie zostanie zapomniany. Że ona dowie się, kto mu to zrobił.

To był jej pierwszy raz. Wydawał się dosyć niewinny, ale uruchomiło to inny rodzaj instynktu. Powiedział jej, żeby była ostrożna. Żeby uważała nie na martwych, ale na żywych.

A kiedy przyłapał ją kolega, jej lęki okazały się w pełni uzasadnione. Szydzono z niej i wyśmiewano bez litości. Złośliwy śmiech ścigał ją po korytarzach Sûreté, robiono z niej pośmiewisko, bo rozmawiała z duchami.

Już-już miała zrezygnować z pracy – nawet napisała już pismo w tej sprawie i czekała przed gabinetem zwierzchnika – kiedy drzwi się otworzyły i wyszedł nadinspektor Gamache.

Wszyscy go znali, oczywiście. Był sławny nawet przed nieszczęsną sprawą Arnota.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, po czym zrobił coś niesamowitego. Wyciągnął wielką dłoń, przedstawił się i powiedział:

– Byłby to dla mnie zaszczyt, funkcjonariuszko Lacoste, gdyby zechciała pani dołączyć do mojego zespołu. – Myślała, że Gamache żartuje. Ani na chwilę nie spuścił z niej oczu. – Proszę, niech się pani zgodzi.

Zgodziła się.

Podjeżdżała, że nadinspektor Gamache wiedział, iż na każdym miejscu zbrodni, kiedy już ustała wszelka aktywność, zespół rozszedł się do domów, powietrze zamknęło nad miejscem zajścia – Isabelle Lacoste wciąż tam była. Mówiła do umarłych. Starła się dać im pewność, że nadinspektor Gamache i jego zespół nie przestaną pracować nad sprawą. Że nie zostaną zapomniani.

Teraz, stojąc w świeżym, delikatnym powietrzu i trzymając szorstką dłoń Myrny, patrząc w ciepłe, błękitne oczy Clary, pozwoliła sobie się odsłonić.

– Myślę, że duch Madeleine Favreau wciąż tu jest. – Spojrzała na opuszczony dom na wzgórzu. – Czeka, byśmy go uwolnili. Chcę, żeby wiedziała, że się staramy, iż o niej nie zapomnimy.

– To święty gest – rzekła Myrna, ściskając jej dłoń. – Dziękujemy, że poprosiła nas pani o pomoc.

Isabelle Lacoste zastanawiała się, czy za kilka minut wciąż jeszcze będą chciały jej dziękować. Trzy kobiety stanęły wreszcie ramię w ramię przed dawnym domem Hadleyów.

– Chodźcie – zadysponowała Clara. – To nijak nie stanie się łatwiejsze. – Postąpiła w dół po nierównej ścieżce w kierunku drzwi i spróbowała je otworzyć. – Zamknięte na klucz – powiedziała, a w głowie spiętrzyły jej się wizje powrotu do domu Myrny i ucztowania tam, z wędzonym w klonowym drewnie boczkiem, jajkami na miękko i ciepłymi tostami z domową marmoladą. Zrobiły, co mogły...

– Mam klucz – odezwała się Lacoste.

Cholera.

W tej samej chwili Armand Gamache i Jean Guy Beauvoir wchodzili do szpitala w Cowansville. Kilka osób siedziało przed budynkiem, paląc papierosy, jedna ciągnęła za sobą butlę z tlenem. Dwaj policjanci obeszl ją szerokim łukiem.

– Czemu tak długo?

Yvette Nichol stała w drzwiach sklepiku z pamiątkami, ubrana w niedopasowany garnitur, przybrudzony błotem na mankietach, z włosami obciętymi na pazia (fryzura niemodna od siedemnastego wieku) i ze szminką, która wyglądała tak, jakby ktoś potraktował jej usta nożem do obierania warzyw.

– Oficer Nichol. – Skłonił się Beauvoir.

Od tej ponurej, nadaśanej twarzy bebechy mu się przewracały. Był pewien, że Gamache popełnił straszliwy błąd, zapraszając ją do zespołu. Niech go

diabli, jeśli wiedział, dlaczego nadinspektor to zrobił. Ale mógł zgadywać. Podejrzał, że Gamache uważał za osobistą misję pomóc każdej nieudanej, upadłej, niedoskonałej istocie. Nie tylko im pomóc – do tego wystarczyłby miły list z rekomendacją – ale przyjąć je do swojego zespołu. Podnosił te stworzenia i umieszczał w wydziale zabójstw, najbardziej prestiżowym oddziale Sûreté, gdzie pracowały z najslawniejszym detektywem w Quebecu.

Sam Beauvoir był pierwszym z tej kolekcji. W biurze w Trois-Rivières nie lubiano go tak bardzo, że przydzielano go do biura dowodowego. To jak klatka. Jedynym powodem, dla którego nie zrezygnował z pracy, było to, że wiedział, iż sama jego obecność gra szefom na nerwach.

Przepelniał go gniew. Prawdopodobnie należało go umieścić w klatce.

A potem znalazł go nadinspektor, wziął ze sobą do wydziału zabójstw, a po paru latach awansował na inspektora i uczynił swoją prawą ręką. Ale Jean Guy Beauvoir nigdy całkiem nie wyszedł z klatki. Przeniosła się ona do wnętrza inspektora. Trzymał w niej swój największy gniew, bo tam nikomu nie mógł wyrządzić krzywdy. Obok mieściła się jeszcze jedna, spokojniejsza klatka. W jej rogu, zwinięte w kłębek, leżało coś, co przerażało Beauvoira jeszcze bardziej niż własny gniew. Inspektor żył w strachu, że pewnego dnia to stworzenie może wymknąć się z zamknięcia. W owej klatce trzymał miłość. A gdyby ją wypuścił, poszłaby prosto do Armanda Gamache'a.

Jean Guy Beauvoir spojrział na Nichol i zastanowił się, co też ona trzyma w swojej klatce. Cokolwiek to było, miał nadzieję, że jest zamknięte na głucho. To, co Nichol wypuszczała wolno, było już wystarczająco złośliwe. Zeszli na najniższy poziom szpitala, do pomieszczenia, w którym nic nie było naturalne. Ani światło, ani powietrze, które pachniało chemikaliami, ani meble (były aluminiowe). Ani przyczyny śmierci tych, którzy tu trafili.

Technik w średnim wieku rzeczowo wysunął ciało Madeleine Favreau z szuflady. Niezobowiązującym gestem rozsunął suwak torby, w której się znajdowała, po czym odszedł na bok.

– O kurczę – pisnął. – Co jej się stało?

Mimo że się na to przygotowali, doświadczeni detektywi z wydziału zabójstw potrzebowali chwili, by dobrać się do siebie. Pierwszy pozbierał się i



przemówił Gamache.

– A na co to panu wygląda?

Technik postąpił krok naprzód, wyciągając głowę na całą długość szyi, i ponownie spojrział do wnętrza torby.

– Ja pierdolę. – Odetchnął ciężko. – Nie wiem, ale nie chciałbym umrzeć w ten sposób – zwrócił się do Gamache’a. – Morderstwo?

– Przestraszono ją na śmierć – rzekła Nichol, patrząc jak zaczarowana. Nie mogła oderwać oczu od tej twarzy.

Madeleine Favreau umarła, wrzeszcząc. Jej oczy wychodziły z orbit, usta rozciągnęły się na zębach, szeroko otwarte i nieme. Wyglądało to ohydnie. Co mogło to spowodować?

Gamache popatrzył na ciało, a potem wziął głęboki oddech.

– Kiedy przyjdzie doktor Harris? – zapytał.

Technik zajrzał do grafiku.

– O dziesiątej – odpowiedział szorstko, próbując się zrehabilitować za poprzedni pisk.

– *Merci* – rzekł Gamache i się oddalił.

Pozostała dwójka podążyła za nim, podobnie jak zapach formaldehydu.

Myrna, Lacoste i Clara weszły na schody. Clara na swoich krótkich nogach ledwie nadażała za Myrną, która pokonywała po dwa stopnie naraz. Clara próbowała chować się za Myrną, mając nadzieję, że złe najpierw porwie jej przyjaciółkę. No chyba, że szło za nimi. Clara rozejrzała się i wpadła na Myrnę, która stała w korytarzu jak wryta.

– Gdyby mój ojciec to widział, upierałby się, że musimy wziąć ślub – powiedziała do Clary.

– Miło, że są jeszcze jacyś staroświeccy mężczyźni. Myrna zatrzymała się, ponieważ Lacoste, która szła przed nią, także stała. Nagle. W połowie korytarza. Clara wyjrzała zza swojej ludzkiej tarczy-Myrny i zobaczyła Lacoste, patrzącą na coś uważnie.

O Boże, co teraz? – pomyślała.

Lacoste powoli posuwała się naprzód. Myrna i Clara szły za nią. Wtedy Clara to zobaczyła: paski żółtej taśmy, rozrzucone na podłodze. Paski żółtej taśmy oddarte i zwisające z drzwi. Policyjna taśma została nie tylko zdjęta czy przecięta, została zbezczeszczona. Podarto ją na strzępy. Coś bardzo chciało dostać się do środka.

Albo wydostać.

Przez otwarte drzwi Clara widziała mroczne wnętrze pokoju. Pośrodku kręgu krzeseł, w soli, leżał ptaszek, rudzik.

Martwy.

Robert Lemieux dorzucił więcej drewna do wielkiego, czarnego pieca, stojącego pośrodku budynku dawnej stacji kolejowej. Wokół niego technicy ustawiali biurka i tablice, terminale komputerowe i drukarki. Niemal nie sposób było odgadnąć, że ten budynek był kiedyś starym dworcem, opuszczonym przez Kanadyjskie Koleje Państwowe. Jeszcze trudniej było rozpoznać w nim obecną kwaterę Ochotniczej Straży Pożarnej w Three Pines, choć przed budynkiem stał olbrzymi czerwony wóz strażacki. Technicy ostrożnie zdejmowali ze ścian plakaty o bezpieczeństwie pożarowym oraz kilka afiszy celebrujących Nagrodę Literacką Gubernatora Prowincji. Patrzyła z nich komendantka ochotniczej straży, Ruth Zardo, którą uhonorowano tą nagrodą. Minę miała taką, jakby ktoś obrzucił ją ekskrementami.

Inspektor Beauvoir zadzwonił poprzedniego wieczoru i nakazał mu wcześniej przyjechać do Three Pines, żeby pomóc w urządzaniu biura. Na razie jedynym, czego Lemieux dokonał, było niewchodzenie w drogę pozostałym oraz podtrzymywanie paleniska. Zdążył też wpaść do lokalnej kawiarni Tima Hortona w Cowansville i kupić kawę z podwójną śmietanką i cukrem oraz parę pudełek pączków.

– Świetnie, jest pan. – Inspektor Beauvoir wkroczył do środka, a za nim podążała funkcjonariuszka Nichol. Posłali sobie z Lemieux groźne spojrzenia.

Nieważne, ile by się zastanawiał, Lemieux nie miał pojęcia, co takiego zrobił, że Nichol odnosiła się do niego tak wrogo. Próbował się z nią zaprzyjaźnić. Tak mu nakazał naczelnik Brébeuf: starać się być blisko z wszystkimi. I tak zrobił. Był w tym naprawdę dobry. Przez całe swoje udane życie łatwo zjednywał sobie przyjaciół. Wyjątkiem była ona. I dręczyło go to. Ona go drażniła, bo faktycznie okazywała uczucia, a to go dezorientowało i

złościło. Była jak przedstawiciel nowego, niebezpiecznego gatunku.

Teraz posłał jej uśmiech, na który Nichol odpowiedziała grymasem.

– Gdzie nadinspektor? – zapytał Beauvoira Lemieux.

Pięć biurkó ustawiono w okręgu, ze stołem konferencyjnym pośrodku. Na każdym biurku stał komputer, właśnie podłączano telefony.

– Z Lacoste. Niedługo tu będą. Już przyszli. – Beauvoir skinął głową w stronę drzwi.

Nadinspektor Gamache, ubrany w wojskową kurtkę i w tweedowej czapce na głowie, szedł przez pomieszczenie, a za nim kroczyła Isabelle Lacoste.

– Mamy problem – powiedział Gamache, skłoniwszy się Lemieux i zdjawszy czapkę. – Siadajcie, proszę.

Zespół zgromadził się przy stole konferencyjnym. Technicy, którzy wszyscy znali Gamache'a, starali się nie hałasować.

– Funkcjonariuszko Lacoste? – Gamache nawet nie zadał sobie trudu zdjęcia płaszcza, Beauvoir zauważył teraz coś poważnego. Isabelle Lacoste, także nadal w płaszczu i gumiakach, zdjęła lekkie rękawiczki i rozpostarła dłonie na blacie stołu.

– Ktoś włamał się do pokoju w dawnym domu Hadleyów.

– Na miejsce zbrodni? – zapytał Beauvoir. To prawie nigdy się nie zdarzało. Mało kto był aż tak głupi. Instynktownie spojrzał na Nichol, ale odegnał tę myśl.

– Miałam ze sobą zestaw kryminologiczny, więc zrobiłam zdjęcia i zebrałam odciski palców. Jak tylko technicy będą gotowi, prześlę je do laboratorium, ale zdjęcia już możecie obejrzeć.

Wręczyła im cyfrowy aparat fotograficzny. Byłoby znacznie łatwiej je oglądać, gdyby zdjęcia zostały przesłane na dysk komputera, ale to, co zobaczyli, wystarczyło, by zapadła głucha cisza. Gamache, który już widział te fotografie, podszedł porozmawiać z technikami, żeby jak najszybciej uruchomili połączenie komunikacyjne. Przez chwilę nawet inspektor Beauvoir nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Taśmę nie tylko urwano, ale także poszarpano ją na kawałeczki. – Nie

podobało mu się, jak reagowało jego ciało. Niczego nie czuł, kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że coś oddzieliło się i lewitowało nad nim. Chciał, żeby wróciło, więc zaciskał pięści coraz mocniej, aż krótkie paznokcie wbiły się w skórę dłoni. Zadziałało.

– A to co? – zapytała Nichol. – Wygląda, jakby się ktoś zesrał.

– Oficer Nichol! – upomniał ją Gamache. – Potrzebujemy konstruktywnych komentarzy, a nie dziecinnych uwag.

– Ale tak to wygląda – powiedziała Nichol, patrząc na Lemieux i Lacoste, którzy nie zamierzali jej pomóc, nawet jeśli by tak się umówili. Beauvoir również nie stanął po jej stronie.

Pomiędzy krzesłami na zdjęciu znajdował się mały ciemny wzgórek. Wyglądał jak kupa gówna.

Czy to niedźwiedzia kupa? Czy to coś poszarpało taśmę? Czy jakiś zabłąkany niedźwiedź zagnieździł się w dawnym domu Hadleyów? To miało sens.

– To ptak – rzekła Lacoste. – Mały rudzik.

Beauvoir cieszył się, że postanowił siedzieć cicho. Niedźwiedź. Ptaszek. Nieważne.

– Biedactwo – powiedział Lemieux, na co Nichol obrzuciła go miażdżącym wzrokiem, a Gamache obdarzył lekkim uśmiechem.

– Ten jest gotowy, sir. – Technik dał znak znad jednego z komputerów, po czym usiadł i wyciągnął rękę. Lacoste wręczyła mu aparat i zestaw daktyloskopijny. W ciągu kilku minut odciski palców zostały przesłane do Montrealu, a zdjęcia wyświetlały się na ekranie. Wkrótce jeden po drugim komputery ożyły, na każdym wyświetlała się ta sama niepokojąca scena, jak upiorny wygaszacz ekranu. Zrobione z korytarza zdjęcie pokazywało na pierwszym planie poszarpaną taśmę policyjną, a w tle małego ptaszka leżącego pośrodku kręgu krzesel.

Czego chce ten dom? – zastanawiał się Gamache. Cokolwiek do niego wchodziło, wyłaniało się martwe albo odmienione.

– Więc? – zapytał Beauvoir, gdy znowu usiedli przy stole konferencyjnym.

– Jak wszyscy wiecie, to teraz śledztwo w sprawie morderstwa. Pozwólcie, że podzielę się najnowszymi wiadomościami. – Sięgnął naprzód i wziął jeden z dużych kubków z kawą, wprawnie odrywając plastikowy ustnik od wieczka, po czym otworzył pudełko z pączkami w polewie czekoladowej.

Inspektor Beauvoir pokrótce zrelacjonował to, co było wiadomo o ofierze i morderstwie.

Kiedy opisywał przebieg seansu, poziom szumu w pomieszczeniu spadał aż do kompletnej ciszy.

Gamache podniósł wzrok i zauważył, że wokół ich kręgu uformował się następny, złożony z techników, którzy lgnęli do tych opowieści jak zgromadzeni przy wieczornym ognisku biwakowicze, spragnieni historii o duchach.

– Dlaczego urządzili seans? – zapytał Lemieux.

– A co ważniejsze, czyj to był pomysł? – dorzuciła Nichol, lekceważąc pytanie Lemieux.

– Wygląda na to, że na pomysł pierwszego seansu, który odbył się w bistro, wpadł Gabri Dubeau – wyjaśnił Beauvoir. – Ale nie wiemy, kto wymyślił, żeby pójść do dawnego domu Hadleyów.

– Dlaczego myśli pani, że to istotne, kto to zasugerował jako pierwszy? – spytał Gamache.

– Cóż, czy to nie oczywiste? Jeśli zamierza się kogoś wystraszyć na śmierć, nie zabiera się go do Disneylandu. Raczej w miejsce, którego ludzie i tak się boją. Jak dawny dom Hadleyów. – Nichol niemal prychnęła nadinspektorowi „phi” prosto w twarz. Zapadła cisza, wszyscy czekali na jego reakcję. Gamache zamilkł na chwilę, po czym pokiwał głową.

– Możliwe, że ma pani rację.

– Ale ona nie umarła ze strachu – odezwał się Beauvoir, zwracając się do Nichol. Był wściekły na nią za niesubordynację i na Gamache’a, że to tolerował. Co go napadło? Co to za gra, w którą się angażuje, pozwalając Nichol być w zespole? Dlaczego wybaczają jej więcej, niż odpuściłby komukolwiek innemu? Poza tym to nie podnosiło morale innych w oddziale.

Sądząc jednak z pełnych obrzydzenia min pozostałych, nikt nie zamierzał obierać sobie Nichol za przykład. – Jeśliby się pani na moment zamknęła i posłuchała, dowiedziałaby się pani, że ją otruto. Czy tak?

– Efedryną – sprecyzował nadinspektor. – Na początku lekarz myślał, że umarła na atak serca, ale ponieważ była taka młoda, zdecydowano się zrobić badania krwi. Testy wykazały ogromne ilości efedryny.

Nichol skrzyżowała ramiona na piersi i siedziała, milcząc.

– Poszperałem wczoraj po południu trochę na temat efedryny – powiedział Lemieux, biorąc swój notes. – To właściwie nie jest środek chemiczny. To roślina. Ziele pod nazwą *Ephedra dis-ta-chya*. – Lemieux wypowiedział to wolno i starannie, chociaż szansa, że ktoś go poprawi, była niewielka. – Rośnie na całym świecie.

– Czy to jak marihuana?

– Nie, nie jest halucynogenem ani relaksantem. Wręcz przeciwnie. Dawniej stosowano ją w medycynie chińskiej jako napar łagodzący – zajrzał w notatki – przeziębienia i astmę, choć zgaduję, że ktoś...

– Niech pan nie zgaduje – powiedział cicho Gamache.

– Przepraszam. – Lemieux pochylił głowę i nerwowo przerzucił notatki w przód i w tył, podczas gdy cały zespół wpatrywał się w niego. W końcu znalazł to, czego szukał. – Firma farmaceutyczna Saltzer odkryła, że można ją wykorzystać jako suplement diety. Zwiększa metabolizm, a przez to spalanie tłuszczu. Zapotrzebowanie na tego rodzaju specyfik jest olbrzymie, o wiele większe niż na środki łagodzące przekrwienie czy leki przeciw przeziębieniu.

Każdy chce schudnąć.

– Ale nie każdy musi – odparła Lacoste. – W tym problem. Stworzyli popyt tam, gdzie nie powinno go być.

– Zna pani efedrynę? – zapytał Gamache.

– Tylko o niej słyszałam. Ale doskonale znam zagadnienie problemów z wizerunkiem ciała. Większość dziewczyn myśli, że są grube, nieprawdaż? – Zrobiła błąd, patrząc na Nichol, która wzruszyła ramionami. W końcu skoro

Lacoste nie poparła jej przy uwadze na temat gówna, niech sobie teraz radzi sama.

– Tu nie chodzi o problem z obrazem ciała – sprostował Beauvoir, próbując naprowadzić rozmowę z powrotem na właściwy tor.

– A może chodzi – zaprzeczył Gamache. – Madeleine Favreau miała czterdzieści cztery lata, to wczesny wiek średni. Przeszukanie w jej pokoju nie wykazało żadnych problemów z ciałem, żadnych książek o diecie czy artykułów o odchudzaniu, ani jednego dietetycznego napoju czy produktu w lodówce.

Nichol uśmiechnęła się do Lacoste. Gamache nie zgodził się z jej uogólnieniem.

– Nie mamy powodów, by sądzić, że brała efedrynę, żeby schudnąć – zauważył.

– Czy mogła przyjmować ją na przeziębienie? – zapytała Lacoste niezrażona Nichol.

– Efedryny nie sprzedaje się już jako lekarstwa na przeziębienie – wyjaśnił Lemieux.

– A nawet, gdyby ją sprzedawano w takim charakterze, w łazience nie było jej ani śladu.

Przeszukamy jeszcze raz, ale o ile jej nie ukryła – a nie miała ku temu powodu – o tyle ktoś musiał podać jej efedrynę w tajemnicy.

– Co jest powodem, dla którego traktujemy to jak morderstwo – dodał Beauvoir. – Co z kolei sprawia, że twierdzę, iż to może mieć związek z obrazem ciała.

Spojrzeli na niego zdezorientowani, kompletnie tracąc wątek.

– Madeleine Favreau nie brała efedryny, ktoś inny to robił. Ktoś kupił ją, prawdopodobnie dla siebie, po czym użył jej na Madeleine.

– Ale efedryna jest w Kanadzie zakazana. Ministerstwo zdrowia wycofało ją lata temu – powiedział Lemieux. – Jest też zabroniona w Stanach i w Wielkiej Brytanii.

– Dlaczego? – zapytała Lacoste.



Lemieux znów zajrzał do notatek. Nie chciał się pomylić. W Stanach było sto pięćdziesiąt pięć zejść śmiertelnych oraz ponad tysiąc innych zgłoszonych przez lekarzy wypadków.

Większość z powodu ataków serca i wylewów. I to nie tylko u osób starszych. W większej części młodych aktywnych ludzie. Rozpoczęto dochodzenie, w wyniku którego stwierdzono, że owszem, efedryna spala tłuszcz, ale także przyspiesza akcję serca i podnosi ciśnienie.

– A potem zmarło kilku sportowców – dodał Beauvoir.

– Zgadza się, futbolista i gracz w bejsbol – zgodził się Lemieux. – To wtedy właśnie mały rudzik coś spieprzył.

Nawet Gamache się uśmiechnął, ale Nichol nie.

– Wtedy rozpoczęto śledztwo, które wykazało, że efedryna ma wpływ na serce, ale głównie u ludzi, którzy cierpią na dolegliwości układu sercowo-naczyniowego.

– Czyli podbije akcję serca u każdego – podsumował Beauvoir. Tego mu było trzeba.

Faktów.

– Może jednak zabić tylko te osoby, które już mają problemy z sercem. Czy madame Favreau je miała?

– Nie znaleźliśmy żadnych lekarstw w jej apteczce – zauważył inspektor Gamache.

– Raport koronera otrzymamy dopiero dzisiaj po południu.

– Zastanawiam się, jak wiele osób słyszało o efedrynie? – zapytał Beauvoir.

– Ja nie słyszałem, ale się nie odchudzam. Przypuszczalnie większość osób, które są na diecie, o niej słyszało. Czy to słuszna teza? – zwrócił się do Lacoste, która zastanowiła się nad tym.

Odchudzała się od czasu do czasu. Podobnie jak większość kobiet, była właścicielką lustra z lunaparku, które jednego dnia pokazywało jej, że jest gruba, innego, że szczupła.

– Myślę, że każdy, kto bez przerwy się odchudza, słyszał o efedrynie – powiedziała, próbując to rozgryźć. – Osoby, które notorycznie próbują

schudnąć, mają obsesję utraty masy ciała i każdy produkt, który obiecuje to bez większego wysiłku, zostanie przez nie zauważony.

– Więc szukamy kogoś, kto się odchudza? – zapytała zdezorientowana Nichol.

– Jest tylko jeden problem – rzekł Lemieux. – Nie da się jej kupić ani tu, ani w Stanach.

– To jest problem – zgodził się Gamache.

– Ale efedrynę można zamówić przez Internet – odezwał się głos zza nich.

Technik, który zajmował się ściąganiem danych, siedział za jednym z ich biurków, wyglądając zza płaskiego monitora. Wskazał na ekran przed sobą. Wstali z miejsc i podeszli do jego stanowiska. Na ekranie w Google'u widniała długa lista stron, które oferowały wysyłkę stuprocentowo bezpiecznej efedryny do każdego, kto był na tyle zdesperowany i głupi, by chcieć ją mieć.

– Mimo wszystko – powiedział Armand Gamache, prostując się – sama efedryna by nie wystarczyła. Kiedy już znalazła się w ciele Madeleine, morderca potrzebował jeszcze jednego.

Czegoś dodatkowego. Dawnego domu Hadleyów. – Ku zdumieniu wszystkich, nadinspektor zwrócił się do Nichol. – Miała pani rację: Madeleine przestraszyła się na śmierć.

Clara pochylała się i sięgnęła po kubek. Przed nią leżały resztki śniadania. Okruszki. Pusty talerz wyglądał tak żałośnie, że wrzuciła kilka kromek pieczywa do tosteru i zamknęła drzwiczki. Zostały z Myrną w dawnym domu Hadleyów tyle czasu, ile potrzebowała go funkcjonariuszka Lacoste, by zrobić swoje. Ich zdaniem trwało to wyjątkowo długo. Większość czasu Clara stała w pokoju i wpatrywała się w ptaszka, skulonego na boku, z podkurczonymi do piersi nóżkami – prawie jak Madeleine, choć był dużo mniejszy. I pierzasty. Może w tym nie przypominał Madeleine. Ale mimo to dostrzegała podobieństwo. Oboje nie żyli.

Mimo że Clara czuła się okropnie z powodu śmierci Madeleine, nie miała poczucia winy. Z tym maleństwem było inaczej. Wiedziała, że przyczyniła się do jego śmierci. Wszyscy wiedzieli, że ptak tu był. Tak się składa, że z tego powodu wybrali ten pokój, mając nadzieję, że uratują ptaszka. Czy choćby próbowała? Nie. Była tylko przerażona myślą, że mógłby zaatakować w ciemności. Zamiast chcieć uratować ptaka, Clara go nienawidziła. Chciała, żeby umarł, a przynajmniej odleciał – a jeśli nie to, może chociaż zaatakowałby kogoś innego.

A teraz był tutaj. Martwy. Pisklak. Maleńki, wystraszony rudzik, który prawdopodobnie wypadł z gniazda, wpadł do środka przez komin i chciał jedynie znaleźć matkę i wrócić do domu.

Wreszcie oficer Lacoste była gotowa. Trzy kobiety wzięły się za ręce i wpatrywały w solny krąg. Każda z nich posyłała milczące myśli do Madeleine. Lacoste widziała tylko jej groteskowe truchło, ale Clara i Myrna pamiętały ją za życia. Widzieć Madeleine uśmiechniętą i roześmianą dawało poczucie wolności. Promieniała. Słuchała i wchłaniała wszystko ciekawymi oczami. Żywa Madeleine była bardziej realna. Tak jak powinno być.

Potem Clara pomyślała o ptaszku i przeprosiła go, obiecała, że następnym

razem zachowa się lepiej. To było kilka najspokojniejszych momentów, jakie Clara kiedykolwiek spędziła w dawnym domu Hadleyów. Mimo to nikt nie protestował, gdy przyszedł czas stamtąd wyjść.

Gdy opuściły go, Lacoste zauważyła przejeżdżającego tamtędy Gamache'a i pomachała do niego, żeby się zatrzymał. Myrna i Clara przywitały się, po czym wróciły do loftu. Myrna wstawiła boczek z powrotem na kuchenkę, Clara natomiast zadzwoniła do Petera, by powiedzieć mu, gdzie jest.

– Widziałaś dzisiejszą gazetę? – zapytał.

– Nie, byłyśmy zajęte egzorcyzmami.

– Jesteś u Myrny? Poczekaj, zaraz tam przyjdę.

Myrna wrzuciła na patelnię więcej boczku i zmeła kawę, podczas gdy Clara nakryła do stołu i pokroiła pieczywo na tosty. Zanim zjawił się Peter, śniadanie było gotowe.

– Z piekarni Sarah. – Peter miał ze sobą papierową torbę.

Clara pocałowała go i wzięła od niego zakupy. Croissanty. Dwadzieścia minut później Peter oblizywał palce i ścierał odrobinę masła z policzka Clary. Nawet nie w pobliżu jej ust. Jak ona to robi? – zastanawiał się. To było jak superpotęga bez praktycznego zastosowania.

– Zajrzałem też do sklepu pana Béliveau – powiedział, nalewając wszystkim kawy.

– Sklep jest otwarty? – zapytała Myrna. – Nie zauważyłam.

– Jak zawsze. Béliveau przyszedł na kolację wczoraj wieczorem, wiesz? – rzucił Peter, otwierając kilka słoików z dżemem. Niektóre były zalane woskiem i trzeba było dodłubać się do nich nożem. – Ledwo co zjadł.

– Nie dziwi mnie to – odpowiedziała Myrna. – Myślę, że ją kochał.

Peter i Clara pokiwali głowami. Biedny człowiek. W niespełna kilka lat stracił dwie kobiety, które kochał. Poprzedniego wieczoru na kolacji był taki słodki. Nawet przyniósł ciasto z Sarah's Boulangerie. Ale energia mu opadła i pół godziny później już tylko siedział, przesuwając jedzenie po talerzu. Peter bez przerwy dolewał mu wina, a Clara gadała o uprawianiu ogrodu. Wiedziała, że na tym polega cud posiadania przyjaciół. Nikt niczego nie

oczekiwał od pana Béliveau, a on wiedział o tym. Czasem po prostu źle jest być samemu.

Wyszedł wcześniej, tuż po kolacji. I wydawał się nieco żywszy. Peter i Clara zabrali Lucy i odprowadzili pana Béliveau przez skwerek do domu. Na werandzie uścisnęli go, ale nie próbowali pocieszać. Gdyby to robili, to tylko po to, by poprawić sobie nastrój. Pan Béliveau potrzebował poczuć się źle, żeby potem poczuć się lepiej.

Teraz przy śniadaniu Clara i Myrna opowiadały Peterowi o tym, co do tej pory zaszło tego ranka. On słuchał zdziwiony ich odwagą, by pójść znów do tego domu, i jednocześnie zszokowany ich głupotą. Czy naprawdę wierzyły, że duch Madeleine jeszcze się unosi nad pokojem i je słyszy? Nie mówiąc o duchu zdechłego ptaka. A co jeszcze bardziej niepokojące, czy funkcjonariuszka z Sûreté też w to wierzyła? Co przypomniało mu o czymś. Wyjął gazetę, którą przyniósł, i rozłożył ją.

– Posłuchajcie tego.

– Co, wyniki rozgrywek golfowych? – zapytała Myrna, robiąc więcej kawy i oferując ją Clarze. Peter zniknął za płachtą „La Journée”, montrealskiego dziennika.

– To w dziale miejskim. – Peter wystawił głowę zza gazety i zobaczył Myrnę wlewającą śmietankę do swojej kawy oraz Clarę nieśmiało otwierającą toster, by wyjąć z niego chleb. Jeden kawałek dała Myrnie, po czym sięgnęła po marmoladę i zaczęła rozsmarowywać ją grubo po toście. W ogóle nie zwracały na niego uwagi. Z uśmiechem znów schował się za gazetą. Zaczął czytać na głos:

Budzi niejaki zaniepokojenie, że wysoki rangą oficer Sûreté du Québec żyje stanowczo ponad stan. Z naszych źródeł wynika, że osoba na takim stanowisku nie powinna zarabiać więcej niż dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Nawet to jest w moim odczuciu przesadą. Mimo nawet tak wysokiej pensji jego styl życia przekracza przypuszczalne dochody. Eleganckie ubrania, głównie importowane z Anglii. Wakacje we Francji. Kosztowne mieszkanie w Outremont.

A ostatnio jeszcze zakup volvo.

Peter powoli opuścił gazetę, by przyjrzeć się scenie. Myrna i Clara gapiły się na niego z oczami prawie tak szeroko otwartymi jak ich rozdziawione usta. Tosty zamarły w połowie drogi do ust.

Znów podniósł gazetę, by przeczytać ostatnie zdanie. Ostatni cios nożem, który jeszcze przekreśli w zadanej ranie:

„A wszystko to po smutnej sprawie naczelnika Pierre’a Arnota. Co musiał zrobić, by zyskać na niej aż tyle?”

Przez szczelinę wahadłowych drzwi od strony kuchni Gabri przyglądał się, jak jego gość dopija resztkę ziołowej herbaty, po czym zmienił filiżankę. Widział, że kobieta wstała.

Jeanne Chauvet wróciła do pensjonatu po kolacji poprzedniego wieczoru. Gabri uśmiechnął się, wręczył jej klucz do pokoju, po czym dyskretnie zadzwonił do Gamache’a do domu.

– Wróciła – wyszeptał.

– *Pardon?*

– Wróciła – powtórzył nieco głośniej.

– Kto mówi?

– Och, na rany Chrystusa, czarownica wróciła! – zawołał Gabri do słuchawki.

– Gabri?

– Nie, Glinda<sup>[11]</sup>. Oczywiście, że ja. Wróciła pięć minut temu. Co mam zrobić?

– Nic, *patron*. Dziś wieczorem nic, ale niech się pan upewni, że nie wyjedzie, dopóki nie wyląduję tam jutro. *Merci*.

– Kiedy pan przyjedzie? I jak mam ją zatrzymać? *Allô?* Gamache, *allô?*

Przez całą noc Gabri gapił się w sufit, próbując wykombinować, jak zatrzymać drobną kobietę z dołu. Oto nadszedł ten moment. Właśnie wstała od stołu. Czy to ta myszowata kobieta była morderczynią? Gabri myślał, że pewnie tak. Z pewnością była odpowiedzialna za seans, a to ten seans zabił Madeleine. Jego prawie też, jakby się nad tym zastanowić. Jakie były jej

intencje?

Czy ta okropna baba to jego próbowała zabić? Czy to on był właściwym celem? Ale kto mógłby życzyć mu śmierci?

Nagle objawiła mu się bardzo długa lista – począwszy od dziewczynki, którą dręczył w drugiej klasie, przez przyjaciół, którym podkradał przepisy, skończywszy na ludziach, o których wygłaszał celowo nieprzyjemne komentarze, kiedy mogli usłyszeć. Takie błyskotliwe i okrutne. Ludzie się śmiali, Gabri się tym napawał i nawet próbował nie zauważać zranionych, bolesnych spojrzeń, min pełnych dezorientacji i przykrości na twarzach ludzi, którzy uważali go za przyjaciela.

Czy to nie dlatego zdecydowali się z Olivierem przeprowadzić tutaj? Po części po to, by zostawić za sobą stos rupieci, jakie nazbierały się w ich dawnym życiu, ale głównie w tym celu, by wylądować w miejscu, gdzie wyżej ceniono sobie serdeczność niż błyskotliwość. Zaczął tu od nowa, ale może tamto dawne życie go znalazło? Czy któraś z tamtych starych ciot dotarła do niego i nasłala tę wiedźmę, by się z nim rozprawiła? Tak, to było jedyne rozsądne wytłumaczenie. Jeśli do tej pory go nie zabiła, może nie zrobi tego, jak długo Gamache jest na miejscu, ale w najlepszym razie rzuci na niego urok. Sprawí, że mu coś uschnie i odpadnie. Miał nadzieję, że nie włosy.

Jeanne rozejrzała się po salonie, po czym powoli ruszyła korytarzem w stronę swojego pokoju. Czy wyłazi teraz przez okno na końcu korytarza? To dokładnie to, co mogłaby robić.

Gabri otworzył drzwi trochę szerzej i wyjrzał na zewnątrz. Kot uciekł i przeszedł nonszalancko przez jadalnię.

– Szukasz swojej pani, ty mały skurczybyku? – wyszeptał Gabri, przekonany teraz, że cholerny kot Oliviera zaprzyjaźnił się z Jeanne. Cokolwiek to oznaczało. Gabri wiedział, że to nie może oznaczać nic dobrego. Wyciągając szyję przez uchylone drzwi, upewnił się, że nikt nie idzie. Przepchnął swoje wielkie ciało przez najwęższą możliwą szczelinę w drzwiach, które okazały się otwarte na oścież w momencie, kiedy połowa jego cielska znalazła się na zewnątrz – po czym na paluszkach przeszedł korytarzem, rozglądając się cały czas. Okno było otwarte, ale siatka w nim

była na miejscu.

Gabri zdecydował, że najbardziej strategiczne miejsce to portiernia. Po jakichś trzydziestu sekundach wzmożonej czujności postanowił, że może powinien pograć w pasjansa na komputerze, czekając, aż albo zjawi się Gamache, albo wiedźma go zabije. Nie ma powodu się nudzić. Kiedy poruszył myszą, na ekranie pojawił się obrazek.

„Efedryna”, głosił napis na nim. Gabri przeczytał, przez chwilę rozważał złożenie zamówienia, po czym zdecydował, że zamiast tego zadzwoni do Oliviera.

– Ciekawe, czy już to widział – powiedziała Clara, w końcu opuszczając rękę z tostem.

Wreszcie była najedzona, a może nawet przejedzona.

– Wyglądał na całkiem zrelaksowanego, gdy wpadłyśmy na niego dziś rano – stwierdziła Myrna.

– Ale na pewno by tego nie okazał, prawda? – powiedział Peter, sięgając po tosta Clary.

– O co chodzi z tą sprawą Arnota? To było wieki temu – zastanawiała się Myrna.

– Co najmniej pięć lat temu – zgodził się Peter. Wyprostował się i oparł dłonie na stole wystudiowanym, zrelaksowanym gestem. Ruth kiedyś prychnęła na niego, że jest pompatycznym pedantem. Wiedział, że oba określenia nie były zasłużone, ale i tak to go trochę zakłuło. Od tamtej pory starał się nie sprawiać wrażenia oficjalnego ani przemądrzałego, gdy mówił ludziom o czymś, czego mogli nie wiedzieć. Na przykład w jaki sposób prawidłowo kroić pomidora czy trzymać gazetę, albo kiedy udzielał im informacji, jak o sprawie Arnota. Peter czytał o niej w czasach, gdy było o niej głośno. Przez całe miesiące nie schodziła z pierwszych stron gazet, bardzo kontrowersyjna sprawa.

– Teraz pamiętam. – Myrna zwróciła się do Petera. – Miałeś obsesję na tym punkcie.

– Nie miałem obsesji. To była ważna sprawa.



– Interesująca – zgodziła się Clara. – Oczywiście, jeszcze nie znaleźliśmy wtedy Gamache’a, ale wszyscy o nim słyszeli.

– Był jedną z największych gwiazd Sûreté – powiedziała Myrna.

– Aż do sprawy Arnota – dodał Peter. – W procesie obrona odmalowała Gamache’a jako samolubnego hipokrytę. Kogoś, kto chętnie akceptuje zaszczyty, jakie wiążą się ze sprawowaną władzą, ale w gruncie rzeczy jest słaby, kieruje się zazdrością i dumą.

– Zgadza się – przyznała Myrna, przypominając sobie więcej, gdy sięgnęła do tego pamięcią.

– Czy obrona nie sugerowała, że Gamache zrobił Arnota?

– Arnot był naczelnikiem wydziału poważnych przestępstw. W trakcie procesu okazało się, że ignorował niektóre zbrodnie, nawet morderstwa. Po prostu pozwolił, by się wydarzyły – przytaknął Peter.

– Szczególnie, jeśli ofiarami byli kanadyjscy Indianie – dorzuciła Myrna, kiwając głową.

– Właśnie o tym miałem powiedzieć. Wreszcie zdarzyło się tak, że Pierre Arnot zlecił zabójstwo swoim najbardziej zaufanym oficerom.

– Dlaczego? – spytała Clara, próbując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed lat.

Peter wzruszył ramionami.

– Gazety takie jak ta – podniósł swój egzemplarz „La Journée” – sugerowały, że Arnot postanowił pozwolić przestępcom pozabijać się nawzajem, zamiast krzywdzić niewinnych ludzi.

Że to dla dobra społecznego.

W lofcie Myrny zapadła cisza, gdy cała trójka przypominała sobie szokujące rewelacje prasowe. Były o tyle bardziej szokujące, że mieszkańcy Quebecu, zarówno franko-, jak i anglofoni, darzyli Sûreté szacunkiem, a nawet sympatią. Aż do tamtej pory. Proces zmienił wszystko. Peter przypominał sobie, jak oglądał wiadomości. Codziennie wysocy rangą funkcjonariusze Sûreté pojawiali się z coraz bardziej ponurymi minami. Dziennikarze atakowali ich mikrofonami i kamerami. Z początku

występowali razem, prezentując wspólny front. Ale pod koniec dwóch wygnano ze stada.

To byli inspektor Gamache i jego bezpośredni zwierzchnik. Naczelnik Jakaśtam. Ten naczelnik był jedyną osobą, która publicznie wzięła stronę Gamache'a. To było niemal wręcz szokujące patrzeć, jak ci dwaj stawali się z dnia na dzień bardziej zmęczeni. I wypluci, podczas gdy oskarżenia były coraz bardziej gorzkie. Mimo to Gamache wciąż się uśmiechał, gdy reporterzy zadawali mu te same, durne, tendencyjne, obraźliwe pytania. Był opanowany, staroświecki w swej uprzejmości. Nawet mimo to oskarżono go o nielojalność i o to, że był współwinny. Że wiedział o morderstwach i dał na nie ciche przyzwolenie. Jak sugerował Arnot, jak to możliwe, by wydział zabójstw nie wiedział o niczym?

– To było okropne – powiedziała Clara. – Jakby się oglądało na nowo katastrofę Hindenburga, w kółko, w zwolnionym tempie. Coś pięknego się roztrzaskało.

Peter zastanawiał się, czy Clara miała na myśli Gamache'a, czy Sûreté.

– Opinie w gazetach były podzielone – orzekł. – Większość popierała Gamache'a, ale niektóre domagały się jego rezygnacji.

– Ta gazeta – Myrna skinęła głową w kierunku „La Journée”, którą Peter zwinął i odłożył na bok – publikowała wstępniaki, z których wynikało, że Gamache powinien siedzieć z Arnotem w jednej celi. I niech się pozabijają.

– Co się stało z Arnotem i resztą? – zapytała Clara.

– Siedzą w jakimś więzieniu. To cud, że współwięźniowie jeszcze ich nie pozabijali.

– Założę się, że ten dupek Arnot zawiaduje całym interesem – powiedziała Myrna.

Zgniotła serwetkę w kulę i rzuciła ją na stół z taką siłą, z jaką tylko dawało się rzucić papierową chusteczkę. Pozostała dwójka wpatrywała się w nią, zdziwiona jej nagłym gniewem.

– O co chodzi? – dociekała Clara.

– Nie rozumiesz? Rozmawiamy o tym, jakby to był odcinek serialu w

telewizji. To się naprawdę zdarzyło. Ten Arnot naprawdę pozabijał ludzi. Tych samych ludzi, którym powinien był pomagać. Dlaczego? Bo to byli Indianie, przeżarci rozpaczą i kokainą. A kiedy jeden jedyny człowiek w całej Sûreté próbował to powstrzymać, miał jaja, żeby się przeciwstawić Arnotowi i całej reszcie hierarchii, jego też próbowali zniszczyć. Arnot to psychopata, a ja nie szastam tym słowem. Znam objawy. Diagnozowałam psychopatów przez całe lata, pracowałam z nimi. Nie rozumiecie tego? – Popatrzyła na Petera i Clare, po czym schyliła się, podniosła gazetę i walnęła nią o stół, jakby próbując ją ukarać. – To jeszcze nie koniec. Sprawa Arnota jeszcze się ciągnie.

Zadzwonił telefon, Clara odebrała.

– To Olivier – powiedziała, zasłaniając słuchawkę. – Rany, dzięki. Podam dalej. – Clara rozłączyła się i zwróciła do pozostałych. – Słyszeliście o efedrynie?

Beauvoir rozdzielił zadania. Lacoste miała zbadać życie Madeleine Favreau, Nichol – przejrzeć listę dostawców efedryny i dowiedzieć się, czy ostatnio wysłano ją do kogoś w okolicy, Lemieux polecono dołączyć do inspektora Beauvoira i nadinspektora Gamache’a.

– Ale to niesprawiedliwe – powiedziała Nichol, porażona kompletnie błędnym rozumowaniem Beauvoira. – Lemieux już zaczął się zajmować epilepsją czy jak jej tam.

– Efedryną – poprawił ją Beauvoir. – Nie słuchała pani?

– Ale to jest na komputerze, nie?

Beauvoir odwinął się, by spojrzeć na Gamache’a i upewnić, że szef słyszał, jak idiotyczne było zachowanie Nichol.

– Chodzi o to – ciągnęła Nichol, najwyraźniej nie zauważając, jakie wrażenie wywarła – że skoro to zaczął, powinien dokończyć.

– Że co, to jakaś nowa zasada? – zapytał Beauvoir. – Tu nie przedszkole, nie ma dyskusji.

Ma pani wykonać rozkaz.

– No dobra. Sir. – Nichol stanęła na baczność przy biurku, nie zauważając nawet Lemieux, który próbował złapać jej spojrzenie i uśmiechnąć się przepraszająco.

Kiedy wszyscy się rozeszli, a technicy zajęli pracą w innej części pomieszczenia, Nichol wyjęła komórkę. Telefon wibrował przez całe spotkanie, ale ona nie mogła odebrać. To byłaby katastrofa.

– *Oui, allô?* – powiedziała niezaskoczona, słysząc znajomy głos.

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje – polecił. Opowiedziała, a po drugiej stronie zapadła cisza. – Nie podoba mi się to. Powinna pani być po stronie Gamache’a. Czy coś pani zrobiła nie tak? Czy go pani rozzłościła?

– Oczywiście, że nie. Nawet doszłam do tego, co było przyczyną śmierci. Wszyscy twierdzili, że to jakieś dragi, a ja powiedziałam, że umarła ze strachu. Nawet nadinspektor się zgodził i potwierdził to głośno.

– Moment, czy mówi pani, że pouczała go przed całym zespołem?

– To nietrudne.

– Co pani mówiłem? Niech go pani nie antagonizuje.

– To co, mam mu tylko przytakiwać?

– Tu chodzi o wiele więcej niż ta jedna sprawa. Wie pani o tym. Niech pani tego nie spierdoli.

– Proszę przestać tak mówić!

– Niech pani przestanie wszystko psuć! – Rozmówca się rozłączył.

Armand Gamache skłonił się dwojgu ludzi, siedzącym przy małym okrągłym stoliku przed bistro Oliviera i korzystającym z wczesnego wiosennego słońca. Jeśli tylko mieli szansę, mieszkańcy Quebecu przebywali na *terrasses* aż do późnej jesieni, a wiosną wychodzili na nie z powrotem tak szybko, jak tylko się dało. Ubrani w golfy, płaszcze, czapki i rękawiczki, starali się spędzić czas w promieniach słońca.

Tych dwoje maczało biszkopty w swoich cappuccino i rozmawiało z ożywieniem. Część rozmowy, którą Gamache usłyszał, brzmiała bardzo podobnie jak urywki konwersacji, które przyniósł mu wiatr, gdy przechodził koło ludzi na skwerku wyprowadzających psy. Miasteczko zdawało się śpiewać dziś jedną piosenkę z identycznymi słowami.

Efedryna.

Gamache przystanął i popatrzył na Lemieux, który miał uśmiech na twarzy i zdawał się cieszyć przyjemnym wiosennym dniem.

– Słyszał pan? – zapytał Gamache. Lemieux przechylił głowę w jedną stronę, nasłuchując.

– Czy to rudzik?

Inspektor Beauvoir potrząsnął głową.

– Proszę posłuchać uważniej – powiedział Gamache.

Lemieux zamilkł w bezruchu i nasłuchiwał, przymykając oczy. Słyszał pomruk rzeki w pobliżu. Słyszał ptaki, chociaż może to nie były rudziki. Słyszał rozmowy ludzi. Usłyszał słowo „efedryna”.

Otworzył oczy i wpatrywał się w Gamache’a.

– Tych dwoje w bistro musi mieć coś wspólnego z morderstwem – wyszeptał. Ale znowu usłyszał słowo „efedryna”. Tym razem napłynęło ze sklepu wielobranżowego pana Béliveau.

– Oficerze Lemieux, może powie pan nam, jak pan poszukiwał wczoraj informacji. – Gamache patrzył na niego dość surowym wzrokiem.

– Cóż, czekałem, aż medium wróci, i zauważyłem na biurku komputer, więc poszukałem na nim.

– Na komputerze Gabriego.

– Tak.

– A zamknął pan strony, które pan wyszukał? – zapytał Beauvoir.

– Jestem pewien, że tak.

– Nigdy bym nie stosowała efedryny, jest zbyt niebezpieczna – powiedziała kobieta z miasteczka do swojej towarzyszki, gdy przechodziły obok mężczyzn, zatrzymując się, by posłać uśmiech Gamache’owi, który w odpowiedzi uchylił kapelusza. – Ale słyszałam, że Gabri kiedyś jej używał, czy może Olivier? Szczerze mówiąc, Myrnie przydałoby się parę pigułek...

Gamache z powrotem nałożył kapelusz i wpatrywał się w Lemieux. To było jedno z najbardziej nieprzyjemnych spojrzeń, jakie potrafił pokazać. Częściowo żądające odpowiedzi, częściowo badawcze.

– Może nie wyczyściłem wszystkiego. Przepraszam. Głupiec ze mnie. – Robert Lemieux spuścił głowę i pokręcił nią. Mało brakowało, a by przytupnął. – Przepraszam, sir.

– Wie pan, co to znaczy – rzekł Beauvoir.

– Tak jest. To znaczy, że teraz całe miasteczko, a może i całe hrabstwo interesuje się efedryną. Są dość bystrzy, by wykombinować, dlaczego.

– To znaczy, że morderca wie, że my wiemy, i jeśli jeszcze tego nie zrobił, z pewnością teraz pozbędzie się pigułek – powiedział Gamache. – To w tej

chwili prawdopodobnie jedyna społeczność w Quebecu, gdzie nie znajdzie się efedryny.

Lemieux podniósł głowę i pozwolił, by opadła mu do tyłu, tak że jego nos wskazywał błękit nieba.

– Przepraszam. Ma pan rację. Nie pomyślałem o tym.

– Jak mógł pan nie pomyśleć? Cóż, może teraz pan to zrobi. Jak pan myśli, co my tu robimy? – syknął Beauvoir, próbując nie podnosić głosu, żeby mieszkańcy miasteczka nie usłyszeli. – Ktoś tutaj jest mordercą. Ktoś, kto nie obawia się zabić. Wie pan, co powstrzymuje większość ludzi przed zabijaniem innych? Strach. Lęk, że ich złapią. Mamy do czynienia z kimś, kto się nie boi. To straszna osoba, Lemieux. A pan właśnie zrobił jej olbrzymią przysługę.

Gamache słuchał z zainteresowaniem, chociaż się z tym nie zgadzał. Może niektórych lęk powstrzymywał od zabijania, ale nadinspektor wiedział z całą pewnością, że większość morderców zabijała ze strachu. To właśnie lęk krył się pod innymi uczuciami. To on wykrzywił, wynaturzał inne emocje w coś chorobliwego. Strach był jak alchemik, mógł zmienić dzień w noc, radość w rozpacz. Jak już raz się zagnieżdził, zasłaniał blask słońca. Gamache wiedział, co rośnie

w ciemności. To tego codziennie poszukiwał.

– Ma pan rację, absolutną rację – przyznał Lemieux. – Przepraszam.

Spojrzał wprost na Gamache'a, który rzucił mu surowe spojrzenie. Ale Lemieux zauważył, że wzrok nadinspektora zmiękł odrobinę, policjant się odprężył. Brébeuf miał świetny plan. Celowo pozwolić, by informacja o efedrynie wyciekła, co doprowadziło pozostałych do wściekłości na niego, po czym solennie przeprosić.

Wszyscy uwielbiają grzeszników, ale najbardziej Gamache. I czemu nie? W końcu sam nieźle nagrzeszył. Wrobił Arnota, niemal zniszczył całą Sûreté – oczywiście, że Gamache przepadał za grzesznikami.

Lemieux zastanawiał się, jakby to było, gdyby to on był szefem wydziału zabójstw.

Brébeuf będzie musiał go wynagrodzić. I szybko awansować. Kiedy to się skończy, awans będzie nieunikniony.

– Niech pan uważa – powiedział miękko Gamache i przez straszliwy moment Lemieux zastanawiał się, czy przenikliwe spojrzenie nadinspektora nie przejrzało go na wylot. Czy wiedział?

– Co pan ma na myśli? – zapytał.

– Musi pan bardziej uważać – uściślił Gamache, wciąż wpatrując się prosto w niego.

Nie będę słaby jak on – pomyślał Lemieux. I nie skończy się na nadinspektorze.

– Będziemy musieli działać szybciej – powiedział Gamache. – Inspektorze, chcę, żebyście podzielili się z Lemieux i przesłuchali wszystkich świadków zbrodni.

– A pan? – zapytał Beauvoir.

– Ja porozmawiam z Jeanne Chauvet.

Beauvoir ujął szefa za łokieć i odprowadził kilka kroków od Lemieux.

– Powinienem pójść z panem – rzekł Beauvoir.

– Rozmawiać z medium, Jean Guy? Dlaczego?

– Cóż – odparł Beauvoir, spoglądając na dawny dom Hadleyów, a potem w przestrzeń.

– Może byłoby po prostu lepiej. Nie chodzi o zwyczajne czytanie z kart tarota czy tabliczki ouija, jak to robiła kiedyś z przyjaciółmi moja matka. Jeanne Chauvet to czarownica.

– I myśli pan, że naśle na mnie złe duchy? – zapytał Gamache bez uśmiechu, bynajmniej nie nabijał się z Beauvoira. Wydawało się, że naprawdę chce wiedzieć, dlaczego.

– Nie wierzę w duchy – powiedział Beauvoir. – Myślę, że zostały zmyślane w konkretnym celu.

– Jakim celu?

– Moja żona mówi o aniołach. Wierzy w Anioła Stróża, bo to pozwala jej



czuć się mniej przestraszona i mniej samotną.

– A czy złe duchy też zostały zmyślane?

– Tak sędzę. Przez rodziców, przez Kościół, po to, byśmy się ich bali i robili, co nam każą.

– Więc złe duchy generują strach, a anioły go koją – podsumował Gamache, zastanawiając się nad tym.

– Myślę, że to wszystko istnieje tylko w naszych głowach – odparł Beauvoir. – Widzimy to, w co chcemy wierzyć. Madeleine Favreau wierzyła w duchy i to ją zabiło. Gdyby tak nie było, nie przestraszyłaby się tak bardzo, efedryna nie zatrzymałaby jej serca. Sam pan tak powiedział.

Przestraszyła się na śmierć. Zabiły ją jej własne wierzenia. Ktoś, kto je wykorzystał. Pan wierzy w rzeczy, w które ja nie wierzę. Obawiam się, że ona może to wykorzystać. Zmanipulować pana.

– Medium? Myśli pan, że może wślizgnąć się do mojej głowy i wykorzystać moje wierzenia przeciwko mnie?

Beauvoir pokiwał głową, wciąż patrząc w oczy szefa, choć nie mógł się już doczekać, by odwrócić wzrok. Nienawidził wchodzić na ten teren, zapuszczać się w obszary, których nie ogarniał.

– Wiem, że mówi pan tak, bo obchodzi pana mój los. – Gamache wytrzymał jego spojrzenie. – Ale moje wierzenia dają ukojenie, nie zabijają. Jestem tym, czym one są, Jean Guy.

Nie można ich wykorzystać przeciwko mnie, bo są częścią mnie.

– Wierzy pan w duchy – nie odpuszczał Beauvoir. – Wiem, że nie chodzi pan do kościoła, ale mimo to wierzy w Boga. Przypuśćmy, że ona wezwie złe duchy, co pan wtedy zrobi?

– Przypuszczam, że będę musiał zawezwać anioły. – Uśmiechnął się Gamache. – Cóż, Jean Guy, w pewnym momencie życia wszyscy stajemy przed tym właśnie pytaniem. W co wierzę? Ja przynajmniej mam odpowiedź. Jeśli mnie ona zabije, niech i tak będzie. Ale nie będę uciekał.

– Nie proszę pana, żeby pan uciekał, ale by przyjął pomoc. Proszę mi pozwolić iść z panem.

– Za dużo jest do zrobienia. Ma pan zadanie do wykonania. – Gamache się zawahał.

Beauvoir nadał patrzył na Gamache'a, po czym opuścił wzrok. Wiedział już, co zabije nadinspektora. Nie zły duch, nie upiór ani duch. Jego własna duma.

– Podobno jest pani czarownicą.

– Wolę, kiedy nazywa się mnie wikkanką. Podejrzewam, że pan jest katolikiem?

Gamache uniósł brwi. Stojąca przed nim kobieta była prawdopodobnie koło czterdziestki, chociaż trudno było ocenić. Nadinspektor podejrzewał, że od przedszkola wyglądała jak kobieta w średnim wieku. Miała na sobie skromną spódnicę i buty na płaskich obcasach. Jej sweter był dobrej jakości, chociaż także niemodny. Zastanawiał się, skąd go wzięła. Dostała od matki czy z *second handu*? Brakowało jej tylko fartuszka, żeby wyglądała jak postać z książeczek Beatrix Potter<sup>[12]</sup>, które Gamache kupował Florence. Jej rysy twarzy były drobne, spiczaste, a włosy szare. Nadinspektor miał wrażenie, że przesłuchuje leśnego stworka. Obdarzonego wysoką inteligencją.

– Niepraktykującym – przyznał Gamache. Czy Beauvoir miał rację? Czy ta kobieta próbowała zajrzeć mu do głowy? Co zastanawiające, Beauvoir najwyraźniej uważał, że to tam szef składa swoje wierzenia. Tak naprawdę były całkiem gdzie indziej. – Wikkanką? – zapytał.

– Praktykującą – przytaknęła Jeanne i obdarzyła go nieznacznym, lecz ciepłym uśmiechem.

Siedzieli w salonie w pensjonacie, w kominku płonął ogień. Dzień zapowiadał się dość ciepły, ale ogień nadal tworzył przyjemny nastrój. Pomieszczenie było proste i eleganckie, co było niespodzianką dla wszystkich, którzy poznawali Gabriego przed wkroczeniem do jego mieszkania. Gamache zastanawiał się, co było autentyczne: czy pełen ostentacji męczyzna, czy ten elegancki i wygodny dom.

– Szukaliśmy pani wczoraj. Nie miałyby pani nic przeciwko, gdybym zapytał, gdzie pani była?

– Ależ skąd. Ale najpierw to ja chcę o coś zapytać. Czy madame Favreau została zamordowana?

– Gabri pani nie powiedział?

– No cóż, powiedział. Ale twierdził także, że to on napisał *Producentów*, których Mel Brooks mu ukradł, oraz że Ruth jest jego ojcem.

Gamache się roześmiał.

– Wolno mu mówić prawdę tylko raz dziennie i obawiam się, że wiadomość o Madeleine Favreau była dzisiejszym przydziałem. Zamordowano ją.

– Efedryna? – Jeanne zamknęła oczy i westchnęła.

Cholerny Lemieux, to już dwie prawdy – pomyślał Gamache.

– Co to jest ta efedryna? – Jeanne zapytała o to tak naturalnie, że zastanawiał się, czy była ciekawa, czy taka cwana. Jeśli naprawdę nie wiedziała, nie mogła być winna tej zbrodni.

– Ale najpierw ja proszę o odpowiedź. Gdzie pani poszła wczoraj po południu?

– Byłam na wzgórzu.

– Przy dawnym domu Hadleyów?

Na jej twarzy natychmiast odmalował się wyraz obrzydzenia, jak gdyby nagle uniosła się kurtyna, ukazując przez moment jej prawdziwe uczucia.

– Nie, nie tam. Mam nadzieję nigdy więcej tam nie pójść. – Spojrzała na niego twardo, starając się wyczytać z jego twarzy, czy nie zamierza jej skłonić, by to zrobiła.

Gamache pomyślał, że to rodzaj spojrzenia, jakie znają dentyści: wzrok przerażonego pacjenta, błagającego bezgłośnie „proszę, nie rób mi krzywdy”. Ale ten moment minął.

– Byłam z drugiej strony. Przy kościółku.

– Świętego Tomasza?

– Tak. Śliczny. Miałam potrzebę znaleźć ciche, spokojne miejsce, by się pomodlić.

Zauważyła dezorientację na twarzy Gamache'a.

– Nawet czarownice się modlą. Czy też może modlimy się do upadłych aniołów, nie do tych wiszących u Świętego Tomasza?

– Nic nie wiem o wicca – przyznał Gamache. – Chętnie posłucham.

– Pójdzie pan ze mną?

– Dokąd?

– Boi się pan? – Nie śmiała się z niego.

Nadinspektor milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tym. Starał się nie kłamać podejrzanym. Nie dlatego, że kierował się jakąś etyką czy moralnością, ale dlatego, że przekonał się, iż to osłabia jego pozycję. Nadinspektor zaś nigdy tego nie robił. Nie dla czegoś tak niemądrego jak kłamstwo.

– Zawsze jestem nieco przestraszony nieznanym – przyznał. – Ale pani się nie boję.

– Ufa mi pan?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Ufam tylko sobie. Poza tym ja mam broń, a pani pewnie nie.

– Nie mam swojej ulubionej broni, to na pewno. Tak jest pięknie, wstyd siedzieć w domu.

Proponuję tylko spacer. Może moglibyśmy wrócić do kaplicy.

Przez chwilę stali na szerokiej werandzie obok bujanych foteli i wiklinowych stołów, po czym zeszli po efektownych schodach i szli krok w krok. Spacerowali w milczeniu przez minutę czy dwie. Dzień był złocisty, zaczynały się pokazywać liście w każdym możliwym odcieniu zieleni. Bita droga wreszcie wyschła, powietrze pachniało pąkami i świeżą trawą. Fioletowe i żółte krokusy znaczyły trawnik na miejskim skwerku. Na wielkich łąkach otwierały się pierwsze mlecze, rozsiane i zadomowione po całym Three Pines, których jasnożółte kwiatostany chwyciły słońce. Po chwili Gamache zdjął płaszcz i przerzucił go przez ramię.

– Bardzo tu spokojnie – zauważyła Jeanne. Gamache nie odpowiedział. Szedł obok i czekał. – To miasteczko jest jak bajkowa wioska, ukazująca się

tylko tym, którzy jej potrzebują.

– A pani potrzebowała?

– Tak, muszę wypocząć. Słyszałam o pensjonacie i w ostatniej chwili zdecydowałam się zarezerwować w nim pokój.

– Jak się pani o nim dowiedziała?

– Z broszury. Gabri musiał się ogłaszać.

Gamache pokiwał głową. Słońce padające mu na twarz było ciepłe, ale nie gorące.

– Nic podobnego nigdy mi się nie przydarzyło. Na żadnym z moich rytuałów nikt nigdy nie umarł. I nikomu nie stała się krzywda, przynajmniej nie fizyczna.

Gamache chciał zapytać, ale zdecydował się milczeć.

– Ludzie często słyszą rzeczy, które budzą ich emocjonalny niepokój – mówiła Jeanne.

– Duchy nie zdają się specjalnie dbać o odczucia ludzi. W większości wypadków jednak komunikacja ze zmarłymi to delikatny, a nawet czuły proces. – Jeanne przystanęła i spojrzała na niego. – Powiedział pan, że nic nie wie o wicca. Rozumiem, że dotyczy to także naszych rytuałów?

– To prawda.

– Seanse nie polegają na wywoływaniu duchów czy demonów. Nawet nie są to egzorcyzmy. Nie dosłownie. Nie chodzi w nich o umarłych, chociaż nawiązuje się kontakt z duchami nieżyjących.

– A o co w nich chodzi?

– O życie. I uzdrawianie. Jeśli ktoś pyta o seans, jest duża szansa, że poszukuje uzdrowienia. Z wierzchu może to wyglądać tak, jakby chodziło o rozrywkę albo sposób spędzania czasu, w którym wszyscy się trochę wystraszą, ale ktoś z obecnych potrzebuje coś rozwiązać, by dalej żyć własnym życiem. Potrzebuje uwolnić się od kogoś lub czegoś. To tym się zajmuję. To moja praca.

– Jest pani uzdrowicielką?

Jeanne zatrzymała się i spojrzała prosto w piwne oczy Gamache'a.

– Owszem. Jak wszyscy wiccanie. Jesteśmy babkami, akuszerkami, znachorkami.

Używamy ziół i rytuałów, potęgi Ziemi, sił ducha i ciała. Używamy też energii wszechświata i duchów. Wszystkiego, co pomaga ranom się zabiżnić.

– Wiele jest zranionych dusz.

– Dlatego tu przyjechałam.

– By znaleźć ich więcej czy odpocząć od swoich trudów?

Jeanne już miała odpowiedzieć, gdy nagle jej twarz się zmieniła. Z poważnej i skupionej stała się głęboko zdziwiona. Wpatrywała się w coś za nim.

Gamache odwrócił się i także zrobił zdziwioną minę. Ruth Zardo kuśtykała powoli po ścieżce prowadzącej do swojego domu, kwacząc.

Jean Guy Beauvoir bez problem znalazł La Maison Biologique. Sklep ekologiczny mieścił się przy ulicy Principale w St-Rémy, dokładnie naprzeciw *dépanneur*, gdzie ludzie kupowali papierosy, piwo i losy na loterię. Dwa sklepiki wymieniały się klientelą dużo częściej, niżby się można spodziewać, bo w obu sprzedawano nadzieję. Nadzieję na to, że los na loterii przyniesie wygraną, albo na to, że globalne ocieplenie jest jeszcze odwracalne, albo że ekologiczna żywność złagodzi skutki nikotyny. Odile Montmagny od czasu do czasu popalała, zwykle po kieliszku albo flaszcze taniego wina kupionego w *dépanneur*.

Gdy inspektor Beauvoir wszedł do pustego sklepu, poczuł dziwny, nienaturalny zapach.

Była to ciężka piżmowa woń, jakby walczących ze sobą aromatów różnych ziół, suszonych kwiatów, kadzideł i proszków. Innymi słowy: smród.

Ładna, korpulentna kobieta koło czterdziestki stała za ladą, z ręką złożoną płasko na zamkniętym szkolnym zeszycie. Włosy, obcięte i ufarbowane przez taniego fryzjera, spływały jej płasko wzdłuż twarzy. Wyglądała przyjemnie i nieszczególnie. Przez ułamek sekundy wydawała się

zirytowana, jakby ktoś naruszył jej prywatną przestrzeń. Potem uśmiechnęła się wystudiowanym uśmiechem kogoś, kto przywykł do sprawiania innym przyjemności.

– *Oui? Est-ce que je peux vous aider?*

– Czy pani jest... – Inspektor wyjął kartkę z listą nazwisk osób obecnych na seansie, którą dał mu nadinspektor. Spojrzał na nią, powoli wchodząc w swoją rolę. Chciał, żeby kobieta poświęciła mu całkowitą uwagę. Doskonale wiedział, jak się nazywa. Chciał tylko się z nią podroczyć. Wytrącić ją z równowagi. Podniósł wzrok, by dostrzec jedynie, że kobieta spogląda w dół na czerwony notatnik pod swoją dłonią. Podczas gdy on zamilkł, ona uciekła. Zamiast wpaść w panikę, jej umysł powrócił do poprzednich czynności.

– Czy pani jest Odile Montmagny? – zapytał.

– Tak. – Uśmiechnęła się uśmiechem tak przymilnym, że niemal pustym.

– Jestem inspektor Beauvoir. Z Sûreté du Québec. Wydział zabójstw.

– Coś się stało Gilles’owi? – Odile przeszła odmianę. Jej ciało zeszywniało, twarz była pełna skupienia i przestraszona. Dłoń zsunęła się z zeszytu na drewnianą ladę, palce jakby wpijały się w jej powierzchnię.

– Gilles’owi? – powtórzył. Wiedział, o czym pomyślała, i nie zamierzał jeszcze jej odpuścić.

– Co się stało? – zapytała błagalnie.

Odile myślała, że zemdleje. Jej głowa zamarła, serce tłukło się wewnątrz żeber, jakby zamierzało wyrwać się spomiędzy nich i lecieć szukać Gilles’a.

– Przyszedłem w sprawie Madeleine Favreau.

Przyglądał jej się bacznie. Jej rozlana, pusta twarz ożyła. Oczy zabłyśły, umysł się skupił. Wyglądała świetnie, ale i na przerażoną. I śliczną. Po chwili wszystko to zniknęło. Głowa, wyciągnięta desperacko w przód, opadła. Mięśnie się zapadły. W mgnieniu oka wróciła poprzednia Odile. Ładna, nudna, skora do pomocy. Ale inspektor już dostrzegł, co się w niej kryło. Widział coś, czego istnienia nie podejrzewała większość ludzi, może nawet sama Odile.

Zobaczył zdolną, piękną, pełną energii kobietę, która żyła uwięziona pod



warstwą otępienia, uśmiechów, farby do włosów i rozsądnych życiowych celów.

– Madeleine została zamordowana? Ależ pewna jestem, że zmarła na atak serca.

– *Oui, c'est vrai.* Ale ktoś pomógł jej dostać ataku serca. Podano jej środek, który go spowodował.

– Środek?

Czy nikt z Three Pines nie zadzwonił do Odile? Wszyscy zbierali się w bistro Oliviera po najnowsze wiadomości. To było centrum informacyjne, skąd rozchodziły się nowinki, a prezenterem był Gabri. Beauvoir, jak się okazało, przesłuchiwał jedyną osobę, do której nikt nie zadzwonił. Nagle zrobiło mu się żal tej kobiety z twarzą tak chętną, by pomóc, by się dowiedzieć. Jednocześnie czuł lekki wstręt. Zawsze czuł lekki wstręt do luzerów, co było jednym z powodów, dla których nie lubił oficer Nichol. Od momentu, gdy ją poznał kilka lat temu, wiedział, że ta kobieta nie tylko oznacza kłopoty, było dużo gorzej. Była luzerem.

A z doświadczenia Beauvoira wynikało, że to są najbardziej niebezpieczni ludzie, ponieważ ostatecznie zawsze znajdowali się w sytuacji, w której nic już nie mieli do stracenia.

– Nazywa się efedryna – powiedział.

Wydawało się, że Odile zastanawia się nad tym słowem.

– I to spowodowało zatrzymanie serca? Dlaczego ktoś miałby zabijać ją w taki sposób?

Nie „dla czegoś ktoś miałby ją zabijać”, ale „dla czegoś w taki sposób”. To sposób zabicia tej kobiety zdziwił Odile, a nie fakt, że została zabita.

– Jak dobrze znała pani madame Favreau?

– Była naszą klientką. Zwykle kupowała owoce i warzywa. Czasem też jakieś witaminy.

– Była dobrą klientką?

– Stałą. Wpadała mniej więcej co tydzień.

– Spotykała się z nią pani towarzysko?

– Nigdy. Dlaczego? – Wydawała się instynktownie usprawiedliwiać.

– Cóż, była z nią pani na kolacji w niedzielę wieczór.

– To prawda, ale to nie był nasz pomysł. Clara nas zaprosiła przed seansem. Nie wiedzieliśmy nawet, że Madeleine tam będzie.

– A poszłaby pani, gdyby wiedziała? – Beauvoir wiedział, że coś tu się kryje. Przeczował to. Widział wyraz usprawiedliwienia się na jej twarzy, słyszał ton jej głosu.

Odile się zawahała.

– Prawdopodobnie. Nie miałam nic przeciwko Madeleine. Jak powiedziałam, była klientką.

– Ale nie lubiła jej pani.

– Nie znałam jej.

Beauvoir pozwolił, by milczenie się przeciągnęło. Potem uważniej rozejrzał się po sklepie. Było to składowisko różności. Po jednej stronie najwyraźniej jedzenie i produkty, po drugiej – ubrania i meble. Po stronie z żywnością widział gliniane garnki z drewnianymi wieczkami i zwisającymi z nich łyżkami. Szorstkie worki na drewnianych półkach pokrywały ściany; stojące na nich setki słoików były wypełnione czymś, co wyglądało jak trawa. Może maryśka? Podeszedł bliżej, zauważając, że Odile wpatruje się w niego, i przyjrzał się słoikom. Były na nich etykiety z napisami takimi jak „Miodunka ćma”, „Ma Huang”, „Guziczkowe ziele” i jego ulubiony „Lilak Kardynał”. Zdjął słoik z półki i ostrożnie powąchał. Pachniało słodko. Nie mógł uwierzyć, że papież wyświęcił kardynała Lilaka. Zastanawiał się, czy jakaś wioska w pobliżu Notre-Dame-de-Roof Trusses nosiła jego imię.

Na regale pełno było tomów poświęconych prowadzeniu ekologicznego gospodarstwa rolnego, budowie domów odciętych od sieci energetycznej albo domowemu tkactwu. Czemu ktoś miałby w ogóle się czymś takim zajmować?

Jean Guy Beauvoir nie był obojętny na ruch ekologiczny, nawet dorzucił się do kilku publicznych zbiórek pieniędzy na walkę z dziurą ozonową, globalnym ociepleniem czy na podobne rzeczy. Jednak w jego odczuciu

decydowanie się na życie w prymitywnych warunkach z nadzieją, że to zbawi świat, było idiotyczne. W tej kolekcji było jednak coś, co przyciągnęło jego uwagę. Proste drewniane krzesło. Fafulaste drewno było wypolerowane i gładkie w dotyku.

Beauvoir pogłaskał je i nie miał ochoty odrywać ręki. Długo mu się przyglądał.

– Proszę na nim usiąść – zaproponowała Odile, wciąż stojąc za ladą.

Beauvoir popatrzył na krzesło. Było głębokie, zapraszające, jak fotel, tyle że drewniany.

– Utrzyma pana, nie ma obaw.

Marzył, żeby przestała gadać. Żeby po prostu pozwoliła mu się nacieszyć tym fantastycznym meblem. Było to jak dzieło sztuki, które Beauvoir dla odmiany rozumiał.

– Gilles je zrobił – przerwała jego tok myśli.

– Gilles Sandon? Tutejszy?

– Tak. Mój Gilles. Tym się zajmuje. – Uśmiechnęła się radośnie.

– Myślałem, że pracuje w lesie.

– Znajduje tam drzewa, by z nich zrobić meble.

– Sam znajduje drzewa?

– Właściwie to drzewa znajdują jego. Chodzi po lesie i nasłuchuje. Kiedy jakieś drzewo go woła, idzie do niego.

Beauvoir gapił się na nią. Mówiła to w taki sposób, jak gdyby w Ikei robili tak samo. Jakby to było zupełnie normalne i naturalne słyszeć drzewa, a co dopiero rozumieć, co mówią.

Odwrócił się i popatrzył na krzesło.

Czy oni tu wszyscy są wariatami? – zastanawiał się Beauvoir. Krzesło już do niego nie przemawiało.

Oficer Robert Lemieux czekał na swoją kolej w sklepie wielobranżowym pana Béliveau. Spodziewał się, że to będzie *dépanneur* pełen śmieciowego jedzenia, papierosów, taniego wina, piwa i różności, które nagle bywały ludziom potrzebne, jak koperty czy świeczki tortowe. Ale okazało się, że to prawdziwy sklep spożywczy. Jeden z tych, jakie rozpoznalaby jego *grandmère*.

Ciemne drewniane półki zawierały zgrabnie ustawione puszki z przetworami i warzywami, płatkami śniadaniowymi, makaronami, dżemami, galaretkami, zupami i krakersami. Wszystko dobrej jakości, ładnie poustawiane. Żadnego zbędnego nadmiaru czy przesady. Podłogi pokrywało zużyte, ale czyste linoleum, pod sufitem z krokwi, połączonych zaciosami obracał się wiatrak.

Za kontuarem stał wysoki, starszy mężczyzna, lekko pochylający się, by słuchać jeszcze starszej kobiety, która odliczała drobne, by zapłacić za zakupy, i gadała non stop. Opowiadała mu o swoim biodrze. O swoim synu. Opowiedziała mu, jak raz pojechała do południowej Afryki i jak jej się tam podobało. Aż w końcu miękkiem i miłym głosem powiedziała, jak bardzo mu współczuje z powodu jego straty. Wyciągnęła swoją pokrytą starczymi plamami i wystającymi błękitnymi żyłkami dłoń i położyła ją na jego bardzo długich, szczupłych, bardzo białych palcach. I przytrzymała tak. On ani drgnął. Nie cofnął ręki.

Zamiast tego popatrzył w jej fiołkowe oczy i się uśmiechnął.

– *Merci, Madame Ferland.*

Lemieux patrzył, jak kobieta wychodzi, wdzięczny, że wreszcie przestała gadać, po czym zajął zwolnione przez nią miejsce.

– *Oui.*

Całe miasteczko wiedziało, że rok wcześniej madame Ferland straciła

syna, chociaż wolała nie mówić o tym. Aż do dzisiaj, gdy opowiedziała o nim panu Béliveau, który poznał się na darze smutku, jaki obydwój w sobie nosili. Teraz sklepikarz odwrócił się do nowo przybyłego młodego mężczyzny, który stał przed nim. Jego ciemne włosy były po staroświecku przycięte, twarz gładko ogolona, sympatyczna. Wyglądał na miłego.

– Nazywam się Robert Lemieux. Jestem z Sûreté.

– *Oui, monsieur*. Domyśliłem się. Pan w sprawie madame Favreau.

– Rozumiem, że miał pan z nią szczególną relację.

– Tak. – Pan Béliveau nie widział powodu, by teraz temu zaprzeczać, choć sam nie był pewien, jaka była jego relacja z Madeleine, przynajmniej z jej perspektywy. Był pewien tylko tego, jakie uczucia on sam żywił.

– Czy to był związek? – zapytał oficer Lemieux. Zastanawiał się, czy aby nie jest zbyt bezpośredni, ale był też świadom, że nie uda mu się długo zatrzymać uwagi tego człowieka.

Kolejny klient mógł wejść w każdej chwili.

– Kochałem ją.

Słowa opadły pomiędzy nich, na miejsce, gdzie drobne pani Ferland wygrzały dla nich miejsce.

Lemieux był przygotowany na taką odpowiedź. Nadinspektor uprzedził go, że pewnie tak było. A przynajmniej że relacja tych dwojga była czymś poważniejszym niż tylko znajomość.

Mimo to patrząc na tego chudego, szarego, poważnego człowieka, nie mógł sobie tego wyobrazić. Ten facet musiał mieć z sześćdziesiąt lat, a Madeleine Favreau była ledwo po czterdziestce. To jednak nie różnica wieku tak go zaskoczyła. Z fotografii ofiary, jakie widział, wynikało, że była piękna. Na wszystkich uśmiechała się lub śmiała, pełna radości, życia i zadowolenia. Lemieux podejrzewał, że mogła mieć każdego, kogo chciała. Dlaczego więc wybrała tego zasuszonego, przygarbionego, cichego mężczyznę? A może nie wybrała. Może to on ją kochał, a ona miała inne odczucia. Może złamała mu serce, a on zaatakował jej serce.

Czy ten człowiek, pachnący krakersami i wyglądający jak zasuszony

gałganek, zabił Madeleine Favreau? Z miłości?

Młody Lemieux nie mógł w to uwierzyć.

– Czy byliście kochankami? – Sama myśl wydała mu się obrzydliwa, ale zrobił pełną współczucia minę i miał nadzieję, że u pana Béliveau wywoła ojcowskie odczucia.

– Nie, nie sypialiśmy ze sobą. – Pan Béliveau powiedział to prosto, bez wstydu. W tym momencie był ponad takie rzeczy.

– Czy ma pan rodzinę, monsieur?

– Nie mam dzieci. Miałem żonę, Ginette. Zmarła dwa i pół roku temu. Dwudziestego drugiego października.

Gdy młody policjant zaczął pracę w wydziale zabójstw, nadinspektor Gamache usadził Roberta Lemieux i dał mu krótką lekcję dotyczącą łapania morderców.

– Musi pan słuchać. Jak długo pan mówi, nie uczy się pan niczego, a pańska praca polega na tym, żeby się dowiadywać. I nie tylko o faktach. Najważniejsze, czego pan się dowiadyuje w śledztwie w sprawie o morderstwo, to to, czego się nie da zobaczyć ani dotknąć. Ludzkie uczucia. Ponieważ – tu nadinspektor pochylił się w stronę Lemieux, a młody oficer spodziewał się, że weźmie go za rękę, ale szef tego nie zrobił. Spojrzał mu tylko prosto w oczy – szukamy kogoś, z kim nie wszystko jest w porządku. Szukamy kogoś, kto sprawia wrażenie zdrowego, kto znakomicie funkcjonuje. Ale jest bardzo chory. Znajdujemy tych ludzi nie po prostu zbierając fakty, ale kolekcjonując wrażenia.

– A to robię, słuchając. – Robert Lemieux wiedział, jak mówić ludziom to, co chcieli usłyszeć.

– Cała życiowa mądrość zawiera się w czterech zdaniach. Chciałbym, by pan je zapamiętał i ich przestrzegał. Gotowy?

Oficer Lemieux wyjął swój notes, przygotował długopis i słuchał.

– Musi się pan nauczyć mówić: „Nie wiem”, „Przepraszam”, „Potrzebuję pomocy”

i „Myliłem się”.

Lemieux zapisał je wszystkie. Godzinę później był w biurze naczelnika Brébeufa i pokazywał mu tę listę. Spodziewał się, że naczelnik ją wyśmieje, ale zamiast tego usta szefa stały się napięte i blade, a szczęki się zacisnęły.

– Zapomniałem – rzekł Brébeuf. – Nasz szef powiedział nam to samo, kiedy zaczynaliśmy pracę. To było trzydzieści lat temu. Powiedział to tylko raz, nigdy więcej.

Zapomniałem.

– Cóż, nic w nich nie ma szczególnie wartego zapamiętania – odparł Lemieux, oceniając, że dokładnie to naczelnik chciał od niego usłyszeć. Mylił się.

– Głupiec z pana, Lemieux. Czy w ogóle ma pan pojęcie, z kim ma do czynienia?

Dlaczego w ogóle pomyślałem, że coś pan może zrobić przeciwko Gamache'owi?

– Wie pan – odrzekł Lemieux, jakby nie słysząc poprzedniej nagany – wydaje się, że nadinspektor Gamache naprawdę wierzy w te rzeczy.

Ja kiedyś też wierzyłem – pomyślał Brébeuf. Dawno temu, gdy kochałem Armanda.

Kiedy ufaliśmy sobie i obiecywaliśmy chronić się nawzajem. Dawno temu, gdy wciąż mogłem przyznać, że się mylę, że potrzebuję pomocy, że nie wiem. Kiedy wciąż umiałem powiedzieć „przepraszam”. Ale to dawno minęło.

– Nie jestem aż takim durniem, wie pan? – powiedział miękko Lemieux.

Brébeuf czekał na nieuniknione marudzenie, na wątpliwości, potrzebę umocnienia w przekonaniu, że, to, co robimy, jest słuszne, tak, Gamache zdradził Sûreté, a pan jest zdolnym młodym człowiekiem, wiem, że potrafi pan przejrzeć jego matactwa. Brébeuf musiał powtarzać te słowa domagającemu się ich Lemieux tyle razy, że prawie sam w nie uwierzył. Brébeuf wpatrywał się w młodego oficera i czekał. Zobaczył jednak tylko czujnego, samodzielnego funkcjonariusza.

Mój Boże.

Jednak serce Brébeufa owiał lekki, zimny powiew.

– Gamache powiedział mi jeszcze jedno – dodał Lemieux, stojąc w drzwiach z rozbrajającym uśmiechem na twarzy. – Mateusz, 10:36.

Brébeuf przyglądał się z kamienną twarzą, jak Lemieux cichutko zamyka za sobą drzwi. Potem znów zaczął oddychać, wciągając płytkie, szybkie oddechy, niemal jakby się dusił. Spojrzał w dół i zauważył, że zacisnął dłoń w pięść, a w środku tej pięści znajdowała się zmięta i zmiażdżona kartka z listą czterech prostych zdań.

A w jego głowie tkwiły, jak pięść, ostatnie słowa Lemieux.

*Mateusz, 10:36.*

O tym też zapomniał. Co jednak wiedział, że zapamięta na długo, to mina Lemieux. To, co zobaczył w jego twarzy, nie było znajomym, szczerzo przestraszonym, wyczekującym i błagalnym wyrazem człowieka, który potrzebuje, by go przekonać. Ujrzał twarz człowieka, którego nic już nie obchodziło. Naczelnika zaskoczyła nie mądrość tej twarzy, lecz jej chytrość.

Teraz oficer Lemieux słuchał i wyczekiwał, aż pan Béliveau powie mu więcej, ale stary sklepikarz najwyraźniej także znajdował przyjemność w czekaniu.

– Jak zmarła pańska żona?

– Udar. Miała wysokie ciśnienie. Nie umarła od razu. Udało mi się przywieźć ją do domu i opiekować się nią przez kilka miesięcy. Ale dostała kolejnego udaru i tym razem zmarła. Jest pochowana za kościołem Świętego Tomasza, na starym cmentarzu, który się tam znajduje, obok swoich i moich rodziców.

Lemieux pomyślał, że nie mogłoby mu się przydarzyć nic gorszego, niż zostać tutaj pogrzebanym. Planował spocząć w Montrealu albo w Quebec City, albo w Paryżu, jako emerytowany i uwielbiany prezydent prowincji Quebec. Do niedawna Sûreté była dla niego domem, dało mu poczucie celu. Ale naczelnik Brébeuf nieświadomie podsunął mu coś więcej.

Coś, czego całe życie mu brakowało. Plan.

Plan Roberta Lemieux zakładał, że nie na długo zagrzeje miejsca w Sûreté.



Tylko tak długo, jak wymagać będzie awansowanie w hierarchii, wyrobienie sobie nazwiska, żeby mógł ubiegać się o urząd publiczny. Wszystko było możliwe. Albo przynajmniej miało być, gdy doprowadzi do upadku Gamache'a. Będzie bohaterem. A bohaterom przysługują nagrody.

– *Bonjour, monsieur Béliveau* . – Myrna Landers weszła, wypełniając sklep światłem słońca i uśmiechem. – Czy nie przeszkadzam?

– Ależ skąd. – Lemieux zamknął notatnik. – Gawędziliśmy sobie tylko. Jak się pani miewa?

– Nie najgorzej. – Myrna zwróciła się do pana Béliveau. – Jak się pan miewa? Słyszałam, że był pan wczoraj na kolacji u Clary i Petera.

– Tak. To przynosi ulgę. Mam się dokładnie, jak pani przypuszcza.

– Smutny czas – westchnęła Myrna, decydując się nie próbować pocieszać pana Béliveau w jego zrozumiałym smutku. – Przyszłam po gazetę. Poproszę „La Journée”.

– Spory dzisiaj popyt na ten tytuł.

– Jest w niej dziwny artykuł. – Zastanawiała się, czy nie powinna siedzieć cicho, ale już wyszło szydło z worka. Zapłaciła za gazetę i zaczęła przerzucać strony, aż znalazła dział miejski.

Cała trójka pochyliła się, po czym jak na komendę podniosła, jak wierni podczas starożytnej modlitwy. Dwoje było zirytowanych. Trzeci – zachwycony.

I w tej właśnie chwili odgłos kwakania przyciągnął ich do wahadłowych drzwi pokrytych siatką, a stamtąd na werandę.

– Monsieur Sandon! – zawołał inspektor Beauvoir już chyba po raz tysięczny. Zaczynał się trochę martwić. Był głęboko w lesie za St-Rémy. Odile powiedziała mu, gdzie znaleźć ciężarówkę Gilles’a i jego szlak przez las. Znalezienie samochodu było łatwe. Beauvoir zgubił się tylko dwa razy w drodze do ślepej dróżki, ale znalezienie Gilles’a okazało się trudniejszym zadaniem. Na drzewach dopiero pojawiły się pąki, więc liście nie zasłaniały widoku, ale przedzieranie się przez powalone drzewa, bagna i głązy okazało się trudne. To nie było naturalne dla Beauvoira środowisko. Potykał się na obślizgłych kamieniach, brnął przez błotniste kałuże, ukryte pod gnijącymi jesiennymi liśćmi. Jego eleganckie skórzane półbuty nasiąkły wodą (wiedział, że to nie najlepsze obuwie na takie wyprawy, ale nie mógł się zdobyć na to, by zniżyć się do noszenia kaloszy), napęły błotem i patyczkami.

Gdy wychodził na świeże powietrze z zatęchłego zapachu ekologicznego sklepu, Odile krzyknęła coś, co ciągle dźwięczało inspektorowi w uszach.

– Niech pan uważa na niedźwiedzie! – Rozbrzmiewał za nim melodyjny zaśpiew.

Wchodząc do lasu, podniósł kij. Żeby trzasnąć niedźwiedzia w nos. Czy to może z rekinami się tak robi? Cóż, tak czy inaczej, był przygotowany. Niedźwiedź zawsze mógł użyć kija jako wykałaczki, kiedy go już pożre.

Miał przy sobie pistolet, ale szkolenie, jakie otrzymał od Gamache’a, było tak gruntowne, że nie wyjąłby go nawet, jeśli nie był pewien, że zamierza go użyć, więc broń pozostała w kaburze. Beauvoir wystarczająco się naoglądał raportów w wiadomościach, by wiedzieć, że niedźwiedzie brunatne zasadniczo nie były niebezpieczne, chyba że się weszło między matkę a młode. Wiedział też, że misie bywają bardzo niebezpieczne, jeśli się je przestraszy. Tak więc nawoływanie „monsieur Sandon” było nieco

obosieczne.

– Monsieur Saaaandonnnn!

– Tu jestem. – Nadeszła nieoczekiwana odpowiedź. Beauvoir zatrzymał się i rozejrzał.

– Gdzie? – zawołał.

– Tu! Znajdę pana.

Teraz Beauvoir usłyszał kroki po jesiennych liściach i trzask patyczków. Ale nadal nie widział człowieka. Dźwięk narastał, a jego ciągle nie było widać. Tak jakby duch nadchodził.

Cholera – pomyślał Beauvoir – powinienem być o tym pomyśleć. Nie wierzę w żadne duchy, nie wierzę w żadne duchy...

– Kim pan jest?

Beauvoir się odwrócił. Na małym wzniesieniu stał ogromny mężczyzna. Miał szeroką pierś, był potężny i wysoki. Na głowie nosił zszarganą włóczkową czapkę, a jego ruda broda sterczała we wszystkie strony. Pokryty był błotem i kawałkami kory.

Yeti. Troll jaskiniowy. Jakieś prastare stworzenie, o którym opowiadała mu babcia.

Diabeł Leśny. Pół człowiek, pół drzewo. To był on.

Beauvoir złapał za swój kij.

– Inspektor Beauvoir, Sûreté du Québec.

Nigdy nie brzmiało to aż tak słabiutko. Ale nagle Diabeł Leśny się roześmiał. Nie złośliwym chichotem, mówiącym „porozrywam cię na kawałeczki”. Był to śmiech szczerze ubawiony. Zszedł z wzniesienia, wdzięcznie sunąc slalomem między starymi drzewami a nowymi sadzonkami.

– Myślałem, że to drzewo do mnie właśnie przemówiło. – Wyciągnął do inspektora olbrzymią, brudną prawicę, a Beauvoir ją uściśnił. I także się roześmiał. Trudno było zachować powagę w towarzystwie tego człowieka. – Zwykle drzewa nie walą tak prosto z mostu, kiedy mówią.

– Drzewa?

– O, tak. Nie podejrzewam jednak, aby przyszedł pan tu, żeby o nich mówić. Ani do nich.

– Sandon wyciągnął dłoń i złożył ją na wielkim pniu obok. Nie oparł się o niego, jedynie go dotykał. Nawet bez dziwnego komentarza Odile Beauvoir mógł orzec, że ten człowiek ma jedyną w swoim rodzaju relację z lasem. Jeśli Darwin twierdziłby, że człowiek wyewoluował od drzewa, Gilles Sandon byłby jego brakującym ogniwem.

– To prawda. Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa Madeleine Favreau. Jak sądzę...

– Beauvoir urwał.

– Morderstwo? Co pan mówi? – Wielki mężczyzna stojący przed nim postąpił w tył, jakby Beauvoir fizycznie go popchnął.

– Przepraszam, myślałem, że pan wie. Wie pan na pewno, że ona nie żyje.

– Byłem przy tym. Zabrałem ją do szpitala.

– Obawiam się, że z raportu coronera wynika, iż zgon nie był naturalny.

– Ależ jasne, że nie był naturalny. Tamtej nocy nie było nic naturalnego. Nie powinniśmy byli nigdy zapraszać duchów do tamtego pokoju. To przez to medium.

– To czarownica – rzekł Beauvoir, nie mogąc uwierzyć, że powiedział to na głos. Ale taka była prawda. Jak sądził.

– Nie dziwi mnie to – odparł Sandon, dochodząc powoli do siebie. – Powinniśmy byli wiedzieć lepiej. My wszyscy, a szczególnie ona. Dziwne rzeczy się wyprawiają na tym świecie, chłopie. I jeszcze dziwniejsze na tamtym. Ale coś panu powiem. – Gilles postąpił w stronę Beauvoira i się pochylił. Inspektor przygotował się na smród ciężkiej pracy i nieczęstej kąpieli, ale ten mężczyzna pachniał świeżym powietrzem i sosną. – Najdziwniejsze rzeczy dzieją się na granicy dwóch światów. To tam mieszkają uwięzione duchy. To nie jest naturalne.

– A słuchanie drzew jest?

Na twarzy Sandona, przez moment surowej i zmartwionej, znowu

wykwitł uśmiech.

– Pewnego dnia je pan usłyszysz. W ciszy szept, który przez całe życie uważał pan za szum wiatru. Ale to będą drzewa. Natura przemawia do nas nieustannie, tyle że nie zawsze słyszymy, w tym problem. Ja nie słyszę wody, kwiatów czy skał. Znaczą się słyszę, ale tylko odrobinę. Ale drzewa? Ich głosy są dla mnie czytelne.

– I co mówią? – Beauvoir nie mógł się nadziwić, że zadał to pytanie, a jeszcze bardziej, że naprawdę chciał poznać na nie odpowiedź. Co się z nim działo?

– Kiedyś panu powiem, ale nie teraz. – Gilles popatrzył na Beauvoira przez chwilę. – Nie sądzę, by mi pan uwierzył, więc to byłaby strata czasu dla nas obu. Ale pewnego dnia, kiedy będę pewien, że pan ich nie wyśmieje i nie obrazi ich uczuć, powiem panu, co mówią drzewa.

Inspektor Beauvoir był zaskoczony, że to zraniło *jego* uczucia. Chciał, żeby ten człowiek mu ufał. I to już, teraz. Ale wiedział też, że Sandon ma rację. Inspektor uważał, że to bzdury.

Chyba.

– Może mi pan opowiedzieć o Madeleine Favreau?

Sandon schylił się i podniósł patyk. Beauvoir spodziewał się, że złamie go i zmiażdży w swoich skórzastych dłoniach, ale Gilles trzymał go tak, jak trzyma się czyjąś małą rączkę.

– Była piękna. Nie jestem elokwentny, inspektorze. Była jak to. – Wskazał kijem w kierunku lasu.

Beauvoir spojrział tam i zobaczył światło słoneczne, złocące się na jasnozielonych pączkach i rozświetlające złote jesienne liście. Słowa nie były potrzebne.

– Była nowa w tej okolicy – powiedział Beauvoir. – Przyjechała parę lat temu. Mieszkała z Hazel Smyth. Jak pan myśli, były kochankami?

– Hazel i Madeleine? – Ten pomysł wydawał się Sandonowi całkiem nowy, choć nie oburzający. Zmarszczył czoło i zastanowił się nad tym. – Może. Madeleine była pełna miłości.

Tacy ludzie czasem nie widzą różnicy między kobietami a mężczyznami. Wiem, że się kochały, jeśli o to panu chodzi, ale wydaje mi się, że ma pan na myśli co innego.

– Owszem. Mówi pan, że to by pana nie zaskoczyło?

– Nie, ale tylko dlatego, że myślę, iż Madeleine kochała wiele osób.

– Łącznie z panem Béliveau?

– Sądzę, że jeśli żywiła dla niego jakieś uczucia, to litość. Wie pan, jego żona zmarła parę lat temu. A teraz umarła Madeleine.

Gniew budził się i narastał w tym człowieku tak szybko, że Beauvoir nijak nie był na to przygotowany. Sandon wyglądał, jakby chciał uderzyć w coś lub kogoś. Rozejrzał się dzikim wzrokiem, z zaciśniętymi pięściami, łzy płynęły mu z oczu. Beauvoir wyczuwał, że w głowie Gilles'a trwa proces decyzyjny. Drzewo czy człowiek, drzewo czy człowiek. Któremu się dostanie?

Drzewo, drzewo, drzewo – błagał Beauvoir bezgłośnie. Ale atak złości minął: Sandon opierał się teraz o olbrzymi dąb. Beauvoir zauważył, że Gilles obejmuje wielkie drzewo i nie miał zamiaru się z tego naśmiewać. Zwracając się z powrotem w stronę Beauvoira, Sandon przesunął kraciastym rękawem w poprzek twarzy, ocierając łzy i nie tylko.

– Przepraszam. Wydawało mi się, że już to z siebie wszystko wywaliłem, ale widać nie.

– Gigantyczny mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało do Beauvoira sponad wielgachnego rękawa, który trzymał przy twarzy. Potem opuścił go. – Przyszedłem tu wczoraj. Tutaj czuję się prawie jak w domu. Poszedłem nad strumyk i wrzeszczałem. Cały dzień. Biedne drzewa. Ale wydawało się im to nie przeszkadzać. One też czasami wrzeszczą, kiedy przychodzi wycinka. Wie pan, czują przerażenie innych drzew. Przez korzenie. Wrzeszczą, a potem płaczą. Wczoraj to ja wrzeszczałem. Dzisiaj płaczę. Myślałem, że już przeszło. Przepraszam.

– Kochał pan Madeleine?

– Tak. Niech mi pan znajdzie kogoś, kto jej nie kochał.

– Ktoś jej nie kochał. Ktoś ją zabił.

– Ciągłe to jakoś do mnie nie dociera. Jest pan pewien?

Gdy Beauvoir odpowiedział milczeniem, wielki mężczyzna pokiwał głową, ale nadal wydawał się nieporuszony tym pomysłem.

– Istnieje środek pod nazwą efedryna. Słyszał pan kiedyś o nim?

– Efedryna? – Gilles Sandon się zastanowił. – Nie, nie słyszałem, ale nie bardzo interesują mnie środki farmakologiczne. Prowadzę sklep ekologiczny w St-Rémy.

– Wiem, La Maison Biologique. Byłem tam dzisiaj, rozmawiałem z Odile. Czy one wie?

– Co?

– Że kochał pan Madeleine.

– Pewnie tak, ale to nie ten sam rodzaj miłości. Madeleine była z tych, które podziwia się z daleka, ale nie wyobrażam sobie, że mógłbym się do niej zbliżyć. Niech no pan tylko spojrzy na mnie.

Beauvoir spojrział i wiedział, co Sandon miał na myśli. Gilles był olbrzymi, brudny, zadomowiony w lesie. Niewiele kobiet uznałoby to za atrakcyjne. Odile tak myślała, a Beauvoir wystarczająco znał się na kobietach, nie mówiąc już o morderstwach, by widzieć tu motyw.

Ruth Zardo szła powoli ścieżką ze swojego małego drewnianego domku ku otworowi w suchej kamiennej ścianie, otwierającemu się na Commons. Gamache i Jeanne patrzyli. Po drugiej stronie skweru patrzyli także Robert Lemieux, Myrna i pan Béliveau. Kilka osób przerwało w pół gestu to, co robili, żeby też się przypatrzeć.

Wszystkie oczy były zwrócone na starszą panią, która kuśtykała, kwacząc. Ruth, z gołą głową, na której krótko przycięte siwe włosy wzburzyły się lekko na wietrze, obejrzała się na zgromadzonych i przystanęła. Potem zrobiła coś, czego Gamache nigdy wcześniej w jej wykonaniu nie oglądał. Uśmiechnęła się. Prostym, niewymuszonym uśmiechem. Po czym poszła dalej. Przeszła przez wyłom małymi kroczkami. A za nią niosło się kwakanie. Dwóch małych, puchatych piskląt.

– To dopiero więdźma – oceniła Jeanne.

– Ruth Zardo – powiedział Gamache ze śmiechem, myśląc, że większość mieszkańców miasteczka przyznałaby Jeanne rację.

Jeanne odwróciła się ku niemu, zaskoczona.

– Ruth Zardo? Poetka? To jest Ruth Zardo? Ta, co napisała: Nie poczułam, jak wycelowane słowo trafiło w cel i weszło jak kula.

Nie poczułam, jak rozerwane ciało zamyka się nad nim jak woda nad wrzuconym kamieniem.

Ta sama Ruth Zardo?

Gamache uśmiechnął się, potakując. Jeanne zacytowała jeden z jego ulubionych wierszy Ruth, *Na wpół powieszona Mary*.

– O, wow. – Jeanne niemal się trzęsła. – Myślałam, że nie żyje.

– Tylko częściowo – powiedział Gamache. – Zdaje się, że zdecydowała się umrzeć etapami.

– W moich kręgach jest legendą.

– Pomiędzy czarownicami?

– Ruth Zardo. Ten wiersz, *Na wpół powieszona Mary*. To o prawdziwej kobiecie, Mary Webster. Myślano, że jest czarownicą, więc powieszono ją na drzewie. To było w czasach polowań na czarownice. Koniec siedemnastego wieku.

– Tutaj? – zapytał Gamache. Był miłośnikiem historii Quebecu, i chociaż natknął się na wzmianki o różnych dziwnych, krwawych wydarzeniach, żadne z nich nie przypominały polowań na czarownice.

– Nie, w Massachusetts. – Jeanne wciąż wpatrywała się w Ruth, podobnie jak inni. Ruth posunęła się o jakieś pół metra wzdłuż Commons, a piskłeta idące za nią machały skrzydełkami, maleńkimi, wyglądającymi jak śladowe wyrostki, i stąpały na swoich błoniastych nóżkach.

– Niesamowita kobieta – powiedziała Jeanne jak we śnie.

– Ruth czy Mary?

– Obie. Czytał pan jej wiersze?



Gamache przytaknął.

Powieszono mnie, bo mieszkałam sama  
Bo oczy miałam niebieskie, opaloną skórę  
Obszarpane spódnice, niewiele guzików  
Zachwaszczoną farmę, której byłam właścicielką  
Oraz skuteczne lekarstwo na kurczaki

– Tak, to to – powiedziała Jeanne, podążając wzrokiem za Ruth, jak kwiat powoju obracający się za słońcem.

Wznoszę się jak padłe drzewo na cofniętym filmie  
Jak pociemniałe jabłko z powrotem frunące na drzewo

– Niewiarygodne. A jednak. – Jeanne w końcu oderwała wzrok od Ruth i powoli, ale skutecznie odwróciła się w przeciwną stronę. – Wierzę, że to miasteczko nie zaznało niczego podobnego. Gdzie indziej ludzie znaleźliby bezpieczne schronienie? Uciekając od czasu stosów.

– Czy to dlatego tu pani przyjechała?

– Przyjechałam, bo byłam zmęczona, wypalona. To dopiero ewenement: wypalona czarownica. – Roześmiała się. Oboje z Gamache'em zwrócili się ku małej, białej, drewnianej kapliczce na zboczu wzgórza i ruszyli w jej stronę.

– A mimo to zgodziła się pani na seans.

– Tak nas szkolą. Trudno jest odmawiać.

– Czy z powodu szkolenia, czy dlatego, że jest pani kobietą? Nie trzeba być znachorką, żeby mieć problem z odmawianiem ludziom.

– To prawda, zawsze trudno mi było odmawiać – przyznała.

Doszli do Świętego Tomasza i wspięli się po sześciu drewnianych stopniach na małą werandę. Gamache otworzył wielkie drewniane drzwi, ale Jeanne stała odwrócona do niego tyłem. Spoglądała na Ruth, po czym przeniosła wzrok na trzy wielkie sosny na miejskim skwerku.

– Czy to tylko zbieg okoliczności? Że miasteczko Three Pines ma trzy

sosny na skwerze?

– Nie. To miasteczko zostało założone przez Zjednoczonych Lojalistów Korony, którzy uciekli przez granicę ze Stanów Zjednoczonych w trakcie wojny o niepodległość z Wielką Brytanią. Wtedy był tu jedynie las. I ciągle tak jest, jak sędzę – Gamache przyłączył się do Jeanne i stali obok siebie, spoglądając na miasteczko i gęsty las ponad nim. – Lojaliści nie mieli pojęcia, kiedy będą bezpieczni. Wynaleźli więc własny szyfr. Trzy sosny oznaczają, że stąd nie trzeba uciekać.

– Tu byli bezpieczni – powiedziała Jeanne i jakby zeszło z niej powietrze. – O, dobry Boże, dziękuję Ci – szepnęła.

Gamache czekał w łagodnym, złotym słońcu, aż Jeanne będzie gotowa wejść do środka.

– Siedzieliśmy w kręgu, a ta czarownica rozsypała sól – opowiadał Gilles. Dwaj mężczyźni siedzieli na kamieniach przy strumyku, w pełnym słońcu. Beauvoir słuchał i wrzucał kamyki do wody. Sandon wpatrywał się w strumyk, którego powierzchnia była pokryta tańczącymi złotymi plamkami tam, gdzie światło słońca napotykało ruch. – Powinienem był wtedy wyjść, ale nie wiem, wszystkich nas to wciągnęło. Myślę, że to był rodzaj zbiorowej hysterii. W ciemności słyszałem różne rzeczy. To było straszne.

Beauvoir rzucił pospieszne spojrzenie na Sandona, ale tamten nie wydawał się zawstydzony przyznaniem, że się bał.

– Potem medium zaczęło wzywać duchy, mówiło, że je słyszy, ja też słyszałem. To było okropne. Zapaliła świece, ale jakoś od tego zrobiło się jeszcze ciemniej. I słyhać było kroki.

Wiem, że coś tam było. Ta czarownica przywiodła coś z zaświatów. Nawet ja wiem, że to błąd.

– Co było dalej?

Sandon oddychał ciężko, jakby wrócił do tamtego straszego pokoju i siedział otoczony ciemnością, lękiem, i czymś jeszcze.

– Słyszała, że coś nadchodzi. Potem klasnęła w ręce. Myślałem, że umrę. Rozległy się dwa wrzaski, może więcej. Okropne dźwięki. A potem łoskot.

Niemal oślepiłem ze strachu, ale zobaczyłem, jak Madeleine upada. Z początku byłem zbyt przerażony, by się poruszyć, ale Clara podeszła bliżej, Myrna też. Zanim mogłem się wreszcie poruszyć, wszyscy zebrali się przy Madeleine.

– Łącznie z panem Béliveau?

– Nie, jego tam nie było. Ja dotarłem przed nim. Myślałem, że po prostu zemdląca.

Szczerze mówiąc, byłem wdzięczny, że to ona, a nie ja. A wtedy ją odwróciliśmy.

– Nie mogłam w to uwierzyć – opowiadała Jeanne, wspominając tę twarz, od której próbowała uciec przez ostatnie dwa dni. – Sprawdziliśmy puls, próbowaliśmy ją reanimować, ale była taka sztywna, że nijak się nie dało. Wyglądała, jakby zamarzła w miejscu, jakby ktoś z niej wyrwał życie. Mówił pan, że ten środek, co nazywa się... – wyraźnie nie mogła sobie przypomnieć. Gamache pozwolił jej pogrzebać w pamięci, zastanawiając się, czy nie udaje.

– Zapomniałam nazwy, ale jakiś środek to spowodował?

– Efedryna. Właściwie to zioło, naturalna substancja. Używają jej ludzie, którzy chcą się odchudzić, ale zakazano jej dystrybucji. Jest zbyt niebezpieczna. Jakie wrażenie sprawiła na pani ta grupa?

– To właściwie był drugi wspólny seans. Pierwszy odbył się w piątek, w bistro.

– W Wielki Piątek – dodał Gamache.

– Czuło się pewne napięcia, najbardziej między dwójką mężczyzn. Nie o Gabrim mówię.

O pozostałych dwóch. O tym wysokim, smutnym i tym olbrzymie z brodą. Ale mężczyźni często się tak zachowują na seansach. Albo w to nie wierzą i emanują negatywną energią, albo wierzą i wstyd im, że się boją. A to też negatywna energia. Miałam jednak wrażenie, że ci dwaj nie są jedynie podenerwowani samą obecnością na seansie. Myślę, że się nie lubili. Ten wielki pokazywał to w bardziej oczywisty sposób, ale ten sklepikarz...

– Pan Béliveau – wtrącił się Gamache.

– Ma w sobie coś mrocznego.

Gamache spojrzał na nią, zaskoczony. Niezbyt dobrze znał tego człowieka, ale go lubił.

Wydawał się inspektorowi uprzejmy, niemal nieśmiały.

– Ukrywa coś – powiedziała Jeanne.

– Wszyscy coś ukrywamy – odparł Gamache.

– Codziennie pan tu przychodzi? – zapytał Beauvoir, kiedy Sandon skończył opowiadać.

Zabrzmiało to, jakby go podrywał; inspektor starał się nie zarumienić.

– Yhy. Tu znajduję drewno na moje meble.

– Widziałem parę z pana produkcji w sklepie. Są fantastyczne.

– Drzewa pozwoliły mi to zrobić.

– Pozwalają panu się wycinać? – zapytał Beauvoir, zaskoczony.

– Oczywiście, że nie, za kogo mnie pan ma?

Za mordercę? – Beauvoir dokończył tę myśl. Czy sam tak uważał?

– Chodzę po lesie i znajduję inspirację. Używam obumarłych drzew. Myślę, że mamy ze sobą wiele wspólnego, pan i ja.

Z jakiegoś powodu sprawiło to Beauvoirovi przyjemność, choć nie przychodziło mu do głowy, co mają wspólnego.

– Obydwaj babrzemy się w śmierci, poniekąd czerpiemy z niej korzyść. Ja bez martwych drzew nie mógłbym robić mebli, a pan bez martwych ludzi byłby bez pracy. Oczywiście, wy czasami pomagacie przypadkom...

– Co pan ma na myśli?

– Jakże, nie czytał pan dzisiejszej gazety? – Sandon sięgnął za siebie i wyciągnął z kieszeni wygnieciony, złożony tabloid. Wręczył go Beauvoirovi, pokazując coś brudnym palcem.

– Widzi pan? Myślałem, że tych umoczonych powsadzali za kratki, ale wygląda, że jeden jeszcze się tam ostał. A raczej tutaj. Pan wygląda na porządnego. Musi być ciężko mieć skorumpowanego szefa.

Beauvoir ledwo słyszał, co do niego mówią. Czuł się, jakby wpadał w

gazetę, grzęznął pośród słów. W jednym słowie.

Arnot.

Jeanne milczała przez chwilę, chłonąc wnętrze kaplicy. Proste, białe konwalie wypełniały je zapachem, tak że pachniało starym drewnem, cytrynowym płynem do czyszczenia mebli, książkami i kwiatami. Kaplica wyglądała jak klejnot. Przenikające przez witrażowe okna światło zabarwiało się na zielono, czerwono i niebiesko. Na najbardziej eksponowanym miejscu był nie witraż za ołtarzem, przedstawiający zmartwychwstałego Chrystusa, ale ten z boku kaplicy. Było na nim trzech młodych ludzi w mundurach. Słońce przeświecało ich i rozlało kolory na Jeanne i Gamache'a, tak że siedzieli w ciepłe, w skupionym blasku tych chłopców.

– Niech pan będzie ostrożny – zwróciła się do Gamache'a Jeanne i spojrzała na płamę czerwonego światła u jego stóp.

– Co ma pani na myśli?

– Widzę coś, wszędzie dokoła pana. Niech pan będzie ostrożny. Coś nadchodzi.

Jean Guy Beauvoir odnalazł szefa u Świętego Tomasza.

Nadinspektor i czarownica siedzieli obok siebie, wpatrując się w przestrzeń. Beauvoir wiedział, że może przeszkadzać w przesłuchaniu, ale to go nie obchodziło. W rękach trzymał złożoną gazetę, pełną świństw. Gamache odwrócił się, a na widok Beauvoira uśmiechnął się i wstał. Inspektor zawahał się, po czym wcisnął gazetę w kieszeń na piersi.

– Inspektorze Beauvoir, to jest Jeanne Chauvet.

– Madame. – Beauvoir ujął jej dłoń, starając się nie wzdrygnąć. Jeśliby wiedział, budząc się rano, że przyjdzie mu uścisnąć dłoń czarownicy... Cóż, nie był pewien, czy zrobiłby coś inaczej. Musiał przyznać, że to było coś, co uwielbiał w tej pracy. Była nieprzewidywalna.

– Właśnie wychodziłam – powiedziała czarownica, ale z jakiegoś powodu przytrzymała dłoń Beauvoira. – Czy wierzy pan w duchy, inspektorze?

Beauvoir o mało co nie wyrócił oczami. Wyobrażał już sobie, jak słuchanie przemieniło się w dyskusję między czarownicą a nadinspektorem o duchach i Bogu.

– Nie, madame, nie sędzę. Myślę, że to bujda, sposób wykorzystywania umysłowej słabości i czerpania korzyści z pogrążonych w żałobie. – Wyrwał rękę z jej uścisku. Zaczynała ogarniać go irytacja. Jego wściekłość tłukła się w swojej klatce. Wiedział, że istnieje niebezpieczeństwo, że się z niej wyrwie. To nie był normalny, zdrowy gniew, ale wściekłość, która rozszarpuje kłami i pazurami wszystko, co napotka. Ślepa, potężna, pozbawiona sumienia i hamulców.

W kieszeni na piersi, złożone blisko ciała, znajdowały się słowa, które mogły co najmniej zranić Gamache'a. Może nawet gorzej. A on miał być tym, kto zada ten cios. Beauvoir wylał swoją złość na tę maleńką, nienaturalną

kobietę, stojącą przed nim.

– Myślę, że wykorzystuje pani zrozpaczonych i samotnych ludzi. To obrzydliwe. Jeśli to ode mnie by zależało, powsadzałbym was wszystkie do więzienia.

– Albo powiesił na jabłonce?

– Nie musi być jabłonka.

– Inspektorze Beauvoir! – Armand Gamache rzadko podnosił głos, ale teraz to zrobił.

Beauvoir wiedział, że przekroczył granicę, że posunął się za daleko.

– Przepraszam, madame – mruknął Beauvoir, opanowując swój gniew.

Ale mała kobieta przed nim, mimo że chucherko, ani drgnęła. W obliczu furii Beauvoira pozostała spokojna i opanowana.

– Nic się nie stało, inspektorze. – Przeszła w stronę drzwi. Otwierając je, odwróciła się.

Była teraz ciemną sylwetką na tle złotego światła dnia. – Urodziłam się w czepku. I myślę, że pan też – zwróciła się do Beauvoira.

Drzwi zamknęły się i dwaj mężczyźni zostali w kaplicy sami.

– Pana miała na myśli – oznajmił Beauvoir.

– Pański zmysł obserwacji jest tak ostry jak zawsze, Jean Guy. – Uśmiechnął się Gamache. – Co się stało? Chciał się pan upewnić, że ona nie namiesza mi w głowie?

Teraz Beauvoir poczuł się niezręcznie. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że czarownica zachowywała się wzorowo. To on zamierzał namieszać Gamache'owi w głowie. Bez słowa wyjął gazetę z kieszeni na piersi i wręczył ją nadinspektorowi. Ten wyglądał na rozbawionego, ale gdy jego wzrok spotkał spojrzenie Beauvoira, uśmiech Gamache'a pobladł. Wziął gazetę, założył okulary w kształcie półksiężyców i zaczął czytać w ciszy kaplicy Świętego Tomasza. Gamache znieruchomiał. Czuł się tak, jakby cały świat dokoła zaczął działać w zwolnionym tempie.

Zauważył siwy włos na ciemnej głowie Beauvoira. Miał wrażenie, że mógłby podejść do inspektora, wyrwać włos i wrócić na miejsce, a Beauvoir

nawet by nie zauważył. Armand Gamache nagle dostrzegął rzeczy, na które dotychczas był ślepy.

– Co to znaczy? – zapytał Beauvoir.

Gamache spojrział na nagłówek. „La Journée”. Montrealski szmatławiec. Jeden z tych tabloidów, które wieszały na nim psy przez całą sprawę Arnota.

– To żadne nowiny, Jean Guy. – Gamache złożył gazetę i położył ją na swoim płaszczu.

– Ale dlaczego przywołują sprawę Arnota? – zapytał Beauvoir, starając się, żeby jego głos był tak opanowany i rozsądny jak głos szefa.

– Nic się nie dzieje. Nie ma o czym raportować. Ta gazeta to śmiech, *une blague*. Gdzie pan ją dostał?

– Gilles Sandon mi ją dał.

– Znalazł go pan? Świetnie. Proszę mi opowiedzieć, co mówił.

Gamache podniósł swój płaszcz i gazetę. Obaj w słońcu podążyli w stronę dawnego dworca, a Beauvoir opowiadał o porannych przesłuchaniach Sandona i Odile. Beauvoir był wdzięczny, że jest tak normalnie. Wdzięczny, że szef zbagatelizował komentarze w gazecie.

Teraz i on mógł udawać, że są bez znaczenia. Szli równym krokiem, ze spuszczonej głowami. Dla postronnego obserwatora wyglądałoby jak ojciec i syn na zwyczajnym spacerze w piękny wiosenny dzień, zagłębieni w konwersacji. Ale coś właśnie się zmieniło.

*Nie poczułem, jak wycelowane słowo trafiło w cel i weszło w niego jak kula.*

Rozerwane ciało zamknęło się nad słowem i Armand Gamache szedł dalej, słuchając, całą uwagę skupiając na inspektorze.

Hazel Smyth pojechała do domu pogrzebowego w Cowansville. Sophie zaproponowała, że może jej towarzyszyć, ale jej głos brzmiał tak niechętnie, że Hazel zdecydowała, że lepiej pojedzie sama. To prawda, kilku z jej przyjaciół zaoferowało, że mogą tam się z nią udać, ale Hazel nie chciała ich kłopotać. Czuła się, jakby ją porwano i zamknięto w świecie przyciszonych słów i współczucia z powodu czegoś, w co jeszcze nie mogła uwierzyć, że się stało. Zamiast iść na spotkanie kółka robótek ręcznych, oglądała trumny.



Zamiast zabrać biedną Aimée na chemioterapię albo wypić herbatę z Susan, wysłuchując opowieści o jej porąbanych dzieciach, zastanawiała się, co napisać w nekrologach.

Jak ją opisać? Droga przyjaciółka? Najdroższa towarzyszka? Pograżeni w żalu...

Dlaczego nie było słów, które dałoby się poczuć? Takich, których można byłoby dotknąć i poczuć dokładnie intencje piszącego? Przepaść, jaka powstała po stracie Madeleine? Gula w gardle, która tętniła i bolała. Przerazenie pojawiające się, gdy się zasypiało, wiedząc, że po przebudzeniu trzeba będzie na nowo przeżywać tę stratę, jak Prometeusz, skępowany i codziennie na nowo dręczony. Wszystko się zmieniło. Nawet jej gramatyka. Nagle żyła w czasie przeszłym. I w liczbie pojedynczej.

– Mamo? – zawołała z kuchni Sophie. – Mamo, jesteś tu? Potrzebna mi twoja pomoc.

Hazel wróciła z bardzo daleka i podeszła do córki, na początku powoli, ale tym szybciej, im głębiej wnikały słowa Sophie.

*Potrzebna mi twoja pomoc.*

W kuchni zastała Sophie opartą o blat, z uniesioną stopą i wyrazem bólu na twarzy.

– Co jest? Co się stało? – Hazel schyliła się, by dotknąć jej stopy, ale Sophie się cofnęła.

– Nie ruszaj. Boli.

– Usiądź, proszę. Daj mi obejrzeć.

Udało jej się skłonić Sophie, by usiadła przy stole na krześle. Hazel położyła poduszkę na innym krześle i czule uniosła nogę córki, układając ją na krześle z poduszką.

– Wykręciłam ją, wpadając w dziurę na podjeździe. Ile razy ci mówiłam, żeby połatać te wyrwy?

– Wiem, przepraszam.

– Szłam po twoją pocztę i wtedy to się stało.

– Daj mi spojrzeć. – Hazel schyliła się i delikatnie, wprawnymi palcami

zaczęła obmacywać kostkę.

Dziesięć minut później ułożyła Sophie na kanapie w salonie, z pilotem od telewizora w ręku, kanapką z szynką i serem na talerzyku oraz dietetyczną lemoniadą na tacy. Owinęła czule kostkę Sophie bandażem i znalazła parę kul jeszcze z czasów, gdy córka zrobiła sobie krzywdę.

Co dziwne, zawroty głowy, rozkojarzenie i zamroczenie minęły. Skupiła się teraz na córce, która jej potrzebowała.

Olivier wniósł tacę z kanapkami do tylnej sali w bistro. Postawił też z boku na szafce garnek zupy grzybowo-kolendrowej oraz piwa i napoje bezalkoholowe do wyboru. Gdy ekipa z Sûreté przyszła na obiad, Olivier wziął Gamache'a za łokieć i odciągnął na bok.

– Widział pan dzisiejszą gazetę? – zapytał.

– „La Journée”?

– O pana im chodzi, prawda? – dociekał Olivier.

– Tak sędzę.

– Ale dlaczego? – wyszeptał Olivier.

– Nie wiem.

– Często tak robią?

– Nieczęsto, ale zdarza się. – Gamache powiedział to tak od niechcenia, że Olivier się odprężył.

– Jeśli w czymś mogę pomóc, proszę mi powiedzieć.

Olivier pospieszył do swojej obiadowej godziny szczytu, a Gamache nalał sobie talerz zupy, wziął kanapkę z warzywami z grilla i kozim serem na włoskiej bułce, po czym usiadł. Jego zespół zasiadł dookoła, zjadając zupę i kanapki i zerkając w jego stronę. Z wyjątkiem Nichol, która siedziała ze spuszczoną głową. Mimo że zasiedli w półkolu, udało jej się usadowić tak, że wyglądała jak przy oddzielnym stoliku w zupełnie innej sali.

Czy zrobił błąd, przywożąc ją tutaj?

Pracował z nią już od kilku lat i zdawało się, że nic się nie zmieniło. Co najbardziej martwiło. Oficer Nichol sprawiała wrażenie, jakby

kolekcjonowała urazy, a nawet sama je produkowała. Była jednoosobową fabryczką przytyków, odcisków i zadrapań. Pracowała dzień i noc, produkując złość. Zmieniała dobre intencje w obraźliwe wypowiedzi, szczęście innych ludzi w osobiste urazy. Uśmiech, nawet lekki, zdawał się ją fizycznie ranić. Trzymała się kurczowo każdej urazy. Niczego nigdy nie odpuszczała, upierała się za to przy popadaniu w obłąd. A jednak Yvette Nichol wykazywała talent w łapaniu morderców. Była swego rodzaju genialną wariatką – może ta jej właściwość wynikała z tego, że wyczuwała podobnych sobie szaleńców.

Teraz jednak był powód, dla którego pracowała przy tej sprawie. Nadinspektor z nikim się nim nie podzielił. Obserwował, jak Nichol pochyla się nad zupą tak nisko, że aż włosy wpadły jej do talerza. Zwisaly, tworząc nieprzeniknioną kurtynę. Zza kosmyków widział jednak, jak łyżka rozlewa zupę za każdym razem, gdy podnosiła ją do ust.

– Pewnie wszyscy to widzieliście. – Gamache uniósł egzemplarz „La Journée”.

Pokiwali głowami.

– Oczywiście chodzi im o mnie, ale to nic nie znaczy. W weekend nic się nie dzieje, więc postanowili wskrzesić sprawę Arnota. To wszystko. Nie chciałbym, żeby to wpływało na waszą pracę. *D'accord?*

Rozejrzał się. Robert Lemieux przytakiwał. Nichol wycierała serwetką zupę z koniuszków włosów i wyglądała, jakby nie słyszała. Inspektor Beauvoir wpatrywał się w niego intensywnie, po czym krótko skinął głową i wziął do ręki olbrzymią kanapkę z pieczoną wołowiną i chrzanem na croissancie.

– Lacoste?

Isabelle Lacoste wpatrywała się w niego bez ruchu. Nie jadła, nie potakiwała, nie mówiła.

Patrzyła.

– Słucham – powiedział Gamache, składając ręce na podolku z dala od jedzenia i kierując całą uwagę na Lacoste.

– Coś w tym jest, sir. Powtarza pan, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Myślę, że jest jakiś powód, dla którego to się znalazło w gazecie.

– Jaki?

– Doskonale pan wie, jaki to powód. Zawsze ten sam. Próbują się pana pozbyć.

– Kto „oni”?

– Ludzie w Sûreté ciągle lojalni wobec Arnota.

Nie wahała się, nawet nie musiała się zastanawiać. Oczywiście pomogło to, że spędziła cały ranek, rozmyślając o tym, i doszła właśnie do takiego wniosku. Przyglądała się, jak nadinspektor przyjmował jej słowa.

Armand Gamache spojrzał przez stół wprost w jej oczy. Jego piwne źrenice były spokojne, opanowane, myślące. We wszystkich momentach chaosu, stresu, zagrożenia, w chwilach fizycznych i psychologicznych ataków, jakie musieli znosić, poszukując morderców, to właśnie zapamiętała: nadinspektora Gamache’a, spokojnego, silnego, panującego nad każdą sytuacją. Nie bez powodu to on był szefem. Nigdy się nawet nie wzdrygnął. Teraz też nie.

– To ich własne powody – powiedział w końcu. – Ja nie muszę się nimi przejmować.

– Rozejrzał się. Nawet oficer Nichol na niego patrzyła, z lekko rozdziawionymi ustami.

– A co z resztą? – zapytała Lacoste. – Co z ludźmi tutaj? Co z innymi funkcjonariuszami Sûreté? Oni w to uwierzą.

– I co z tego?

– Cóż, może nam to zaszkodzić.

– Co chciałaby pani, żebym zrobił? Opublikował ogłoszenie mówiące, że to nieprawda?

Są dwie rzeczy, które mogę zrobić. Albo zdenerwować się i martwić tym, albo się nie przejmować. Jak pani myśli, co wybiorę? – Uśmiechnął się.

Po raz pierwszy napięcie w pomieszczeniu opadło i wszyscy mogli wrócić do jedzenia i sprawozdań. Do czasu, gdy Olivier posprzątał naczynia i

przyniósł deskę serów, Beauvoir i Gamache podzielili się informacjami z resztą zespołu. Robert Lemieux zdał raport z przesłuchania pana Béliveau.

– Co wiemy o jego żonie? – zapytał Beauvoir. – Miała na imię Ginette, tak?

– Jeszcze nic poza tym, że umarła dwa lat temu – odparł Lemieux. – Czy to ważne?

– Może być. Gilles Sandon najwyraźniej sugeruje, że to nie przypadek, że dwie kobiety, z którymi pan Béliveau był związany, zmarły.

– Taa, pewnie drzewo mu to podpowiedziało – mruknęła Nichol.

– Co takiego, oficer Nichol? – zwrócił się do niej Beauvoir.

– Nic – odparła. Zupa skapywała jej z włosów na poduszki na ramionach taniego garnituru, okruszki przyklepiły jej się do piersi. – Nie sądzę tylko, żebyśmy powinni traktować serio cokolwiek, co mówi Sandon. Wiadomo, że to wariat. Gada do drzew, na miłość boską. To samo z tą czarownicą, która rozsypuje sól, pali świece i gada do umarłych. A wy słuchacie, co ma do powiedzenia? – zwróciła się do Armanda Gamache’a.

– Proszę pozwolić ze mną, oficer Nichol. – Gamache starannie złożył serwetkę na stole i wstał. Bez słowa otworzył przeszkłone rozsuwane drzwi, prowadzące na brukowane patio za restauracją, z widokiem na rzekę.

Beauvoir fantazjował, że szef wrzuci Nichol do rzeki, z której przez moment będzie widać tylko jej machające ramiona, znikające w białej pianie, by za tydzień lub mniej wylądować w odmętach nieszczęsnego Atlantyku. Zamiast tego zobaczyli, jak Nichol machała rękami i nawet tupiała nogami, podczas gdy Gamache słuchał z surową i poważną miną. Nic nie było słychać z powodu łoskotu rzeki. Wreszcie nadinspektor uniósł rękę, a ona się uciszyła i stała bez ruchu. On przemówił. Nichol skinęła głową, odwróciła się i odeszła.

Gamache wrócił do sali ze zmartwioną miną.

– Mamy ją z głowy? – zapytał Beauvoir.

– Wróciła do biura.

– A potem?

– A potem dołączy do mnie i pójdziemy do dawnego domu Hadleyów.

Chciałbym, by i pan z nami poszedł. – Gamache zwrócił się do Lemieux.

Jean Guy Beauvoir zdołał zachować milczenie i nawet wysłuchał raportu Isabelle Lacoste, mimo że jego myśli tłukły się niespokojnie w głowie. Dlaczego oficer Nichol tu była?

Dlaczego? Jeśli nic nie dzieje się bez przyczyny, jaka była przyczyna jej obecności? Musiała jakaś być, wiedział to.

– Madeleine Favreau miała czterdzieści cztery lata – relacjonowała Lacoste czystym, precyzyjnym głosem. – Urodziła się w Montrealu jako Madeleine Marie Gagnon i wychowała w *quartier* Notre-Dame-de-Grace. Na Harvard Street. W średniozamożnym angielskim domu.

– Angielskim? – zapytał Lemieux. – Z takim nazwiskiem?

– Cóż, prawie angielskim – przyznała Lacoste. – Ojciec był frankofonem, matka anglojęzyczna. Nazwisko francuskie, ale wychowanie w znacznej części anglosaskie. Chodziła do szkoły publicznej i liceum w Notre-Dame-de-Grace. Sekretarka w szkole nawet ją pamiętała.

Powiedziała, że w głównym holu szkoły wisi kilka zdjęć Madeleine. Była sportowcem roku oraz przewodniczącą szkolnego samorządu. Jedno z tych dzieci, co we wszystkim przodowała. Była też cheerleaderką.

Gamache cieszył się, że nie ma Nichol. Wyobrażał sobie tylko, jak by zareagowała na tę litanię sukcesów.

– Jakie miała wyniki w nauce? – zapytał.

– Sekretarka właśnie sprawdza. Do czasu, jak wrócimy do biura, powinna mieć odpowiedź w tej sprawie. Po liceum...

– Chwileczkę – przerwał jej Gamache. – A co z Hazel Smyth? Czy o nią też pani pytała?

Razem chodziły do szkoły.

– Owszem, pytałam. Hazel Lang. Też ma czterdzieści cztery lata. Mieszkała w Notre-Dame-de-Grace na Melrose Avenue.

Gamache znał tę okolicę. Stare, solidne domy. Drzewa, ogrody.

– Sekretarka także i to sprawdza.

– Ale w pierwszej chwili jej nie pamiętała?

– Nie, ale to mało prawdopodobne po tylu latach. Po szkole średniej Madeleine studiowała inżynierię na Uniwersytecie Królowej i dostała pracę w Bell Canada<sup>[13]</sup>. Odeszła stamtąd cztery lata temu.

Beauvoir wpatrywał się w Gamache’a. Nie mógł przestać myśleć o konfrontacji z Nichol.

Gdyby ktokolwiek inny z zespołu odezwał się do szefa w ten sposób, wyleciałby natychmiast, i słusznie. Ale szczerze mówiąc, nikomu z nich nie przyszłoby do głowy mówić do Armanda

Gamache’a w taki sposób. Nie dlatego, że instynkt samozachowawczy tak dyktował, ale dlatego, że zbyt go szanowali.

Dlaczego Nichol odnosiła się do szefa w taki sposób i dlaczego Gamache na to pozwalał?

– Kobieta, z którą rozmawiałam w Bellu, pracowała w innym dziale na niższym szczeblu – ciągnęła Lacoste. – Powiedziała mi jednak, że madame Favreau była dobrym szefem i bardzo inteligentną osobą. Ludzie ją lubili. Rozmawiałam też krótko z jej szefem. Nazywa się Paul Marchand. – Lacoste zajrzała do notatek. – Jest wiceprezesem do spraw rozwoju i badań.

Madeleine Favreau kierowała działem nowych produktów. Współpracowała też blisko z działem rozwoju marketingu.

– Więc kiedy wypuszczali nowy telefon czy coś takiego – powiedział Lemieux – ona nad tym pracowała?

– Specjalizowała się w technologii informatycznej. Bardzo poszukiwana branża, IT.

Wedle jej szefa Madeleine objęła tę posadę krótko przed tym, jak odeszła z pracy. Gamache czekał. Isabelle Lacoste była jedną z najlepszych policjantek, z jakimi kiedykolwiek pracował. Gdyby kiedyś Beauvoir z jakiegoś powodu odszedł, naturalnym byłby jej wybór na stanowisko zastępcy. Raporty pisane przez nią były wyczerpujące, przejrzyste i pozbawione dwuznaczności.

– Wyszła za mąż za François’a Favreau, ale to małżeństwo było nieudane. Rozwiedli się parę lat temu. Zdaniem jej szefa to nie dlatego odeszła. Pytał ją

o powód, ale nie podała jasnej przyczyny. Wiedziała tylko na pewno, że chce odejść, więc jej szef to uszanował.

– Czy ma jakąś teorię na temat jej odejścia? – zapytał Gamache.

– Owszem. – Uśmiechnęła się Lacoste. – Sześć lat temu u Madeleine Favreau zdiagnozowano raka piersi. Monsieur Marchand uważa, że prawdopodobnie to, w połączeniu z rozwodem, spowodowało, że odeszła. Było mu przykro, że tak się stało. Wyczuwałam w jego głosie, że ją lubił.

– A może kochał? – spekulował Gamache.

– Nie wiem. Ale sądzę, że były tam jakieś ciepłe uczucia, wykraczające poza zwykły szacunek. Żałował, że odeszła.

– A wtedy przyjechała tutaj – powiedział Gamache, zapadając głębiej w fotel.

Olivier zapukał i wniósł kawę i deser na tacy. Był w środku dłużej, niż Gamache’owi wydało się konieczne, po czym w końcu wyszedł, zadowolając się okruszkami bagietki, ale nie zyskując ani krzty informacji.

– Nie miała dzieci? – zapytał Lemieux.

Lacoste pokręciła głową i sięgnęła po mus czekoladowy, wznoszący się nad brzegiem szklanego pucharka, udekorowany prawdziwą bitą śmietaną i maliną. Przysunęła sobie ciemną, pachnącą kawę, zadowolona ze swojego sprawozdania oraz z posiłku.

Beauvoir zauważył, że została tylko jedna porcja musu. Lemieux wziął sałatkę owocową, co Beauvoir powitał z ulgą, ale także podejrzeniem: kto by wybrał owoce raczej niż mus czekoladowy? Stał jednak teraz przed straszliwym dylematem, kulinarnym wyborem Zofii.

Mus był tylko jeden. Czy powinien sam go wziąć, czy zostawić Gamache’owi? Wpatrywał się w deser, po czym uniósł wzrok i zauważył, że Gamache także na niego patrzy. Nie na mus czekoladowy. Na niego. Na twarzy nadinspektora malował się nieznacznym uśmiech – i coś jeszcze. Wyraz, jaki Beauvoir rzadko na niej oglądał.

Smutek.

I wtedy Beauvoir już wiedział. Wiedział wszystko. Wiedział, czemu Nichol



jest w zespole. Wiedział, dlaczego Gamache w ogóle z nią jeszcze rozmawiał dziś po południu.

Gdyby funkcjonariusze trzymający stronę Arnota chcieli doprowadzić do upadku Gamache'a, jak do tego by się zabrali? Zainstalowaliby kogoś w jego zespole. Armand Gamache wiedziałby o tym. Zamiast ją zwolnić, postanowił grać w niebezpieczną grę. Pozwolił jej zostać.

I nie tylko. Trzymał ją blisko siebie. Żeby mieć ją na oku i żeby odsunąć ją od pozostałych. Armand Gamache padał całym sobą na granat, jakim była Yvette Nichol. Robił to dla nich. Jean Guy Beauvoir wyciągnął dłoń po deser, po czym wziął mus czekoladowy i postawił go przed Armandem Gamache'em.

Clara Morrow przeczesła włosy palcami i wlepiła wzrok w sztalugę. Jak to się stało, że w takim tempie przeszła od czegoś genialnego do kompletnego śmiecia? Znów podniosła pędzel, ale zaraz go odłożyła. Potrzebny był jej cieńszy. Znalazła go i nałożyła trochę zielonej farby, potem dodała odrobinę żółtej i podeszła do obrazu.

Ale już nie mogła. Nie wiedziała już, co chciała zrobić.

Włosy sterczały jej z boków głowy, poplamione pasmami niebieskiej i żółtej farby. Mogłaby zarabiać na życie jako Klaun Clara. Kolorowe ślady znaczyły nawet jej twarz. Gdyby zbliżyło się do niej jakieś dziecko, jej widok na pewno by je przestraszył.

Przerażone, pełne lęku oczy. Od przyjazdu Denisa Fortina dzielił ją niecały tydzień. Zadzwonił rano i powiedział, że przywiezie ze sobą kolegów. Słowo „koleczy” nieodmiennie intrygowało i ekscytowało Clarę. Malarze nie mieli kolegów. Niewielu w ogóle miało przyjaciół.

Ale teraz nienawidziła tego słowa. Nienawidziła telefonu. Nienawidziła też tego obiektu na sztaludze, który podobno miał zagwarantować, że nie będzie już dłużej nieznaną artystką.

Clara odeszła od sztalugi, przestraszona własną pracą.

– Popatrz. – W drzwiach stanął Peter.

Clara pomyślała, że powinna była je zamknąć. Koniec przerywania jej w pracy. Ona nigdy mu nie przeszkadzała, więc dlaczego uważał, że nie ma nic złego nie tylko w tym, żeby do niej mówić, ale także oczekiwać, że wyjdzie z pracowni, żeby spojrzeć, na co właściwie? Na kromkę chleba z dziurą w kształcie królowej? Na Lucy leżącą z głową wciśniętą pod dywan? Na kardynała w karmniku?

Każdy powód, nawet najbardziej nieistotny, wystarczał Peterowi, by jej

przerwać pracę. Wiedziała jednak, że nie jest wobec niego fair. Jeśli czegoś była pewna, to tego, że Peter, mimo że nie zawsze rozumiał jej sztukę, wspierał ją bardziej niż ktokolwiek.

– Chodź szybko. – Wykonał pełen ekscytacji gest, po czym zniknął.

Clara zdjęła fartuch, rozmazując farbę na bluzce, po czym wyszła z pracowni, próbując zignorować ulgę, jaką poczuła po wyłączeniu światła.

– Zobacz. – Peter praktycznie zaciągnął ją do okna.

Na miejskim skwerku stała Ruth, mówiąc do kogoś. Tyle że była sama. Nie było w tym nic dziwnego. Dziwne byłoby właściwie, gdyby znalazł się ktoś, kto chciałby jej słuchać.

– Poczekaj. – Peter zauważył jej zniecierpliwienie. – Teraz patrz – powiedział z triumfem.

Ruth powiedziała jeszcze coś, po czym odwróciła się i powolutku ruszyła z powrotem przez skwer w kierunku domu, niosąc płócienną torbę z zakupami. Kiedy szła, poruszyły się za nią jakby dwa kamienie. Clara przyjrzała się dokładniej. Coś puchate te kamienie. Ptaki. Pewnie sikorki, wszędzie ich pełno. Aż nagle jeden z nich zamachał skrzydłami i lekko się uniósł.

– Kaczki – oznajmiła Clara, uśmiechając się. Jej napięcie minęło, gdy przyglądała się, jak Ruth i jej dwa kaczątka idą rzędem w kierunku domku po drugiej stronie skweru.

– Nie widziałem, jak szła do sklepu pana Béliveau po zakupy, ale Gabri ją widział.

Zadzwoił i kazał mi popatrzeć. Najwyraźniej te maluchy czekały na nią pod sklepem, a potem ruszyły za nią przez skwerek.

– Ciekawe, co do nich mówi.

– Prawdopodobnie uczy je przeklinać. Wyobrażasz sobie? Nasze miasteczko stanie się atrakcją turystyczną, miejscowością, w której kaczki zaczną mówić!

– A co miałyby powiedzieć? – Clara spojrzała na Petera rozbawiona.

– Kurka! – rzucili oboje jednocześnie.

– Tylko poetka może mieć kaczkę, co mówi „kurka!” – powiedziała Clara ze śmiechem.

Nagle zauważyła funkcjonariuszy Sûreté, wychodzących z bistro i kierujących się ku dawnej stacji kolejowej. Zastanawiała się, czy nie pójść i się nie przywitać, i może przy okazji dowiedzieć się czegoś, ale zauważyła, że inspektor Beauvoir prowadzi nadinspektora Gamache’a na bok. Z tego, co Clara zdołała zauważyć, młodszy mężczyzna mówił, gestykulując, a nadinspektor słuchał.

– Czy to pan robi? – Beauvoir próbował nie podnosić głosu. Sięgnął do kieszeni Gamache’a i wyjął sterczącą stamtąd złożoną gazetę. – To nie jest „nic”. To coś znaczy, nieprawdaż?

– Nie wiem – przyznał Gamache.

– To Arnot, czyż nie? Zawsze ten pierdolony Arnot. – Głos Beauvoira rósł w siłę.

– Musi mi pan zaufać w tej kwestii, Jean Guy. Ta sprawa z Arnotem ciągnie się już za długo. Czas ją zakończyć.

– Ale pan nic z tym nie robi. Wypowiedział panu wojnę, w ten sposób. – Beauvoir zamachał gazetą.

Z okna Peter i Clara widzieli, jak gazeta porusza się w powietrzu. Clara wiedziała, że jeśli oni się przyglądają, to inni także. Gamache i Beauvoir nie mogli znaleźć mniej prywatnego miejsca na dyskusję.

– Od miesiący pan wiedział, że to jeszcze nie koniec – ciągnął Beauvoir. – Ale mimo to milczał pan. Nie konsultują już z panem najważniejszych decyzji...

– Ale to co innego. Komendanci nie robią tego dlatego, że zgadzają się z Arnotem.

Próbują mnie ukarać za to, że podjąłem inną decyzję niż oni. Wie pan o tym. To co innego.

– Ale i tak to nie w porządku.

– Tak pan myśli? Czy naprawdę myśli pan, że nie spodziewałem się tego, kiedy aresztowałem Arnota?

Beauvoir przestał machać rękami i zamarł. Wydawało się, że Gamache otoczył go jakąś bańką. Jego brązowe oczy patrzyły tak intensywnie, głos był tak głęboki i silny. Jak gdyby przygwoździł Beauvoira w miejscu.

– Wiedziałem, że tak będzie. Komenda główna nie mogła pozwolić, bym bezkarnie zignorował rozkaz. Tak mnie za to karzą. I mają słuszość. Podobnie jak ja miałem słuszość robiąc to, co zrobiłem. Niech pan nie myli ze sobą dwóch różnych rzeczy, Jean Guy. Fakt, że nigdy już nie awansuję, że nie mam już udziału w podejmowaniu najważniejszych dla Sûreté decyzji, nie jest ważny. Wiedziałem, że tak będzie.

Gamache sięgnął naprzód, zabrał Beauvoirovi gazetę i przytrzymał ją delikatnie w swoich wielkich dłoniach. Zniżył głos prawie do szeptu. W całym Three Pines nic nawet nie drgnęło. Wydawało się, że nawet wiewiórki, nornice i ptaki próbowały nasłuchiwać. A Gamache wiedział doskonale, że i ludzie wytężają słuch.

– To co innego. – Złożył gazetę. – To robota Pierre’a Arnota i ciągle lojalnych wobec niego osób. To jest zemsta, nie formalna nagana. To nie jest oficjalna polityka Sûreté.

Miejmy nadzieję, że nie – pomyślał Beauvoir.

– Tego się nie spodziewałem – przyznał Gamache, spoglądając na gazetę. – Nie całe lata po aresztowaniu i procesie. Nie po tym, jak o morderstwach Arnota dowiedziała się opinia publiczna. Ostrzegano mnie, że sprawa Arnota się jeszcze nie skończyła, ale nie doceniłem, jak wielką lojalnością wciąż się on cieszy. Jestem zaskoczony.

Poprowadził Beauvoira w stronę kamiennego mostku i na drugą stronę Bella Bella. Gdy przeszli przez most, zatrzymał się na chwilę i przypatrywał przepływającym obok spienionym wodom, niosącym z rwącym nurtem leniwej zwykle rzeczki liście i grudy błota.

– Przydybał pana, gdy nie był pan przygotowany – stwierdził Beauvoir.

– Niezupełnie – zaprzeczył Gamache. – Mimo że muszę przyznać, że to mnie zaskoczyło.

– Poklepał się po kieszeni, w której spoczywała gazeta. – Wiedziałem, że

coś spróbują zrobić, ale nie wiedziałem, co i kiedy. Myślałem, że to będzie bardziej bezpośredni atak. To wskazuje na wyrafinowanie i cierpliwość, o jakie go nie podejrzewałem.

– Ale nie Arnot to robi. Nie bezpośrednio. Musi mieć kogoś wewnątrz Sûreté. Wie pan, kto to jest?

– Mogę się domyślać.

– Naczelnik Francoeur?

– Nie wiem, Jean Guy. Nie mogę o tym dyskutować. To tylko podejrzenie.

– Ale Nichol pracowała kiedyś dla Francoeura w narkotykowym. Francoeur i Arnot byli najbliższymi przyjaciółmi. Ledwo ominęło go aresztowanie pod zarzutem pomocy w morderstwie. W najlepszym razie wiedział, co wyprawia Arnot.

– Nie wiemy tego – powtórzył Gamache.

– A Nichol z nim pracowała. To on załatwił przeniesienie jej z powrotem do wydziału zabójstw. Pamiętam, że sprzeczał się pan z nim o to.

Gamache też to pamiętał. Ten słodki, pełen rozsądku głos sączący się przez telefon jak syrop. Wtedy Gamache wiedział. Wiedział, że jest jakiś powód, dla którego odesłano mu z powrotem Nichol po tym, jak już raz ją zwolnił.

– Ona pracuje dla Francoeura, czyż nie? – powiedział Beauvoir i było to stwierdzenie, a nie pytanie. – Przesłano ją na przesłpiegi.

Gamache wpatrywał się w Beauvoira, skupiony i napięty.

– Wie pan, co to jest czepek?

– Co takiego?

– Jeanne Chauvet powiedziała, że urodziła się w czepku i że pewnie pan też. Wie pan, co to jest?

– Nie mam pojęcia i nie obchodzi mnie to. To czarownica. Naprawdę będzie pan jej słuchał?

– Słucham wszystkich. Niech pan uważa, Jean Guy. To niebezpieczny czas, niebezpieczni ludzie. Potrzebna nam wszelka pomoc, jaką możemy dostać.

– Nawet czarownic?

– Może nawet drzew – powiedział Gamache, uśmiechając się i unosząc łuki brwi. Po czym wskazał w kierunku spienionej wody, której huk uniemożliwiał innym podsłuchiwanie ich rozmowy. – Woda jest naszym sprzymierzeńcem. Jeśli znajdziemy jeszcze gadające kamienie, będziemy niezwyciężeni.

Gamache popatrzył na ziemię. Beauvoir także. Podniósł rozgrzany od słońca kamień, ale nadinspektor już zmierzał w kierunku biura operacyjnego, z ramionami wygodnie splecionymi na plecach i przechyloną głową. Beauvoir mógł jedynie zauważyć lekki uśmiech na jego twarzy.

Zamierzał cisnąć kamień do rzeki, ale się zawahał. Nie chciał dać mu zatonać. Kurwa – pomyślał, podrzucając kamień w dłoni, także zmierzając w kierunku biura operacyjnego. Gdy ziarno raz zostanie zasiane, na zawsze zatruwa człowiekowi życie. Jak miał ścinać drzewa czy nawet kosić trawę, skoro bał się utopić kamień?

Cholerna wiedźma.

Cholerny Gamache.

Hazel Smyth cofnęła się spod drzwi, wycierając ręce w kraciasty fartuch.

– Proszę. – Uśmiechnęła się uprzejmie, ale nic ponadto.

Beauvoir i Nichol weszli za nią do kuchni. Wszystkie garnki były powyjmowane: albo w użyciu, albo w zlewie. Na piecu stał brązowy kamionkowy słój z uszkami po obu stronach.

Fasola pieczona w melasie, z brązowym cukrem i skwarkami. Klasyczne danie z Quebecu.

Pomieszczenie wypełniał gęsty, słodki zapach.

Pieczona fasola wymaga dużo pracy, ale wyglądało, że ciężka praca była lekarstwem, które Hazel na dzisiaj wybrała. Na kuchennym stole stały naczynia do zapiekania, uformowane jak batalion czołgów. Nagle Beauvoir uświadomił sobie, co to za bitwa się tu rozgrywa. Walka ze smutkiem. Heroiczny, desperacki wysiłek na rzecz odparcia wroga spod bram, jednak nadaremno. Dla Hazel Smyth Wizygoci już stali na wzgórzach, lada chwila mieli ruszyć w dół, spaść nawałą, paść i niszczyć wszystko. Bezlitośni, niepowstrzymani. Mogła opóźnić nadejście smutku, ale nie miała mocy go zatrzymać. Może nawet pogarszało to sprawę, gdy próbowała przed nim uciec.

Jean Guy Beauvoir spojrzał na Hazel i wiedział, że lada chwila ulegnie, ugnie się, załamie przygnieciona smutkiem. Jej własne serce w końcu ją zdradzi, otworzy bramy bólowi. Smutek, strata, rozpacz rozdymały nozdrza, dreptały kopytami i przygotowywały się do ostatecznej szarży. Beauvoir zastanawiał się, czy ta kobieta to przeżyje. Niektórzy nie przeżywali. Większość w najlepszym razie zmieniała się na zawsze. Niektórzy stawali się wrażliwsi, bardziej skłonni do współczucia. Ale wielu gorzkniało. Zamykało się. Nie chciało już nigdy więcej ryzykować straty.



– Może ciasteczko?

– *Oui, merci.* – Beauvoir wziął jedno, Nichol dwa.

Ręka Hazel pomknęła w kierunku czajnika, kranu, imbryka. Mówiła cały czas.

Ostrzeliwała się słowami. Sophie skręciła kostkę. Biedną panią Burton trzeba było po południu odwieźć na chemioterapię. Z Tomem Chartrandem było kiepsko i oczywiście jego własne dzieci nigdy nie przyjeżdżają z Montrealu, żeby mu pomóc. Gadała i gadała, aż Beauvoir pomyślał, że może smutek się nie podda, ale on na pewno.

Herbata wylądowała na stole. Hazel przygotowała tacę i ruszyła z nią po schodach.

– Czy to dla pani córki? – zapytał Beauvoir.

– Biedactwo, leży u siebie w pokoju. Nie bardzo może się ruszyć.

– Pozwoli pani, że pomogę. – Wziął od niej tacę i wszedł po wąskich schodach, pokrytych starą tapetą w kwiaty. U ich szczytu przeszedł pod zamknięte drzwi i zapukał w nie stopą. Usłyszał dwa ciężkie kroki i drzwi się otworzyły.

Sophie stała w nich ze znudzoną miną, dopóki go nie zauważyła. Wtedy uśmiechnęła się, przechyliła głowę lekko na bok i powoli uniosła kontuzjowaną stopę.

– Mój bohater – powiedziała, kuśtykając w tył i wskazując, by postawił tacę na komodzie.

Popatrzył na nią przez chwilę. Była atrakcyjna, nie dało się zaprzeczyć. Szczupła, z gładką skórą i lśniącymi, opadającymi miękko włosami. Beauvoir uważał, że jest okropna. Jak można siedzieć w pokoju, symulując kontuzję i oczekiwać, że pogrążona w żałobie matka będzie ją obsługiwać? A Hazel to robiła. To było szaleństwo. Co za osoba, co za córka mogła robić coś takiego? Jasne, z Hazel ciężko było teraz przebywać, z tym jej maniakalnym gotowaniem i nieustannym gadaniem, ale czy Sophie nie mogła chociaż przy niej być? Nie musiała pomagać, ale przynajmniej nie musiała być dla matki dodatkowym ciężarem.

– Mogę zadać kilka pytań?

– To zależy – Starła się, żeby to zabrzmiało uwodzicielsko.

Beauvoir ocenił, że należała do tego rodzaju kobiet pozbawionego wdzięku, które zawsze próbowały być uwodzicielskie i nigdy im to nie wychodziło.

– Czy wiedziała pani, że Madeleine miała raka piersi? – Postawił tacę na komodzie, spychając na bok kosmetyczkę.

– Tak, ale, znaczy, myślałam, że jej przeszło, nie? Nic jej już nie było.

– Naprawdę? Myślałem, że trzeba pięciu lat remisji, zanim pacjentom się powie, że już w porządku, a tyle jeszcze nie minęło, co?

– Prawie. Wyglądało, że jest w porządku. Tak nam mówiła.

– I pani to wystarczyło.

Czy wszystkie dwudziestojednolatki były samolubne? Bez wrażliwości? Wydawało się, że nie obchodziło jej, czy kobieta, z którą żyła pod jednym dachem, miała raka ani że właśnie padła ofiarą brutalnego morderstwa na jej oczach.

– Jak się tu żyło po przyjeździe Madeleine?

– Nie wiem. Pojechałam na studia, nie? Z początku Madeleine robiła wielkie halo z mojego przyjazdu do domu, ale po jakimś czasie ani ona, ani mama nie zwracały na mnie uwagi.

– Nie wierzę, że tak mogło być.

– Cóż, tak było. Nie zamierzałam iść na Uniwersytet Królowej. Przyjęto mnie na McGill.

Mama chciała, żebym tam poszła. Ale Madeleine studiowała na Królowej i bez przerwy o tym mówiła. O tym, jaki kampus piękny, że zabytkowe budynki, że jezioro. To wszystko brzmiało romantycznie. Tak czy inaczej, złożyłam papiery, nie mówiąc nic nikomu, i mnie przyjęto. Więc zdecydowałam, że tam pójdę.

– Z powodu Madeleine?

Sophie spojrzała na niego – jej wzrok był twardy, usta zbieleły. Wyglądała,

jakby jej twarz skamieniała. I wtedy Beauvoir wiedział. Podczas gdy jej matka desperacko próbowała trzymać smutek z daleka, Sophie prowadziła inną batalię. By schować smutek w środku.

– Kochała ją pani?

– Ona nie dbała o mnie ani trochę. Udawała tylko. Robiłam dla niej wszystko, wszystko.

Nawet, kurwa, zmieniałam uczelnię. Pojechałam aż do Kingston. Wie pan chociaż, gdzie to jest?

Osiem godzin jazdy, kurwa.

Beauvoir wiedział, że do Kingston nie jechało się osiem godzin. Może pięć czy sześć.

– Cały dzień zajmuje powrót do domu – Sophie wydawała się tracić nad sobą kontrolę, jak skała zmieniająca się w lawę. – Jak byłam na McGill, mogłam co weekend przyjeżdżać do domu. W końcu to pojęłam. Boże, jaka byłam głupia. – Sophie odwróciła się i walnęła się dłonią w skroń tak mocno, że nawet Beauvoira to zabolalo. – Nic ją nie obchodziłam. Chciała się tylko mnie pozbyć. Wysłać daleko. To nie mnie kochała. W końcu to zrozumiałam.

Sophie zwinęła dłonie w pięści i zaczęła walić nimi w swoje udo. Beauvoir zrobił krok naprzód i przytrzymał ją za rękę. Zastanawiał się, ile dla nikogo niewidzialnych siniaków było na tej dziewczynie.

Armand Gamache stał w drzwiach sypialni i zaglądał do środka. Obok niego czekało niespokojnie dwóch oficerów.

Popołudniowe słońce sączyło się przez okna do dawnego domu Hadleyów i zdawało się jakby utykać w pół drogi. Zamiast czynić wnętrze jasnym, a nawet radosnym, promienie światła były aż gęste od kurzu. Całe miesiące, lata zaniedbania i rozkładu wirowały w świetle, wijąc się jak żywe. Kiedy trzech policjanci przeszli w głąb domu, zastali więcej zniszczeń i gęstszy kurz, wzbijający się pod ich stopami, aż zbladło od niego światło.

– Rozejrzyjcie się i powiedzcie mi, jeśli coś się zmieniło.

Trzej policjanci stali w drzwiach, z których futryny zwisała podarta żółta taśma policyjna.

Gamache sięgnął po kawałek i podniósł go. Był rozerwany i rozciągnięty. Nie przecięto go. Ktoś poszarpał go, jakby pazurami. Obok oficer Isabelle Lacoste oddychała ciężko. Wydawało się, że próbuje złapać dech. Z drugiej strony Robert Lemieux przestępował z nogi na nogę.

Futryna obramowywała miejsce zbrodni. Ciężkie wiktoriańskie meble, kominek z ciemną obudową, łóżko z baldachimem, które wyglądało, jakby ktoś w nim niedawno spał – chociaż Gamache wiedział, że od lat nikt tu nie mieszkał. Wszystko to było przytłaczające, ale naturalne.

Po chwili wzrok nadinspektora przesunął się na to, co nie było naturalne.

Krąg krzesel. Sól. Cztery świece. I ten dodatek. Maleńki ptaszek przewrócony na bok, z rozpostartymi lekko maleńkimi skrzydełkami, jakby spadł w locie. Jego nóżki były podkurczone po bokach rudawej piersi, maleńkie oczka szeroko otwarte, jakby wpatrywały się w coś. Czy stał na kominie w towarzystwie swoich braci i sióstr, wpatrując się w szeroki świat, gotów do lotu? Czy inne ptaki, przycupnięte na krawędzi, odleciały w końcu? Ale co się stało z tym maleństwem? Czy spadł, zamiast polecieć? Czy zawsze się upada, zawsze ponosi klęskę?

To był maleńki rudzik. Symbol wiosny, odrodzenia. Martwy.

Czy i on umarł ze strachu? Gamache podejrzewał, że tak. Czy wszystko, co wchodziło do tego pokoju, kończyło swój żywot?

Armand Gamache wszedł do środka.

Yvette Nichol zaczęła spacerować po kuchni. Nie mogła znieść tego gadania. Kobieta nie przestawała mówić. Z początku Hazel siedziała z policjantką przy stole z formiki, ale w końcu wstała, by sprawdzić, czy ciastka się upiekły, i przełożyć te, które wystygły, do puszeki.

– To dla madame Bremmer – powiedziała, jak gdyby Nichol to obchodziło.

Podczas gdy Hazel mówiła i pracowała, Nichol spacerowała po pomieszczeniu, przyglądając się książkom kucharskim oraz kolekcji białych i błękitnych naczyń. Potem podeszła do obwieszonych fotografiami lodówki – większość zdjęć przedstawiała dwie kobiety. Hazel i kogoś jeszcze. Nichol zdecydowała, że to Madeleine, chociaż uśmiechnięta, atrakcyjna kobieta ze

zdjęć w niczym nie przypominała tej wykrzywionej w krzyku kreatury z kostnicy. Zdjęcia, więcej zdjęć. Przy choince, nad jeziorem, na biegówkach, w ogrodzie latem, na wyprawie pieszej. Na każdym z nich Madeleine Favreau się uśmiechała.

Yvette Nichol uświadomiła sobie coś, czego nikt inny nie dostrzegał. Madeleine Favreau musiała być oszustką, fikcją, spektaklem. Bo Nichol wiedziała, że nikt nie może być aż tak szczęśliwy.

Wpatrywała się w fotografię z przyjęcia urodzinowego. Hazel Smyth była zajęta czymś poza kadrem i ubrana w śmieszny bladobłękitny kapelusz w srebrzyste gwiazdki; Madeleine Favreau była widoczna z profilu, słuchała, z głową opartą na dłoni. Wpatrywała się w Hazel z nieukrywaną adoracją. Obok Madeleine stała gruba młoda dziewczyna, opychająca się tortem.

Komórka Nichol zawibrowała. Zgarnęła fotografię do kieszeni i powędrowała do zagraconego salonu. Wchodząc, kopnęła w nogę kanapy.

– *Merde. Oui, allô?*

– Czy właśnie rzuciła mi pani przekleństwo?

– Nie – zareagowała natychmiast, z przyzwyczajenia zaprzeczając.

– Może pani rozmawiać?

– Chwilę. Jesteśmy w domu podejrzaney.

– Jak się posuwa śledztwo?

– Powoli. Zna pan Gamache'a. Dłubie bez pośpiechu.

– Ale znowu pani z nim jest. To dobrze. Niech go pani nie spuszcza z oczu. Stawka jest zbyt wysoka.

Nichol nienawidziła tych telefonów – i siebie, za to, że je odbierała. Jeszcze bardziej nienawidziła podniecenia, które ogarniało ją, kiedy telefon dzwonił. A potem nieuniknionego rozczarowania. Bycia po raz kolejny traktowaną jak dziecko. Nie było mowy, żeby się przyznała, że teraz jest z Beauvoirem. Miała pójść z nadinspektorem, ale w ostatnim momencie ci dwaj weszli do maleńkiego gabinetu w biurze operacyjnym, a kiedy stamtąd wyszli, Beauvoir podążył w stronę drzwi, nakazując jej, by poszła z nim.

I tak oto znalazła się sama w zagraconym salonie Hazel. Zapchany

sprzętami, wyglądał podobnie jak tyle innych domów ciotek i wujków. Krewni mówili, że to wszystko ze Starego Kraju, ale któż mógłby przesmuglować z Rumunii, Polski czy Czechosłowacji zestaw mebli do salonu czy jadalni? Gdzie by ukryli różowe pluszowe dywany, ciężkie zasłony i krzykliwe obrazki, przemykając się przez granicę? A jednak ich maleńkie domy po brzegi pełne były rodzinnych pamiątek. Krzesła, stoliki, kanapy stały rozrzucone po wnętrzach jak śmiecie rzucone w kąt tak, jak ktoś inny rzuciłby zużytą chusteczkę. Za każdym razem, gdy Nichol odwiedzała ciotki czy wujków, w ich mieszkaniach zdawało się pojawiać więcej pamiątek, aż prawie nie było miejsca dla ludzi. I może o to chodziło.

Tutaj miała to samo wrażenie. Rzeczy. Za dużo rzeczy. Coś jednak przyciągnęło jej uwagę. Leżąca na sofie księga pamiątkowa ze szkoły. Otwarta.

Ciszę w pokoju rozerwał zgrzyt. Lacoste zamarła. Stojący obok niej nadinspektor Gamache odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z tym, co go spowodowało.

– Przepraszam. – Lemieux stał w drzwiach z przeproszącą miną z kawałem żółtej taśmy w ręku, właśnie oderwał ją od drewna. – Postaram się robić to ciszej.

Isabelle Lacoste potrząsnęła głową i poczuła, jak jej puls zwalnia do normalnego tempa.

– Czy w pokoju coś się zmieniło? – zapytał Gamache.

– Na moje oko wszystko tak samo, *patron* – odparła Lacoste.

– Ktoś się tu włamał. Nie wyobrażam sobie, że przyszedł tu bez powodu. Ale jaki to był powód?

Armand Gamache powoli rozglądał się po pokoju, teraz znajomym, ale bynajmniej nie przyjaznym. Czy czegoś brakowało? Dlaczego ktoś zerwał policyjną taśmę, by tu wejść? Żeby coś zabrać? Albo zamienić?

Czy był inny powód?

Jedyną oczywistą różnicą był ptak. Czy celowo go zabito? Czy to była rytualna ofiara? Ale dlaczego ptaszek? Czy zwierzęta ofiarne nie są zwykle

większe? Jak bydło, psy albo koty? Uświadomił sobie, że puścił wodze fantazji. Tak naprawdę nic nie wiedział o ofiarach. Cała koncepcja brzmiała makabrycznie. Przyklęknął, a jego stopy zaskrzypiały na gruboziarnistej soli na dywanie. Nadinspektor przechylił głowę, by przyjrzeć się bliżej.

– Włożyć do torebki? – zapytała Lacoste.

– Ostatecznie tak. Ma pani jakieś pomysły?

Gamache wiedział, że Lacoste była tu tamtego ranka nie po to, by zbadać miejsce zbrodni, ale by odprawić prywatny rytuał.

– Ptak wygląda na przerażonego, ale może to tylko moja wyobraźnia.

– Mamy karmnik na balkonie – powiedział Gamache, wstając. – Pijamy przy nim poranną kawę, gdy jest ładnie. Każdy ptak, który tam przychodzi, wygląda na przerażonego.

– Cóż, pan i madame Gamache jesteście bardzo przerażający – stwierdziła Lacoste.

– Wiem, że ona tak. – Uśmiechnął się nadinspektor. – Ja kamienieję ze strachu.

– Biedulek.

– Niestety, nie przypuszczam, byśmy mogli wiele wyczytać z wyrazu twarzy martwego ptaka – powiedział Gamache.

– Bogu dzięki, mamy jeszcze fusy i zwierzęce wnętrzności – dorzuciła Lacoste.

– To właśnie zawsze mówi madame Gamache.

Uśmiech nadinspektora pobladł, gdy spojrział na skulonego u swoich stóp ptaka, ciemną plamę na białej soli, z martwym okiem spoglądającym na niego. Zastanawiał się, co też było ostatnim widokiem, jaki ten ptak oglądał.

Hazel Smyth zamknęła księgę pamiątkową i wygładziła jej okładkę ze sztucznej skóry, przytulając ją do piersi, jakby to miało zakryć ranę, zatamować upływ czegoś z jej ciała. Hazel czuła go. Czuła, jak słabnie. Twarda, kanciasta książka wbijała się w jej miękką pierś, gdy kobieta przyciskała ją coraz mocniej, nie tyle tuląc ją teraz, ile trzymając się jej, wciskając księgę z jej młodzieńczymi marzeniami coraz głębiej w swoje

piersi. Fizyczny ból przyniósł jej ulgę.

Marzyła, by krawędzie były jeszcze ostrzejsze, żeby mogły wciąć się w jej ciało, a nie tylko posiniaczyć je. Ten rodzaj bólu był dla niej zrozumiały. Tamten inny przerażał ją. Był czarny, pusty, ziejący i ciągnął się bez końca.

Jak długo mogła żyć bez Madeleine?

Cała groza jej straty dopiero teraz w pełni się objawiała.

Z Mad znalazła życie pełne troski i miłości. Przy niej była inną osobą. Pogodną, odprężoną, beztroską. Stać ją było na odwagę wyrażania własnych opinii. Miała swoje zdanie.

A Madeleine słuchała. Nie zawsze się zgadzała, ale zawsze słuchała. Z zewnątrz musiało to wyglądać na nieszczególnie, może nawet nudne życie. Ale wewnątrz to było jak kalejdoskop.

Powoli Hazel zakochała się w Madeleine. Nie w fizyczny sposób. Nie pociągał jej pomysł sypiania z Mad, nawet nie miała potrzeby jej całować. Chociaż czasami, gdy Mad siadała na kanapie z książką, a Hazel w fotelu z robótką na drutach, Hazel wyobrażała sobie, że mogłaby wstać, podejść do kanapy i złożyć głowę Madeleine na swojej piersi. W tym miejscu, gdzie teraz spoczywała księga pamiątkowa. Hazel pogłaskała książkę, jakby zamiast niej leżała tam śliczna, fantomowa głowa.

– Madame Smyth. – Inspektor Beauvoir przerwał Hazel ten sen na jawie. Głowa na jej piersi stała się zimna i pusta. Hazel po raz kolejny utraciła Madeleine. – Mogę zobaczyć tę książkę? – Beauvoir wyciągnął rękę wyczekująco.

Nichol znalazła książkę otwartą w salonie i przyniosła z sobą do kuchni, nie spodziewając się reakcji Hazel. Nikt nie spodziewałby się takiej reakcji.

– To moje. Oddawaj – warknęła Hazel, podchodząc do Nichol z taką furją, że młoda policjantka bez wahania oddała książkę. Hazel wzięła ją, usiadła i przytuliła się do niej. Po raz pierwszy od ich przybycia w pokoju zapanowała cisza.

– Mogę? – Beauvoir wyciągnął rękę.

Hazel zdawała się nie rozumieć. Wyglądała tak, jakby ktoś próbował



obciąć jej ramię.

W końcu puściła książkę.

– To z roku naszego ukończenia szkoły. – Hazel przechyliła się w stronę Beauvoira, gdy ten przerzucał strony z portretami absolwentów. – Tu jest Madeleine.

Wskazała uśmiechniętą, szczęśliwą dziewczynę. Pod jej zdjęciem wydrukowano: *Prawdopodobna przyszła kariera: Tanguay*.

– To był żart – powiedziała Hazel. Tanguay było więzieniem dla kobiet w Quebecu.

– Wszyscy wiedzieli, że Mad odniesie sukces. Żartowali z niej tylko.

Jean Guy Beauvoir był skłonny przyjąć, że Hazel w to wierzyła, ale wiedział, że większość żartów ma źródło w rzeczywistości. Czy niektórzy licealni przyjaciele Madeleine widzieli w niej coś innego?

– Pozwoli pani, że weźmiemy to ze sobą? Dostanie ją pani z powrotem.

Hazel oczywiście nie chciała pozwolić, ale pokiwała głową. Książka przypomniawsza Beauvoirovi coś jeszcze. Coś, o co Gamache prosił, by zapytał Hazel.

– Co pani wiadomo o Sarah Binks?

Widział po minie Hazel, że pytanie wydało jej się bezsensowne. Cośtam cośtam Binks.

– Nadinspektor znalazł książkę pod tytułem *Sarah Binks* w szufladzie nocnego stolika Madeleine.

– Naprawdę? Dziwne. Nie, nie słyszałam o tym nigdy. Czy to...

– Coś nieprzyzwoitego? Nie sędzę. Nadinspektor czytał to i się śmiał.

– Niestety, nie mogę tu pomóc – odpowiedziała Hazel uprzejmie, ale Beauvoir widział, że coś jeszcze tu się dzieje. Hazel była zażenowana. Czy z powodu książki, czy dlatego, że jej najlepsza przyjaciółka miała jakiś sekret?

– Opowiedziała nam pani o tej nocy, kiedy umarła Madeleine, ale odbył się jeszcze jeden seans, wcześniej.

– W piątek wieczorem w bistro. Nie było mnie tam.

– Ale madame Favreau była. Dlaczego?

– Nie opowiadałam panu poprzednio? Kiedy był pan z nadinspektorem? – Wszystko zacierało się w pamięci Hazel.

– Opowiadała pani, ale czasami, gdy się pyta po raz pierwszy, ludzie niedokładnie pamiętają. Dobrze jest usłyszeć opowieść jeszcze raz.

Hazel zastanawiała się, czy to prawda. Jej umysł bynajmniej nie stawał się bardziej uporządkowany, wręcz przeciwnie, pogłębiało się w nim zamroczenie.

– Nie wiem naprawdę, dlaczego Madeleine poszła. Gabri powiesił plakaty w kościele i w bistro, informując wszystkich, że wielkie medium madame Blavatsky zatrzymała się u niego i zgodziła się przywołać zmarłych z zaświatów. Tylko w jeden wieczór – uśmiechnęła się Hazel.

– Nie sądzę, by ktoś brał to poważnie, inspektorze. A na pewno nie Madeleine. Myślę, że to była tylko wieczorna rozrywka. Coś innego.

– Ale nie była pani zachwycona.

– Uważam, że z pewnymi rzeczami nie powinno się igrać. To w najlepszym razie strata czasu.

– A w najgorszym?

Hazel nie odpowiedziała od razu. Zamiast tego jej wzrok szybował po kuchni, poszukując miejsca, gdzie mógłby bezpiecznie spocząć. Nie znalazłszy jednak, powrócił na twarz Beauvoira.

– To był Wielki Piątek, inspektorze. *Le Vendredi saint*?

– I co z tego?

– Proszę pomyśleć. Dlaczego Wielkanoc to najważniejsze chrześcijańskie święto?

– Bo wtedy Chrystus został ukrzyżowany.

– Nie. Bo wtedy Chrystus zmartwychwstał.

Kiedy Lacoste robiła zdjęcia w sypialni dawnego domu Hadleyów, a Lemieux pakował taśmę do torebek na dowody rzeczowe, Gamache otwierał i zamykał szuflady w szafkach, nocnym stoliku i toalecie. Potem podszedł do półki z książkami. Czego stąd ktoś tak desperacko pragnął, że włamał się za kordon Sûreté?

Gamache uśmiechnął się, zauważając *Dziela zebrane Parkmana*<sup>[14]</sup>, tę obrzydliwą historię Kanady, której nauczano w szkołach ponad sto lat wcześniej, gdy dzieci jeszcze były skłonne wierzyć, że Indianie byli dzikusami, a Europejczycy przynieśli na ten kontynent kulturę.

Nadinspektor otworzył jeden tom na chybił trafił.

*Gałęzie leśnego mieszkania rozdarła horda z piekła rodem, złożona z bestii i innych stworzeń ohydnych i niewiarygodnie odrażających, wyjących w konfuzji i furii.*

Gamache zamknął książkę i zdziwiony, ponownie spojrzął na okładkę. Czy to naprawdę były *Dziela zebrane Parkmana*? Zasuszone, martwe, gotowe zanudzić czytelnika na śmierć?

Horda z piekła rodem? Faktycznie, to były *Dziela zebrane Parkmana*. A rozdział, na który patrzył, opisywał Quebec.

– Lacoste, może pani tu przyjść?

Gdy przyszła, podał jej książkę.

– Może ją pani otworzyć?

– Tylko otworzyć?

– *S'il vous plait.*

Isabelle Lacoste ujęła w dłonie popękany tom w skórzanej oprawie, po czym wolno rozchyliła okładki. Kruche strony przewracały się, a w momencie, gdy całkiem się otworzyły, oniemieli. Gamache pochylił się i

przeczytał: *Gałęzie leśnego mieszkania rozdarła horda z piekła rodem, złożona z bestii...*

Książka sama otworzyła się na tej stronie.

Gamache wpatrywał się w nią, po czym postawił książkę na półkę i zdjął stojącą obok. Biblia. Zastanawiał się, czy to przypadek, czy też może ręka, która ustawiała tomy na półkach, wiedziała, że jedna z tych książek potrzebuje drugiej. Ale która której? Spojrzał na Biblię i wsunął ją do kieszeni. Wiedział, co jeszcze musi zrobić, każdy drobiazg był pomocny. Ciemna przerwa w miejscu, gdzie stała Biblia, ukazywała okładkę kolejnej książki. Na grzbiecie nie było tytułu.

Lacoste wróciła do pracy i nie widziała, że Gamache wsunął do kieszeni także tę drugą książkę. Ale Lemieux zauważył.

Gamache wiedział, że marnuje czas. Słońce wkrótce zajdzie, a na pewno nie chcieli tego robić po zmroku.

– Idę przeszukać dom. Poradzicie sobie tutaj?

Lacoste i Lemieux popatrzyli na niego tak jak jego dzieci, Daniel i Annie, kiedy powiedział im, że czas, by spróbowali przepłynąć zatokę bez kapoków.

– Jesteście wystarczająco dobrymi pływakami.

Ale oni wciąż nie wierzyli, że ich o to prosi.

– Będę tuż obok, w łódce.

Nadal widział wahanie w oczach Daniela, ale Annie wskoczyła do wody. Nie było mowy, żeby Daniel został sam, więc też wskoczył.

Daniel, silny i wysportowany, bez trudu przepłynął zatokę. Annie ledwie dała radę. Była mała i chuda, jak Reine-Marie w jej wieku. W odróżnieniu od Daniela jednak nie marnowała energii na lęk. Mimo to była taka mała, a zatoka tak szeroka, że ledwie dała radę, przez ostatnie parę metrów krztusiła się, a ojciec zachęcał ją i praktycznie wyciągnął na brzeg słowami, czepiającymi się jak liny jej kochanego, drobnego ciała. Dwa razy prawie sięgnął, by wyciągnąć ją z wody, ale przeczekał, a Annie znalazła w sobie siły, by płynąć dalej. Małe, podniecone ciała zostały zawinięte w wygrzane na słońcu ręczniki, a Armand Gamache, obejmując i rozcierając dzieci swoimi

wielkimi dłońmi, zastanawiał się, czy popełnił błąd, wystawiając Annie na próbę w taki sam sposób jak Daniela. Nie dlatego, że Annie ledwie się udało, ale że tego dokonała.

Wyczuwał, jak Daniel początkowo próbował mu się wyrwać z ramion, ale w końcu pozwolił się objąć, poprzytulać i wysłuchał gratulacji. To Daniel, mimo że większy i silniejszy, był delikatniejszy z dwojga. Wymagał więcej opieki. Zresztą tak jest do dzisiaj.

Patrząc na Lacoste i Lemieux, nadinspektor miał to samo wrażenie. Ale które z nich było tym silniejszym, a które tym potrzebującym? Podobnie jak we własne dzieci, wierzył w nich oboje.

– Może pomóc? – zapytała Gamache’a Lacoste, zdecydowana przyjąć to okropne zadanie, jeśli tak zdecydował.

– Ma pani dość do zrobienia, dzięki. Kiedy pani skończy, proszę wrócić do biura operacyjnego. Mam nadzieję, że koroner coś nam podrzuci.

Isabelle Lacoste patrzyła, jak znikał w ciemności, jak gdyby połknięty przez dom.

Nadinspektor poszedł i została sama. Z Lemieux. Lubiła Roberta Lemieux. Był młody i pełen entuzjazmu. Nigdy nie było z nim żadnej walki o władzę. W odróżnieniu od Nichol to była przyjemność pracować z nim. Nichol była kompletną katastrofą. Zniechęcona, ponura, zaabsorbowana sama sobą. Lacoste naprawdę dręczyło pytanie, dlaczego nadinspektor Gamache pozwolił, by Nichol została. Raz już ją zwolnił. Nichol ponownie przydzielono do wydziału zabójstw, a on po prostu to przyjął. Bez walki. No i znowu się zjawiała. Gamache mógł jej dać sprawę w jakimś odległym regionie prowincji. Albo przydzielić jakąś administracyjną robotę w kwaterze głównej Sûreté. Zamiast tego jednak przyjął ją do pracy przy najbardziej skomplikowanej sprawie w terenie. Z nim.

Gamache mówił, że nic nie dzieje się bez powodu. Lacoste wiedziała, że i tu był powód.

Chciałaby tylko wiedzieć, jaki.

– Jak ci idzie? – zapytał Lemieux.

– Prawie skończyłam, a ty?

– Muszę zrobić jeszcze parę rzeczy. Może idź już.

– Nie, poczekam. – Lacoste nie chciała zostawiać Lemieux w tym okropnym miejscu.

Komórka Lemieux wibrowała już od dobrych paru minut. Jedyne, czego chciał, to wreszcie odebrać telefon. Czemu ona sobie nie pójdzie? Czemu?

– Nie czujesz?

Wiedział, że powinien przynajmniej udawać, że ma pietra, ale prawda była taka, że dawny dom Hadleyów zupełnie go nie ruszał. Widział, że inni, nawet Gamache – szczególnie Gamache – reagowali na to miejsce.

– Jakby coś było tu z nami – powiedziała Lacoste. – Jakby coś nam się przyglądało.

Stali bez ruchu: Lacoste napięta, zwracająca uwagę na każde skrzypnięcie, każdą szczelinę, a Lemieux zirytowany wibrowaniem telefonu w kieszeni.

– Uważaj, bo przestraszysz się na śmierć. Słuchaj, poważnie, masz masę pracy w biurze.

Poradzę sobie. Naprawdę. – Próbował zachęcić ją do wyjścia stąd.

– Naprawdę? – zapytała, gorąco pragnąc w to wierzyć.

Wynocha, chciał wrzasnąć.

– Naprawdę. Jestem za głupi, żeby się bać. – Uśmiechnął się. – Nie sądzę, by diabeł gustował w głupkach.

– Myślę, że diabeł wybiera tylko głupków – odpowiedziała Lacoste, myśląc, że wolałaby, by nie dyskutowali o diable, stojąc w dawnym domu Hadleyów.

– Dobra, do zobaczenia potem.

Masz komórkę, na wypadek gdyby...

– Gdyby co? – Uśmiechnął się, drocząc się z nią i próbując wyprowadzić ją za drzwi.

– Mam.

Isabelle Lacoste wyszła na mroczny korytarz z przetartym dywanem, pachnący grzybem i rozkładem. Gdy Lemieux się odwrócił, pobiegła

korytarzem i po schodach, prawie potykając się o własne nogi, dalej za drzwiami, jakby wystrzeliwała z jakiegoś ponurego łona na światło dzienne.

– Wiedziała pani, że Madeleine Favreau miała raka piersi? – zapytał inspektor Beauvoir.

– Oczywiście, że wiedziałam – odpowiedziała zaskoczona Hazel.

– Ale nie powiedziała nam pani.

– Pewnie zapomniałam. Nigdy nie myślałam o niej jak o kobiecie z rakiem piersi. Ona sama też tak o sobie nie myślała. W zasadzie nie mówiła już o tym. Po prostu żyła swoim życiem.

– To musiał być szok, kiedy się dowiedziała. Miała prawie czterdziestkę.

– To prawda. Zdaje się, że coraz młodsze kobiety na to chorują. Ale nie znałam jej w czasie, kiedy postawiono diagnozę. Znalazła mnie, kiedy była już w trakcie leczenia. Mam wrażenie, że często tak bywa. Starzy przyjaciele zyskują na znaczeniu. Nie utrzymywałyśmy kontaktu po szkole, aż nagle zadzwoniła i przyjechała. To było tak, jakbyśmy się wczoraj widziały. Była osłabiona po chemioterapii, ale urocza jak zawsze. Wyglądała jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat, tyle że łysa, ale od tego wyglądała jeszcze piękniej. To było dziwne.

Czasami się zastanawiam, czy chemioterapia nie zabiera ludzi w jakiś inny wymiar. Zdają się tacy spokojni. Ich twarze się wygładzają, oczy błyszczą. Madeleine niemal promieniowała.

– Pewna jest pani, że to nie była radioterapia? – zapytała Nichol.

– Oficer Nichol! – warknął Beauvoir. W kieszeni czuł, jak kamień, podniesiony nad Bella Bella, chce się wyrwać do lotu. By rozplatać kość, by się wbić w ten jej kurzy, niedorozwinięty mózdzek. I zająć jego miejsce. Kto by zauważył różnicę? – To było nie na miejscu.

– Tylko żartowałam.

– To było okrutne i teraz widzi pani różnicę. Proszę przeprosić.

Nichol zwróciła się do Hazel z lodowatym spojrzeniem:

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

Nichol wiedziała, że posunęła się za daleko. Ale tak jej kazano. Jej praca polegała na tym, by irytować, złościć, rozbijać równowagę zespołu.

Zgodziła się to robić dla dobra Sûreté. Robi to dla swojego szefa, którego uwielbia i nienawidzi. Patrząc na wzburzoną, pełną złości minę na przystojnym obliczu inspektora Beauvoira, wiedziała, że jej się udało.

– Madeleine pojechała z powrotem do Montrealu dokończyć chemioterapię – ciągnęła Hazel po chwili niezręcznej ciszy. – Ale co tydzień wpadała. Nie była szczęśliwa w małżeństwie.

Wie pan, nie mieli dzieci.

– Dlaczego nie była szczęśliwa?

– Powiedziała, że im się drogi rozeszły. Podejrzewała też, że on nie radził sobie z sukcesem własnej żony. Wie pan, ona była znakomita we wszystkim, do czego się zabrała.

Zawsze tak się jakoś składało. Taka po prostu była Madeleine.

Hazel spojrzała na Beauvoira jak dumna rodzicielka. Inspektor pomyślał, że musi być dobrą matką. Życzliwą, dbającą o dzieci. Wspierającą je. A mimo to wychowała tę rozwydrzoną pannę z góry. Niektóre bachory, wiedział to, są po prostu niewdzięczne.

– To musi być trudne – powiedziała Hazel.

– Co takiego? – zapytał Beauvoir.

– Bycie z kimś, kto zawsze odnosi sukcesy. Zwłaszcza, jeśli człowiek czuje się niepewnie. Myślę, że mąż Mad musiał się tak czuć, nie sądzi pan?

– Wie pani, gdzie go można znaleźć?

– Wciąż mieszka w Montrealu. Nazywa się François Favreau. Miły facet. Spotkałam go parę razy. Dam panu adres i numer telefonu, jeśli pan chce.

Hazel wstała od kuchennego stołu i podeszła do komody. Otworzyła górną szufladę i szperała w niej, zwrócona do niego plecami.

– Dlaczego poszła pani na drugi seans, madame Smyth?

– Madeleine mnie o to poprosiła – odparła Hazel, przerzucając papiery w szufladzie.



– Ale prosiła panią, żeby przyszła na pierwszy, i nie poszła pani. Dlaczego na drugi?

– Znalazłam. – Hazel odwróciła się i wręczyła Beauvoirovi notatnik adresowy. Inspektor przekazał go Nichol. – O co pan pytał, inspektorze?

– O drugi seans, madame.

– Ach, tak. Jak pamiętam, zagrało tu parę czynników. Wyglądało, że Madeleine dobrze się bawiła na pierwszym. Powiedziała, że to śmieszne, ale w przyjemny sposób. No wie pan, trochę jak strach na kolejce w lunaparku albo w nawiedzonym domu. Brzmiało jak dobra zabawa, trochę żałowałam, że nie poszłam za pierwszym razem.

– A Sophie?

– Och, od początku wiadomo było, że pójdzie. Jak to ujęła, trochę rozrywki w tej dziurze.

Sophie cały dzień na to czekała.

Ożywienie powoli zniknęło z twarzy Hazel. Beauvoir mógł odczytać reminiscencje z tamtej nocy na jej obliczu, w miarę jak wspomnienie Madeleine żywej zamieniało się we wspomnienie Madeleine umarłej.

– Kto mógłby chcieć ją zabić? – zapytał Beauvoir.

– Nikt.

– Ktoś to zrobił. – Próbował sprawić, by zabrzmiało to miękko i delikatnie, jak zrobiłby Gamache, ale nawet dla jego własnych uszu zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Madeleine była... – Hazel przesunęła rękę wdzięcznym gestem do przodu, jakby dyrygowała słowami albo delikatnie wyławiała je z powietrza – ...jak światło słońca.

Rozświeciła każde życie, w które weszła. Nie dlatego, że próbowała to robić. Ja próbuję. – Hazel wskazała teraz na naczynia do zapiekanki stojące w ordynku. – Biegam i próbuję pomagać ludziom, nawet jeśli nie proszą. I wiem, że mogę być irytująca. Madeleine sprawiała, że ludzie czuli się lepiej od samego przebywania z nią. To trudno wytłumaczyć.

A mimo to, pomyślał Beauvoir, pani żyje, a ona nie.

– Myślmy, że efedrynę podano Madeleine z kolacją. Czy narzekała na coś z jedzenia?

Hazel zastanowiła się, po czym pokręciła głową.

– Czy na cokolwiek się skarżyła tego wieczoru?

– Nie. Wydawała się szczęśliwa.

– Rozumiem, że spotykała się z panem Béliveau. Co pani o nim myśli?

– Och, lubię go. Przyjaźniłam się z jego żoną, wie pan? Zmarła prawie trzy lata temu.

Madeleine i ja trochę go po tym adoptowałyśmy. Śmierć Ginette nim wstrząsnęła.

– Wygląda, że nieźle sobie radzi.

– Owszem – przyznała, wkładając w to zbyt wiele wysiłku, by przekonująco wyglądać na niezainteresowaną.

Beauvoir zastanawiał się, co też się dzieje za tą spokojną, trochę smutną miną. Co Hazel Smyth naprawdę myślała o panu Béliveau?

Gamache podśpiewywał, idąc przez kuchnię w dawnym domu Hadleyów. Nie było to ani dość głośne, aby odstraszyć ducha, ani dość melodyjne, by dawać ukojenie. Ale było ludzkie, naturalne i pozwalało czuć się mniej samotnie.

Po chwili kuchnia się skończyła, a z nią poczucie komfortu. Stał przed kolejnymi zamkniętymi drzwiami. Jako oficer wydziału zabójstw nauczył się uważać z zamkniętymi drzwiami, w sensie zarówno dosłownym, jak i przenośnym, choć wiedział doskonale, że to za nimi kryły się odpowiedzi. Czasem jednak kryło się tam coś jeszcze. Coś starego, zgniłego, pokrzywionego czasem i koniecznością.

Gamache wiedział, że ludzie są jak domy. Niektórzy pogodni, pełni światła, inni ponurzy.

Niektórzy z zewnątrz prezentowali się znakomicie, ale w środku się sypali. Niektórzy nie wyglądali z wierzchu atrakcyjnie, ale ich wnętrza były ciepłe i miłe.

Wiedział też, że pierwsze pomieszczenia w każdym domu są wystawione na widok publiczny. Dopiero zagłębiając się, można dostrzec prawdę. Wreszcie, co nieuniknione, było i ostatnie pomieszczenie, które trzyma się pod kluczem, zabarykadowane i odcięte, nawet od samego siebie. Szczególnie od samego siebie.

To tego pokoju szukał Gamache w każdym śledztwie w sprawie morderstwa. To tam składowano sekrety. To tam czekały potwory.

– Dlaczego tak długo? – rzucił do telefonu zirytowany i wściekły Michel Brébeuf. Nie lubił, kiedy kazano mu czekać. A już szczególnie nienawidził, gdy młodszy rangą funkcjonariusz ignoruje jego telefony. – Musiał pan wiedzieć, że to ja.

– Wiedziałem, ale nie mogłem odebrać. Inne rzeczy się tu działy.

Ton Roberta Lemieux przestał być unizony. Coś się zmieniło od czasu ostatniej rozmowy w biurze Brébeufa. Nastąpiło jakieś przetasowanie sił, Brébeuf nie wiedział, jak to się stało. Ani czemu. Ani co z tym zrobić.

– Niech to się więcej nie powtórzy.

Brébeuf chciał, by zabrzmiało to jak ostrzeżenie, ale wyszło, jakby był rozgoryczony i marudny. Lemieux umocnił swoją pozycję, ignorując ten komentarz.

– Gdzie pan teraz jest? – zapytał Brébeuf.

– W dawnym domu Hadleyów. Gamache przeszukuje resztę budynku, a ja jestem w pokoju, gdzie miało miejsce morderstwo.

– Czy już rozwikłał sprawę?

– Żartuje pan? Jeszcze parę minut temu obcował z martwym ptakiem. Nadinspektor jest bardzo daleko od rozwiązania tej sprawy.

– A pan?

– Co ja?

– Wie pan, kto zabił tę kobietę?

– To nie moja robota, pamięta pan?

Naczelnik Brébeuf zauważył, że już nie było żadnych wątpliwości, kto panował nad sytuacją. Lemieux nie mówił już nawet do niego „sir”. Sympatyczny, ulegający wpływowi, ambitny, ale trochę przygłupi młody policjant zmienił się w kogoś innego.

– Jak sobie radzi Nichol?

– Totalna katastrofa. Naprawdę nie wiem, dlaczego pan chce, żeby tu była.

– Ma to swój cel. – Brébeuf poczuł, jak ramiona opadają mu na miejsce z okolicy uszu, gdzie wcześniej powędrowały. Wciąż miał przed Lemieux jeden sekret. Yvette Nichol.

– Naprawdę musi mi pan powiedzieć, czemu ona tu jest – rzekł Lemieux, a po chwili dodał: – Sir.

Teraz Brébeuf się uśmiechał. Niech Bóg błogosławi oficer Nichol.

Nieszczęsną, zagubioną Nichol.

– Czy nadinspektor widział gazetę?

Zapadła cisza, w trakcie której Lemieux starał się odpuścić w sprawie Nichol.

– Tak. Mówił o tym przy obiedzie.

– I?

– Nie wygląda, żeby się przejął. Śmiał się nawet.

Gamache się śmiał – pomyślał Brébeuf. Było jasne, że to osobisty atak na niego, a on się śmiał.

– Nie szkodzi. W zasadzie tego się spodziewałem.

Tak było. Ale miał nadzieję na coś jeszcze. Marzył o tym, by na znajomej twarzy odmalowały się zaskoczenie i ból. Wyobrażał sobie nawet, że Gamache zadzwoni do swojego najlepszego przyjaciela po radę i wsparcie. A co zamierzał doradzić mu Michel Brébeuf, który już przygotował i przeciwiczył odpowiedź?

– Nie daj im wygrać, Armandzie. Skup się na śledztwie i mnie zostaw całą resztę.

A Armand Gamache odprężyłby się, wiedząc, że przyjaciel go ochroni. Zwróciłby całą swoją uwagę ku znalezieniu mordercy, nie zauważając nawet, co czai się za jego plecami.

W długim, mrocznym cieniu, który sam stworzył.

Na razie Gamache zajrzał na strych, świecąc latarką i płosząc parę nietoperzy oraz napędzając sobie stracha. Rozejrzał się po sypialniach, łazienkach i komórkach. Zdecydowanym krokiem maszerował przez pajęczyny w salonie, dekorowanym ciężkim kominkiem i ozdobnymi listwami, aż wszedł do jadalni.

A tam stało się coś dziwnego. Nagle poczuł apetyczny zapach dobrej kolacji. Pachniało niedzielną pieczenią, z ciepłym mięsnym sosem, ziemniakami i słodkim pasternakiem. Czuł woń karmelizowanej cebuli, świeżo upieczonego chleba, a nawet czerwonego wina. Słyszał też śmiechy i rozmowy. Stał jak zaczarowany pośrodku ciemniej jadalni. Czy ten dom

próbował go uwieść? Sprawić, by stracił czujność? Ten niebezpieczny dom wiedział, że jedzenie tak na niego działało. Ale i tak dziwne wrażenie pozostało: jak gdyby był świadkiem kolacji podawanej lata temu ludziom, którzy umarli i zostali dawno pochowani. Ludziom, którzy kiedyś byli tu szczęśliwi. To tylko wyobraźnia, wiedział to. Wyłącznie wyobraźnia.

Gamache wyszedł z jadalni. Jeśli coś lub ktoś próbowało się ukryć w tym domu, wiedział, gdzie je znajdzie.

W piwnicy.

Sięgnął po klamkę. Była ceramiczna i chłodna w dotyku. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc.

– O, wróciłeś. – Lacoste powitała Beauvoira, ignorując Nichol. – Jak poszło?

– Przyniosłem to. – Inspektor rzucił księgę pamiątkową na stół konferencyjny, po czym opowiedział Lacoste o rozmowach z Hazel i Sophie.

– Jak myślisz? – zapytała Lacoste po krótkim zastanowieniu nad tym, co usłyszała. – Czy Sophie kochała Madeleine, czy nienawidziła?

– Nie wiem. Strasznie poplątane. Może być jedno albo drugie.

– Masa dziewczyn podkochuje się w kobietach. – Lacoste pokiwała głową.

– W nauczycielkach, pisarkach, sportsmenkach. Ja się zakochałam w Helen Keller<sup>[15]</sup>.

Beauvoir nigdy nie słyszał o Helen Keller, ale gdy zdejmował płaszcz, wizja Lacoste w pikantnym związku z tą Helen zadziałała mu na wyobraźnię. Mógł sobie wyobrazić ich lśniące ciała w uścisku...

– Była ślepa i głucha – dodała Lacoste, wiedząc dość, by przewidzieć jego reakcję. – No i martwa.

To zdecydowanie zmieniło jego wizję. Mrugnął, żeby się jej pozbyć.

– Ale ciacho.

– Była też genialna.

– Ale nieżywa.

– To prawda. Obawiam się, że to zaważyło na losach tego związku. Ale wciąż ją uwielbiam. Niesamowita kobieta. Powiedziała: „We wszystkim

tkwią cuda, nawet w ciemności i ciszy”. – Lacoste przypomniała sobie. – O czym to rozmawialiśmy?

– O podkochiwaniu się – powiedziała Nichol i zapragnęła sama siebie kopnąć. Wolą, żeby zapomnieli, że w ogóle tu jest.

Beauvoir i Lacoste odwrócili się, by na nią spojrzeć, zdziwieni, że tam była i powiedziała coś sensownego.

– Naprawdę podkochiwała się pani w Helen Keller? – zapytała Nichol. – To była wariatka, wie pani. Widziałam film.

Lacoste rzuciła jej niewidzące spojrzenie. Nawet nie niechętnie. Patrzyła tak, jakby Nichol kompletnie zniknęła. Nichol przyglądała się, jak inspektor Beauvoir i oficer Lacoste odwrócili się do niej plecami i odeszli.

– Myślisz, że to normalne, żeby dziewczyna w wieku Sophie była taka emocjonalnie zdezorientowana? – Beauvoir zwrócił się z pytaniem do Lacoste.

– Wielu się to zdarza. Emocje są takie rozchwiane. Byłoby normalne, gdyby najpierw kochała Madeleine Favreau, a potem jej nienawidziła. A potem znów za nią przepadała. Przyjrzyj się relacjom, jakie większość dziewczynek ma z matką. Dzwoniłam do laboratorium. – Lacoste zmieniła temat. – Raport z włamania nie będzie gotowy aż do rana, ale koroner przesłała wstępne ustalenia i powiedziała, że wpadnie po drodze do domu. Chce się spotkać z szefem w bistro za jakąś godzinę.

– Gdzie on jest? – zapytał Beauvoir.

– Wciąż w dawnym domu Hadleyów.

– Sam?

– Nie. Lemieux też tam został. Muszę z tobą o czymś porozmawiać. – Rzuciła spojrzenie w kierunku Nichol, siedzącej teraz przy biurku i wpatrzonych w monitor. Lacoste zgadywała, że gra w pasjansa.

– Może się przejdziemy? Złapać trochę świeżego powietrza przed burzą – powiedział Beauvoir.

– Jaką burzą?

Poszła za nim w stronę drzwi. Beauvoir otworzył je i skinął głową. Lacoste

widziała czyste niebo, z może jedną chmurką. Dzień był piękny. Zerknęła na profil inspektora. On także wpatrywał się w niebo z ponurym wyrazem twarzy. Lacoste przyjrzała się dokładniej. Tuż nad ciemną linią sosnowego lasu na zboczu wzgórza, za dawnym domem Hadleyów, zobaczyła to.

Czarna kreska unosiła się, jak gdyby niebo było kopułą, wesołą, jasną i sztuczną, i jakby ktoś otwierał tę kopułę.

– Co to takiego?

– Tylko burza. Na prowincji wyglądają bardziej dramatycznie. W mieście z powodu budynków nie widzimy tego wszystkiego. – Zamachał od niechcenia w stronę kreski, jak gdyby wszystkie burze wyglądały jak coś ponurego, co się zbliża.

Beauvoir z powrotem włożył płaszcz, a gdy znalazł się za drzwiami, ruszył przez kamienny mostek w stronę Three Pines. Lacoste się zawahała.

– Nie masz nic przeciwko, żebyśmy poszli w tę stronę? – Wskazała w przeciwnym kierunku, z dala od miasteczka. Beauvoir spojrzał na malowniczą bitą drogę wijącą się w stronę lasu. Wielkie drzewa pochylały się łukowato z obu jej stron, niemal dotykając się konarami nad ich głowami. W lecie panowałby tu łagodny cień, ale teraz, gdy na gałęziach były tylko pąki, wzbijające się jak małe zielone płomyki, słońce łatwo przez nie przenikało. Szli w milczeniu w krainę słodkich zapachów i ptasich śpiewów. Beauvoirowi przypomniało się, co mówił Gilles Sandon. Że drzewa mówią. A czasem może nawet śpiewają.

Wreszcie Lacoste była pewna, że nikt, a szczególnie Nichol, nie może ich podsłuchiwać.

– Opowiedz mi o sprawie Arnota.

Gamache spojrzał w ciemność i ciszę. Był już wcześniej w piwnicy. Otwierał te same drzwi w trakcie potwornej burzy, w ciemności, desperacko próbując odnaleźć porwaną kobietę.

I stąpnął w przepaść. To było jak koszmar na jawie. Przeszedł przez próg prosto w nicość. Ani światła, ani schodów.

Spadł. A wraz z nim inni. Prosto na pokaleczoną, krwawą masę na



podłódze poniżej.

Dawny dom Hadleyów potrafił się obronić. Zdawał się tolerować, choć niechętnie, pomniejsze wtargnięcia. Ale im głębiej się w niego zapuszczało, tym bardziej złośliwy się robił.

Ręka nadinspektora instynktownie sięgnęła do kieszeni spodni, ale wychynęła stamtąd pusta.

Przypomniał sobie jednak, że w kieszeni płaszcza ma Biblię i poczuł się trochę lepiej. Nie chodził do kościoła, ale znał moc wiary. I potęgę symboli. Potem jednak pomyślał o innej książce, którą znalazł i przyniósł z sobą z miejsca zbrodni, i w tym momencie uczucie komfortu ulotniło się, jakby coś wyciągnęło je z niego i wrzuciło w ziejącą przed nim pustkę.

Poświecił latarką na schody. Tym razem przynajmniej były schody. Ostrożnie stawiając swoje duże stopy na pierwszym stopniu, poczuł, że utrzyma jego ciężar. Wziął głęboki oddech i spojrzał w dół.

– Co takiego? – zapytał Beauvoir.

– Muszę się dowiedzieć wszystkiego o sprawie Arnota – odpowiedziała Lacoste.

– Czemu? – Zatrzymał się pośrodku wiejskiej drogi i zwrócił w jej stronę. Patrzyła mu prosto w twarz.

– Nie jestem głupia. Coś się dzieje. Chcę wiedzieć, co.

– Musiałaś śledzić ją w telewizji i w gazetach – odparł Beauvoir.

– Owszem. W akademii policyjnej nikt o niczym innym nie rozmawiał.

Beauvoir sięgnął pamięcią do tych mrocznych czasów, gdy w Sûreté nastąpił rozłam.

Kiedy ta lojalna, spójna organizacja zaczęła wojnę sama ze sobą. Jej tabory ustawiły się wkoło i zaczęły strzelać do siebie nawzajem. To było okropne. Wszyscy funkcjonariusze wiedzieli, że siła Sûreté leżała w lojalności. Ich życie od niej zależało. Ale sprawa Arnota zmieniła wszystko.

Po jednej stronie stali naczelnik Arnot i jego konfederaci oskarżeni o morderstwo. Po drugiej – nadinspektor Gamache. Nie miałby racji ten, kto by powiedział, że Sûreté była rozdarta na pół. Wszyscy oficerowie, których

Beauvoir znał, byli zdegradowani postępowaniem Arnota.

Ale wielu było też oburzonych tym, co zrobił Gamache.

– Więc wszystko wiesz – rzekł Beauvoir.

– Nie wszystko, i wiesz o tym. Co jest nie tak? Dlaczego mnie z tego wyklucasz? Wiem, że coś jest na rzeczy. Sprawa Arnota jeszcze nie umarła, prawda?

Beauvoir odwrócił się i ruszył wolno drogą, głębiej w las.

– Co?! – zawołała za nim Lacoste.

Beauvoir milczał. Splótł ręce za plecami i tak je trzymał, idąc powoli i się zastanawiając.

Czy powinien powiedzieć Lacoste wszystko? Co Gamache by o tym pomyślał? Czy to miało znaczenie? Szef nie zawsze miał rację. Beauvoir zatrzymał się i popatrzył za siebie, gdzie Isabelle Lacoste stała twardo na środku drogi. Przywołał ją gestem, a kiedy podeszła, powiedział:

– Powiedz mi, co wiesz.

Zaskoczyła go ta prosta fraza. To właśnie zawsze powtarzał mu Gamache.

– Wiem, że Pierre Arnot był naczelnikiem w Sûreté.

– Jednym z najważniejszych. Przeszedł przez narkotykowy i awansował do działu poważnych przestępstw.

– Coś mu się stało – ciągnęła Lacoste. – Stał się zatwardziały, cyniczny. Wiem, to się często zdarza. Ale u Arnota chodziło o coś więcej.

– Chcesz usłyszeć, jak to wyglądało zza kulis?

Lacoste przytaknęła.

– Arnot miał charyzmę. Ludzie go lubili, nawet kochali. Spotkałem go parę razy i też tak czułem. Był wysoki, ogorzały. Wyglądał, jakby mógł powalić niedźwiedzia gołymi rękami. I był inteligentny. Diabło inteligentny.

– To każdy mężczyzna chce widzieć, patrząc w lustro.

– Dokładnie. Dał podległym mu oficerom wielką władzę, niezwykły status. Wiele mogli.

– Fascynował cię?

– Złożyłem podanie o przyjęcie do jego wydziału, ale mi odmówiono. – Pierwszy raz, nie licząc Gamache’a, Beauvoir mówił komuś o tym. – Pracowałem wtedy w biurze w Trois-Rivières. Tak czy inaczej, jak pewnie słyszałaś, ludzie Arnota byli mu niemal fanatycznie oddani.

– Ale?

– Tyranizował ludzi. Domagał się absolutnego posłuszeństwa. W końcu nawet bardzo dobrzy policjanci odeszli z jego wydziału. Zostawiając go z całym bałaganem.

– Zostali ci, co sami byli dręczycielami albo zbyt się bali, by się mu przeciwstawić – stwierdziła Lacoste.

– Myślałem, że mówiłaś, że nie znasz kulis tej sprawy.

– Nie znam, ale bywałam na podwórkach. Wszędzie to samo.

– To nie było podwórko. Zaczęło się po cichu. Przemoc w rezerwatach indiańskich, której nikt nie próbował zatrzymać. Niezgłoszone morderstwa. Arnot zdecydował, że skoro Indianie chcą się pozabijać nawzajem, powinno to być ich sprawą wewnętrzną, w którą nikt się nie wtrąca.

– Ale to było w jego jurysdykcji – powiedziała Lacoste.

– Zgadza się. Nakazał swoim oficerom w rezerwatach, żeby nic nie robili.

Isabelle Lacoste wiedziała, co to oznaczało. Dzieciaki wążające klej, wdychające opary butaprenu i zwilżonych benzyną szmat, aż im się mózgi usmażyły. Aż były nieczułe na przemoc, wykorzystywanie, rozpacz. Nic ich już nie obchodziło. Nie dbali o nic i o nikogo. Chłopcy strzelali do innych i do siebie. Dziewczyny były gwałcone albo bite na śmierć. Być może w desperacji dzwoniły na posterunek Sûreté, gdzie nikt nie odbierał. A ci policjanci, prawie zawsze młode chłopaki na pierwszym zleceniu, czy patrzyli z uśmiechem na dzwoniący telefon, wiedząc, że szef będzie zadowolony? Jednego dzikusa mniej. A może sami bali się śmiertelnie?

Wiedzieli bowiem, że to nie tylko młody Indianin ginie. Oni też umierali.

– Co stało się potem?

*Wszystko skrzypi, gdy się człowiek boi.* Armand Gamache przypomniał sobie słowa Erazma z Rotterdamu i zastanawiał się, czy skrzypnięcie, które właśnie usłyszał, było naprawdę, czy też wytworem jego strachu. Przesunął światło latarki na schody za sobą. Nic.

Widział, że podłoga była klepiskiem, udeptanym przez całe lata. Śmierdziała pająkami, zbutwiałym drewnem i pleśnią. Unosiła się w niej woń taka, jak we wszystkich kryptach, w których bywał na ekshumacjach ciał ludzi umarłych przedwcześnie.

Co było tu pogrzebane? Wiedział, że na pewno coś. Czuł to. Dom zdawał się drapać go pazurami, zagarniać i dusić, jak gdyby krył jakiś sekret, podły i okrutny, który bardzo chciał wyjawić.

Znowu coś skrzypnęło.

Gamache się odwrócił, a marny krąg światła latarki padł na szorstkie kamienne ściany, belki i słupy, na otwarte drewniane drzwi.

Jego komórka zawibrowała. Wyjmując ją, rozpoznał numer.

– *Allô?*

– *C'est moi* – powiedziała Reine-Marie, uśmiechając się do koleżanki i spacerując przez jeden z pełnych książek korytarzy Bibliothèque Nationale. – Jestem w pracy, a ty?

– W dawnym domu Hadleyów.

– Sam?

– Taką mam nadzieję. – Zaśmiał się.

– Armandzie, czytałeś gazetę?

– Tak.

– Strasznie mi przykro. Ale wiedzieliśmy, że tak będzie. To w gruncie

rzeczy ulga.

Armand Gamache nigdy nie był aż tak wdzięczny, że poślubił tę kobietę, dla której jego bitwy były jej bitwami. Wytrwale stała po jego stronie, nawet kiedy próbował się wysforować naprzód. Szczególnie wtedy.

– Próbowałam się dodzwonić do Daniela, ale nie odbiera. Zostawiłam wiadomość.

Gamache nigdy nie kwestionował opinii Reine-Marie. To pozwalało uczynić ich związek pełnym relaksu. Ale nie był pewien, dlaczego zadzwoniła do ich syna w Paryżu z powodu jakiegoś szmatławego artykułu.

– Anna właśnie dzwoniła. Też to widziała i kazała ci przekazać, że cię kocha. Powiedziała też, że jeśli może coś zabić, chętnie to zrobi.

– Jak miło z jej strony.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała.

– *Franchement*, myślałem o tym, by to kompletnie zignorować. Nie dawać im powodu, by ich traktowano poważnie.

Zapadła cisza.

– Zastanawiam się, czy może nie powinieneś porozmawiać z Michelem.

– Z Brébeufem? Czemu?

– Cóż, po tej pierwszej publikacji też tak myślałam, ale teraz zastanawiam się, czy to nie zaszło za daleko.

– Pierwszej? Co masz na myśli? – Latarka zamigotała. Potrząsnął nią i światło zabłysło na nowo.

– Dzisiejsza wieczorna gazeta. Wczesne wydanie „Le Journal de Nous”. Armandzie, nie widziałeś tego?

Latarka Gamache’a znów zamigotała i zgasła, potem po dłuższej przerwie znowu zaświeciła, ale światło było słabe i drżące. Znowu usłyszał trzask. Tym razem za sobą. Odwrócił się szybko i skierował słaby promień na schody, ale były puste.

– Armandzie?

– Jestem. Powiedz mi, proszę, co tam napisali.

Słuchając, poczuł, jak smutek dawnego domu Hadleyów zamyka się wokół niego. Skradał się w jego stronę i pożerał resztkę światła, aż w końcu stał we wnętrzościach ponurego gmaszyska w całkowitej ciemności.

– Arnotowi nie wystarczało, że Indianie zabijają się między sobą – mówił Beauvoir. Wraz z Lacoste szli ramię w ramię przez popołudniowe słońce, które zalewało bitą drogę pod ich stopami. – Arnot wysłał do rezerwatu dwóch oficerów, żeby wszczynali awantury. *Agents provocateurs*.

– A potem co? – Niemal nie dawało się tego wytrzymać, ale musiała wiedzieć. Słuchała tych straszliwych słów, gdy spacerowali przez spokojny las.

– A potem Pierre Arnot kazał swoim oficerom zabijać. – Beauvoir odkrył, że trudno mu przychodzi to powiedzieć. Zatrzymał się, spojrzął na las, a po kilku chwilach huk w jego głowie ucichł i znowu słyszał śpiew ptaków. Co to za odgłos, rudzik? Czy sójka? Sosna? Czy to dlatego Three Pines było tak szczególne? Czy te olbrzymie drzewa na skwerku czasami śpiewały chórem? Czy Gilles Sandon rzeczywiście miał rację?

– Ile osób zabito?

– Ludzie Arnota nawet nie liczyli. Ekipa z Sûreté nadal próbuje zlokalizować wszystkie szczątki. Mordercy zabili tylu ludzi, że nie byli w stanie sobie przypomnieć, gdzie ukryli ciała.

– Jak mogło im to ujść na sucho? Czy rodziny nie zgłaszały zaginięć?

– Komu?

Lacoste spuściła głowę i spojrziała na ziemię pod swoimi stopami. Całkowita zdrada.

– Sûreté – wyszeptała.

– Pewna matka z plemienia Kri uporczywie próbowała. Przez trzy miesiące sprzedawała domowe ciasta, czapki i rękawiczki dziergane na drutach, aż uzbierała dość pieniędzy, by kupić bilet na samolot. W jedną stronę. Do Quebec City. Zrobiła transparent i poszła protestować przed siedzibą lokalnego rządu. Spędziła cały dzień przed Zgromadzeniem Narodowym, ale nikt się nawet nie zatrzymał. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

W końcu jacyś faceci ją przegonili, ale wróciła. Wracała codziennie przez cały miesiąc, spała na ławce w parku. I codziennie ją wyganiano.

– Spod Zgromadzenia Narodowego? Ale tego nie wolno robić. To jest przestrzeń publiczna.

– Nie stała przed zgromadzeniem. Wydawało się jej się, że to tam, ale tak naprawdę pikietowała przed hotelem Château Frontenac. Nikt jej nie powiedział. Nikt jej nie pomógł.

Wyśmiewano ją tylko.

Lacoste dobrze знаła Quebec City i mogła sobie wyobrazić majestatyczny budynek z wieżyczkami, wyrastający z klifu nad brzegiem Rzeki Świętego Wawrzyńca. Łatwo jej było sobie wyobrazić, jak ktoś, kto nie zna miasta, mógł popełnić taki błąd, ale z pewnością były drogowskazy. Z pewnością kobieta pytała o drogę. Chyba że...

– Nie znała francuskiego?

– Angielskiego też nie. Mówiła tylko w języku Indian Kri – potwierdził Beauvoir.

Zapadła cisza, w której Lacoste wyobraziła sobie piękny hotel, a Beauvoir – maleńką, pomarszczoną kobietę o błyszczących oczach. Zdesperowaną matkę, próbującą dowiedzieć się, co się stało z jej synem, i niezdolną ubrać to w słowa.

– Co się stało? – dopytywała się Lacoste.

– Nie zgadłaś? – zapytał Beauvoir. Znów przystanęli i Beauvoir przyglądał się Lacoste, na której twarzy malowała się troska. Po chwili twarz jej się rozjaśniła.

– Nadinspektor Gamache ją znalazł.

– Mieszkał w Château Frontenac – rzekł Beauvoir. – Widział ją, wychodząc, i zauważył, że była tam, gdy wracał. Porozmawiał z nią.

Isabelle Lacoste wyobrażała sobie tę scenę. Ich szef, solidny i grzeczny, zbliża się do samotnej Indianki. Lacoste widziała lęk w ciemnych oczach kobiety, do której właśnie podszedł kolejny urzędnik, który pewnie chciał, żeby sobie poszła, zniknęła z oczu porządnym obywatelom. Ona nie

rozumie, co mówi nadinspektor Gamache. On próbuje po francusku i po angielsku, a ona tylko gapi się na niego, pomarszczona i zmartwiona. Ale kobieta rozumie jedno: on jest życzliwy.

– Jej plakat był w języku Kri, oczywiście – ciągnął dalej Beauvoir. – Nadinspektor zostawił ją i wrócił z herbatą, kanapkami oraz tłumaczem z Centrum Aborygeńskiego. Była wczesna jesień, siedzieli na brzegu fontanny przed hotelem. Znasz to miejsce?

– W parku? Pod starymi klonami? Znam je doskonale. Siadam tam za każdym razem, gdy jestem w Vieux Québec. Zaraz na dole, przed kawiarniami, stoją uliczni artyści.

Beauvoir pokiwał głową.

– Siedzieli tam, pijąc herbatę i jedząc kanapki. Szef opowiadał, że przed jedzeniem kobieta odmówiła modlitwę, błogosławiąc posiłek. Jasne było, że umierała z głodu, ale powstrzymała się, by się pomodlić.

Beauvoir i Lacoste już nie patrzyli na siebie. Stali naprzeciwko siebie na bitym drodze, ale spoglądali w przeciwne strony. Spoglądali w las, każde pograżone we własnych myślach, wyobrażając sobie scenę ze starego Quebecu.

– Kobieta powiedziała mu, że jej syn zaginął. I że nie on jeden. Opowiedziała mu o swojej wiosce nad brzegami Zatoki Jamesa, która była objęta prohibicją ponad rok wcześniej.

Decyzją rady plemiennej zakazano sprzedaży alkoholu. Ale wódz został zamordowany, starszyzna się przestraszyła, rada kobiet uległa rozwiązaniu. A wtedy wrócił alkohol, przywożony samolotem lądującym na wodzie. W ciągu kilku miesięcy spokojna wioska popadła w ruinę. To jednak nie było najgorsze.

– Opowiedziała mu o morderstwach – domyśliła się Lacoste. – Uwierzył jej?

Beauvoir pokiwał głową. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, co sam by zrobił w takiej sytuacji. I nie po raz pierwszy przyszła mu do głowy niska, paskudna odpowiedź. Byłby jednym z tych, którzy wyśmiewali kobietę. A



nawet zakładając, że miałby tyle przyzwoitości, by się do niej zbliżyć, czy uwierzyłby w jej opowieść o zastraszeniu, zdradzie, morderstwach? Pewnie nie.

Albo gorzej, uwierzyłby, ale i tak odwróciłby się od niej. Udawałby, że nie słyszał. Że nie zrozumiał. Miał nadzieję, że to już nie była prawda, ale nie wiedział na pewno. Jedyne, czego był pewien, to to, że do tej starej Indianki Kri szczęście wreszcie się uśmiechnęło.

Na początku Gamache nikomu nie powiedział o tym spotkaniu, nawet Beauvoirovi. Spędził całe tygodnie, latając z jednego rezerwatu w północnym Quebecu do innego. Zanim poznał odpowiedź, zdążył spaść pierwszy śnieg. Wierzył jej od chwili, kiedy pierwszy raz spojrzął jej w oczy, siedząc w parku w starym Quebecu. Był oburzony i przerażony, ale nie miał wątpliwości, że kobieta mówiła prawdę.

To zrobili policjanci. Stara Indianka patrzyła, jak ci ludzie wyprowadzali chłopców do lasu. Policjanci wracali, chłopcy nie. Jej syn Michael był jednym z nich. Jej syn, nazwany na cześć Archanioła, zapadł się w las, i chociaż szukała ze wszystkich sił, nie zdołała go odnaleźć.

Znalazła za to Armanda Gamache'a.

– Kto tam? – Gamache stanął nieruchomo. Wzrok przyzwyczał mu się do ciemności, słuch do ciszy.

Skrzypienie narastało i się zbliżało. Gamache próbował nie myśleć o tym, co właśnie powiedziała mu Reine-Marie, i skupić się na dźwiękach, które zdawały się otaczać go ze wszystkich stron.

Wreszcie jakiś ciemniejszy kształt pojawił się zza jednych z piwnicznych drzwi. Czarne palce czarnego buta. Potem powoli wyłoniła się noga. Nadinspektor zobaczył wyraźnie nogę, rękę i pistolet. Ani drgnął. Stał na samym środku pomieszczenia i czekał. Stali teraz naprzeciw siebie.

– Oficer Lemieux – powiedział Gamache miękko. Domyślił się, kto to, gdy zobaczył rewolwer. Ale to nie złagodziło niebezpieczeństwa. Gamache wiedział, że gdy już wyjął broń, trzymający ją był gotowy do strzału. Wystarczył jeden gwałtowny ruch i jego ręka mogła drgnąć.

Ale dłoń Lemieux ani drgnęła. Stał pośrodku, z pistoletem na wysokości pasa, mierząc w nadinspektora. Potem powoli opuścił lufę.

– To pan, sir? Wystraszył mnie pan.

– Nie słyszał pan, jak wołałem?

– To pan? Nie rozumiałem, co to było. Brzmiało jak jęk. Coś mi się zdaje, że ten dom miesza mi w głowie.

– Ma pan latarkę? Moja zgasła – powiedział Gamache, idąc w kierunku Lemieux.

Promień światła pojawił się u jego stóp.

– Schował pan broń?

– Tak jest. Niech no się ludzie dowiedzą, że w pana mierzyłem. – Lemieux zaśmiał się nerwowo.

Gamache nie odpowiedział śmiechem. Zamiast tego nadal wpatrywał się w Lemieux.

Kiedy w końcu przemówił, jego głos brzmiał surowo:

– To, co pan zrobił, wystarczyłoby, by pana zwolnić. Nie powinien pan nigdy, przenigdy wyciągać broni, jeśli nie zamierza pan jej użyć. Wie pan o tym, a mimo to zignorował to, czego go uczono. Dlaczego?

Lemieux miał zamiar szpiegować Gamache'a. Jednak nadinspektor miał za dobry słuch.

Stracił efekt zaskoczenia, ale może zyskał co innego. Skoro ten dom wprowadził Gamache'a w niepokój, może jeszcze to spotęgować? Zastanawiał się, jak zareagowałby Brébeuf, gdyby Lemieux rozwiązał problem Gamache'a, przyprawiając go o zabójczy atak serca.

Lemieux rzucił parę kamyczków, Gamache zaczął się kręcić. Poruszył kawałkiem liny, żeby wydała odgłos, jakby coś się ześlizgnęło, Gamache się cofnął. W końcu wyciągnął broń. Ale Gamache zawołał go po nazwisku, jakby od razu wiedział, że to on. Cała przewaga przepadła.

Gorzej, najwyraźniej nadinspektor Gamache przejął prowadzenie. Stał niezachwiany przed Lemieux i emanował nie złością czy strachem, ale siłą. Władzą.

– Zadałem panu pytanie, oficerze Lemieux. Dlaczego wyciągnął pan broń?

– Przepraszam – zająknął się Lemieux, wycofując się na sprawdzone pozycje taktyki skruchy i przyznania do winy. – Przestraszyłem się, że jestem tu sam.

– Wiedział pan, że ja tu jestem.

Gamache nie zamierzał wcale zmięknąć w obliczu jego żalostnego kajania się.

– Szukałem pana, sir. Coś usłyszałem. Głosy. Pomyślałem, że raczej z nikim pan nie rozmawia, więc przyszło mi do głowy, że to może ktoś inny. Może ta osoba, co zerwała taśmę policyjną. Może pan był w potrzebie. Ale – Lemieux potrząsnął zwieszoną głową – to niczego nie usprawiedliwia. Mogłem pana zabić. Chce pan zabrać mi broń?

– Chcę usłyszeć prawdę. Nie kłam mi, chłopcze.

– Nie kłamię, sir, naprawdę. Wiem, że to brzmi żałośnie, ale po prostu się przestraszyłem.

Ale Gamache nadal milczał. Lemieux zastanawiał się, czyżby to miało nie zadziałać?

– O Boże, kompletny ze mnie cymbał. Najpierw efedryna, a teraz to.

– To był błąd – powiedział Gamache, wciąż surowym głosem, ale już nie takim jak przedtem.

Zwycięstwo. Jak to Brébeuf powiedział? „Wszyscy uwielbiają grzeszników, a Gamache najbardziej. Wierzy, że może uratować tonących. Pańska robota polega na udawaniu, że pan tonie”. To właśnie zrobił. Celowo zostawił informację o efedrynie na komputerze Gabriego, żeby go złapano i mu wybaczone, a teraz przyłapano go znowu. To było głupie, że wyjął broń, ale udało mu się zmienić błąd w zwycięstwo. A Gamache, ten żalostny, słaby Gamache, wybaczył mu, że wyciągnął broń. To był ukochany narkotyk Gamache’a, jego słabość. Uwielbiał wybaczać.

– Coś pan znalazł, sir?

– Nic. Ten dom nie jest jeszcze gotów wyjawić swoje tajemnice.

– Tajemnice? Ten dom ma tajemnice?

– Domy są jak ludzie, Lemieux. Mają tajemnice. Opowiem panu, czego się nauczyłem.

– Armand Gamache przyciszył głos tak, że Lemieux słuchał z wysiłkiem. –  
Wie pan, co nas wpędza w chorobę, Lemieux?

Lemieux potrząsnął głową. Z ciemności i ciszy napłynęła odpowiedź.

– Popadamy w chorobę przez nasze tajemnice.

Nieznaczny trzask tuż za nim rozdarł ciszę.

– Co było dalej? – zapytała Lacoste. Wracali do biura operacyjnego. Gdy wyszli z za drzew, widać było zbierające się burzowe chmury. Teraz zasłaniały jedną czwartą nieba. Ich postęp był powolny, ale nieuchronny.

– *Pardon?* – zapytał Beauvoir, rozkojarzony widokiem chmur.

– Co zrobił nadinspektor? Miał dowody przeciwko Arnotowi i reszcie, co z nimi zrobił?

– Nie wiem.

– Oj, daj spokój. Musisz wiedzieć. Opowiedział ci o całej reszcie. Historia o tej Indiance Kri nigdy nie wypłynęła w sądzie.

– Nie. Zdecydowali, że nie będą tego rozgłaszać na wypadek, gdyby mogło to z niej uczynić obiekt ataków. Nie wolno ci o tym nikomu opowiadać.

Lacoste już miała zaprotestować, że wszyscy, którzy mogliby atakować świadka, są w więzieniu, ale przypomniała sobie poranny artykuł w gazecie. Komuś wciąż leżało to na sercu.

– Nie powiem.

Beauvoir krótko skinął głową i szedł dalej.

– Jeszcze coś – powiedziała Lacoste, podbiegając, by się z nim zrównać.

– Co takiego?

– Oficer Nichol.

– I co z nią?

Beauvoir wiedział, że posunął się za daleko. Ostrzegł sam siebie, że czas przestać. Ale słowa już się wymknęły, bo potrzebował współnika, towarzystwa kogoś, kto zrozumie.

– Naczelnik Francoeur przysłał ją, żeby szpiegowała nadinspektora.

Już same słowa zdawały się cuchnąć.

– *Merde* – powiedziała Lacoste.

– *Merde* – zgodził się Beauvoir.

– Nie, ale serio mówię. Gówno. – Lacoste wskazała na ziemię.

Faktycznie, na poboczu stygła wielka kupa gówna. Beauvoir starał się jakoś wymanewrować, ale i tak wdepnął w nią z boku.

– Boże, obrzydlistwo. – Podniósł stopę obutą w miękką włoską skórę, upapraną jeszcze bardziej miękkim łajnem. – Czy ludzie nie mają obowiązku sprzątać po swoich psach?

Otarł bok stopy o ziemię, rozsmarowując po bucie kupę i kurz z drogi.

– To nie jest psia kupa – powiedział z przekonaniem jakiś głos.

Beauvoir i Lacoste rozejrzeli się, ale nie zauważyli nikogo. Beauvoir spojrział w las. Czy któreś z drzew przestało śpiewać i faktycznie przemówiło? Czy to możliwe, by pierwsze słowa wypowiedziane przez drzewo brzmiały: „to nie jest psia kupa?”. Odwrócił się i zobaczył Clarę i Petera Morrowów, idących w ich kierunku. Cóż, widać nie – pomyślał Beauvoir i zaczął się zastanawiać, jak długo tamci tu byli i ile usłyszeli.

Peter schylił się i przyjrzał kupie. Beauvoir pomyślał, że jedynie wieśniacy potrafią się tak fascynować gównem. Wieśniacy oraz rodzice.

– Niedźwiedzia – orzekł Peter, prostując się.

– Dopiero co tędy przeszliśmy. Mówi pan, że za nami był niedźwiedź?

Pewnie się wygłupiają – pomyślał Beauvoir. Ale para wyglądała poważnie. Peter Morrow trzymał w dłoni ciasno zwiniętą gazetę.

– Czy nadinspektor jest z wami?

– Nie, niestety. W czym mogę pomóc?

– Wcześniej czy później zobaczy – powiedziała Clara do Petera.

Peter skinął głową i podał gazetę Beauvoirowi.

– Widzieliśmy już dziś rano. – Beauvoir oddał mu rulon.

– Niech pan się jeszcze raz przyjrzy – rzekł Peter.

Beauvoir westchnął i rozłożył gazetę. Nagłówek brzmiał „Le Journal de Nous”. Nie „La Journée”, jak spodziewał się inspektor. Na środku strony

widniała wielka fotografia nadinspektora z jego synem Danielem. Stali w jakimś kamiennym budynku. Wyglądał jak krypta.

A Gamache wciskał Danielowi kopertę. Podpis głosił *Armand Gamache wręcza kopertę nieznanemu mężczyźnie*.

Beauvoir przeleciał wzrokiem artykuł, po czym wrócił do początku i próbował przestudiować go wolniej. Był tak zdenerwowany, że ledwie przyswajał, co czyta. Słowa zamazywały się, kołysały, tonęły w falach gniewu. W końcu odsunął gazetę, biorąc głęboki wdech, i zauważył Armanda Gamache'a przechodzącego przez mostek w towarzystwie Roberta Lemieux. Ich spojrzenia się spotkały i Gamache uśmiechnął się ciepło. Gdy zauważył gazetę i minę młodego inspektora, jego uśmiech pobladł.

– *Bonjour*. – Gamache uściśnął rękę Petera i lekko skłonił się Clarze. – Widzę, że już widzieliście najnowsze wieści. – Skinął głową w stronę gazety w ręku Beauvoira.

– A pan widział? – zapytał Beauvoir.

– Nie, ale Reine-Marie mi czytała.

– Co pan z tym zrobi? – zapytał Beauvoir. Czuł się tak, jakby reszta zniknęła. Jedyne, co istniało dla inspektora, to jego szef oraz zadziwiające burzowe chmury, zbierające się za nimi.

– Posiedzę nad tym trochę. – Gamache skłonił się do pozostałych, odwrócił się i poszedł do biura operacyjnego.

– Proszę zaczekać. – Beauvoir podbiegł za nim. Stał przed Gamache'em, zanim ten doszedł do drzwi. – Nie może im pan pozwolić tak mówić. To w najlepszym razie oszczerstwo.

Dobry Boże, czy pani Gamache przeczytała panu cały artykuł? Niech pan posłucha tego.

– Beauvoir energicznie rozpostarł gazetę i zaczął czytać. – „*Sûreté du Québec* winna jest obywatelom Quebecu co najmniej wyjaśnienia. Jak skorumpowany policjant może wciąż być na służbie? I to w dodatku na wpływowym stanowisku? Już podczas sprawy Arnota było jasne, że nadinspektor Gamache był osobiście zaangażowany i dopuścił się osobistej

zemsty na swoim przełożonym. Teraz najwyraźniej jednak sam prowadzi interesy. Kim jest mężczyzna, któremu podaje kopertę, co w niej jest, do czego został wynajęty ten człowiek?”

Beauvoir zmiął gazetę w rękach i spojrzał prosto w twarz Gamache’a.

– To pański syn. Daje pan kopertę Danielowi. Nie ma powodu, żeby te bzdury się ciągnęły. Niechże się pan zlituje. Jedyne, co pan musi zrobić, to zadzwonić do redakcji i wytłumaczyć, o co tu chodzi.

– Dlaczego? – Głos Gamache’a nadal był opanowany, spojrzenie czyste i pozbawione gniewu. – Żeby mogli nazmyślać więcej? Żeby wiedzieli, że mogą mnie zranić? Nie, Jean Guy.

Nie muszę odpowiadać na oskarżenia tylko dlatego, że mogę. Niech mi pan zaufa.

– Zawsze pan mi to powtarza tak, jakby musiano mi przypominać, żeby panu ufać.

– Beauvoira nie obchodziło już, kto go usłyszy. – Ile razy muszę to panu udowadniać, żeby przestał mi pan o tym przypominać?

– Przepraszam. – Po raz pierwszy Gamache wyglądał na zmartwionego. – Ma pan rację.

Nie wątpię w pana, Jean Guy. Nigdy nie wątpiłem. Ufam panu.

– A ja ufam panu – odparł Beauvoir, teraz już spokojnie. Jego podniecenie ustąpiło, uniosło się jak tuman kurzu i odpłynęło. Przez moment wyobrażał sobie, że słowo „ufam” zostało zastąpione innym, ale uznał, że „ufam” wystarczy. Spojrzał na wielkiego mężczyznę i wiedział, że Gamache jeszcze się nie potknął. To nie Gamache miał włoskie buty zasmarowane gównem.

– Niech pan robi, co musi – powiedział. – Będę pana wspierał.

– Dziękuję, Jean Guy. Teraz muszę zadzwonić do Daniela. W Paryżu już trochę późno.

– Och, szefie. – Lacoste uznała, że teraz może podejść – Koroner chciała z panem porozmawiać. Powiedziała, że chce się spotkać w bistro o piątej.

– Gamache spojrzał na zegarek.

– Znalazła pani w pokoju coś, co wyjaśniałoby włamanie?



– Nic – zameldowała Lacoste. – A pan coś znalazł?

Co miał powiedzieć? Że znalazł smutek, grozę i prawdę? Popadamy w chorobę przez nasze tajemnice – powiedział Lemieux. Gamache wyszedł z tej przeklętej piwnicy z własną tajemnicą.

Gilles Sandon przytulił nogę i zaczął ją głaskać. Jego szorstkie dłonie przesuwają się w górę i w dół, nieznosnie powoli. Za każdym razem przesuwał rękę wyżej, aż w końcu noga się skończyła.

– Jesteś taka gładka – powiedział, dmuchając na nogę i zdejmując z niej paproszki. – Poczekaj, aż cię natrę. Olejem tungowym.

– Do kogo mówisz?

Odile oparła się o drzwi. Zawartość jej kieliszka zawirowała, a wraz z nią pracownia Gilles'a. Zwykle zmieniała swój gniew w wino i połykała, ale ostatnio to nie działało najlepiej.

Gilles spojrzał w górę, spłoszony, jakby przyłapano go na czymś intymnym i upokarzającym. Zużyty kawałek papieru ściernego opadł na podłogę. Czuł zapach wina. Pięta po południu. Może to nie najgorzej. Większość ludzi pije drinka albo dwa o piątej. W końcu w Quebecu obowiązuje piękna tradycja *cinq à sept*.

– Mówiłem do nogi – po raz pierwszy zabrzmiało to idiotycznie.

– Czy to nie trochę absurdalne?

Spojrzał na nogę, której przeznaczeniem było stać się częścią zgrabnego stoliczka.

Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie wydawało mu się to absurdalne. Nie był głupi, wiedział, że większość ludzi nie rozmawia z drzewami, ale na jego gust to był ich problem.

– Pracuję nad kolejnym wierszem. Chcesz posłuchać?

Nie czekając na odpowiedź, Odile odsunęła się od futryny i przeszła powoli, ostrożnie do lady, która znajdowała się z przodu sklepu. Wróciła z notesem.

– Posłuchaj:

Jakże się często zdarza, że  
łaciaty człek narzeka, jęczy  
Wszystko go kłuje, wszystko źle  
I z igły widły, bagno z tęczy

– Czekał – osunęła się na drzwi, podczas gdy Gilles odwrócił się plecami. –  
To nie koniec. Mógłbyś to, kurwa, odłożyć na moment.

Spojrzał w dół i uświadomił sobie, że dusi stołową nogę: jego palce były  
zaciśnięte i zsiniałe, jakby krew odpłynęła z nich i wsiąkła w drewno. Po  
chwili wahania odłożył nogę na ziemię, upewniając się, że spoczywa miękko  
na trocinach.

To nie dla niego czyżyk kwili  
I nie dla niego ropuch pienie  
Ani ta czapla, co pochyli  
Swą dumną głowę w upierzenie.

Odile odsunęła notes i rzuciła Gilles'owi porozumiewawcze spojrzenie.  
Pokiwała głową parę razy, po czym w wielkim skupieniu odeszła na tył  
sklepu. Gilles przyglądał się i zastanawiał, co też ona próbuje mu  
powiedzieć. Jak to możliwe, że rozumiał drzewa, ale nie Odile? Nagle poczuł  
niepokój, jakby mrówki roiły mu się pod skórą. Podniósł drewnianą nogę do  
twarzy, wziął głęboki wdech i przeniósł się myślami w głąb lasu. Czulego,  
ważnego lasu. Tam był bezpieczny. Ale nawet stamtąd myśli przygnały go z  
powrotem na ziemię.

Co Odile wiedziała? Czy upierzenie, pióro, nie symbolizuje pisania? Czy  
zamierzała napisać o nim coś mniej zawilego? Czy to było ostrzeżenie? Jeśli  
tak, musiał ją powstrzymać.

Uderzał ślicznie wykonaną nogą o dłoń, myśląc intensywnie.

Siedząc przy swoim biurku, Armand Gamache wygładził pogniecioną  
gazetę. Do tej pory to tylko inni czytali mu, co w niej napisano, a efekt był  
wystarczająco szokujący. Ale serce mu się ścisnęło, kiedy spojrzał na

fotografię. Daniel trzymał kopertę, którą ojciec wcisnął mu zaledwie dzień wcześniej. Daniel, piękny Daniel, wielki jak niedźwiedź. Czy to nie było dla wszystkich oczywiste, że patrzą na ojca i syna? Czy redaktorzy celowo udawali ślepych?

Gamache znał odpowiedź na to pytanie. Ktoś im celowo wciskał ciemnotę. Sięgnął po telefon i wybrał numer Daniela.

Doktor Sharon Harris zaparkowała samochód przy krawężniku i miała zamiar wejść do bistro. Przez podzielone szczebelkami okna widziała w środku Morrowów i kilka osób, które trochę znała. Widziała ogień trzaskający przez kratę kominka i Gabriego z tacą z drinkami, opowiadającego jakąś historię grupie rozbawionych mieszkańców miasteczka. Patrzyła, jak Olivier z wprawą wyjął tacę z jego rąk i zaniósł drinki innej grupie gości. Gabri usiadł, skrzyżował wielkie nogi i opowiadał dalej. Doktor Sharon wydawało się, że Gabri upił łyk z czyjejś whisky, ale nie była pewna. Odwróciła się i popatrzyła na miasteczko. Pojawiały się pierwsze światła, a powietrze wypełniał słodki zapach opalanych drewnem kominków. Trzy wielkie sosny na skwerku rzucały teraz długie cienie. Spojrzała w niebo. Nie tylko noc na nim ciemniała. W samochodzie słuchała prognozy pogody, nawet krajowy instytut meteorologii był zaskoczony, że tak gigantyczny system burzowy nasunął się tak szybko. Ale co się w nim kryło?

Meteorolodzy nie wiedzieli. O tej porze roku mógł to być deszcz, deszcz ze śniegiem, a nawet śnieg.

Nie zauważywszy nadinspektora Gamache'a wewnątrz bistro, doktor Harris postanowiła usiąść na ławce na skwerku i złapać trochę świeżego powietrza. Już miała iść, gdy jej wzrok padł na coś pod ławką. Podniosła to, obejrzała i się uśmiechnęła. Po drugiej stronie drogi drzwi domu Ruth Zardo otworzyły się i stara kobieta wyszła na zewnątrz. Stała tam przez moment i doktor Harris wydawało się, że Ruth mówi do jakiejś niewidocznej osoby. Po chwili zeszła po schodkach i na dole rzuciła jeszcze parę słów w przestrzeń.

W końcu jej odbiło – pomyślała doktor Harris. Usmażyła sobie mózg poezją i nie tylko.

Ruth odwróciła się i zrobiła coś, co lekko przeraziło lekarkę, która znała trochę mizantropiczną poetkę. Uśmiechnęła się i pomachała do niej. Doktor Harris odmachala jej i zastanawiała się, co za złośliwy plan wylągl się w głowie Ruth, że jest taka uradowana. I wtedy zobaczyła.

Gdy Ruth kuśtykała w poprzek drogi, za nią utworzył się mały ogonek złożony z malutkich ptaszków. Jeden z nich rozpostarł skrzydełka i zamachał nimi, drugi potykał się troszkę i zostawał z tyłu. Ruth zatrzymała się i poczekała na marudera, po czym ruszyła wolniej.

– Niezła rodzinka – powiedział Gamache, siadając obok doktor Harris.

– Niech pan spojrzy, co znalazłam.

Doktor Harris otworzyła dłoń, w której zagłębieniu spoczywało jajeczko. Było seledynowe jak jajka szpaka, ale to nie było szpacze jajko. Skorupka była nakrapiana także zielenią i różem w tak misterny, delikatny wzorek, że Gamache założył swoje półksiężycowe okulary, żeby to docenić.

– Gdzież je pani znalazła?

– Tu zaraz, pod ławką. Uwierzylby pan? Chyba drewniane. Tak sądzę. – Podała mu je.

Gamache podniósł je do twarzy i wpatrywał się, aż prawie zrobił zezą.

– Piękne. Ciekawe, skąd się wzięło.

Doktor Harris kręciła głową.

– Coś jest w tym miasteczku. Jak wytłumaczyć istnienie takiego miejsca jak Three Pines, gdzie poetki wyprowadzają kacząta na spacer, a sztuka spada z nieba?

Na wspomnienie nieba oboje popatrzyli na burzowe chmury, teraz zajmujące prawie połowę nieboskłonu.

– Nie spodziewałbym się, że z tego będą padać rembrandty – zażartował Gamache.

– Nie. Oczekiwałabym raczej czegoś bardziej abstrakcyjnego, nie klasyków.

Gamache się zaśmiał. Lubił doktor Harris.

– Biedna Ruth. Wie pan, przed chwilą się do mnie uśmiechnęła.

– Uśmiechnęła się? Czy myśli pani, że umiera?

– Nie, ale obawiam się, że jedno z tych maleństw owszem.

Doktor Harris wskazała na mniejsze z kaczątek, z wysiłkiem brnące przez trawę w kierunku stawu. Siedzieli z Gamache'em na ławce i obserwowali. Ruth wróciła po marudera i powolutku szła obok niego. Oboje szli, kulejąc, jak matka i dziecko.

– Co zabiło Madeleine Favreau, pani doktor?

– Efedryna. Poziom w jej organizmie był pięć lub sześć razy wyższy od zalecanej dawki.

Gamache pokiwał głową.

– Oczywiście to samo wykazała opinia toksykologiczna. Czy ktoś mógł podać jej to z kolacją?

– Tak musiało być. Ten środek działa dość szybko. Nie wydaje mi się, że byłoby trudno wsypać to do jakiegoś jedzenia.

– Ale to nie koniec, prawda? – zapytał Gamache. – Nie wszyscy, którzy przedawkują efedrynę, umierają z wyrazem grozy na twarzy.

– To prawda. Chce pan wiedzieć, co naprawdę ją zabiło?

Gamache przytaknął.

Sharon Harris spojrzała w górę, a jej silna, spokojna twarz wskazała w stronę wzgórza.

– To ją zabiło. Dawny dom Hadleyów.

– Ależ pani doktor, domy nie zabijają. – Gamache starał się zabrzmieć przekonująco.

– Może nie, ale strach owszem. Wierzy pan w duchy, nadinspektorze?

Kiedy milczał, zaczęła mówić dalej:

– Jestem lekarzem, naukowcem, ale bywałam w domach, które mnie przerażały.

Bywałam zapraszana na przyjęcia w naprawdę eleganckie miejsca. Niektóre z tych domów były nowe, ale i tak czułam w nich coś

przerazającego. Jakąś obecność.

Przez całą drogę do bistro dyskutowała sama ze sobą. Czy powinna powiedzieć mu wszystko? Czy powinna się przyznać? Wiedziała jednak, że musi. Żeby znaleziono mordercę, musiała sama się zdemaskować. Wiedziała jednak, że nigdy nie powie tego samego żadnemu innemu funkcjonariuszowi Sûreté.

– Wierzy pani w nawiedzone domy?

Doktor Harris nagle miała jedenaście lat i skradała się przez sosnowy zagajnik do pałacyku Tremblay. Był on skryty w lesie, opuszczony, mroczny, ponury.

– Kogoś tam kiedyś zabito – zasyczała jej do ucha przyjaciółka. – Chłopiec. Uduşono go i zakłuto nożem.

Sharon słyszała, że to wuj chłopca zatłukł go na śmierć, ale ktoś inny mówił, że go zagłodził.

Jakkolwiek by umarł, ciągle tam był. I czekał. Czekał, by opętać ciało innego dziecka. By wrócić do życia i pomścić swoją śmierć.

Podczołgały się kilka metrów od Tremblay. Była noc, otaczał je ciemny las. Wszystko, co znajome i spokojne za dnia, stało się nieznane. Gałęzie skrzypiały, słycać było kroki, coś zgrzytnęło i mała Sharon Harris uciekła, biegła przez las, potykając się, gałęzie drzew łapały ją, drapały po twarzy i plecach. Nagle usłyszała za sobą dyszenie. Czy to jej przyjaciółka, którą zostawiła? Czy martwy chłopiec, próbujący ją schwytać? Czuła na ramionach dotyk lodowatych dłoni, usiłujących desperacko odebrać jej życie.

Im dalej biegła, tym bardziej była przerażona, aż w końcu wypadła z za drzew, rozszlochana, przerażona i kompletnie sama.

Nawet dziś, gdy patrzyła w lustro, widziała małe blizny, które zostawiły drzewa i jej własny strach. Pamiętała tę noc, gdy zostawiła najlepszą przyjaciółkę, by złe porwało tamtą, nie ją. Oczywiście przyjaciółka wypadła z za drzew chwilę po niej, też zapłakana. Wiedziały obie, że martwy chłopiec faktycznie coś im ukradł. Ukradł zaufanie, którym darzyły się nawzajem.

Sharon Harris wierzyła, że domy mogą ulec opętaniu, ale wiedziała na pewno, że zdarza się to ludziom.

– Czy wierzę w nawiedzone domy, nadinspektorze? Naprawdę mnie pan o to pyta?

Lekarza, naukowca?

– Owszem. – Uśmiechnął się.

– A pan w to wierzy?

– Cóż, zna mnie pani, pani doktor. Ja wierzę we wszystko.

Zawahała się przez moment, a potem pomyślała: A niech tam.

– Ten dom jest opętany. – Nie musiała patrzeć, oboje wiedzieli, co ma na myśli. – Nie wiem przez co. Madeleine Favreau to wie, ale musiała umrzeć, żeby się dowiedzieć. Ja nie czuję aż takiej potrzeby wiedzieć.

Siedzieli w ciszy na ławce, w samym środku spokojnego miasteczka. Gdy oni rozmawiali o duchach, demonach, śmierci, wokół nich ludzie wyprowadzali psy, rozmawiali, pracowali w ogrodach. Gamache czekał, aż doktor Harris zacznie mówić dalej i obserwował, jak Ruth próbuje skłonić swoje kulki pierza, żeby wskoczyły do stawu.

– Poczytałam trochę o efedrynie. Otrzymuje się ją z – wyciągnęła z kieszeni notes

– krzewu przęśli.

– To zioło lecznicze, nieprawdaż?

– Wiedział pan?

– Oficer Lemieux mi powiedział.

– Rośnie wszędzie. To starodawny środek na przeziębienie i antyhistaminowy. Chińczycy znali go od stuleci. Nazywali go *Ma Huang*. Potem zabrały się za to firmy farmaceutyczne i zaczęły produkować efedrynę.

– Mówi pani, że rośnie dziko wszędzie...

– Zastanawia się pan, czy i tutaj? Owszem. Tu ma pan jedną z takich roślin. – Wskazała wielkie drzewo na frontowym trawniku.

Gamache wstał i podszedł tam, schylając się, by podnieść skórzasty, brązowy liść, opadły na jesieni.

– To miłorząb, ginko – powiedziała doktor Harris, podnosząc inny liść. Był niezwykle kształtu, bardziej jak wachlarz niż typowy liść, z grubymi żyłkami, jak muskuły. – Należy do tej samej rodziny.

– Czy ktoś mógł wydestylować z tego efedrynę? – Gamache pokazał jej listek.

– Nie wiem, czy substancja jest zawarta w korze, czy w liściach, czy w czymś jeszcze.

Wiem, że nawet, jeśli te rośliny należą do tej samej rodziny, to nie znaczy, że w tym też jest efedryna. Poza tym, jak mówiłam wcześniej, sama kombinacja efedryny i lęku nie wystarczała.

Skręcili i podeszli z powrotem do ławki. Gamache rozcierał w palcach liść, czując pod palcami jego żyłki.

– Coś jeszcze musiało się stać? – zapytał.

– Coś jeszcze musiało zaistnieć. – Pokiwała głową doktor Harris.

– Co takiego? – zapytał Gamache, mając nadzieję, że nie odpowie, że duch.

– Madeleine Favreau musiała być chora na serce.

– A była?

– Tak – potwierdziła doktor Harris. – Z sekcji zwłok wynika, że miała dość poważne uszkodzenie serca, niemal na pewno będące skutkiem raka piersi.

– Rak piersi uszkadza serce?

– Rak nie, ale leczenie. Chemioterapia. Rak piersi u młodych kobiet może być bardzo agresywny, więc lekarze zwalczają go dużymi dawkami chemii. Zwykle mówi się o tym pacjentkom przed rozpoczęciem terapii, ale równanie jest proste. Albo będą czuć się fatalnie przez parę miesięcy, stracą włosy, zaryzykują problemy z sercem, albo niemal na pewno umrą na raka piersi.

– Jezus zapłakał – szepnął Gamache.

– Tak sędzę.



– Strasznie poważnie pan wygląda. – Ruth Zardo podeszła do ławki. – Rozpierała pan sprawę Favreau?

– Pewnie tak. – Gamache wstał i skłonił się starej poetce. – Zna pani doktor Harris?

– Nie poznałyśmy się. – Kobiety uściśniły sobie ręce. To musiało być po raz dziesiąty, kiedy Sharon Harris została przedstawiona Ruth.

– Podziwialiśmy pani rodzinę. – Gamache skinął głową w stronę stawu.

– Czy mają imiona? – zapytała doktor Harris.

– Ta duża to Rosa, a ta mała Lilium. Znalazłam je w kwiatkach nad stawem.

– Pięknie – powiedziała doktor Harris, przyglądając się, jak Rosa wskakuje do stawu.

Lilium zrobiła krok i się potknęła. Ruth, zwrócona tyłem do ptaszków, przeczuła, że coś jest nie tak, szybko pokuśtykała w stronę sadzawki i wyłowiła maleństwo z wody zmoknięte, ale żywe.

– Niewiele brakowało – powiedziała Ruth, leciutko wycierając kaczki pyszczek rękawem.

Sharon Harris zastanawiała się, czy powinna coś powiedzieć. Ruth musiała chyba zauważyć, jak słabiotka jest Lilium?

– Zaraz będzie burza. – Doktor Harris spojrzała w niego. – Nie chcę być na szosie w środku nawałnicy. Ale mam jeszcze jedną informację, która będzie panu potrzebna.

– Co takiego? – Gamache odprowadził ją do samochodu, podczas gdy Ruth wracała do domu. Rosa kwakała, idąc za nią, a Lilium chowała się w jej dłoni.

– Nie sądzę, by to się przyczyniło do jej śmierci, przynajmniej nie bezpośrednio, ale to zastanawiające. Madeleine Favreau miała nawrót raka. I to poważny. Miała przerzuty na wątrobę.

Niewielkie, ale sądzę, że nie dożyłaby Gwiazdki.

Gamache przystanął, by przyswoić tę informację.

– Czy wiedziała?

– Nie wiem. Niewykluczone że nie, ale uczciwie? Kobiety z rakiem piersi,

które znałam, były w tak głębokim kontakcie ze swoim ciałem, że prawie posiadały parapsychiczne umiejętności. Kartezjusz się mylił. Ciało i umysł są jednym. Te kobiety wiedziały. Nie przy pierwszej diagnozie, ale jeśli choroba wracała? Wiedziały.

Sharon Harris wsiadła do samochodu i odjechała w momencie, gdy zaczęły spadać pierwsze, ciężkie krople deszczu, wiatr się wzmaczał, a niebo nad miasteczkiem stało się fioletowe i nieprzeniknione. Armand Gamache dotarł do bistro tuż przed oberwaniem chmury.

Zasiadając w fotelu, zamówił szkocką oraz lukrecjową fajeczkę, po czym spojrzął za okno. W miarę, jak burza rozpętywała się nad Three Pines, zastanawiał się, kto mógł chcieć zabić umierającą kobietę.

– Dobra książka? – Myrna zajrzała przez ramię Gamache’a.

Był tak zaabsorbowany lekturą, że nawet nie zauważył jej przyjscia.

– Nie wiem – przyznał i wręczył jej tomik.

Powyjmował z kieszeni wszystkie książki, jakie uzbierał. Czuł się jak wędrowna biblioteka. Inni oficerowie śledczy zbierali dowody i odciski palców, on zbierał książki. Nie wszyscy zgodziliby się, że to właściwa taktyka.

– Straszna burza. – Myrna opadła na wielkie krzesło naprzeciwko i zamówiła lampkę czerwonego wina. – Dzięki Bogu, że nie muszę wychodzić na zewnątrz. Gdybym chciała, mogłabym już nigdy nie wychodzić na zewnątrz. Wszystko, czego mi trzeba, jest tutaj.

– Radośnie rozłożyła ramiona, a jej kolorowy kaftan udrapował się na oparciach fotela. – Jedzenie od Sarah i pana Béliveau, towarzystwo i kawa tutaj...

– Czerwone wino, wasza wysokość – powiedział Gabri, stawiając pękaty kieliszek na ciemnym drewnianym stole.

– Możesz się oddalić. – Myrna skinęła głową w nadspodziewanie królewskim geście.

– Mam wino, szkocką i wszystkie książki, jakie zechcę czytać.

Uniosła kieliszek, Gamache poniósł swoją szklanę.

– *Santé*. – Uśmiechnęli się do siebie, upili łyk drinka i wpatrywali się w ulewny deszcz spływający po ołowianych szybkach okien.

– Cóż my tu mamy? – Myrna założyła okulary do czytania i przyjrzała się małemu tomikowi, który wręczył jej Gamache. – Gdzie pan to znalazł? – zapytała w końcu, pozwalając okularom na łańcuszku osunąć się na płaskowyż jej obfitej piersi.

– W pokoju, w którym umarła Madeleine. Stało na regale.

Myrna natychmiast odłożyła książkę, jak gdyby zło było zaraźliwe. Tomik leżał między nimi, okładka była prosta i przyciągająca wzrok. Mała dłoń obrysowana czerwienią. Obrys wyglądał jak krew, ale Gamache był usatysfakcjonowany wyjaśnieniem, że to tusz.

– To książka o magii – oznajmiła Myrna. – Nie widziałam nazwy wydawnictwa ani numeru ISBN. Pewnie jakieś małe, prywatne wydanie, w niskim nakładzie.

– Ma pani pomysł, jak stare może to być?

Myrna pochyliła się nad książką, ale nie dotknęła jej.

– Skóra pęka trochę na grzbiecie, parę stron jest obluzowanych. Klej musiał wyschnąć.

Powiedziałabym, że wydrukowano to przed pierwszą wojną światową. Jest jakaś inskrypcja w środku?

Gamache pokręcił głową.

– Widziała pani kiedyś coś podobnego w pani księgarni?

Myrna udawała, że myśli, ale знаła odpowiedź. Pamiętałaby coś tak makabrycznego.

Kochała książki. Wszystkie książki. Miała kilka pozycji o magii i okultyzmie. Ale jeśli takie coś, jak książka leżąca przed nimi, trafiłoby w jej ręce, oddałaby ją szybko. Komuś, kogo nie lubiła.

– Nie, nigdy.

– A ta? – Gamache sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął książkę, którą przeczytał ostatnio od deski do deski i nie miał ochoty się z nią rozstawać.

Spodziewał się uprzejmego, zaciekawionego spojrzenia. Może rozbawienia albo pogodnego „ooo, znam to”. Ale nie zgrozy.

– Gdzie pan to znalazł? – Myrna wyrwała mu książkę z ręki i wcisnęła w bok fotela.

– Co to jest? – zapytał Gamache zdziwiony jej reakcją.

Ale Myrna nie słuchała. Jej wzrok skanował pomieszczenie, aż spoczął na

stojącym w drzwiach panu Béliveau, który sprawiał wrażenie zamroczonego. Potem odszedł. Myrna sięgnęła po książkę i położyła ją na stole. Teraz zrobił się z nich mały stosik. Dziwny, oprawny w skórę tomik z czerwoną ręką, Biblia, a teraz jeszcze ta nowa, o którą było takie zamieszanie, z zabawną okładką.

– Kto to jest Sarah Binks? – Nadinspektor popukał palcem w leżącą na wierzchu książkę.

– Słowik z Saskatoon – odparła Myrna, jakby to wszystko wyjaśniało.

Gamache już szukał Sarah Binks w Internecie, wiedział o książce, która miała być hołdem dla najgorszej poetki świata. Książka była wielkoduszna, pełna ciepła, zabawna, a Madeleine ukrywała swój egzemplarz.

– Znalazłem ją ukrytą w szufladzie w sypialni Madeleine.

– Madeleine ją miała?

– Spodziewała się pani, że ktoś inny?

– Nie jestem w stanie śledzić, co się dzieje z książkami. Ludzie pożyczają je cały czas.

Przekleństwo w życiu księgarza. Zamiast kupować, pożyczają.

Wyglądała na zgnębioną, ale nie z powodu zaginionej książki. Rozglądała się po pomieszczeniu, nagle pobudzona i niespokojna.

– Co się stało? – zapytał Gamache, a po chwili znał odpowiedź.

Wzrok Myrny przestał krążyć i spoczął na przygarbionej postaci przy barze. Zauważyła, że pan Béliveau wyglądał na smutnego i zagubionego.

– Zawsze jest taki. – Myrna sięgnęła po garść orzeszków, rozsypując nerkowce po stole.

Gamache z roztargnieniem zebrał je i wrzucił do ust.

– Co to znaczy?

Myrna zawahała się przez moment.

– Wiem, że miał powody. Jego żona długo chorowała, zanim umarła. A teraz Madeleine nie żyje. A mimo to jest w stanie iść do pracy, otworzyć sklep i normalnie funkcjonować.

– Może przywykł do smutku. Może dla niego to już norma.

– Może. Gdyby pan stracił żonę, czy poszedłby pan nazajutrz do pracy?

– Madeleine nie była jego żoną – odparł Gamache, starając się przegnać z myśli obraz martwej Reine-Marie.

– Ale Ginette była, a on nazajutrz otworzył sklep. Czy jest odważny, czy też obserwujemy bliskiego nieprzyjaciela?

– Co takiego?

– Bliskiego nieprzyjaciela. To pojęcie psychologiczne. Oznacza dwa uczucia, które manifestują się tak samo, ale są kompletnymi przeciwieństwami. Jedno udaje drugie, jest mylnie interpretowane jako to drugie, ale pierwsze jest zdrowe, a drugie chore i wykręcone.

Gamache odstawił drinka. Krople zbierające się na bokach szklanki lekko zwilżyły mu palce. A może to pot nagle pojawił się na jego dłoniach? Odgłosy burzy, deszczu i gradu, bezlitośnie tłukącego w szyby, zagłuszały rozmowy i śmiechy w bistro.

Pochylił się i przemówił, bardzo cicho:

– Może mi pani podać przykład?

– Są trzy typowe pary – powiedziała Myrna, sama się pochylając i mówiąc szeptem, choć nie była pewna dlaczego. – Przywiązanie udaje miłość, litość – współczucie, a obojętność – spokój umysłu.

Armand Gamache milczał przez chwilę, patrząc Myrnie w oczy i próbując z nich wyczytać głębsze znaczenie tego, co właśnie powiedziała. Wiedział, że było w tym coś więcej.

Właśnie padło bardzo ważne zdanie. Nie rozumiał go jednak w pełni. Wzrok nadinspektora powędrował w kierunku kominka, podczas gdy Myrna odchyliła się głębiej w fotelu i zakręciła wino w pękatym kieliszku.

– Nie rozumiem – przyznał się w końcu Gamache, znów przenosząc wzrok na Myrnę. – Może pani mi wytłumaczyć?

Myrna skinęła głową.

– Najłatwiej jest zrozumieć litość i współczucie. Współczucie wymaga empatii. Ktoś, kto czuje współczucie, postrzega osobę budzącą to uczucie

jako równą sobie. Jeśli czuje się litość, postrzega się ją jako niższą.

– Ale trudno odróżnić jedno od drugiego – przytaknął Gamache.

– Zgadza się. Nawet osoba, która to czuje, nie zawsze je odróżnia. Wszyscy twierdzą, że są pełni współczucia. To bardzo szlachetne uczucie. Ale tak naprawdę czują litość.

– Litość jest więc bliskim nieprzyjacielem współczucia – ocenił Gamache, przetrawiając to powoli.

– Zgadza się. Wygląda jak współczucie, zachowuje się jak współczucie, ale tak naprawdę jest jego przeciwieństwem. Jak długo dominującym uczuciem jest litość, nie ma miejsca na współczucie. Litość niszczy i wypycha szlachetniejsze uczucie.

– Ponieważ oszukujemy się, wierząc, że czujemy jedno, podczas gdy naprawdę to to drugie.

– Oszukujemy siebie i innych – dopowiedziała Myrna.

– A miłość i przywiązanie? – zapytał Gamache.

– Klasyczny przykład to matka i dziecko. Niektóre matki postrzegają swoją rolę jako przygotowanie dziecka do życia w świecie. Żeby się usamodzielnili, pożeniły, miały własne dzieci. Żeby żyły tak, jak same wybiorą, i robiły to, co je uszczęśliwi. To jest miłość. Inne, i to się nierzadko widzi, przyklejają się do swoich dzieci. Sprowadzają do tego samego miasta, tej samej dzielnicy. Żyją ich życiem. Duszą je. Manipulują nimi, wpędzają w poczucie winy, robią z nich kaleki.

– Kaleki? W jaki sposób?

– Nie ucząc ich samodzielności.

– Ale to nie ogranicza się do matek i dzieci – powiedział Gamache.

– Nie. Tak bywa między przyjaciółmi, małżonkami, w każdej bliskiej relacji. Miłość pragnie tego, co najlepsze dla drugiej osoby. Przywiązanie bierze zakładników.

Gamache przytaknął. Naoglądał się tego trochę w życiu. Zakładnikom nie wolno było uciekać, a kiedy próbowali, wydarzały się tragedie.

– A to ostatnie? – Znowu pochylił się do przodu. – Co to było?

– Spokój umysłu i obojętność. Wydaje mi się, że to najgorszy z bliskich nieprzyjaciół, najbardziej szkodliwy. Spokój umysłu to równowaga. Kiedy w naszym życiu dzieje się coś, co nas przerasta, mocno to przeżywamy, ale mamy też zdolność nad tym zapanować. Musiał pan to widzieć. Ludzi, którzy przeżyli śmierć małżonka lub dziecka. Jako psycholog non stop na to patrzyłam. Niewyobrażalny smutek i cierpienie. Ale ludzie odnajdują wewnątrz siebie moralny punkt ciężkości. To się nazywa spokój umysłu. Umiejętność pogodzenia się z tym, co się stało, i życia dalej.

Gamache przytaknął. Niebywale wrażenie zrobiły na nim spotkania z rodzinami, które były w stanie wznieść się nad fakt, że ktoś bliski padł ofiarą morderstwa. Niektórzy nawet potrafili wybaczyć.

– W czym to przypomina obojętność? – zapytał, nie dostrzegając związku.

– Niech pan pomyśli. Ci wszyscy stoicy. Ci, którym powieka nie drgnie. Spokój w obliczu tragedii. Niektórzy mają na to dość odwagi. Ale niektórzy – tu Myrna ściszyła głos – to psychopaci. Po prostu nie czują bólu. A wie pan, czemu?

Gamache milczał. Tuż obok burza tłukła się o ołowiane szybki, jak gdyby desperacko próbując przerwać ich rozmowę. Grad walił o szkło, śnieg lepił się do niego, zasłaniając widok na miasteczko za oknem, aż czuł się tak, jakby z Myrną przebywali w całkiem innym świecie.

– Nie obchodzą ich inni. Nie odczuwają tego, co reszta z nas. Są jak Niewidzialny Człowiek z wszelkimi zewnętrznymi oznakami człowieczeństwa, ale pod nimi jest pustka.

Gamache poczuł, jak skóra mu stygnie, a gęsia skórka występuje na skrytych pod marynarką ramionach.

– Problem leży w odróżnianiu jednego od drugiego – szepnęła Myrna, próbując nie stracić z oczu sklepikarza. – Ludzie obdarzeni spokojem ducha są nieprawdopodobnie dzielni.

Absorbują ból, odczuwają go w pełni, pozwalają mu minąć. I wie pan co?

– Co? – szepnął Gamache.

– Wyglądają identycznie jak ci, których zupełnie nic nie obchodzi, którzy



są obojętni.

Opanowani, chłodni, spokojni. Szanujemy to. Ale kto jest dzielny, a kto jest bliskim nieprzyjacielem?

Gamache zapadł głębiej w fotel, rozgrzany ogniem kominka. Wiedział, że nieprzyjaciół jest blisko.

Lacoste i Lemieux poszli do domu, a inspektor Beauvoir został sam w biurze operacyjnym. Z wyjątkiem Nichol. Siedziała zgarbiona przy komputerze, jej ciastowata twarz wyglądała jak coś martwego.

Zegar wskazywał szóstą. Pora iść. Beauvoir wziął swoją skórzaną kurtkę i otworzył drzwi. Ale zaraz je zamknął.

– Ja cię kręcę.

– Co? – Nichol podeszła bliżej.

Inspektor cofnął się i zaprosił ją gestem, by otworzyła drzwi. Spojrzała na niego podejrzliwie, po czym szybko to zrobiła. Uderzyła w nią fala lodowatego deszczu i czegoś jeszcze. Odskakując do tyłu, zauważyła, że coś odbija się od ziemi. Grad. Kurwa, grad? Drzwi waliły teraz o framugę na wietrze. Sięgając, by je zamknąć, zauważyła też, że coś wiruje w świetle.

Kurwa, śnieg? Deszcz, grad i śnieg? To może jeszcze żaby?

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Lekko blaszany dzwonek telefonu komórkowego. Znajomy, choć Beauvoir nie rozpoznał, co to. Z pewnością nie jego komórka. Spojrzał na Nichol, która w końcu odzyskała cień rumieńca na twarzy. Wyglądała, jakby umalował ją mściwy przedsiębiorca pogrzebowy: na policzkach i czole miała wielkie czerwone plamy. Reszta twarzy zachowała woskowy wygląd.

– Zdaje się, że pani telefon dzwoni.

– To nie mój. Lacoste musiała zapomnieć o swoim.

– To pani. – Beauvoir postąpił w jej stronę. Doskonale mógł sobie wyobrazić, kto dzwoni.

– Proszę odebrać.

– To pomyłka.

– Jeśli pani tego nie zrobi, ja zrobię. – Wykonał krok w jej stronę, ona się cofnęła.

– Nie. Już odbieram – Otworzyła telefon powoli. Miała nadzieję, iż przestanie dzwonić, zanim przycisnie guzik. Ale telefon uparcie dzwonił. Beauvoir podszedł bliżej. Nichol odskoczyła, ale nie dość szybko. W jednej sekundzie Beauvoir chwycił telefon.

– *Bonjour?* – powiedział.

Rozmówca się rozłączył.

Bistro prawie opustoszało. Ogień trzaskał cicho na kominku, emitując bursztynowe i czerwone światło do środka. Było ciepło, przyjemnie i cicho, z wyjątkiem okazjonalnego huku burzy przy jej szczególnie gwałtownych wybuchach.

Beauvoir wyjął z torby książkę.

– Cudownie – powiedział Gamache, sięgając po książkę pamiątkową. Odchylił się w fotelu, założył okulary, sięgnął po swoje wino i jakby zniknął. Beauvoir nie pamiętał, by kiedykolwiek widział szefa tak szczęśliwego jak wówczas, gdy brał do ręki książkę.

Beauvoir wziął kromkę bagietki, posmarował ją grubo pasztetem i zjadł. Wiatr wył na zewnątrz. W środku było cicho i spokojnie. Kilka minut później drzwi się otworzyły i wpadła przez nie Jeanne Chauvet, z włosami i wyrazem przerażenia przyklejonymi do twarzy. Gamache wstał z miejsca i skłonił się jej lekko. Wybrała stolik daleko od nich.

– O co się pan założy, że to Nichol wygoniła ją z pensjonatu w środek burzy? Tylko ona mogła wystraszyć kobietę, która zawodowo zajmuje się wzywaniem umarłych.

Przyniesiono pierwsze danie. Gabri postawił supę z homara przed Gamache'em, przed Beauvoirem – francuską cebulową. Jedli, kontynuując rozmowę. To była ulubiona przez Beauvoira część śledztwa. Narada z Gamache'em. Przerzucanie się pomysłami i przemyśleniami.

Nieformalnie, bez żadnych notatek. Myśleli na głos. Przy jedzeniu i picciu.

– Co pana zaskoczyło? – zapytał Gamache, stukając w książkę pamiątkową.

Zupa, którą jadł, była jedwabista, o wyraźnym smaku homara, leciutko doprawiona koniakiem.

– Pomyślałem, że podpis pod jej zdjęciem z zakończenia szkoły może mieć znaczenie.

– Ta wzmianka o więzieniu Tanguay. Tak, też to zauważyłem.

Gamache po raz kolejny popatrzył na fotografie absolwentów, tym razem spoglądając na Hazel. Było widać, że poszła do kosmetyczki, zanim zrobiono to zdjęcie. Jej twarz była nabrzmiała, oczy czarne, za mocno umalowane tuszem, wylupiaście. Pod jej zdjęciem napisano: *Hazel lubi sport i kółko dramatyczne*. I jeszcze: *She never got mad*<sup>[16]</sup> – *Nigdy się nie wścieka*.

Nigdy się nie wścieka, pomyślał Gamache i zastanowił się, czy to przykład równowagi ducha, czy obojętności. Któż się nigdy nie złości? Spojrzał na stronę kółka dramatycznego. Było tam zdjęcie Hazel, uśmiechniętej, obejmującej inną mocno umalowaną aktorkę. Poniżej podpis:

„Madeleine Gagnon jako Rozalinda w *Jak wam się podoba*”. Opis szkolnego przedstawienia, które było wielkim sukcesem, został napisany przez producentkę. Hazel Lang.

– Zastanawiam się, jak Madeleine znajdowała czas na to wszystko. Sporty, kółko teatralne – powiedział Beauvoir. Przerzucił kilka stron i znalazł to, czego szukał. – O proszę, widzi pan? Oto ona.

Faktycznie, oto była Madeleine, z blaknącym uśmiechem i włosami lśniącymi nawet na czarno-białej fotografii. Wszystkie dziewczęta miały na sobie krótkie, kraciaste spódnice. Obcisłe sweterki. Twarze świeże, wesole. Wszystkie młode i śliczne. Gamache przeczytał imiona członkiń drużyny. Monique, Joan, Madeleine, Georgette. Jednej brakowało. Dziewczyny o imieniu Jeanne. Jeanne Potvin.

– Musiał pan zauważyć imię brakującej cheerleaderki? – zapytał Gamache.  
– Jeanne.

Odwrócił książkę w stronę Beauvoira, po czym popatrzył na samotną kobietę przy stoliku.

– Nie sądzi pan chyba... – Beauvoir machnął głową w tamtą stronę.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzają.

– Jak seanse spirytystyczne i duchy? Myśli pan, że magicznym sposobem przeistoczyła się z ślicznej cheerleaderki w to?

Obaj popatrzyli na myszowatą kobietę, ubraną w ponury sweter i spodnie.

– *Widziałem kwiaty wśród jałowej ziemi, i brzydkich ludzi, co dobro czynili*<sup>[17]</sup> – zacytował Gamache, patrząc na Jeanne Chauvet.

Wtedy właśnie wszedł Olivier z kolacją. Beauvoir był podwójnie zadowolony. Olivier nie tylko przyniósł jedzenie, ale także powstrzymał szefa przed recytowaniem poezji. Beauvoir był już zmęczony udawaniem, że rozumie rzeczy, które kompletnie go przerastały. *Coq au vin* dla Gamache’a emanował intensywnym, ziemistym aromatem z nieoczekiwaną klonową nutą.

Delikatna fasolka i glazurowane marchewki spoczywały w oddzielnych białych miseczkach. Przed Beauvoirem postawiono olbrzymi befsztyk z grilla z cebulą z patelni. W jego miseczce leżała wielka sterta frytek. Beauvoir był gotów umrzeć już i zaraz, ale wtedy ominąłby go deser, złożony z *crème brûlée*.

– Jak pan myśli, kto to zrobił? – zapytał Beauvoir, pogryzając swoje *frites*.

– Jak na kobietę, którą wszyscy kochali, mamy zadziwiająco wielu podejrzanych – odparł inspektor Gamache. – Zamordował ją ktoś, kto miał dojście do efedryny i wiedział o seansie. Ale prawdopodobnie morderca wiedział jeszcze o czymś.

– O czym?

– Że Madeleine Favreau miała chore serce.

Gamache opowiedział Beauvoirovi o raporcie koroner.

– Ale nikt, z kim rozmawialiśmy, nie wspomniał o tym – powiedział Beauvoir, popijając piwo. – Czy to możliwe, że morderca nie wiedział? Pomyślał, że wystarczy dać jej efedrynę i zabrać ją do dawnego domu Hadleyów?

– To możliwe. – Gamache wytarł sos kawałkiem miękkiego, ciepłego chleba.

– Ale skoro Madeleine miała chore serce, dlaczego robiła z tego tajemnicę? Jakie inne sekrety miała Madeleine i próbowała zabrać ze sobą do grobu, nawet wrzeszcząc?

– Może morderca po prostu miał szczęście – zauważył Beauvoir. Ale obaj mężczyźni wiedzieli, że jakkolwiek ten morderca polegał na wielu rzeczach, ślepy traf do nich nie należał.

Jeanne Chauvet siedziała zwrócona plecami do wnętrza i próbowała udawać, że chce być sama. Że fascynuje ją ciepło i wesoły blask kominka. Że nie bolą i nie ranią jej lodowate spojrzenia mieszkańców miasteczka, prawie tak bezlitosne jak burza na zewnątrz. Próbowała udawać, że tu przynależy. Do Three Pines.

Kiedy kilka dni wcześniej jej autko ześlizgnęło się w dół ulicy du Moulin, natychmiast poczuła się wygodnie w tym miasteczku, skąpanym w słońcu, wśród drzew pokrytych żółtozielonymi pączkami i ludzi, uśmiechających się i kłaniających się sobie nawzajem.

Niektórzy kłaniali się nawet nisko, tak jak teraz Gamache, w uprzejmy, dworski sposób, który zdawał się nie istnieć poza tą magiczną doliną.

Jeanne Chauvet widziała dość na tym i na tamtym świecie, by umieć rozpoznać magiczne miejsce. A Three Pines takim było. Czuła się tak, jakby przez całe życie pływała, aż nagle wynurzyła się ta wyspa. Tamtej nocy spoczęła w łóżku w pensjonacie, owinięta świeżo nakrochmaloną pościelą, a do snu ukołysał ją śpiew żab w sadzawce. Lata zmęczenia zaczęły z niej spływać. Nie wyczerpania, ale zmęczenia, takiego, jakby jej kości skamieniały, obróciły się w skałę i ściągały ją na zarośnięte wodorostami dno.

Jednak tamtej nocy w łóżku wiedziała, że Three Pines wybawiło ją od tego. Od momentu, gdy dostała w poczcie broszurę, ośmieliła się mieć nadzieję, że tak będzie. Ale wtedy, w tamten piątkowy wieczór zobaczyła Madeleine na seansie i jej wysepka zatonięła jak Atlantyda. Znowu była pod wodą, całkowicie.

Upiła łyk mocnej, pachnącej kawy Oliviera – była koloru karmelu od dodatku śmietanki – i udawała, że miejscowi, którzy zdawali się tak przyjaźni, gdy przybyła, nie zamienili się w kamienie, zimne, twarde i

niezycliwe. Niemal mogła sobie wyobrazić, że idą w jej stronę z pochodniami w rękach i grozą w oczach.

Wszystko z powodu Madeleine. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Jedyne, czego Jeanne kiedykolwiek pragnęła, to znaleźć miejsce dla siebie, a Madeleine skutecznie jej to odebrała.

– Możemy się przysiąść?

Sploszona Jeanne spojrzała w górę. Spoglądali na nią stamtąd Armand Gamache i Jean Guy Beauvoir. Gamache stał z ciepłym uśmiechem na twarzy, patrząc łagodnym, uważnym wzrokiem. Drugi z nich wyglądał na skwaszonego.

Nie chce tu ze mną przebywać – pomyślała Jeanne, choć wiedziała, że nie trzeba parapsychicznych zdolności, by się tego domyślić.

– Proszę. – Wskazała dwa miękkie fotele po dwóch stronach paleniska, których wyblakła tapicerka nagrzała się od ognia.

– Zamierzacie się gdzieś przenieść? – sapnął Gabri.

– Noc jest jeszcze młoda, *patron*. – Uśmiechnął się Gamache.

– Na co ma pani ochotę? – zwrócił się do Jeanne.

– Mam kawę, dziękuję.

– My właśnie mieliśmy zamówić likiery. Na taki wieczór w sam raz. – Rzucił krótkie spojrzenie na podzielone na szybki okno, odbijające ciepłe wnętrze bistro. Stare szyby zdrzały pod kolejnym uderzeniem wiatru, a lekkie podzwaniecie dało znak, że grad jeszcze nie minął.

– Boże, jak możemy żyć w kraju, co robi nam takie rzeczy? – westchnął Gabri.

– Poproszę espresso, brandy i kieliszeczek benedyktyнки – zamówił Beauvoir.

Gamache zwrócił się ku Jeanne. Z jakiegoś powodu czuła się jak w towarzystwie swojego ojca, a może dziadka, mimo że nadinspektor Gamache nie mógł być starszy od niej o więcej niż dziesięć lat. Było w nim coś staroświeckiego i europejskiego, jakby pochodził z innej epoki, innego stulecia. Zastanawiała się, czy Gamache'owi trudno żyć w takim świecie. Ale

pomyślała, że raczej nie.

– Tak, ja poproszę... – Zastanowiła się chwilę, po czym odwróciła się, by popatrzeć na rząd butelek z likierami na półce z tyłu baru. Tia Maria, krem miętowy, koniak. Odwróciła się z powrotem w stronę Gabriego. – Kieliszek cointreau, *s'il vous plaît*.

Gamache zamówił drinka dla siebie, po czym cała trójka zaczęła dyskutować o pogodzie, o kantonach wschodnich i o warunkach na drogach, aż przyniesiono ich drinki.

– Czy zawsze miała pani parapsychiczne zdolności, madame Chauvet? – zapytał Gamache, kiedy Gabri z wahaniem wreszcie odszedł.

– Tak sędzę, ale dopiero od mniej więcej dziesięciu lat uświadomiłam sobie, że nie wszyscy postrzegają świat tak jak ja. – Uniosła maleńki kieliszek do nosa i powąchała. Pachniało pomarańczowo, słodko i jakby ciepło. Oczy zaszkliły się jej od samego zapachu. Podniosła kieliszek i oblizała usta. Chciała, żeby to wszystko trwało. Smaki, zapachy, obrazy.

Towarzystwo.

– Jak to pani odkryła?

Zwykle nie rozmawiała o takich rzeczach, ale ludzie nie pytali. Zawahała się, wpatrywała w Gamache'a przez dłuższą chwilę. Wreszcie przemówiła.

– Na przyjęciu urodzinowym przyjaciółki. Spojrzałam na zapakowane prezenty i wiedziałam dokładnie, co jest w środku.

– Cóż, mam nadzieję, że się pani nie wygadała – powiedział Gamache, po czym przyjrzał się jej uważniej. – Powiedziała pani wszystkim, prawda?

Beauvoir był odrobinę dotknięty tym parapsychologicznym zainteresowaniem szefa.

Jakkolwiek by patrzeć, to inspektor podobno urodził się w czepku. Kiedy Nichol powlokła się wreszcie do pensjonatu, spędził późne popołudnie, przeszukując Internet w poszukiwaniu informacji o czepkach. Nie był z początku pewien, jak to się właściwie nazywało. Czepek? Czy może kaptur? W końcu przypomniał sobie, że słyszał o kapturze Batmana. Wygugłał więc Batmana i nagle wszystko zaczęło mieć sens. Codziennie niespodzianki. Na



początku myślał, że urodził się w czapce-kominiarce z dziwną maską i spiczastymi czarnymi uszami. Potem jednak poszukał „czepka” i na ekranie zaczęły się pojawiać rzeczy o wiele bardziej makabryczne.

– Tak – odparła Jeanne. – Przeszłam przez połowę sterty, mówiąc wszystkim, co jest w paczkach, kiedy dziewczynka, której urodziny obchodzono, wybuchła płaczem. Do dzisiaj pamiętam, jak rozejrzałam się po pokoju: wszystkie dziewczynki, moje przyjaciółki, wpatrywały się we mnie. Wściekłe i urażone. A za nimi ich matki. Z lękiem w oczach. Potem już nic nie było tak samo. Wydaje mi się, że zawsze widziałam różne rzeczy, ale zakładałam, że wszyscy je widzą. Że słyszą głosy, widzą duchy. Wiedzą, co będzie dalej. Nie zawsze. Tylko w niektórych wypadkach. Ale to dość.

Jej głos był pogodny, ale Gamache wiedział, że to musiało być trudne. Spojrzał przez ramię Jeanne na mieszkańców miasteczka przy stolikach, jedzących niezobowiązującą, cichą kolację. Ale do Jeanne nikt nie podchodził. Dziwaczka. Medium. Wiedźma. Wiedział, że to dobrzy ludzie. Ale nawet dobrzy ludzie mogą się bać.

– To musiało być ciężkie dla pani – zauważył.

– Inni mają gorzej. Niech mi pan wierzy, ja to wiem. Nie jestem niczyją ofiarą, nadinspektorze. Poza tym nigdy, przenigdy nie zdarzyło mi się zgubić kluczy. Może pan to samo powiedzieć o sobie?

Mówiąc to, patrzyła na Gamache’a, ale jej szeroki uśmiech zbladł trochę, gdy odwróciła się w stronę inspektora. Jej twarz była tak pełna troski i zrozumienia, że inspektor niemal przyznał, że owszem, on też nigdy w życiu nie zgubił kluczy. Urodził się w czepku. Zadzwonił do matki i zapytał o to, a po chwili wahania ona przyznała, że tak właśnie było.

– *Mais, maman*, dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Wstydziałam się. Kiedyś uważano, że to powód do wstydu, Jean Guy. Nawet zakonnice w szpitalu były zdenerwowane.

– Ale dlaczego?

– Dziecko w czepku urodzone albo ma fart, albo jest przeklęte. To oznacza, że widzi i słyszy różne rzeczy.

– A mnie się to zdarzało? – Czuł się jak idiota, pytając o to. W końcu to on powinien wiedzieć.

– Nie wiem. Za każdym razem, gdy mówiłeś coś dziwnego, ignorowaliśmy cię. Po jakimś czasie ci przeszło. Przepraszam, Jean Guy. Może nie mieliśmy racji, ale nie chcieliśmy, żebyś był przeklęty.

Niemal zapytał: ja czy wy?

– Ale może jestem farciarzem, mamó.

– To też przekleństwo, *mon beau*.

Wręczono go matce z całą głową owiniętą jakby welonem. Czymś, co oddzielało go od świata. Z membraną, która powinna była zostać we wnętrzu jego matki, ale jakimś cudem wyszła na świat z nim. To było rzadkie, niepokojące i nawet do dzisiejszego dnia, wedle niektórych badań, ludzie wierzyli, że dzieciom urodzonym w czepku przeznaczone jest wieść niezwykle życie – życie pełne duchów, umarłych i umierających. I że mają one zdolność przepowiadania przyszłości.

Czy dlatego pracował w wydziale zabójstw? Czy dlatego zdecydował, że chce spędzać cały dzień pracy wśród zmarłych i ścigać tych, którzy zamieniają innych w duchy? Od ponad dekady szydził, wyśmiewał i krytykował swojego szefa za to, że tak bardzo polega na intuicji.

A nadinspektor uśmiechał się tylko i robił swoje, podczas gdy Beauvoir chylił czoła przed perfekcją faktów, rzeczy, które można było zobaczyć, usłyszeć i dotknąć. Ale teraz nie był taki tego pewny.

– Co panią tu sprowadziło? – Gamache zwrócił się do Jeanne Chauvet.

– Dostałam w poczcie broszurkę. Wyglądała cudownie, a ja potrzebowałam odpoczynku.

Myślałam, że mówiłam już panu o tym.

– Czy bycie medium jest męczące? – dopytywał się Beauvoir z nagłym zainteresowaniem.

– Bycie recepcjonistką w salonie samochodowym jest męczące. Ja potrzebowałam odpocząć, a tu wydawało się idealnie.

Czy powinna powiedzieć im resztę? O notatce napisanej na broszurze?

Widziała broszurkę na korytarzu w pensjonacie – nic takiego na niej nie było. Czy naprawdę ktoś zadał sobie trud napisania tego dziwnego zdania na jej broszurze, żeby ściągnąć ją do Three Pines?

Czy popadała w paranoję?

– Skąd pani pochodzi? – zapytał Gamache.

– Z Montrealu. Urodziłam się tam i wychowałam.

Gamache wręczył jej księgę pamiątkową.

– Wygląda znajomo? – spytał.

– To księga pamiątkowa. Ja też dostałam taką ze swojej szkoły. Nie zaglądałam do niej od lat. Prawdopodobnie gdzieś mi przepadła.

– Wydawało mi się, że powiedziała pani, iż nigdy nie gubi rzeczy – przypomniał jej Beauvoir.

– Tych, których nie chcę zgubić. – Uśmiechnęła się, zwracając książkę Gamache'owi.

– Do jakiej szkoły pani chodziła? – pytał dalej Gamache.

– Do liceum imienia Garetha Jamesa w Verdun. Dlaczego pan pyta?

– Staram się tylko dowiedzieć, czy jest jakiś związek. – Gamache leniwie zakręcił koniakiem w kieliszku. – Ludzie rzadko mordują osoby, których nie znają. Coś jest w tej sprawie.

– Pozwolił, by ta kwestia zawisła w powietrzu, nie czując potrzeby tłumaczenia.

– W tej sprawie jest dziwna bliskość – odezwała się cicho Jeanne. – Nie, nawet więcej.

Jakby tłok.

Gamache pokiwał głową, wciąż wpatrując się w bursztynowy napój.

– W Niedzielę Wielkanocną, w dawnym domu Hadleyów, przeszłość dogoniła Madeleine Favreau. Coś pani obudziła do życia.

– To nie fair. Zaproszono mnie tylko na seans. To nie był mój pomysł.

– Mogła pani odmówić – odrzekł. – Przed chwilą mówiła pani, że wie pewne rzeczy, przeczuwa je, widzi. Czy nic pani nie widziała?

Wiatr na zewnątrz wył, a Jeanne Chauvet sięgała pamięcią do tamtej nocy, w tym samym bistro. Ktoś zasugerował seans. Ktoś zasugerował dawny dom Hadleyów. I coś się zmieniło.

Czuła to. Strach, który zakradł się do ich pogodnego, roześmianego kręgu. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Madeleine, śliczną, roześmianą Madeleine, która wyglądała na zmęczoną i zdenerwowaną. Madeleine nawet jej nie rozpoznała. Jeanne dostrzegła ledwo skrywany wstręt, jaki budził u Mad pomysł seansu w dawnym domu Hadleyów. I to wystarczyło. Choćby w tym momencie spadł na nich autobus, jedyne, co widziała teraz Jeanne, to sposób, by zranić Madeleine. Do głowy jej nie przyszło, by odmówić udziału w drugim seansie.

– Nie powinnaś być w pracowni? – zapytał Peter, nalewając sobie kolejną kawę i podchodząc do długiego, sosnowego stołu kuchennego. Obiecywał sobie, że nic nie powie.

A już szczególnie, że nie będzie przypominać Clarze, że czas ucieka. Ostatnia rzecz, jaką potrzebowała usłyszeć, to to, że Denis Fortin przyjedzie już za trzy dni. Żeby zobaczyć jej wciąż niedokończony obraz. – Będzie tu za mniej niż tydzień. – Usłyszał własny głos. Czuł się, jakby coś go opętało.

Clara wpatrywała się w poranną gazetę. Pierwsza strona była poświęcona okropnej burzy, która połamała drzewa, zniszczyła drogi, spowodowała przerwy w dostawie prądu w całym Quebecu, a potem zniknęła.

Dzień wstawał pochmurny, mżyło. Zwykły kwietniowy dzień. Do rana śnieg i grad stopniały, jedynymi śladami po burzy były połamane gałązki i wygniecione przez wiatr kwiaty.

– Wiem, że dasz radę – powiedział stojący obok Peter. Clara wyglądała na wyczerpaną.

– Ale może powinnaś trochę odpocząć. Przestać na chwilę myśleć o tym obrazie.

– Zwariowałaś? – Spojrzała w górę. Jej błękitne oczy były zaczerwienione, Peter zastanawiał się, czy płakała. – To moja wielka szansa. Nie mam już czasu.

– Ale jeśli teraz pójdziesz do pracowni, popsujesz go jeszcze bardziej.

– Jeszcze bardziej?

– Nie to chciałem powiedzieć. Przepraszam.

– Boże, co ja zrobię? – Otarła ręką zmęczone oczy.

Nie spała przez większość nocy, z początku leżąc w łóżku i próbując zasnąć. Kiedy to nie zadziało, obsesyjnie rozmyślała nad obrazem. Nie

wiedziała już, co robi. Czy była tak zdenerwowana po śmierci Madeleine, że nie potrafiła oczyścić umysłu, by coś stworzyć? To była wygodna i pocieszająca myśl.

Peter ujął jej drobne dłonie i zauważył, że były upačkane niebieską farbą olejną. Czy nie umyła ich od wczoraj, czy była już w pracowni od rana? Instynktownie przysunął kciuk do plamy farby i potarł. Ślady pochodziły z dzisiejszego poranka.

– Słuchaj, a może byśmy wydali małą kolację? Moglibyśmy zaprosić Gamache’a i kilka innych osób. Założę się, że nadinspektorowi dobrze by zrobił domowy posiłek.

Gdy te słowa wyszły z jego ust, uświadomił sobie ze zgrozą, jakie były okrutne, każde z nich. To była ostatnia rzecz, jaką Clara powinna robić. Nie powinna się rozpraszać, powinna pracować pomimo obaw, powinna mieć spokój w pracowni. Przyjęcie z kolacją w tej chwili byłoby katastrofą.

Czy on oszalał? – zastanawiała się Clara. Obraz był głęboko w lesie, a Peter sugerował, żeby urządzić przyjęcie? Mimo że wyglądało na to, że straciła talent, mężę, inspirację, odwagę, jednego z pewnością nie utraciła: pewności, że Peter chce dla niej jak najlepiej.

– Świetny pomysł. – Próbowała się uśmiechnąć.

Panika, jak się przekonała, wykańczała ją kompletnie. Spojrzała na zegar na kuchence.

Siódma trzydzieści. Podniosła kubek z kawą, zawołała Lucy, ich golden retrievera, włożyła płaszcz, kalosze i wyszła. Powietrze pachniało czysto, a jeśli nie czysto, to przynajmniej naturalnie. Ziemią. Wszędzie unosił się zapach świeżych liści, drewna i ziemi. I dymu z palonych dREW. Dzień pachniał pięknie, ale sceneria wokół przypominała pobojuwisko. Burza wygniotła wszystkie młode tulipany i żonkile. Clara schyliła się, by podnieść jeden z nich, mając nadzieję, że kwiat się wyprostuje, ale on opadł, gdy tylko go puściła.

Clara nigdy nie zajmowała się ogrodnictwem. Całą swoją energię twórczą inwestowała w sztukę. Na szczęście Myrna uwielbiała pracę w ogrodzie, a co

się jeszcze lepiej składało, nie miała własnego. W zamian za obiady i filmy Myrna zamieniła skromny ogródek Clary i Petera w prześliczne grządki obsadzone bylinami, na których rosły róże, peonie, ostróżki i naparstnice.

Jednak na początku kwietnia jedynie wiosenne rośliny cebulkowe ośmielały się kwitnąć – no i proszę, co się z nimi stało.

Armanda Gamache'a obudziło ciche pukanie do drzwi. Zegar na nocnym stoliku wskazywał szóstą dziesięć. Mdłe światło sączyło się do jego wygodnego pokoju. Nasłuchiwał, znów rozległo się pukanie. Gramoląc się z łóżka, narzucił szlafrok i otworzył drzwi. Stał tam Gabri, z ciemnymi włosami sterczącymi z jednej strony. Był nieogolony, ubrany w znoszony szlafrok i włochate kapcie. Wydawało się, że im bardziej elegancki i wyrafinowany stawał się Olivier, tym bardziej Gabri popadał w abnegację. Wszechświat pozostawał w równowadze.

Olivier musi dziś wyglądać wyjątkowo wspaniale – pomyślał Gamache.

– *Désolé* – szepnął Gabri. Uniósł rękę i Gamache dostrzegł w niej gazetę. Serce mu się ścisnęło.

– Właśnie przynieśli. Pomyślałem, że będzie chciał pan to zobaczyć, zanim inni to zrobią.

– Czy ktoś już widział?

– Cóż, ja. I Olivier. Ale nikt więcej.

– To bardzo uprzejme z pana strony, Gabri. *Merci*.

– Zrobię kawy. Niech pan zejdzie na dół, kiedy będzie pan gotów. Przynajmniej burza minęła.

– Tak pan sądzi? – zapytał Gamache z uśmiechem.

Zamknął drzwi, położył gazetę na łóżku, po czym wziął prysznic i się ogolił.

Odświeżony, popatrzył na gazetę, plamę czerni i szarości na białej pościeli. Szybko przewrócił strony, zanim odwaga go opuści. Aż znalazł. To było gorsze, niż się spodziewał. Szczeka mu się zacisnęła, zęby trzonowe ścisnęły się i odsuwały. Czuł, jak oddycha ciężko, wpatrując się w fotografię. Jego córka Annie. Annie i jakiś mężczyzna. Całujący się.

„Annie Marie Gamache i jej kochanek, Maître Paul Miron z prokuratury”.

Gamache zamknął oczy. Gdy je otworzył, fotografia wciąż tam była. Przeczytał artykuł dwukrotnie. Zmuszał się, by robić to wolno. By przeżuwać, połykać i trawić obrzydliwe słowa.

Potem siedział w ciszy i rozmyślał.

Chwilę później zadzwonił do Reine-Marie, budząc ją.

– *Bonjour*, Armand. Która godzina?

– Prawie siódma. Dobrze spałaś?

– Niespecjalnie. Kręciłam się trochę. A ty?

– Tak samo – przyznał.

– Mam złe wiadomości. Henri zjadł twoje ulubione kapcie, przynajmniej jeden.

– Żartujesz. Nigdy wcześniej tego nie robił. Ciekawe, co go napadło.

– Tęskni za tobą, i ja też. I kocha cię, nie za mądrze, ale mocno.

– Nie zjadłaś drugiego z moich kapci, prawda?

– Obgryzłam tylko troszkę. Ledwo co widać. – Nastąpiła cisza, a potem Reine-Marie zapytała: – Co się stało? Następny wstrętny artykuł?

Wyobrażał ją sobie w drewnianym łóżku z prostą kołdrą i puchowymi poduszkami, w czystej białej pościeli. Miała pod głową dwie poduszki, jej nagie ciało owinięte było pościelą.

Nie dlatego, żeby się wstydzila, tak było jej cieplej.

– Bardzo okropny?

– Wystarczająco. To o Annie. – Wydawało mu się, że słyszy ostry oddech. – Pokazuje ją, jak całuje mężczyznę, zidentyfikowanego jako Maître Paul Miron. To prokurator. Żonaty.

– Ona też jest mężatką – powiedziała Reine-Marie. – Och, biedny David. Biedna Annie.

Annie nigdy by nie zrobiła tego Davidowi. Ani nikomu innemu. Nigdy.

– Zgadza się. W skrócie chodzi o to, że udało mi się uniknąć oskarżenia o morderstwo w sprawie Arnota dlatego, że kazałem Annie przespać się z



prokuratorem.

– Armand! *Mais, c'est épouvantable*. Jak oni mogą? Nie pojmuję, jak ktokolwiek może robić takie rzeczy?

Gamache zamknął oczy i poczuł, jak w jego piersi otwiera się dziura, tam, gdzie powinna być Reine-Marie. Z całego serca pragnął teraz być przy niej. Przytuliłby ją, otoczył swoimi silnymi ramionami. A ona przytuliłaby jego.

– Armandzie, co zrobimy?

– Nic. Będziemy stać twardo. Zadzwonię do Annie, porozmawiam z nią. Wczoraj rozmawiałem z Danielem. Chyba się nieźle trzyma.

– Czego ci ludzie chcą?

– Żebym złożył rezygnację.

– Dlaczego?

– To zemsta za Arnota. Stałem się symbolem hańby, jaka spadła na Sûreté.

– Nie, to nie o to chodzi, Armandzie. Myślę, że masz za duże wpływy.

Po tym, jak się rozłączyli, Gamache zadzwonił do córki. Ją także obudził. Wymknęła się do innego pokoju, by móc rozmawiać, a potem usłyszała, że David się kręci.

– Tato, muszę iść porozmawiać z Davidem. Zadzwonię później.

– Annie, strasznie mi przykro.

– To nie twoja wina. Boże, on idzie na dół po gazetę. Muszę lecieć. Przez moment Armand Gamache wyobrażał sobie scenę w ich domu w montrealskiej *quartier* Plateau Mont-Royal. Davida, rozczochranego i osłupiałego. I tak zakochanego w Annie. Annie, energiczną, ambitną, pełną życia. I tak zakochaną w Davidzie.

Wykonał jeszcze jeden telefon. Do swojego przyjaciela i przełożonego, Michela Brébeufa.

– *Oui, allô* – zabrzmiał znajomy głos.

– Przeszkadzam?

– Ależ skąd, Armandzie. – Głos był przyjemny i ciepły. – Zamierzałem zadzwonić do ciebie dziś rano. Widziałem wczorajsze gazety.

– A dzisiejszą?

Zapadła cisza, po czym Gamache usłyszał, jak Michel woła: „Catherine, przynieśli już gazetę? *Oui*? Możesz mi ją podać?”. Chwileczkę, Armandzie.

Gamache usłyszał szelest, gdy Brébeuf przewracał strony. Nagle przestał.

– *Mon Dieu*. Armand, *c'est terrible*. *C'est trop*. Rozmawiałaś z Annie?

Annie była chrześniaczką i szczególną ulubienicą Michela.

– Przed chwilą. Jeszcze tego nie widziała. Rozmawia teraz z Davidem. Oczywiście, to nieprawda.

– Żartujesz. Ja w to nie wierzę – powiedział Brébeuf. – Oczywiście, że to kłamstwa. Obaj wiemy, że Annie nigdy nie uwikłałaby się w romans. Armandzie, to się robi niebezpieczne. Ktoś uwierzy w te bzdury. Może powinieneś wyjaśnić.

– Tobie?

– Nie, nie mnie, reporterom. Na tym pierwszym zdjęciu byłeś ty, rozmawiający z Danielem. Dlaczego nie zadzwonisz do redakcji i nie sprostujesz? Jestem pewien, że masz wytłumaczenie dla tej koperty. A właśnie, co w niej było?

– W tej, którą dałem Danielowi? Nic ważnego.

Zapadła cisza. W końcu Brébeuf przemówił poważnym głosem:

– Armand, czy to był *crêpe*?

Gamache się roześmiał.

– Jak zgadłeś, Michel? Dokładnie to. Stary rodzinny *crêpe*, moja *grandmère* takie robiła.

Brébeuf zaśmiał się, po czym umilkł.

– Jeśli nie powstrzymasz tych insynuacji, będzie ich więcej. Zwołaj konferencję prasową, powiedz wszystkim, że Daniel to twój syn. Powiedz im, co było w kopercie. I o Annie. Co to szkodzi?

Co to szkodziło?

– Kłamstwa nigdy się nie skończą, Michel. Wiesz o tym. Utnij tej hydrze głowę, a odrośnie silniejsza i bardziej jadowita. Jeśli odpowiemy, będą

wiedzieć, że nas mają. Nie zrobię tego. I nie złożę rezygnacji.

– Mówisz jak dziecko.

– Dzieci potrafią być mądre.

– Dzieci są uparte i samolubne – odwarł Brébeuf. Zapadła cisza. Michel Brébeuf zmusił się, by zrobić przerwę. Policzyć do pięciu. Sprawić wrażenie, że intensywnie myśli. Po czym przemówił. – Wygrałeś, Armand. Ale pozwolisz, że popracuję nad tym za kulisami? Mam trochę kontaktów w gazetach.

– Dzięki, Michelu. Byłbym wdzięczny.

– Dobrze. Wracaj do pracy, skup się na śledztwie. Nie rozpraszaaj się i nie martw o to. Ja się tym zajmę.

Armand Gamache ubrał się i zszedł do jadalni, wkraczając do wnętrza wypełnionego wonią mocnej kawy. Przez kilka minut popijał kawę, jadł kruchego croissanta i rozmawiał z Gabrim. Rozczochrany mężczyzna bawił się uszkiem kubka i opowiadał Gamache'owi, jak pierwszy raz powiedział swojej rodzinie i współpracownikom z firmy inwestycyjnej, że jest gejem. Im dłużej rozmawiali, tym bardziej Gamache rozumiał, że Gabri wie, jak on się czuje.

Obnażony, nagi, zmuszony wstydzic się za coś, co nie powinno być powodem do wstydu. W ten dziwny, niepozorny sposób Gabri mówił nadinspektorowi, że nie jest sam. Gamache podziękował mu, włożył kalosze i kurtkę od Barboura i wyszedł na zewnątrz. Miał sporo do przemyślenia i wiedział, że najłatwiej rozwiązuje się problemy, chodząc.

Mżyło, wszystkie wesole wiosenne kwiaty się pokładły, jak młodzi żołnierze polegli na polu walki. Gamache szedł ze dwadzieścia minut z rękami splecionymi za plecami. Chodził dookoła cichego miasteczka i patrzył, jak budzi się ono do życia, jak w oknach zapalały się światła, ogień rozpalał się w kominkach. Było spokojnie i cicho.

– Dzień dobry! – zawołała Clara Morrow. Stała w swoim ogrodzie, z kubkiem w ręku i w płaszczu przeciwdeszczowym, narzuconym na koszulę nocną. – Rozglądam się, jakie są szkody. Ma pan czas przyjść wieczorem na

kolację? Zapraszamy kilka osób.

– Brzmi wspaniale, dziękuję. Może przejdzie się pani ze mną? – Gamache wskazał swoją ścieżkę dookoła Commons.

– Jasne.

– Jak tam pani sztuka? Słyszałem, że niedługo przyjeżdża z wizytą Denis Fortin. – Widząc jej twarz, nadinspektor zrozumiał, że wdepnął w coś lepszego i cuchnącego. – Czy nie powinienem pytać?

– Nie, nie, tyle że trochę się męczę. To, co parę dni temu wydawało się klarowne, teraz nagle jest mętne i poplątane. Wie pan, jak to jest?

– Wiem – odpowiedział żałośnie.

Clara spojrzała na niego. W porównaniu do innych ludzi często czuła się niemądra i nieposkładana. W towarzystwie Gamache'a była pewna, że nic jej nie brakuje.

– Co pani myślała o Madeleine Favreau?

Clara przystanęła, by pozbierać myśli.

– Lubiłam ją. Bardzo. Nie znałam jej za dobrze. Właśnie zapisała się do SKA.

Szczęściara z tej Hazel.

– Dlaczego?

– Hazel miała od września przejąć po Gabrim obowiązki prezesa, ale wtedy Madeleine powiedziała, że się tym zajmie.

– Czy to nie zirytowało Hazel?

– Najwyraźniej nigdy nie był pan kobietą anglikańską w przykościelnym stowarzyszeniu.

– Nie jestem anglikaninem.

– Świetna sprawa. Organizujemy podwieczorki kościelne, spotkania, dwa razy do roku robimy jarmark. Ale organizacja tego to piekło.

– Piekło. – Uśmiechnął się Gamache. – Czyli tylko najgorsi grzesznicy zawiadują SKA?

– Dokładnie. Naszą karą jest nieustanne błaganie o pomoc wolontariuszy.

– Więc Hazel się ucieszyła, że jej się to upiekło?

– Jeszcze jak, tak myślę. To pewnie właśnie dlatego w ogóle wprowadziła Madeleine.

Były dobrym zespołem, choć bardzo różnymi osobami.

– Jak to?

– Cóż, Madeleine była osobą, przy której wszyscy zawsze czuli się zadowoleni z siebie.

Dużo się śmiała, była dobrym słuchaczem. Jej towarzystwo to była frajda. Ale jeśli ktoś był chory albo w potrzebie, to na Hazel można było liczyć.

– Czy myśli pani, że Madeleine była powierzchowna?

Clara się zawahała.

– Myślę, że Madeleine była przyzwyczajona dostawać to, co chciała. Nie dlatego, że była chciwa, ale dlatego, że zawsze tak było.

– Wiedziała pani, że miała raka?

– Tak. Raka piersi.

– Wie pani, czy była zdrowa?

– Madeleine? – Clara się roześmiała. – Zdrowsza niż ja czy pan. Była w świetnej formie.

– Czy zmieniła się jakoś w okresie ostatnich miesięcy?

– Zmieniła? Nie sądzę. Mnie wydawała się taka sama.

Gamache pokiwał głową, po czym dodał:

– Myślimy, że substancja, która ją zabiła, została jej wsypana do jedzenia przy kolacji.

Czy widziała pani albo słyszała coś niezwykłego?

– W tej grupie? Wszystko, co normalne, natychmiast wywołałoby alarm. Ale mówi pan, że ktoś ją otruił podczas kolacji? Podał jej efedrynę?

Gamache pokiwał głową.

Clara myślała nad tym, przypominając sobie przebieg kolacji. Jak przyszło jedzenie, jak je podgrzano, przygotowano, podano. Jak ludzie usiedli. Jak podawali sobie różne potrawy. Nie, to wszystko wydawało się naturalne i

normalne. To była okropna myśl, że ktoś z nich, zgromadzonych przy tym stole, otruł Madeleine, ale, co trzeba przyznać, nie było to niespodzianką. Jeśli to było morderstwo, to sprawcą był ktoś z nich.

– Wszyscy jedliśmy to samo, nakładając sobie sami. Czy to możliwe, że trucizna była przeznaczona dla kogoś innego?

– Nie – zaprzeczył Gamache. – Przebadaliśmy resztki i w żadnej z potraw nie znaleziono efedryny. Poza tym wszyscy nakładali sobie sami, prawda? Aby mieć kontrolę nad tym, gdzie trafiła efedryna, morderca musiał podać ją bezpośrednio Madeleine. Wsypać ją do jedzenia na jej talerzu.

Clara pokiwała głową. Wyobrażała sobie rękę i to, co ta ręka robiła, ale nie osobę, do której należała. Myślała o osobach obecnych na kolacji. Pan Béliveau? Hazel i Sophie? Odile i Gilles? To prawda, ona potrafiła zamordować wiersz, ale z pewnością nic poza tym.

Ruth? Peter wciąż powtarzał, że Ruth jest jedyną znaną mu osobą zdolną do morderstwa.

Czy to ona zrobiła? Ale przecież nawet nie była na seansie. Może jednak nie musiała być.

– Czy seans odgrywał tu jakąś rolę? – zapytała.

– Myślimy, że był jednym z czynników. Podobnie jak efedryna.

Clara upiła trochę zimnej już kawy, szli dalej.

– Czego nie rozumiem, to dlaczego morderca zdecydował się zabić Madeleine tamtej nocy.

– Jak to? – zapytał Gamache.

– Czemu dawać jej efedrynę w połowie przyjęcia? Jeśli mordercy potrzebny był seans, dlaczego nie zrobił tego w piątek wieczorem?

To pytanie dręczyło Gamache'a. Dlaczego morderca zwlekał aż do niedzieli? Dlaczego nie zabił jej w piątek wieczorem?

– Może próbował – powiedział nadinspektor. – Czy coś niezwykłego wydarzyło się w piątek wieczorem?

– Dziwniejszego niż kontaktowanie się z umarłymi? Nic mi się nie przypomina.

- Z kim Madeleine jadła kolację?
- Z Hazel, jak sędzę. Nie, moment, Madeleine nie poszła do domu na kolację. Została tutaj.
- Zjadła kolację w bistro?
- Nie, z panem Béliveau. – Clara spojrziała na jego dom, wielki drewniany budynek stojący frontem do skweru. – Lubię go. Większość ludzi go lubi.
- Większość, ale nie wszyscy?
- Nigdy pan nie odpuszcza? – Zaśmiała się Clara.
- Kiedy coś przegapię albo odpuszczę, zbiera się tego sterta i zaczyna żyć własnym życiem. Więc staram się tego nie robić. – Uśmiechnął się Gamache.
- Chyba nie wszyscy. Jediną osobą, którą przyuważyłam, jak dokuczała panu Béliveau, był Gilles Sandon. Ale z drugiej strony Gilles to dziwna postać. Zna go pan?
- Pracuje w lesie, prawda?
- Robi niesamowite meble, ale myślę, że jest powód, dla którego pracuje wśród drzew, nie wśród ludzi.
- Jakie uczucia ma wobec niego pan Béliveau?
- Och, nie sędzę, by nawet zauważał jego docinki. To taki uprzejmy i miły człowiek. Wie pan, poszedł na seans tylko po to, by dotrzymać Madeleine towarzystwa. Widziałam, że wcale mu się to nie podobało. Prawdopodobnie z powodu jego zmarłej żony.
- Boi się, że ona wróci?
- Może. – Zaśmiała się Clara. – Byli sobie bardzo bliscy.
- Myśli pani, że spodziewał się, że ona się pojawi?
- Ginette, jego zmarła żona? Żadne z nas nie spodziewało się niczego. Przynajmniej nie za pierwszym razem w bistro. To było spontaniczne. Ale i tak myślę, że go zdenerwowało. Źle spał tamtej nocy, tak mi powiedział.
- Następny seans był inny – rzekł Gamache.
- Oszalesiśmy, żeby tam iść. – Clara stała tyłem do dawnego domu Hadleyów, ale i tak czuła, jak on się na nią gapi.

Gamache odwrócił się, czując, jak od wewnątrz ogarnia go dreszcz i wypełza na skórę, by tam napotkać wilgotne, zimne powietrze. Ponury gmach na wzgórzu czekał, przyczajony, na odpowiedni moment, by się na nich rzucić. Ale nie – pomyślał Gamache. Dawny dom Hadleyów by się nie rzucił. Wpełznąłby. Powoli. Niemal niezauważalnie, aż nagle człowiek ocknąłby się pewnego ranka, połknięty przez rozpacz i smutek.

– Gdy tamtej nocy szliśmy na szczyt wzgórza – mówiła Clara – stało się coś dziwnego.

Z początku szliśmy razem, rozmawiając, ale gdy byliśmy bliżej, umilkliśmy i porozdzielaliśmy się. Myślę, że ten dom sprowadza izolację. Ja byłam prawie na końcu. Madeleine szła za mną.

– Nie było z nią pana Béliveau?

– Nie, dziwne, co? Rozmawiał z Hazel i Sophie. Od dawna nie widział się z Sophie.

Myślę, że muszą się przyjaźnić, bo Sophie koniecznie chciała siedzieć koło niego na kolacji. Idąc, minęłam Odile stojącą na drodze. A potem usłyszałam, jak za mną Odile i Madeleine rozmawiają.

– Czy ich rozmowa była niezwykła?

– Nie, kompletnie od czapy, ale nie sądziłam, że mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Nie pamiętam dokładnie, co mówiły, ale miałam wrażenie, że Odile przymila się do Madeleine.

Mówiła jej, jaka jest śliczna i uwielbiana. Coś w tym stylu, ale wyglądało, że Madeleine to przeszkadza. Próbowałam usłyszeć więcej, ale obawiam się, że mi się nie udało.

– Co pani myśli o Odile?

Clara roześmiała się, po czym opanowała.

– Przepraszam, to nie było miłe z mojej strony. Ale z Odile kojarzę jej poezję. Nie potrafię pojąć, dlaczego ją pisze. Czy przypuszcza pan, że ona myśli, że jej wiersze są dobre?

– To pewnie trudno stwierdzić – odparł Gamache.

Clara poczuła, jak coraz większy strach czai się i wije w jej sercu, jak



wpełza do głowy.

Strach, że jest tak zaślepiona jak Odile. A co będzie, jak Fortin przyjedzie i ją wyśmiej? Widział parę jej innych prac, ale może był pijany albo coś mu się przywidziało. Może oglądał prace Petera i myślał, że to jej. Tak musiało być. To niemożliwe, by wielkiemu Denisowi Fortinowi naprawdę podobały się jej prace. Zresztą jakie prace? To przekłute, niedokończone płótno, stojące jak oskarżenie w jej pracowni?

– Czy Odile i Gilles od dawna są parą? – zapytał Gamache.

– Od paru lat. Znali się od zawsze, ale zaczęli być razem dopiero po jego rozwodzie.

Clara zamilkła i się zamyśliła.

– O co chodzi? – zainteresował się Gamache.

– Myślałam o Odile. To musi być dla niej trudne.

– Co?

– Mam wrażenie, że ona tak strasznie się stara. Jakby wspinała się po skale, wie pan? Ale jak wyjątkowo nieudolny wspinacz. Trzyma się kurczowo i stara się nie pokazać, jak bardzo się boi.

– Czego się trzyma kurczowo?

– Gilles'a. Zaczęła pisać wiersze dopiero, odkąd są razem. Myślę, że chciałaby być częścią jego świata. Twórczego świata.

– A do jakiego świata przynależy?

– Myślę, że do racjonalnego. Do świata faktów i liczb. Doskonale sobie radzi z prowadzeniem sklepu. Wyprowadziła interes Gilles'a na prostą. Ale nie chce być za to komplementowana. Pragnie tylko usłyszeć, że jest wielką poetką.

– To ciekawe, że wybrała pisanie wierszy, mając za sąsiadkę jedną z najwybitniejszych kanadyjskich poetek – powiedział Gamache, przyglądając się, jak Ruth schodzi po stopniach swojej werandy. Przystanęła, odwróciła się, schyliła i z powrotem wyprostowała.

– Ja wyszłam za jednego z największych artystów w Kanadzie – odparła Clara.

– Czy widzi pani siebie w Odile? – zapytał zaskoczony.

Clara milczała.

– Claro, widziałem pani prace. – Zatrzymał się i spojrzał prosto na nią. Gdy popatrzyła w jego ciemnobrązowe oczy, przez moment wężowa myśl usunęła się, jej serce urosło, umysł się rozjaśnił. – Są znakomite. Pełne pasji, odkryte. Są w nich nadzieja, wiara, zwątpienie. I lęk.

– Mam sporo prac na sprzedaż. Chce pan jakąś kupić?

– Dziękuję, ale chwilowo jestem splukany. Ale wie pani co? – Uśmiechnął się. – Jeśli człowiek robi, co w jego mocy, wszystko układa się, jak powinno.

Ruth stała na trawniku przed swoim domem, patrząc w dół. Gdy Gamache i Clara podeszli bliżej, zobaczyli dwa piskląta.

– Dzień dobry. – Pomachała Clara. Ruth spojrzała w górę i burknęła coś. – Jak się mają maleństwa? – zapytała Clara, aż zobaczyła. Mała Rosa kręciła się dokoła, puszając się i paradując.

Lilium stała bez ruchu, wpatrując się w przestrzeń. Wyglądała na przestraszoną, jak ptaszek w dawnym domu Hadleyów. Gamache zastanawiał się, czy aby nie urodziła się w czepku.

– Fantastycznie – warknęła Ruth, czekając, czy któreś z nich jej zaprzeczy.

– Zapraszamy kilka osób na kolację. Chcesz przyjść?

– I tak zamierzałam. Skończyła mi się szkocka. Pan też będzie? – zapytała Gamache’a, który pokiwał głową. – To dobrze. Pan jest jak grecka tragedia. Może coś zanotuję i napiszę wiersz. Pańskie życie będzie w końcu miało jakieś znaczenie.

– Co za ulga, że tak pani sądzi, madame – odparł Gamache i skłonił jej się lekko.

– Jest jeszcze ktoś, kogo chciałabym, żeby pani zaprosiła – rzekł do Clary, kiedy poszli dalej. – Jeanne Chauvet.

Clara szła dalej, gapiąc się w przestrzeń.

– O co chodzi? – zapytał.

– Ona mnie przeraża. Nie lubię jej.

To był jeden z nielicznych momentów, gdy Gamache słyszał Clare mówiącą te słowa.

Dawny dom Hadleyów nad nim jakby urósł.

Oficer Isabelle Lacoste była zmęczona czekaniem w laboratorium. Raport o odciskach palców był gotów, jak ją zapewniano, tyle że nie mogli go znaleźć. Już rozmawiała z François Favreau, mężem Madeleine. Był śliczny. Jak model z magazynu „GQ”, tyle że w średnim wieku.

Wysoki, przystojny, inteligentny. Wystarczająco inteligentny, by udzielać szczerych odpowiedzi na jej pytania.

– Oczywiście, słyszałem, że umarła. Ale od dawna się nie kontaktowaliśmy i nie chciałem niepokoić Hazel.

– Nawet, żeby przekazać wyrazy współczucia?

François przesunął swój kubek z kawą centymetr w lewo. Lacoste zauważyła, że skórki u paznokci miał poszarpane. Zmartwienie zawsze się jakoś manifestuje.

– Nienawidzę takich sytuacji. Nigdy nie wiem, co powiedzieć. Proszę, niech pani zobaczy. – Zebrał z sąsiedniego biurka jakieś papiery i wręczył je policjantce. Na jednym z nich napisał: *Tak mi przykro z powodu jej śmierci, musiało to bardzo toba...*

*Hazel, tak bym chciał...*

*Madeleine była taką cudowną osobą, to musiało być...*

I tak dalej, trzy strony. Niedokończone zdania, niewypowiedziane emocje.

– Dlaczego pan jej po prostu nie powie, co czuje?

Wbił w nią spojrzenie, które doskonale znała. Jej mąż też tak patrzył. Z irytacją. Oczywiście, jej zawsze łatwo czuć rzeczy i je wyrażać. A on nie był w stanie.

– Co panu przeszło przez myśl, kiedy się pan dowiedział, że została zamordowana?

– Lacoste nauczyła się, że gdy ludzie nie umieli rozmawiać o swoich

uczuciach, przynajmniej potrafili mówić, co myślą, a czasem te dwie rzeczy się spotykały, a może nawet spiskowały ze sobą.

– Zastanawiałem się, kto mógł to zrobić. Któż jej aż tak nienawidził.

– Jakie teraz ma pan wobec niej uczucia? – mówiła cicho, rozsądnie. Starła się mu przypodobać.

– Nie wiem.

– Naprawdę?

Cisza trwała. Lacoste czuła, jak mężczyzna balansuje na krawędzi uczucia, próbując mu nie ulec, usiłując trzymać się kurczowo racjonalnej skały swojego umysłu. Ta skała jednak zawodziła go w końcu i spadał wraz z nią.

– Kocham ją. Kochałem. – Miętko złożył głowę w dłoniach, jakby tuląc sam siebie, jego długie, szczupłe palce wystawały spomiędzy ciemnych włosów.

– Dlaczego się rozwiedliście?

Otarł twarz i spojrzał na nią nagle zaszklonymi oczami.

– To był jej pomysł, choć myślę, że skłoniłem ją do tego. Byłem za dużym tchórzem, by samemu to zrobić.

– A dlaczego pan chciał?

– Nie mogłem już tego znieść. Na początku było cudownie. Była taka piękna, ciepła, kochająca. I odniosła wielki sukces. Do czego się wzięła, była w tym dobra. Błyszczała. To było jak żyć zbyt blisko słońca.

– Słońce oślepia i parzy – rzekła Lacoste.

– Tak. – Favreau sprawiał wrażenie, jakby jej słowa przyniosły mu ulgę. – Przebywanie tak blisko Madeleine sprawiało ból.

– Czy naprawdę się pan zastanawia, kto ją zabił?

– Owszem, ale... – Lacoste czekała. Armand Gamache nauczył ją cierpliwości. – Ale nie jestem pewien, czy mnie to zaskoczyło. Nie chciała ranić ludzi, ale to robiła. A kiedy się kogoś wystarczająco zrani...

Nie było potrzeby kończyć tego zdania.

Po drodze do Three Pines Robert Lemieux zatrzymał się w Tim Horton's w Cowansville, więc teraz na stole konferencyjnym stały kawy z podwójną

śmietanką i cukrem oraz kolorowe pudełka z pączkami.

– Swój chłop! – zawołał Beauvoir na ich widok, klepiąc Lemieux w plecy.

Lemieux zaskarbił sobie wdzięczność, rozpalając starożytny żeliwny piec opalany drewnem, stojący pośrodku pomieszczenia. Biuro operacyjne pachniało tekturą i kawą, słodkimi pączkami i równie słodkim zapachem palonych drew. Inspektor Beauvoir poprosił wszystkich zgromadzonych na porannej naradzie o spokój, kiedy właśnie weszła Nichol, jak zawsze spóźniona i wymięta. Wszyscy złożyli raporty, a nadinspektor Gamache zakończył, informując ich o wynikach badań przeprowadzonych przez koronera.

– Więc Madeleine Favreau miała chore serce – podsumował Lemieux. – Morderca musiał o tym wiedzieć.

– Prawdopodobnie. Koroner mówiła, że te trzy rzeczy musiały zagrać ze sobą. – Beauvoir stał przy tablicy, pokrytej wielkimi arkuszami białego papieru. Mówiąc, machał flamastrem jak batutą. – Po pierwsze gigantyczna dawka efedryny. Po drugie strach podczas seansu. Po trzecie chore serce.

– Dlaczego więc nie zabito jej na piątkowym seansie? – zapytała Nichol. – Wszystkie trzy elementy były na miejscu, a przynajmniej dwa z trzech.

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – rzekł Gamache. Słuchał, popijając kawę.

Palce miał trochę lepkie od pączka w polewie czekoladowej. Wytarł je w małą papierową serwetkę i pochylił się w przód. – Czy seans w Wielki Piątek był próbą generalną? Czy wstępem?

Czy Madeleine zrobiła albo powiedziała coś, co przywiodło do niej mordercę dwa dni później?

Czy jest związek między tymi dwoma seansami?

– Byłoby zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, gdyby nie było takiego związku – zauważył Lemieux.

– Och, błagam – jęknęła Nichol. – Niech się pan nie próbuje mu podlizać. – Skinęła ręką w stronę Gamache'a.

Lemieux zamilkł. Nakazano mu się podlizywać. W tym był najlepszy i jak

uważał, robił to niezwykle subtelnie, ale teraz ta suka mu to wytknęła, w samym środku porannej narady. Pod wpływem szyderstw Nichol jego fasada rozsądku i świętej cierpliwości pękała. Nienawidził jej.

Gdyby nie miał bardziej dalekosiężnych planów, zająłby się nią.

– Zobaczcie – ciągnęła Nichol, ignorując Lemieux. – To oczywiste. Nie o to chodzi, czy seanse się ze sobą wiążą, ale w czym się nie wiążą. Jaka jest między nimi różnica?

Usiadła głębiej na krześle, z triumfalnym wyrazem twarzy. Co dziwaczne, nikt nie rzucił się jej gratulować. Zapadła głucha cisza. Potem nadinspektor Gamache wstał powoli i podszedł do Beauvoira.

– Mogę? – Sięgnął po flamaster, po czym odwrócił się i zapisał na czystym arkuszu papieru: *Czym różnią się oba seanse?*

Nichol uśmiechnęła się złośliwie, a Lemieux pokiwał głową, ale pod stołem zacisnął pięści. Ze spotkania z François Favreau Isabelle Lacoste poszła do liceum w Notre-Dame-de-Grace. Był to wielki budynek z czerwonej cegły, na którym widniała data „1867”. Gmach w niczym nie przypominał jej szkoły średniej. Jej liceum było nowoczesne, rozległe i francuskie. Jednak ledwo weszła do środka, poczuła się jak na zatłoczonych korytarzach swojej szkoły. Kiedy tak się starała – zapamiętać kombinację zamka do szafki albo utrzymać włosy proste czy jak tam dyktowała bieżąca moda. Zawsze usilnie się starała, jak wiosłarz mknący po górskim nurcie w kajaku, który czuje, że nie nadąża.

Odgłosy były znajome, dźwięki odbite od metalu i betonu, buty skrzypiące na parkietach, ale to zapachy przeniosły ją w przeszłość. Zapach książek i płynu czyszczącego, starych drugich śniadań, zapomnianych i gnijących w setkach uczniowskich szafek. I strachu. Szkoła średnia pachniała strachem bardziej niż czymkolwiek innym – nawet bardziej niż zapoconymi nogami, tanimi perfumami i zgniłymi bananami.

– Skompletowałam dokumenty dla pani – powiedziała pani Plant, sekretarka szkolna. – Nie było mnie tu, kiedy Madeleine Gagnon uczęszczała do szkoły. Tak się składa, że nikt z nauczycieli i personelu z tamtych czasów już tu nie pracuje. To było trzydzieści lat temu. Ale archiwum jest

skomputeryzowane, więc wydrukowałam jej świadectwa. Znalazłam też parę innych rzeczy, które mogą panią zainteresować. Łącznie z tym. – Położyła na stole stos ksiąg pamiątkowych, tych świeckich szkolnych biblii.

– To miłe z pani strony, ale myślę, że wystarczą mi świadectwa.

– Ale ja spędziłam pół dnia wczoraj w magazynie, szukając tych ksiąg.

– Dziękuję pani. Jestem pewna, że się przydadzą. – Lacoste zgarnęła je w ramiona i wyszła z sekretariatu, chybotliwie balansując teczką z papierami na czubku wielkiego stosu papierów.

– Wie pani, na ścianie jest trochę jej zdjęć. – Pani Plant szła przodem. Korytarze zaczynały się zapęłniać: w środku huczało od niezrozumiałych okrzyków, gdy dzieciaki wrzeszczały na siebie i popychały się nawzajem. – Tu na dole. Różne zdjęcia. Muszę wracać do biura. Poradzi pani sobie?

– Bardzo mi pani pomogła. Poradzę sobie.

Przez następnych parę minut Lacoste posuwała się powoli wzdłuż długiego, betonowego korytarza, oglądając oprawne w ramki fotografie, wiszące na ścianie. Przedstawiały zwycięskie szkolne reprezentacje sportowe i samorzady. I oto była na nich młoda Madeleine Favreau, z domu Gagnon. Uśmiechnięta, zdrowa – miała wszelkie powody, by spodziewać się długiego i ekscytującego życia. Popychana przez dzieciaki, wypełniające teraz korytarze, Lacoste zastanawiała się, jaka ta szkoła była dla Madeleine. Czy i ona pachniała strachem? Nie wyglądała na taką, ale najbardziej przerażeni często się z tym nie zdradzają.

Gamache znów zajął miejsce przy stole i sięgnął po kawę. Wszyscy spoglądali na listę.

Pod nagłówkiem *Czym różnią się oba seanse?* napisał:

*Hazel*

*Sophie*

*Kolacja*

*Dawny dom Hadleyów*

*Jeanne Chauvet bardziej poważna*



Nadinspektor wytłumaczył, że gdy ją przesłuchiwał, powiedziała, że nie była przygotowana na pierwszy seans, że to była mała niespodzianka Gabriego, że nie traktowała tego poważnie. Uznała, że to tylko grupka znudzonych prowincjuszy poszukująca rozrywki.

Zaprezentowała im więc tanią hollywoodzką wersję. Głupawy melodramat. Kiedy jednak potem ktoś wspomniał o dawnym domu Hadleyów i jakoś wypłynął pomysł, żeby pójść tam porozmawiać z umarłymi, potraktowała to poważnie.

– Dlaczego? – spytał Lemieux.

– Niespecjalny bystrzak, co? – warknęła Nichol. – Podobno w dawnym domu Hadleyów straszy. A ona zarabia na życie wywoływaniem duchów. Jasne?

Ignorując Nichol, Beauvoir wstał i napisał na tablicy:

*Świece*

*Sól*

– Coś jeszcze? – zapytał. Uwielbiał zapisywać rzeczy na tablicy. Od zawsze. Lubił zapach flamastrów. I to, jak piszczały przy pisaniu. Lubił zaprowadzać ład w chaotycznych ideach.

– Jej zaklęcia – powiedział Gamache. – Są ważne.

– Taa, jasne. – Nichol przewróciła oczami.

– Dla zbudowania atmosfery – dodał Gamache. – To była zasadnicza różnica. Z tego, co rozumiem, seans w Wielki Piątek przestraszył wszystkich, ale ten niedzielny ich przeraził. Może morderca próbował zabić Madeleine w piątek, ale nie było wystarczająco strasznie.

– Więc kto zasugerował dawny dom Hadleyów? – zapytał Lemieux, rzucając Nichol spojrzenie, wyzywające ją, by ośmieliła się znowu z niego nabijać. Ona tylko wyszczerzyła zęby i potrząsnęła głową. Lemieux czuł, jak w jego piersi wzbiera wściekłość, gotując się i bulgocząc, wznosząc się do gardła. Wystarczająco okropne było być wyśmiewanym, obrażanym,

oskarżanym o lizusostwo. Ale najgorsze było zostać uznanym za żalostnego durnia.

– Nie wiem – rzekł Gamache. – Pytaliśmy o to, nikt nie pamięta.

– Ale jeśli przenosiny do dawnego domu Hadleyów są tu istotne, możemy wykluczyć Hazel i Sophie – wtrącił Beauvoir.

– Dlaczego? – zapytał Lemieux.

– Nie były na miejscu, więc nie mogły tego zasugerować.

Zapadła cisza.

– Ale Sophie to jedyna osoba, która nie była na pierwszym seansie, a była na drugim – zauważyła Nichol. – Nie sądzę, że pierwszy seans miał coś wspólnego z morderstwem. Myślę, że dopiero później wpadło to komuś do głowy. A to dlatego, że ta osoba nie była na pierwszym.

– Ale nie tylko Sophie była nowa – rzekł Lemieux. – Jej matka też przyszła tylko na ten drugi.

– Ale mogła przyjść na pierwszy. Zapraszano ją. Gdyby zamierzała wtedy zabić Madeleine, to poszłaby.

– I może dlatego poszła na drugi – dodał Gamache. – Pierwszy się nie udał, więc musiała się upewnić, że drugi się uda.

– I przyprowadziła własną córkę? Wolne żarty – powiedziała Nichol, otwierając notes i wydając z niego fotografię, którą zabrała z drzwi lodówki w domu Hazel Smyth. – Popatrzcie na to. – Rzuciła fotkę na stół.

Beauvoir podał fotografię Gamache'owi, który wpatrywał się w nią. Na zdjęciu widniały trzy kobiety. W środku Madeleine, z profilu, patrząca z wielkim i nieskrywanym uczuciem na Hazel, która miała na głowie cudaczny kapelusz i się śmiała. Szczęśliwa i zachwycona, ona także miała na twarzy wyraz wielkiej miłości. Ją również sfotografowano z profilu, patrzyła na coś poza kadrem. Na drugim końcu obrazka widać było pulchną, młodą dziewczynę, wkładającą sobie do ust kawałek ciasta. Z przodu stał tort urodzinowy.

– Skąd to pani wzięła?

– Z domu Smythów, wisiało na lodówce.

– Dlaczego je pani zabrała? Co panią zainteresowało? – Gamache pochyłał się naprzód i intensywnie wpatrywał w Nichol.

– Ta twarz. Mówi wszystko.

Nichol czekała, aż wszyscy załapią. Czy nie zauważą, że Madeleine Favreau, taka ładna, wesola, pełna troski o innych, cały czas udawała? Nikt nie bywa taki szczęśliwy. Musiała udawać.

– Ma pani rację – przyznał Gamache, zwracając się do Beauvoira. – Widzi pan ją?

– Nadinspektor wskazał wielkim palcem na fotografię.

Beauvoir pochylił się i studiował zdjęcie. Oczy otworzyły mu się szeroko.

– To Sophie. Ta dziewczyna z ciastem. To Sophie.

– Grubsza – przytaknął Gamache.

Odwrócił fotografię. Na drugiej stronie zdjęcia była data, kiedy je wykonano. Dwa lata temu. W zaledwie dwa lata Sophie Smyth zrzuciła dziesięć, piętnaście kilogramów?

Spotkanie miało się już ku końcowi, gdy komórka Gamache'a zadzwoniła.

– Szefie, to ja – powiedziała oficer Lacoste. – Mam raport w sprawie odcisków palców.

Wiemy, kto się włamał do dawnego domu Hadleyów.

Hazel Smyth wydawała się mieć problemy z funkcjonowaniem. Jak zabawka z popsutymi złączami, przerzucała się z działania na pełnych obrotach w bezruch, a potem znów na pełną prędkość.

– Potrzebujemy odpowiedzi na parę pytań, madame Smyth – powiedział Beauvoir. – I będziemy musieli dokładnie przeszukać dom. Wkrótce przyjedzie tu kilku policjantów z oddziału w Cowansville. Mamy nakaz. – Inspektor sięgnął do kieszeni, ale Hazel machnęła ręką.

– Nie trzeba, inspektorze. Sophie! Sooophieeee! – zawołała.

– Co jest? – zapytał rozdrażniony głos.

– Goście. Znowu policja. – Hazel zdawała się podśpiewywać te słowa.

Pojawiła się Sophie, wlokąc się w dół po schodach o kulach, z nogą

zawiniętą w ciaśniejszy bandaż. Sądząc z jej pojękiwania, wydawało się, że stan jej nogi się pogorszył.

Beauvoir zastanawiał się, czy to możliwe, że w ogóle nic jej się nie stało. Wyjął zdjęcie i pokazał obu kobietom.

– To wisiało na lodówce – stwierdziła Hazel, spoglądając w kierunku urządzenia. Znów miała odpływ energii i wydawało się, że ledwo mówiła. Pochyliła głowę, jakby była ona dla niej za ciężka. Gdy oddychała, głowa unosiła jej się lekko, po czym znów opadała.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – zapytał Beauvoir.

– Och, sto lat temu – powiedziała Sophie, sięgając po fotografię. Beauvoir odsunął się od niej. – Co najmniej z pięć, sześć lat temu.

– Niemożliwe, kochanie – odrzekła Hazel z takim wysiłkiem, jakby każde słowo sprawiało jej trudność. – Madeleine ma długie włosy, całkiem odrośnięte. To było góra dwa lata temu.

– Czy to pani? – Inspektor wskazał na pulchną dziewczynę.

– Nie sądzę – odparła Sophie.

– Niech no spojrzę – rzekła Hazel.

– Nie, mamo, nie trzeba. Bardzo boli mnie kostka. Wydaje mi się, że ją obtłukłam, schodząc po schodach.

– Biedactwo. – Energia na nowo wstąpiła w Hazel.

Podbiegła do kuchennej szafki. Beauvoir zauważył w niej mnóstwo butelek z lekami. Podszedł w ślad za Hazel i przyglądał się, gdy przestawiała pierwszy rząd buteleczek, sięgając głębiej. Po chwili zatrzymał jej dłoń.

– Mogę?

– Ale Sophie potrzebna jest aspiryna.

Zdjął buteleczkę z półki. Aspiryna w małych dawkach. Spojrzał na Hazel, która przyglądała mu się niespokojnie. Ona wie – pomyślał. Wie, że jej córka symuluje kontuzję, więc celowo kupiła aspirynę w niskich dawkach. Podał tabletkę Hazel, po czym włożył rękawiczki cienkie jak membrana. Coś mu mówiło, że w tym składowisku tabletek znajdzie nie tylko aspirynę. Zdecydował, że skoro był w czepku urodzony, powinien zacząć ufać

instynktowi.

Dziesięć minut później inspektor był obstawiony buteleczkami z lekami. Tabletki od bólu głowy, na ból pleców, na skurcze miesiączkowe, na infekcje drożdżami. Witaminy. A nawet buteleczka z żelkami.

– To dla dzieci gości – powiedziała Hazel.

W szafce znajdowały się chyba wszystkie współcześnie produkowane farmaceutyki, z wyjątkiem efedryny. Przybył oddział lokalnej Sûreté i od razu zabrał się do przeszukiwania domu Smythów.

Niestety, do dokładnego przeszukania tej graciarni nie wystarczyłaby nawet dziesięć razy większa ekipa. Rzeczywistość okazała się o wiele gorsza, niż Beauvoir się spodziewał, a wszak był ekspertem w spodziewaniu się najgorszego.

Minęły dwie godziny i jedyne, co się wydarzyło i miało znaczenie, to że chyba zgubili dwóch ludzi. Znalaziono ich błądzących po piwnicy. Beauvoir zrobił przerwę i usiadł na kanapie w salonie, wciśniętej w szafę o złamanym zwieńczeniu, która napierała na inną kanapę. Ledwo się na niej oparł, kanapa go odepchnęła. Wygnała go. Spróbował jeszcze raz, z mniejszym naciskiem. Teraz czuł twarde sprężyny, miał wrażenie, że go odpychają, wyganiają. Jakby był na cyrkowej trampolinie.

Jeden z policjantów zawołał go na górę, a kiedy przyszedł, zobaczył funkcjonariusza z buteleczką lekarstw w ręku.

– Gdzie pan to znalazł?

– W kosmetyczce.

Policjant wskazał na pokój Sophie. Inspektor usłyszał Sophie, ciężkim krokiem wspinającą się po schodach. Nagle ciężkie stąpanie ucichło i dobiegł go odgłos lekkich stóp, wskakujących po dwa stopnie naraz.

– Co się stało? – Dobiegł go z drugiej strony głos Hazel.

Beauvoir pokazał buteleczkę obu paniom.

– Efedryna – przeczytała Hazel na etykiecie. – Sophie, obiecałaś mi.

– Zamknij się, mamó. To nie moje.

– Znalaziono je w pani kosmetyczce – rzekł Beauvoir.

Widział, że dziewczyna się boi. Ale czy mówi prawdę?

Wchodząc do domu, Gamache poczuł zapach tostów i kawy. Wewnątrz było bardzo cicho i wygodnie. Szerokie deski podłogi miały barwę głębokiego bursztynu. W kominku się nie paliło, ale Gamache dostrzegł popiół z niedawno spalonego pieńka. Pokój był pogodny i jasny, nawet w ten szary dzień, z wielkimi oknami i przeszklonymi drzwiami prowadzącymi do ogrodu z tyłu.

Meble były stare i wygodne. Na ścianach wisiało kilka lokalnych pejzaży i parę portretów. Tam, gdzie nie powieszono obrazów, stały regały z książkami. W innych okolicznościach Gamache chętnie zostałby w tym pomieszczeniu dłużej.

– Dwa dni temu włamano się do pokoju, w którym zmarła Madeleine. Wiemy, że to pan zrobił.

– Ma pan rację. To byłem ja.

– Dlaczego?

– Bo chciałem, by ten dom i mnie porwał – powiedział pan Béliveau.

Opowiedział swoją historię jasno, pocierając suche dłonie jedna o drugą, jakby spragniony ludzkiego kontaktu.

– To było dzień po śmierci Madeleine. Nie wiem, czy stracił pan kiedyś kochaną osobę, nadinspektorze, ale to jakby wszystko, co znane, uległo zmianie. Jedzenie smakuje inaczej, dom już nie jest domem, nawet przyjaciele są odmienieni. Choćby nie wiem, jak chcieli, nie mogą z człowiekiem podążać tą drogą. Wszystko wydaje się takie odległe, zamglone. Nie rozumiałem nawet, co ludzie do mnie mówili. – Uśmiechnął się nieoczekiwanie. – Biedni Peter i Clara.

Zaprosili mnie na kolację. Myślę, że martwili się o mnie. Nie sądzę, żebym zdołał ich uspokoić.

Chcieli, żebym czuł, że nie jestem sam, ale byłem. – Przestał pocierać dłonie, teraz jedna z nich obejmowała drugą. – Jakoś w połowie kolacji poczułem, że muszę umrzeć. To tak strasznie bolało. Podczas gdy Clara i Peter rozmawiali o ogrodzie, gotowaniu i codziennych wydarzeniach, ja

katalogowałem w głowie sposoby, jak mógłbym się zabić. I wtedy przyszło mi to do głowy, że wrócę do tego pokoju sam i poczekam.

Panowała kompletna cisza. Nawet zegar na obudowie kominka zdawał się milczeć, jakby czas stanął w miejscu.

– Wiedziałem, że jeśli poczekam w ciemności wystarczająco długo, to coś, co mieszka w domu, znajdzie mnie. I znalazło.

– Co się stało? – zapytał Gamache.

– To coś, co zabiło Madeleine, przybyło. – Mówił o tym, nie przeprasząc, nie tłumacząc się. Same fakty. Coś z innego świata przybyło w jego świat i przyszło, by go porwać. – Przyszło z korytarza. Słyszałem, jak szarpie pazurami i drapie. Było kompletnie ciemno, stałem plecami do drzwi, ale wiedziałem, że to coś tam jest. Potem to coś krzyknęło, tak jak tamtej nocy. Prosto w moje ucho. Sięgnąłem tam, by je odegnąć. – Zamachał wokół głowy chudymi ramionami, okrytymi szarym wełnianym swetrem, jak gdyby wyobrażał sobie, że znów jest w tamtym pokoju. – A potem uciekłem. Wybiegłem z tamtego pokoju, krzycząc.

– Postanowił pan żyć – powiedział Gamache.

– Nie. Tylko zbyt się przestraszyłem umierania. A przynajmniej nie chciałem umierać w ten sposób. – Pochylił się do przodu, jego intensywne oczy wpatrywały się w Gamache'a.

– W tym domu coś jest. To coś mnie zaatakowało.

– Już nie, *monsieur*. Zabił pan to coś.

– O tak? – Odchylił się do tyłu, jakby ta nieoczekiwana myśl go odepchnęła.

– To był mały rudzik. Prawdopodobnie tak samo wystraszony jak pan.

Zrozumienie tego zajęło panu Béliveau dobrą chwilę.

– Więc miałem rację. Istota, która sprowadza śmierć, była w tym pokoju. To ja nią byłem.

– Ślicznie się tu urządziliście – powiedział Olivier, rozkładając serwetki i miski na stole w budynku dawnego dworca. Stawiając wazę z zupą na szafce z aktami, na której leżała lista podejrzanych, z radością zauważył, że nie ma na niej jego nazwiska, a z jeszcze większym uradowaniem odnotował, że Gabri się na niej znalazł. Niech no mu tylko powie. Kompletnie odleci. Dymiąca potrawka z kurczaka z kluseczkami została ustawiona pośrodku stołu konferencyjnego.

Nadinspektor zatrzymał się w bistro, by poprosić Oliviera, żeby przywiózł im obiad.

– Jak się miewa pan Béliveau? – zapytał Olivier. Widział wcześniej, jak Gamache szedł przez Commons od domu sklepikarza.

– Miewał się lepiej, jak sądzę – odrzekł Gamache.

– I gorzej. Pamiętam, jaki był smutny po śmierci Ginette. Niech Bogu będą dzięki za Hazel i Madeleine. Wyciągnęły go z tego. Zapraszały na wszystkie imprezy, szczególnie na ważne święta, takie jak Boże Narodzenie. Uratowały mu życie.

Idąc z powrotem do biura operacyjnego, Gamache zastanawiał się, czy pan Béliveau by im za to podziękował. Myślał też o Hazel, która została teraz sama, i zastanawiał się, czy tych dwoje w końcu zacznie grawitować ku sobie.

Po powrocie do dawnej stacji kolejowej Gamache spotkał Beauvoira, który właśnie wrócił z przeszukania domu Hazel. Kilka minut później oficer Lacoste przyjechała z Montrealu i cała trójka zebrała się przy stole konferencyjnym. Spotkanie toczyło się w najlepsze, gdy przybył Olivier z obiadem. Przyszedł późno, ale oni nie narzekali, gdy się w końcu zjawił.

Inspektor Beauvoir wyprowadził go za drzwi i dokładnie zamknął je za



nim. Olivier przechylił się na chwilę i przytknął ucho do zimnego metalu, nic jednak nie usłyszał.

Tak się składa, że nie było czego podsłuchiwać poza dźwiękiem chochli, stukających o porcelanę, gdy podano zupę z czerwonej soczewicy z jabłkami i curry oraz pachnącą, gęstą potrawkę. Zespół częstował się napojami, Beauvoir wypił piwo.

– Raporty, proszę – powiedział Gamache.

– Znaleźliśmy efedrynę – zameldował Beauvoir, stawiając na stole buteleczkę z tabletkami. – Zebraliśmy odciski palców i przesłaliśmy je do Montrealu. – Raportował już o tym Gamache’owi, ale teraz reszta zespołu dowiadywała się o wynikach przeszukania.

– Sophie Smyth wypiera się, jakoby to należało do niej, ale to było do przewidzenia – powiedział Beauvoir. – Przyznała, że żywiła do Madeleine silne, może nawet obsesyjne uczucia.

No i to kłamczucha. Nie miałem pewności co do jej kontuzjowanej nogi, ale kiedy musiała biegać z tą niby chorą kostką, jakoś dała radę. Szkoda, że nie widzieliście twarzy jej matki.

– Była zła, że córka symulowała chorobę kostkę? – zapytał Lemieux.

– Niemożliwe, żeby być aż takim durniem – powiedziała Nichol, a Lemieux rzucił jej spojrzenie pełne niekwestionowanej nienawiści.

– Oficer Nichol, ostrzegam panią – przywołał ją do porządku Gamache.

– Nie, naprawdę – rzekła Nichol. – Jak się pan taki uchował? – zwróciła się do Lemieux, który ścisnął brzeg stołu. – Hazel Smyth była w szoku zobaczywszy, że znaleziono efedrynę wśród rzeczy jej córki – powiedziała Nichol prosto do Lemieux, bardzo powoli. – To jest śledztwo w sprawie morderstwa, nie gabinet lekarski. Kto, kurwa, zwraca uwagę na chore kostki, z wyjątkiem kompletnego debila?

– Dość. Poproszę ze mną. – Gamache przeszedł przez pomieszczenie w stronę drzwi, zabierając ze sobą buteleczkę z tabletkami.

Nichol schwytała spojrzenie Lemieux i kiwnęła głową w kierunku Gamache’a.

– Do ciebie mówi, dupku.

Lemieux miał zamiar wstać.

– Oficer Nichol! – zawołał Gamache chłodnym i donośnym głosem.

Nichol rzuciła Lemieux złośliwy uśmiech, potrząsnęła głową, wstając, a przechodząc koło niego, mruknęła „pieprzony luzer”.

– Co się stało, sir? – zapytała w drzwiach. Gdy utraciła audytorium, także jej bezczelność osłabła. Teraz była ich tylko dwójka.

– Posunęła się pani za daleko. Musi pani odejść.

– Zwalnia mnie pan?

– Jeszcze nie. Na razie posyłam panią do Kingston, żeby rozpytała pani o Sophie Smyth na Uniwersytecie Królowej.

– Kingston? Ale to pół dnia jazdy. Nie dotrę tam przed zmrokiem.

– Nawet później. Najpierw po drodze odwiezie to pani do laboratorium w Montrealu.

Chcę mieć wyniki do jutra rana.

Nichol wpatrywała się w niego, a gdy w końcu się odezwała, mówiła cicho:

– Myślę, że robi pan błąd, sir.

Gamache spojrzał jej w oczy. Gdy przemówił, jego głos był spokojny, równy, ale tak intensywny, że Nichol cofnęła się o pół kroku.

– Wiem, co robię. Proszę już iść.

Stał przy drzwiach i przypatrywał się, jak młoda policjantka odchodzi. Z wrodzonym sobie wdziękiem Nichol wlokła się przez most, kopiąc po drodze kamyk.

Gamache wrócił na spotkanie. Bez Nichol pomieszczenie wydawało się jaśniejsze.

Gamache ucieszył się, widząc, że Lemieux wyglądał na mniej spiętego.

Olivier przywiózł też na deser półmisek brownies i ciastek daktylowych. Przy kawie i deserze wysłuchali wieści o panu Béliveau.

– Poszedł tam, by umrzeć? – zapytała Lacoste, odstawiając brownie. – To takie smutne!

Smutne. Znowu to słowo – pomyślał Gamache. Biedny, smutny pan Béliveau. Ale nieoczekiwanie przyszedł mu do głowy nie zmęczony stary sklepikarz, ale mały rudzik. Jego krzyk, zwielokrotniony przez strach. Zginął, bo pragnął towarzystwa.

Przyszła kolej na Lacoste, by zdać sprawozdanie z podróży do Montrealu.

– Sekretarka ze szkoły dała mi to. – Położyła na konferencyjnym stole dwie teczki z dokumentami. – Świadectwa szkolne Hazel i Madeleine. Nie przejrzałam ich jeszcze. Zdaje się, że Madeleine była w swojej szkole niemal legendą.

Beauvoir sięgnął po teczki, a Lacoste znów schyliła się pod stół i wyciągnęła stos ksiąg pamiątkowych.

– Próbowałam się wymigać, ale wcisnęła mi jeszcze to. – Położyła księgi na stole i znów sięgnęła po swoje brownie. Ciastko było domowej roboty, o intensywnym smaku, a zamiast polewy na górze była gruba warstwa małych pianek prawoślazowych, przypieczonych pod grillem.

– Rozmawiała pani z byłym mężem Madeleine? – zapytał Gamache.

– François Favreau nie był szczególnie pomocny. To Madeleine poprosiła o rozwód, ale on przyznaje, że nie dał jej wyboru, zachowując się okropnie. Przyznał też, że wciąż ją kocha, ale powiedział, że życie z nią było jak przebywanie zbyt blisko słońca. Wspaniałe, ale bolesne.

Siedzieli w milczeniu, jedząc i rozmyślając. Lacoste myślała o kobiecie zabitej, ponieważ była zbyt błyskotliwa; Lemieux – o zamordowaniu Nichol, Beauvoir – o Sophie, która prawdopodobnie zabiła kobietę, którą kochała, a Armand Gamache myślał o Ikarze.

Jean Guy Beauvoir prowadził, a Armand Gamache wyglądał przez okno i starał się nie zauważać wybojów, kolein i wielkich dziur w drodze. W niektórych z nich można by spokojnie zbudować miasteczko.

Wrócił myślami do sprawy, nad którą pracowali. Sophie Smyth miała efedrynę. Była na drugim seansie, ale nie na pierwszym, co tłumaczyłoby, dlaczego morderstwo wydarzyło się na drugim. Przyznała, że żywiła dla Madeleine intensywne uczucia. Było też coś jeszcze. Coś, o czym

wspomniała mu tamtego ranka Clara. Gamache nie zwrócił na to wtedy uwagi, ale to tym bardziej wskazywało na winę Sophie. Dręczyło go teraz pytanie, jak morderca wsypał efedrynę do jedzenia Madeleine. Clara mówiła, że Sophie pognęła, żeby zająć miejsce koło pana Béliveau.

To jednak oznaczało też, że siedziała koło Madeleine. Sophie celowo usadowiła się pomiędzy nimi.

Dlaczego?

Były dwie możliwości. Albo była zazdrosna i chciała wejść pomiędzy nich, dosłownie. Albo chciała móc podać Madeleine efedrynę. Albo obie te rzeczy naraz. Miała motyw i sposobność. Po obiedzie Gamache rozkazał postawić pod domem Smythów radiowóz i obserwować go, ale nie robił nic dopóty, dopóki nie miał pewności, że buteleczka należała do Sophie. Aresztują ją rano. Tymczasem potrzebował odpowiedzi na inne pytania.

Spojrzał na zegarek.

– Pierwsze wydanie gazety przywiozła za godzinę – powiedział Beauvoir. – Pan Béliveau zostawi dla nas egzemplarz.

– *Merci.*

– Cieszę się, że odesłał pan Nichol. Będzie nam łatwiej. – Gdy Gamache nie odpowiedział, Beauvoir kontynuował. – Nigdy mi pan nie powiedział, co się stało, gdy uświadomił pan sobie, co robił Arnot. Oczywiście część z tego wyszła w sądzie. Ale wiem, że nie wszystko.

Gamache patrzył przez okno na zmieniający się krajobraz. Drzewa ożywały. To było jak przypatrywanie się momentowi, gdy rozpoczyna się życie.

– Zwołano nadzwyczajne posiedzenie naczelnego kierownictwa Sûreté – powiedział Gamache. Przed oczami miał już nie cud nowego życia, ale zimną salę konferencyjną w kwaterze głównej. Schodzili się oficerowie. Nikt poza nim i Brébeufem nie wiedział, czemu zwołano tę naradę. Pierre Arnot uśmiechał się przyjaźnie i żartował z naczelnikiem Francoeurem, gdy ustawiali obok siebie obrotowe krzesła. – Przyciemniłem światła i wyświetliłem z projektora obrazek. Zdjęcia chłopców ze szkolnych ksiąg

pamiątkowych. Potem zdjęcia tych samych chłopców martwych. Następnie przeczytałem raporty świadków i wyniki badań z laboratorium.

Wszyscy byli zdezorientowani. Z wyjątkiem Francoeura. I Arnota. Pamiętał błękitne oczy, zimne jak szklane kulki. Wyczuwał umysł, aktywny, pędzący od jednego faktu do drugiego, desperacko pragnący im zaprzeczyć. Z początku Arnot był rozluźniony, pewien swej wyższości, przekonany, że nikt mu nie podskoczy. Ale w miarę upływu czasu stawał się niespokojny, przyczajony.

Gamache był dobrze przygotowany. Pracował nad sprawą prawie rok, po godzinach i na wakacjach. Aż do momentu, gdy każda droga ucieczki, którą mógł posłużyć się Arnot, była zamknięta, zablokowana, zatkana i na nowo zamknięta. Gamache wiedział, że ma tylko jedną szansę, że to musi być na tym spotkaniu. Jeśli Arnot wyszedłby wolny, Gamache, a wraz z nim wielu innych, wśród nich Brébeuf, ponieśliby klęskę.

Ustawił w ordynku fakty, ale wiedział, że jest jeszcze jedna potężna broń, którą Arnot mógł się posłużyć. Lojalność. Funkcjonariusze służby czynnej woleli umrzeć, niż okazać się nielojalni, zarówno wobec siebie nawzajem, jak i wobec Sûreté. Arnot cieszył się wielką lojalnością. I Arnot zwyciężył.

Skonfrontowany z faktami, przyznał się do przestępstwa nakłaniania do morderstwa i morderstwa. Wymógł jednak na naczelnikach, by w uznaniu jego pozycji i długoletniej służby nie aresztowali jego i dwóch innych oskarżonych oficerów. Nie od razu. Pozwolono im uporządkować swoje sprawy, zabezpieczyć rodziny, pożegnać się, a potem mieli pojechać do kwatery myśliwskiej Arnota w regionie Abitibi i popełnić samobójstwo. Mieli uniknąć wstydu otwartego procesu. Oszczędzić Sûreté publicznego upokorzenia.

Gamache stanowczo przeciwstawiał się temu szaleństwu. Ale naczelnicy, obawiający się Arnota i opinii publicznej, postawili na swoim. Ku osłupieniu Gamache'a, Arnota puszczono wolno. Przynajmniej na jakiś czas. Ale taki człowiek potrafił wyrządzić wiele szkody w bardzo krótkim czasie.

– I to wtedy wziął pan sprawę w Mutton Bay? – zapytał Beauvoir.

– Tak daleko od Montrealu, jak się tylko dało – przyznał Gamache. Wysłał

Reine-Marie w podróż i poprosił swojego przyjaciela, Marca Braulta z montrealskiej policji, by zapewnił policyjną obstawę dla dzieci nadinspektora. Potem sam wszedł w lądujący na śniegu samolot do Quebec City, stamtąd do Baie Comeau, potem Natashquan, Harrington Harbour, aż w końcu do małej rybackiej wioski Mutton Bay. Tam poszukiwał mordercy, ale odnalazł siebie.

W zapyziałej knajpie na skalistym brzegu wioski. Pachniało tam rybą, świeżą i smażoną. Ogorzały rybak, wyglądający, jakby sam był ze skały, siedział samotnie przy stoliku, spojrzał na Gamache'a i niespodziewanie uśmiechnął się do niego tak promiennie, że nadinspektor z miejsca wiedział, co powinien zrobić.

– I wtedy pan wyjechał – powiedział Beauvoir – zmierzając do Montrealu. A następne, o czym się dowiedziałem, to że Pierre Arnot i dwaj pozostali byli we wszystkich gazetach.

Co za ironia – pomyślał Gamache, starając się nie spoglądać znowu na zegarek.

Gamache pojechał do Abitibi i zapobiegł samobójstwu. Przez całą drogę powrotną dwaj oficerowie, pijani i pełni ulgi do skraju hysterii, płakali. Ale nie Arnot. On siedział między nimi wyprostowany jak struna i gapił się we wsteczne lustro, na Gamache'a. Od momentu, gdy wszedł do domku myśliwskiego, nadinspektor był pewien, że Arnot nie miał zamiaru się zabijać.

Pozostali, owszem. Ale nie Arnot. Przez cztery godziny jazdy w śnieżnej burzy Gamache wytrzymywał jego spojrzenie. Media okrzyknęły go bohaterem, ale Armand Gamache wiedział, że wcale nim nie był.

Bohater by się nie zawahał. Bohater by nie uciekł.

– Jaka była reakcja w kwaterze głównej, gdy zjawił się pan tam z Arnotem i resztą? – zapytał Beauvoir.

– Przyjęcie tak serdeczne, jak pan sobie wyobraża – odparł Gamache z uśmiechem.

– Naczelnikostwo było wściekłe. Postąpiłem wbrew ich życzeniu.

Oskarżono mnie o nielojalność i byłem jej winien.

– To zależy wobec kogo musi pan być lojalny. Dlaczego pan to zrobił?

– Dlaczego zapobiegłem samobójstwu? Matki zasługiwały na coś więcej niż tylko milczenie – rzekł Gamache po chwili. – Ta Indianka Kri i inni zasługiwali na publiczne przeprosiny, na wytłumaczenie, na obietnicę, że to się nigdy więcej nie zdarzy. Ktoś musiał przyjąć odpowiedzialność za to, co się stało z ich dziećmi.

Podobnie jak większość oficerów Sûreté, Beauvoir był do głębi serca oburzony i zawstydzony postępowaniem Arnota. Armand Gamache pozwolił im się zrehabilitować, udowodnił, że nie wszyscy pracownicy Sûreté byli tak podli. Zdecydowana większość funkcjonariuszy wszelkiej rangi twardo i bez wahania stanęła po stronie Gamache'a. Podobnie jak większość gazet. Ale nie wszyscy. Niektórzy oskarżali Gamache'a o kunszachty z podejrzanymi, o to, że kierował się prywatną zemstą przeciw Arnotowi. Niektórzy sugerowali nawet, że to Gamache był jednym z morderców i że zrobił popularnego naczelnika Arnota.

A teraz te oskarżenia powróciły.

– Ilu zwolenników Arnota pozostało w Sûreté? – zapytał Beauvoir, starając się zabrzmieć jak w rozmowie o interesach. To nie było takie sobie gadanie. To było zbieranie informacji taktycznych.

– Nie chcę, żeby się pan w to mieszał.

– Cóż, pierdol się pan.

Jean Guy Beauvoir nigdy w życiu nie zwrócił się do szefa w taki sposób. Teraz obaj byli oszołomieni zarówno słowami, jak i siłą, z jaką je wypowiedział. Beauvoir zatrzymał samochód na poboczu.

– Jak pan śmie. Mam już dość tego nieustannego bycia traktowanym jak dziecko. Wiem, że jest pan wyższy rangą. Wiem, że jest pan starszy i mądrzejszy. No dobra, zadowolony pan?

Ale najwyższy czas, żeby mi pan pozwolił stać obok pana. Niech mnie pan przestanie spychać na tyły. Proszę przestać!

Inspektor walnął dłońmi w kierownicę z taką siłą, że niemal ją złamał.

Poczuł, jak obił sobie ręce aż do kości. Ku jego zgrozie łzy napłynęły mu do oczu. To tylko ręce, mówił sobie, tylko ręce. Ale klatka wewnątrz niego była pusta. Nie zagrzebał jej wystarczająco ani dość głęboko. Miłość, jaką żywił do Gamache'a, rozdarła go i groziła, że rozerwie na strzępy.

– Proszę wysiąść – polecił Gamache.

Beauvoir szarpał się chwilę z pasem bezpieczeństwa, po czym zdołał wreszcie wyturlać się na bitą drogę. Była kompletnie pusta. Przestało padać i słońce wygrzebywało się z wysiłkiem na niebo, podobnie jak Beauvoir z wysiłkiem wstawał na nogi. Gamache niewzruszony stał obok niego.

– Pierdol się! – wrzasnął Beauvoir ile sił w płucach. Jedyne, czego pragnął, to wyć.

Zwinać dłonie w pięści, uderzyć w coś lub kogoś i wyć. Ale zamiast tego szlochał. I wymachiwał rękami, nie wiedząc, co robi. Nie wiedział, ile mu to zajęło, ale w końcu wróciły mu zmysły.

Najpierw dostrzegł światło, potem usłyszał jakieś ptaki, poczuł zapach lasu po deszczu. Powoli doszedł do siebie, jak gdyby na nowo wchodził w świat. A Gamache stał tam. Nie odszedł. Nie próbował go powstrzymać, przystopować, uspokoić. Pozwolił Beauvoirovi rzucać się, szlochać i miotać.

– Chcę tylko... – Głos Beauvoira osłabł.

– Czego pan chce? – zapytał cicho Gamache. Stał pod słońce i jedyne, co Beauvoir dostrzegał, to jego sylwetkę.

– Chcę, żeby mi pan ufał.

– Myślę, że to nie wszystko.

Beauvoir był wykończony, słaby, wyczerpany. Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie. Nagle słońce zaświeciło na zwisające na brzegach gałęzi krople wody i rozświetliło je.

Gamache bardzo powoli podszedł do Beauvoira i wyciągnął rękę. Jean Guy wpatrywał się w jego dłoń, wielką i potężną. I nagle, jakby patrzył na czyjąś rękę, zobaczył, jak jego dłoń unosi się i miękko łąduje. Wewnątrz dłoni szefa jego ręka była smukła, niemal delikatna.

– Od chwili, gdy pana zobaczyłem, wściekłego i zgorzkniałego, w tym



składzie dowodów rzeczowych w oddziale w Trois-Rivières, wiedziałem – mówił Gamache. – Jak pan myśli, dlaczego pana przyjąłem, gdy nikt inny nie chciał? Dlaczego sądzi pan, że uczyniłem pana swoim zastępcą? Owszem, jest pan utalentowanym detektywem. Ma pan smykałkę do łapania morderców. Ale to nie wszystko. Jest między nami porozumienie, coś łączy pana i mnie. Mam poczucie łączności ze wszystkimi członkami mojego zespołu, ale z panem silniejsze niż z kimkolwiek innym. Pan będzie moim następcą, Jean Guy. Pan zajmie moje miejsce. Kocham pana jak syna. I potrzebuję pana.

Oczy i nos Beauvoira zapiekły go i uciekł z nich szloch, doganiając te, które wcześniej już porwał wiatr, jak gdyby emocje były równie naturalne jak drzewa.

Dwaj mężczyźni uścisnęli się, a Beauvoir szepnął Gamache'owi do ucha:

– Też pana kocham.

Po czym się rozdzielili. Bez zażenowania. Byli jak ojciec i syn. Cała zazdrość, jaką Beauvoir żywił do Daniela, odeszła, wyparowała.

– Musi mi pan wszystko opowiedzieć.

Gamache nadal się wahał.

– Niewiedza mnie nie obroni.

Więc Armand Gamache opowiedział mu wszystko. O Arnocie, o Francoeurze, o Nichol.

Beauvoir słuchał osłupiały.

Odile Montmagny była zajęta udzielaniem wyjaśnień klientowi, zastanawiającemu się nad różnicą pomiędzy twardym a miękkim tofu. Gdy ona była zajęta interesem, Gamache i Beauvoir krążyli po wnętrzu sklepu, oglądając rzędy produktów ekologicznych, puszek z herbatą i słoików z ziołami. Na tyłach sklepu znaleźli meble roboty Sandona. Gamache uwielbiał antyki, szczególnie sosnowe meble z Quebecu. Nowoczesne wzornictwo często wprowadzało go w dezorientację. Ale przyglądając się stołom, krzesłom i taboretom Gilles'a, jego miskom i laskom, Gamache miał uczucie, że patrzy na niesamowite połączenie tradycji z nowoczesnością.

Drewno sprawiało wrażenie, jak gdyby przeznaczone mu było przybrać właśnie te kształty, jak gdyby przez setki lat rosnęło w lasach Quebecu, czekając, aż ten mężczyzna je znajdzie i zrobi z niego użytek. Mimo to projekty bynajmniej nie były tradycyjne. Były nowoczesne i odważne.

– Ma pan ochotę coś kupić? – zapytała Odile. W jej oddechu Gamache poczuł woń cierpkiego wina, byle jak zamaskowaną miętową pastylką. To była obrzydliwa kombinacja i walczył ze sobą, żeby się nie cofnąć.

– Bardzo chętnie, ale może nie dzisiaj – odparł. – Obawiam się, że musimy zadać jeszcze parę pytań.

– Nie ma problemu. Dzisiaj mały ruch. Jak w większość dni.

– Przypuszczam, że pozwala to pani pracować nad pani poezją.

– Słyszał pan moje wiersze? – Podskoczyła radośnie.

– Słyszałem, madame.

– Chciałby pan usłyszeć kolejny?

Beauvoir starał się uchwycić wzrok szefa, ale Gamache zdawał się nie zwracać uwagi na optyczną ekwilibrystykę kolegi.

– Byłbym zaszczycony, jeśli to nie kłopot.

– Proszę, niechże pan siada. – Odile praktycznie popchnęła Gamache’a na jedno z krzeseł Gilles’a.

Nadinspektor spodziewał się usłyszeć ostry trzask, który za jednym razem zdewastuje mebel oraz stan jego konta, ale nic takiego się nie stało. Krzesło, drewno oraz jego oszczędności pozostały nietknięte.

Odile wróciła ze swoim wyświechtanym notesem, tym samym, który zatrzaskała tak głośno, kiedy Beauvoir odwiedził ją poprzednio.

Odchrząknęła i wyrównała ramiona jak bokser przed walką.

Nad wrzosowiska ponurą mgłą  
Wyprawa nasza gna  
Prosto pod wiatr, ze wszystkich sił  
Ja, moja miłość i ja.  
W pokrzyku mew, w pokocie traw  
Tak nasza trójka szła:  
Splecionych rąk wśród burzy mąk  
Ja, moja miłość i ja.

– Nazwałam go „Ja, moja miłość i ja”.

Gamache był zbyt wstrząśnięty, by wykrztusić choćby słowo, ale Beauvoir się odezwał:

– Fantastyczne. Dokładnie to sobie wyobrażam.

I naprawdę tak myślał. Przywykł do słuchania niezrozumiałych cytatów, wygłaszanych przez Gamache’a, zaczerpniętych głównie z mętnych utworów Ruth Zardo, które nawet się nie rymowały. To przynajmniej miało sens. Beauvoir mógł wyobrazić sobie ptaka, jego krzyk, deszcz.

– Może jeszcze jeden?

– Obawiam się, że musimy o coś zapytać – Gamache poklepał taboret koło siebie.

– Chociaż to było prześliczne.

Odile usiadła i zachybotwała się lekko, starając się utrzymać w pionie.

– Co pani myślała o Madeleine Favreau?

– Była w porządku. Przychodziła tu czasem, ale nie znałam jej dobrze. Przykro mi, że nie żyje. Wiadomo, kto to zrobił?

– A pani ma pomysł?

Odile się zastanowiła.

– Myślę, że to ta jej kuzynka. Hazel. Zawsze taka miła. Zbyt miła. Do obłądu może doprowadzić. Zdecydowanie podejrzana. Chociaż z drugiej strony może to ona była bardziej prawdopodobną ofiarą. Jesteście pewni, że zabito właściwą osobę?

– Rozmawiała pani z Madeleine po drodze do dawnego domu Hadleyów.

– O, tak? – Odile była równie utalentowaną kłamczuchą jak poetką.

– O, tak. Ktoś was słyszał.

– Och, tak tylko sobie gadałyśmy.

– Kłóciłyście się, *madame* – powiedział Gamache dobitnie, choć cicho. Widział twarz Odile z profilu, z jej słabą i miękko zarysowaną szczęką.

– Nie, nie kłóciłyśmy się – zaprzeczyła.

Gamache wiedział, że wszystko, co musi zrobić, to poczekać, z nadzieją, że nie pojawi się kolejny klient.

– Zawsze próbowała mi zabrać Gilles’a! – Ekspłodowała nagle Odile, a jej cuchnący, kwaśny oddech uderzył w Gamache’a z taką siłą, jakby był uwięziony wewnątrz niej o wiele za długo. – Wiedziałam, że tego właśnie chce. Zawsze się do niego uśmiechała, zawsze go dotykała.

– Odile zaczęła naśladować gesty Madeleine, obmacując ramię Gamache’a.

– Chciała, żeby zwracał na nią uwagę, a on tego nie robił.

– Czy to prawda? – zapytał Gamache.

– Oczywiście, że prawda. On kocha mnie. – Jej ostatnie słowa były ledwo słyszalne. Usta Odile rozwarły się, a z obwisłych warg ściekła ślina. Z nosa jej ciekło, łzy tryskały z oczu. Cała twarz rozlała się, jakby obłana kwasem.

Gamache zastanawiał się, czy Madeleine próbowała odbić Odile Gilles’a. Jeśli tak, były dwa motywy do morderstwa. Odile chciała zabić rywalkę. A

pan Béliveau – z zazdrości. Co powiedziała Clara? Że Madeleine zawsze dostawała to, czego chciała. Ale czego chciała? Kogo chciała? Gilles’a czy pana Béliveau? A może żadnego z nich?

– O co się sprzeczałyście tamtej nocy? – naciskał Gamache.

– Powiedziała jej, że ma przestać. Jasne? Zadowoleni? Błagałam ją, by trzymała się z daleka od Gilles’a. Mogła mieć każdego mężczyznę. Była prześliczna i mądra. Wszyscy chcieli z nią być. Któż by nie chciał? Ale ja? Wiem, co ludzie o mnie myślą. Jestem głupia, nudna i znam się tylko na rachunkach. Całe życie kochałam Gilles’a i w końcu on wybrał mnie. Mnie.

I nikt mi go nie zabierze. Błagałam ją, żeby mi go zostawiła.

– A co ona na to?

– Wszystkiemu zaprzeczyła. Pozwoliła mi robić z siebie idiotkę, upokarzać się, nie miała nawet odwagi przyznać, jaka z niej była puszczalska.

Gdy wyszli, Gamache otrząsnął rękę, czując, że jest wilgotna i oślizgła. Ale żał często taki bywał. Beauvoirovi udało się wymknąć, nie podając ręki.

Znaleźli Gilles’a Sandona głęboko w lesie. Szli za odgłosem siekiery, przemierzając mały wzgórek i wspinając się po martwym, gnijącym pniu, aż zobaczyli olbrzymiego mężczyznę z siekierą, pracującego przy powalonym drzewie. Przez moment obserwowali pełne siły i wdzięku ruchy, z jakimi jego masywne ramiona podnosiły staroświeckie narzędzie i opuszczały je na drzewo. Wtem Gilles przerwał pracę, zatrzymał się i popatrzył wprost na nich. Wszyscy trzej przyglądali się sobie, po czym Sandon pomachał do nich.

– Wrócił pan! – zawołał do Beauvoira.

– I przyprowadziłem szefa.

Sandon powędrował w ich kierunku, a deptane po drodze patyki trzaskały pod jego stopami.

– Tutaj nie ma szefów – powiedział do Beauvoira, po czym odwrócił się i zmierzył wzrokiem Gamache’a. – To o panu było w gazetach.

– Owszem – przyznał Gamache swobodnie.

– Nie wygląda pan na mordercę.

– Bo nim nie jestem.

– A ja mam w to wierzyć?

– Uwierzy pan, w co zechce. Nie dbam o to.

Sandon sapnął, po czym wreszcie wskazał pieńek, jakby to był kryty jedwabną tapicerką fotel.

– Podejrzewam, że kiedyś był pan drwalem – powiedział Gamache, siadając na pieńku.

– W mrocznych czasach, tak. Już się tego nie wstydzę. Nie miałem pojęcia, co robię.

Ale wyglądał na zawstydzonego.

– O czym pan nie wiedział? – zapytał Beauvoir.

– Mówiłem panu. Że drzewa żyją. To znaczy wszyscy wiemy, że żyją, ale nie myślimy o nich jak o żywych istotach, wie pan? Ale one nimi są. Nie można zabijać żywych istot. To złe.

– A jak pan się dowiedział? – dociekał Gamache.

Sandon sięgnął do kieszeni i wyjął brudną chusteczkę. Otarł nią ostrze siekiery i czyścił je, opowiadając.

– Pracowałem przy wycince w jednym z tutejszych tartaków. Codziennie z moją brygadą chodziliśmy do lasu. Ścinaliśmy drzewa, przywiązaliśmy je do traktora i wlekiśmy przez przecinkę do miejsca, skąd je odbierano. Nieprawdopodobnie ciężka praca, ale lubiłem to. Na dworze, świeże powietrze. Żadnych szefów.

Spojrzał podejrzliwie na Gamache'a, jego ogorzała twarz była pokryta rudą, siwiejącą brodą, a oczy, choć bystre, wydawały się dalekie.

– Pewnego dnia wszedłem do lasu z siekierą i usłyszałem łkanie. To brzmiało jak płacz dziecka. To było mniej więcej o tej porze roku. Najlepsza pora na wycinkę. Ale to także pora, gdy zwierzęta mają młode. Brygada właśnie się schodziła, a łkanie stało się głośniejsze. Potem usłyszałem krzyk. Zawołałem do chłopaków, żeby przerwali pracę, uciszyli się i słuchali. Łkanie przeszło w głośny płacz. Dochodził zewsząd. Nie tylko go słyszałem, ale czułem. Zawsze w lesie byłem jak u siebie w domu, ale nagle ogarnął mnie lęk.

– Nic nie słyszę – powiedział jeden z chłopaków i znów uderzył w drzewo. I znowu rozległ się krzyk. Resztę możecie sobie dośpiewać. W jednej chwili coś się zmieniło. Ja się zmieniłem. Zacząłem słyszeć drzewa. Myślę, że zawsze słyszałem, gdy były szczęśliwe. Pewnie dlatego sam czułem się taki szczęśliwy w lesie. Ale teraz słyszałem także ich przerażenie.

– I co pan zrobił?

– A co mogłem zrobić? Co pan by zrobił? Musiałem przestać. Zaprzestać zabijania.

Wyobraża pan sobie wycinanie lasu, który do pana krzyczy?

Beauvoir mógł sobie wyobrazić, zwłaszcza, jeśli wrzaski trwały cały dzień.

– Jednak większość drzew milczy. Chcą tylko, by je zostawić w spokoju – ciągnął Gilles.

– Zabawne, jak nauczyłem się wolności od istot, które tkwią wrośnięte w ziemię.

Gamache pomyślał, że to ma sens.

– Zwolnili mnie, ale i tak bym odszedł. Pewnego dnia wszedłem do lasu jako drwal, a wyszedłem jako zupełnie inny człowiek. Nic odtąd nie było tak samo. Nie mogło być. Moja żona próbowała to zrozumieć, ale nie umiała. W końcu odeszła i zabrała dzieci. Wróciła do Charlevoix. Nie mam żalu do niej. Tak naprawdę czuję ulgę. Cały czas próbowała mnie przekonać, że drzewa nie mówią, nie śpiewają, a już na pewno nie krzyczą. Ale one to robią.

Żyliśmy w zupełnie różnych światach.

– Czy Odile żyje w pana świecie? – zapytał Beauvoir.

– Nie – przyznał Gilles. – Nie spotkałem nigdy nikogo, kto żyje w moim świecie. Ale Odile to akceptuje. Nie próbuje mnie zmieniać ani przekonywać, że się mylę. Bierze mnie takim, jakim jestem.

– A Madeleine?

– Ona była czymś pięknym i egzotycznym. To jakby spacerować po tym lesie i natrafić na palmę. Przyciągała uwagę.

– Miał pan z nią romans? – zapytał Beauvoir bardziej bezceremonialnie, niż Gamache by chciał, ale taki już był styl inspektora.

– Nie. Wystarczało mi podziwianie jej z daleka. Może gadam do drzew, ale nie jestem wariatem. Nie interesowała się mną. Ani ja nie interesowałem się Madeleine, prawdę mówiąc.

Może w fantazjach, ale nie w rzeczywistości.

Beauvoir zastanawiał się, co dokładnie było „rzeczywistością” wedle Sandona.

– Dlaczego nie lubi pan pana Béliveau? – Gamache zmienił temat.

Sandonowi zajęło chwilę, by oderwać się myślami od Madeleine i skupić na poważnym sklepikarzu. Spojrzał na swoje olbrzymie dłonie i poskubał odcisk.

– Był w tej okolicy wspaniałe dąb. Trafił go piorun, obłamała się ogromna gałąź i zwisała z niego. Słyszałem, że dąb płacze, więc zapytałem, czy pozwoli mi obciąć gałąź i pomóc temu drzewu. Odmówił.

– Dlaczego? – zapytał Beauvoir.

Gilles spojrzał na nich.

– Powiedział, że obcięcie gałęzi zabije całe drzewo. Owszem, przyznałem, że jest takie ryzyko, ale powiedziałem mu też, że drzewo cierpi, więc byłoby bardziej miłosiernie albo dać mu szansę żyć w zdrowiu, albo dać mu szybko umrzeć.

– Ale nie uwierzył panu?

– To drzewo umierało przez cztery lata. – Gilles potrząsnął głową. – Słyszałem, jak błagało o pomoc. Prosiłem Béliveau, ale nie chciał o tym słyszeć. Myślał, że z drzewem jest lepiej.

– Nie wiedział – rzekł Gamache. – Bał się.

Gilles lekceważąco wzruszył ramionami.

– A czy to, że spotykał się z Madeleine, przyczyniło się do pańskiej antypatii? – zapytał Gamache.

– Powinien był ją chronić. Powinien był chronić tamto drzewo. Wygląda na takiego łagodnego, ale to zły człowiek.

Cóż to za określenia użył pan Béliveau w odniesieniu do siebie? Gamache



próbował sobie przypomnieć. Istota, co sprowadza śmierć. Dokładnie tak. Najpierw jego pierwsza żona, później Madeleine, potem ptaszek. No i to drzewo. Wokoło pana Béliveau wszystko umierało.

Mężczyźni milczeli, wdychając słodki, gęsty aromat wilgotnych sosen, jesiennych liści i świeżych pąków.

– Teraz przychodzę tutaj. Znajduję drzewa, które już są martwe, i robię z nich meble.

– Daje im pan nowe życie – powiedział Gamache.

– Nie przypuszczam, żeby pan słyszał drzewa?

Gamache przechylił głowę, nasłuchując, po czym potrząsnął nią. Sandon skinął głową.

– Czy rosną tu miłorzęby? – zapytał Gamache.

– Miłorzęby? Kilka, ale niewiele. Zdaje się, że są głównie z Azji, tak sądzę. Bardzo stare drzewa.

– Ma pan na myśli to, że są długowieczne? – zainteresował się Beauvoir.

– To też, choć nie żyją tak długo jak sekwoje. Niektóre mają tysiące lat, wyobrażacie sobie? Chciałbym porozmawiać z takim. Nie, miłorzęb nie jest tak długowieczny, ale to najstarsze znane drzewa. Prehistoryczne. Uchodzą za żywe skamieliny. Wyobraźcie to sobie.

Gamache był pod wrażeniem. Sandon dużo wiedział o miłorzębach. O starożytnej rodzinie miłorzębowców produkujących efedrynę.

Gdy przybyli do biura operacyjnego, na jego biurku leżała starannie złożona gazeta. Była piąta, a Robert Lemieux pracował na komputerze. Spojrzał w górę i pomachał do nich, gdy wchodzili, a jego wzrok padł na gazetę, jakby współczuł Gamache'owi.

Jean Guy Beauvoir stał obok szefa, gdy ten rozkładał gazetę. Gamache'owi przypomniał się program przyrodniczy o gorylach, który kiedyś oglądał. Kiedy czuły zagrożenie, biegły naprzód, skupiając się na atakujących je zwierzętach, krzycząc i bijąc się w piersi. Ale co jakiś czas sięgały obok, by dotknąć goryla obok siebie. By upewnić się, że nie są same.

Beauvoir był jego gorylem obok.

Na pierwszej stronie widniało zdjęcie Gamache'a z głupawą miną, na wpół przymkniętymi oczami i ustami ułożonymi w dziwny grymas.

SOÛL! – Upierał się nagłówek, wydrukowany wielkimi literami. *Pijany!*

– Widzę, że z pana nawalony szantażysta, alfons i morderca – powiedział Beauvoir.

– Prawdziwy człowiek renesansu – zgodził się Gamache, kiwając głową. Ale poczuł ulgę.

Z początku przeleciał wzrokiem artykuł, szukając wzmianek o Danielu, Annie, Reine-Marie.

Jedynie nazwiska, jakie znalazł, to było jego i Arnota. Zawsze powiązane, jak gdyby jedno nie mogło istnieć bez drugiego.

Zadzwoił do rodziny i spędził kolejne pół godziny na rozmowach z nimi, upewniając się, że wszystko jest tak dobrze, jak może być w tej sytuacji.

Co za dziwny świat – pomyślał sobie, gdy wracali z Beauvoirem do pensjonatu, niosąc teczki z dokumentami i księgi pamiątkowe – kiedy za dobry dzień uchodzi taki, w którym oskarżano go jedynie o pijaństwo i niekompetencję.

Po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat Clara Morrow zamknęła drzwi do swojej pracowni.

Olivier i Gabri nadchodzili. Armand Gamache i inspektor Jean Guy Beauvoir właśnie weszli. Myrna zjawiła się wcześniej z plackiem pasterskim i olbrzymim bukietem kwiatów, w którego skład wchodziły gałązki z pączkami i coś, co wyglądało jak strojny wielkanocny kapelusz.

– W środku jest prezent dla pana – powiedziała do Gamache’a.

– Naprawdę? – Nadinspektor miał nadzieję, że nie chodziło jej o kapelusz.

Clara wprowadziła Jeanne Chauvet do salonu, w którym wszyscy już się zgromadzili.

Gamache schwytał spojrzenie Clary i uśmiechnął się z wdzięcznością. Ona także odpowiedziała uśmiechem, choć wyglądała na zmęczoną.

– Wszystko w porządku? – Nadinspektor wziął od niej tacę z drinkami i postawił ją na zwykłym miejscu na pianinie.

– Jestem tylko trochę zestresowana. Próbowałam malować dziś po południu, ale Peter ma rację. Lepiej nie starać się za bardzo, jeśli brak mi inspiracji. Na szczęście musiałam skupić się na kolacji. – Clara spojrzała tak, jakby wolała odgryźć sobie stopę, niż uczestniczyć w tym przyjęciu.

Olivier odebrał od Gabriego ceramiczną miskę z domowym pasztetem, Garbi miał krążyć z nią po pokoju, ale zamiast tego zdecydował się stanąć przy kominku i pogawędzić z Jeanne.

– Pasztetu? – zapytał Beauvoira, który wziął duży kawałek bagietki i posmarował ją grubą warstwą *pâté*.

– Słyszałem, że jest pani czarownicą – zwrócił się Gabri do Jeanne, a w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Wolę być nazywana wikkanką, ale owszem – odparła rzeczowo Jeanne.

– Może pasztetu? – zapytał Olivier, wdzięczny, że może schować się za przystawką.

Gdyby wiedział, przyprowadziliby całego wieprza.

– Dziękuję – odparła Jeanne.

Zjawiła się Ruth, z głośnym tupaniem wstępując do pogodnego salonu. Beauvoir skorzystał z zamieszania, żeby porozmawiać z Jeanne na osobności.

– Oficer Lemieux powiedział mi, że znalazł panią w jej dawnym liceum – powiedział, prowadząc ją w ustronne miejsce.

– Naprawdę? To ciekawe – zdziwiła się Jeanne, choć jej twarz nie zdradzała zainteresowania.

– A owszem. Jak się okazało, nie ma takiej szkoły.

– Słucham?

– W Montrealu nie ma liceum imienia Garetha Jamesa.

– Ale to niemożliwe. Chodziłam tam. – Wyglądała na ożywioną, dokładnie tak Beauvoir lubił, gdy zachowywali się podejrzani. Nie lubił tej kobiety, tej czarownicy.

– Szkoła spaliła się dwadzieścia lat temu. Świetnie się składa, nieprawdaż?  
– Wstał, zanim zdążyła odpowiedzieć.

– Gdzie mój drink? – Ruth dokuśtykała do pianina. – Chciałam przyjść wcześniej, zanim mi wszystko wypijecie – powiedziała do Gamache’a. Olivier był wdzięczny, że w pokoju zjawił się wreszcie ktoś bardziej niezręczny od Gabriego.

– Pochowałem butelki po całym domu, a jeśli będzie pani dla mnie miła, madame Zardo, mogę pani powiedzieć, gdzie są niektóre z nich – powiedział Gamache, skłaniając się lekko.

Ruth zastanowiła się przez chwilę i najwyraźniej uznała, że to za dużo zachodu. Złapała szklankę do wody i wcisnęła ją Peterowi.

– Szkocką.

– Jak to możliwe, że jesteś poetką? – zapytał Peter.

– Powiem ci jak, nie marnuję dobrych słów na takich jak wy. – Wzięła od niego szklanekę i upiła z niej duży łyk. – Dlaczego pan pije? – zapytała Gamache’a.

– *Voyons* – powiedział Beauvoir. – W artykule w gazecie są kłamstwa. On nie pije.

– W jakim artykule w gazecie? – zapytała Ruth. – A to co? – Wskazała na szklanekę szkockiej w dłoni Gamache’a.

– Piję, żeby się odprężyć – odpadł Gamache. – A pani?

Ruth wpatrywała się w niego, ale oczami duszy widziała dwa pisklaki, opatulone w swoich łóżeczkach w piekarniku, zawinięte w ciepłe ręczniki i obłożone termoforami, które kupiła na stacji benzynowej. Nakarmiła Rosę i próbowała też dać jeść Lilium, ale ta nie zjadła za wiele.

Ruth ucałowała je delikatnie w ich małe, puchate łebki, a na jej cienkich, starych wargach pozostała warstewka drobnego puchu. Od bardzo dawna niczego nie pocałowała. Pisklaki pachniały świeżo i były ciepłe w dotyku. Lilium schyliła szyję i leciutko poszczypała Ruth w rękę, jakby odwzajemniając pocałunek. Ruth zamierzała wyjść do Clary i Petera wcześniej, ale czekała, aż Rosa i Lilium zasną. Sięgnęła po kuchenny zegar, ustawiła go na dwie i pół godziny i wrzuciła do kieszeni swojego przeżartego przez mole kardiganu. Pociągnęła łyk szkockiej i zastanowiła się. Dlaczego piła?

– Piję, żeby się nie wściekać – odpowiedziała w końcu.

– Żeby się nie wściekać, czy żeby nie zwariować? – zamruczała Myrna. – Tak czy inaczej to nie działa.

Tymczasem na kanapie Gabri znów osaczył Jeanne.

– No więc co robią czarownice?

– Gabri, nie powinienesz czasem częstować tym gości? – Olivier próbował znowu wcisnąć mu miskę z pasztetem, ale Gabri tylko wziął kawałek dla siebie i zostawił Oliviera z naczyniem.

– Uzdrowiamy ludzi.

– Cóż, wydawało mi się, że wręcz przeciwnie. Czyżby nie było złych

czarownic?

– Dobry Boże, proszę, nie pozwól, by zawiódł nas do krainy Manczkinów<sup>[18]</sup> – wymamrotał Olivier do Petera. Obaj się odsunęli.

– Jest ich trochę, ale nie aż tyle, ile by się można spodziewać – Jeanne uśmiechnęła się. – Czarownice to po prostu osoby z większą intuicją.

– Więc to nie są czary – orzekł Beauvoir, który wbrew samemu sobie przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Nie posługujemy się niczym, czego już nie ma na miejscu. Widzimy tylko rzeczy, których inni nie dostrzegają.

– Na przykład umarłych? – zapytał Gabri.

– Umarli to pestka – powiedziała Ruth, odpychając Myrnę. Wciskała się na kanapę, pomagając sobie przy tym kościstymi łokciami. – Ja ich widzę cały czas.

– Naprawdę? – spytała Myrna.

– Widzę ich nawet teraz – oznajmiła Ruth, a w pokoju zapadła cisza. Nawet Peter i Olivier przysunęli się bliżej.

– Tutaj? – zdziwiła się Clara. – W tym domu?

– Szczególnie tutaj – odparła Ruth.

– Teraz?

– Tam. – Ruth podniosła palec pełnym przekonania gestem, wskazując na Gamache'a.

Wszyscy wciągnęli głęboki dech, a Gamache spojrział na Beauvoira.

– Nieżywy? On nie żyje? – szepnęła Clara.

– Nieżywy? Myślałam, że powiedziałaś „nieznośny” – odrzekła Ruth.

– Jak to możliwe, że ona jest poetką? – Peter zwrócił się do Oliviera i razem odeszli, by obejrzyć najnowszy zestaw puzzli Petera.

– No więc kto to zrobił? Wie pan, kto zabił Madeleine? – zapytała Ruth. – Czy też był pan zbyt zajęty wręczaniem łapówek albo piciem, żeby naprawdę zająć się sprawą?

Beauvoir otworzył usta, ale Gamache podniósł dłoń, zapewniając go, że to

był żart.

– Nie wiemy, ale jesteśmy blisko rozwiązania.

To było niespodzianką dla Beauvoira, choć starał się tego nie okazać.

– Czy wiedzieliście, że Madeleine miała raka? – zapytał zebranych Gamache.

Wszyscy popatrzyli po sobie i przytaknęli.

– Ale to było jakiś czas temu – dodała Myrna.

Gamache czekał, czy usłyszy coś więcej, po czym zdecydował się zadać kolejne pytanie:

– Czy o ile wiecej, była ciągle w stanie remisji?

Wyglądali na zakłopotanych, po raz kolejny spojrzeli po sobie, obrzucając się spojrzeniami w jakby telepatyczny sposób, właściwy bliskim przyjaciołom.

– Nigdy nie słyszałem innej wersji – powiedział Peter.

Nikt nie zaprotestował. Gamache i Beauvoir wymienili spojrzenia. Znow wrócono do rozmów, a Peter wymknął się do kuchni, by sprawdzić, jak się ma kolacja. Gamache ruszył za nim. Zastał Petera, mieszającego potrawkę z jagnięciny. Gamache podniósł bagietkę i nóż do masła, czyniąc gest w stronę Petera, który uśmiechnął się z wdzięcznością. Obaj pracowali w ciszy, przysłuchując się rozmowom w sąsiednim pokoju.

– Słyszałem, że jutro wreszcie powinno być ładnie – odezwał się Peter. – Ciepło i słonecznie.

– Tak to bywa w kwietniu, nieprawdaż? – odrzekł Gamache, krojąc pieczywo i układając je na serwetce w drewnianej misce. Odchylił serwetkę i zauważył charakterystyczne wybrzuszenie na powierzchni drewna. Jedna z misek Sandona.

– Ma pan na myśli to, że trudno przewidzieć? – odparł Peter. – Ciężki miesiąc.

– Jednego dnia słońce, następnego śnieg – zgodził się Gamache. – Szekspir nazywał to „zmienną ranka kwietniowego chwałą”<sup>[19]</sup>. – Ja wolę

określenie Thomasa Stearnsa Eliota. „Najokrutniejszy miesiąc”<sup>[20]</sup>.

– Czemu pan tak myśli?

– Bo wszystkie te wiosenne kwiaty umierają. To zdarza się niemal co roku. Dają się nabrać na ciepło, wyrastają, otwierają się. Nie tylko te wiosenne rośliny cebulkowe, nawet pąki na drzewach. Krzewy różane, wszystko. W rozkwicie, szczęśliwe. A wtedy, bum! Jedna niespodziewana burza wszystko niszczy.

Gamache miał wrażenie, że nie rozmawiali już tylko o kwiatach.

– Ale co miałyby się wydarzyć? – zapytał Petera. – Rośliny muszą kwitnąć, choćby krótko. I następnego roku rozkwitają na nowo.

– Ale nie wszystkie. – Peter odwrócił się, by popatrzeć na Gamache’a. Z drewnianej łyżki w jego dłoni spływał gęsty sos. – Niektóre nigdy się nie podnoszą. Mieliśmy taki prześliczny różany krzew, ostry mróz zabił go parę lat temu.

– *Zabójczy mróz kąsa mu korzeń* – zacytował Gamache. – *I jak ja upada*<sup>[21]</sup>.

Peter zadrżał.

– Kto upada, Peter? Czy to Clara?

– Nikt nie upada. Nie pozwolę na to.

– Zastanawiające, jak w Kanadzie bez przerwy rozmawiamy o jednej rzeczy, nad którą nie mamy żadnej kontroli. O pogodzie. Nie możemy powstrzymać zabójczego mrozu, nie możemy zapobiec temu, by kwiaty robiły to, co mają robić. Lepiej rozkwitnąć choćby na moment, jeśli taka ich natura, niż na zawsze pozostawać w ukryciu.

– Nie zgadzam się. – Peter zwrócił się plecami do gościa i praktycznie ugniótł potrawkę na piure.

– Przepraszam, nie zamierzałem pana urazić.

– Nie uraził pan – odpowiedział Peter do ściany.

Gamache zaniósł pieczywo na długi sosnowy stół, nakryty do kolacji, po czym wrócił do salonu. Rozmyślał nad Thomasem Stearnsem Eliotem. Uznał, że poeta nazwał kwiecień najokrutniejszym miesiącem nie dlatego,



że mroził kwiaty i pąki na drzewach, ale dlatego, że czasami tego nie robił. Jakie to musiało być trudne dla wszystkiego, co nie kwitnie, patrzeć na świat pełen nowego życia i nadziei.

– Dobra, może podejźmy do sprawy po męsku – powiedział Olivier.

– On nigdy tak nie mówi – zapewnił Clarę Gabri, po czym zwrócił się znowu ku półmiskowi z krewetkami, który Olivier próbował wręczyć mu, by poczęstował gości. Gabri sięgnął po jedną z krewetek.

– Wielkanoc nie jest świętem chrześcijańskim? – dopytywał się Olivier.

– Niby jest – przyznała Jeanne. Ta drobna, niepozorna kobieta zdołała jakoś zdominować pomieszczenie pełne wielkich osobowości. Siedziała w kącie kanapy, wciśnięta między oparcie a Myrnę, a wszystkie oczy były utkwione w niej. – Ale wczesny Kościół nie miał pewności, kiedy dokładnie ukrzyżowano Chrystusa, więc wybrano datę, która wpasowywała się także w kalendarz rytuałów pogańskich.

– Dlaczego mieliby chcieć to zrobić? – zdziwiła się Clara.

– Wczesnemu Kościołowi do przetrwania byli niezbędni nowi wyznawcy. To były niepewne i niebezpieczne czasy. Kościół zaadaptował niektóre przedchrześcijańskie święta i rytuały, żeby zyskać sobie względy pogan.

– Kościelne kadzidło to jak okadzanie, które my praktykujemy – zgodziła się Myrna.

– Palimy suszone zioła, aby oczyścić jakieś miejsce. – Skinęła do Clary, która przytaknęła.

Jednak ich okadzanie było przynoszącym komfort, radosnym rytuałem, a nie ponurym kościelnym machaniem kadzielnicy, pozbawionym humoru i nawet trochę groźnym. Clara nigdy nie uważała, że jedno przypomina drugie i zastanawiała się, jak zareagowałiby na to porównanie księży. Albo czarownice.

– Zgadza się – odpowiedziała Jeanne. – To samo dotyczy innych świąt. Czasami nazywa się Boże Narodzenie Julem.

– A przynajmniej w niektórych kolędach – wtrącił Gabri.

– I dlatego mamy *Yule log*<sup>[22]</sup> – dopowiedział Olivier.

– Jul to starożytne słowo na określenie przesilenia zimowego. Najdłuższej nocy w roku, w okolicy dwudziestego pierwszego grudnia. To pogańskie święto. Kościół zdecydował umieścić chrześcijańskie święto, Boże Narodzenie, tego samego dnia.

– Żeby gromada czarownic mogła je obchodzić? Oj, dajcie spokój – prychnęła Ruth.

– Czy czasami nie próbujecie uchodzić za ważniejsze, niż naprawdę jesteście?

– Jasne, teraz tak jest. Kościół nie interesował się nami przez setki lat, z wyjątkiem czasów, gdy, jak pani wiadomo, używano nas na podpałkę.

– O co pani chodzi? Co mi niby wiadomo?

– Wiele pani pisała o dawnych wierzeniach. Powracają w wielu pani wierszach.

– Za dużo się ich pani naczytała, Joanno d’Arc – mruknęła Ruth.

Powieszono mnie, bo mieszkałam sama  
Bo oczy miałam niebieskie, opaloną skórę  
Och, i jeszcze za to, że mam piersi  
Gdy mowa o demonach, to wszystko się przyda

– zacytowała Jeanne, badawczo wpatrując się w twarz Ruth.

– Czy twierdzi pani, że Ruth jest czarownicą? – zapytał Gabri.

Jeanne oderwała wzrok od pomarszczonej staruszki, siedzącej prosto jak struna.

– W wierzeniach wicca większość starych kobiet jest skarbnicami wiedzy, medycyny, historii. Są jak wróżbiarki.

– Cóż, Ruth jest praktykującą wkurwiarką. Czy to się liczy? – Pytaniu Gabriego odpowiedział ryk śmiechu, nawet Jeanne się uśmiechnęła.

– Był czas, gdy większość ludzi była poganami i obchodziła święta wedle dawnych obrządków. Jul i Ostareę, święto przesilenia wiosennego. Czy odprawia pani rytuały? – zapytała Myrnę Jeanne.

– Niektóre. Obchodzimy przesilenia, odprawiamy okadzanie. Nasz rytuał to mieszanka wierzeń indiańskich i pogańskich.

– Są nie do wytrzymania – rzuciła Ruth. – Byłam na paru. Wyszłam tak cuchnąca dymem z szaławii, że dwa dni się nie mogłam wywietrzyć. Ludzie w aptece myśleli, że jestem upalona.

– Czasami magia działa – powiedziała do Clary Myrna, śmiejąc się.

– Kolacja! – zawołał Peter z kuchni.

Kiedy się zeszli, ustawił na kuchennej wysepce naczynia z zapiekankami, potrawki, warzywa i talerze. Clara i Beauvoir obeszli stół, zapalając świece rozstawione w całej kuchni.

Gdy wszyscy zajęli już miejsca, siedzieli jak w przyciemnionym wnętrzu planetarium, rozjaśnianym błyszczącymi punktami. Na ich talerzach piętrzyły się potrawka jagnięca i placek pasterski, świeży chleb, puszyste purée ziemniaczane, drobna fasolka szparagowa. Towarzystwo rozsiadło się wygodnie, rozmawiając o ogrodach, o burzy, o Stowarzyszeniu Kobiet Anglikańskich i o warunkach na drogach.

– Dzwoniłam do Hazel, żeby zapytać, czyby nie wpadły, ale odmówiła – powiedziała Clara.

– Prawie zawsze odmawia – rzekła Myrna.

– Czy to prawda? – zapytał Olivier – Nigdy nie zauważyłem.

– Ja też nie – dodała Clara, dokładając sobie łyżkę ziemniaków. – Ale teraz jak sobie przypominam, proponowałam, że podrzucimy jej kolację po śmierci Madeleine, ale nie chciała o tym słyszeć.

– Niektórzy tak mają – stwierdziła Myrna. – Zawsze chętnie pomagają innym, ale trudno im przyjąć cudzą pomoc. To naprawdę przykre. Musi się czuć okropnie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wielki ból przeżywa.

– Czym się wymówiła, że nie może wpaść? – zapytał Olivier.

– Powiedziała, że Sophie skrzyła kostkę – odrzekła Clara z ponurą miną. Wokół stołu rozległy się rubasne śmiechy. Clara zwróciła się do Gamache'a, chcąc wytłumaczyć. – Sophie bez przerwy choruje albo jest kontuzjowana, przynajmniej odkąd ją znam.

– Co pani o tym myśli? – zwrócił się do Myrny Gamache.

– O Sophie? To łatwe. Chce zwrócić na siebie uwagę. Była zazdrosna o mamę i o Madeleine... – przerwała, zdając sobie sprawę, co mówi.

– Proszę się nie martwić, już o tym wiemy – uspokoił ją Gamache. – Sophie ostatnio bardzo schudła.

– Ogromnie – przyznał Gabri. – Ale walczy z efektem jo-jo. Parę lat temu schudła, a później z powrotem wszystko nabiła.

– Czy to rodzinne? – zapytał Gamache. – Czy waga Hazel też się tak waha?

Znów wszyscy popatrzyli po sobie, z wyjątkiem Ruth, która ukradła kawałek chleba z talerza Olivera.

– Hazel wygląda tak samo, odkąd ją pamiętam – stwierdziła Clara.

Gamache pokiwał głową, sącząc wino.

– Wspaniała kolacja, Peter. Dziękuję. – Wzniósł kieliszek w stronę Petera, który skłonił się lekko, przyjmując komplement.

– Myślałem, że upieczesz kurczęta – powiedział do Petera Olivier. – Czy to nie to zwykle robisz na kolację o tej porze roku?

– Ale z was żadni goście – rzucił Peter. – Robimy je tylko wtedy, gdy nas naprawdę ktoś odwiedza.

– Sądzę, że za dużo zadawałeś się z Ruth – odparł Olivier.

– Tak, w zasadzie to myśleliśmy o pieczystym z twoich dzieci, ale pewnie nie chciałabyś ich jeść – zwrócił się do Ruth Peter.

– Jak to? – Ruth zdawała się szczerze oburzona, a Gamache zastanawiał się, czy aby nie zapomniała, że kaczątka nie są ludźmi, że to nie są jej prawdziwe dzieci.

– Więc nie miałabyś nic przeciwko, gdybyśmy zrobili drób? – ciągnął Peter. – Albo nawet kaczkę z jeziora Brume? Planowaliśmy zrobić *confit du canard* z grilla.

– Rosa i Lilium to nie kurczęta i kaczki też nie – odparła Ruth.

– O tak? To czym są? – zapytała Clara.

– Myślę, że to latające małpy – powiedział Gabri do Oliviera, który

parsknął śmiechem.

– To gęsi kanadyjskie.

– Jesteś pewna? Wyglądają na malutkie, zwłaszcza Liliu – rzekł Peter.

Wszyscy zamilkli. Gdyby Clara stała bliżej, pewnie by go kopnęła. Zamiast tego kopnęła Beauvoira. Inspektor pomyślał, że to kolejny przykład stłumionego gniewu Anglosasów. Nie sposób im ufać, nie można ich wykopać ani nawet się zrewanżować.

– No i co? Zawsze była mała – oznajmiła Ruth. – Kiedy się wykluły, ledwie wydostała się ze skorupki. Rosa już wylazła ze swojej i kwakała, ale widziałam, że Liliu ciskała się w swojej, próbując ją przebić.

– Co pani zrobiła? – zainteresowała się Jeanne.

Jej twarz, podobnie jak oblicza innych, oświetlało światło świec, ale podczas gdy inni wyglądali w tym świetle atrakcyjnie, Jeanne nabrała demonicznego wyglądu, z ciemnymi, zapadniętymi oczami i głębokimi cieniami.

– A jak pani myśli? Stłukłam tę skorupkę za nią. Otworzyłam ją na tyle, by mogła się wydostać.

– Uratowałaś jej życie – pochwalił Peter.

– Możliwe – dodała Jeanne, siadając i znikając w cieniu.

– Jak to „możliwe”? – domagała się wyjaśnień Ruth.

– Ćma cesarska.

To nie Jeanne to powiedziała, ale Gabri.

– Proszę, powiedz, że nie powiedziałaś właśnie „ćma cesarska” – rzekła Clara.

– Powiedziałem, i miałem ku temu powód. – Gabri przerwał, by się upewnić, że publiczność zwróciła na niego uwagę. Nie było obaw: wszyscy słuchali.

– Przeistoczenie się jajka w dorosłego owada zajmuje całe lata – opowiadał Gabri.

– Ostatni etap polega na tym, że gąsienica buduje kokon, który następnie

rozpływa się zupełnie, aż zostaje sam płyn, a wtedy larwa się przepoczwarza. Staje się czymś zupełnie innym.

Olbrzymią ćmą cesarską. Ale to nie takie proste. Zanim będzie mogła żyć jako ćma, musi wydostać się z kokonu. Nie wszystkim się to udaje.

– Jeśli ja bym przy tym była, wszystkim by się udało – powiedziała Ruth, pijąc następny haust whisky.

Gabri, w nietypowy dla siebie sposób, milczał.

– Co? Co jest? – domagała się Ruth.

– One muszą same wywalczyć sobie drogę wyjścia. To stymuluje ich skrzydła i mięśnie.

To ten wysiłek je ratuje. Bez niego są kalekami. Jeśli ktoś pomaga ćmie cesarskiej, zabija ją.

Dłoń Ruth znieruchomiła w połowie drogi do ust. Pierwszy raz, odkąd ją znali, nie napiła się. Trzasnęła szklanką o stół tak mocno, że krople szkockiej wyleciały w powietrze.

– Gówno prawda. Co ty wiesz o świecie natury?

Potem zapadła cisza.

Po długiej przerwie Armand Gamache zwrócił się do Myrny:

– To piękna kompozycja kwiatowa, i zdaje się, że mówiła pani, iż jest w niej coś dla mnie.

– Owszem – odpowiedziała z ulgą. – Ale będzie pan musiał to sam z niej wygrzebać.

Gamache wstał i delikatnie rozgarnął gałązki. Pośrodku gąszczu spoczywała książka.

Wyjął ją i usiadł z powrotem.

– *Słownik miejsc magicznych* – przeczytał tytuł z okładki.

– Najnowsze wydanie.

– Znalaziono więcej miejsc magicznych? – zdziwił się Olivier.

– Nie sądzę. Ale widziałam, co pan czytał wczoraj w bistro, i pomyślałam, że może i to pana zainteresuje – powiedziała Myrna do Gamache’a.

– Co pan czytał? – zainteresowała się Clara.

Gamache poszedł do sieni i wrócił z książką, którą nosił ze sobą, po czym położył ją na leżącym na stoliku tomie. Na zgromadzonych gapiała się mała, obrysowana czerwienią dłoń na czarnym polu okładki. Nikt się nie ruszył, by jej dotknąć.

– Gdzie pan to znalazł? – zapytała Jeanne. Wyglądała na poruszoną.

– W dawnym domu Hadleyów. Zna pani tę książkę?

Czyżby się zawahała? – zastanawiał się nadinspektor. Jeanne wyciągnęła dłoń, a Gamache wręczył jej książkę. Obejrzawszy ją przez chwilę, odłożyła na miejsce.

– To Chamsa. Starożytny symbol odstraszaający zazdrość i chroniący przed złym okiem.

Znany także jako Dłoń Miriam. Albo Marii.

– Marii? – zapytała Clara, powoli siadając z powrotem na krześle. – Marii Madonny?

Jeanne przytaknęła.

– Wszystko to gównem prawda – rzuciła Ruth, wycierając palcem kropelki rozlanej szkockiej i oblizując go.

– Nie wierzy pani w magię? – spytała Jeanne.

– Nie wierzę w magię, nie wierzę w Boga. Nie ma żadnych aniołów, żadnych tęczowych wróżek na skraju ogrodu. Niczego nie ma. Jedyna magia to to. – Podniosła szklankę i upiła duży łyk.

– Czy to działa? – wtrącił się Gamache.

– Odpierdol się pan – warknęła Ruth.

– Elokwentna jak zawsze – zauważył Gabri. – Kiedyś wierzyłem w Boga, ale odstawiłem to w Wielkim Poście.

– Hue, hue, hue! – Zaśmiał się sarkastycznie Olivier.

– Chcecie wiedzieć, w co wierzę? – zapytała Ruth. – Dobra, dajcie mi to.

Nie czekając, schyliła się i zgarnęła ze stołu drugą książkę. Po popękana i podniszczoną Biblię, którą Gamache zabrał z dawnego domu Hadleyów.

Ruth zmrużyła oczy i przysunęła książkę do świecy, jakby próbując znaleźć właściwą stronę. W pokoju zapadła cisza, jedynym dźwiękiem było skwierczenie knota w świecy.

*– Oto oznajmiam wam tajemnicę – czytała Ruth. – Nie wszyscy zaśniemy, ale wszyscy będziemy przemienieni; w jednej chwili, w mgnieniu oka, na ostatnią trąbę. Zabrzmi bowiem trąba, a umarli zostaną wskrzeszeni niezniszczalni, a my zostaniemy przemienieni<sup>[23]</sup>.*

Wszyscy patrzyli w milczeniu.

*Umarli zostaną wskrzeszeni.*

W tym momencie w kieszeni Ruth zadzwonił zegarek.



Gamache nie mógł spać. Zegar przy łóżku wskazywał drugą dwadzieścia dwie. Nadinspektor leżał, nie śpiąc i wpatrując się w czerwone cyferki od czasu, gdy pokazywały pierwszą jedenaście. Nie obudził go zły sen ani niepokój, ani pełny pęcherz. Obudziły go żaby. Rzekotki. Armia niewidzialnych żab nad stawem spędzała większość nocy, śpiewając pieśń godową. Gamache przypuszczał, że do tej pory powinny się tym zmęczyć, ale najwyraźniej nie. O świcie ich kumkanie było radosne, po kolacji – nastrojowe. O drugiej w nocy irytowało. Ktokolwiek twierdził, że na wsi jest cisza i spokój, z pewnością nie przebywał w niej dość długo.

A przynajmniej nie wiosną.

Gamache wstał, włożył szlafrok i kapcie, zgarnął stertę książek ze stolika nocnego i ruszył schodami na dół. Rozpalił ogień na kominku, zaparzył dzbanek herbaty, po czym się usadowił, wpatrując w ogień i rozmyślając o wieczornym przyjęciu.

Ruth opuściła ich wkrótce po tym, jak zadzwonił zegarek, który przeraził wszystkich. Zanim wyszła, przeczytała niezwykle ustęp z Biblii. List Świętego Pawła do Koryntian. Niesamowity list, pomyślał Gamache. Bogu dzięki, że się zachował.

– Dobranoc! – wołał Peter spod drzwi, żegnając poetkę. – Śpij dobrze.

– Zawsze dobrze śpię – odburknęła Ruth.

Reszta kolacji była spokojna i smaczna. Peter podał gruszkowo-żurawinową tartę z Sarah's Boulangerie. Jeanne przyniosła ręcznie robione czekoladki z Marielle's Maison du Chocolat w St-Rémy, a Clara postawiła na stole półmisek serów i owoców. Mocna, aromatyczna kawa była idealnym finałem wieczoru.

Siedząc teraz przy herbacie w budynku pensjonatu, Gamache rozmyślał

nad tym, co usłyszał. Potem podniósł jedną z ksiąg pamiątkowych. Ta była z pierwszego roku, gdy Madeleine przyszła do tej szkoły średniej. Nie została uwieczniona na zbyt wielu zdjęciach. Hazel była na kilku, pośród reprezentacji sportowych młodszych klas. Jednak z upływem lat Madeleine wydawała się rozkwitać. Została kapitanem drużyn koszykówki i siatkówki. Hazel stała obok niej na wszystkich zdjęciach. W swoim naturalnym miejscu.

Gamache odłożył książki i myślał przez chwilę, po czym znów wziął jedną z nich i zaczął szukać brakującej cheerleaderki, Jeanne Potvin. Czy to możliwe? Czy to faktycznie takie proste?

– Pierdolone żaby – zaklął Beauvoir, wchodząc do salonu kilka minut później. – Ledwie pozbyliśmy się Nichol, to teraz żaby dają popalić. Przynajmniej są od niej ładniejsze i mniej oślizgłe. Co pan czyta?

– Te księgi pamiątkowe, które przywiozła ze sobą Lacoste. Herbaty?

Beauvoir skinął głową i przetarł oczy ręką.

– Nie przypuszczam, żeby przywiozła także „Sports Illustrated”?

– Przykro mi, synu. Ale znalazłem coś w tej księdze. Naszą zaginioną cheerleaderkę. Nie zgadnie pan.

– Jeanne? – Beauvoir podniósł się i wziął książkę od Gamache’a. Przewracał strony, aż trafił na zdjęcie Jeanne Potvin. Potem spojrzał na nadinspektora, popijającego łyk herbaty i zerkającego znad brzegu kubka.

– Cieszę się, że to było pańskie przeczucie, a nie moje. Wynik byłby kiepski jak na kogoś w czepku urodzonego.

Jeanne Potvin, brakująca cheerleaderka, była czarnoskóra.

– Cóż, warto było spróbować – powiedział Beauvoir, nie starając się szczególnie ukryć rozbawienia. Podniósł *Słownik miejsc magicznych* i zaczął go przeglądać.

– Jest tam bardzo ciekawy rozdział o jaskiniach we Francji.

– O, rany. – Beauvoir przez chwilę przyglądał się zdjęciom. Kamienne kręgi, stare domy, góry. Było nawet magiczne drzewo. Miłorząb. – Wierzy pan w takie rzeczy?

Gamache spojrział na Beauvoira sponad swoich okularów-półksiężyców. Włosy młodszego mężczyzny były rozczochrane, a na twarzy malował się lekki cień zarostu. Gamache podniósł rękę do twarzy i poczuł jej szorstkość. Potem uniósł dłoń ku głowie i poczuł wyraźnie końce włosów. Niewiele ich miał, ale te, które nie wypadły, stały dęba. Musiał wyglądać, jakby się wystraszył.

– Czy i was żaby obudziły? – Jeanne weszła do salonu w szlafroku. – Jest jeszcze trochę? – zapytała, wskazując głową imbryk z herbatą.

– Zawsze się znajdzie. – Gamache uśmiechnął się i nalał jej to, co zostało w dzbanku.

Jeanne wzięła kubek i ze zdziwieniem zauważyła, że nawet o trzeciej nad ranem herbata pachniała odrobinę drzewem sandałowym i wodą różaną. To dawało poczucie spokoju.

– Właśnie rozmawiamy o magii – wyjaśnił Gamache, siadając, gdy Jeanne zajęła swoje miejsce.

– Zapytałem nadinspektora, czy wierzy w takie rzeczy. – Beauvoir postukał w książkę, którą dostali od Myrny.

– A pan nie wierzy? – zapytała Jeanne.

– Ani trochę.

Beauvoir popatrzył na szefa, który parsknął.

– Przepraszam – powiedział Gamache. – Wymknęło mi się.

Beauvoir, który wiedział, że jego szefowi nic się nie „wymyka”, jeśli ten sobie tego nie życzy, skrzywił się.

– Ależ, doprawdy. – Gamache podniósł się na fotelu. – A kto ma swój szczęśliwy pasek?

Szczęśliwą monetę? I fartowny posiłek przed meczem hokejowym? – Gamache zwrócił się do Jeanne: – Jada wyłącznie *poutine Italienne*<sup>[24]</sup>, i to lewą ręką.

– Wygraliśmy z drużyną hokejową wydziału narkotykowego miejskiej policji w Montrealu. Zdobyłem trzy bramki, a tamtego wieczoru jadłem *poutine Italienne* lewą ręką.

– Jak dla mnie to ma sens – przyznała Jeanne.

– Za każdym razem, gdy wsiadamy do samolotu, inspektor musi siedzieć na miejscu 5A.

I musi wysłuchać wszystkich instrukcji bezpieczeństwa od początku do końca. Kiedy próbuję mu przerwać, ignoruje mnie.

– To nie magia, tylko zdrowy rozsądek.

– A miejsce 5A?

– Jest wygodne. No dobra, to moje ulubione. Jeśli tam usiądę, samolot się nie rozbije.

– Czy piloci o tym wiedzą? Może to oni powinni tam siadać – stwierdziła Jeanne.

– Jeśli to wam sprawi przyjemność, niech będzie, każdy ma swoje przesady. To się nazywa myślenie magiczne. Jeśli zrobię A, stanie się B, nawet gdy nie łączą się ze sobą. To jak z witaniem się przez próg. Albo przechodzeniem pod drabiną, albo zbiciem lustra. Od wczesnych lat uczy się nas wierzyć w magię, a potem przez resztę życia zbieramy za to cięgi. Czy wiedzieliście, że większość astronautów zabiera ze sobą w kosmos jakiś talizman na szczęście?

A to są naukowcy.

Beauvoir wstał.

– Idę, spróbuję się trochę przespać. Chce pan tę książkę? – zaofiarował tomik Gamache’owi, który potrząsnął głową. – Już ją przejrzałem. Całkiem ciekawa.

Beauvoir podreptał na górę po schodach, a kiedy zniknął, Jeanne zwróciła się do Gamache’a:

– Pytał mnie pan, dlaczego tu przyjechałam. Odpowiedziałam, że odpocząć, co jest prawdą, ale nie całą prawdą. Przesłano mi broszurę. Aż do wczoraj, kiedy zobaczyłam inne broszurki Gabriego, nie zdawałam sobie sprawy, że moja jest inna. Proszę spojrzeć.

Wyjęła z kieszeni szlafroka dwie błyszczące broszurki, reklamujące pensjonat, i wręczyła je Gamache’owi. Ten przyjrzał się im. Na okładce były

fotografie pensjonatu i Three Pines.

Broszury były identyczne, z jedną różnicą. Na górze tej, którą przysłano Jeanne, napisano drukowanymi literami: *Miejsce spotkania linii geomantycznych – specjalna oferta wielkanocna.*

– Słyszałem o liniach geomantycznych, ale co to takiego?

– Ktokolwiek to pisał, też nie wiedział. Napisał z błędem. Powinno być geo-m-a-n, nie geo-m-o-n – odpowiedziała Jeanne. – Po raz pierwszy opisano je w latach dwudziestych...

– Tak niedawno? Myślałem, że miały być czymś starożytnym. Jak Stonehenge, te rzeczy.

– I są, ale nikt ich nie zauważał. Dopiero dziewięćdziesiąt lat temu jakiś facet w Anglii, zapomniałam nazwiska, przyglądał się kręgom megalitycznym, menhirom, a nawet najstarszym katedrom i zauważył, że wszystkie leżą w jednej linii. Znajdują się wiele kilometrów od siebie, ale jeśli połączy się je na mapie, otrzyma się linię prostą. Doszedł do wniosku, że jest ku temu powód.

– A co nim jest?

– Energia. Najwyraźniej Ziemia emituje więcej energii wzdłuż linii geomantycznych.

Niektórzy... – pochyliła się do przodu i rozejrzała, by upewnić się, że nikt więcej jej nie słucha – w to nie wierzą.

– Nie – szepnął w odpowiedzi i wziął broszurę. – Ktoś musiał znać panią wystarczająco dobrze, by wiedzieć, jak panią tu ściągnąć.

Ktoś potrzebował też tutaj medium na Wielkanoc. Żeby skontaktować się ze zmarłymi i by ktoś umarł.

Ruth Zardo także nie spała, chociaż ona nawet nie położyła się do łóżka. Siedziała na białym plastikowym krześle z zestawu mebli ogrodowych, który nazywała swoim kompletem kuchennym, i wpatrywała się w piekarnik. Był włączony na najniższą temperaturę, by Rosie i Lilium było ciepło.

To nie była prawda, co powiedział Gabri. Niemożliwe, by samo rozłupanie skorupki zaszkodziło Lilium. Ruth niewiele zrobiła, ledwo ją nadłamała,

naprawdę, tyle tylko, żeby Liliu załapała, o co chodzi.

Ruth wstała, walcząc z bolącym biodrem i kolanami, i pokuśtykała w stronę piekarnika, instynktownie wyciągając zasuszoną, pokrytą żyłkami rękę, by się upewnić, że grzałka wciąż była włączona, ale nie za ciepła. Potem pochyliła się nad maleństwami, by sprawdzić, czy oddychają. Liliu wyglądała w porządku. W zasadzie wydawało się, że urosła. Ruth była pewna, że widziała, jak maleńka pierś podnosi się i opada. Powoli wycofała się z powrotem na białe plastikowe krzesło. Popatrzyła jeszcze chwilę na foremkę w piekarniku, po czym przysunęła do siebie notatnik.

Kiedy przyszli po żniwo mego trupa  
(otwórz usta, zamknij oczy)  
I odcięli ciało ze sznura,  
Co za niespodzianka:  
Wciąż żyłam.

Czuła maleńką różową główkę i żółty dziobek wystające spod skorupki. Była pewna, że maleństwo spojrzało na nią, że pisnęło. Wołało o pomoc. Ruth słyszała, że gęsi nawiązują więź z pierwszym, co zobaczą. Nie wiedziała, że to działa w dwie strony. W tamtej chwili wyciągnęła rękę, nie będąc w stanie przyglądać się, jak to małe się męczy. Stuknęła skorupkę. Uwolniła małą Liliu.

Jak to mogło być złe?

Ruth odłożyła długopis i oparła głowę na dłoniach. Jej sękaty palec chwycił za krótkie siwe włosy. Próbowła zapanować nad myślami, powstrzymać je, zanim zmienią się w uczucia.

Ale było za późno. Wiedziała o tym. Wiedziała, że dobroć zabija. Przez całe życie podejrzewała, że tak jest, więc zawsze była zimna i okrutna. Odpowiadała na dobroć złośliwymi docinkami.

Wykrzywiła usta w grymas na widok uśmiechniętych twarzy. Zamieniała każdy serdeczny, uczynny gest w napaść. Odrzucała wszystkich, którzy byli dla niej mili, pełni współczucia czy miłości. Bo ich kochała. Kochała z całego

serca i nie chciała, by stała im się krzywda. Bo przez całe swoje życie wiedziała, że najpewniejszy sposób, by kogoś zranić, uszkodzić, okaleczyć, to być dla niego dobrym. Jeśli ludzie się odsłaniali, czekała ich śmierć. Najlepiej nauczyć ich, jak wdziawać zbroję, nawet jeśli to oznaczało, że na zawsze miała zostać sama. Odcięta szczelnie od ludzkiej czułości.

Oczywiście jej uczucia musiały się jednak jakoś ujawniać, więc kiedy dobiegła sześćdziesiątki, zwinięte wewnątrz łańcuszki słów wydostały się na zewnątrz. Jako poezja.

Oczywiście, że Jeanne ma rację – pomyślała Ruth. Wierzę. W Boga, w Naturę, w magię.

W ludzi. Ruth była najbardziej pełna wiary spośród wszystkich ludzi, jakich знаła. Wierzyła we wszystko. Spojrzała na to, co napisała.

Powieszona za coś, czego nigdy nie powiedziałam  
Mogę teraz mówić, co tylko umiem powiedzieć.

Ruth Zardo podniosła maleńkiego ptaszka, który już nie potrzebował jej ciepła ani świeżego ręcznika. Lilium przewróciła się na bok, jej oczy wpatrywały się w jej matkę. Ruth podniosła maleńkie skrzydełka w nadziei, że może zobaczy, jak trzepoczą.

Ale Lilium odeszła. Zabiła ją dobroć.  
Przedtem nie byłam czarownicą.  
Teraz się nią stałam.

Clara siedziała w pracowni od północy. Malując. Od czasu przyjęcia ogarnęło ją uczucie.

Jeszcze nie pomyśl, jeszcze nawet nie myśl. Ale uczucie. Stało się coś znaczącego. Nie o to chodziło, o czym była mowa, niezupełnie. O coś więcej. O wizję, o przeczucie.

Wymknęła się z łóżka i praktycznie pobiegła do swojego obrazu. Odsunęła się od niego, przyglądała mu się przez chwilę, widząc, jaki jest i jaki

powinien być.

Potem wzięła pędzel.

Niech Bóg błogosławi Petera za to, że zasugerował to przyjęcie. Gdyby nie on, z pewnością dalej tkwiłaby w twórczej niemocy.



Następny poranek wstał cudny: złotawo-zielony dzień.

Wczesne, młode słońce załało miasteczko i wszystko rozbłysło, odświeżone i oczyszczone deszczem poprzedniego dnia. Mimo że poprzedniej nocy niewiele spał, Gamache obudził się wcześniej i poszedł na poranny spacer. Mijał ostrożnie dżdżownice na drodze, kolejny zwiastun wiosny. One przynajmniej milczały. Po dwudziestu minutach dołączył do niego Jean Guy Beauvoir, który przebiegł przez skwer, by mu potowarzyć.

– Powinniśmy dzisiaj zamknąć sprawę – powiedział Beauvoir, przyglądając się, jak Gamache wyłania się na zakręcie drogi.

– Tak pan sądzi?

– Dostaniemy wyniki badania efedryny i jeszcze raz przesłuchamy Sophie. Wszystko nam wyśpiewa.

– Przyzna się? Myśli pan, że to ona zrobiła?

– Nic się nie zmieniło, więc tak, sądzę, że to ona. Rozumiem, że pan myśli inaczej?

– Myślę, że miała motyw, sposobność i prawdopodobnie wystarczająco wiele gniewu.

– Więc w czym problem?

Gamache się zatrzymał i odwrócił, by popatrzeć na Beauvoira. Mieli wrażenie, że ten dzień należy tylko do nich. W malowniczym miasteczku nie było jeszcze słycać śladów życia.

Gamache pozwolił sobie zagłębić się na chwilę w fantazji. Dałby ludziom Arnota to, na co czekali. Byłoby tak łatwo pojechać do Montrealu i złożyć rezygnację. Potem odebrałby Reine-Marie z pracy w Bibliothèque Nationale i przyjechaliby tutaj. Zjedliby obiad na *terrasse* w bistro z widokiem na Rivière Bella Bella, a potem poszli szukać domu do kupienia. Znaleźliby coś w

miasteczku, a potem kupili od Sandona jeden z jego bujanych foteli. Każdego ranka Gamache siedziałby w nim, czytając gazetę i popijając kawę, a mieszkańcy miasteczka przychodziliby do niego ze swoimi drobnymi problemami, jak skarpetka, co zniknęła z linki na pranie. Albo tajemny rodzinny przepis, który jakimś cudem sąsiad wykorzystał na swoim przyjęciu. Reine-Marie zapisałaby się do Arts Williamsburg i wreszcie zaczęła chodzić na te wszystkie kursy, które od tak dawna chciała brać. Koniec z morderstwami. Koniec z Arnotem.

To była pokusa.

– Przejrzał pan *Słownik miejsc magicznych*?

– Owszem. Subtelnie dał mi pan do zrozumienia, żebym przeczytał to, co jest o Francji.

– Taki to jestem sprytny – przyznał Gamache. – I przeczytał pan?

– Widziałem tylko to o jaskiniach, które odkryto jakieś piętnaście lat temu. Z tymi wszystkimi dziwnymi rysunkami, przedstawiającymi zwierzęta. Najwyraźniej jaskiniowcy namalowali je tysiące lat temu. Czytałem przez chwilę, ale szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego to takie ważne. Jest więcej jaskiń z rysunkami. To nie były pierwsze, jakie odkryto.

– To prawda.

Gamache wciąż miał przed oczami te rysunki. Słoń, tłusty bizon, konie – nie pojedyncze, ale rozbrykane stado, pędzące po skalnej ścianie. Kiedy mniej niż dwadzieścia lat temu po raz pierwszy jaskinie zostały odnalezione przez piechurów podróżujących francuskim szklakiem leśnym, archeolodzy oniemieli. Rysunki były tak szczegółowe, tak pełne życia, że archeolodzy byli przekonani, że to szczytowe osiągnięcie artystyczne człowieka jaskiniowego. Że to musiało być ostatnie stadium, z którego ludzkość ewoluowała. A potem nastąpiło oszałamiające odkrycie.

Rysunki były w rzeczywistości dwadzieścia tysięcy lat starsze niż te, jakie do tej pory odkryto.

To nie był koniec – to był początek.

Kim byli ci ludzie, którym udało się osiągnąć coś, czego nie potrafili ich

następcy? Ci artyści, którzy znali cieniowanie, potrafili stworzyć iluzję trzech wymiarów, z takim wdziękiem oddać potęgę i ruch? Wtedy nadeszło ostatnie, zwalające z nóg odkrycie.

Głęboko we wnętrzu jaskini znaleziono kształt ręki obrysowanej czerwienią. Nigdy, na żadnym ze stanowisk z rysunkami naskalnymi, nie znaleziono obrazu artysty ani wizerunków ludzi. Ale twórca tych malowideł miał świadomość samego siebie. Swojej indywidualności.

Ostatniej nocy, przeglądając *Słownik miejsc magicznych*, Armand Gamache wpatrywał się w ten obraz. Rysunek ręki obrysowanej czerwienią. Jak gdyby artysta ogłaszał, że żyje, trzydzieści pięć tysięcy lat później.

Gamache pomyślał też o innym, nie aż tak starym obrazku na okładce książki, którą znalazł w przeklętym, popadającym w ruinę domu.

– Szczególnymi czyni je to, że sprawiają wrażenie, jakby te dzieła sztuki wykonano dla przyjemności. I jako akt magii. Naukowcy uważają, że te malowidła miały wezwać prawdziwe zwierzęta.

– Ale skąd to wiedzą? – zapytał Beauvoir. – Czy nie zawsze nazywamy magią wszystko to, czego nie rozumiemy?

– Tak jest. To o to chodziło w polowaniach na czarownice.

– Jak to o tym mówiła madame Zardo? Czas stosów?

– Nie jestem przekonany, czy on dobiegł końca – stwierdził Gamache, spoglądając na dawny dom Hadleyów, a potem przebiegając wzrokiem przez śliczne, spokojne miasteczko. – Co jednak najbardziej mnie zainteresowało w tym rozdziale o rysunkach naskalnych, to sama nazwa jaskini, gdzie je znaleziono. Pamięta pan?

Beauvoir pomyślał. Ale wiedział, że nie znajdzie odpowiedzi.

Nadinspektor znów zaczął ostrożnie mijać wijące się dżdżownice. Beauvoir przyglądał się przez moment temu wysokiemu, eleganckiemu mężczyźnie, starającemu się nie rozdeptać pełzających pod nogami żyjątek. Po chwili ruszył, stawiając z rozwagą kroki. Gdyby ktoś w miasteczku spojrział przez okno podzielone małymi szybkami, musiałby uznać, że dwóch dorosłych facetów wykonuje dziwaczny, choć znajomy, układ baletowy.

– A pan pamięta nazwę? – zapytał Beauvoir, kiedy już udało mu się dogonić szefa.

– Chauvet. Te jaskinie są w Chauvet.

W pensjonacie powitał ich zapach świeżo zaparzonej *café au lait*, karmelizowanego bekonu i jajek.

– Jajka po benedyktyńsku – ogłosił Gabri, biegnąc, by ich powitać i wziąć od nich płaszcze. – Pycha.

Przegonił ich przez salon do jadalni, gdzie już nakryto do stołu. Gamache i Beauvoir usiedli, a Gabri ustawił przed nimi dwie dymiące, pokryte pianką *bols* z kawą.

– *Patron*, czy kiedy zszedł pan do salonu, widział pan tam stertę książek? – zapytał Gamache, popijając wonny napar.

– Książek? Nie.

Gamache odstawił swój *bol* i przeszedł do salonu. Przez łuk drzwi Beauvoir obserwował, jak szef obszedł salon. Gdy wrócił, usiadł za stołem i położył białą płócienną serwetkę na kolanach.

– Zniknęły – oznajmił, choć nie wyglądał na przejętego.

– Księgi pamiątkowe?

Gamache przytaknął i się uśmiechnął. Nie planował tego, ale wyszło znakomicie. Ktoś się wystraszył. Do tego stopnia, że wślizgnął się do pensjonatu – wszyscy wiedzieli, że drzwi nigdy nie były zamknięte – i zabrał księgi pamiątkowe sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Pycha, pycha! – zachwalał Gabri, stawiając talerze przed gośćmi. Na każdym leżały dwa jajka na grubym plastrze karmelizowanego bekonu schabowego, który z kolei spoczywał na przypieczonej na złoto angielskiej bułeczce. Jajka były polane sosem holenderskim, a brzeg każdego talerza dekorowała sałatka owocowa.

– *Mangez* – powiedział Gabri.

Gamache wyciągnął rękę i lekko ujął nadgarstek Gabriego. Spojrzał na wielkiego, rozczochranego mężczyznę. Gabri ani drgnął, przyglądał mu się tylko. Po chwili spuścił wzrok.

– Co jest? Co się stało? – zapytał Gamache.

– Proszę, niech pan je.

– Niech mi pan powie.

Widelec Beauvoira, obładowany wielkim kawałkiem ociekającego sosem holenderskim jajka, zatrzymał się niemal tuż przy jego ustach. Wpatrywał się w obu mężczyzn.

– Znowu coś. W gazetach, prawda? – powiedział Beauvoir, nagle świadom, co się stało.

Obaj poszli za Gabrim do salonu. Gospodarz wyciągnął gazetę zza poduszki na kanapie, gdzie ją wcisnął. Podając ją Gamache'owi, podszedł do telewizora i włączył go. Potem podszedł do wieży stereo i włączył też radio. W ciągu kilku sekund salon wypełnił się oskarżeniami.

Huczały z głośników, wylewały się z porannych programów informacyjnych, z nagłówków gazet. Śledztwo przeciwko Danielowi Gamache. Oskarżenia kryminalne. Annie Gamache na przymusowym urlopie, zawieszona w prawach pełnienia obowiązków adwokackich. Armand Gamache podejrzany o wszystko, począwszy od morderstwa, a skończywszy na prowadzeniu nielegalnej hodowli psów.

Zdjęcie na pierwszej stronie nie przedstawiało Gamache'a, ale jego syna, w Paryżu. Za nim była Roslyn z Florence na rękach. Reporterzy ścigali całą trójkę. Daniel wyglądał na wściekłego, wyraźnie chciał się ukryć.

Gamache czuł, jak serce wali mu w piersi. Wziął ogromny, nierówny wdech, zdając sobie sprawę, że na moment przestał oddychać. W telewizji pokazywano na żywo obraz młodej kobiety wychodzącej z apartamentowca, chowała twarz za aktówką.

Annie.

– O, Boże – szepnął Gamache.

Nagle kobieta opuściła teczkę i się zatrzymała. To najwyraźniej zaskoczyło reporterów, którzy woleli gonić za uciekającą ofiarą. Annie uśmiechnęła się do nich.

– Nie, nie rób tego – szepnął Beauvoir.

Annie podniosła rękę i pokazała im środkowy palec.

– Annie – wyszeptał bezgłośnie Gamache, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. – Muszę iść.

Pognał na górę i chwycił za komórkę. Z zaskoczeniem zauważył, że palec mu drży, ledwie zdolny znaleźć klawisz szybkiego wybierania. Reine-Marie odebrała po pierwszym dzwonku.

– Och, Armandzie, widziałeś?

– Przed chwilą.

– Właśnie rozmawiałam przez telefon z Roslyn. Daniel został aresztowany w Paryżu.

Podejrzewają go o handel narkotykami.

– W porządku. – Gamache powoli odzyskiwał spokój. – W porządku. Daj mi pomyśleć.

– Nic nie znajdą – powiedziała Reine-Marie.

– Mogą znaleźć.

– Ale to było lata temu. Był dzieciakiem, eksperymentował.

– Niewykluczone, że ktoś mu coś podrzucił – zasugerował Gamache. – Jak się ma Roslyn?

– Jest bardzo zestresowana.

Reine-Marie nie powiedziała tego głośno, nigdy nie dorzuciłaby mu więcej zmartwień, ale Gamache wiedział, że żona martwi się o nienarodzone dziecko. Po takim ciosie kobietom zdarza się poronić.

Zapadła cisza.

To było o wiele więcej, niż Gamache wyobrażał sobie, że może się wydarzyć. Co robił Brébeuf? Czy tak sobie wyobrażał zatrzymanie tych oskarżeń? Po chwili wysiłku nadinspektor przestał wściekać się na Brébeufa. Wiedział, że to wygodne zwalić wszystko na niego. Wiedział, że przyjaciel robił, co mógł, ale jego wrogowie byli bardziej zawzięci, niż Gamache się spodziewał, a ich atak gwałtowniejszy, niż Brébeuf mógł opanować.

Ktoś świetnie się do tego przygotował. Znał jego rodzinę, wiedział, że

wiele lat temu Danielowi udowodniono posiadanie narkotyków. Wiedział, że Daniel był w Paryżu, prawdopodobnie był też świadom, że Roslyn jest w ciąży.

– To zaszło za daleko – powiedział w końcu Gamache.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zatrzymać to.

– Jak? – zapytała po chwili Reine-Marie.

– Złożę rezygnację, jeśli to konieczne. Wygrali. Nie mogę narażać rodziny.

– Obawiam się, Armandzie, że twoja rezygnacja już ich nie usatysfakcjonuje.

Też o tym pomyślał.

Gamache zadzwonił do Michela Brébeufa i poprosił o zwołanie na popołudnie narady naczelników w komendzie głównej Sûreté.

– Nie bądź głupi, Armandzie – oburzył się Brébeuf. – Im o to właśnie chodzi.

– Nie jestem głupi, Michelu. Wiem, co robię.

Rozłączyli się: Gamache wdzięczny, że przyjaciel mu pomoże, a Brébeuf ze świadomością, że Gamache naprawdę jest głupi.

Poranne spotkanie było krótkie i pełne napięcia.

Oficer Lacoste opowiedziała o swojej rozmowie z lekarką Madeleine. Widziała pacjentkę podczas jej wizyty dwa tygodnie przed morderstwem Madeleine. Rak wrócił i nastąpiły przerzuty na wątrobę, o czym poinformowała madame Favreau. Przygotowała dla niej program opieki paliatywnej, ale nie rozpoczął się on przed śmiercią pacjentki.

Madeleine przyszła sama. Owszem, lekarka miała wrażenie, że jakkolwiek diagnoza była druzgocząca, nie była jednak dla pacjentki niespodzianką.

Oficer Nichol nie wróciła jeszcze z Kingston, nie dostali też jeszcze raportu z laboratorium w sprawie butelki z efedryną, choć były już wyniki analizy odcisków palców na niej. Należały do Sophie i tylko do niej.

– Cóż, zdaje się, że to zamyka sprawę – powiedział Lemieux. – Sophie

zabiła Madeleine Favreau z zazdrości. Przyjechała do domu, dostrzegła sposobność przy okazji seansu, podała jej parę tabletek przy kolacji i czekała, aż dawny dom Hadleyów załatwi resztę.

Wszyscy pokiwali głowami. Za oknem dawnego dworca Gamache widział Ruth i Gabriela idących powoli przez Commons w stronę skwerku. Było wcześniej, nad miasteczkiem wciąż unosiła się pierwsza świeżość poranka. Za Ruth podążała podskakująca biała piłeczka, rozkładająca skrzydełka. Tylko jedna.

– Sir?

– Wybaczcie, bardzo przepraszam.

Wszyscy wpatrywali się w Gamache'a. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło to, co miało miejsce tego dnia. Beauvoir znał Gamache'a wiele lat. Szef zawsze patrzył swoim rozmówcom w oczy, sprawiając, że czuli się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na planecie. Gamache dbał o to, by jego zespół czuł się szczególny i chroniony. Ale dziś jego uwaga się rozproszyła.

– Co mówiliście? – zapytał Gamache, zwracając się do grupy.

– Wygląda na to, że morderczynią jest Sophie Smyth. Doprowadzić ją?

– Nie możecie.

Głos dobiegł z tyłu. Obok olbrzymiego czerwonego wozu strażackiego stała bardzo drobna kobieta. Hazel. Choć trudno ją było rozpoznać. W końcu dopadł ją smutek. Wyglądała na skurczoną, oczy miała wielkie i zdesperowane.

– Proszę. Proszę, nie róbcie tego.

Gamache ruszył w jej stronę, kiwając do Beauvoira. Zaprowadzili Hazel do maleńkiego pokoju na zapleczu, którego wolontariusze ze straży pożarnej Three Pines używali jako magazynu.

– Hazel, czy wie pani o czymś, co mogłoby nam pomóc? – Gamache zwrócił się do kobiety. – O czymś, co przekonałoby nas, że pani córka nie zabiła Madeleine? Bo na razie wygląda, że to zrobiła.

– Nie zrobiła tego, wiem to. Nie mogła.

– Madeleine podano efedrynę. Sophie miała efedrynę i była na miejscu. –



Gamache mówił powoli i wyraźnie, ale wątpił, czy wszystkie słowa docierały do Hazel.

– Nie dam rady dłużej – wyszeptała. – Nie mogę stracić także Sophie. Umrę, jeśli ją aresztujecie.

Gamache jej wierzył.

Jean Guy Beauvoir spojrział na Hazel. Była w tym samym wieku co Madeleine, chociaż nikt by się nie domyślił. Teraz wydawała się skamieliną, czymś, co wypadło z czeluści gór, okalających Three Pines. Jedną z mamroczących rzeźb Gilles’a Sandona. Nie, nie z kamienia.

Kamienie są mocne. Ta kobieta była jak jedno z tych stworzeń, których próbowali nie rozdeptać na spacerze. A teraz mieli ją zmiążdżyć.

– Kiedy przy Sophie znaleziono efedrynę, powiedziała, pani: „Sophie, obiecałaś” – powiedział Beauvoir. – Co miała pani na myśli?

– Tak powiedziałam? – Hazel zastanowiła się, próbując przypomnieć sobie, o co też mogło jej chodzić. – Tak, tak powiedziałam. Parę lat temu Madeleine znalazła słoiczek z tabletkami efedryny w łazience Sophie. To było wkrótce po tym, jak jakiś sportowiec zmarł.

Mówili o tym we wszystkich wiadomościach. To prawdopodobnie stąd przyszedł Sophie do głowy pomysł stosowania pigułek odchudzających. Brzmiało to tak, jakby wywlekała to wspomnienie z dna morza, wyciągając je z gigantycznym wysiłkiem.

– Zamówiła je z jakiejś firmy internetowej. Madeleine znalazła słoiczek i zabrała go.

– Jak zareagowała Sophie?

– Jak każda dziewiętnastolatka. Była wściekła. Jak mówiła, najbardziej rozzłościło ją naruszenie jej prywatności, ale sądzę, że przede wszystkim było jej wstyd.

– Czy to wpłynęło na ich relacje? – dociekał Gamache.

– Sophie kochała Madeleine. Nigdy by jej nie zabiła – stwierdziła stanowczo Hazel.

Miała tylko jedno do przekazania i powtarzała to w kółko. Jej córka nie

była zabójczynią.

– Nie będziemy jeszcze przesłuchiwać Sophie – obiecał Gamache. Wyciągnął rękę, ujął Hazel za podbródek i podniósł jej głowę, by patrzyła mu głęboko w oczy. – Rozumie pani?

Hazel spoglądała ufnie w jego ciemnobrązowe oczy i pragnęła, by nigdy nie odwrócił wzorku. Ale on zrobił to, a ona znów została sama.

Zadzwonili po Clare, żeby odebrała Hazel i dotrzymała jej towarzystwa w ciągu dnia. Clara zjawiała się i zabrała Hazel do domu Morrowów. Wysłuchała jej, po czym zapytała, czy Hazel nie chciałaby się położyć. Hazel nigdy nie czuła się równie zmęczona, z wdzięcznością więc spoczęła na kanapie. Clara przyniosła koc, otuliła ją nim i odczekała, aż ta nagle postarzała kobieta – tak naprawdę młodsza od Clary – zasnęła. Później wróciła do pracowni i znów zaczęła malować. Teraz wolniej, silniejszą, bardziej zdecydowaną kreską. Pojawiał się obraz, ale bardziej niż jego szczegóły, na płótnie uwidaczniało się i ożywało coś innego.

– Sophie Smyth jest na uniwersytecie bardzo lubiana. Jest nawet wolontariuszką w informacji studenckiej. Pracuje na pół etatu w księgarni w kampusie i wygląda na normalną studentkę.

Yvette Nichol wróciła. Siedziała przy stole konferencyjnym, sącząc kawę z podwójną śmietanką i cukrem, którą sama sobie kupiła.

– A stopnie? – zapytał Beauvoir.

– W porządku, choć nie świetne. Było za późno, by zamienić parę słów z kimś w dziekanacie, ale rozmawiałam z jej współlokatorami i kolegami z roku. Mówili, że Sophie jest przyzwoitą studentką.

– Choroby? – przepytował ją Gamache. Zauważył, że oficer Lemieux był dziwnie milczący, siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi tak ciasno, że niemal boleśnie.

– Żadnych – odparła Nichol. – Ani bólu gardła, ani siniaków, ani skręceń. Nigdy nie była u pielęgniarki ani w szpitalu w Kingston. O ile jej znajomi mogli orzec, o tyle nie wzięła dnia wolnego od zajęć, chyba że urywała się z nich dla zabawy.

– Okaz zdrowia – powiedział Gamache, praktycznie do siebie.

– Więc ta cała Landers miała rację – orzekła Nichol. – W domu Sophie symulowała, starając się odwrócić uwagę matki od Madeleine.

– Odwiozła pani buteleczkę z lekami do laboratorium? – zapytał Beauvoir.

– Oczywiście – odpowiedziała Nichol, zjadając pączka z kremem i ignorując głodne spojrzenia kolegów.

– Może pan zadzwonić i sprawdzić, czy nie mają już wyników? – poprosił Beauvoira Gamache.

Gdy inspektor wykonywał telefon, Gamache rozdzielił zadania, po czym podszedł do biurka. Wiedział, że wszystkie oczy były zwrócone na niego. Obserwowały go na wypadek, gdyby miał wybuchnąć albo się rozsypać. Popatrzył na nich: Lacoste, Lemieux, Nichol. Tacy młodzi. Tacy entuzjastyczni. Tacy ludzcy. Nadinspektor się uśmiechnął.

Lemieux odpowiedział uśmiechem. Lacoste po chwili także, choć nie był to radosny uśmiech. Nichol patrzyła, jakby ją obraził.

Gamache znalazł to, czego szukał. Ktokolwiek zabrał z pensjonatu księgi pamiątkowe, nie wziął wszystkich. Najważniejsza wciąż leżała na jego biurku. Ta, którą Nichol znalazła w domu Hazel. Z roku ukończenia szkoły przez Madeleine. Usiadł i zaczął czytać od razu część zawierającą zdjęcia absolwentów. Nie interesowały go Hazel ani Madeleine. Chodziło mu o inną dziewczynę. Cheerleaderkę.

– Mam wyniki – zameldował Beauvoir, opadając na krzesło przy stole konferencyjnym i trzaskając notatnikiem o blat. – Efedryna z pigułek Sophie to prawdopodobnie nie ta sama, która zabiła Madeleine.

– Nie? – Gamache pochylił się i odłożył księgę pamiątkową.

– W laboratorium nie mają jeszcze stuprocentowej pewności, chcą zrobić pełną analizę, ale wygląda na to, że tabletki Sophie miały inną zawartość, że użyto w nich, jak to określiła technik z laboratorium, innego wypełniacza. Ponieważ efedryna to naprawdę roślina, rodzaj zioła, więc aby zrobić z niej tabletki, firmy muszą ją najpierw wydestylować. Różni producenci używają różnych substancji wypełniających. Te są inne niż chemikalia znalezione w

ciele Madeleine.

Gamache siedział z szeroko otwartymi oczami.

– Ależ byłem durniem. Czy powiedziała coś o chemikaliach, których użyto do zamordowania Madeleine?

Czekał, niemal wstrzymując oddech.

– Powiedziała, że to efedryna poprzedniej generacji. Bardziej naturalna, ale mniej stabilna.

– Bardziej naturalna. To by się zgadzało. – Gamache pokiwał głową.

Wezwał Lemieux, zadał mu parę pytań, po czym zwrócił się do Beauvoira:

– Proszę ze mną.

Odile właśnie otwierała, gdy przybyli Beauvoir i Gamache.

– Przyszliście posłuchać poezji?

Beauvoir nie miał pojęcia, czy mówi poważnie. Zignorował pytanie.

– Słyszała pani kiedyś o efedrynie?

– Nie, nigdy.

– Pytałem panią o to po śmierci Madeleine. Wie pani, że tej substancji użyto, by ją zabić – rzucił.

– Och, tak, słyszałam o niej od pana, ale nigdy wcześniej.

Znajdowali się teraz w zatęchłym sklepie. W pomieszczeniu unosił się zapach herbat i przypraw. I ziół.

Gamache podszedł do puszek z etykietkami takimi jak *Wilcza jagoda*, *Dziurawiec*, *Ginkgo biloba*. Wziął torebkę foliową, ale zamiast użyć szufelki, sięgnął do kieszeni po szczypcę i nałożył trochę do torebki. Następnie podpisał ją na nalepce.

– Chciałbym to kupić, *s'il vous plaît*.

Odile popatrzyła, jakby przydał się jej drink w rozmiarze przewidzianym dla osoby o gabarytach Ruth.

– To za mało, może pan sobie po prostu wziąć.

– Nie, madame. Potrzebuję zapłacić. – Gamache wręczył jej mały woreczek, żeby go zważyła.

Na naklejce napisane było *Ma Huang*.

– To właśnie to chińskie zioło, o którym mówił nam pierwszego dnia Lemieux – powiedział Beauvoir, kiedy wrócili do samochodu. – To efedryna.

– Używane od setek, a może tysięcy lat do innych celów – uzupełnił Gamache. – Dopóki firmy farmaceutyczne nie znalazły go i nie zmieniły w truciznę. *Ma Huang*. Koroner, doktor Harris, też mi o nim wspominała. Za każdym razem, gdy rozmawialiśmy o efedrynie z kimś, kto faktycznie coś o niej wiedział, wspominał, że to zioło. Używane w chińskiej medycynie i innych kulturach. Ale tak się skupiałem na lekach odchudzających, że ledwo to słyszałem. A to cały czas stało tutaj.

– Nie nadążam za panem – poskarżył się Beauvoir, starając się wyminąć żabę na mokrej drodze, chociaż Gamache nie był pewien, czy faktycznie próbował ją minąć, czy chciał w nią trafić. – Już miałem wizję Sandona wygotowującego cały wielki miłorząb.

– Czepek nie zawsze działa, obawiam się.

– Faktycznie, wygląda, że spadł mi na oczy – zażartował Beauvoir. – Co znaczy to *Ma Huang*? Czy Odile użyła go, żeby zabić Madeleine? A co z tym medium? Czy to zbieg okoliczności, że nazywa się tak samo, jak te magiczne jaskinie we Francji? Pogubiłem się.

– Teraz bowiem widzimy jak w szkle, niewyraźnie<sup>[25]</sup> – spuentował filozoficznie Gamache.

– Ale wkrótce wszystko zobaczymy.

– To znam – powiedział Beauvoir, z miną, jakby wygrał teleturniej. – Pierwszy List do Koryntian. Czytaliśmy to na naszym ślubie. To o miłości. Ale to nie ten sam fragment, który Ruth czytała wczoraj wieczorem. Co z tym zrobimy? – Wskazał na torebkę z *Ma Huang*.

– Zabiorę do laboratorium, gdy będę jechał do Montrealu – odparł Gamache.

– Ostrożnie, jak media pana z tym przyuwają, pomyślą, że jest pan najlepszym klientem Daniela. – Beauvoir zamilkł, oburzony na siebie, że mógł wpaść na taki dowcip.

– W takie dni jak dziś chciałbym, żeby to była prawda – zaśmiał się Gamache.

– Przepraszam.

– Niech pan nie przeprasza. Wszystko się ułoży.

– *W szkłe, niewyraźnie* – powiedział Beauvoir, praktycznie do siebie. – Co za znakomity opis. Naprawdę pan myśli, że okno wkrótce stanie się przejrzyste?

– Tak – odrzekł Gamache. Wiedział jednak, że święty Paweł miał na myśli nie okno, ale lustro.

Gamache doskonale znał salę konferencyjną na najwyższym piętrze kwatery głównej Sûreté. Ileż to kaw wystygło tu, gdy on zmagał się z etycznymi i moralnymi problemami, przed jakimi stała Sûreté? Ten nieustanny potok pytań ostatecznie sprowadzał się do jednego: jak daleko należy się posuwać, chroniąc społeczeństwo? Co jest ważniejsze: bezpieczeństwo czy wolność?

Nadinspektor ogromnym szacunkiem darzył ludzi tu zgromadzonych. Z wyjątkiem jednego. Przeszklona ściana wychodziła na wschodnie przedmieścia Montrealu i wystające ramię stadionu olimpijskiego, wyglądającego jak prehistoryczne stworzenie, histerycznie wyrywające się do życia. Wewnątrz owalny drewniany stół otaczały wygodne, tapicerowane fotele.

Wszystkie jednakowe.

To była metafora.

Mimo że nigdy oficjalnie nie przydzielano miejsc, każdy wiedział, gdzie usiąść. Kilku starszych rangą oficerów spojrzało na Gamache'a, kilku uściśnęło mu rękę, ale większość go ignorowała. Nie spodziewał się niczego więcej. Pracował z tymi ludźmi przez całe życie, ale zdradził ich. Ujawnił sprawę Arnota opinii publicznej. Już w chwili, gdy to robił, wiedział, co to znaczy. Stanie się wyrzutkiem. Odtrąconym przez swoje plemię.

Ale wrócił.

– *Alors?* – powiedział naczelnik Paget, ich nominalny szef. – Zaprosił nas pan tutaj, Armandzie, więc przyszedliśmy.

Brzmiał tak rzeczowo, jakby mieli dyskutować o grafiku wakacyjnym. Gamache widział z daleka, jak ten moment nadchodzi, niczym sztorm na morzu. I jak niespokojny żeglarz, czekał na niego. Ale teraz było po wszystkim.

– Czego pan chce? – zapytał naczelnik Paget.

– To się musi skończyć. Te ataki na moją rodzinę muszą się wreszcie skończyć.

– To nie ma nic wspólnego z nami – powiedział naczelnik Desjardins.

– Oczywiście, że ma – przyznał Brébeuf, zwracając się do stojącego obok mężczyzny.

– Nie możemy stać i patrzeć, kiedy atakuje się wysokiego rangą oficera.

– Nadinspektor zawsze jasno dawał do zrozumienia, że nie potrzebuje naszych rad ani pomocy. – Głos był głęboki i rozsądny. Wręcz kojący. Większość odwróciła się, by popatrzeć na mówiącego, kilku wpatrywało się w swoje notatki.

Naczelnik Francoeur siedział obok Gamache’a. Tak jak Gamache się spodziewał. W końcu to było miejsce Francoeura, a Gamache zdecydował, że usiądzie obok niego. Nie przyszedł aż tutaj, żeby teraz się chować. Niech go diabli wezmą, jeśliby się kulił się w kącie albo chował za Brébeufa.

Usiadł tuż obok mężczyzny, który chciał, żeby odszedł. Najlepiej w ogóle zniknął z tego świata. Koło najlepszego przyjaciela Pierre’a Arnota, jego powiernika i protegowanego, Sylvaina Francoeura.

– Nie przyszedłem tu, by toczyć stare boje – zaczął Gamache.

– Przyszedłem prosić, żeby zaprzestano tych ataków.

– A dlaczego sądzi pan, że możemy je zatrzymać? Prasa ma prawo publikować, co chce, i nie wydaje mi się, żeby drukowali cokolwiek, czego gruntownie nie zbadali – powiedział naczelnik Francoeur. – Jeśli pan uważa, że zrobili coś złego, może powinien pan ich zaskarżyć.

Podniosło się kilka głosów. Brébeuf wyglądał na wściekłego, ale Gamache się uśmiechnął.

– Może i tak zrobię, chociaż nie sądzę. Wszyscy wiemy, że to kłamstwa...

– A skąd to wiadomo? – zapytał Francoeur.

– *Voyons*, jakie jest prawdopodobieństwo, że Armand Gamache prostytuowałby swoją córkę? – dopytywał się Brébeuf.



– A jakie jest prawdopodobieństwo, że Pierre Arnot był mordercą? – zapytał Francoeur.

– A mimo to w opinii nadinspektora nim jest.

– Chciał pan powiedzieć: w opinii sądów – uściślił Gamache tym samym tonem, pochylając się w stronę Francoeura. – Ale może nie jest pan zaznajomiony z tą częścią naszego systemu prawnego?

– Jak pan śmie?

– A jak pan śmie atakować moją rodzinę?

Mężczyźni wpatrywali się w siebie. Nagle Gamache mrugnął, a Francoeur się uśmiechnął, opadając głębiej w wygodny fotel.

– Przepraszam, naczelniku. To było niestosowne. – Gamache wciąż patrzył na Francoeura.

Francoeur skinął głową, jak rycerz do wieśniaka.

– Nie przyszedłem tu, by się z wami kłócić. Wszyscy czytaliście gazety, widzieliście doniesienia w telewizji. I będzie tylko gorzej, wiem o tym. Jak już mówiłem, to kłamstwa, ale nie oczekuję, że mi uwierzycie czy zaufacie. Nie po tym, jak postąpiłem w sprawie Arnota.

Przekroczyłem Rubikon. Nie ma odwrotu.

– W takim razie, czego pan oczekuje, nadinspektorze? – odezwał się naczelnik Paget.

– Chcę, żebyście przyjęli moją rezygnację.

Ci, którzy stali, od razu usiedli. Wszystkie fotele przechyliły się do przodu, niektóre tak gwałtownie, że prawie wysypały swoją pełną godności zawartość na stół. Wszystkie oczy zwróciły się na Gamache'a. Wrażenie było takie, jak gdyby wzgórze Mont Royal zaczęło się cofać, zapadać pod ziemię. Coś niezwykłego miało za moment zniknąć. Armand Gamache.

Nawet ci, którzy go nie znosili, przyznawali, że stał się legendą, bohaterem zarówno w szeregach Sûreté, jak i poza nimi. Ale bohaterowie czasem upadają. I tego właśnie byli teraz świadkami.

– Dlaczego mielibyśmy to zrobić? – zapytał Francoeur. Wszystkie spojrzenia przesunęły się na naczelnika. – Czy to by pana nie zwolniło z

odpowiedzialności? O to panu chodzi, nieprawdaż? Chce pan uciec, tak jak uciekł pan od decyzji w sprawie Arnota. Zawsze tak pan robi, kiedy sprawy się komplikują.

– To nieprawda – zaprzeczył Brébeuf.

– Jest pan przekonany, że jeden z nas ponosi odpowiedzialność za podrzucenie tych materiałów gazetom, nieprawdaż? – kontynuował Francoeur swobodnie i władczo, jako naturalny lider grupy, nie przywódca z nadania.

– Tak sędzę.

– *Voilà*. Widzicie, co o nas myśli?

– Nie o wszystkich, zrobił to jeden. – Gamache spojrział na Francoeura.

– Jak pan śmie...

– Drugi raz mnie pan o to pyta i mam już tego dosyć. Śmiem, bo ktoś musi się ośmielić. – Rozejrzał się po sali. – Sprawa Arnota się nie zakończyła, wszyscy o tym wiecie. Ktoś w tym pokoju nadal nad nią pracuje. Nie posunął się jeszcze do morderstwa, ale to nie zajmie mu długo.

Wiem to.

– Wie pan? Wie pan? Jak pan może? – Francoeur zerwał się na nogi i pochylał teraz w stronę Gamache'a. – Żal nawet pana słuchać. Strata czasu. Pan nie opiera się na myśleniu, tylko na sentymentach.

Rozległo się kilka chichotów.

– Posiadam jedno i drugie, naczelniku – odparł Gamache. Francoeur górował nad nim, z jedną ręką opartą na oparciu jego fotela, drugą na stole, jak gdyby próbował uwięzić nadinspektora.

– Jest pan pierdolonym arogantem! – wrzasnął Francoeur. – Najgorszy możliwy rodzaj policjanta! Zarozumiały! Stworzył pan sobie swoją małą armię podwładnych. Złożoną z ludzi, którzy oddają panu cześć. Wszyscy inni wybierają do *Sûreté* najlepszych absolwentów akademii policyjnej, a pan wygrzebuje najgorszych. Jest pan niebezpieczny, Gamache. Od początku to wiedziałem.

Gamache także wstał, powoli, zmuszając Francoeura, by się cofnął.

– Mój zespół rozwikłał niemal wszystkie morderstwa, nad którymi pracował. Są wybitnie utalentowani, oddani i odważni. Pan uważa się za sędziego i zwalnia z pracy wszystkich, którzy jakoś nie pasują. W porządku. Ale proszę nie mieć do mnie pretensji, kiedy podnoszę tych, których pan wyrzucił, i znajduję w nich wartość.

– Nawet w oficer Nichol? – Francoeur zniżył głos. Teraz wszyscy musieli wyteńczyć słuch, by dotarły do nich słowa komendanta, ale nie Gamache. Dla niego brzmiały jasno i klarownie.

– Nawet w oficer Nichol – powtórzył, wpatrując się w zimne, zacięte oczy.

– O ile sobie przypominam, o tyle raz ją pan wyrzucił – zauważył Francoeur, niemal sycząc. – Zwolnił ją pan i wylądowała w moim wydziale. W narkotykowym. Podobało się jej.

– Więc dlaczego znowu przysłał pan ją z powrotem do mnie? – zapytał Gamache.

– Jak pan to mawia, nadinspektorze? Nic nie dzieje się bez powodu. Bardzo głębokie.

Wszystko ma przyczynę, Gamache. Niech pan to sobie wykombinuje. Teraz to ja mam do pana pytanie. – Jego głos przycichł jeszcze bardziej. – Co było w tej kopercie, którą ukradkiem przekazywał pan synowi? Ma na imię Daniel, jeśli się nie mylę. Ma córkę, Florence. I żonę. Czy dobrze słyszałem, że ona jest w ciąży?

Powiedział to tak cicho, że nikt poza nimi nie mógł usłyszeć jego słów. Gamache miał wrażenie, jakby Francoeur nie mówił na głos, tylko emitował słowa wprost do jego głowy. Ostre, kłujące, które miały zranić i ostrzec.

Nadinspektor wziął głęboki wdech, próbując zapanować nad sobą, nie rzucić się z pięściami i nie zmiażdżyć tej chytrze uśmiechniętej, zadowolonej z siebie, paskudnej gęby.

– Zrób to, Gamache – syknął Francoeur. – By uratować swoją rodzinę. Zrób to!

Czy Francoeur prowokował go do ataku? Żeby został za to aresztowany i uwięziony?

Wystawiony na wszelkie „wypadki”, jakie zdarzały się w więziennych celach? Czy to taką cenę wyznaczał Francoeur za wycofanie się z ataków na jego rodzinę?

– Pierdolony tchórz. – Uśmiechnął się Francoeur i cofnął się, kręcąc głową.  
– Myślę, że nadinspektor Gamache powinien przynajmniej się wytłumaczyć.  
– Jego głos znów brzmiał normalnie. Twarze obecnych, napięte i nerwowe, rozluźniły się trochę. – Myślę, że zanim możemy choćby rozważyć podjęcie działań na rzecz nadinspektora albo przyjęcie jego rezygnacji, musimy dowiedzieć się paru rzeczy. Na przykład tego, co było w kopercie, którą przekazał swojemu synowi. *Voyons*, nadinspektorze, to uzasadnione pytanie.

Głowy wokół stołu konferencyjnego pokiwały zgodnie. Gamache spojrzał na Brébeufa, który ściągnął brwi, jakby chciał powiedzieć, że to dziwnie niewymagająca prośba. Jeśli to wszystko, czego domagała się rada komendantów, łatwo się z tego wywinąć.

Gamache milczał przez chwilę, zastanawiając się. Potem pokręcił głową.

– Przykro mi. To zbyt osobiste. Nie mogę wam powiedzieć. – To koniec, pomyślał Gamache. Schylił się i włożył swoje dokumenty do torby, po czym ruszył w stronę drzwi.

– Głupiec z pana, nadinspektorze! – zawołał za nim naczelnik Francoeur, uśmiechając się szeroko. – Kiedy pan stąd wyjdzie, pańskie życie obróci się w gruzy. Media obdziobią pana i pańskie dzieci do gołej kości. Nie będziecie mieć szansy na karierę, na przyjaciół, na prywatność, na godność. Wszystko z powodu pańskiej dumy. Jak to napisał jeden z tych pana ulubionych poetów? Yeats? *Nie ma już osi, wszystko się rozpada*<sup>[26]</sup>.

Gamache zatrzymał się, odwrócił i celowo podszedł z powrotem. Wydawał się rosnąć z każdym krokiem. Zgromadzeni przy stole oficerowie, zaskiwieni, zeszli mu z drogi. Nadinspektor podszedł do Francoeura, którego uśmiech zniknął.

– Oś się nie rozpada. – Gamache zaakcentował każde słowo, a jego głos był niższy i brzmiał groźniej, niż kiedykolwiek Francoeur mógł go słyszeć. Naczelnik próbował odzyskać animusz, gdy Gamache odwrócił się i wyszedł, ale było za późno. Wszyscy obecni w pomieszczeniu już widzieli lęk na

twarży Francoeura i wielu z nich zastanawiało się, czy aby nie stanęli po niewłaściwej stronie.

Ale było za późno.

Gamache szedł korytarzem, mijając po obu stronach kobiety i mężczyzn, którzy pozdrawiali go uśmiechem albo skinieniem głów. Umysł nadinspektora się wyciszył. Coś, co powiedział Francoeur, uwolniło jakąś myśl. Fragment informacji odwrócił się w tym momencie i Gamache dostrzegł go w innym świetle. Ale w stresującym momencie Gamache zgubił ten detal. Czy chodziło o sprawę Arnota?

Czy też o śledztwo w Three Pines?

– Cóż, poszło znakomicie. Dla Francoeura – syknął Brébeuf, doganiając nadinspektora, gdy ten czekał na windę. Gamache nic nie powiedział, przyglądając się cyfrom i próbując przypomnieć sobie, co wydawało mu się takie istotne. Winda nadjechała i obaj mężczyźni weszli do środka.

– Mogłeś mu powiedzieć, co było w kopercie – powiedział Brébeuf. – Niemożliwe, żeby to było aż takie ważne. A tak w zasadzie, co w niej było?

– Przepraszam, Michelu, co mówiłeś? – Gamache otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości.

– Koperta, Armandzie. Co w niej było?

– Och, nic takiego.

– Na miłość boską, człowieku, dlaczego mu nie powiedziałeś?

– Bo nie powiedział „proszę”. – Gamache się uśmiechnął.

Brébeuf spochmurniał.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? Czy wszystkie te rady, których udzielasz innym, w ogóle zapadają ci w mózgowicę? Czemu ukrywać tajemnicę? Popadamy w chorobę przez nasze tajemnice. Czy nie to zawsze powtarzasz?

– Jest różnica pomiędzy tajemnicą a prywatnością.

– Czysta semantyka.

Drzwi windy otworzyły się i Brébeuf wysiadł z niej. Spotkanie przebiegło

lepiej, niż ośmielił się oczekiwać. Było niemal pewne, że Gamache wyleci z Sûreté, a co jeszcze lepsze, został upokorzony, zrujnowany. Albo lada chwila miało to nastąpić.

Wewnątrz windy Armand Gamache stał niewzruszony jak jedno z drzew Gilles'a Sandona. Gdyby Sandon był przy tym, usłyszałby coś, czego nie słyszał nikt inny: bezgłośny krzyk Armanda Gamache'a, który wrzeszczał, jakby go podcięto.

*Oto oznajmiam wam tajemnicę.*

Natarczywe słowa Listu Świętego Pawła do Koryntian krążyły w głowie Gamache'a. To były prorocze słowa. W jednej chwili, w mgnieniu oka, jego świat się zmienił. Widział jasno, co było ukryte. Coś, czego nigdy nie pragnął oglądać.

Udał się do liceum Notre-Dame-de-Grace i zatrzymał sekretarkę, która właśnie miała wyjść z pracy. Siedział teraz na parkingu i wpatrywał się w dwie rzeczy, które mu dała. Jedną była lista absolwentów, drugą – jeszcze jedna księga pamiątkowa. Sekretarka zachodziła w głowę, jak to możliwe, że Gamache potrzebuje ich aż tylu, ale nadinspektor wymamrotał coś w ramach przeprosin, a sekretarka się zlitowała. Nadinspektor pomyślał, że może kazać mu napisać coś sto razy. Na przykład „Nie zgubię następnej księgi pamiątkowej”.

Ale księga nie zginęła. Skradziono ją. Ukradł ją ktoś, kto chodził do szkoły z Madeleine i Hazel. Ktoś, kto chciał ukryć swoją tożsamość. Teraz, patrząc na listę absolwentów i księgę pamiątkową, Gamache wiedział dokładnie, kim była ta osoba.

*Oto oznajmiam wam tajemnicę.* W pamięci Gamache'a wrócił łamiący się głos Ruth, gdy czytała ten przepiękny fragment. I jeszcze jeden, twardy głos. Głos Michela Brébeufa.

*Oskarżycielski, gniewny. Popadamy w chorobę przez nasze tajemnice.*

Gamache wiedział, że to prawda. Ze wszystkiego, co tłamsimy wewnątrz, najgorsze są tajemnice. Rzeczy, których tak się wstydzimy, tak obawiamy, że ukrywamy je nawet przed sobą.

Tajemnice prowadzą do ułudy, a ułuda do kłamstw, kłamstwa zaś budują mur. Popadamy w chorobę przez nasze tajemnice, ponieważ oddzielają nas od innych ludzi. Izolują nas. Zmieniają w załęcznionych, wściekłych, zgorzkniałych. Zwracają nas przeciwko innym, a w końcu przeciw samym sobie. Morderstwo niemal zawsze zaczyna się od tajemnicy. Morderstwo to tajemnica rozłożona w czasie.

Gamache zadzwonił do Reine-Marie, do Daniela, do Annie, aż w końcu zatelefonował do Jeana Guya Beauvoira. Potem uruchomił samochód i ruszył w stronę przedmieść. Słońce już zachodziło, gdy przybył do Three Pines, było całkiem ciemno. W światłach reflektorów widział bitą drogę, a na niej podskakujące żaby, próbujące – z powodów, które miały pozostać dla niego tajemnicą – przedostać się na drugą stronę drogi. Zwolnił od razu, próbując ich nie porozjeżdżać. Żaby wesolo podskakiwały w świetle reflektorów, sprawiając wrażenie radośnie go witających.

Wyglądały dokładnie tak, jak żabki dekorujące śmieszna, starą zastawę stołową Oliviera. Przez moment Gamache zastanawiał się, czy nie powinien kupić od restauratora kilku talerzy, żeby przypominały mu o wiosnie i tańczących żabach. Wiedział jednak, że prawdopodobnie tego nie zrobi. Nie chciał mieć niczego, co przypominałoby mu o dzisiejszych wydarzeniach.

– Zadzwoniłem do wszystkich – relacjonował Beauvoir, gdy Gamache wszedł do biura operacyjnego. – Wszyscy przyjdą. Jest pan pewien, że właśnie tak chce pan to zrobić?

– Jestem pewien. Wiem, kto zabił Madeleine Favreau. Wydaje się właściwe, by sprawa, która rozpoczęła się w kręgu, zatoczyła pełne koło. Spotykamy się dziś wieczorem o dziewiątej w dawnym domu Hadleyów. I znajdziemy mordercę.

Clara czuła serce w gardle, w nadgarstkach, w skroniach. Całe jej ciało pulsowało z każdym uderzeniem serca. Nie mogła uwierzyć, że znów byli w dawnym domu Hadleyów.

W ciemności, rozjaśnianej jedynie marnym światłem świec.

Kiedy inspektor Beauvoir zadzwonił i powiedział jej, czego chciał Gamache, pomyślała, że żartuje albo się upił. A przynajmniej majaczy. Ale on mówił poważnie. Mieli spotkać się o dziewiątej w dawnym domu Hadleyów. W pokoju, w którym umarła Madeleine.

Przez cały dzień przyglądała się wolno posuwającym się wskazówkom zegara. Najpierw ich ruch był przeraźliwie powolny, potem zdawały się pędzić, wirować wokół tarczy. Nie mogła jeść, a Peter błagał ją, żeby tam nie szła. W końcu jej przerażenie się ugruntowało i zgodziła się zostać. W ich małym domku, z dobrą książką i lampką merlota. Ukrywając się.

Ale Clara wiedziała, że jeśli tak zrobi, poniesie to tchórzostwo ze sobą przez resztę życia.

Kiedy zegar wskazał za dziesięć dziewiątą, wstała, jakby poruszając ciało należące do kogoś innego, włożyła płaszcz i wyszła. Jak zombie z jednego z tych archiwalnych czarno-białych filmów, które oglądał Peter.

Znalazła się w czarno-białym świecie. Pozbawione światła latarni czy ulicznego ruchu, po zachodzie słońca Three Pines pogrążyło się w czerni. Wyjątkiem były świetliste punkty na niebie. I światła domów wokół skweru, które dziś wieczór ostrzegały ją, błagały, by od nich nie odchodziła, by nie podążała za tym szaleństwem.

Wędrując przez ciemność, Clara dołączyła do pozostałych. Myrna, Gabri, pan Béliveau, czarownica Jeanne – wszyscy wspinali się po wzgórzu w stronę nawiedzonego domu, jakby pozbawieni własnej woli.



Teraz znów była w tym pokoju. Spoglądała na twarze zgromadzonych, wpatrzone w migoczące świece pośrodku ich kręgu. Światło płomieni odbijało się w ich oczach jak promiennik dla strachu, który wszyscy nieśli w sobie. Clara była zaskoczona, jak bardzo złowieszcze mogło być zwyczajne migotanie świecy, jeśli to wszystko, co się ma.

Odile i Gilles siedzieli naprzeciwko niej, jak Hazel i Sophie.

Pan Béliveau usiadł obok Clary, a Jeanne Chauvet zajęła miejsce przy Gabrim, który był obwieszony krucyfikami, gwiazdami Davida, a w kieszeni miał croissant. Myrna zapytała o to, bo rogalik wyglądał na coś innego.

Mimo to krąg był przerywany. Jedno krzesło leżało na boku, przewrócone ku środkowi kręgu niemal tydzień wcześniej. Spoczywało tam jak pomnik, chociaż w niepewnym świetle wyglądało niczym szkielet, z drewnianymi ramionami, nogami i podzielonym na szczeble oparciem, rzucającym zniekształcony cień na ścianę.

Na zewnątrz dawnego domu Hadleyów noc była cicha i spokojna. Wewnątrz jednak budynek miał własną atmosferę i grawitację. Jego świat wypełniały pomruki i trzaski, smutek i westchnienia. Ten dom zabrał kolejne życie, nawet dwa, jeśli liczyć ptaszka – i znowu był głodny. Chciał więcej. Panowała w nim atmosfera jak w grobowcu. Gorzej – pomyślała Clara – jak w bezdennej otchłani. Wchodząc do tego domu, do tego pokoju, wkraczali w zaświaty, w miejsce pomiędzy życiem a śmiercią. W świat, gdzie miano ich osądzić i rozdzielić.

Z ciemności wyłoniła się ręka i pochwyciła szkieletowe krzesło. Potem Armand Gamache przyłączył się do nich, siedząc przez moment w milczeniu, pochylony do przodu, z łokciami na udach, wielkimi, silnymi dłońmi złożonymi razem, z palcami splecionymi jak do modlitwy. Jego ciemnobrązowe oczy były zamyślane.

Clara usłyszała wydech. Świeca zamigotała gwałtownie pod siłą stresu, jaki z siebie wyzwolili. Gamache popatrzył na nich. Gdy przeniósł wzrok na Clare, wydało się jej, że się zatrzymał i uśmiechnął, ale pomyślała, że pewnie wszyscy mają takie wrażenie. Zastanawiała się, jak nadinspektorowi udawało się nakłonić czas, by zaniechał własnych zasad. Jednocześnie

wiedziała także, że Three Pines było miasteczkiem, w którym czas wydawał się elastyczny.

– To jest tragedia tajemnic – zaczął Gamache. – Historia opętania, duchów, podłości przebranej za cnotę. To opowieść o rzeczach ukrytych i pogrzebanych. Żywcem. Kiedy coś, co nie do końca umarło, zostaje pogrzebane, w końcu wraca – odezwał się po chwili milczenia. – Pazurami rozdziera ziemię, zjełczałe, cuchnące. I głodne.

– To właśnie zdarzyło się tutaj. Każdy w tym pokoju ma jakąś tajemnicę. Coś do ukrycia.

Coś, co ożyło kilka dni temu. Gdy oficer Lacoste opowiedziała mi o swojej rozmowie z mężem Madeleine, zacząłem wreszcie mieć wgląd w tę sprawę. Mąż opisał Madeleine jako słońce.

Życiodajne, wesołe, jasne, pogodne.

Twarze rozświetlone blaskiem świec przytaknęły.

– Ale słońce także parzy. Pali i oślepia. – Znowu przyjrzał im się po kolei. – Tworzy też długie, mroczne cienie. Któż może żyć blisko słońca? Pomyślałem o Ikarze, pięknym chłopcu, który z pomocą ojca zbudował skrzydła, co pozwalały mu latać. Ojciec udzielił mu jednak przestrogi: nie zbliżaj się zanedo do słońca. Chłopak nie posłuchał. Każdy, kto ma dzieci, potrafi sobie wyobrazić, dlaczego tak się stało.

Oczy Gamache'a przemknęły ku Hazel. Jej twarz nic nie wyrażała. Była pusta.

W miejscu, gdzie niedawno malował się niepokój, ból, złość, teraz nie było nic. Jeźdźcy apokalipsy przejechali i nic nie zostało. Gamache pomyślał jednak, że być może nie przywieźli smutku. Ci jeźdźcy, których Hazel tak desperacko nie chciała do siebie dopuścić, zabrali ze sobą coś o wiele bardziej przerażającego. Ich brzemieniem była samotność.

– Najbardziej oczywistą podejrzaną jest Sophie. Biedna Sophie, jak ją wszyscy nazywają.

Ta, co zawsze się kaleczy, zawsze choruje. Ale sprawy zaczęły się mieć ku lepszemu, odkąd przybyła Madeleine.

Sophie wpatrywała się w nadinspektora ze zmarszczonymi brwiami.

– Dom, pełen rzeczy, a jednak tak pusty, nagle wypełnił się życiem. Wyobrażacie to sobie?

Wszyscy przenieśli się w wyobraźni do tego dnia, gdy do ponurego domu Hazel i Sophie zawitało słońce. Kotary zostały rozsunięte. Śmiech zawirował wśród kurzu zalegającego w pokojach i kazał mu wirować w promieniach światła.

– Gdy jednak zostały odkryte cienie, przyszło za to zapłacić. Zakochała się pani w Madeleine, nieprawdaż?

– Miłość nie jest cieniem – odpowiedziała buntowniczo Sophie.

– Święta racja. Miłość nie. Ale przywiązanie, owszem. Myrno, mówiła pani o bliskich nieprzyjaciółach.

– Przywiązanie udające miłość. – Pokiwała głową Myrna. – Ale nie myślałam o Sophie.

– Nie, miała pani na myśli kogoś innego. Ale to ma tutaj zastosowanie. – Gamache zwrócił się znów do Sophie. – Chciała pani mieć Madeleine tylko dla siebie. Poszła pani na jej uczelnię, Uniwersytet Królowej, by jej zaimponować. Sprawić, by zwróciła na panią uwagę. Już fakt, że musiała się pani dzielić Madeleine z matką, był trudny, ale gdy ostatnio wróciła pani do domu i zastała Madeleine w relacji z panem Béliveau, tego już było za wiele.

– Jak ona mogła? Spójrzcie tylko na niego. Jest stary, brzydki i biedny. To tylko sklepikarz, na miłość boską. Jak mogła go kochać? To ja pojechałam dla niej aż do kurewskiego Kingsland, a jak wróciłam, nawet jej nie było w domu. Była z nim, na seansie.

Sophie popchnęła pana Béliveau kulą, on jednak zdawał się niewrażliwy na zaczepki.

– Kiedy zorganizowano seans, dostrzegła pani okazję. Przez całe życie zmagala się pani z nadwagą, nawet parę lat temu brała efedrynę, aż sprawa się wydała i zabrano ją pani. W końcu jednak nabiła pani kilogramy z powrotem i zamówiła więcej tabletek przez Internet. To zdjęcie pokazuje pulchną dziewczynę sprzed zaledwie dwóch lat. – Gamache puścił w obieg

zdjęcie, które wisiało na lodówce. Wszyscy mu się przyglądali. Wydawało się zrobione na innej planecie.

Na planecie, gdzie ludzie byli roześmiani, kochani, gdzie się ich celebrowało. Na planecie, na której Madeleine ciągle żyła.

– Znalazła pani buteleczkę z tabletkami. Wiedziała pani, że matka niczego nie wyrzuca.

Inspektor Beauvoir opowiadał, że kredens był pełen starych lekarstw, w większości dawno przeterminowanych. Wiemy z wyników z laboratorium, że nie posłużyła się pani niedawno zakupionymi tabletkami efedryny. Znalazła pani stare. Wiedziała też, że serce Madeleine uległo uszkodzeniu wskutek chemioterapii...

W kręgu podniósł się cichy pomruk.

– ...I wiedziała pani, że wystarczająco wysoka dawka w połączeniu z chorym sercem może ją zabić. Wystarczyło ją tylko przestraszyć. Znaleźć coś, co wywoła przyspieszenie akcji serca, każe mu się tłuc i szamotać. A to samo wpadło pani w ręce. Seans w dawnym domu Hadleyów.

– To bzdura – zachnęła się Sophie, mimo że minę miała bardzo niepewną.

– Upewniła się pani, że będzie siedzieć koło Madeleine na kolacji, i wsypała jej tabletki do jedzenia.

– Nie zrobiłam tego. Mamo, powiedz mu, że nie.

– Nie zrobiła tego – powtórzyła Hazel, wykrzesując z siebie dość energii, by, choć nieprzekonująco, stanąć w obronie Sophie.

– Oczywiście wszystko, co powiedziałem o Sophie, ma też zastosowanie do Hazel.

– Gamache zwrócił się do kobiety siedzącej obok Sophie. – Kochała pani Madeleine. I nigdy nie próbowała tego ukrywać. Z całą pewnością była to miłość platoniczna, ale głęboka.

Prawdopodobnie kochała ją pani od czasu, gdy byliście dziećmi. A potem ona przyjeżdża, by z panią zamieszkać, wraca do zdrowia po chemioterapii, wasze życia zaczynają się na nowo. Nie jest już pani samotna.

Hazel pokiwała głową.

– Jeśli Sophie mogła znaleźć efedrynę, pani także mogła to zrobić. Podczas kolacji siedziała pani po drugiej stronie Madeleine, mogła więc podrzucić jej efedrynę do jedzenia. Ale jest jedno dręczące pytanie, dlaczego nie zabiła pani Madeleine podczas pierwszego seansu. Skąd ta zwłoka?

Gamache poczekał, aż ostatecznie zdanie zapadnie w głowy słuchaczy. Wydawało się teraz, że świat poza ich kręgiem światła nie istnieje. Znany świat zniknął na brzegu ciemności.

– Między seansami były trzy różnice – ciągnął Gamache, odliczając na palcach. – Kolacja u Petera i Clary. Dawny dom Hadleyów. Obecność pań Smyth.

– Ale dlaczego Hazel miałyby zabijać Madeleine? – zapytała Clara.

– Z zazdrości. To zdjęcie? – Wskazał na fotografię, którą teraz trzymał Gabri.

– Madeleine patrzy na Hazel z wielkim uczuciem, a Hazel spogląda z jeszcze większą miłością.

Ale nie na Madeleine ani na Sophie. Patrzy poza kadr. Przypomniało mi się coś, co powiedział Olivier. Wspomniał, jaka dobra była Hazel dla pana Béliveau po tym, jak jego żona zmarła.

Zapraszała go na różne uroczystości, szczególnie te ważne. Czapka, jaką Hazel ma na tym zdjęciu, jest biało-niebieska, na torcie jest błękitny lukier. To były urodziny mężczyzny. Pańskie – zwrócił się do pana Béliveau, który wyglądał na zszokowanego. Gabri wręczył mu fotografię, a sklepikarz przyglądał się jej przez moment. W ciszy usłyszeli więcej skrzypnięć. Wydawało się, że coś wchodzi po schodach. Clara wiedziała, że tylko jej się to wydaje. Wiedziała, że to, co przeczuwała poprzednim razem, było małym ptaszkiem, nie potworem, jakiego widziała w wyobraźni. Ten ptaszek już nie żył. Więc to niemożliwe, by coś wchodziło po schodach. Nic nie mogło stać na podeście. Nic nie mogło skradać się ze skrzypieniem po korytarzu.

– Hazel zawsze była taka dobra – odezwał się w końcu pan Béliveau, spoglądając na Hazel, która zapadła się w sobie.

– Zakochała się w nim pani – powiedział Gamache. – Prawda?

Hazel lekko potrząsnęła głową.

– Mamo? Zakochałaś się?

– Myślałam, że jest miły. Kiedyś myślałam, że może... – Hazel umilkła.

– Aż zjawiała się Madeleine – kontynuował Gamache. – Nie planowała tego i z całą pewnością nie miała pojęcia, co pani do niego czuła, ale ukradła pani pana Béliveau.

– Nie był mój, więc nie mogła mi go ukraść.

– Tak się tylko mówi, ale słowa i uczucia bardzo się różnią – ciągnął niezrażony Gamache. – Wy dwoje byliście samotni, pani i pan Béliveau. Z wielu powodów w dużo bardziej naturalny sposób pasowaliście do siebie. Ale Madeleine była olśniewająca, piękna, przyciągała jak magnes, no i oczarowała pana Béliveau. Nie chciałbym sprawiać wrażenia, że Madeleine odznaczała się złośliwością czy podłością, po prostu była sobą. Nie dawało się w niej nie zakochać. Nieprawdaż, monsieur Sandon?

– *Moi?* – Sandon aż podskoczył na dźwięk własnego nazwiska.

– Pan też ją kochał. Gorąco. Tak gorąco i całkowicie, jak to tylko bywa z nieodwzajemnioną miłością. Na swój sposób taka miłość jest najgłębsza, bo nigdy nie zostaje poddana próbie. Madeleine pozostała dla pana ideałem. Perfekcyjną kobietą. Ale ta idealna kobieta miała skazę. Zakochała się w kimś innym. Gorzej. W kimś, kogo pan nie znosił. W panu Béliveau. W tym, co sprowadza śmierć. W człowieku, który pozwolił, by wspaniały stary dąb umierał w cierpieniu.

– Nie mógłbym zabić Madeleine. Nie potrafię nawet ściąć drzewa. Nie nadepnę kwiatka, nie rozgniotę skoraka. Nie jestem w stanie odebrać życia.

– Ależ może pan, monsieur Sandon. – Armand Gamache zamilkł i znów pochylił się do przodu, wpatrując się w olbrzymiego drwala. – Sam pan tak powiedział. Że lepiej zabić coś z litości, niż pozwalać mu konać długo i w bólach. Mówił pan o dębie. Ale jeśli wiedziałby pan, że Madeleine umiera, może zrobiłby pan to także i dla niej.

Sandona zatkało. Siedział z szeroko otwartymi oczami i rozdziawionymi ustami.

– Kochałem ją. Nie mógłbym jej zabić.

– Gilles – szepnęła Odile.

– A ona kochała kogoś innego. – Gamache przysunął się bliżej, zmierzając do sedna. – Kochała pana Béliveau. Widział pan to każdego dnia, codziennie rzucało się to w oczy, niezaprzeczalne, nawet dla pana. A pana nie kochała.

– Jak mogła? – Gilles podniósł się z krzesła, a jego olbrzymie dłonie zacisnęły się jak młoty. – Nie macie pojęcia, jak to było widywać ją z nim. – Zwrócił się w stronę cichego pana Béliveau. – Wiedziałem, że nie mogło jej zależeć na kimś takim jak ja, ale... – Sandon się zachwiał.

– Ale skoro nie mogła kochać pana, to nie mogła nikogo kochać? – zapytał Gamache cicho. – To musiało być potworne.

Drwał opadł na krzesło. Wszyscy spodziewali się, że drewno rozleci się z głośnym trzaskiem, ale utrzymało go, jak matka obejmująca zranione dziecko.

– Ale specyfik, który ją zabił, znajdował się w szafce z lekami u Smythów – warknęła Odile. – Nie mógł się do niego dostać.

– Ma pani rację. Nie miał dostępu do ich domu. – Gamache popatrzył na Odile. – Wspomniałem o raporcie z laboratorium. Wynika z niego, że efedryna, która zabiła Madeleine, nie została wyprodukowana w ostatnim czasie. Była bardziej naturalna. Byłem głupi. Ludzie mi to w kółko powtarzali, a ja nie zarejestrowałem tego. Efedryna to zioło. Roślina. Od stuleci stosowana w medycynie chińskiej. Może Gilles nie potrzebował dostawać się do ich domu. Może pani także nie. Wie pani, co przyniosłem z pani sklepu?

Wpatrywał się w Odile, która odpowiedziała nieruchomym spojrzeniem, przerażonym i zamartwionym.

– *Ma Huang*. Starożytne chińskie ziele. Znane też jako mormońska herbata. I efedryna.

– Nie zrobiłam tego. On też nie. Nie kochał jej. Była suką, okropną, okropną osobą.

Manipulowała ludźmi tak, że wierzyli, że jej na nich zależy.

– Kiedy szłyście tutaj tamtej nocy, rozmówiła się pani z nią, ostrzegła ją, nieprawdaż?

Powiedziała jej pani, że może sobie mieć każdego, ale Gilles jest jedynym mężczyzną, którego pani kiedykolwiek chciała. Błagała ją pani, by trzymała się od niego z daleka.

– Powiedziała mi, żebym nie była idiotką. Ale ja nie jestem idiotką.

– Ale wtedy już było za późno. Efedryna już krążyła w jej organizmie. – Gamache spoglądał na krąg wpatrzonych w niego twarzy. – Wszyscy mieliście powody, by ją zabić.

Wszyscy mieliście sposobność, by to zrobić. Ale był jeszcze jeden niezbędny element. Madeleine Favreau zabiła kombinacją efedryny i strachu. Ktoś musiał ją przestraszyć.

Wszystkie oczy zwróciły się na Jeanne Chauvet. Siedziała z przymkniętymi oczami, zapadłymi i ciemnymi.

– Wszyscy staraliście się przekonać mnie, że powinienem uznać Jeanne za podejrzaną.

Mówiliście, że jej nie ufacie, że jej nie lubicie. Baliście się jej. Złożyłem to na karb swego rodzaju hysterii. Była obca wśród was. Czarownica. Kogóż innego chcielibyście winić?

Clara wpatrywała się w nadinspektora. Gamache wyłożył to tak prosto, tak jasno. Czy naprawdę wypchnęli tę myszowatą kobietę przed oblicze inkwizycji? Wydali ją? Podpalili stos, a sami, jak filisterscy Purytanie, wygrzewali się w jego blasku pewni, że bestia nie wywodzi się spośród nich. Nie myśleli o prawdzie ani o tej kobiecie.

– Praktycznie wyeliminowałem ją jako podejrzaną zbyt oczywistą. Ale przy wczorajszej kolacji zmieniłem zdanie.

Clarze wydawało się, że znów usłyszała skrzypnięcie, jakby dom się obudził, czując ofiarę. Serce jej waliło, świeca zaczęła migotać – wydawało się jej, że i ona się trzęsa. Coś było w dawnym domu Hadleyów. Coś się obudziło do życia. Gamache zdawał się także to czuć.

Przechylił głowę z wyrazem zdziwienia na twarzy. Nasłuchiwał.



– Ruth Zardo mówiła o czasach stosów i nazwała panią Joanną d’Arc – powiedział Gamache do Jeanne. – A ja przypomniałem sobie, że Jeanne to po francusku Joanna. Joanna d’Arc to Jeanne d’Arc. Kobieta, którą spalono na stosie za to, że słyszała głosy i miewała wizje.

Czarownica.

– Święta – sprostowała Jeanne, a jej głos brzmiał jak z oddali.

– Jak pani woli – zgodził się Gamache. – Myślała pani, że pierwszy seans to żart, ale drugi potraktowała pani poważnie. Upewniła się, że atmosfera nabrała rumieńców i zrobiło się strasznie.

– Nie jestem odpowiedzialna za lęki innych ludzi.

– Tak pani uważa? Jeśli wyskoczy pani z ciemności, krzycząc „buuu!”, trudno mieć pretensję do kogoś, kto się przestraszy. I to właśnie pani zrobiła. Rozmyślnie.

– Nikt nie zmuszał Mad do przyścia tamtej nocy – upierała się Jeanne i zamilkła.

– Mad – powtórzył Gamache cicho. – Przewisko. Używali go tylko ci, którzy ją dobrze znali. Nigdy nowo poznani. Znała ją pani, prawda?

Jeanne milczała.

– Znała ją pani. – Gamache pokiwał głową. – Za moment do tego wrócę. Ostatni element morderstwa to seans. Ale nikt by takowego nie poprowadził, a kto się spodziewał, że w Wielkanoc pojawi się medium? To zbyt przypadkowe, żeby mogło być skutkiem ślepego trafu.

I nie było. Czy to pan to wysłał?

Gamache podsunął Gabriemu broszurę reklamującą pensjonat.

– Ja ich nie rozsyłałam – rzekł Gabri, ledwo patrząc na broszurę. – Wydrukowałam je tylko po to, by usatysfakcjonować Oliviera, który uważa, że za mało się reklamuję.

– Nigdy ich pan nie rozsyłał? – dopytywał uparcie Gamache.

– Dlaczego miałbym to robić?

– Prowadzisz pensjonat – zasugerowała Myrna. – To biznes.

– To samo mówi Olivier, ale mamy dość gości. Po co miałbym ich mieć więcej?

– Bycie Gabrim to wystarczająco dużo roboty – przyznała Clara.

– To wykańczające – uściślił Gabri.

– Więc to nie pan napisał to na broszurze. – Gamache wskazał na błyszczący papier w wielkiej dłoni Gabriego. Gabri pochylił się ku światłu świecy, czytając z wysiłkiem.

*Miejsce spotkania linii geomantycznych – specjalna oferta wielkanocna* – przeczytał, chichocząc. – Czy o to pani chodziło, kiedy powiedziała, że mam tu marne szanse na spotkania romantyczne? – zwrócił się do Jeanne, przesuwając croissanta.

– Nie to powiedziałam. Powiedziałam, że to nie tu jest miejsce spotkania linii geomantycznych.

– Wydawało mi się, że mówiła pani, że one tu nie działają – powiedział Gabri z ulgą.

– Ale nigdy tego nie napisałem. – Oddał broszurę Gamache’owi. – Nawet nie wiem, co to znaczy.

– Nie napisał pan tego i nie wysłał broszury. Więc kto to zrobił? – Wszyscy się domyślali, że nadinspektor nie oczekuje odpowiedzi. Mówił do siebie. – Ktoś, kto chciał zwabić Jeanne do Three Pines. Ktoś, kto znał ją wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że wzmianka o liniach geomantycznych ją zacieka. Ale przy tym ta osoba nie wiedziała dość o liniach geomantycznych, by nie napisać tego z błędem.

– To pewnie dotyczy nas wszystkich – powiedziała Clara. – Z jednym wyjątkiem.

– Popatrzyła na Jeanne.

– Myśli pani, że sama to napisałam? Żeby wyglądało, że ktoś mnie tu zwabił? I nawet napisałam z błędem? Nie jestem aż taka cwana.

– Może – powiedział Gamache.

– Na tym pierwszym seansie Gabri rozwiesiłeś plakaty informujące, że ze zmarłymi będzie rozmawiać madame Blavatsky. Kłamałeś co do nazwiska...

– stwierdziła Clara.

– Licencja poetycka – wyjaśnił Gabri.

– Bycie nim musi być wykańczające – powiedziała Myrna. –...ale wiedziałeś, że Jeanne jest medium. Skąd wiedziałeś?

– Powiedziała mi.

– To prawda. Zawsze sobie powtarzam, żeby nic nie mówić, ale to pierwsze, co wychodzi mi z ust. Ciekawe czemu? – odezwała się Jeanne.

– Chce pani być kimś specjalnym – oceniła Myrna bez cienia złośliwości. – Wszyscy tego chcemy. Pani tylko jest bardziej otwarta w tej kwestii.

– Cóż, poniekąd trochę pociągnąłem ją za język – rzekł Gabri, nietypowo przyciszonym głosem. – Zawsze pytam gości, czym się zajmują i co ich pasjonuje. To ciekawe.

– A potem ich wysyłasz do roboty – dopowiedział Sandon, który wciąż nie mógł zapomnieć, jak przegrał dwieście dolarów w pokera z zawodowym graczem, który był gościem Gabriego.

– W miasteczku bywa nudno – tłumaczył Gabri Gamache’owi. – Ściągam do Three Pines trochę kultury.

Wszyscy zdecydowali się przemilczeć piszczącą śpiewaczkę operową.

– Gdy Jeanne się zameldowała, czytała mi z dłoni – ciągnął Gabri. – W poprzednim życiu byłem Strażnikiem Światła na Akropolu, ale nie mówcie nikomu.

– Ani mru-mru, słowo – przyrzekła Clara.

– Przeszłam się po miasteczku, żeby poczuć energię tego miejsca – opowiadała Jeanne. – Co ciekawe, ktokolwiek to napisał – wskazała na broszurę w ręku Gabriego – prawie miał rację.

Są tu linie geomantyczne, ale przebiegają równolegle do Three Pines. To dość niezwykłe, by leżały tak blisko siebie. Ale się nie przecinają. Tak naprawdę lepiej, żeby się nie przecinały. To za dużo energii. Świetne dla miejsc kultu, ale jak pewnie zauważyliście, nikt nie mieszka w Stonehenge.

– A przynajmniej nikt, kogo byśmy widzieli – stwierdził Gamache, ku zaskoczeniu wszystkich. – Ktokolwiek wysłał broszurę, wiedział, że Gabri się

downie, że jego gość to medium i to niemal gwarantuje, że popędzi Jeanne do pracy. Seans był gwarantowany.

– Myrno, na wczorajszą kolację u Petera i Clary przyniosła mi pani książkę, *Słownik miejsc magicznych*. Przejrzałem ją i wie pani, co znalazłem?

Wszyscy milczeli. Gamache zwrócił się do Jeanne.

– Myślę, że pani wie, co znalazłem. Wyglądała pani na zaniepokojoną, kiedy książka się pojawiła, zwłaszcza że to najnowsze wydanie. Olivier pytał, czy znaleźli jakieś nowe miejsca magiczne. Oczywiście żartował, ale okazało się, że to prawda. W ciągu ostatnich dwudziestu lat faktycznie znaleziono nowe takie miejsce. We Francji. Ciąg pieczar, nazwanych od regionu, gdzie je odkryto. Jaskinie Chauvet.

Rozległo się kolejne skrzypnięcie i Gamache wiedział, że czas się kończy. Zbliżało się coś mrocznego i osobistego.

– Jeanne Chauvet. Medium i jak sama twierdzi, wikkanka, nosząca imię średniowiecznej kobiety spalonej na stosie i nazwisko zaczerpnięte od magicznych jaskiń. Nie było mowy, żeby to było pani prawdziwe nazwisko. Ale tej nocy stało się coś jeszcze. Inspektor Beauvoir i ja nie mogliśmy spać z powodu żab. Siedzieliśmy w salonie, oglądając książki pamiątkowe ze szkoły Hazel i Madeleine, kiedy zjawiła się Jeanne. Dziś rano książki zniknęły. Mogła je zabrać tylko jedna osoba. Dlaczego to pani zrobiła, Jeanne?

Jeanne wpatrywała się w ciemność, po chwili przemówiła:

– Coś nadchodzi.

– *Pardon?* – zapytał Gamache.

Zwróciła się w jego stronę, jej oczy w końcu zaśniły od blasku świateł. Błyszczały teraz.

W nienaturalny, niepokojący sposób.

– Wiem, że i pan to czuje. To przed tym ostrzegałam pana tamtego poranka w kościele.

Przybyło.

– Dlaczego zabrała pani książki pamiątkowe, Jeanne? – Gamache chciał się skupić, nie pozwolić, by jego umysł odpłynął ku innej sprawie. Wiedział

jednak, że ma niewiele czasu.

Musiał to skończyć, teraz.

Jeanne wpatrywała się w drzwi i milczała.

– Wracając tutaj, po południu zatrzymałem się w szkole i zabrałem dwie rzeczy. Jeszcze jedną księgę pamiątkową oraz listę absolwentów. Chciałbym przeczytać coś z rocznika, kiedy Hazel i Madeleine ukończyły liceum. – Sięgnął po książkę i rozłożył ją na kolanach. Otworzył ją na stronie zaznaczonej kolorową karteczką. – Joan Cummings. Cheerleaderka. Joanna d’Arc, zamierza rozpalić świat.

Cicho zamknął okładki.

– Joan Cummings? – zapytała Hazel, ożywiając się. – Ze szkoły?

– Nie poznałaś mnie, co? Mad też nie.

– Zmieniłaś się – powiedziała Hazel, bełkocząc zażenowana.

– Ale Mad ani trochę – rzekła Jeanne.

Gamache puścił książkę w obieg i pokazał wszystkim zdjęcie cheerleaderek. W niejasnym świetle ujrzeni zdjęcie młodej kobiety o atletycznych ramionach, wyciągniętych aż do nieba, z ogromnym uśmiechem na ładnej twarzy.

– To było prawie trzydzieści lat temu. Nawet z całym tym makijażem i uśmiechem ciągle nazywano panią Joanną d’Arc i wspomniano o stosach.

Jeanne nerwowo zerknęła w stronę drzwi, po czym wróciła spojrzeniem.

– Znałam Madeleine z drużyny cheerleaderek. Miał pan rację z tym słońcem. Ona była dokładnie taka, a nawet bardziej. Była miła, a to tylko pogarszało sprawę. Przez lata w szkole dokuczano mi, znęcano się nade mną, bo byłam inna. Marzyłam tylko o tym, żeby się dopasować. Malowałam się, robiłam sobie włosy, nauczyłam się rozmawiać o bzdurach i w końcu przyjęli mnie do cheerleaderek. Chciałam się z nią zaprzyjaźnić, ale ignorowała mnie.

To nie było okrutne, po prostu nie zauważała, że istnieję.

– Nienawidziła jej pani? – zapytała Clara.

– Pani pewnie zawsze była lubiana – sarknęła Jeanne. – Ładna, utalentowana, wesoła. – Clara słyszała te słowa, ale nie przyjmowała ich do siebie. – Jeanne mówiła dalej. – Ja taka nie byłam. Chciałam tylko mieć przyjaciółkę. Jedną, jedyną. Czy macie pojęcie, jakie to okropne, bez przerwy, zawsze, być na marginesie? W końcu dostałam się do drużyny, w której były wszystkie najbardziej lubiane dziewczyny. I wiecie, jak mi się to udało? – Teraz Jeanne prawie syczała.

– Zdradziłam wszystko, czym byłam. Zrobiłam z siebie kogoś durnego i powierzchownego. Jest powód, dla którego mówi się, że dziewczyna „się robi”. Ja robiłam się sama, codziennie. Zamykałam w sobie wszystko, na czym naprawdę mi zależało, i odwracałam się od osób, które mogły być moimi prawdziwymi przyjaciółmi. Wszystko w pogoni za tą jedną idealną dziewczyną.

– Madeleine – wtrącił Gamache.

– A ona była idealna. Najgorszy moment w moim życiu nastąpił wtedy, gdy uświadomiłam sobie, że zdradziłam wszystko, na czym mi zależało, i bez żadnego celu.

– Więc zmieniła pani nazwisko na Chauvet. Na nowo się „zrobiła”.

– Nie, w końcu zaakceptowałam samą siebie. Zmiana nazwiska na Chauvet to była celebracja, deklaracja. Wreszcie nie ukrywałam tego, kim jestem.

– To czarownica – wyszeptał Gabri do Myrny.

– Wiemy, *mon beau*. Ja też jestem czarownicą.

– Wiedziałam, kim jestem, ale nie wiedziałam, gdzie jest moje miejsce. Wszędzie czułam się jak obca, dopóki nie przyjechałam tutaj. Gdy wjechałam tą drogą do Three Pines, poczułam, że jestem w domu.

– Ale także znalazła pani Madeleine – uzupełnił Gamache.

– Na seansie w tamten piątkowy wieczór. – Jeanne skinęła głową. – Wiedziałam, że znowu mnie przyćmi. Nie dlatego, że była chciwa, ale dlatego, że sama jej pozwolę. Czułam to.

Odnalazłam siebie, swój dom, jedyne, czego mi brakowało, to przyjaciela.

I kiedy zobaczyłam Mad, wiedziałam, że znowu to zrobię. Że będę próbowała się z nią zaprzyjaźnić, a ona mnie odepchnie.

– Ale dlaczego ją pani zabiła? – zapytała Clara.

– Nie zabiłam jej.

Wśród zgromadzonych w kręgu rozległ się pomruk niedowierzania.

– Ona mówi prawdę – powiedział Gamache. – Nie zabiła Madeleine.

– Więc kto to zrobił? – zapytał Gabri.

Jeanne wstała, wpatrując się w ciemność za drzwiami.

– Sir? – Głos dobiegający ze strony drzwi był młody, nieśmiały, ale przez to jakby bardziej straszny, jak odkrycie, że przyjaciel rodziny jest diabłem.

Gamache wstał i odwrócił się w stronę drzwi. Nie widział nic oprócz czerni, po chwili jednak zarysowała się na niej sylwetka. Nie miał już czasu. Wszyscy wpatrywali się w niego. Na twarzach zasiadających w kręgu malowała się prośba, by zapewnił ich o bezpieczeństwie.

– Wrócę za kilka minut.

– Chyba nas pan nie zostawia? – zapytała Clara.

– Przykro mi, muszę. Ale nie spotka was nic złego.

Gamache odwrócił się od migoczących świateł, znikając na granicy światów.

Agent Lemieux zaprowadził go do mrocznego pokoju, znajdującego się na końcu korytarza. Siedział w nim jakiś mężczyzna z nogami założonymi jedna na drugą. Na kolanach trzymał włączoną latarkę.

– Witaj, Armandzie.

Głos brzmiał znajomo. W tym marnym świetle od razu jednak rozpoznał sylwetkę. Jako nastolatki razem wślizgiwali się do barów na zabronione drinki, umawiali się na podwójne randki, razem wkuwali do egzaminów, jako młodzi mężczyźni chodzili na długie spacery, podczas których roztrząsali problemy tego świata. Dyskutowali, jak go naprawić, udoskonalić.

Razem palili papierosy i razem rzucili ten nałóg. Byli drużbami na swoich ślubach. Wspierali się. Każdy z nich wybrał drugiego na ojca chrzestnego swojego ukochanego dziecka.

Armand Gamache nagle znalazł się w rodzinnym domu, z policzkiem złożonym na oparciu szorstkiej kanapy i wzrokiem wbitym w drogę. Czekał na mamę i tatę. Każdej nocy wracali do domu. Ale tego wieczoru przyjechał nieznany samochód. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Zapukali do drzwi. Ręka jego babci sięgnęła po jego dłoń. Zapach kulek na mole, którym przesiąknięty był jej sweter, stał się mocniejszy, gdy przycisnęła jego głowę do swojego boku, próbując ochronić przed słowami, które właśnie padały. Lecz te słowa znalazły go, załapały i przylgnęły do niego na resztę życia.

Straszny wypadek.

A jego mały przyjaciel, Michel Brébeuf, wtedy również był przy nim. W pewien sposób dorastając, Armand znalazł ukojenie w wiedzy, że niemal na pewno nic nigdy nie będzie dla niego aż tak wielkim ciosem.

Aż do dzisiaj. Teraz stał przed człowiekiem, którego kochał najbardziej na



świecie. Jeźdźcy apokalipsy ruszyli galopem i z tętentem pomknęli w dół wzgórza, na rżących koniach, ze wzniesionymi mieczami. Nie będą brać jeńców.

– *Bonjour*, Michel.

– Wiedziałeś, nieprawdaż? Wyczytałem to z twojej twarzy, wysiadając z windy dziś po południu.

Gamache skinął głową.

– Jak się dowiedziałeś? – zapytał Brébeuf.

Gamache rozejrzał się i dostrzegł Lemieux przy drzwiach.

– On zostaje, Armandzie.

Nadinspektor wpatrywał się w Lemieux, badawczo przyglądając się jego twarzy. Znalazł w niej jednak tylko lodowate, kamienne spojrzenie.

– Jeszcze nie jest za późno – rzekł Gamache.

– Jest o wiele za późno – odparł młody policjant. – Dla nas obu.

– Nie pana mam na myśli – sprostował nadinspektor.

– Skąd wiedziałeś? – Brébeuf wstał.

– Tajemnice – rzekł Gamache zdziwiony, że jego głos brzmi normalnie. Ta rozmowa wyglądała jak jedna wielu, które odbył z Michelem. Rozsądnych, poważnych, wręcz czułych.

– Popadamy w chorobę od naszych tajemnic. Powiedziałeś tak do mnie w windzie.

– No i?

– Powiedziałeś, że to zdanie, które mówię moim stażystom. Ale to nieprawda.

Powiedziałem to tylko raz, i to tutaj, w dawnym domu Hadleyów. Powiedziałem to do oficera Lemieux.

Brébeuf zastanowił się przez chwilę.

– Wiedziałeś wtedy, że on pracuje dla mnie?

– Wiedziałem, że pracuje dla kogoś innego niż ja. Domyśliłem się, że był szpiegiem.

– Skąd? – Wbrew samemu sobie Brébeuf był ciekaw.

– Tak operował Arnot. To proste i skuteczne. Umieścić kogoś zaufanego w środku i pozwolić mu robić to, co potrafi najgorszego. *Un agent provocateur*. Zdałem sobie sprawę, że jeśli ludzie Arnota spróbują mnie zniszczyć, zrobią to od środka. Umieszczą kogoś w moim zespole. Ale Arnot posługiwał się zbirami. Ty jesteś o wiele sprytniejszy. Wybrałeś kogoś, kto potrafi się wkupić w łaski innych, kogoś, kto opanował do perfekcji udawanie sojusznika.

Gamache zwrócił się do Lemieux:

– Pana łatwo polubić. Cały zespół pana zaakceptował. Jest pan inteligentny i w sympatyczny sposób potrafi umniejszać własną rolę. Jest pan o wiele bardziej zdradziecki od zbira. Zabija pan pocałunkiem.

Robert Lemieux ani na chwilę nie spuścił lodowatego spojrzenia z Gamache’a. Nadinspektor wytrzymał jego wzrok.

– Niech pan będzie ostrożny, młody człowieku. Igra pan z rzeczami, których nawet nie zaczął pan rozumieć.

– Tak pan sądzi? – Lemieux postąpił naprzód. – Myśli pan, że jestem naiwny, nieskomplikowany, trochę durny Lemieux? Wydaje się panu, że na złą drogę sprawdziły mnie obietnice nie z tej ziemi, które poczynił mi naczelnik? Myśli pan, że dałem się uwieść?

Mówiąc to, podszedł bliżej do Gamache’a, z rozmysłem, powoli. Jego głos był miękki, słodki i kusicielski. Ale młodzieńczy rumieniec na jego twarzy bladł. Mężczyzna, który zbliżał się do Gamache’a, z każdym krokiem był starszy i bardziej zepsuty. Wreszcie zatrzymał się kilka centymetrów od twarzy nadinspektora. Gamache miał wrażenie, że zaraz go polizze cuchnącym, oślizgłym językiem. Inaczej mógł tylko zakrztusić się i cofnąć.

– Myśli pan, że pewnego dnia tego pożałuję? – Nieświeży oddech Lemieux muskał policzek Gamache’a. – Jest pan taki przewidywalny, nadinspektorze. Potrzebuje pan ratować ludzi, tak jak pana uratowano. Pan naczelnik opowiedział mi o pańskich rodzicach. Większość chłopców byłaby tym naznaczona na całe życie, ale pan jakoś przeżył i nawet rozkwitł. Ale obiecał

pan sobie, że będzie pomagał innym. Że nikt nie utonie na pańskiej wachcie. Ciężkie brzemię.

Gamache czuł, jak serce mu wali.

– Chłopcy dzielą się ze sobą takimi rzeczami. Mogę sobie pana wyobrazić, Gamache.

Zrównoważonego, zdeterminowanego, poważnego chłopca, który mówi swojemu najlepszemu przyjacielowi, że przysiągł pomagać innym. Brébeuf obiecał, że panu pomoże, nieprawdaż? Jak Lancelot i Artur. Ale na końcu jeden zdradza drugiego. Czy to nie tego was uczył wasz pierwszy szef? Mateusz, 10:36. Pewnie pan myślał, że nie zwróciłem uwagi? – zapytał Gamache’a.

– Och, zawsze wiedziałem, że pan zwraca uwagę. – Gamache zwrócił się do Brébeufa.

Czuł, jak traci nad sobą kontrolę, ale jeśli ją straci, wszystko przepadło. – Rozumiem, dlaczego mnie zaatakowałeś, Michelu, ale moją rodzinę? Dlaczego Daniel? Annie, twoja chrześniaczka?

– Byłem pewien, że wtedy zorientujesz się, że to ja. Kto inny wiedział tak dużo o twojej rodzinie? Ale ty wciąż byłeś ślepy. Taki lojalny. – Brébeuf pokręcił głową. – Nigdy nie podejrzewałeś? Przez cały czas myślałeś, że to Francoeur.

Gamache ruszył w stronę Brébeufa, ale Lemieux stanął pomiędzy nimi. Gamache zapomniał już, że Lemieux jest postawnym mężczyzną. Nadinspektor ledwie się zatrzymał, ale nie spuszczał wzroku z Brébeufa.

– Wiedziałem, że coś się między nami zmieniło – stwierdził Gamache. – Odsunąłeś się, byłeś uprzejmy, ale tylko tyle. To drobiazgi, nic, co umiałbym wyraźnie określić. Nic godnego uwagi, ale trzeba było zebrać ziarnko do ziarnka. To, że raz nie pamiętałeś o moich urodzinach.

Że nie przyszedłeś na jakieś przyjęcie. Że rzuciłeś jakąś przelotną uwagę, która wydawała się w zamiśle obraźliwa. Ale nie mogłem w to uwierzyć. Postanowiłem w to nie wierzyć.

Bałem się w to wierzyć – pomyślał Gamache. – Bałem się, że to okaże się

prawdą, że stracę najlepszego przyjaciela. Tak, jak Hazel straciła Madeleine.

– Myślałem, że zajmujesz się rodzinnymi problemami. Nigdy nie śniło mi się nawet...

– Gamache’owi zabrakło słów. Ale jeszcze jedno słowo uformowało się i wydobyło z jego ust.

– Dlaczego?

– Pamiętasz ten moment, tuż po ogłoszeniu wyroku na Arnota i resztę? Sprawa dobiegła końca, ale ty okryłeś się niesławą. Wyrzucono cię z rady. Zaprosiliśmy, ja i Catherine, ciebie i Reine-Marie na kolację, zapewne po to, żeby cię pocieszyć. Ale ty byłeś w znakomitej formie.

Poszliśmy na koniak do mojego gabinetu i powiedziałeś mi, że nic cię to nie obeszło. Że zrobiłeś to, co musiałeś. Twoja kariera była w ruinie, ale ty byłeś szczęśliwy. Po twoim wyjściu siedziałem i czytałem. Jakąś mało znaną książkę, którą pewnie ty mi dałeś. Znalazłem w niej cytat, który mnie zdruzgotał. Przepisałem go i schowałem w portfelu, żeby nigdy go nie zapomnieć.

Z przegródki na banknoty w portfelu wyjął złożoną kartkę, rozmięknął i wyświechtaną jak stary list miłosny. Rozłożył go i zaczął czytać.

– Pochodzi z dziewięćset sześćdziesiątego roku. Autorem jest podobno Abd-er-Rahman III, emir hiszpańskiej Kordoby. – W głosie naczelnika pobrzmiwało zdenerwowanie. Czuł się chłopcem czytającym coś przed całą klasą. To było tak bolesne, że Gamache prawie jęknął.

Brébeuf odchrząknął i zaczął czytać.

„Od niemal pięćdziesięciu lat zasiadam na tronie, panując zwycięsko i w pokoju, ukochany przez mych poddanych, szanowany przez sprzymierzeńców, budząc grozę wśród mych nieprzyjaciół. Bogactwa, zaszczyty, potęga i rozkosz były na każde moje wezwanie; nie brakło mi nigdy żadnego z ziemskich błogosławieństw. Mając to wszystko na względzie, sumiennie rachowałem dni czystego i niekłamanego szczęścia, jakie przypadły mi w udziale: naliczyłem ich czternaście”.

Robert Lemieux się roześmiał, ale serce Armanda Gamache’a pękło.

Brébeuf starannie złożył kartkę i na powrót umieścił ją w portfelu.

– Przez całe nasze życie to ja byłem inteligentniejszy, szybszy, lepszy od ciebie w tenisa i w hokeja – wyliczał Brébeuf. – Miałem lepsze stopnie, pierwszy znalazłem miłość. Mam trzech synów. I pięcioro wnuków, podczas gdy ty tylko jednego. Dosłużyłem się siedmiu nagród, a ty ile dostałeś?

Gamache pokręcił głową.

– Nawet nie wiesz? Wygrałem z tobą w walce o stanowisko naczelnika i zostałem twoim szefem. Przyglądałem się, jak pogrzebałeś swoją karierę. Więc dlaczego to ty jesteś szczęśliwy?

To pytanie przeszło Gamache'a jak ostrze, przebijając mu pierś i serce, wybuchło w jego głowie, aż musiał zamknąć oczy. Kiedy znów je otworzył, wydawało mu się, że coś mu się przywidziało. Ktoś stał niewiele dalej za Lemieux. W cieniu.

Nagle cień oddzielił się od otaczającej ciemności. To była oficer Nichol, która stała jak duch uwięziony między dwoma światami.

– Czego chcesz? – zapytał Gamache.

– Chce, żeby pan złożył rezygnację – powiedział Lemieux, najwyraźniej wciąż nieświadomy pojawienia się Nichol. – Ale obaj wiemy, że to nie wystarczy.

– Oczywiście, że wystarczy – warknął Brébeuf. – Wygraliśmy.

– A potem co? – spytał Lemieux. – Słaby z pana człowiek, Brébeuf. Obiecał pan, że zagwarantuje mi szybki awans, ale jak mam zaufać człowiekowi, który zdradził najlepszego przyjaciela? Nie, moją jedyną gwarancją jest urządzić tu panu coś tak okropnego, że nie będzie drogi powrotnej. – Wyjął pistolet i spojrzał na Gamache'a. – Powiedział mi pan w tym właśnie domu, że nie powinienem nigdy wyciągać broni, jeśli nie mam zamiaru jej użyć. Wziąłem sobie do serca tę lekcję. Ale to nie ja jej użyję. Pan to zrobi. – Wyciągnął rewolwer do Brébeufa. –

Proszę to wziąć. – Chłopięcy głos Lemieux był cichy i rozsądny.

– Nie zrobię tego. Każe mi pan zastrzelić przyjaciela?

– Przyjaciela? Już pan zabił tę przyjaźń. Więc czemu nie tego człowieka?

Nie pozwoli panu odejść wolno, wie pan o tym. Niech pan popatrzy, co zrobił z Arnotem. Nawet, jeśli złoży rezygnację, nie ma mowy, żeby odpuścił. Spędzi resztę życia, próbując doprowadzić pana do upadku.

Brébeuf opuścił ręce wzdłuż ciała. Lemieux westchnął i odbezpieczył pistolet.

– Lemieux! – zawołał Gamache, ruszając naprzód i starając się nie stracić z oczu ani Lemieux, ani Nichol stojącej za nim. Zauważył, że Nichol sięga do biodra.

– Stój!

Z ciemności wyłonił się pistolet, po chwili trzymający go Jean Guy Beauvoir. Inspektor trzymał broń pewnie, jego wzrok był chłodny i wbity w Lemieux. Nichol wycofała się w cień.

– Wszystko w porządku? – zapytał inspektor Gamache’a, nie tracąc z oczu Lemieux.

– Tak.

Beauvoir i Lemieux wpatrywali się w siebie jak starożytni wrogowie, obaj z wyciągniętą wycelowaną bronią – pistolet Beauvoira mierzył w Lemieux, a ten w rękę Lemieux – w Gamache’a.

– Wie pan, że nie mam nic do stracenia, inspektorze – odezwał się rozsądny głos młodego policjanta. – Nie ma mowy, żeby mnie stąd wyprowadzono w kajdankach. Jeśli policzę do pięciu i nie opuści pan broni, zabiję Gamache’a. Jeśli pan choćby zrobi wdech, jeśli zauważę najdrobniejszy sygnał, że przygotowuje się pan do strzału, strzelę pierwszy. A zresztą, co tam.

– Odwrócił głowę lekko w stronę Gamache’a.

– Nie! Nie, niech pan poczeka! – Beauvoir opuścił rewolwer.

– Słabeusz. – Lemieux pokręcił głową. – Wszyscy jesteście słabi. – Odwrócił się do Gamache’a i strzelił.

Clara Morrow poderwała się na równe nogi, usłyszawszy wystrzał. Przez ostatni kwadrans zebrani w kręgu słyszeli przyciszone głosy, czasami przechodzące w kłótnię, na szczęście były ludzkie. Ale odgłos wystrzału to co innego. Tego dźwięku większość Kanadyjczyków nie słyszy. Był on groteskowy. Oznajmiał, że śmierć znów wkroczyła w progi dawnego domu Hadleyów.

– Czy powinniśmy pójść sprawdzić? – zapytała Clara.

– Zwariowałaś? – odpowiedziała pytaniem Myrna, której oczy rozszerzyły się ze strachu.

– I co zrobimy? Ktoś ma broń, na miłość boską. Powinniśmy się stąd wynosić.

– Zgadzam się – przyznał Gabri, wstając.

– Powinniśmy zostać – rzekła Jeanne. – Nadinspektor nas o to prosił.

– Co to ma znaczyć? A jeśli kazałby pani wyskoczyć przez okno, zrobiłaby to pani? – wściekał się Sandon.

– Ale nie kazał, i nie zrobiłby tego – odparła Jeanne. – Musimy zostać.

Armand Gamache leżał na podłodze, szukając pistoletu. Beauvoir, na czworakach, desperacko próbował znaleźć swoją broń i nawoływał nadinspektora.

– Nic panu nie jest? Co się stało?

– Niech pan weźmie broń! – krzyknął Gamache, siłując się z Lemieux, który próbował się wyrwać. Na podłodze w ciemności każdy przedmiot wydawał się bronią. Dłoń Gamache'a zacisnęła się na kamieniu.

– Możecie już przestać. – Usłyszeli nad sobą młody głos.

Trzej mężczyźni szamoczący się na podłodze popatrzyli w górę. Oficer Yvette Nichol stała nad nimi z pistoletem w ręku. Mężczyźni powoli się

podnieśli. Lemieux dotknął dłonią głowy. Gdy ją cofnął, zobaczył krew.

– Dawaj mi to. – Wyciągnął rękę po jej broń.

– Chyba się pomyliłeś – powiedziała Nichol.

– Słuchaj no, suko, dawaj mi to!

Ale Nichol stała i ani drgnęła, z bronią gotową do strzału. Lemieux przeniósł wzrok na Brébeufa, który wycofał się w cień.

– W co pan pogrywa, Brébeuf? Niech pan jej każe się cofnąć.

– Nie mogę. – Jego głos był wysoki, niemal piskliwy, na skraju histerycznego wybuchu.

– Ostrzegam pana, Brébeuf – powtórzył Lemieux.

Z mroku napłynął krótki wybuch śmiechu, który szybko ucichł.

– Nie jestem jego, żeby mi rozkazywał. – Nichol patrzyła zimno.

– Francoeur – syknął Lemieux do Brébeufa. – Myślałem, że ma pan go pod kontrolą.

– Oficer Nichol, proszę dać mi broń. – Gamache postąpił naprzód, wyciągając rękę.

– Strzelaj! – krzyknął Lemieux. – Zastrzel go.

Nagle jej komórka zadzwoniła. Ku osłupieniu wszystkich Nichol odebrała, nie tracąc ich z oczu.

– Tak, rozumiem. Jest tu teraz ze mną.

Wcisnęła telefon Gamache'owi. Ten wahał się, ale wziął go.

– *Oui, allô?*

– Nadinspektor Gamache? – zapytał ktoś mówiący z obcym akcentem.

– *Oui.*

– Tu Ari Nikolev. Jestem ojcem Yvette. Mam nadzieję, że dba pan o moją córkę. Za każdym razem, gdy do niej dzwonię, mówi, że pracuje nad sprawą dla pana. Czy to prawda?

– Jest niezwykłą młodą kobietą, sir – powiedział Gamache.

Oddał telefon Nichol. Ona wręczyła mu pistolet. Lemieux przyglądał się



zdziwiony.

– O co tu chodzi? – zwrócił się do ukrytego w cieniu Brébeufa. – Mówił pan, że ona jest po naszej stronie.

– Powiedziałem, że służy do czegoś. – Brébeuf mówił z wysiłkiem, próbując ze wszystkich sił zapanować nad ogarniającą go histerią. – Kiedy Francoeur przeniósł ją z powrotem do wydziału zabójstw, myślałem, że Gamache zacznie podejrzewać, że ona jest szpiegiem dla swojego poprzedniego szefa. Dlaczego inaczej miałby ją odesłać? Ale Francoeur był durniem i despotą. Kiedy sprawy zaczęły się komplikować, zerwał kontakt z Arnotem.

Nichol miała być naszym kozłem ofiarnym. Oczywiście podejrzana, jeśli Gamache zacząłby coś węszyć.

– No ale, kurwa, mylił się pan – warknął Lemieux.

– Tak, tato, myślę, że teraz się zgodzi – zwróciła się do Gamache’a Nichol.  
– Ojciec nęka mnie, żeby kiedyś zaprosić pana na herbatę.

– Proszę mu powiedzieć, że będę zaszczycony.

– Tak, tato. Powiedział, że przyjdzie. Nie, nie mam go na muszce. – Uniosła brwi, spoglądając na Gamache’a. – Teraz. Nie, nic nie spieprzyłam, ale dzięki, że pytasz.

– Wiedział pan? – zapytał Lemieux Beauvoira, gdy ten wykręcał mu rękę do tyłu i zatrząskiwał kajdanki na nadgarstkach.

– Pewnie, że wiedziałem – skłamał Beauvoir. Nie wiedział, aż do czasu, gdy osaczył szefa na skraju drogi. Wtedy powiedzieli sobie wszystko i wyszło na jaw, że Nichol pracowała dla nich. Beauvoir był wdzięczny, że nie wrzucił jej w wezbrany po wiosennych roztopach nurt Rivière Bella Bella, choć instynkt mu to podpowiadał. Do tego czepka, w którym rzekomo się urodził, nie można było mieć zaufania.

– Wiedziałem, że Nichol nie jest szpiegiem Francoeura. To byłoby zbyt oczywiste – powiedział Gamache, wręczając pistolet Beauvoirovi. – Rozmawiałem z nią jakiś rok temu, powiedziałem, co planuję, a ona zgodziła się wziąć w tym udział. To odważna młoda kobieta.

– A może raczej psychopatka? – zapytał Lemieux.

– Muszę przyznać, że nie jest z tych, co dadzą się lubić, ale na to liczyłem. Jak długo myślał pan, że to ją podejrzewam, mógł pan robić, co chciał. A ja miałem możliwość pana obserwować. Powiedziałem Nichol, żeby była irytująca dla wszystkich, ale żeby szczególnie skupiła się na panu. Żeby pana wybić z pewności. To, że pana lubią, jest pańską zbroją. Jeśli wybiłaby pana z równowagi, mógł pan zrobić albo powiedzieć coś głupiego. I zrobił to pan. Tego dnia, kiedy zaczął się pan na mnie. Nikt z moich współpracowników nigdy nie wycelowałby we mnie z broni. Pan to zrobił, żeby mnie przestraszyć. Ale zamiast tego upewnił mnie pan, że to pan jest szpiegiem. Ale zrobiłem kolosalny błąd. – Gamache zwrócił się do Brébeufa.

– Myślałem, że moim wrogiem był Francoeur. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to możesz być ty.

– Mateusz, 10:36. *I będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy* – zacytował cicho Brébeuf. Przeszła mu histeria, minęła złość, minął strach. Wszystko minęło.

– I jego przyjaciele. – Gamache obserwował, jak Beauvoir z Nichol wyprowadzali Brébeufa i Lemieux do drzwi.

Czternaście dni – pomyślał Michel Brébeuf. Czternaście dni szczęścia. To była prawda.

Ale aż do tej pory nie pamiętał, że niemal każdy z tych dni spędził z tym człowiekiem.

– Czym mnie, do cholery, uderzyłaś? – dopytywał się Lemieux.

– Kamieniem – powiedziała Nichol z dumą. – Wpadł któregoś dnia z kieszeni płaszcza inspektora Beauvoira, więc go podniosłam. Rzuciłam nim, kiedy przycisnąłeś spust.

Armand Gamache szedł mrocznym korytarzem. Coś dziwnego stało się w dawnym domu Hadleyów. Był znajomy. Mógł poruszać się po nim, nie włączając latarki. Ale w pół drogi przystanął. Coś ogromnego zbliżało się w jego stronę. Z kieszeni płaszcza wyjął latarkę, pstryknął przełącznik. Przed nim stał wielogłowy stwór.

– Przyszliśmy pana uratować – powiedział Gabri, wychylając się zza Myrny. Grupie przewodziła Jeanne, za nią szła Clara i reszta.

– Naprzód, żołnierze pogańscy! – poleciała Jeanne z uśmiechem ulgi.

Świeca się dopalała. Zajęli poprzednie miejsca, jakby był to dawny, przyjazny rytuał na święto wiosny.

– Miał pan nam powiedzieć, kto zabił Madeleine – rzekła Odile.

Gamache poczekał, aż wszyscy się usadowią, po czym przemówił.

*Ale jak gorzko patrzeć na szczęście oczami innego!* <sup>[27]</sup>

Poczekał, aż te straszne słowa zapadły w nich.

– Ktoś tutaj popadł w gorycz, patrząc, jaki radosny świat zbudowała tu sobie Madeleine.

Wiecie, skąd ten cytat?

– Szekspir – powiedziała Jeanne. – *Jak wam się podoba.*

Gamache pokiwał głową.

– Skąd pani wiedziała?

– To było nasze szkolne przedstawienie na zakończenie szkoły. Ty byłaś producentką – zwróciła się do Hazel. – A Madeleine grała główną rolę.

– Madeleine grała główną rolę – powtórzył Gamache. – Jak zawsze. Nie dlatego, że się o to starała, ale dlatego, że nie mogła się powstrzymać.

– Była słońcem – powiedział cicho Sandon.

– A ktoś podleciał za blisko do niej – zgodził się Gamache. – Ktoś tutaj jest Ikarem.

Zanadto zbliżył się do słońca na zbyt długo. W końcu słońce zrobiło to, co robi zawsze. Sprawilo, żeby ta osoba runęła na ziemię. Ale to trwało długo. Całe lata. Właściwie dziesięciolecia.

– Morderca zorganizował sobie dobre warunki do życia. Przyjaciele, krąg miłych znajomych. To był bogaty i szczęśliwy okres. Ale duchy przeszłości w końcu nas dopadną.

W tym przypadku duch nie był osobą, ale uczuciem, głęboko pogrzebanym i zapomnianym. Lecz wyjątkowo silnym. Zaślepiająca,

wszechogarniająca, zapiekła zazdrość – zwrócił się do Jeanne.

– Jeśli myślała pani, że ciężko było być członkiem zespołu cheerleaderek z Madeleine, proszę sobie wyobrazić, jak to było być jej najlepszą przyjaciółką.

Wszystkie oczy zwróciły się na Hazel.

– Wedle księgi pamiątkowej, Hazel, była pani świetną siatkarką, ale Madeleine była lepsza. To ona została kapitanem drużyny. Zawsze była kapitanem. Pani była w zespole prowadzącym debaty, ale to ona była kapitanem.

Nadinspektor podniósł księgę pamiątkową i wyszukał zdjęcia z ich zakończenia szkoły.

*She never got mad\**. „Nigdy się nie wściekała” – przeczytał podpis pod zdjęciem Hazel. *Never got mad*. Myślałem, że chodziło o to, że nigdy się pani nie złościła, ale to znaczyło coś więcej?

Hazel wpatrywała się w swoje dłonie.

– Nigdy nie dogoniła Mad. Nigdy jej nie dorównała. I nigdy nie rozumiała. Próbowала pani ze wszystkich sił i bez przerwy ponosiła klęskę – bo dla pani to zaczęła być rywalizacja, ale dla niej nigdy nią nie była. Panią prześladowało to, że najlepsza przyjaciółka zawsze była we wszystkim nieco lepsza. Kiedy skończyłyście szkołę, odsunęła się pani i przyjaźń przygasła. Ale wiele lat później, po walce z rakiem piersi, Madeleine chciała odnaleźć dawnych przyjaciół. Do tej pory zbudowała pani sobie dobre życie. Miała pani skromny dom w cudownej okolicy. Córkę.

Przyjaciół. Szansę na romantyczny związek. Działała pani w SKA. Ale czegoś się pani nauczyła w liceum. Dziś po południu na spotkaniu w Montrealu kolega coś do mnie powiedział. Chodziło o... – Gamache zawahał się przez moment – inną sprawę.

W głowie Gamache’a znów rozbrzmiewał ten głos – głęboki, władczy, autorytatywny. Oskarżał nadinspektora, że przyjmuje tylko słabeuszy, śmiecie, ludzi, których nikt inny nie chciał. Żeby zawsze móc być od nich lepszy. Żeby sobie napompować ego. Gamache wiedział, że to nieprawda. Nie dlatego, że nie posiadał ego, ale ponieważ wiedział, że ludzie w jego

zespole to elita, nie najgorsi. Udowodnili mu to wiele razy.

Mimo to oskarżenia Francoeura zapadły mu w pamięć. W drodze do Three Pines coś wreszcie zaskoczyło. Nie chodziło o sprawę Arnota. Chodziło o bieżące śledztwo. O Hazel.

– Zawsze otacza się pani ludźmi w jakiś sposób zranionymi, kalekimi. Potrzebującymi.

Przyjaźni się pani z osobami, które są chore albo tkwią w nieudanych małżeństwach, z alkoholikami, otyłymi, niepozbiieranymi. Bo to pozwala pani czuć się lepszą. Jest pani dla nich dobra, w protekcyjny sposób. Czy słyszeliście kiedyś, by Hazel mówiła o kimś inaczej niż „biedny Ktośtam”?

Popatrzyli na sobie i potrząsnęli głowami. To była prawda. Biedna Sophie. Biedna pani Blanchard, biedny pan Béliveau.

– Bliski nieprzyjaciel – rzekła Myrna.

– Dokładnie. Litość udająca współczucie. Wszyscy uważali panią za świętą, ale dla pani to służyło czemu innemu. Sprawiało, że czuła się pani potrzebna i lepsza od tych, którym pani pomagała. Kiedy po latach spotkała się pani z Madeleine, ona wciąż była chora. Podobało się to pani. To znaczyło, że mogła się pani nią opiekować, pielęgnować ją. Wszystkim zawiadywać.

Ona była chora i w potrzebie, a pani nie. Ale nagle ona zrobiła coś, czego się pani nie spodziewała. Poczwała się lepiej. Lepiej niż kiedykolwiek. Stała się nie tylko błyskotliwą, bystrą, pełną życia Madeleine; teraz była jeszcze pełna wdzięczności i chciała korzystać z życia. Ale to życie, z którego korzystała, było pani życiem. Pomalutku znowu zaczęła przejmować wszystko.

Pani przyjaciół, pani pracę w SKA. Już pani przeczuwała, że nadchodzi dzień, gdy zniknie pani, wtopi się w tło. A wtedy Madeleine przekroczyła nieprzekraczalną granicę. Zabrała to, na czym najbardziej pani zależało. Pani córkę i pana Béliveau. Oboje zwrócili swą uwagę ku niej. Pani nieprzyjaciel wrócił, mieszkał w pani domu, jadł z pani talerzy, żywił się pani życiem.

Hazel skurczyła się na krześle.

– Jak to wyglądało z pani perspektywy?

Hazel podniosła wzrok.

– A jak pan myśli? Przez całą szkołę średnią we wszystkim byłam druga. Byłam najlepszą siatkarką w drużynie, dopóki Madeleine do niej nie dołączyła.

– Ale być drugim to wciąż świetny wynik – zauważył Gabri, który uwielbiał, gdy udało mu się wejść do pierwszej dziesiątki na jakiegokolwiek imprezie sportowej, choćby nawet w konkursie rzutu kaloszem na jarmarku.

– Tak sądzisz? To spróbuj cały czas lądować na drugiej pozycji. We wszystkim. I słuchać, jak ludzie tacy jak ty powtarzają dokładnie takie uwagi przez całe moje życie. Być drugim to dobry wynik. Nic nie ma w tym złego. Otóż jest. Nawet ze szkolnym przedstawieniem. W końcu udało mi się coś poprowadzić. Jako producent. Ale kiedy sztuka okazała się sukcesem, kto zebrał wszystkie pochwały?

Nie musiała im mówić. Mieli już pełny obraz, żywy i okrutny. Ileż jedna osoba może wytrzymać protekcyjnych uśmiezków? Ileż razy być niedostrzegana przez ludzi, którzy chcieli zobaczyć prawdziwą gwiazdę?

Madeleine.

Jakież to gorzkie, pomyślała Clara.

– Aż nagle Madeleine zadzwoniła, nieoczekiwanie. Była chora, chciała się ze mną zobaczyć. Zajrzałam w siebie i stwierdziłam, że już nie czuję do niej nienawiści. A gdy się spotkałyśmy, wyglądała na taką zmęczoną i żalowaną.

Wszyscy wyobrażali sobie, jak przebiegło to spotkanie po latach. Role nareszcie się odwróciły. Wtedy Hazel zrobiła jeden kolosalny błąd. Zaprosiła Madeleine, by z nią zamieszkała.

– Madeleine była cudowna. Cały dom od niej pojaśniał – Hazel uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Śmiałyśmy się, rozmawiałyśmy, wszystko robiłyśmy razem. Przedstawiłam ją wszystkim, zaangażowałam w pracę różnych komitetów. Znów była moją najlepszą przyjaciółką, ale tym razem na równych prawach. Znów się w niej zakochałam. To był absolutnie cudowny okres. Czy macie pojęcie, jakie to jest uczucie? Dopóki Mad znów

się tu nie zjawiała, nie wiedziałam nawet, że byłam samotna, a teraz czułam taką radość. Ale wkrótce ludzie zaczęli zapraszać tylko ją, a Gabri zaproponował jej, żeby przejęła prowadzenie SKA, mimo że to ja byłam wiceprezesem.

– Ale nienawidziłaś tej roboty – powiedział Gabri.

– Owszem. Ale jeszcze bardziej nienawidziłam, że mnie pomijano. Każdy tak ma, nie wiesz o tym?

Clara pomyślała o wszystkich tych ślubach, na które jej nie zaproszono, i o tym, jak się z tym czuła. Po części była to ulga, że nie musi iść na przyjęcie ani kupować prezentów, na które ją nie stać, ale bardziej czuła się dotknięta tym, że ją pominięto. Że o niej zapomniano. Albo gorzej. Pamiętano o niej, ale i tak pominięto.

– A potem zabrała pana Béliveau – rzekł Gamache.

– Kiedy Ginette umierała, często mówiła, że on i ja bylibyśmy dobrą parą. Że dotrzymywalibyśmy sobie towarzystwa. Zaczęłam mieć nadzieję i myśleć, że może to prawda.

– Ale on chciał czegoś więcej niż tylko towarzystwa – domyśliła się Myrna.

– On chciał jej – odparła Hazel, a gorycz jakby się z niej uląła. – Zaczęłam dostrzegać, że popełniłam potworny błąd. Ale nie wiedziałam, jak się z tego wyplątać.

– Kiedy zdecydowała pani, że ją zabije? – zapytał Gamache.

– Kiedy Sophie przyjechała do domu na Gwiazdkę i najpierw ucałowała ją.

Ten prosty, druzgoczący fakt leżał przed ich świętym kręgiem jak martwy ptaszek. Gamache'owi przypomniła się jeszcze jedna rzecz, którą mu w kółko powtarzano: nie idź wiosną do lasu, żeby nie wejść pomiędzy niedźwiedzicę a jej młode.

Madeleine to zrobiła.

– Zachowała pani efedrynę Sophie sprzed paru lat. Nie dlatego, że chciała pani jej użyć, ale dlatego, że niczego pani nie wyrzuca – odezwał się Gamache.

Ani mebli, ani książek, ani uczuć – pomyślał Gamache. Hazel niczemu nie

pozwalała odejść.

– Z analizy laboratoryjnej wynikało, że tabletki, których użyto, były zbyt pozbawione dodatków, by być niedawnej produkcji. Na początku myślałem, że efedryna pochodziła z pani sklepu – powiedział do Odile. – Ale potem przypomniałem sobie, że była jeszcze jedna fiolka tabletek. Sprzed paru lat. Hazel i Madeleine znalazły je i skonfiskowały, ale to nie była prawda, Sophie?

– Mamo? – Sophie siedziała zszokowana, z szeroko otwartymi oczami.

Hazel sięgnęła po jej dłoń, ale Sophie szybko cofnęła ją. Hazel najwyraźniej była tym bardziej wzburzona niż czymkolwiek do tej pory.

– Znalazłaś je. I podałaś je Madeleine z mojego powodu?

Clara starała się zignorować ton głosu Sophie, naznaczony jakby satysfakcją.

– Musiałam. Zabierała mi ciebie. Zabierała wszystko.

– Pierwszy raz próbowała ją pani zabić podczas seansu piątkowego, ale nie podała jej pani dość efedryny – odezwał się Gamache.

– Ale Hazel nawet tam nie była – powiedział Gabri.

– Jej tam nie było, ale jej zapiekanka tak – powiedział Gamache, zwracając się do pana Béliveau. – Mówił pan, że nie mógł spać tamtej nocy, bo seans tak pana zdenerwował. Ale seans nie był aż taki przerażający. To efedryna nie dawała panu spać.

– *Est-ce que c'est vrai?* – osłupiały pan Béliveau zwrócił się do Hazel. – Wrzuciłaś ten środek do zapiekanki i dałaś nam do jedzenia? Mogłaś mnie zabić.

– Nie, nie! – Hazel sięgnęła ręką w jego stronę, ale szybko opadła z powrotem na krzesło.

Jeden po drugim zaczęto się od niej odwracać. Zostawiając ją całkiem samą w sytuacji, jakiej kiedykolwiek się obawiała. – Nigdy bym tego nie ryzykowała. Wiedziałam z wiadomości, że efedryna zabija tylko ludzi chorych na serce, a widziałam, że ty nie masz z tym problemów.

– Ale wiedziała pani, że Madeleine je ma.

– Madeleine miała chore serce? – zapytała Myrna.



– To był skutek chemioterapii – potwierdził Gamache.

– Powiedziała pani o tym, prawda, Hazel?

– Nie chciała mówić nikomu więcej, bo nie życzyła sobie, żeby traktowano ją jak chorą.

Skąd pan wiedział?

– Była o tym mowa w raporcie koronera, potwierdził to też lekarz Madeleine

– powiedział Gamache.

– Nie, chodzi mi o to, skąd pan wiedział, że ja wiedziałam? Nie powiedziałam nikomu, nawet Sophie.

– Aspiryna.

Hazel westchnęła.

– A ja myślałam, że tu byłam sprytna. Ukryłam leki Mad między innymi.

– Inspektor Beauvoir zauważył je, kiedy szukała pani czegoś, żeby dać Sophie na bolącą kostkę. Ma pani cały kredens leków. Ale jego uwagę zwróciło to, że nie dała pani Sophie aspiryny. Szukała pani innej butelki.

– Efedryna była ukryta w opakowaniu po aspirynie? – zapytała zdezorientowana Clara.

– Tak myśleliśmy. Więc wysłaliśmy zawartość do analizy. To była aspiryna.

– Więc w czym problem? – dopytywał się Gabri.

– Dawka – odparł Gamache. – To była bardzo niska dawka, dużo niższa od normalnej.

Ludzie chorzy na serce często biorą małą dawkę aspiryny raz dziennie. Wszyscy w kręgu pokiwali głowami. Gamache przerwał, wpatrując się w Hazel.

– Madeleine miała jednak tajemnicę, którą skrywała nawet przed panią. Może szczególnie przed panią.

– Mówiła mi wszystko – odparła Hazel, jakby broniąc swojej najlepszej przyjaciółki.

– Nie. Ten ostatni, największy sekret zachowała dla siebie. Nie

powiedziała pani. Ani nikomu. Madeleine umierała. Jej rak się rozprzestrzenił.

– *Mais, non!* – Pan Béliveau był wstrząśnięty.

– Ale to niemożliwe! – wybuchnęła Hazel. – Powiedziałyby coś.

– To dziwne, że się z tym nie zdradziła. Myślę, że nie chciała, bo coś wyczuła w pani.

Coś, co żywiło się słabością, stwarzało ją nawet. Gdyby pani powiedziała, nie zabiłaby jej pani. Ale w tym momencie plan już się rozwijał. Zaczęło się od tego. Trzymał w ręku listę absolwentów, którą tego popołudnia dostał ze szkoły.

– Madeleine była absolwentką pani dawnego liceum. Podobnie jak pani. – Gamache zwrócił się do Jeanne, która przytaknęła. – Hazel zabrała jedną z broszur Gabriego, napisała na niej *Miejsce spotkania linii geomontycznych – specjalna oferta wielkanocna* i wysłała ją Jeanne.

– Ukradła jedną z moich broszur! – rzucił oskarżycielsko Gabri.

– Skup się na szerszej perspektywie, Gabri. – Myrna przywołała go do porządku.

Po stoczeniu krótkiej wewnętrznej walki Gabri przyznał, że nie ucierpiał aż tak poważnie jak Madeleine. Czy jak Hazel.

– Biedna Hazel – powiedział Gabri, a wszyscy pokiwali głowami.

Biedna Hazel.

Przez następne tygodnie Gamache trwał jakby w zawieszeniu. Jedzenie mu nie smakowało, gazety nie były interesująca. W kółko czytał to samo zdanie w „Le Devoir”.

Reine-Marie próbowała zainteresować go rozmową o podróży do Manoir Bellechasse z okazji ich trzydziestej piątej rocznicy ślubu. Odpowiedział, wykazał zainteresowanie, ale jasne, lśniące kolory jego życia zmatowiały. Jego serce zdawało się nagle zbyt ciężkie dla nóg. Przemieszczał się z miejsca na miejsce, starając się nie myśleć o minionych wydarzeniach. Pewnego wieczoru, gdy spacerował z Reine-Marie i Henrim, wilczur nagle wyrwał smycz i pobiegł przez park ku mężczyźnie po drugiej stronie. Gamache zawołał za nim i pies się zatrzymał. Ale zanim to się stało, mężczyzna po drugiej stronie także zauważył psa. I jego właściciela.

Po raz kolejny, tym razem ostatni, Michel Brébeuf i Armand Gamache spojrzeli sobie w oczy. Tyle ich kiedyś łączyło. Tu i teraz dzieci się bawiły, psy się tarzały i przynosiły patyki, młodzi rodzice z dumą przyglądali się swoim pociechom. Powietrze było nasycone wonią bzu i wiciokrzewu, pełne brzęczenia pszczoł, poszczekiwania szczeniaków, dziecięcych śmiechów.

Pomiędzy Armandem Gamache a jego najlepszym przyjacielem rozciągał się cały świat. Gamache zapragnął nagle przejść na drugą stronę i uścisnąć go. Poczuć znajomy dotyk na swoich ramionach. Wciągnąć w nozdrza zapach Michela: woń mydła i fajkowego tytoniu. Pragnął jego towarzystwa, jego głosu, spojrzenia oczu tak inteligentnych i pełnych humoru.

Tęsknił za swoim najlepszym przyjacielem.

Nie mógł uwierzyć, że tak naprawdę przez lata Michel go nienawidził. Czemu? Za to, że był szczęśliwy.

*Ale jak gorzko patrzeć na szczęście oczami innego.*

Dziś nie było w nim szczęścia, tylko smutek i żal.

Gamache przyglądał się, jak Michel Brébeuf uniósł rękę, po czym opuścił ją i odszedł. Nadinspektor miał zamiar także pozdrowić go, ale przyjaciel odwrócił się plecami. Reine-Marie wzięła go za rękę, a Gamache podniósł smycz Henriego i cała trójka kontynuowała przechadzkę. Robert Lemieux został oskarżony o napaść i usiłowanie morderstwa. Groziło mu wiele lat więzienia. Armand Gamache nie miał serca złożyć doniesienia o przestępstwie na Michela Brébeufa. Wiedział, że powinien. Wiedział, że to tchórzostwo, że się przed tym cofa. Za każdym razem jednak, gdy podchodził pod drzwi biura Pageta z zamiarem złożenia doniesienia, przypominał sobie dłoń małego Michela Brébeufa na swoim ramieniu. Przyjaciel mówił mu cichym, chłopięcym głosem, że wszystko będzie dobrze. Że nie jest sam. Nie mógł tego zrobić. Przyjaciel kiedyś go uratował. Teraz jego kolej.

Ale Michel Brébeuf zrezygnował z pracy w Sûreté, czuł się skończony. Jego dom wystawiono na sprzedaż, z Catherine opuszczali swój ukochany Montreal wraz ze wszystkim, co znali i kochali. To, co Michel Brébeuf zrobił, było absolutnie niewybaczalne.

W pewne sobotnie popołudnie Armand Gamache został zaproszony na herbatę u oficer Nichol i jej rodziny. Podjechał pod dom maleńki i nieskazitelnie czysty. Widział twarze przyklepione do szyby wielkiego okna z widokiem na podjazd. Gdy wysiadł i zbliżył się do drzwi, zniknęły wszystkie. Zanim zdążył zapukać, w progu stanęła Yvette Nichol.

Po raz pierwszy spotkał ją nie w roli policjantki. Miała na sobie proste spodnie i sweter. Nadinspektor uświadomił sobie, że dotychczas nie widział jej w niepoplamionym ubraniu. Ari Nikolev, drobny, chudy i zaaferowany, wytarł ręce o spodnie, po czym wyciągnął rękę do nadinspektora.

– Witamy w naszym domu – powiedział łamaną francuszczyzną.

– To zaszczyt – odrzekł Gamache po czesku. Prawdopodobnie obaj spędzili poranek, ćwicząc mówienie w języku tego drugiego.

Przez następną godzinę Gamache siedział w kakofonii okrzyków ich krewnych, rozmawiających ze sobą w językach, których Gamache nawet nie

próbował rozpoznać. Stara ciotka, inspektor był pewien, wymyślała własne słówka w trakcie rozmowy. Wciąż podawano jedzenie i napoje. Potem zaczęły się śpiewy. Przyjęcie było radosne, wręcz rozhukane. A mimo to, za każdym razem, gdy Gamache spoglądał na Nichol, widział ją stojącą ledwie na progu salonu. Podszedł do niej.

– Dlaczego pani nie wejdzie?

– Tu mi jest dobrze, sir.

Przyglądał jej się przez moment.

– O co chodzi? Czy kiedykolwiek wchodzi pani do środka? – zapytał zdziwiony, stojąc wraz z nią na progu.

– Nigdy mnie nie zapraszają. – Pokręciła głową.

– Ale to pani dom.

– Zajęli wszystkie miejsca. Ja się już nie zmieszczę.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia sześć. – Zabrzmiała obruszona odpowiedź.

– Już czas, żeby zrobiła sobie pani miejsce sama. To nie ich wina, że pani stoi tutaj, Yvette.

Nadal się wahała. Tak naprawdę to tutaj było jej wygodnie. Czasem zimno, czasem samotnie, ale wygodnie. Co on mógł wiedzieć? On nigdy nie miał pod górkę. Nie był dziewczyną ani imigrantem, matka nie umarła mu we wczesnym dzieciństwie, jego rodzina się z niego nie naśmiewała. Nie był byle jakim policjantem. Nigdy nie zrozumie, jak jej jest ciężko.

Gdy Gamache wychodził, pełen słodkich ciastek i mocnej herbaty, poprosił Yvette, by odprowadziła go do samochodu.

– Chciałem pani podziękować za to, co pani zrobiła. Wiem, jakie to bolesne celowo się odizolować od grupy.

– Zawsze stałam z boku – odparła.

– Najwyższy czas, by weszła pani do środka. Zdaje się, że to pani. – Sięgnął do kieszeni i wcisnął jej coś do ręki. Gdy otworzyła dłoń, znalazła w niej kamień. – Dziękuję – powiedział.

Nichol skinęła głową.

– Wie pani, w judaizmie, gdy ktoś umiera, jego bliscy kładą na nagrobku kamienie. Przed rokiem, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o sprawie Arnota, dałem pani radę. Pamięta ją pani?

Nichol udawała, że myśli, ale doskonale pamiętała.

– Powiedział pan, że powinnam pogrzebać już swoich umarłych.

Gamache otworzył drzwi samochodu.

– Niech pani nad tym pomyśli. – Skinął głową w stronę kamienia w jej dłoni. – Ale niech się pani upewni, że naprawdę umarli, zanim ich pani pogrzebie, inaczej nigdy się pani ich nie pozbędzie.

Odjeżdżając, nadispektor pomyślał, że może powinien sam skorzystać z tej rady.

Armand Gamache wspiął się po schodach na najwyższe piętro budynku kwatery głównej Sûreté i przeszedł przez korytarz w kierunku efektownych drewnianych drzwi. Zapukał z nadzieją, że nikt nie odpowie.

– Proszę.

Gamache otworzył drzwi i stanął przed Sylvainem Francoeurem. Naczelnik ani drgnął.

Wpatrywał się w Gamache'a z nieskrywaną nienawiścią. Gamache sięgnął do kieszeni spodni, instynktownie szukając talizmanu, który nosił przy sobie przez większość życia. Ale kieszeń była pusta. Tydzień temu wyjął wyszczerbiony, zniszczony krucyfiks swojego ojca, włożył do białej koperty wraz z krótkim listem i dał je synowi.

– Czego pan chce?

– Chciałem przeprosić. Myliłem się, oskarżając pana o rozpowszechnianie pomówień o mojej rodzinie. To nie pan to robił. Przepraszam.

Oczy Francoeura się zwężyły, czekał na jakieś „ale”. Ono jednak nie nadeszło.

– Jestem gotów przygotować pisemne przeprosiny i wysłać je do wszystkich członków rady obecnych na tamtym spotkaniu.

– Chcę, żeby pan złożył rezygnację.

Wpatrywali się w siebie. Wreszcie Gamache uśmiechnął się zmęczonym uśmiechem.

– Czy tak już będzie do końca naszego życia? Pan mnie będzie straszył, a ja odpowiem tym samym? Ja będę oskarżał, a pan się domagał? Czy naprawdę musimy to robić?

– Nie widziałem nic, co kazałoby mi zmienić opinię o panu, nadinspektorze. Łącznie z tym, jak pan postąpił w tej sprawie. Naczelnik Brébeuf był o wiele lepszym oficerem, niż pan kiedykolwiek będzie. A teraz z pana powodu on także odszedł. Znam pana, Gamache.

– Francoeur wstał i pochylił się nad biurkiem. – Jest pan arogancki i głupi. Słaby. Polega pan na instynkcie. Nawet się pan nie domyślał, że pański najlepszy przyjaciel działał na pańską szkodę.

Gdzie wtedy był pański instynkt? Genialny Gamache, bohater sprawy Arnota, był ślepy.

Zaślepiają pana własne emocje, pańska potrzeba pomocy ludziom, zbawiania ich. Nic pan nie wniósł do służby poza wstydem, i to od czasu, kiedy dopuszczono pana do dowództwa. A teraz przychodzi pan się podlizywać. To jeszcze nie koniec, Gamache, to się nigdy nie skończy.

– Naczelnik rzucił te słowa w twarz Gamache'owi, który już się nie uśmiechał. Wpatrywał się w dygoczącego ze złości Francoeura. Nadinspektor skłonił się i wyszedł. Wiedział, że niektóre rzeczy nigdy nie umierają.

Kilka dni później Gamache'owie, razem z Henrim, zostali zaproszeni na przyjęcie do Three Pines. Był słoneczny wiosenny dzień, młode listki w pełnej krasie malowały drzewa na wszystkie możliwe odcienie świeżej zieleni. Małżonkowie tłukli się na wyboistej bitej drodze, a jasnozielone korony drzew nad ich głowami lśniły jak witraże u Świętego Tomasza, gdy nagle zauważyli niezwykłą aktywność gdzieś z tyłu. Nie widzieli go jeszcze, ale Gamache wiedział, że to dawny dom Hadleyów i zastanawiał się, czy mieszkańcy miasteczka wreszcie postanowili go zburzyć. Na drogę wyszedł

mężczyzna i pomachał do nich, by zjechali na bok. Pan Béliveau, w kombinezonie i malarskiej czapce, uśmiechał się.

– *Bon.* Wszyscy mieliśmy nadzieję, że przyjedziecie. – Sklepikarz pochylił się ku otwartemu oknu samochodu, głaszcząc Henriego, który wypełznął na Gamache’a, żeby zobaczyć, co się dzieje – wyglądało to tak, jakby pies prowadził samochód. Nadinspektor otworzył drzwi, a Henri wyskoczył na zewnątrz, witany radosnymi okrzykami mieszkańców, którzy nie widzieli wilczura od czasu, gdy był szczeniakiem.

Kilka minut później Reine-Marie stała na drabinie, oskrobując ze ścian starego domu łuszczącą się farbę, a Gamache oczyszczał obramowania okien na parterze. On nie lubił prac na wysokości, a ona skrobania okien. Czyszcząc budynek, wydawało się mu, że dom pojękuje, jak robił to Henri, gdy drapało się go za uchem. Z rozkoszy. Lata zniszczeń, zaniedbań, smutku zostały wreszcie usunięte. Dom wydawał się oczyszczony aż do prawdziwej postaci, odarty z warstw narosłej przez lata sztuczności. Czy to był powód, dlaczego dom jęczał? Z rozkoszy, z radości, że przybyło do niego towarzystwo? A im tylko się wydawało, że to złowrogie jęki?

Mieszkańcy Three Pines nie zamierzali bynajmniej zburzyć tego gmachu, zdecydowali się dać mu jeszcze jedną szansę. Odnawiali go, by wrócił do życia. Budynek już zdawał się lekko błyszczeć w słońcu, lśniąc tam, gdzie położono świeżą farbę. Jeden zespół instalował nowe okna,

inny sprzątał w środku.

– Wiosenne porządki – stwierdziła Sarah z piekarni, a jej długie kasztanowe włosy wysypywały się z koka, w który spięła je z tyłu głowy.

Rozpalono grill. Mieszkańcy zrobili sobie przerwę na piwo, lemoniadę, hamburgery i kielbaski. Gamache z piwem w ręku spoglądał za wzgórze, na miasteczko Three Pines. Było ciche. Wszyscy, starzy i młodzi, byli tutaj; nawet chorych przytransportowano na wzgórze i usadzono na leżakach ogrodowych, wręczając im pędzle, żeby każdy w Three Pines mógł dotknąć domu Hadleyów i zdjąć z niego klątwę. Klątwę udręki i smutku.

Przed wszystkim zaś klątwę samotności.



Jedynymi nieobecnymi byli Peter i Clara Morrowowie.

– Jestem gotowa! – zaśpiewała Clara ze swojej pracowni. Twarz miała pomazaną farbą i wycierała ręce w nasączoną olejem szmatkę, zbyt brudną, by to cokolwiek pomogło.

Peter stał przed pracownią żony, starając się ją uspokoić. Oddychał głęboko, modlił się bezgłośnie. To była modlitwa błagalna. Błagał, by obraz był naprawdę, nieodwołalnie i nieodwracalnie okropny.

Przestał już walczyć z tym, od czego uciekał od dzieciństwa, gdy przez całe dni ścigały go słowa, które potem przenosiły się w sny. Słowa jego rozczarowanego ojca, który domagał się, by syn był najlepszy, ale Peter zawsze wiedział, że poniesie klęskę. Ktoś zawsze był lepszy od niego.

– Zamknij oczy. – Clara podeszła do drzwi. Peter zrobił, co mu poleciła, i poczuł drobną dłoń na swoim ramieniu, wprowadzającą go do środka.

– Pochowaliśmy Lilium na miejskim skwerku – powiedziała Ruth, podchodząc do Gamache’a.

– Przykro mi – odpowiedział.

Ruth oparła się mocno na lasce, za nią stała Rosa, która wyrosła na piękną i silną kaczkę.

– Biedne maleństwo – westchnęła Ruth.

– Ale i szczęśliwe: zaznała takiej miłości.

– Miłość ją zabiła – rzekła Ruth.

– Miłość pozwalała jej żyć – uściślił Gamache.

– Dziękuję – powiedziała stara poetka, po czym odwróciła się, by popatrzeć na dom Hadleyów. – Biedna Hazel. Wie pan, ona naprawdę kochała Madeleine. Nawet ja to widziałam.

Gamache pokiwał głową.

– Myślę, że zazdrość to najokrutniejsze uczucie. Wykręca nas w coś groteskowego.

Zazdrość pożerała Hazel. Zżarła jej szczęście, jej zadowolenie. Jej zdrowie psychiczne. W końcu zaślepilo ją rozgoryczenie i nie widziała już, że ma

wszystko, czego chciała. Miłość i towarzystwo.

– Kochała niemądrze i za mocno. Ktoś powinien napisać o tym sztukę – stwierdziła Ruth, uśmiechając się żałośnie.

– Cóż to dla pani – rzucił Gamache. Po chwili ciszy rzekł, prawie do siebie:  
– Bliski nieprzyjaciół. To nie osoba, prawda? To my sami.

Oboje spojrzeli na dawny dom Hadleyów i mieszkańców pracujących przy remoncie.

– To zależy od osoby. – Na twarzy Ruth nagle pojawiło się zaskoczenie. Wskazała na las za dawnym domem Hadleyów. – Mój Boże, myliłam się! Tęczowe duszki na skraju ogrodu istnieją.

Gamache się rozejrzył. Na końcu ogrodu krzaki się poruszyły. Po chwili wyłonili się Olivier i Gabri, taszczący liście paproci.

– Ha! – zaśmiała się triumfalnie Ruth, po czym chichot ucichł, zostawiając po sobie tylko lekki uśmiech na jej twardej twarzy. – *Oto oznajmiam wam tajemnicę. Skinęła w stronę mieszkańców pracujących przy starym domu. – Umarli zostaną wskrzeszeni niezniszczalni, a my zostaniemy przemienieni.*

– *W jednej chwili, w mgnieniu oka* – dodał Gamache.

– Gotowy? – zapytała Clara, niemal popiskując z ekscytacji. Pracowała nieprzerwanie, spiesząc się przed przyjazdem Fortina. Ale potem nie był to już wyścig z czasem, ale coś zupełnie innego. Wyścig, by zdążyć przelać na płótno to, co widziała, co czuła. Wreszcie jej się udało.

– Okej, możesz popatrzeć.

Peter podniósł powieki. Zajął mu dobrą chwilę przyswojenie tego, co zobaczył. To był olbrzymi portret Ruth. Ale Ruth, jakiej nigdy tak naprawdę nie widział. Teraz, przyglądając się, zdał sobie sprawę, że taką ją widywał, ale jedynie w przelocie, pod dziwnym kątem, w niespodziewanych momentach. Jej postać zalewał jaśniejący błękit, spod którego wyłaniał się rąbek czerwonej tuniki. Skóra, pomarszczona i pokryta starczymi żyłkami, była odsłonięta wzdłuż całej szyi aż po wystające obojczyki. Była stara, zmęczona, brzydka. Słabowita dłoń próbowała zakryć ciało niebieskim szalem, jakby obawiając się odsłonięcia. Na twarzy malował się wyraz bezbrzeżnego

rozgoryczenia i udręki. Samotności i straty. Ale było coś jeszcze. W jej oczach – coś było w jej oczach.

Peter nie był w stanie orzec, czy kiedykolwiek zdoła jeszcze normalnie oddychać ani czy będzie mu to potrzebne. Portret zdawał się to robić za niego. Wpełznął w jego ciało, stał się nim.

Cały ten lęk, pustka, wstyd.

Ale w tych oczach było coś jeszcze.

To była Ruth jako Maria, Matka Boska. Maria jako stara, zapomniana kobieta. Ale starcze oczy dopiero zaczynały coś dostrzegać. Peter stał bez ruchu i robił to, co Clara zawsze mu doradzała, a on zawsze to ignorował. Pozwalał, by to obraz podszedł do niego.

I wtedy zobaczył.

Clarze udało się uchwycić moment, kiedy rozpacz zmienia się w nadzieję. Ten ułamek sekundy, gdy cały świat zmienia się na zawsze. To właśnie widziała Ruth. Nadzieję. Pierwsze, nowo narodzone przesłanie nadziei. To było arcydzieło, Peter był pewien. Jak Kaplica Sykstyńska Michała Anioła. Ale gdy Michał Anioł namalował moment, tuż zanim Bóg tchnął w człowieka życie, Clara namalowała chwilę, w której ich palce się dotknęły.

– Jest genialny – szepnął Peter. – To najcudowniejszy obraz, jaki w życiu widziałem.

Wszystkie wymyślne wyrazy artystycznego opisu umykały w obliczu tego portretu. Wszystkie jego lęki i niepewności przysły. Miłość, jaką czuł do Clary, odrodziła się.

Wziął ją w ramiona i razem śmiali się i płakali z radości.

– Pomysł przyszedł mi do głowy wtedy na kolacji, gdy słuchałam, jak Ruth opowiadała o Lilium. Gdybyś nie zasugerował, żebyśmy urządzili to przyjęcie, to by się nigdy nie stało.

Dziękuję, Peter. – Objęła go mocno i ucałowała gorąco.

Przez następną godzinę słuchał, jak trajkotała o swojej pracy, a jej entuzjazm przenosił się na niego jak wirus – oboje byli wyczerpani, ale podekscytowani.

– Chodź. – Dźgnęła go palcem. – Do dawnego domu Hadleyów. Złap piwko z komórki, pewnie im się przyda.

Wychodząc, zajrzał jeszcze raz do pracowni Clary i poczuł ulgę, doświadczając zaledwie leciutkiego ukłucia, jakby echo obezwładniającej zazdrości, jaką czuł wcześniej. Mijało mu: wiedział to. Wkrótce zniknie zupełnie i po raz pierwszy w życiu będzie szczerze się cieszył z sukcesu kogoś innego.

Tak to Peter i Clara powędrowali do dawnego domu Hadleyów. Peter niósł skrzynkę piwa oraz maleńką drzazgę zazdrości, która już zaczynała znikać.

– Szczęśliwy? – zapytała Reine-Marie, wsuwając swoją dłoń w dłoń męża. Gamache pocałował ją i pokiwał głową, wskazując butelką piwa w dół trawnika. Henri przynosił patyk wykończonej Myrnie, która próbowała znaleźć kogoś innego, kto pobawiłby się z niestrudzonym psem. Wcześniej popełniła błąd, dając wilczurowi hot doga, który spadł na ziemię, i od tej pory była jego najlepszą przyjaciółką.

– *Mesdames et messieurs*. – Nad zgromadzonymi rozległ się donośny głos pana Béliveau.

Przerwano jedzenie i wszyscy podeszli na ganek dawnego domu Hadleyów. Obok pana Béliveau stała Odile Montmagny. Wyglądała na bardzo stremowaną, ale trzeźwą.

– Przeczytałem *Sarah Binks* – wyszeptał Gamache do Myrny, która przyłączyła się do nich, gdy tylko Ruth przemknęła dalej. – Przepyszna. – Wyjął swój egzemplarz z kieszeni marynarki. – To miał być hołd złożony poezji tej kobiety z prerii, ale ta poezja jest okropna.

– Nasza Odile Montmagny napisała odę na cześć tego dnia i tego domu – mówił pan Béliveau, a Odile przestępowała z nogi na nogę, jakby nagle musiała biec do toalety.

– Ale *Sarah Binks* to była moja książka. Zamierzałam ją jej podarować. – Ruth chwyciła tomik z jego dłoni i uczyniła nim gest w stronę Odile. – Skąd pan to wziął?

– Była ukryta w szufladzie nocnego stolika Madeleine – powiedział

Gamache.

– Madeleine? Ukradła mi ją? Myślałam, że gdzieś ją tylko zgubiłam.

– Zabrała ci ją, kiedy uświadomiła sobie, co zamierzasz z nią zrobić – zasyczała Myrna. – Kiedy powiedziałaś Odile, że przypomina ci Sarah Binks, a ona myślała, że to komplement. Ona cię wielbi. Madeleine nie chciała, żebyś zraniła Odile, więc ukryła książkę.

– To taki mały utworek, który napisałam wczoraj wieczorem, oglądając mecz hokejowy – powiedziała Odile. Ten wgląd w proces twórczy, uwidaczniający naturalny związek między poezją a rozgrywkami ligowymi, spotkał się z pełnym uznaniem i potakiwaniem.

Odile odchrząknęła.

Kaczor przekłety oddziobał mu ucho  
I twarz mu ze zgrozy pobladła;  
„Jakaż mnie teraz pokocha dziewczucha?”  
Rozpaczał i stronił od jądła.  
Lecz oto dziewczyna pojawia się i  
Miłością do niego wybucha:  
Kochała go odtąd po kres swoich dni  
Kochała mężczyznę bez ucha

Ostatnie słowa powitała cisza. Odile stała niepewnie na ganku. Wtem, ku swojemu przerażeniu, Gamache zobaczył Ruth, przedzierającą się przez tłum, z książką o Sarah zaciśniętą w dłoni i kwaczącą Rosą, dotrzymującą jej kroku.

– Z drogi, idą kaczka i wkurwiaczka! – zawołał Gabri.

Ruth wgramoliła się na ganek i stanęła obok Odile, biorąc młodą kobietę za rękę.

Gamache i Myrna wstrzymali oddech.

– Nigdy nie słyszałam równie wzruszającego wiersza. Tak pięknie mówi o samotności i stracie. To wspaniały pomysł, moja droga, posłużyć się mężczyzną jako alegorią domu.

Odile wyglądała na zdezorientowaną.

– Tak jak ten okaleczony mężczyzna, dawny dom Hadleyów odnajdzie miłość – ciągnęła Ruth. – Ten wiersz niesie nadzieję wszystkim starym, brzydkim i niedoskonałym. Brawo!

Ruth wsunęła książkę do kieszeni swojego znoszonego swetra i uścisnęła Odile, która miała taką minę, jakby wniebowstąpiła na odrapanym ganku dawnego domu Hadleyów.

Przybyli Peter i Clara, przynosząc skrzynkę piwa, powitaną z entuzjazmem. Ale zatrzymali się tuż pod domem. Gamache patrzył, zastanawiając się, co też zrobią. Dawny dom Hadleyów prześladował Petera i Clarę bardziej niż kogokolwiek innego z mieszkańców miasteczka. Morrowowie stali kilka kroków od buzującego aktywnością domu i przyglądali się.

Wreszcie Clara schyliła się i podniosła tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. Rękawem otarła z niej błoto i brud, po czym podała ją Peterowi, który wbił ją w ziemię. Tabliczka stała prosto, czysta i dumna.

– Myśli pan, że ktoś go kupi? – zapytała Clara, wycierając ręce o dżinsy.

– Ktoś go kupi i będzie go kochał – odparł Gamache.

Lecz oto dziewczyna pojawia się i  
Miłością do niego wybucha:  
Kochała go odtąd po kres swoich dni;  
Kochała mężczyznę bez ucha

– zacytowała Ruth, znów podchodząc do nich. – Idiotyczny wiersz, ma się rozumieć. Ale jednak... – Pokuśtykała w stronę Odile, by dać serdeczności jeszcze jedną szansę. Mała Rosa podreptała za nią.

– Teraz przynajmniej Ruth ma powód, by kwakać – stwierdziła Clara.

Armand Gamache przyglądał się, jak w jasnym słońcu dawny dom Hadleyów wracał do życia, po czym odstawił piwo i przyłączył się do pozostałych.

# Przypisy

[1] *Hot cross buns*, czyli bułeczki z krzyżykiem, słodkie korzenne wypieki z rodzynkami w środku i znakiem krzyża na wierzchu. Tradycyjne ciastka, które jedzono na Wielkanoc na Wyspach Brytyjskich, w Kanadzie, Australii i innych krajach dawnego Imperium Brytyjskiego. Ich wypiekanie oznacza koniec Wielkiego Postu. Tradycyjnie mają na wierzchu nacięcie w kształcie znaku krzyża. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Kanadyjski czytelnik natychmiast wyłapie tu ostry przytyk Ruth: Sarah Binks, *Słodka pieśniarka Saskatchewan*, to poetka-bohaterka powieści Paula Hieberta z 1947 roku pod takim tytułem, napisanej w formie fikcyjnej biografii satyry na literacką pretensjonalność i grafomanię, objawiającą się używaniem wymyślnych środków dla nieznaczących, banalnych treści.

[3] Queen's University, czyli Uniwersytet Królowej, to państwowy uniwersytet mieszczący się w Kingston, w stanie Ontario. Został założony w 1841 roku przez królową Wiktorię, co czyni go starszym niż kanadyjska państwowość. Queen's uchodzi za jedną z najlepszych wyższych uczelni w Kanadzie. Do jej absolwentów należy m.in. Elon Musk, założyciel Tesla Motors.

[4] Jakub Marley to duch, który ukazuje się głównemu bohaterowi *Opowieści wigilijnej* K. Dickensa, chciwy biznesmen, który po śmierci jest pokutującym potępieńcem. To on właśnie informuje Ebenezera Scrooge'a, że w noc wigilijną nawiedzą go duchy przeszłych, obecnych i przyszłych świąt Bożego Narodzenia.

[5] Ngaio Marsh (1895–1982) – nowozelandzka pisarka, autorka serii 32 kryminałów o inspektorze Alleyne. Po polsku ukazało się tylko *Szampańskie zabójstwo*.

[6] CindyLou Who to złotowłosa dziewczynka z warkoczykami, bohaterka wierszowanej opowieści Dra Seussa *Jak Grinch ukradł święta*.

[7] Fragment wiersza Margaret Atwood *Half-Hanged Mary* ( *Na wpół powieszona Mary*), poświęconego Mary Webster, powieszanej w XVII wieku w Putnam w stanie Massachusetts jako czarownica (gdy następnego dnia odcinano zwłoki ze sznura, okazało się, że Mary żyje). Webster była przodkinią słynnej pisarki, której Atwood zadedykowała

swoją najslynniejszą książkę *Opowieść podręcznej*.

[8] Lac aux Castors (ang. – Beaver Lake, Jezioro Bobrów) to sztuczne jezioro położone w montrealskim parku na wzgórzu parkowym Mont-Royal. Jego twórcą był Frederick Law Olmsted, znany jako twórca nowojorskiego Central Parku.

[9] Miary angielskie z oryginału przeliczono na metryczne.

[10] Ta nazwa znaczy tyle, co Świętej Marii od Wieżb Dachowych.

[11] Dobra wróżka z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

[12] Helen Beatrix Potter to angielska ilustratorka oraz autorka powiastek i wierszy dla dzieci, m.in. o Piotrusiu Króliku i Wiewiórcie Orzeszko.

[13] Duża kanadyjska firma telekomunikacyjna, zajmująca się telefonią i IT.

[14] Dziewiętnastowieczny amerykański historyk i przyrodnik Francis Parkman jest znany głównie z publikacji na temat historii Stanów Zjednoczonych, ale Kanadyjczycy kojarzą go przede wszystkim z monumentalną, siedmiotomową publikacją *France and England in North America* – ją zapewne ma na myśli autorka, mówiąc o „dziełach zebranych”.

[15] Amerykanka Helen Adams Keller (1880–1968) była głuchoniewidomą pisarką, pedagog i działaczką społeczną. Sławę przyniosły jej wydana także po polsku *Historia mego życia* oraz oparty na jej biografii film *Cudotwórczyni* (1962).

[16] Wersja oryginalna tego podpisu będzie bardzo istotna w rozwikłaniu zagadki i opiera się na nieprzetłumaczalnej grze słów w języku angielskim – ale na razie niech nadinspektor Gamache się tym zajmie.

[17] Cytat za wierszem brytyjskiego modernisty Johna Edwarda Masefielda *An Epilogue*.

[18] Kolejna aluzja do ukochanego przez Gabriego *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*.

[19] William Szekspir, *Dwaj panowie z Werony*, akt 1, scena 3 w tłum. Stanisława Koźmiana.

[20] Thomas Stearns Eliot, *Ziemia Jałowa*, w tłum. Czesława Miłosza.

[21] Ten cytat z *Henryka VIII* Szekspira odgrywa ważną rolę w poprzednim tomie opowieści o przygodach nadinspektora Gamache’a.



[22] Przedchrześcijańska tradycja w krajach północnej Europy, zwłaszcza anglosaskich, wymagała, by w okolicy najkrótszej nocy w roku (lub przed końcem roku) spalić w kominku pień o takiej nazwie. Tradycje rytuału, sięgające XII wieku, różnią się detalami. W krajach francuskojęzycznych – oraz w Quebecu – popularny jest świąteczny deser o ten samej nazwie, rodzaj rolady.

[23] 1 List do Koryntian, 15:51-52, cytowany za przekładem Biblii Gdańskiej (2017).

[24] *Poutine* to tradycyjna potrawa z Quebecu, złożona z frytek, polewanych sosem, najczęściej pieczeniowym, i specjalnym serem, tzw. *cheese curds*. Wersja *Italienne* jest podawana z sosem do spaghetti.

[25] 1 List do Koryntian, 13:12.

[26] William Butler Yeats, *Drugie przyjście*, przeł. Antoni Libera.

[27] William Szekspir, *Jak wam się podoba*, akt 5, scena 2, przeł. Leon Ulrich.